

ROZDZIAŁ I

Około połowy siedemnastego (wieku ma peryferiach małego warownego miasteczka Terneuzen, położonego na prawym brzegu Skaldy, nieomal na wprost wyspy Kalcheren, przed paroma innymi, jeszcze skromniej wyglądajacymi domami można było dostrzec schludny domek. Jego frontowa ściana była przed laty pomalowana na kolor ciemnopomarańczowy, okna i okiennice — na jaskrawo zielony. Na wysokość trzech stóp od ziemi dom był otoczony niebieskimi i białymi płytkami. Ogród, o powierzchni dwóch przętów według niasizej miary, otaczał budynek. Ten skrawek gruntu był po obu bokach obsadzony żywopłotem z ligustru i opasany fosą pełną wody. Naprzeciwko frontowych drzwi domku przez fosę przerzucony był wąski mostek z żelaznymi poręczami dla bezpieczeństwa przechodniów. Ale farby, którymi pomalowano domek, wyblakły. Ślady butwienia były widoczne na parapetach okien, na ościeżach drzwi i innych drewnianych częściach domu, a wiele niebieskich i białych płytek odpadło i nie zastąpiono ich nowymi.

Wewnątrz, zarówno na górze, jak i na dole, domek był podzielony na dwie większe izby od frontu i dwie mniejsze od tyłu. Izby frontowe można było nazwać obszernymi tylko w porównaniu z pozostałymi dwiema, gdyż (miały

niewiele ponad dwanaście stóp ma dwanaście, każda z jednym zaledwie oknem. Na górze były urządzone sypialnie. Na dole dwie mniejsze izby użytkowano jako pralnię i lamus, natomiast w jednej iz większych urządzono kuchnię, gdzie ma kredensie lśniły wypolerowane jak srebro naczynia kuchenne. Izba ta była utrzymywana w pedantycznej czystości, ale umeblowana nader skromnie. Deski podłogi były białe i tak czyste, że można było na nich położyć każdą rzecz bez obawy zabrudzenia. Sosnowy stół, dwa izwykle drewniane krzesła i kanapka stanowiły całe umeblowanie.

W drugiej izbie frontowej urządzono bawialnię, ale jakimi sprzętami była umeblowana, nie wiedział nikt, gdyż od siedemnastu lat nie czyje oko tam nie zajrzało; przez cały ten czas bawialnią była na głucho zamknięta dla domowników.

W kuchni siedziały dwie osoby. Jedną była kobieta, na oko czterdziestoletnia, lecz zniszczona cierpieniem i chorobą. Kiedyś musiała być piękna: dotychczas zachowała regularne rysy, miała wyniosłe czoło i ciemne oczy, ale twarz jej nosiła piętno osłabienia i wyniszczenia, które czyniło ją przezroczystą. Kiedy się zamyślała, jej czoło pokrywało się zmarszczkami, a błyski w oczach sprawiały wrażenie obłądu. Zdatwało się, że musi istnieć jakiś głęboko zakorzeniony, rozpaczliwy powód udręki, który już nigdy nie będzie mógł być wymazany z jej pamięci, jakiś zagnieżdżony w niej nieustający ucisk, który może zelżeć dopiero po śmierci. Miała na głowie czepiec wdowi, jaki noszono w tamtych czasach, a odzież jej, chociaż czysta, była zszarzała od długiego noszenia. Siedziała zgarbiona na kanapce.

Przy stole, pośrodku izby, siedziała druga osoba, jasnowłosa, rumiana młodzieniec w

wieku dziewiętnastu /lub dwudziestu lat. Rysy miał wyraziste, budowę potężną, oczy jego wyrażały zdecydowanie, a kiedy wymachiwał nogą założoną na nogę i głośno pogwizdywał jakąś melodię, nie można się było oprzeć wrażeniu, że jest iz natury odważny i lekkomyślny.

— Nie idź ma monze, Filipie. Och, przyrzeknij mi ito, moje kochane, najukochańsze dziecko — powiedziała niewiasta.

— A icizemuż mam nie iść na morze, matko? — odparł Filip. — Co za sens, abym tu siedział i głodował? (Muszę izapracować jakoś na siebie i na was. Wuj Van Brennen zaproponował, że weźmie mnie iz sobą i będzie mi dobrze płacić. Będę żyć szczęśliwie na statku, a moje zarobki wystarczą na wasze (utrzymanie w domu.

— Filipie, posłuchaj mnie. Umrę, jeżeli minie opuścisz. Kogóż mam poza tobą na świecie? Och, dziecko moje, jeżeli minie kochasz, a wiem, że kochasz, Filipie, to nie opuszczaj mnie. Gdybyś jednak miał to uczynić, nie idź na morze.

Filip nic nie odrzekł; chwilę jeszcze pogwizdywał, podczas gdy niatka płakała.

— Matko, czy dlatego tak bardzo minie o to błagacie, że ojciec utonął w morzu?

— O, nie! — wykrzyknęła kobieta. — Może Pan Bóg...

— ...imoże Pan Bóg?

— Nic. Miej litość, mliej litość nade mną. O Boże!

Filip przez chwilę milczał zamyślony, po czym znowu powiedział:

— Słuchajcie, matko. Proście, abym pozostał iz wami na łądzie i klepał biedę. Posłuchajcie, co powiem. Ta izba naprzeciwko jest zamknięta od itak dawna, jak tylko pamiętam. Dłaczego, nie chcieliście mi nigdy wyjawić.

Ale raz usłyszałem, jaik powiedzieliście — nie było wtedy co do ust włożyć i straciliśmy nadzieję na powrót wuja, byliście na pół oszalała, matko, jaik to inieraz bywało, wiecie przecież.

— Co usłyszałeś?

— Powiedzieliście, że w (tamtej izbie Bą pieniądże, iktóre mogłyby mas uratować. I krzyczeliście, i mówiliście, że wolicie umrzeć. A *teraz*, matko, powiedzcie, co się iznajduje w tej izbie i dlaczego tak długo stoi zamikttięta. Albo dowiem się tego, albo pójdę na morze.

Po pierwszych słowach Filipa wdowa znie ruchomiła jaik posąg; usta miała otwarte, oczy wytrzeszczone, zdawało się, że nie może wydobyć głosu. Przyłożyła dłoń do prawego boku, jakby go chciała przycisnąć. Wtem zachwiała się z głową pochyloną do przodu i krew połała się (jej ustami.

Filip poskoczył i przytrzymał ją, aby nie upadła na podłogę. Położył ją na kanapce i patrzył na krwotok, który nie ustawał.

— Och, mamó, co wam jest? — zawołał w rozpaczy.

Przez jalkiś czas inie imogła słowa wymówić, obróciła się na iboik, aby się inie zakrztusić wylewem z pękniętego naczynia; wkrótce deski podłogi zaczerwieniły się od krwi.

— Powiedzcie, mamó, jeżeli możecie — potarzał Filip — co mam zrobić? Co wam podać? Boże wszechmogący, ico to jest?

— Śmierć, moje dlziedko, to śmierć! — odparła biedna kobieta.

Wtedy Filip wypadł z domu, wołając na ratunek sąsiadów. Dwoje czy troje pospieszyło na jego wezwanie i gdy tyfliko Filip ujrział, że zajęli się ratowaniem matki, popędził do domu medyka, mieszkającego w odległości mili — niejakiego Mynheer Pootisa, nizezemnego, chlci-

wego łajdaka, którego jednak uważano, za zręcznego w swoim rzemiośle. Zastał go w domu i domagał się od niego pomocy.

— Przyjdę, na pewno przyjdę — odparł Poots. — Ale kto mi zapłaci, Mynheer Vanderdedken?

— Kto zapłaci? Mój wuj zapłaci natychmiast, jak tylko wróci.

— Twój wuj, szyper Van Bremnen? Nie, jest mi winian cztery guldeny, i to od dawna. Poza tym jego statek może zatonać.

— Zapłaci wam te cztery guldeny i ponadto za waszą pomoc — odparł Filip. — Chodźmy natychmiast. Wy się stutargurjecie, a moja matka może tymczasem umiera.

— Ale, ale, Mynheer Filipie, nie mogę z tobą pójść. Przypomniałam sobie, że mam odwiedzić dziecko burmistrza.

— Słuchajcie, Mynheer Poots — wykrzyknął Filip — pozostaje wam tylko wybierać — albo pójdziecie dobrowolnie, albo będę zmuszony zaprowadzić was siłą. Ze miną żartów nie ma.

Mynheer Poots wystraszył się na dobre, gdyż charakter Filipa Vanderdeckena znany był wszystkim.

— Przyjdę później, Mynheer Filipie, jak tylko będę mógł.

— Przydziesz teraz, ty sitary łotrze — wykrzyknął Filip i, chwyciwszy go za kołnierz, wypchnął za drzwi.

— Mordują! — wrzeszczał Poots wleczony przez młodzieńca. Filip zatrzymał się, gdyż spostrzegł, że twarz Pootsa zsiśniała.

— Mam ci zatkać gębę, żebyś szedł spokojnie? Bo pójdiesz, żywy czy umarły, rozumiesz?

— Wtęć dobrze — rzekł Poots — pójdę, ale tylko po to, żeby dziś jeszcze wsadzić cię do więzienia. A co do twojej matki, to nie... do

niej iiii pójdę, Mynheer Filipie, możesz mi wierzyć.

— Zakonotujcie to sobie, Mynheer Poots — odparł Filip — jak Bóg na niebie, jeżeli nie pójdziecie ze mną, zaduszę was. A na miejscu, jeżeli nie uczynicie dla mojej matki wsińskiego, co w waszej mocy, to tam was zamorduję. Wiecie, że zawsze robię tak, jak mówię. Posłuchajcie zaitem mojej rady, chodźcie ze mną bez stawiania oporu, a zapłacę wam, i to dobrze, jak tylko sprzedam swoją kapotę.

Ta ostatnia uwaga Filipa poskutkowała silniej niż jego groźby. Poots był cherlakiem i w mocnym uchwycie młodzieńca wyglądał jak dziecko. Jego dom stał na odludziu, więc mógł się spodziewać pomocy nie wcześniej jak w odległości około stu jardów od domu Vanderdeckena. Mynheer Poots postanowił pójść, ponieważ Filip przyrzekł, że zapłaci, i dlatego, że nie miał innego wyjścia.

Gdy to zostało zdecydowane, Filip i Mynheer Poots pospieszyli do domku. Wszedłszy ujrzeli wdowę Vanderdeciken w ramionach dwóch sąsiadek, które izwilżały jej skronie octem. Była przytomna, ale nie mogła mówić. Poots kazał ją położyć do łóżka, wlał jej do gardła jakąś miksturę, po czym pobiegł razem z Filipem po lekarstwa.

— Podasz to matce natychmiast, Mynheer Filipie — rzekł dając mu do ręki flaszeczkę. — Ja pójdę do dziecka burmistrza i potem wrócę tutaj.

— Nie próbujcie mnie tylko oszukać — ostrzegł go Filip z groźbą w oczach.

— Nie, Mynheer Filipie, twemu wujowi Van Brehinenowi iiii zaufałym, że zapłaci, ale ty mi przyrzekłeś, a wiem, że zawsze dotrzymujesz słowa. Za godzinę będę przy twojej maitce. Ale ty musisz się pospieszyć.

Filip popędził do domto. Po zażyciu lekarstwa krwotok ustał, a gdy minęło pół godziny, wdowa Vanderdecken mogła już mówić szepcetem. Kiedy przyszedł medyk, zbadał chorą, po czym zsiedł razem z jej synem do kuchni.

— Mynheer Filipie — powiedział — Bóg widzi, że uczyniłem wszystko co w mojej mocy, ale muszę ci wyznać, że mało mam nadziei, aby matka twoja mogła kiedykolwiek wstać z łóżka. Może jeszcze pożyje dzień, dwa, ale nie dłużej. To nie moja wina, Mynheer Filipie.

— Nie, to wola niebios — rzekł Filip ponuro.

— Ale zapłacisz mi?

— Tak — odparł Filip, ocknąwszy się z zadumy. Po chwili milczenia medyk znowu przemówił:

*— Czy mam przyjść jutro Mynheer Filipie? Rozumiesz, że to będzie kosztować o jednego guldena więcej. Nie ma sensu marnować pieniędzy i czasu.

— Przyjdźcie jutro, przychodźcie co godzinę, liczcie, dle chcecie, zapłacę wam — odparł Filip.

— Dobrze, niech będzie, jak sobie życzysz. Z jej śmiercią domek i meble staną się twoją własnością, a ty to sprzedasz. Tak, przyjdę. Będziesz miał kupę pieniędzy. Mynheer Filipie, chciałbym mieć prawo pierwszeństwa, jeżeli domek będzie do wynajęcia.

Filip uniósł ramię takim ruchem, jakby chciał zmiażdżyć Mynheer Pootsa, lecz ten umknął w kąt izby.

— Oczywiście nie wcześniej jak po pogrzebie — dodał Poots.

— Precz stąd, łajdaku, precz! — wybuchnął Filip, opadając na kanapę.

Po chwili wrócił do łóżka matki, którą za-

stał już w lepszym stanie, a sąsiadki, mając własne sprawy do załatwienia, poizositawiły ich samych. Wyczerpana utratą krwi, wdowa Vanderdecken drzemała przez cztery godziny, nie wypuszczając ręki Filipa, który w zamyśleniu wsłuchiwał się w jej oddech.

Była pierwsza w motey, kiedy się przebudzała. Odzyskała głos na tyle, że mogła powiedzieć do syna:

— Mój chłopcze drogi, długo już tak siedzisz przy minie jak uwiązainy?

— Z własnej woli to czynię, matko. Nie zostawię was pod niczyją opieką, dopóki nie wstaniecie i nie wyzdrowiejecie.

— Zdrowa (to już nigdy nie będę, Filipie. Ozuję, że śmierć upomina sę o mnie. Grdyby nie chodziło o ciebie, z jaką radością opuściłabym ten świat! Długo umierałam, Filipie, i od dawna modliłam się o śmierć.

— Ale czemuż to, matko? — zapytał wprosit. — Staralem się, jak mogłem.

— Staraleś się i niech ci *Bóg* za to błogosławi. Często widziałam, że hamujesz złość, że opanowujesz się wtedy, gdy gniew twój byłby uzasadniony, aby tylko nie urazić uczuć matczynych. Parę dni temu głód nie skłonił cię do nieposłuszeństwa matce. Na pewno myślałeś, Filipie, że musiałam zwariować, żeby tak długo się upierać i dotychczas ci nie wyjawić powodu. Będę mówić — zinowu — zairaz...

Obróciła głowę na poduszce i przez parę minut leżała cicho, po ozym podjęła:

— Sądzę, że bywałam czasem niespełna rozumu... prawda Filipie? Ale *Bóg* wie, że przechowywałam w sercu tajemnicę, która może doprowadzić żonę do obłędu. Mój organizm nie wytrzymał tego. Cios spadł. Ozekam już tylko, żeby móc ci wszystko powiedzieć...

a przecież nie chciałabym... podziła to na twój umysł podobnie jak na mój, Filipie.

— Matko, wyjawcie mi tę śmiertelną tajemnicę. Ozy niebo, czy też piekło jest w nią wmięszane, nie boję się. Niebiosą nie uczynią mi krzywdy, a szatanowi się oprę.

— Znam twoją odwagę, Filipie, i siłę twego charakteru. Jeśli ktokolwiek zdoła udźwignąć brzemień tej straszliwej opowieści, to właśnie tylko ty. Mój umysł był na to o wiele za słaby. Widzę, że moim obowiązkiem jest ci ją przekazać.

Przerwała,, gdyż jej myśli wróciły do tego, z czego miała się zwierzyć. Przez chwilę łzy spływały jej po policzkach. Zdawało się, że wreszcie powzięła postanowienie i odzyskała siły.

— Filipie, chcę mówić o twoim ojcu. Ludzie myślą, że utonął w (morzu.

— iWięc nie utonął,, matko? — zapytał Filip zdziwiony.

— Ach, nie!

— Ale przecież od dawna już nie żyje?

— Nie... to jest tak... a jednak nie — rzekła wdowa, przysłaniając oczy. Roizutm jej się pomieszał, pomyślał Filip, ale znowu zapytał:

— Gdzie zatem jest, matko?

Wdowa uniosła się z pościeli i drzenie przebiegło jej ciało, kiedy odpowiedziała:

— ODBYWA KARĘ BOŻĄ ZA ŻYCIA.

Znowu opadła na poduszkę i kołdrę przykryła głowę. Filip był tak oszołomiony, że nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Na chwilę zaległa cisza, po czym młodzieniec wyszeptał:

— Tajemnica... Matko, tajemnica! Powiedzcie mi szybko.

— Teraz jiuiz mogę powiedzieć wszystko — odrzekła wdowa. — Posłuchaj mnie, synku. Ojciec twójj miał usposobienie zupełnie podob-

ne do twego. Ach, gdybyż jego los mógł być dla ciebie nauką, moje dziecko kochane! Był odważnym, znakomitym marynarzem. Urodził się nie tutaj, lecz w Amsterdamie. Ale nie chciał tam mieszkać, ponieważ był katolikiem. Holendrzy, Filipie, są heretykami, podług naszej wiary. Siedemnaście lat temu ojdjplynął do Indii na swym pięknym statku „Amsterdammer” z cennym ładunkiem. Była to jego trzecia podróż do Indii i miała być, gdyby Bóg był pozwolił, ostatnia, gdyż statek ten zakupił tylko za część iswoich zarobków, a jeszcze jedna podróż miała go uczynić bogatym. Och, jakże często gawędziliśmy o tym, co będziemy robić po jego powrocie, i jak bardzo krzepiły mnie te zamierzenia wobec myśli o jego nieobecności, gdyż kochałaim go z całego serca, Filipie — był dla minie dobry i czuły! A kiedy odpłynął, jakże wyczekiwałam jego powrotu! Minęło sześć miesięcy, Filipie, a pozostawał jeszcze cały rok oczekiwania, zanim mogłam się spodziewać jego powrotu. Pewnego wieczora zasnąłeś szybko; byłeś jedyną oisłodą mojej samotności. Czuwałam nad twym spokojnym snem. Wymamrotałeś: mama! Ucałowałam twe usta i modliłam się — modliłam się o błogosławieństwo Boże dla ciebie, i dla niego również, nie wiedząc jeszcze wówczas, jak okropna, jak przerażliwa klątwa na nim ciąży.

Przerwała dla złapania tchu, po czym podjęła na nowo. Filip nie był w stanie przemówić. Wpił się, oczyma w matkę i chłonał jej słowa.

— Zeszłam do bawialni, która od tamitej nocy nigdy już nie została otwanta. Usiadłam i czytałam, gdyż wiatr był silny, a gdy wichura huczy, rzadko kiedy żona żeglarza może zasnąć. Północ minęła, lał deszcz. Poczulem strach — nie wiedziałam dlaczego. Wstałam z kanapy, umoczyłam pailce w wodzie święco-

nej i przeżegnałam się. Podmuch wichru zahuczał wokół domu i lęk mnie ogarnął. Miałam jakieś straszne przeczucie. Raptem okno i okiennice pod najporem wiatru rozwarły się do wewinałtrz, światło izgasło, ogarnęła mnie ciemność. Krzyknęłam przerażona, ale opanowałam się i podeszłam do dka, aby je zamknąć, gdy wtem — kogóż ujrzałam wchodzącego przez okno... twego ojca!

— Boże miłosierny — wymamrotał Filip.

— Nie rozumiałam, co się dzieje — był w izbie i, mimo głębokich ciemności, jego rysy były widoczne jak w biały dzień. Strach nakazywał mi cofnąć się przed nim, jego zaś upragniona obecność — rzucić się ku niemu. Zastygłam w bezruchu tam, gdzie stałam, wzruszenie ścisnęło mii gardło. Kiedy wszedł do izby, okiennice zamknęły się same i świeca zapłonęła na nowo — pomyślałam, że działała to jego obecność, i zemdlalam.

— Kiedy przyszłam do siebie, znajdowałam się na kanapce i czułam, że dłoń moja ścisła jakąś inną dłoń, zimną i ociekającą wodą. To mnie uspokoiło i zapomniałam o nadprzyrodzonych zjawiskach, jakie towarzyszyły jego pojawieniu się. Pomyślałam, że coś mu się wydarzyło i powrócił do domu. Widziałam mego ukochanego męża i rzuciłam mu się w objęcia. Jego odzież była nasiąknięta deszczem; miałam uczucie, jakbym obejmowała bryłę lodu, ale nic nie jest w stanie zmrozić miłości niewiasty, Filipie. Pieściłam go, lecz on mi się nie odwzajemniał; nie mówił nic, ale wydawał się zadumany i nieszczęśliwy. „Wiliamie” — krzyknęłam — „przemów, przemów do swojej kochanej Katarzyny!”

— „Przemówię” — odrzekł — „gdyż niewiele mi czasu porastało”.

— „Nie, nie powrócisz już riaz morze. Utraci-

les swój okręt, ale sam się uratowałeś. Czyż cię nie odzyskałam?"

— „Niestety! Nie trwóż się, tylko wysłuchaj mnie, gdyż niewiele mi już czasu pozostało. Nie utraciłem okrętu, ale zgubiłam siebie! Nie mów nic, tylko słuchaj. Nie umarłem, ale nie jestem też żywy. Błąkam się pomiędzy tym światem a światem duchów. Słuchaj minie.

Przez dziewięć tygodni próbowałem opłynąć burzliwy Przylądek, ale na próżno; przeklinałem okropnie. Przez dalszych dziewięć tygodni stawiałem żagle pod przeciwny wiatr, a mimo to nie posunąłem się ani o krok; i wtedy strasznie bluaniłem. Jednak nie ustępowałem. Załoga chciała, abym zawrócił do Zatoki Stołowej; nie zgodziłem się, mało tego — stałem się mordercą, mimo woli, a jednak mordercą. Pilot mi się przeciwstawiał i nakłonił ludzi, aby mnie związali. Kiedy mnie schwycił za kolarz, w pasji uderzyłem go. Zatonął, a gdy statek przechylił się na burzę, wypadł i utonął. Nawet ta śmierć minie nie powstrzymała i przyśiągłem na relikwie Krzyża Świętego, którą nosisz na szyi, że postawię na swoim — na przekór sztormowi, falam i piorunom, na przekór niebu lub piekłu, nawet gdybym miał tłuc się po morzu aż do dnia sądu ostatecznego.

Moje zaklęcie utoneło w gromach i potokach ognia. Huragan spadł na okręt, żagle uleciały, porwane w strzępy. Góry wody zalały nas, a pośrodku gęstej migły, która spowiła wszystko w ciemność, zaświeciły wypisane literami z sinych płomieni te słowa — AZ DO DNIA SĄDU OSTATECZNEGO.

Posłuchaj minie, Kaltarzyno, mam już niewiele czasu. Pozostaje jedna nadzieja i dla niej właśnie pozwolono mi tutaj przybyć. Weź ten list". — Położył na stole opieczątowane pismo. — „Pzeczytaj go, Kaltarzyno, i jeżeli

potrafisz — dopomóż mi. Przeczytaj. A teraz żegnaj, czas już na mnie".

— Znowu okiennice rozwarły się gwałtownie, znowu światło zgasło, a postać mego męża unioiła się w powietrze. Kiedy odpływał przez okno, rzuciłam się za nim z krzykiem szalonym, ujrzałam, jak oddalał się błyskawicznie w podmuchach wiatru, aż straciłam go z oczu, znikł. Okno się zatrasnęło, zapłonęła świeca, a ja pozostałam samotna!

— Boże litościwy! Mój roizum, Filipie! — wykrzyknęła biedna kobieta. — Nie odpuszczaj mnie, błagam, nie opuszczaj!

Tak lamentując, uniosła się na posłaniu i padła w ramiona syna. Kilka chwil pozostawała bez ruchu. Po jakimś czasie Filipa zaniepokoił jej spokój; ułożył ją na posłaniu, a kiedy to czynił, jej głowa opadła do tyłu, oczy się przewróciły. Wdowa Yaiiiderdeoken nie żyła.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy Filip Vanderdecken zdał sobie sprawę, że jego matka wyzionęła ducha, był porażony tym wstrząsem. Przez pewien czas stał obok łóżka z oczyma wlepionymi w zwłoki, z pustką w głowie. Z wolina odzyskiwał równowagę; wygładził poduszkę, zamknął matce powieki, splótł swe dłonie i lzy pociekły mu po policzkach. Z namaszczeniem złożył pocałunek na białym czole zmarłej i zaciągnął zasłonę dokoła łóżka.

— Biedna matko! — powiedział — Nareszcie znalazłaś spokój, ale synowi zostawiłaś gorzką spuściznę.

I kiedy powrócił myślami do tego, co zaszło przed chwilą, wzdrygnął się na wspomnienie opowiadania matki. Podniósł dłonie do skroni, ścisnął je z całej siły, chcąc się skupić dla podjęcia decyzji, o co czynić dalej.

Przypomniał sobie słowa matki — „Jedna tylko pozostała nadzieja”. Zatem jest nadzieja. Ojciec położył pismo na stole — czy ono jest tam teraz? Powinno być! Matka nie miała odwagi go zabrać. Nadzieja jest w tym piśmie, a leżało nie otwarte przeszło siedemnaście lat.

Postanowił przeizszukać tę izbę, dowiedzieć się najgorszego. Ozy ma to zrobić zaraz, ozy zaczekać do świtu? Ale klucz, gdzie jest klucz? Wzrok jego spoczął na japońskiej szafeczce z laki; nigdy nie widział, aby matka ją otwierała. Był to jedyny prawdopodobny schowek, o którym wiedział. Wziął świecę i począł oglądać szafeczkę. Drzwiczki się otwarły, sprawdził szufladkę po szufladce, ale nie znalazł tego, czego szukał; wszystkie były próżne. Przyszło mu na myśl, że może być jakaś skrytka, ale daremnie jej szukał. W końcu wyciągnął wszystkie szufladki, złożył je na podłodze i unosząc w górę szafeczkę, potrząsał nią. Kołatanie w jednym narożniku wskazało mu, że klucz jest tam schowany. Próbował go wydobyć, ale bezskutecznie. Światło poranka sączyło się już przez szyby, a Filip nie zaprzestawał swych wysiłków. Wreszcie postanowił odbić tylną ścianę szafeczki. Zszedł do kuchni, skąd powrócił z nożem i młotkiem. Był bardzo zajęty wyważaniem ścianki, kiedy poczuł czyjąś dłoń na ramieniu.

Wzdrygnął się; był tak zaabsorbowany poszukiwaniami i własnymi myślami, że nie usłyszał

kroków. Podniósł oczy i ujrzał wpatrującego się w niego księdza Seysena, proboszcza z miejscowej parafii. Pocziwiec dowiedział się o groźnym stanie zdrowia wdowy Vanderdecken i wstał o świcie, aby jej udzielić duchowej pociechy.

— Cóż to, mój synu — rzekł ksiądz — nie obawiasz się zakłócić spokoju matce? Czyżbyś chciał sobie coś przywłaszczyć, zanim ją złożą do grobu?

— Księżo, nie obawiam się zakłócić matce spokoju — odparł Filip — gdyż spoczywa już w pokoju wiecznym. Nie złota szukam, chociaż gdyby to było złoto, teraz już do mnie by należało. Szukłam tylko klucza, dawtno temu ukrytego w tej oto szalce, której nie umiem otworzyć.

— Twoja matka już nie żyje, powiadasz synu? I umarła bez sakramentów świętych! Dlaczego nie posłałeś po mnie?

¹— Umarła zupełnie nagle, w moich ramionach, dwie godziny temu. Nie obawiam się o jej duszę, chociaż przykro mi bardzo, księżo, że nie było was u jej boku.

Ksiądz popatrzył na zwłoki, pokropił łóżko wodą święconą i przez chwilę było widać, jak wargi jego poruszają się w modlitwie. Obrócił się do Filipa.

— Dlaczego zastaję cię przy takim zajęciu i dlaczego tak ci zależy na znalezieniu tego klucza? Śmierć matki powinna wywołać u syna łzy i modlitwę za spokój jej duszy. Tymczasem oczy masz suche i zajęty jesteś szukaniem jakiejś rzeczy nieważnej, gdy nie ostygła jeszcze powłoka cielesna, w której przed chwilą mieszkała jej dusza. Tak nie przystoi. Co to za klucz, którego szukasz?

— Nie mam czaisu na łzy ani na lamenty. Mam wiele do zrobienia i do przemyślenia,

więcej, niż rozumiem może dbając. Wiecie dobrze, księżo, że kochałem moją matkę.

— Ale ten klucz, którego szukasz, Filipie?

— To klucz do izby, która od lat nie była otwierana i którą muszę otworzyć — i otworzę, choćbym miał...

— ;.choćbyś miał?

— O mało nie powiedziałem czegoś, czego nie powinienem mówić. Wybaczcie mi, księżo. Chodzi mi o to, że muszę przeszukać tę izbę.

— Od dawna już słyszałem!, że izba ta stoi zamknięta i że twoja matka nie chce wyłuszczyć dlaczego. Wiem dobrze, gdyż sam pytałem ją o to, ale odmówiła mi odpowiedzi. Mało tego, kiedy nalegałem, spostrzegłem, że moje natręctwo wzburzyło jej umysł, więc dałem temu spokój. Jakiś wielki ciężar przytłaczał jej duszę, mój synu, ale nie chciała mi go zawierzyć. Powiedz mi, czy dowiedziałeś się od niej tej tajemnicy, zanim zmarła?

— Dowiedziałam się, wielbny księżo.

— Nie byłoby ci łatwiej, gdybyś mi się zwierzył, synu? Mógłbym ci doradzić, pomóc...

— Chciałbym móc się wam zwierzyć, księżo, i prosić o pomoc. Wiem, że nie z ciekawości chcecie się dowiedzieć, ale ze szlachetnych pobudek. Z tego jednak, co matka mówiła, nie wynika jasno, czy było naprawdę tak, jak mówiła, czy też to tylko zwiędzenia jej rozgorączkowanej wyobraźni. Gdyby to było prawdą, chętnie bym się z wami podzielił tym brzemieniem, chociaż może nie byłibyście mi za to wdzięczni, księżo. Ale nie — nie teraz jeszcze — nie powinienem, nie mogę tego wyjawiać. Muszę wykonać, co do mnie należy, muszę wejść sam do tej okropnej izby.

— Nie boisz się?

— Nie boję się niczego. Muszę spełnić mój obowiązek, straszny obowiązek, przyznaję. Ale

nie pytajcie więcej, gdyż, podobnie jak mojja maitka, czuję, że od sondowania tej rany miesza mi się w głowie.

— Nie będę cię dłużej męczyć, Filipie. Może nadejdzie jeszcze czas, kiedy będę mógł być ci pomocny. Żegnaj. Proszę cię, przerwij tę robotę, gdyż muszę przysłać sąsiadki, aby spełniły posługę przy zmarłej, której dusza, ufajmy, połączyła się z Bogiem.

Ksiądz spojrział na Filipa; zauważył, że młodzieniec myślami jest gdzie indziej i na twarzy jego mailował; się wyraz otępienia. Idąc ku wyjściu, pocziwiec pokiwał głową.

Ma rację, pomyślał Filip, kiedy został saim. Podniósł szafeczkę i umieścił ją z powrotem na podstawie. Parę godzin później, co za różnica? Położę się, w głowie mi się kręci.

Wszedł do przyległej izby, rzucił się na swoje łóżko i po chwili usnął.

Kiedy spał, przyszły sąsiadki i przygotowały wszystko do pochówku wdowy. Przyszedł również Mynheer Poots; dowiedział się o jej śmierci, ale pomyślał, że mimo to może wstąpić, gdyż zwiększy to jego honorarium o jeszcze jednego guldena. Wszedł do izby, gdzie spoczywało ciało, a następnie do sypialni Filipa; potrząsnął go za ramię.

Filip się obudził i spostrzegł stojącego obok medyka.

— No cóż, Mynheer Vanderdecken — zaga-
dał ten człowiek bez serca — już po wszystkim. Wiedziałem, że tak będzie. I przypominam, że jesteś mi teraz winien jeszcze jednego guldena, przyrzekłeś zapłacić. Wszystko razem, łącznie z lektanstwem, wyniesie trzy i pół guldena... pod warunkiem, że zwrócisz mi flaszczkę.

Filip, który ocknął się z zamętem w głowie, oprzytomniał w czasie tej rozmowy.

— Będziecie mieli swoje tazy i pół guldena, i flaszeozlkę na dodatek, parnie Poots — odpowiedział.

— Tak, wiem, że zamierzasz mi zapłacić... jeżeli będziesz mógł. Ale posłuchaj, Mynheer Filipie, to może potrwać jaikiś czas, zanim sprzedasz domek. Możesz nie znaleźć nabywcy. Hm, nigdy nie chcę za bardzo przyciskać ludzi, którym brak pieniędzy, więc powiem ci, co zrobię. Twoja małka ma coś na szyi. To jest bez wartości, chyba tylko dla gorliwego katolika. Żeby ci pomóc w twoich kłopotach pieniężnych, wezmę sobie tan drobiazg i będziemy kwita. W ten sposób spłacisz mi moją należność i sprawa skończona.

Filip słuchał, wiedział, o .ym ten łajdak mówi — o relikwii na szyi maitki, tej relikwii, na którą jego ojciec złożył swą nieszczęsną przysięgę. Czuł, że nie rozstałby się z nią za milion guldenów.

— Wynoście się z tego doimu — odpowiedział — wynoście się natychmiast. Wasza należność będzie zapłacona.

Otóż Mynheer Poots przede wszystkim ocenił, że złota oprawa relikwii jest wana więcej niż naleana miu kwota; wiedział, że za samą relikwię zapłacono drogo, a ponieważ w tamtych czasach taką relikwię uważano za coś bardzo cennego, nie wątpił, że osiągnie za nią poważną sumę. Skuszony jej widokiem, kiedy zinailał się w izbie zmarłej, ściągnął ją z szyi wdowy i schował na piersi. Odrzekł więc:

— Moja propozycja jest korzystna, Mynheer Filipie, i powinienes ją pPzyjąć. Na co ci się przyda talka lichota?

— Mówię wam, że nie — brzykinał Filip z wściekłością.

— Doibnie, pozostanie zatem w moim posiadaniu do czasu, kiedy otrzymam swoją należ-

ność, Mynheer Vanderdecken — tak będzie uczciwie. Jak tylko mi przyniesiesz trzy i pół gaildema, i moją flaszeczkę, zwrócę ci to.

Oburzenie Filipa nie miało granic. Chwycił Mynheer Pootsa i wyrzucił go za drzwi.

— Precz natychmiast — wrzasnął — albo ha...

Nie miał możliwości dokończyć przekleństwa. Medyk umykał w taikim popłochu, że spadł ze schodów i kuśtykał teraiz przez mostek. Wolałby już nie mieć przy sobie tej relikwii, ale nagła ucieczka nie podważyła mu włożyć jej z powrotem na szyję zmarłej, jeżeli istotnie był skłoniny to uczynić.

Rozmowa ta zwróciła myśli Filipa ku relikwii; udał się do matczynej izby, aby ją stamtąd zabrać. Rozsuwał zasłony — ciało było już ubrane do trumny — i wyciągnął rękę, aby odwiązać wstążeczkę. Nie było jej. „Znikła!” — wykrzyknął Filip. — „Wątpię, aby one ją zdjęły — nigdy by tego nie zrobiły. To musiał być ten podły Poots! Ale odzyskam ją, nawet gdyby ją połknął, rozedrę go na sztuki!”

Wypadł z domu bez kaftana i kapelusza i pognął w kierunku posiadłości medyka. Sąsiedzi widzieli, jak pędził niby wicher. Dziwili się i kiiwiali gławaimi. Mynheer Poots znajdował się nie dalej niż w połowie drogi do swego domu, gdyż stłukł sobie kostkę. Borjąc się tego-, co mogłoby nastąpić, gdyby jego kradzież została odkryta, oglądał się za siebie. Z przerażeniem spostrzegł w pewnej odległości Filipa sadzącego w pogoni za nim. Wystraszony prawie do nieprzytomności, złodziejasek nie bardzo wiedział, co począć; pierwszą jego myślą było oddać skradziony przedmiot, ale powstrzymywał go strach przed gwałtownością Vanderdeckena. Postanowił więc wziąć nogi za pas, marząc nadzieję, że dobiegnie do swego domu

i zabarykaduje się, dzięki czemu uda mu się zatrzymać w swym posiadaniu to, co skradł, albo też, zanim to zwróci, dojść do jakiegoś porozumienia.

Musiał biec bardzo prędko i biegł prędko. Ale Filip, przekonany, że Poofts jest winowajcą, podwoił wysiłek i zbliżał się szybko do uciekającego. O sto jardów od drzwi swego domu Mynheer Poots usłyszał kroki doganiającego go Filipa i w udęcie strachu skoczył naprzód. Kroki zbliżały się coraz bardziej, słyszał już oddech swego prześladowcy. Poots wrzasnął z przerażenia. Filip był od niego o niecały jard, już wyciągnął rękę, kiedy nagle łotr upadł na ziemię, sparaliżowany strachem. Vanderdetcken miał talki ro2^f ^1, że przeleciał nad ciałem Pootsa, potknął się i, usiłując odzyskać równowagę, przekoziółkował parę razy. To uratowało medyka. W jednej sekundzie stanął na nogi i zanim Filip zdołał się znowu rozpędzić, Poots dopadł drzwi i zaryglował je od wewnątrz.

Filip był zdecydowany odzyskać swój skarb. Z trudem chwytając ustami powietrze, rozglądał się dookoła i szukał sposobu wdarcia się do domu. Ponieważ jedynym dom medyka stał na odludziu, podjęto wszelkie środki ostrożności w celu zabezpieczenia go przed rozbojem; okna były opatrzone mocnymi kratami.

Mynheer Podts miał dużą praktykę lekarską; miał też ustaloną reputację łotra o sercu z kamienia. Nikomu nie było wolno przestąpić progu jego domu, nikt też nie miał na to ochoty. Nikt nie wiedział, kto mieszka z nim razem. Kiedy się osiedlił w tej okolicy, sirtara kobieta otwierała drzwi pukającym, którzy potrzebowali pomocy medyka; pochowano ją jednak jakiś czas temu i od tej pory Mynheer Poots, jeśli był w domu, osobiście odpowiadał

na wszystkie wezwania zza zamkniętych drzwi, a jeżeli go nie było, wezwania pozostawały bez odpowiedzi. Domyślano się, że staruch mieszka samotnie, zbyt skąpy, aby opłacać jakąś pomoc.

Filip rozmyślał o tym wszystkim i, jak tylko złapał oddech, zaczął układać plan działania, dzięki któremu mógłby nie tylko odzyskać skradzioną pamiątkę, ale również zemścić się okrutnie.

Odczekał jeszcze kilka minut, aby się dobrze zastanowić; w tym czasie jego złość ostygła i doszedł do wniosku, że wystarczy odzyskać relikwię bez uciekania się do gwałtu. Zawołał więc:

— 'Mynheer Poots, wiem, że mnie słyszycie. Zwróćcie mi to, coście zabrali, a ja nie zrobię wam krzywdy. Ale jeśli tego nie uczynicie, będziecie musieli ponieść skutki i zanim stąd odejdę, zapłacicie mi za to życiem.

Mynheer Poots słyszał doskonale tę przemowę, ale strach już opuścił łajdaka, a czując się bezpieczny, nie mógł się zdecydować na oddanie relikwii bez walki. Nie odpowiadał, mając nadzieję, że cierpliwość Filipa się wyczerpie i w drodze jakiejś ugody, na przykład odżałowania kilku guldenów, co nie byłoby drobnostką dla kogoś pozostającego w takiej biedzie jak Filip, będzie mógł osiąść to, co z pewnością uda mu się sprzedać za wysoką cenę.

Wobec braku odpowiedzi, Vanderdecken zaklął paskudnie i postanowił użyć środków bardzo zdecydowanych.

Opodal domu stał napoozejty stóg siana, a pod murem — stos drewna. Vanderdecken postanowił użyć tego do podpalenia domu i w ten sposób, jeżeli nawet nie odzyska relikwii, przynajmniej dokona zemsty. Przyniósł kilka narzędzy siana i złożył je pod drziwiatni domu,

a na wierzchu układał jedne na drugich wiązki chrustu i polarna, dopóki nie zasłoniły drzwi. Skrzesał ogień za pomocą krzesiwa i hubki, które każdy Holender nosił w kieszeni, i wnet płomienie objęły stos. Ogień szalał, dym się unosił pionowo ku krokwiom dachu. Drzwi się zajęły, podsycając gwałtowność płomieni, a Filip wykrzykiwał z radości, że jego wysiłki zostały uwieńczone takim rezultatem.

— No co, ty obdzierco' trupów, ty nędzny złodziejaszku, teraz poczujesz moją zemstę. Jeżeli zostaniesz w domu, zginiesz w płomieniach, a jeśli spróbujesz wyjść, zginiesz z mojej ręki. Słyszycie minie, Mynheer Poots?

Ledwo Filip skończył tę promowę, otwarło się raptownie okno na piętrze, położone najdalej od płonących drzwi.

— Aha, zaczytnasz prosić i błagać, ale nie... — krzyczał Filip.

(Witem przerwał, gdyż w oknie zobaczył coś, co zdawało się przywidzeniem. Zamiast tamtego przekłętego łotra ujrzał jedno z najwdziękozniejszych zjawisk, jakie kiedykolwiek natura raczyła stworzyć — anielską istotę w wieku szesnastu lub siedemnastu lat, która ukazała się odwalanie pośrodku grożącego jej niebezpieczeństwa. Ozame włosy zwinięte wokół głowy, bardzo ciemne, ale łagodne oczy, wysokie, białe czoło, dołeczek w brodzie, rubinowe wargi o subtelnym rysunku, mały nos. Nie można było sobie wyobrazić urodziwszej twarzyczki; przypominała to, co niekiedy najlepszym malarzom udawało się odtworzyć w chwili natchnienia, gdy pragnęli przedstawić piękną świętą. A w bliskości ruchliwych języków ognia i buchającego dymu, który niósł się kłębam aż pod jej okno, swoim spokojnym zachowaniem mogła przypominać męczennicę na stosie.

— Czego chcesz, szalony młodzieńcze? Dlaczego mieszkańcy tego domu mają ponieść śmierć z twojej ręki? — zawołała dziewczę.

Płizez parę sekund Filip nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Witem pomyślał, że chcąc wyrzucić zemstę, omal nie poświęcił jej w ofierze takiego cudownego stworzenia. Zapomniał w jednej chwili o wszystkim, pomny tylko niebezpieczeństwa, i chwyciwszy jedną z tyk, które przyniósł dla podsycenia ognia, rozrzucał nią płonący stos na wszystkie strony tak długo, aż nic już nie mogło zagrażać budynkowi, z wyjątkiem palących się drzwi, które do tej pory niewiele ucierpiały, gdyż były zrobione z dębowych desek. Szybko je ugasił, rzucając w nie pecynami ziemi. W czasie tych poczynań Filipa dziewczyna przyglądała mu się w milczeniu.

— Teraz już nic nie grozi, panienko — rzekł Filip. — Niech mi Bóg wybaczy, że narażałem iia niebezpieczeństwo życie takiej cudnej istoty. Chciałem się tylko zemścić na Mynheer Pootsie.

— A jakież powód mógł dać Mynheer Poots do tak straszliwej zemsty? — zapytała spokojnie dziewczynia.

— Jialki powód? Przyszedł do mego domu i ograbił zmarłą, zabrał bezcenną relikwię z ciała mojej matki.

— Ograbił: zmarłą! Jestem pewna, że nie mógł tego uczynić. Krzywdzisz go, młody panie.

— Nie. Tak było rzeczywiście. A co do relikwii — proszę mi wybaczyć — ale muszę ją mieć. Nie wiesz, panienko, jak wiele od niej zależy.

— Zaezetoaj, młody panie — odparła dziewczynia. — Zaraz wrócę.

Filip czekał kilka minut, gubiąc się w do-

mysłach. Tafcie przepięknie stworzenie w domu Mynheer Pootsa! Kim moigła być? Gdy taik rozmyślał, doleciał go znowu głos obiektu jego marzeń; wychylając się z okna, dziewczę trzymało w ręku czarną wstążeczkę, na której wisiał tak gorąco pożądany przez niego przedmiot.

— Oto twoja relikwia — rzekła młodziutka niewiasta. — Przykro mi, że mój ojciec popełnił czyn, który w pełni usprawiedliwia twój gniew. Ale oto ona — ciągnęła, upuszczając pamiątkę na ziemię obok Filipa — a teraz możesz odejść.

— Twój ojciec, pani! Gzyż on mógłby być twoim ojcem? — zawołał Filip.

Byłaby odstąpiła od okna bez jednego słowa, gdyby Filip nie zaczął na nowo.

— Zatrzymaj się, pani, na jedną chwilę, niech cię poproszę o przebaczenie za mój szalony czyn. Przysięgam na tę świętą relikwię — mówił, podnosząc ją z ziemi — że gdybym wiedział, iż jakaś Bogu ducha wirina osoba znajduje się w domu, nie uczyniłbym tego, i cieszę się, że nic złego się nie stało. Ale niebezpieczeństwo grozi nadal. Trzeba odryglować drzwi i ugasić tłajce się ościeża, bo inaczej dom może jednak spłonąć. O ojca proszę się nie obawiać, pani, gdyż nawet gdyby wyrządził mi stokroć większą krzywdę, ty ochronisz każdy włos na jego głowie. Zna mnie dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, że dotrzymuję słowa. Pożłwól mi naprawić szkody, jakie wyrządziłem, potem odejdę.

— Nie, nie wierz mu — zawołał Mynheer Pootts.

— Owszem, można mu wierzyć — odparła córka. — A jego pomiec jest nam potrzebna, cóż bowiem w taikich kłopotach potrafi zdziałać słaba dziewczyna, jak ja, i jeszcze słabszy

ojciec? Otwórzcie drzwi, ojcie, i pozwólcie mi zabezpieczyć dom. — Po czym zwróciła się do Filipa: — On otworzy drzwi, panie, i będę ci wdzięczna za łaskawą pomoc. Ufam twojej obietnicy.

— Jeszcze niikt nie słyżał, abym złamał słowo, panienko — odparł Filip. — Ale powiedz mi, żeby się pospieszył, gdyż płomienie wybuchają na nowo.

Mynheer Poots otworzył drzwi i wycofał się po schodach na górę. Prawdziwość słów Filipa była aż nadto widoczna. Wiele wiader wody musiał przynieść, zanim udało mu się opanować ogień. W czasie tych zabiegów ani córka, ani ojciec się nie pokazywali.

Kiedy niebezpieczeństwo zostało zażegnane, Filip zamknął drzwi i znowu spojrzął ku oknu. Piękna dziewczyna pokazała mu się, a on ją zapewnił, że- nic już nie *grozi*.

— Dziękuję ci, panie, dziękuję bardzo. To było bardzo uprzejmie z twojej strony.

— Zapewnij, panienko, twego ojca, że złość do niego już we minie wygasła i że za parę dni ureguluję to, czego ode minie żąda.

Okno się zanięło. Filip patrzył w nie jeszcze przez chwilę, po czym zawrócił na pięcie i poszedł w kierunku siwego doimu.

ROZDZIAŁ 3

Odkrycie pięknej córki Mynheer Poiotsa wywarło silne wrażenie na Filipie Vanderdecke- nie i oto miał nowy powód do wzruszeń obok

tych, które już przepelniały mu serce. Wrócił do domu, Wszedł na górę i rzucił się na łóżko, z którego go był wyrwał Mynheer Poots. Poczajtkowo przywoływał na pamięć opisane wyżej zdarzenia, odtwarzał w wyobraźni postać pięknej dziewczyny, jej oczy, wyraz twarzy, srebrzysty głos i słowa, jaik*e wypowiadała. Ale wtnet czarowiny ten obra. pierzchl wobec przypomnienia, że ciało jego matki leży w przyległej izbie i że ojcowska tajemnica kryje się w pokoju na dole.

Pogrzeb miał się odbyć następnego dnia rano, więc Filip, któremu od czasu kiedy poznał córkę Mynheer Pootsa jak gdyby już nie zależało tak bardzo na natychmiastowym przeszkaniu tego pokajai, postanowił otworzyć go dopiero po uroczystościach pogrzebowych. Z tym postanowieniem usnął, a że był wyczerpany fizycznie i nerwowo, obudził się dopiero nazajutrz rano, kiedy ksiądz wezwał go na obrzędy pogrzebowe. W godzinę było po wszystkim. Tłum się rozszedł. Filip, wróciwszy do domku, zamknął drzwi na klucz, aby mu nikt nie przeszkadzał, i rad był, że jest sam.

Wszedł do izby, gdzie przed godziną leżała jego matka, i doznał uczucia ulgi. Zdjął szafę i wziął się znów do roboty. Wnet odbił tylną ściankę i dojrzał sekretną szufladkę; wyciągnął ją. Był w niej duży klucz pokryty rdzą, która opadała za dotknięciem ręki. Pod kluczem leżał jakiś papier. Pismo było na nim wyblakłe, ale rozpoznał rękę matki. Ozytał:

„Już dwie noce minęły od tego okropnego zdarzenia, które skłoniło mnie do zamknięcia izby na dole, a głowa pęka mi z przerażenia. Choćbym za życia nie wyjawiała tego, co zaszło, klucz ten będzie potrzebny, gdyż z chwilą mej śmierci izba zostanie otwarta. Kiedy z niej wybiegłam, popędziłam na górę i przesiadzia-

łam tę noc przy dziecku. Nazajutrz rano zdobyłam się na tyle odwagi, aby zejść na dół, przekręcić klucz w zamku i zabrać go do swojej sypialni. Teraz tamta izba pozostanie zamknięta aż do chwili, kiedy śmierć zaimknie mi oczy. Żadna bieda nie zmusi mnie do jej otwarcia, chociaż w żelaznym schowku w dolnej szafce senwantki stojącej dalej od oikina znajduje się dosyć pieniędzy na zaspokojenie wszystkich moich potrzeb. Pieniądze te zostaną tam dla mojego dziecka, które, jeśli nie wyjawię tajemnicy, powinno się zadowolić przeświadczeniem, że jest ona z tych, jakie lepiej przemilczeć, tak strasznie, że skłoniła mnie do podjęcia tego kroku. Wydaje mi się, że kiedy wychodziłam z tej izby, kluczyki od szafek i serwantek leżały na stole albo w moim pudełku z robótkami. Na stole leży list, przynajmniej tak mi się zdaje. Jest zapieczętowany. Niech pieczęć przełamie tylko mój syn, i to pod warunkiem, że będzie znać tajemnicę. Niech list zostanie spalony przez księdza, gdyż ciąży na nim klątwa. A jeśli mój syn będzie wiedzieć to wszystko, co ja wiem — och, niech się dobrze zastanowi, zanim przełamie pieczęć, gdyż byłoby lepiej, żeby nic więcej nie wiedział!"

Żeby nic więcej nie wiedział! — myślał Filip wpatrując się w pismo. Tak, ale ja muszę i będę wiedzieć więcej! Przebaczcie mi zatem, najdroższa matko, że nie będę marnować czasu na zastanawianie się. Dla kogoś tak zdecydowanego jak ja byłoby to tylko stratą czasu.

Filip przycisnął do ust podpils matki, złożył papier i wsunął go do kieszeni. Wziął klucz i zszedł na dół.

Było południe, gdy Filip schodził, aby otworzyć izbę; słońce świeciło jasno, niebo było

czyste i wszystko dookoła tchoajb radością. Ponieważ frontowe drzwi doraL***' były zamknięte, niewiele światła wpadało do sieni, kiedy wkładał klucz do zaimka, od dawna zamkniętych drzwi i przekreślał go z pewną trudnością. Byłoby przesadą (twierdzić, że kiedy pchnął drzwi, nie odczuwał lęku. Czuł lęk i serce biło mu mocno. Ale odczuwał również aż za mocną determinację przewycięzenia tego lęku i jeszcze czegoś więcej, gdyby coś więcej powstało na widok tego, co miał ujrzeć. Otworzył drzwi, ale nie wszedł do izby. Zatrzymał się tam, gdzie stał, gdyż doznawał wrażenia, że się wdziera do schronienia bezcieleśnej istoty i że ta istota mogłaby się na nowo ukazać. Odczekał chwilę, bo zadyszał się otwierając z wysiłkiem drzwi. Gdy się uspokoił, zajrzał do¹ środka.

Zaledwie mógł odróżnić przedmioty znajdujące się w izbie, ale przez okiennice wpadały trzy smugi światła słonecznego i przecinały izbę; ma ich widok cofnął się odruchowo, jakby przed czymś nadprzyrodzonym, lecz moment zastanowienia pozwolił mu się uspokoić.

Po chwili udał się do kuchni, izapalił świecę i, westchnąwszy głęboko, zebrał się w sobie i poszedł do tej fataillnej izby. Najpierw zatrzymał się na progu i rozejrzał się dookoła. Wszystko stało spokojnie na swoim miejscu, a stół, na którym pozostał list, był niewidoczny, gdyż znajdował się za otwartymi drzwiami. Trzeba to przecie zrobić, pomyślał Filip. Czemużby nie zaraz? — monologował zbierając całą swoją odwagę. Wszedł do izby i zbliżył się do okna, aby otworzyć okiennice. Nie dziwmy się, że ręka mu zadrżała, kiedy sobie przypomniał, jakim nadnaturalnym sposobem zostały one otwarte ostatnim razem. Jesteśmy tylko ludźmi i wzdramy się przed zetknięciem z

wszystkim, co nie jest iz tego świata. Kiedy odemknął okiennice i irozjchylił je na boki, izbę zalał taki jaskrawy potok światła, że oślepił Filipa. Dziwna irzecz, światło pięknego dnia zachwiało jego postanowieniem bardziej, niż to przed chwilą (uczyniły ciemności. (Wycofał się do kuchni, iaby na nowo zebrać siły; pozostawał tam kilka (minut z 'twarzą ukrytą w dłoniach, zamyślony głęboko.

Ciekawe, że (jego rozmyślania nawróciły w końcu do ślicznej córki Mynheer Pootsa i do sceny, kiedy się ukazała w oknie. Zdawało mu się, że potok światła, przed lktórym cofnął się przed chwilą, nie uczynił na nim silniejszego wrażenia niż czarująca (sylwetka dziewczyny w tamtym oknie. Błądząc myślami wokół tego cudnego izrjawiska, nabierał jalkby pewności siebie. Wstał i (Wszedł do izby.

Miała mniej więcej dwanaście stóp na dwa-
naście i jedno okno. Na wprost drzwi był ko-
minek, a po każdej jego stronie stała serwant-
ka z ciemnego drzewa. Podłoga nie była brud-
na, choć w kątach sufitu ciemniały pajęczy-
ny; pośrodku wisiała Ikuia powleczone rtęcią,
lecz większa część jej powierzchni straciła już
połysk, zasnuta pajęczyną. Nad kominkiem wi-
siało na ścianie parę oprawionych sztychów,
ale pleśń upstrzyła szkło, tak że trudno było
coś dojrzeć. Na gzymsie kominka stała pośrod-
ku srebrna figurka Maitki Bożej w kapliczce
z tego samego metalu, który jednak tak zma-
towił, że (wyglądał na żelazo. Po bokach stało
kilka posążków indyjskich. Oszklone drzwi ser-
wantek obok kominka tak zmętniały, że prai-
wie nie można było rozróżnić, co jest w środ-
ku. Nagrzane pofrietrze wpuszczone do izby
wchłaniało wilgoć nagromadzoną tu przez la-
ta, tworząc mgielkę, 'która oblepiała zakurzo-
ne szyby. Można było jednatk dostrzec lśnie-

nie srebrnych naczyń, gdyż oszklone drzwi uchroniły je przed szernieniem, chociaż blask ich się przyćmił.

Na ścianie naprzeciw okna także wisiały sztychy oraz dwie klatki ma ptaki. Filip zajrzał do nich. Ich mieszkańcy od dawna już nie żyli, ale na dnie każdej klatki leżała kupka żółtych piórek, wśród których widać było białe kosteczki. Piórka wskazywały na to, że ptaszki sprowadzono iz Wysp Kanaryjskich.

Filip jak gdyby chciał wszystko obejrzyć, zanim zobaczy to, czego się lękał najbardziej. W izbie stało kilka krzeseł, na jednym z nich leżało trochę bielizny; wziął ją do ręki. Musiała należeć do niego, gdy był dzieckiem. W końcu obrócił wznak na Ścianę, której się jeszcze nie przyglądał, a w której mieściły się drzwi. Za ich otwartym (skrzydłem powinien znaleźć stół, kanapę, pudełko do robót i ten FATALNY LIST. Kiedy obchodził drzwi, serce, które już się uspokoiło, znowu zaczęło bić modniej. Zdobył się jednak na wysiłek i przeszło mu to. Najpierw przyjrzał się ścianie, na której wisiały szable i pistolety, ale głównie azjatyckie łuki i strzały. Oraz inne narzędzia śmierci. Potem opuścił wzrok na stół i na kanapkę za stołem, gdzie, jak twierdziła matka, siedziała ona w momencie, kiedy ojciec objawił się jej w tak straszliwy sposób. Pudełko do robót z wszystkimi przyborami leżało ha stole tak, jak je zostawiła. Leżały też kluczyki, o których wspominała. Ale — Filip spojrział raz jeszcze — listu nie było. Zbliżył się, przyglądał się uważnie — nie mógł dostrzec listu ani na kanapce, ani na stole, ani na podłodze. Podniósł pudełko z robotkami, aby się przekonać, czy list nie leży pod nim, ale nie. Przejrzał dokładnie zawartość pudełka, ale tam też nie było listu. Poczł się itafc, jakby mu

zdjęto ciężar iz piersi. Na pewno więc, pomyślał, było (to zwidzenie podniecone -wyobrażni. iMatka musiała zasnąć i przyśniła jej się ta straszna historia. Musiało być tak, jak przypuszczam: sen przypominający do złudzenia straszliwą jawę naruszył (równowagę umysłową matki. Jeszcze raz zastanowił się nad tym i irad był, że jego przypuszczenia się potwierdzają.

Tak, moja droga mamó, musiało tak być. Jakże bardzo cierpiałaś! Ale teraz (jesteś wynagrodzona, jesteś już u Boga.

Po paru chwilach wyjął z kieszeni kartkę znaną irazem z kluczem i przeczytał ją jeszcze raz.

„Żelazny schowek -w dolnej szafce serwahtki stojącej dalej od okna". No, dobrze. Wziął ze stołu 'kluczyki i wkrótce dopasował jeden z nich do drewnianych drzwiczek (kryjących schowek. Następny z pęku kluczy otworzył żelazne drzwiczki i oto Filip znalazł się w posiadaniu poważnej sumy pieniędzy, wynoszącej dziesięć tysięcy guldenów w złotych woreczkach. Mbja biedna matko! I pomyśleć, że senne widzenie tak cię wystraszyło, że posiadając całe to bogactwo skazałaś się na biedę i niedostatek. Wziąwszy z jednego, na pół opróżnionego woreczka parę monet na drobne wydaltiki, Filip odłożył resztę na miejsce i zamknął na klucz dolną szafkę. Następnie przyciągnęły jego uwagę górne szafki serwantek, które otworzył jednym iz kluczy. Znalazł w nich porcelanę, srebrne dzbany i dużej wartości puchary. Zamknął szafki i irzucił pęk kluczy ina stół.

Posiadanie talk wielkiego bogactwa w połączeniu iz przeświadczeniem, do którego Filip doszedł, że nie było żadnego nadprzyrodzonego zjawiska, jak to się zdawało jego martce,

podniosło go na duchu i uspokoiło. Poczł odprężenie podobne niemal do wesołości. Usiadł na kanapce i pogrążył się w marzeniach, powracając myślą do uroczej córki Mymheer Pootsa i budując różne żarniki ma lodzie. W tym błogim nastroju przesiedział ponad dwie godziny, izanitn iznowu przypomniał sobie swoją biedną matkę i jej śmierć.

— Najukochańsza mamó — powiedział głośno, unosząc się z półleżącej pozycji — siedziałś tutaj zmęczona czuwaniem nad moim niemowlęcym snem, rozmyślając o moim nieobecnym ojcu i igriożących mu niebezpieczeństwach, dręcząc się złymi imyślani i przeczuciami nieszczęścia, aż w końcu we śnie ujrzałaś tę zjawę. Tak, musiało talk być, gdyż oto na podłodze leży haft, który wypadł ci z rąk, a razem z tą robótką znikło szczęście z twojego życia. Kochana matko — mówił dalej — jak bardzo cierpiałaś, kiedy... wielki Boże! — wykrzyknął nagle, podnosząc haft, cofając się gwałtownie i przewracając stół. — Boże miłosierny... jest! — Załamał ręce i pochyliwszy głowę wymamrotał trwożnie: — Jest list!

Było tak istotnie — pod haftem leżał na podłodze nieszczęsny list Vanderdeckena, Gdyby Filip zobaczył go na stole od razu, jak tylko wszedł do izby, kiedy był na to przygotowany, wziąłby go ze spokojem. Znalezienie go jednak dopiero teraz, kiedy doszedł do przekonania, że 'wszystko to było tylko złudzeniem jego matki, kiedy już uznał za pewne, że nie działała tu żadna siła nadprzyrodzona, i pofolgował swej fantazji tworząc wizję spokojnej, szczęśliwej przyszłości — było wstrząsem, który go przygwoździł do miejsca. Jeszcze przez pewien czas stał bez ruchu, osłupiały i wystraszony. Rozwiały się wizje szczęścia, utkane w ciągu ostatnich dwóch godzin,

a kiedy lejk go opuścił, serce wypełniło mu się niedobrym przeczuciem. Wreszcie chwycił list i wypadł z fatalnej izby.

— Nie odważę się przeczytać go tutaj — zawołał. — Nie, ten list trzeba przeczytać pod sklepieniem (niebios).

Wziął kapelusz i wyszedł z domu. Zamknął drzwi na klucz, zabrał klucz z sobą i, ogarnięty rozpaczą, ruszył przed siebie nie wiedząc, dokąd idzie.

ROZDZIAŁ 4

Jeśli czytelnik potrafi sobie wyobrazić uczucia człowieka skazanego na karę śmierci i już pogodzonego ze swym losem, który nieoczekiwanie dowiaduje się o odroczeniu egzekucji, który, uspokoiwszy się po podnieceniu wywołanym odżyciem już porzuconych Sadziei, znowu snuje plany przyszłości i z góry się nią raduje — powiadamy, jeśli czytelnik potrafi to sobie wyobrazić oraz to, co odczuwałby ten człowiek, gdyby go powiadomiono, że odroczenie egzekucji zostało odwołane i że oczekuje go śmierć — to może będzie miał pojęcie o stanie umysłu Filipa w chwili, gdy opuszczał swój domek.

Długo szedł bez żadnego określonego kierunku, z listem w ręku, z zaciśniętymi zębami. Powoli się uspokajał. Zadyszany od szybkiego marszu przysiadł ma stoku jakiegoś wzniesienia i siedział tam z oczami wlepionymi w ten

straszny list, przytrzymując go obu rękami na kolainach.

Odwrócił kopertę; pieczęć była czaima. Westchnął. Nie anogę teraz (tego przeczytać, pomyślał i cna mowo podjął wędrówkę bez celu.

Chodził talk jeszcze pół godziny, gdy słońce zaczęło się chylić ku izachodowi. Wpatrywał się w nie italk długo, aż wzrok imu się zaćmił. Można by sobie wyobrazić, że ito oko Boga, pomyślał, i możliwe, iże talk Sjest naprawdę. Czemuż, Boże litościwy, wybrałeś spośród wielu milionów ludzi właśnie mnie do spełnienia tak strasznego izadaraa?

Rozejrzał się dookoła szukając miejsca, gdzie by mógł złamać ipieczęć i odczytać to posłanie ze świata duchów. Niedaleko, ina skraju lasku, ciągnął się pas gęstych .zarośli. Poszedł tam i usiadł w 'takim miejscu, aby go nie mogli dojrzyć przechodnie. Popatrzył na staczające się po iniebie słońce i ogarnął go spokój.

— To twoja iwola —wykrzyknął — a moja dola, obie muszą się spełnić.

Dotknął pieczęci i dreszcz go przeniknął, kiedy sobie przypomniał, że ten list nie był doręczony przez żywego człowieka i że izaiwierra tajemnicę kogoś, kto istanął przed sadem ostatecznym. Przypominał sobie, że tym kimś jest jego ojciec. Wspomniął również, że jedynie w tym liście spoczywa nadzieja dla jego nieszczęśliwego ojca, którego pamięć nauczo-no go kochać i który błagał go o pomoc.

— Co za tchórz iże minie, żeby stracić tyle godzin! — zawołał Filip. — Słońce jakby umyślnie czeka ma sączycie wagórza, aby mi użyczyć światła do czytania.

Zamyślił się chwilę. Był już znowu odważnym Vandecrdeckenem. Spokojnie złamał pieczęć z inicjałami ojca i czytał:

Do Katarzyny.

Jednemu iz tych (litościwych duchów, które wylewają łzy nad występkami ludzi, pozwolono, aby mi powiedział, w jaki jedyny sposób można byłoby odwrócić ode mnie ten straszliwy los.

Gdybym tylko mógł dostać na pokładzie mego okrętu świętą relikwię, na którą złożyłem tę nieszczęsną przysięgę, gdybym mógł ją ucałować z całą pokorą i uрониć na święte drzewo jedną łzę głębokiej skruchy, wówczas może dostąpiłbym pokoju (wiecznego).

Jak można by tego dokonać, (kto się podejmie tak śmiertelnego zadania, Inie wiem. Och, Katarzyno, mamy przecież syna, aile — nie, nie wspominaj mu o imnde. Módl się za minie, a teraz — żegnaj.

W. Vanderdecken".

A więc to prawda, i najstraszliwsza prawda, pomyślał Filip, mój ojciec odbywa KARĘ BOŻĄ ZA ŻYCIA. I wskazuje ma mnie — na kogoż miałby wskazywać? Gdzież nie jestem jego synem, czyż nie jest to moją powinnością?

— Tak, ojcie — iwy krzyknął padając na kolana — nie na próżno napisałeś te słowa. Muszę ije jeszcze oraz odczytać.

Podniósł rękę, ale choć imu się zdawało, że trzymał w niej list, była pusta. Spojrzał na trawę, żeby sprawdzić, czy tam nie upadł, ale listu nie było. Znikł. Czyżby to było zwidzenie? Nie, czytał przecież słowo po słowie.

— A zatem posłanie to było przeznaczone dla imnie. Przyjmuję tein znak.

— Słuchaj minie, ojcie, słuchaj syna, który na tę świętą relikwię przysięga, że odwróci od ciebie straszną karę albo zginie. Temu poświęci swe życie, a ispełniwszy powinność, umrze spokojnie i z ufnością. Boże, któryś usłyszał przysięgę mego ojca, usłysz przysięgę syna,

złożoną na to samo drzewo Krzyża Świętego. A gdybym miał ,nie dotrzymać przysięgi, niechaj mnie spotka kara okrutniejsza niż ta, jaka spotkała jego! Usłysz ją, Boże, albowiem wierzę, iż ostatecznie w swoim miłosierdziu przyjmiesz do siebie i ojca, i syna. A jeśli zbyt izuchwały, wybacz mi moją dufność.

Rzucił *się* twarzą na ziemię z wargami przyściśniętymi do relikwii. Słońce zaszło i znikła światłość dnia. Noc okryła wszystko ciemnością, a Filip wciąż się modlił i rozmyślał.

Z *tego* zapamiętania wyrwały go głosy kilku mężczyzn, siedzących na murawie o kilka jardów od miejsca, w którym się zaszył. Nie zwracał uwagi na ich irozmowę, ale wstał i pierwszą jego myślą było wracać do domu, gdzie mógłby jeszcze przemyśleć swoje zamierzenia. Mimo że ci ludzie mówili półgłosem, ich rozmowa przykuła jego uwagę, gdy usłyszał nazwisko Mynheer Pootsa. Zaczął się przysłuchiwać i wnet zrozumiał, że było to czterech (zwolnionych z wojska żołnierzy, którzy zamierzali tej nocy napaść na dom lekarza, posiadającego dużo pieniędzy}⁷.

— To, co wam zaproponowałem, jest najlepsze — powiedział jeden z nich. — Nikt z nim nie mieszka oprócz córki.

— Mnie więcej zależy na niej niż na jego pieniądzech — odparł drugi. — Więc, zanim się stąd ruszymy, musimy się ugodzić, że ona będzie moja.

— Dobrze, jeżeli chcesz za nią zapłacić, to niech tak będzie — dodał trzeci.

— Zgoda. He żądacie za tę smarkatą?

— Powiedzmy, pięćset guldenów — odparł inny.

— Dobrze, niech i tak będzie, ale pod warunkiem, że jeżeli mój udział w łupie nie wyniesie tyle, to otrzymam ją jako mój udział.

— W porządku — powiedział tamten — ale kiep jestem, jeżeli nie wykrobiemy staruchowi ze skrzyni więcej niż dwa tysiące guldenów.

— Ej, wy dwaj, co powiecie, czy Beatens ma ją dostać?

— Tak, tak — odparli.

— IW takim razie — odezwał się ten, który zażądał dla siebie córki Mynheer Pootsa — przyłączam się do was. Kochałem tę dziewczynę i usiłowałem ją zdobyć. Chciałem się z nią ożenić, ale ten stary kutwa odmówił mi, mnie, oficerowi. Teraz wezmę sobie za to odwet. Nie ma co go oszczędzać.

— Nie, nie — zgodzili się tamci.

— Idziemy teraz czy zaczekamy do późna? Za godzinę albo i więcej wszędzie księżyc, będzie nas widać.

— A kto ma nas widzieć? Chyba że kogoś przyślą po niego. Według mnie, im później, tym lepiej.

— Ile czasu potrzeba, żeby tam dojść? Nawet nie pół godziny. Dajmy na to, że wyruszymy <za pół godziny, (to księżyc nam poświeci przy przeliczaniu guldenów.

— W porządku. Tymczasem założę do zamku nową skałkę i naładuję muszkiet. Mogę to zrobić po ciemku.

— Masz wprawę, Janie.

— Tak, mam wprawę i mam zamiar tą kulą rozwalić łeb staremu szubrawcowi.

— No cóż, wolę, żebyś ty go zabił niż ja — powiedział jeden z nich. — On mi uratował życie w Middleburgu, kiedy wszyscy już byli pewni, że nie wyżyję.

Filip nie zwlekał dłużej; wszedł między drzewa i zatoczył koło, tak aby ci łotrzy go nie dojrżeli. Wiedział dobrze, że są to rozpuszcze-

ni z wojska żołnierze, których wielu grasowało po okolicy. Myśl jego koncentrowała się wyłącznie na tym, jak uratować starego lekarza i jego córkę od grożącego im niebezpieczeństwa. Zapomniał o swym ojcu i o wszystkim, czego dowiedział się w ciągu dnia. Mimo że, wychodząc z domu, inie zdawał sobie sprawy, w jakim idzie kierunku, znał dobrze całą okolicę i teraz, kiedy należało działać, przypomniał sobie kieminek, w którym powinien odnaleźć dom Mynheer Pootsa. Pospieszył w tamtą stronę i po dwudziestu minutach przybył prawie bez itchu.

Cisza panowała dookoła, drzwi były zamknięte. Filip zapukał, ale nie było żadnej odpowiedzi. tZapukał jeszcze raz i zaczął się niecierpliwić. Mynheer Pootsa miusiatio weziwać do chorego i dlatego nie było go w domu. Filip zawołał tak głośno, aby usłyszano go wewnątrz:

— Panienko, jeśli twój ojciec wyszedł, posłuchaj, co mani ci do powiedzenia. Jestem Filip Vanderdecfcen. Przed chwilą podsłuchałem rozmowę czterech łotrów, którzy zamierzają zamordować twego ojca i obrabować go ze złota. Za godzinę będą tutaj, więc spieszyłem się, żeby cię ostrzec i obronić, jeżeli mi pozwolisz. Przysięgam na relikwię, którą mi dziś rano oddałaś, że wszystko, co mówię, jest prawdą.

Odczekał jakiś czas, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

— Panienko — podjął na nowo — odezwij się, jeśli cenisz to, co jest dla ciebie droższe niż złoto dla twego ojca. Otwórz okno na górze i wysłuchaj, co imam ci do powiedzenia. Czyniąc tak nic nie ryzykujesz, nawet gdyby nie było tak ciemno; przecie i tak cię widziałem.

W chwilę po tym drugim wezwaniu okno na

górze otwarło się i Filip rozpoznał śliczną córkę Mytnheer Pootsa.

— Czego chcesz, młody panie, o tak nieprzystojnej porze? I o czym chciałeś mnie powiadomić, gdyż niezbyt dobrze słyszałam, kiedy mówiłeś pod drzwiami?

Filip opowiedział szczegółowo wszystko, co podsłuchał, a kończąc poprosił, żeby go wpuściła do środka, aby mógł jej bronić.

— Pomyśl o tym, co ci (powiedziałem, pahielko. Zostałaś sprzedana jednemu z tych łajdaków, nazywa się Beatens. O izłoto ty nie dbasz, ale pomyśl o sobie i o tym, co ci jest najdroższe. Pozwól mi wejść do środka i nie sądź, że zmyśliłem całą tę historię. Przysięgam ci na duszę mojej biednej matki, która jest teraz w niebie, że każde słowo tej historii jest prawdziwe.

— Beatens, powiedziałaś, panie?

— Jeśli dobrze dosłyszałem,, tak właśnie się nazywa. Powiedział, że kiedyś cię kochał.

— Pamiętam to nazwisko. Nie wiem, co począć. Ojca wezwali do połogu i może tam zostać kilika godzin. Ale jak mogę ci otworzyć — w nocy, pod jego nieobecność, kiedy jestem sama? Nie powinnam, nie mogę, chociaż naprawdę wierzę ci. Z pewnością nie jesteś tak podły, żeby wymyślić tę historię.

— Nie, jak pragnę zbawienia "mej duszy, tego bym nie uczynił. iNie wolno ci lekceważyć swego życia i czci, musisz minie wpuścić do środka.

— Gdybym cię nawet wpuściła, co poczujesz przeciwko gromadzie? Jest ich czterech na jednego. Wnet by cię pokonali i jeszcze jedno życie byłoby stracone.

— Jeśli macie broń, to nie, a przecież twój ojciec powinien ją mieć. Nie boję się ich wszystkich. Wiesz, że jestem śmiały.

— O tak! I teraz ryzykowałbyś życie dla tych, których napastowałeś. Dziękuję ci, panie, aJe tnie odważę się otworzyć drzwi.

— W takim razie, panienko, jeżeli nie chcesz mnie wpuścić, zostanę tutaj bez broni, nie przygotowany do stawienia czoła czterem uzbrojonym opryszkom. Mimo to zostanę i dowiodę mej wierności dla tej, której pragnę bronić w każdej nierównej walce, nawet tutaj!

— Więc mam być twoim mordercą! Nie, to być nie może. O, panie*, przysięgnij na wszystko co święte i nieskalane, że mnie nie zwoździsz.

— Przysięgam na ciebie, panienko, boś dla mnie godna czci ponad wszystko.

Okno się zamknęło i po chwili na górze pokazało się światło. W dwie minuty później śliczna córka Mynheer Pootsa otworzyła drzwi Filipowi. Stała ze świecą w ręku, mieniając się na twarzy — to się rumieniła, to znowu bladeła. W lewej, opuszczonej ręce trzymała na pół ukryty pistolet. Filip zauważył tę jej przezorność, ale nic nie powiedział; pragnął rozprószyć jej obawy.

— Panienko — rzekł — jeśli masz jakieś wątpliwości, jeśli myślisz, że postąpiłaś nierozważnie wpuszczając mnie do środka, czas jeszcze zatrzasać drzwi przede mną. Ale dla twego bezpieczeństwa błagani — nie czyn tego. Zanim księżyc wizejdzie, zbóje będą już tutaj. Życie oddam, żeby cię bronić, byłeś mi zaufała. Któż mógłby skrzywdzić taką istotę jak ty?

Zasługiwała rzeczywiście na uwielbienie. Rysy jej twarzy, którą płomień świecy zanurzał raz w świetle, raz w cieniu, kształtna sylwetka i wdzięk jej ubioru — zadziwiały Filipa. Głowę miała nie nakrytą i włosy spływały jej na plecy. Była mniej niż średniego

wzrostu, ale nadzwyczaj zgrabna. Miała na sobie suknię, w której było jej bardzo do twarzy, ale która się różniła od tych, jakie nosiły niewiasty w tych okolicach. Zarówno rysy jej twarzy, jak i strój pozwoliły poznać obcemu, że była z pochodzenia Araibką.

Patrzyła Filipowi w oczy z taką powagą, jakby chciała przeniknąć jego myśli. Ale w jego zachowaniu była szczerłość, a w obliczu otwartość, (która dodała jej otuchy. Po chwili wahania odpowiedziała:

— Wejdz, panie. Czuję, że można ci zaufać.

Filip wszedł. Zamknął za sobą i zarygłował drzwi.

— Nie mamy chwili do stracenia, pani, ale powiedz mi, jak się nazywasz, abym mógł się do ciebie zwracać jak należy.

— Na imię mi Aminę.

— Dziękuję ci za zaufanie, ale nie wolno mi marudzić. Jaką broń macie w domu i czy jest amunicja?

— Jest jedno i drugie. Tak bym chciała, żeby ojciec wrócił do domu.

— Ja również pragnę gorąco, aby wrócił, zanim nadejdą ci zbóje. Ale nie w czasie napadu, gdyż mają nabity muszkiet, przeznaczony dla niego i jeśli go pochwyca, nie darują mu życia, chyba że dostaną jako okup jego złoto i ciebie. Ale broń, panienko, gdzie jest broń?

— Chodź za mną — odparła Aminę, prowadząc Filipa do izby na piętrze, od podwórza. Była to pracownia jej ojca; wokół ścian biegły półki pełne szkatulek z medykamentami. W kącie stała żelazna skrzynia, a nad kominem wisiała para muszkietów i trzy pistolety.

— Są nabite — powiedziała Aminę wskazując na nie i kładąc na stole ten, który trzymała w ręku.

Filip brał po kolei broń do ręki i sprawdzał proch na panewkach. Wziął ze stołu pistolet, który Aminę tam położyła, i odkrył panewkę. Był dobrze przygotowany. Zatrzasnął panewkę i powiedział:

— A więc ten był przeznaczony dla mnie, tak, Aminę?

— Nie dlai ciebie, ale dla zdrajcy, gdybym go wpuściła do domoi.

—■— A teraz, panienko — powiedział Filip — ja^zarjime stanowisko przy oknie, które otwierałaś, ale zgaś światło w izbie. Ty możesz pozostać tutaj i na wszelki wypadek przekręcić klucz w zamku.

— (Mało minie znasz — odparła Aminę. — Tych rzeczy się nie boję. Muszę pozostać przy tobie, żeby ci nabijać broń. Mam wprawę w tej robocie.

— Nie, nie, mogliby cię postrzelić.

— Talk, ale czy myślisz, że będę tu stać bezczynnie, gdy mogę pomagać temu, który dla minie ryzykuje swoje życie? Znam moją powinność, panie, i spełnię ją.

— Nie wolno ci narażać życia, Aminę. Nie będę pewnie celować, jeśli będę wiedział, że tobie grozi niebezpieczeństwo. Ale muszę już przenieść broń do tamtej izby, gdyż nadeszła pora.

Z pomocą Aminę Filip przeniósł muszkiety i pistolety do przyległej izby, po czym Aminę wyszła zabierając ze sobą świecę. Filip otworzył okno i wyjrzał na zewnątrz; nikogo nie było widać. Nasłuchiwał, lecz dookoła panowała cisza. Księżyc wychylał się zza dalekiego wzgórza, ale jego światło było przyćmione chmurami. Przez kilka minut Filip wyczekiwał z napiętą uwagą, aż wreszcie usłyszał jakiś szep. iW rieminości dostrzegł czterech napastników stojących przy samych drzwiach do-

mu. Cichutko odsunął się od okna i przeszedł do sąsiedniej izby, gdzie zastał Aminę przy szykowaniu amunicji.

— Są pod drzwiami, naradzają się. Możesz ich teraz zobaczyć bez ryzyka. Jestem im wdzięczny, gdyż przekona/ją cię, że mówiłem prawdę.

Aminę wyszła do frontowej izby i wyjrzała oknem. Powróciła i, kładąc Filipowi rękę na ramieniu, powiedziała:

— WybaCz, że ci nie dowierzałam. Nie boję się już niczego poza tym, żeby ojciec nie wrócił za wcześniej i żeby go nie schwytali.

Filip znowu wyszedł z izby, aby się zorientować w sytuacji. Zbóje, jak się zdawało, nie powzięli jeszcze decyzji. Mocne drzwi oparły się ich połączonym siłom, spróbowali zatem fortelu. Zapukali, a kiedy niikrt nie odpowiadał, zapukali głośniej. Kiedy i ta próba zawiodła, zaczęli na nowo się naradzać. Następnie przystawili wylot lufy muszkietu do dziurki od klucza i padł strzał. Zamek u drzwi został wyrwany, ale żelazne sztaby, zamocowane od wewnątrz w poprzek drzwi u góry i u dołu, nadal trzymały mocno.

Miimo że Filip byłby usprawiedliwiony, gdyby strzelał do rabusiów od razu, jak tylko dostrzegł ich namawiających się pod drzwiami, to jednak człowiek szlachetny ma poczucie, które mu zabrainia odbierać komuś życie bez absolutnej konieczności. To poczucie kazało Filipowi wstrzymać się ze strzelaniem aż do chwili rozpoczęcia wrogich działań. Teraz jednak wycelował z muszkietu w głowę zbója stojącego najbliżej drzwi, który badał skutiki oddanego strzału i przeszkody, jakie stały im jeszcze na drodze. Cel był wyraźny i opryszc padł na miejscu, a pozostali odskoczyli w tył, zdumieni nieoczekiwanym odporem. Ale w se-

kunide później wystrzelono z pistoletu do Filipa, który wychylał się z okna, na szczęście bez skutku. W następnej chwili poczuł, że ktoś go odciąga w głąb izby, aby go ustrzec przed strzałami. Była to Aminę, która poprzednio stała obok niego.

— Nie wolno ci wystawiać się na kule, Filipie — szepnęła.

Powiedziała do mnie: Filipie, przemkińło mu przez myśl, ale nic nie odparł.

— Teraz będą czatować na ciebie przy tym oknie — rzekła Aminę. — Weź drugi muszkiet i zejdz na dół do sieni. Jeżeli wysadzili zamek w dźwiach, to mogą wsunąć rękę do wewnątrz i zdjąć sztaby. Myślę, że im się to nie uda, ale nie jestem pewna. Dlatego powinneś być teraz właśnie tam, bo tam się ciebie nie spodziewają.

— Masz rację — odrzekł Filip schodząc na dół.

— Ale nie wolno ci tam strzelać więcej niż raz. Jeżeli zastrzelisz jeszcze jednego, pozostanie nam tylko dwóch, a dwaj nie będą mogli jednocześnie czatować pod olknem i wylamywać drzwi. Idź, ja naładuję muszkiet.

Filip zszedł na dół bez światła. Podeszedł do drzwi i zobaczył, że jeden z łotrów, wsunawszy rękę przez otwór po wyrwanym zamku, manipuluje przy górnej sztabie, której mógł dosięgnąć. Zmierzył się z muszkietu i już miał strzelić w pierś rozbójnika poniżej jego uniesionej ręki, kiedy usłyszał z zewnątrz huk wystrzałów od strony napastników. Aminę wystawiła się na strzały, pomyślał, i może została trafiona.

Żądza zemsty popchnęła go do strzelenia najpierw w tamtego człowieka, a następnie popędził co tchu na górę, aby się przekonać, co z Aminę. Nie było jej przy oknie. Wpadł

do pracowni jej ojca i zastał ją tam, jak ładowała muszkiet.

— O Boże, ależ mi napędziłaś strachu, Aminę. Kiedy usłyszałem ich strzały, pomyślałem, że pokazałaś się w oknie.

— Nie pokazałam się, ale pomyślałam, że kiedy strzelasz przez drzwi, mogą odpowiedzieć strzałami i zranić cię. Podeszłam więc z boku do okna i na kiju wystawiłam na zewnątrz jakieś ubranie ojca, a oni, ponieważ czatowali na ciebie, natychmiast wystrzelili.

— Doprawdy, Aminę! Któż mógłby oczekiwać takiej odwagi i opanowania od tak młodej i pięknej istoty?

— Czyżby tylko mieurodziwi byli odważni? — odparła Aminę.

— Nie to chciałam powiedzieć, ale marnuję czas. Muszę wracać do drzwi. Daj mi inny muszkiet i naładuj tein.

Filip skradał się po schodach na dół, aby dokonać rekonesansu, ale zanim doszedł do drzwi, usłyszał z daleka głos Mynheer Pootsa. Aminę, która go również usłyszała, w jednej chwili znalazła się u boku Filipa z nabitym pistoletem w każdym ręku.

— Nie bój się, Aminę — powiedział Filip zdejmując sztaby z drzwi — jest ich tylko dwóch, ocalę twego ojca.

Otworzył drzwi i, chwyciwszy muszkiet, wypadł przed dom. Ujrzał Mynheer Pootsa leżącego na ziemi pomiędzy dwoma zbójcami, z których jeden uniósł już w górę nóż, aby zatopić go w jego ciele, gdy kula z muszkietu trafiła go w głowę. Ostatni z łotrów zwarł się z Filipem w zacieklej walce, którą jednak wnet rozstrzygnęła Aminę strzałem z pistoletu wymierzonym w rabusia.

W tym miejscu musimy wyjaśnić czytelnikom, że Mynheer Poots w drodze powrotnej

usłyszał strzały od strony swego domu. Myśl o córce i o pieniądzach — gdyż trzeba mu oddać sprawiedliwość, że córkę kochał bardziej — dodała mu skrzydeł. Zapomniał o tym, że jest słaby, stary i nieuzbrojony; myślał jedynie, aby jask najprędzej dotrzeć do swego domu. Biegł nie zwracając uwagi na nic i wrzeszcząc, aż wpadł prosto w ramiona dwóch rozbójników, którzy by go wysłali na tamten świat, gdyby Filip nie przybył z pomocą.

Jak tylko padł ostatni bandyta, Filip poskoczył do Mynheer Pootsa, wziął go na ręce i jak dziecko zaniósł do domu. Staruszek bredził pod wpływem przeżytego strachu i podniecenia. Po kilku minutach nieco się uspokoił.

— Moja córka! — zawołał. — Gdzie jest moja córka?

— Tutaj, ojczy, cała i zdrowa — odpowiedziała Aminę.

— Ach, memu dziecku nic się nie stało. Na szczęście... A moje pieniądze, gdzie są moje pieniądze? — dopytywał się dalej.

— Są zupełnie bezpieczne, ojczy.

— Bezpieczne, powiadasz. Zupełnie bezpieczne. Czy jesteś tego pewna?

— Są tutaj, ojczy, i możecie się przekonać, że są całkiem bezpieczne dzięki komuś, kogo nie potraktowaliście zbyt dobrze.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Ach, tak, poznaję, to Filip Vanderdedken. Jest mi winien trzy i pół guldenu i została jeszcze u niego flaszeczka. Czy to on cię ocalił... i moje pieniądze, dziecinko?

— Tak, ocalił ryzykując własne życie.

— No, dobrze, daruję mu cały dług, tak, całe. Ale flaszeczka na nic mu się nie przyda, musi ją zwrócić. Podaj mi wody.

Filip pozostawił go z córką i, wzięwszy dwa

nabite pistolety, poszedł sprawdzić, co się stało z czterema napastnikami. Księżyc świecił jasno, widział więc wszystko dokładnie. Dwaj ludzie leżący na progu drzwi byli nieżywi. Dwaj pozostali, którzy napadli na Mynheer Poots a, żyli jeszcze, ale jeden już dogorywał, a drugi mocno krwawił. Temu Filip zadał kilka pytań, ale on nie chciał czy nie mógł nic odpowiedzieć. Zabrał więc broń zbójców i zawrócił do domu, gdzie zastał Aminę doglądającą starego ojca, już względnie spokojnego.

— Dziękuję ci, Filipie Vanderdecken, dziękuję ci bardzo. Ocaliłeś mi córkę i pieniądze! Niewiele tego, bo jestem ubogi. Obyś żył długo i szczęśliwie!

Filip się zamyślił; po raz pierwszy od chwili spotkania z rabusiami przypomniał sobie o liście, o siwoim ślubowaniu, i cień przemknął po jego twarzy.

— Długo i szczęśliwie, nie, nie — wyszeptał.

— Ja także muszę ci podziękować — powiedziała Aminę patrząc Filipowi w oczy. — O, jak wiele ci zawdzięczam i jak bardzo ci jestem wdzięczna!

— Tak — przerwał staruszek — jest ci wdzięczna, ale jesteśmy bardzo biedni. Mówiłem o moich pieniądzach dlatego, że mam ich tak mało i nie mogę sobie pozwolić na to, aby je utracić. Ale możesz mi nie płacić tych trzech i pół guldena, chętnie postawię na tym krzyżyk, panie Filipie.

— Dlaczego mietlibyście się ich wyrzekać, Mynheer Poots? Przrzekłem wam zapłacić i dotrzymam słowa. Mam tysiące guldenów i nie wiem, co z nimi roibić.

— Ty, ty, tysiące guldenów! — wyk cyknął Poots. — Ha, ha, to bzdura, to niemożliwe.

— Powtarzani tobie, Aminę — powiedział

Filip — że mam tysiąc guldenów. Wiesz przecie, że tobie nie powiedziałbym nieprawdy.

— Uwierzyłam ci, kiedy powiedziałeś o tym ojcu — odparła Anilinę.

— Więc jeżeli posiadasz tak wiele, a ja, Mynheer Vanderdecken, jestem tak ubogi...

Ale Aminę położyła *ojcu* dłoń na ustach i zdalnie pozostało nie dokończone.

— Ojczy — powiedziała — czas iść spać. Filipie, musisz nas opuścić na dzisiaj.

— Nie odejdę — odparł Filip — ani nie usnę, możesz być tego pewna. Możecie się ofoo_je spokojnie położyć, czas już na spoczynek. Dobranoc, Mynheer Poofe. Aminę, poproszę cię tylko o lampę i już cię pożegnam. Dobranoc.

— Dobranoc — odpowiedziała Aminę. — Dzięki.

— Tysiąc guldenów! — wymamrotał stary, kiedy Filip opuścił izbę i zszedł na dół.

ROZDZIAŁ 5

Filiip usiadł we Wnęce drzwi wejściowych. Wzdychał za chwilą wypoczynku, ale wiedział, że dla niego nie ma już wytchnienia. W perspektywie przyszłości wiał długi łańcuch niebezpieczeństw i nieszczęść, ze śmiercią włącznie, lecz myślał o tym ze spokojem. Miał uczucie, jakby istniał na tym świecie zaledwie od trzech dni; był melancholijny, ale nie nie-

szczęśliwy. Myśl jego stale powracała do fatalnego listu. Jego niesamowite zniknięcie zdawało się wskazywać na nadprzyrodzone pochodzenie i na to, że posłanie było przeznaczone tylko dla niego, a relikwia, którą posiadał, potwierdzała ten fakt.

To mój obowiązek, pomyślał. Doszedłszy do tej konkluzji, powrócił myślami do urody i odwagi Aminę oraz do przytomności umysłu, jaką okazała. Czyżby, dumając, patrząc, jak księżyc wznosi się na niebie, los tej uroczej istoty miał się spleść z moim losem? Wydarzenia ostatnich trzech dni przemawiają za takim przypuszczeniem. Bóg jeden wie i jego wola niech się stanie. Ślubowałem, i ślubowanie moje zostało przyjęte, że całe życie poświęcę wyzwoleniu ojca, ale czyż to mi przeszkadza kochać Aminę? Nie, pływając po wodach indyjskich, żeglarz musi całe miesiące spędzać na łodzi, zanim mu się uda powrócić do swej pracy. Muszę szukać na morzach, ale jak często będę mógł tam powracać? I dlaczego miałbym być pozbawiony pociechy i radości domowego ogniska? A jednak — czy mam prawo zdobywać miłość tej, która, jeśli pokocha, będzie kochać — jestem tego pewien — czule i wiernie? Ozy powinienem ją namawiać do poślubienia mnie, skoro moje życie będzie wystawione na tyle niebezpieczeństw? Ale, czyż życie każdego żeglarza nie jest równie niepewne, gdy stawia czoło wzburzonemu falam, a tylko jednocalowa deska dzieli go od śmierci? Zresztą zostałem wybrany do spełnienia pewnego zadania, a jeśli tak, to cóż może mi się stać, dopóki go nie wykonam w czasie przez Boga wyznaczonym? Talk, ale... jak prędko i czym się to skończy? Śmiercią? Głuchym nie być tak bardzo podnieconym, aby móc lepiej rozumować.

Takie były rozmyślania Filipa i długo ze wszystkich stron rozważał te możliwości. Wreszcie zaczęło świtać, a kiedy dojrzał na horyzoncie różowy blask jutrzeńki, zdrzemnął się tam, gdzie siedział. Wtem poczuł na ramieniu czyjeś dotknięcie i wyrwał z zanadtu pistolet. Obejrzał się i zobaczył Aminę.

— A ten pistolet był przeznaczony dla mnie — powiedziała z uśmiechem.

— Dla ciebie, Aminę? Tak, aby cię bronić, gdyby zaszła tego potrzeba.

— Jestem tego pewna. Jakiś ty dobry, żeby trzymać nużącą straż nocną po takim zmęczeniu! Ale to już biały dzień.

— Stróżowałem czujnie, Aminę, dopóki nie ujrzałem świtu.

— Ale teraz daj spokój i wypocznij trochę. Ojciec już wstał, możesz się więc położyć do jego łóżka.

— Dziękuję ci, ale nie chce mi się spać. Musimy pójść do burmistrza i złożyć zeznanie, a te trupy muszą pozostać tam, gdzie leżą, dopóki cała sprawa nie zostanie zbadana. Czy pójdzie twój ojciec, czy też ja?

— Powinien to uczynić ojciec, jako właściciel domu. Ty musisz zostać, a jeśli nie chcesz spać, przynajmniej musisz się posilić. Pójdę powiedzieć to ojcu, on już jadł śniadanie.

Awiiwe weszła do domu i po chwili wróciła z ojcem, który zgodził się pójść do burmistrza. Wychodząc, pozdrowił Filipa. Wizdrygnął się wymijając bokiemy, aby ich nie przekraczać, i poszedł do pobliskiego miasteczka, gdzie rezydował burmistrz.

Aminę zaprosiła Filipa do izby ojca, gdzie już czekała na niego kawa.

Filip, który od dwudziestu czterech godzin nie miał nic w ustach, zabrał się ochoczo do jedzenia tego, co przed nim postawiono. Ami-

ne usiadła naprzeciwko i milczała, podczas gdy on jadł.

— Aimime — powiedział — w noicy, kiedy czuwałam przy dźwiałach, miałem dużo czasu na zastanawianie się. Czy mogę z tobą mówić otwarcie?

— Czemuż by nie? Jestem przekonana, że nie powiesz nic takiego, czego nie powinienś powiedzieć.

— Masz rację, Aminę. Rozmyślałem o tobie i o twoim ojcu. Nie możecie dłużej mieszkać w tym domu.

— Wydaje mi się, że to odludzie nie jest bezpieczne dla ojca, a może i dla mnie. Ale znasz mego ojca, samotność mu odpowiada, czynsz jest tu niski, a on drży o swoje pieniądze.

— Człowiek, który drży o swoje pieniądze, powinien je umieścić w bezpiecznym miejscu, a tu nie jest bezpiecznie. Posłuchaj mnie, Aminę. Mam domek, dookoła stoi wiele innych domków, jeden stanowi ochronę dla drugiego. Wkrótce opuścę ten domek — może na zawsze, bo mam zamiar popłynąć pierwszym statkiem na wody indyjskie.

— Na wody indyjskie! Czemuż to? Przecież tej nocy mówiłeś o tysiącach guldenów?

— Mówiłam, i mam je. Ale, Aminę, muszę popłynąć, to mój obowiązek. Nie pytaj mnie o więcej, ale posłuchaj, co chcę zaproponować. Twój ojciec musi zamieszkać w moim domu. Musi się nim zaopiekować w czasie mojej nieobecności. Godząc się na to, zrobi mi przysługę, a ty musisz go przekonać. Będziecie tam bezpieczni. Musi się zaopiekować moimi pieniędzmi. Chwilowo ich nie potrzebuję i nie mogę ich z sobą zabrać.

— Ojcu nie można powierzać cudzych pieniędzy.

— Dlaczego twój ojciec tak je ciuła? Nie zabierze ich przecież z sobą, kiedy będzie odchodził z tego świata. Wszystko to musi być dla ciebie, a wobec tego, czy moje pieniądze nie będą bezpieczne?

— Zostaw je więc pod moją opieką, wtedy będą bezpieczne. Dlaczego jednak musisz narażać życie na morzu, kiedy posiadasz tak wielki majątek?

— Aminę, nie pytaj o to. To mój synowski obowiązek, więcej nie mogę powiedzieć, przynajmniej nie teraz.

— Jeżeli to twój obowiązek, nie będę więcej pytać. To nie niewieścia ciekawość, ale szlachetniejsze uczucie skłoniło mnie do zadania ci tego pytania.

— Jakież to szlachetniejsze uczucie, Aminę?

— Sama dobrze nie wiem — wiele szlachetnych uczuć zmieszało się razem — wdzięczność, szacunek, poważanie, zaufanie, życzliwość. Czy to nie wystarcza?

— Wystarcza, Aminę. Wiele zyskałem w czasie tak krótkiej naszej znajomości. Ja odczuwam dla ciebie to samo i jeszcze wiele ponadto. Jeśli masz dla minie tyle dobrych uczuć, użyczy mi tę uprzejmość i namów ojca, aby opuścił ten dom dziś jeszcze i zamieszkał w moim.

— A dokąd sam masz zamiar się udać?

— Jeżeli twój ojciec nie zgodzi się przyjąć mnie jako lokatora na ten krótki czas, jaki tu jeszcze zostanę, to poszukam sobie kąta gdzie indziej. Ale gdyby się zgodził, wynagrodziłbym go sowilcie... jeżeli ty się nie sprzeciwisz, abym przez kilka dni przebywał w tym domu.

— Czemuż miałabym się sprzeciwiać? Nasz dom już nie jest bezpieczny, a ty nam udzie-

lasz przytułku. Byłaby nieładnie i niewdzięcznie wyrzucać cię spod twego własnego dachu.

— iWięc namów go, Aminę. Nie będę nic żądał w zamian, potraktuję to jako przysługa gdyż odjechałbyś pełen smutku, gdybym nie miał pewności, że jesteś bezpieczna. Przyrzekasz mi?

— Tak, przyrzekam uczynić wszystko, co w mojej mocy. Nie, mogę cię nawet zapewnić, że tak się stanie, bo wiem, jaki mam wpływ na ojca. Oto moja ręka. Wystarczy ci to?

Filip ujął wyciągniętą ku niemu dłoń. Wzruszenie wzięło w nim górę nad powściągliwością; podniósł ją do ust. Spojrzał, aby się przekonać, czy Amine nie jest niezadowolona i spotkał jej ciemne oczy wpatrzone w niego tak, jak już raiz było, kiedy wpuszczała go do domu, jakby chciała przejrzeć jego myśli — ale nie cofnęła ręki.

— Naprawdę, Aminę — zapewnił Filip, całując powtórnie jej rękę — możesz mi zaufać.

— Mam nadzieję... tak mi się zdaje... nie, jestem tego pewna.

Filip wypuścił jej dłoń. Aminę usiadła na swoim miejscu w zamyślonej pozie. On był zajęty własnymi myślami i milczał. W końcu Aminę się odezwała:

— Zdaje się, ojciec mi wspominał, że twoja matka była otołak... niezupełnie przy zdrowych zmysłach i że w waszym domu była izba od lat zamknięta.

— Była zamknięta aż do wczoraj.

— I tam znalazłeś te pieniądze? Ozy twoja matka nic o nich nie wiedziała?

— Wiedziała, bo mówiła o nich na łożu śmierci.

— Musiały być jakieś bardzo ważne powody, dla których nie otwierała tej izby.

— Były.

— Co to takiego, Filipie? — zapytała cicho Aminę.

— Nie wolno mi tego powiedzieć, a przynajmniej nie powinienem. Niech ci wystarczy, że był to strach przed zjawą.

— Jaką zjawą?

— Powiedziała mi, że ukazał jej się mój ojciec.

— Sądysz, Filipie, że się naprawdę ukazał?

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale na więcej pytań nie mogę ci odpowiedzieć. Izba ta jest teraz otwarta i nie ma obawy, żeby się znowu ukazał.

— Ja się tego nie boję — odparła Aminę. — Ale czy to nie ma jakiegoś związku z twoim postanowieniem pójścia na morze?

— Na to mogę ci odpowiedzieć. Właśnie to zdecydowało, że idę na morze, ale błagam cię, nie pytaj więcej. Ciężko mi jest odmawiać ci, a obowiązek zabrania mi mówić.

Milczeli dłuższą chwilę, po czym Aminę podjęła na nowo:

■— Tak ci zależało na odzyskaniu tej relikwii. Nie mogę się oprzeć myśli, że ma ona jakiś związek z tą tajemnicą. Czy tak?

— Aminę, po raz ostatni odpowiem na twoje pytanie: tak, ma to z nią związek, ale teraz koniec.

Szorstki i prawie niegrzeczny sposób, w jaki Filip zakończył swą odpowiedź, nie uszedł uwagi Aminę.

— Jesteś tak pochłonięty iintnymi myślami, parnie, że nie odczułeś dowodu przyjaźni, jakim jest z mojej strony tak żywe zainteresowanie twoją osobą.

— Owszem, odczułem i jestem ci za to wdzięczny, Aminę. Wybacz, jeśli byłem szorstki, ale taj eminie a ta nie należy do minie, zdaje

mi się, że nie. Bóg mi świadkiem, że pragnąłbym jej nie znać, gdyż obróciła wniwecz wszystkie moje nadzieje życiowe.

Zamilkł, a kiedy podniósł wzrok, spostrzegł, że Aminę wpatruje się w niego.

— Chciałabyś odczytać moje myśli, Aminę, czy moją tajemnicę?

— Twoje myśli, nie twoją tajemnicę. Ale martwię się bardzo, że ona cię tak gnębi. Musi być straszliwa, żeby przygnieść takiego człowieka jak ty, Filipie.

— Gdzie się nauczyłaś być tak odważną, Aminę?

— Okoliczności czynią ludzi odważnymi lub nie. Ci, którzy nawykli do niebezpieczeństwa, już się go nie lękają.

— A gdzie ty spotkałaś się z niebezpieczeństwem?

— IW kraju, w którym się urodziłam, nie w tej błotnistej krainie.

— Aminę, czy mi zaufasz i opowiesz historię swego życia? Jeśli sobie życzysz, zachowam to w tajemnicy.

— Że potrafisz dochować tajemnicy, tego mi dowiodłeś. I masz prawo wiedzieć co nieco o życiu, które uratowałeś. Nie mana ci wiele do powiedzenia, ale to co powiem, wystarczy. Mój ojciec, jeszcze jako chłopiec na okręcie handlowym, został przez Maurów wzięty do niewoli i sprzedany jako niewolnik jakiemuś hakimowi, to znaczy lekarzowi w ich kraju. Maur widząc, że chłopiec jest inteligentny, wychował go sobie na pomocnika, i właśnie pomagając temu człowiekowi ojciec zdobył wiedzę w swoim kunszcie. Po kilku latach dorównywał już swemu panu, ale jako niewolnik pracował nie dła siebie. Wiesz, jaki ojciec jest chciwy. Wzdychał do tego, aby zostać tak bogatym jak jego pan i odzyskać wolność.

Przyjął wiarę Mahometa, dzięki czemu stał się wolnym i mógł praktykować samodzielnie. Ożenił się z Arabką, córką pewnego wodza, któremu wrócił zdrowie. Osiadł w tym kraju. Ja przyszedłam na świat. On gromadził majątek i stał się sławny. Ale śmierć syna beja, który umarł leczony przez niego, stała się pretekstem do podjęcia przeciwko niemu prześladowań. Jego głowa była w niebezpieczeństwie, ale umknął, tracąc cały swój majątek. Matka i ja uciekłyśmy z nim razem. Uszedł do Beduinów, wśród których żyliśmy kilka lat. Tam przywykłam do pospiesznych pochodów i błyskawicznych napaści, do porażek i ucieczek, i do masowych rzezi. Ale Beduini kiepsko płacili za usługi ojca, a jego bożyszczem było złoto. Kiedy się dowiedział, że bej umarł, powrócił do Kairu, gdzie na nowo zaczął praktykować. Pozwolono mu się bogacić aż do czasu, kiedy jego majątek urósł na tyle, aby pobudzić zachłanność nowego beja. Tym razem jednak uprzedzono go o zamiarach władcy. Po raz wtóry umknął statkiem z częścią swych bogactw i dotarł do brzegów Hiszpanii. Zanim przybył tutaj, został niemal doszczętnie ograbiony, a teraz od trzech lat ciuła od nowa. Jeden rok mieszkaliśmy w Middleburgu, a stamtąd przeprowadziliśmy się tutaj. Takie są dzieje mego życia, Filipie.

— A czy ojciec twój zachował wiarę Mahometa?

— Nie wiem. Myślę, że nie ma żadnej wiary. W każdym razie nie nauczył mnie żadnej. Jego Bogiem jest złoto.

— A twoim?

— Jeżeli Bóg, który uczynił ten świat i wszystko co on zawiera, jest Bogiem wszelkiego stworzenia, to niech go nazywają, jak kto chce. Tak czuję, Filipie, ale chętnie wiedziałam-

bym więcej. Jest tyle religii, ale z pewnością są to tylko różne ścieżki prowadzące do Boga. Twoją wiarą, Filipie, jest chrześcijaństwo. Czy to jest ta prawdziwa wiara? Przecież każdy uważa za prawdziwą swoją wiarę, obojętnie jaką.

— Jest prawdziwi i jedyna, Aminę. Gdybym mógł ci wyjawić... Mam takie straszne dowody...

¹— ...że twoja wiara jest prawdziwa? W takim razie czyż nie jest twoim obowiązkiem wyjawić te dowody? Powiedz mi, czy jesteś związany jakimś uroczystym zobowiązaniem, że nigdy ich nie ujawnisz?

— Nie, nie jestem związany. A jednak czuję, jak gdybym był. Ale słyszę jakieś głosy, to pewnie twój ojciec z urzędnikami. Muiszę wyjść na ich spotkanie.

Filip zszedł na dół. Aminę odprowadzała go wzrokiem, gdy wychodził; sama pozostała na górze i patrzyła -w kierunku drzwi.

— Czy to możliwe... — wyszeptala — tak prędko... tak, właśnie tak jest. Czuję, że wolałabym dzielić jego zły los, który przede mną skrywa, wolałabym nawet śmierć z nim niż dostatek i radość z innym. I byłoby dziwne, gdybym nie podzieliła jego losu. Dziś wieczór ojciec przeniesie się do jego domku. Zraz przygotuję wszystko.

Urzednicy spisali zeznanie Filipa i Mynheer Pootsa, obejrzeni trupy, a w dwóch z nich rozpoznali dobrze sobie znanych maruderów. Z polecenia burmistrza zwłoki uprzątnięto. Po zakończeniu urzędowych czynności pozwolono Filipowi i Mynheer Pootsowi wrócić do Aminę. Poots ustąpił pod wpływem argumentów użytych przez Aminę i Filipa, zwłaszcza tego o niepłaceniu czynszu. Zamówiono wóz na meble i lekarstwa i po południu rzeczy zostały

wyniesione. Dopiero o zmroku załadowano na wóz skrzynię lekarza, a Filip usiadł przy niej dla ochrony. Aminę z ojcem szli obok wozu. Był już późny wieczór, kiedy się urządzili w nowym miejscu i udali na spoczynek.

ROZDZIAŁ 6

— A więc to jest ita izba, która tak drugo była zamknięta — powiedziała Aminę wchodząc do bawialni nazajutrz rano, zanim Filip przebudził się z głębokiego snu po nieprzespanej poprzedniej nocy. — Tak, czuć w powietrzu, że była długo zamknięta.

Rozejrzała się dookoła i przyjrzała umeblowaniu. Jej uwagę przyciągnęły klatki ma ptaki; zajrzała do nich.

— Biedne maleństwa! — mówiła dalej do siebie. — I (to tutaj jego ojciec objawił się matce. No cóż, mogło itak być. Filip powiada, że ma na to dowody. Czemuż by się nie miał objawić? Gdyby Filip umarł, byłabym szczęśliwa mogąc ujrzeć jego ducha, to byłoby zawsze coś. Co ja 'mówię! O, (niewierne usta, tak izdradzić moją tajemnicę. Stół przewrócony... wygląda, że pod wpływem strachu. Pudełko z robotką, wszystkie przybory porozrzucane... To tylko strach niewiasty. Mogła go spowodować mysz. A jednak jest jakaś powaga w samym fakcie, że od tylu lat żadna żywa istota nie przekroczyła tego progu. Nawet to, że stół przewrócony w ten sposób mógł leżeć latami, wygląda raczej niezwykajnie i działa na wy-

obrażnię. Nie dziwię się, że Filip wierzy, iż z tą izbą jest związana jakaś tajemnica, ale trzeba w iniej inatychmiast zamieszkać.

Aminę, która od dawna przywykła usługiwać ojcu i zajmować się domem, iwzięła się do roboty. Zamiotła wszystkie kąty izby i wytarła meble, nawet pousuwała pajęczyny, a kanapę i stół ustawiła pośrodku. Kiedy wreszcie skończyła porządkowanie, izba nabrała wesołego wyglądu.

Zdrowy rozsądek pozwolił Aminę wyczuć, że silne wrażenia stopniowo się zacierają, gdy usunąć związane z inimi przedmioty. Postanowiła stworzyć Filipowi pogodniejszą atmosferę, gdyż iż całą żarliwością właściwą [jej rasie zamknęła w sercu jego wizerunek i była zdecydowana go zdobyć. Zabrała się na nowo do porządkowania, aż każdy obraz i każdy przedmiot nabrał czystego wyglądu.

Usunęła z izby nie tylko (klatki na ptaki, ale i wszystkie przybory do robótek, a haft, od którego Filip odskoczył, jakby dotknął żmii, zabrała razem z resztą drobiazgów. Filip zostawił kluczyki na podłodze. Aminę właśnie przecierała srebrne dzbany, kiedy do izby wszedł jej ojciec.

— Na litość boską! — wykrzyknął Mynheer Poots. — To wszystko jest ze srebra? W takim razie to musi być prawda, on ima rzeczywiście tysiące guldenów. Ale gdzie one są?

— Nie zaprzatajcie sobie itym głowy, ojczcie. Wasze pieniądze są teraz bezpieczne i możecie podziękować iż ito Filipowi.

— Tak, to prawda, ale jeżeli on ma tu mieszkać... Czy on dużo ije? Ile imi będzie płacić? Powinien dobrze zapłacić, fjalk ima tyle pieniędzy.

Aminę skrzywiła usta iw pogardliwym uśmiechu, ale nic nie odpowiedziała.

— Ciekaw jestem, gdzie oin trzyma swoje pieniądze. I odpłynie, jak tylko znajdzie statek? A kto się będzie opiekować jego pieniędzmi, jak pojedzie?

— Ja się nimi zaopiekuję, ojcze.

— Aha... no, dobrze... zaopiekujemy się nimi. Okręt może zatonać.

— Nie, ojcze, m y się nimi nie zaopiekujemy. Wy nie będziecie mieć z tym nic do czynienia. Pilnujcie własnych pieniędzy.

Aminę wstawiła srebra do serwantefc, zabrała z sobą kluczyki i poszła przygotować śniadanie, zostawiając staruszka wpatzonego w całe >to srebro za szybami. Wlepił oczy w metalowe naczynia i nie mógł ich oderwać. Co chwila mamrotał: „Tak, wszystko ze srebra”.

Filip (zszedł na dół i Ikiedy mijał drzwi izby, aby wejść do kuchni, spostrzegł Mynheer Pootsa stojącego przy serwantce; (wstąpił do bawialni. Był zaskoczony i uradowany zmianą, jaka w niej zaszła. Domyślił się, kto tego dokonał i poczuł wdzięczność. Aminę przyniosła śniadanie. Oczy ich mówiły więcej, niż mogły wypowiedzieć usta, i Filip zasiadł do posiłku z pogodniejszym czołem.

— Mynheer Poots — powiedział — zamierzam zostawić mój domek pod waszą opieką i imam nadzieję, że będzie waim tu wygodnie. Wszystko, co trzeba będzie załatwić, powierzę waszej córce przed moim wyjazdem.

— A zatem opuszczasz mas, panie Filipie, aby pójść na morze! Cóż (to musi być za przyjemność oglądać obce kraje. Lepiej podróżować, niż siedzieć w domu. A ikiedy wyjeżdżasz?

— Dziś wieczór wyjadę do Amsterdamu, żeby wyszukać sobie okręt, ale zanim odpłynę, wrócę tu jeszcze.

— Aha, wrócisz. No tak, musisz się zająć

swoimi pieniędzmi i ruchomościami. Musisz przeliczyć pieniądze. Będziemy ich dobrać strzec. Gdzie są twoje pieniądze, panie Vanderdeciken?

— Pawiem to waszej córce przed wyjazdem. Możecie oczekiwać mego powrotu za trzy tygodnie.

— Ojczy — odezwała się Aminę — przyrzekliście odwiedzić dziecko burmistrza. Pora już, abyście tam poszli.

— Tak, wszystko w swoim czasie, ale muszę najpierw dostosować się do życzeń pana Filipa. Ma mi dużo do powiedzenia przed wyjazdem.

Filip nie mógł się (powstrzymać od uśmiechu, gdyż przypomniał sobie, co zaszło, gdy po raz pierwszy wezwał Mynheer Pootsa do swego domiku; ale ma to wspomnienie czoło mu się zachmurzyło.

Aminę, która dobrze (wiedziała, o czym myśli jej ojciec i Filip, przyniosła ojcu kapelusz i odprowadziła go do drzwi frontowych, a Mynheer Poots, aczkolwiek niechętnie, musiał pójść, ponieważ tnie sprzeciwiał się nigdy woli córki.

— Tak prędko, Filipie? — zapytała wróciwszy do izby.

— Tak, Aminę, natychmiast. Ale mam nadzieję wrócić tu jeszcze przed odpłynięciem. Na wypadek jednak, gdybym (nie wrócił, muszę ci dać pewne wskazówki. Daj mi kluczyki.

Otworzył dolną szafkę serwantki i drzwiczki schowka.

— Tu są moje pieniądze. Nie potrzebujemy ich przeliczać, jak to proponował twój ojciec. Widzisz, mówiłem prawdę twierdząc, że posiadam tysiące guldenów. Teraz są mi niepotrzebne, gdyż muszę się nauczyć mojego zawodu. Jeżeli kiedyś powrócę, mogą mi się

przydać na kupno okrętu. Nie wiem, jak mi się przyszłość ułoży.

— A gdybyś nie powrócił? — zapytała Aminę poważnie.

— Wówczas te pieniądze będą twoje, podobnie jak wszystko, co się znajduje w tym domu i sam dom również.

— Masz może jakichś (krewnych)?

— Jednego (tylko, wuja, który jest bogaty i bezdzietny. Niewiele mu zawdzięczam, a on niczego nie potrzebuje. Tylko jedna istota wzbudziła zainteresowanie w moim sercu, a tą istotą jesteś ty, Aminę. Chciałbym, abyś mnie uważała za brata. Będę cię zawsze kochał jak siostrę.

Aminę ink inie odrzekła. Filip wziął iz woreczka trochę pieniędzy na podróż i zamykając na klucz schowek oraz drzwi szafki, oddał kluczyki Aminę. Właśnie miał coś jej powiedzieć, kiedy zapukano do drzwi i wszedł ksiądz proboszcz Seysen.

— Niech będzie pochwalony, witaj mój synu i ty, moje dziecko, dotychczas przeze mnie (nie widziane. Domyślam się, że jesteś córką Mynheer Pootsa?

Aminę skinęła głową.

— Widzę, że izba zastała otwarta, a slyszalem o wszystkim, co się wydarzyło. Chciałbym z tobą porozmawiać, Filipie. Muszę prosić tę panienkę, żeby nas zostawiła na chwilę samych.

Aminę wyszła z izby, a ksiądz ruchem ręki przywołał do siebie Filipa. Za długo byłoby powtarzać, o czym rozmawiali. Ksiądz wypytywał Filipa o jego tajemnicę, ale nie udało mu się uzyskać tego, czego pragnął. Filip powiedział mu tyle, co Aminę i nic więcej. Oświadczył, że zamierza zostać marynarzem i że na wypadek, gdyby nie wrócił, zapisał

swój majątek — którego rozmiarów nie wyjawiał — lekarzowi i jego córce. Ksiądz dowiadywał się o Mynheer Pootsa, pytał Filipa, czy wie, jakiego on jest wyznania, gdyż nigdy go nie widziano <w żadnym kościele, a chodzą pogłoski, że jest niewiernym. Na to pytanie Filip odpowiedział szczerze i dodał, że córka pragnęłaby być oświecona w wierze. Prosił księdza, aby podjął się tego zadania, do którego on sam nie dorósł. Ksiądz Seysen chętnie na to przystał. Dwugodzinną rozmowę przerwał im powrót Mynheer Pootsa, który na widok księdza Seysena wyskoczył z izby jak oparzony. Filip zawołał Aminę i prosił ją, aby się zgodziła na odwiedzinę księdza, po czym pocziwra pobłogosławił ich i wyszedł.

— Nie dałeś mi chyba pieniędzy, panie Filipie? — zapytał Mynheer Poots, kiedy ksiądz Seysen opuścił izbę.

— Nie dałem — odparł Filip. — Żałuję, że nie pomyślałem o tym wcześniej.

— Nie, lepiej nie dawać... bo pieniądze są warte więcej niż to, co on ci może dać. Ale nie powinien tu przychodzić.

— A dlaczegoż nie, ojcze? — wtrąciła się Aminę. — Jeśli pan Filip sobie tego życzy... Ten dom należy do niego.

— O tak, jeśli pan Filip sobie tego życzy. Ale, rozumiesz, on wyjeżdża.

— No, dobrze, przypuścimy, że wyjeżdża. Dlaczego proboszcz miałby tu inie przychodzić? Będzie przychodzić do minie.

— Widziałś fetę coś takiego! Czego on może chcieć od ciebie? Dobrze, ale jeżeli przyjdzie, nie dam mu złamanego szeląga. Prędko się stąd wyniesie.

Filip nie miał już więcej okazji porozmawiać z Aminę i nie miał już nic więcej do powiedzenia. W godzinę później pożegnał się z nią

w obecności jej ojca, który nie chciał ich odstępować w nadziei uzyskania od Filipa jakiejś wiadomości na temat pieniędzy, które pozostawiał.

Po dwóch dniach Filip dotarł do Amsterdamu i, zasięgnąwszy języka, stwierdził, że nie ma widoków na to, by w najbliższych miesiącach jakiś okręt odpłynął do Indii (Wschodnich). Holenderska Kompania Indii Wschodnich istniała już od dawna i w związku z tym cała prywatna żegluga się skończyła. Statki kompanii odchodziły tylko w okresie uważanym za najkorzystniejszy dla odpłynięcia Przylądka Burz, jak określano Przylądek Dobrej Nadziei. Jednym ze statków, który miał wyruszyć wraz z całą flotyllą, był „Ter Schilling”, trójmasztowiec; po zdjęciu z niego całego osprzętu stał teraz uwiązany przy nabrzeżu.

Filip odnalazł kapitana i powiedział mu, że chciałby pływać pod jego dowództwem, aby się uczyć marynarskiego rzemiosła. Kapitanowi spodobał się jego wygląd, a kiedy Filip nie tylko zgodził się pracować na statku bez zapłaty, ale był nawet gotów uiścić opłatę jako praktykant uczący się zawodu, przyrzekł zamustrować go w stopniu drugiego oficera, z prawem jądania w kajucie kapitańskiej. Obiecał także zawiadomić go, kiedy okręt będzie miał odpłynąć. Zrobiwszy (wszystko co mógł dla wypełnienia swej przysięgi, Filip postanowił wracać do domu. I znowu znalazł się przy Aminę.

Pomiędzy okres dwóch miesięcy, w czasie których Mynheer Poots dalej pracował w swym zawodzie, rzadko przebywając w domu, a para naszych przyjaciół godzinami pozostawała sam na sam. Miłość Filipa do Aminę dorównywała jej miłości do niego. Było to wzajemne oddanie, wzrastające z dnia na dzień. Któż

mógł być bardziej uroczy, bardziej ponętny niż dumna, a mimo to czuła Aminę? Niekiedy Filip się zasepiał, gdy (myślał o mrocznej przyszłości, jaka go czekała. Ale uśmiech Amine rozpraszał rjego ponury nastrój i wnet zapomniał o wszystkim. Aminę inie kryła się ize swym uczuciem, okazywała je w Ikażdym isłowie i każdym geście. Tak minęły dwa miesiące, kiedy pewnego razu ksiądz Seysen, który często przychodził udzielać Aminę nauki wiary, wszedłszy ujrzał iją w ramionach Filipa.

— Moje dzieci — powiedział — przyglądam się wam od pewnego czasu. To nie jest dobrze, Filipie. Jeżeli zamierzasz się ożenić, to jest niebezpieczne. Muszę połączyć Wasze dłonie.

Filip drgnął.

— Na pewno nie zawiodę się na tobie, mój synu — ciągnął ksiądz.

— Nie, wielebny księże, ale błagam was — zostawcie minie teraz samego. Możecie przyjść jutro, wtedy wszystko będzie zdecydowane. Mutezę porozmawiać z Aminę.

Ksiądz wyszedł, Amine i Filip pozostali sami. Policzki Aminę rumieniły się i bladły, serce jej biło, gdyż żidawała sobie spirawę, że waży się jej szczęście.

— Ksiądz ma rację, Amine — powiedział Filip siadając obok niej. — Tak dłużej trwać nie może, nawet gdybym mógł pozostać iz tobą na zawsze. Jakże okrutny jest mój los! Wiesz, że uwielbiam każdą piędź ziemi, po której stąpasz, lecz mimo to nie śmiem cię prosić, abyś poślubiła nieszczęście.

— Poślubienie ciebie nie byłoby poślubieniem nieszczęścia — odparła Aminę ze spuszczoneymi oczyma.

— To by nie było szlachetnie, Aminę. Byłbym samolubem.

— Będę mówić z tobą szczerze, Filipie. Po_

wiadasz, że minie kochasz. Nie wiem, jaka jest miłość mężczyzny, ale wiem, jak ja patrafię kochać. Uważam, że pozostawienie mnde teraz samej byłoby z twojej strony samolubstwem. Bo, Filipie, ja... ja bym. (umarła. Mówisz, że musisz iść w świat, że los tego żąda i twoja nieszczęsna tajemnica. Niech tak będzie, ale czy nie mogłabym pójść razem z tobą?

— Pójść ze mną, Aminę? Na śmierć?

— Tak, na śmierć, bo czymże jest śmierć, jeśli nie wyzwoleniem! Nie boję się śmierci, Filipie. Boję się tylko utracić ciebie. Poza tym, czyż twoje życie tnie jest w rękę (tego, który stworzył wszystko, cokolwiek istnieje? Dlaczego 'zatem jesteś tak pewny śmierci? Wspomniałeś mi, że zostałeś wybrany do spełnienia jakiegoś zadania. Jeśli jesteś wybrany, to śmierć mniej ci zagraża. Dopóki nie osiągniesz celu, jeśliś wybrany, musisz żyć. Chciałabym, Filipie, znać twoją tajemnicę. Rozum niewieści mógłby ci być pomocny, a gdyby nawet ci nie pomógł, czyż nie jest miło dzielić zarówno smutek, jak i radość z kimś, kogo, jak mówisz, kochasz do szaleństwa?

— Najdroższa Aminę, właśnie moja gorąca miłość powstrzymuje mnie od tego, gdyż... Och, Aminę, jakąż radość odczuwałbym, gdybyśmy mogli już teraz połączyć się węzłem małżeńskim. Sam nie wiem, co począć. Gdybyś była moją żoną, nie mógłbym nie wyjawić ci mej tajemnicy, a z drugiej strony — nie poślubię cię, izanim jej nie poznasz. Dobrze więc, Aminę, rzucam wszystko na łaskę losu. Poznaj tę tajemnicę, dowiedz się, jaki ze mnie nieszczęśnik, choć nie z własnej winy, a wtedy sama zdecydujesz. Ale pamiętaj, że Bóg przyjął moją przysięgę i nie wolno mnie od niej odwozdić. Pamiętaj o tym i wysłuchaj mej opowieści. Potem, jeżeli się zdecydujesz poślubić czło-

wieka, który ma przed sobą tak gorzką przyszłość, będzie to dla mnie krótkotrwałym szczęściem, ale dla ciebie, Aminę...

— Natychmiast, Filipie! Wyjaw natychmiast tę tajemnicę — zawołała niecierpliwie Aminę.

Filip opowiedział z wszystkimi szczegółami historię, którą czytelnicy już znają. Aminę słuchała w milczeniu. Przez cały czas opowiadania nie można było dostrzec najmniejszej zmiany w wyrazie jej twarzy. Na zakończenie Filip wyrecytował przysięgę, którą był złożył.

— To wszystko — powiedział.

— Dziwna historia, Filipie. Posłuchaj mnie... Ale najpierw daj mi tę relikwię, chcę jej się przyjrzeć. Czyżby ten przedmiot posiadał taką moc czynienia dobra? Omal nie powiedziałam — spowodowania biedy. To dziwne, wybac mi, Filipie, ale ja osobiście mam pewne wątpliwości co do tej opowieści o Iblisie*. Wiesz, że nie jestem mocna w wierze, której nauczyliście mnie ty i proboszcz. Nie twierzę, że to nie może być prawdą, ale komuś tak jeszcze nie ugruntowanemu w religii jak ja można wybaczyć tę niepewność. Przyjmijmy jednak, że to wszystko jest prawdą. W takim razie nawet bez przysięgi spełniłbyś tylko swoją powinność. I nie uważaj Aminę za tak małąstkową, aby móc sądzić, że będzie cię powstrzymywać od czegoś, co jest słuszne. Nie. Szufejaj ojca i jeśli on żąda od ciebie pomocy, a ty potrafisz mu pomóc, ratuj go. Ale czy sobie wyobrażasz, że takie zadanie uda ci się spełnić za pierwszą próbą? O, nie! Jeśli w taki sposób zostałeś wybrany, aby tego dokonać, będziesz chroniony wśród przeciwności losu, dopóki nie dopniesz celu. Będziesz chroniony

* Iblis — według wierzeń muzułmańskich — diabeł, zły duch, szatan.

i będziesz tu powracać, aby znaleźć otuchę, czułą opiekę i miłość Aminę jako twojej żony. A kiedy *On* zechce odwołać cię z tego świata, pamięć o tobie, jeśli Aminę cię przeżyje, Filipie, będzie równie czule pielęgnowana w jej sercu. Pozostawięś mnie decyzję, najdroższy Filipie — jestem twoja.

Wyciągnęła do niego /ramiona, a Filip przycisnął ją do piersi.

Tegoż wieczora poprosił o jej rękę, a Mynheer Poots, jak tylko Filip otworzył schowek i pokazał mu swe pieniądze, wyraził zgodę.

Nazajutrz przyszedł ksiądz Seysen i otrzymał odpowiedź Fdilipa. Trzy dni potem dzwony kościoła w Terneuzen radosnym biciem obwieszczały związek Amime Poots z Filipem Vanderdeckenem.

ROZDZIAŁ 7

Dopiero późną jesienią wyrwało Filipa z miłosnego snu wezwanie od Ikapitana statku, który go zamustrował na rejs. Od pierwszego dnia, kiedy Aminę została jego żoną, Filip przestał rozmyślać o swym losie; niekiedy przypominał sobie, ale odpychał tę myśl i znowu zapominał na jakiś czas. Uważał, że wystarczy, jeśli wypełni swoje zobowiązanie, gdy nadejdzie pora. Godzimy uciekały, mijał dzień po dniu, tydzień po tygodniu i miesiąc po miesiącu, Filip zapominał o swej przysiędze w ramionach Almine, gdyż ona strzegła się, by nie powracać do tematu, który zachmurzyłby czoło

jej męża. Raz czy dwa razy Poots poruszał sprawę wyjazdu Filipa, ale — skarcony surową miną i zakazem Aminę — milknął; chętnie spędzał wolny czas na spacerowaniu po bawialni, z oczyma wlepionymi w serwantki, w których srebrne kufle z pokrywkami lśniły pełnym blaskiem.

Pewnego październikowego ranka ktoś zapukał do drzwi domlki. Ostrożność ta wskazywała na kogoś obcego, więc Aminę wyszła otworzyć.

— Chciałbym się widzieć z młodym panem Filipem Vanderde!cikenem — powiedział obcy niemal szeptem.

Człowiek, który w ten sposób przemówił do Aminę, był chudym osobnikiem odzianym jak holenderski marynarz w tamtych czasach. Rysy miał ostre i drobne, twarz trupio białą, blade wargi, a włosy ni to ryże, ni to białe. Nikły zarost nie pozwalał określić jego wieku. Mógł być słabowitym' młodzieńcem o zrujnowanym zdrowiu albo starym człowiekiem, czerstwym, ale wychudzonym. Najważniejszym jednak szczegółem, który przykuł uwagę Aminę, było oko tego osobnika — gdyż miał tylko jedno. Prawe było pozbawione gałki i miało zamkniętą powiekę, ale lewe było nienaturalnie duże w proporcji do twarzy i głowy, wysadzone na wierzch, jasne i wodniste. Wyglądało obrzydliwie nie osłonięte rzęsami ani z góry, ani z dołu. Było to tak uderzające, że patrząc na tego człowieka widziało się tylko jego oko i nie zwracało się uwagi na nic innego. To nie był człowiek z jednym okiem, lecz oko z doczepionym do niego człowiekiem. Jego postać, podobnie jak wieża latarni morskiej, nie miała żadnego znaczenia i nie wzbudzała większego zainteresowania niż zainteresowanie marynarza konstrukcją podtrzymującą latarnię. A jed-

nak, przyjrząwszy się bliżej, można było dostrzec, że mężczyzna ten, choć niski, był kształtnie zbudowany; jego dłonie miały irana barwę niż u prostych marynarzy, rysy, chociaż ostre, były regularne, w mmiżonym obejściu był pewien ton wyższości, a w całym jego wyglądzie — coś nieokreślonego, co przejmowało lekkiem. Aminę przez chwilę wpatrywała się w gościa, czując w sercu jakiś chłód, którego nie umiała sobie wytłumaczyć, po czym poprosiła go, aby wszedł do środka.

Filip był zaskoczony widokiem obcego, który bez słowa usiadł obok niego na kanapie, na miejscu, gdzie przed chwilą siedziała Aminę. Natychmiast przypomniał sobie wszystko, co się wydarzyło, i zrozumiał, że odwołują go od radosnej, beztroski egzystencji do życia wypełnionego działaniem, niebezpieczeństwem i cierpieniem. Uderzyło go to, że poczuł chłód w całym ciele, gdy mały człowieczek usiadł przy nim. Krew odpłynęła mu z twarzy, ale nic nie mówił. Przez chwilę panowało milczenie. Jednooki gość rozejrzał się dookoła i zatrzymał wzrok na stojącej przed nim Aminę. W końcu ciszę przerwał jego chichot, zakończony słowami:

— Filipie Vanderdeckem... He, He! Filipie VanderdeiOken, nie znasz mnie?

— Nie znam — odparł Filip tonem na pół gniewnym.

Głos drobnego mężczyzny był podobny do stłumionego pisku, którego echo dźwięczało jeszcze długo po tym, jak przestał mówić.

— Jestem Schriften, jeden z pilotów „Ter Sehillinga” — ciągnął dalej. — I przychodzę... he, he!... aby cię oderwać od miłości. — Patrząc na serwamitki dodał: — He, he! Od wygod i od tego — krzyknął wstając z kanapy i tupiąc nogą w podłogę — o d t e r r a f i r-

ma... he, he!... może do wodnego grobu. Przyjemne, co? — mówił dalej i ze znaczącym wyrazem twarzy wpił się swym okiem w twarz Filipa.

Pierwszym odruchem tego ostatniego było wyrzucić gościa za drzwi, ale Aminę, stojąc przed niskim człowieczkiem, skrzyżowała ręce na piersiach, zmierzyła go wzgardliwym spojrzaniem i powiedziała:

— Nikogo nie ominie jego los, a czy na ziemi, czy na morzu, śmierć wszystkim nam jest sądzona. Jeśli śmierć zajrzy mu w oczy, Filip Vanderdecken nigdy nie 'zblednie tak, jak bla-
dzi wy jesteście.

— Oczywiście! — odparł Schriften wpatrując się swym jednym okiem w srebrny ołtarzyk Matki Bożej na gzymsie kominka. — Widzę, że jesteście katolikami, he!

— Jestem katolikiem — odparł Filip — ale co to was obchodzi? Kiedy odpływa okręt?

— Za tydzień. He, he! Tylko tydzień na przygotowanie się, tylko siedem dni na rozstanie się ze wszystkim. Krótki termin.

— Więcej niż potrzeba — uciął Filip. — Możecie powiedzieć kapitanowi, że się stawię. Chodź, Aminę, nie traćmy czasu.

— Nie — zaprotestowała Amine. — Pierwszym naszym obowiązkiem jest gościnność. Mynheer, czy można was poczęstować posiłkiem po tak długim marszu?

— Od dziś za tydzień — mruknął Schriften, zwracając się do Filipa.

Filip skinął głową, a mały człowieczek opuścił izbę i wkrótce zniknął im z oczu.

Aminę opadła na kanapę. Dla zapamiętałej w miłości, choć bohaterkiej kobiety godzina szczęścia została przerwana zbyt nagle i zbyt okrutnie. W słowach i zachowaniu jednookiego posłańca była jakaś zjadliwość, sprawiająca

wrażenie, jakby wiedział więcej niż inni, co stropiło ją i Filipa. Aminę nie płakała, ale zakryła twarz dłońmi, podczas gdy Filip przemierzał krokami izbę. Na nowo, z całą wyrazistością przypomniał sobie na wpół zapomniane zdarzenia. Na nowo wchodził do nieszczęsnej izby i znowu było w niej mroczno. Haft leżał u jego stóp i odskoczył jak wtedy, gdy ujrzał list leżący na podłodze.

Obudzili się z przeżywanego obecnie snu szczęścia i wzdrygnęli się na myśl o przejmującej grozą przyszłości, która im się ukazała. Wystarczyło parę milnuit, aby Filip odzyskał równowagę ducha. Usiadł obok swojej Aminę i wziął ją w ramiona. Tak siedzieli w milczeniu. Każde z nich znało aż nadto dobrze myśli drugiego. Opancerzali swe serca, zbierali całą odwagę, aby móc się pogodzić z przeświadczeniem, że będą musieli być rozdzieleni na tym świecie — na pewien czas, a może na zawsze.

Pierwsza odezwała się Aminę. Rozluźniając uścisk ramion, którymi obejmowała męża, przyłożyła dłoń do serca i powiedziała:

— To z pewnością nie był posłaniec z tego świata, Filipie. Czy nie czułeś chłodu przenikającego do szpiku kości, kiedy przy tobie usiadł? Ja to poczułem, kiedy wchodził.

Filip, który myślał o tym samym, ale nie chciał jej trwożyć, odpowiedział z zakłopotaniem:

— Skądżeż, Aminę, fantazjujesz. To znaczy, jego nagłe pojawienie się i dziwne zachowanie sprawiły, że tak ci się wydało. Ja widziałem w nim tylko człowieka, który wskutek swej szpetoty znalazł się poza nawiasem społeczeństwa, odsunięty od szczęścia, od uśmiechów płci odmiennej, bo któraż niewiasta mogłaby się uśmiechnąć do tego potwora? Gorycz wezbrała w nim na widok takiej piękności w ra-

mionach innego. Odczuwał złośliwą przyjemność w oznajmieniu wiadomości, która miała przerwać te rozkosze, dla niego niedostępne. Możesz być pewna, że to nie było nic innego.

— A nawet gdyby moje domysły były trafne, co to ma za znaczenie? — odparła Aminę. — Nie może być już nic gorszego, nic, co by mogło uczynić twoją sytuację bardziej rozpaczliwą. Jako twoja żona mam teraz mniej odwagi niż wtedy, gdy tak chętnie godziłam się ciębie poślubić. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak wiele utracę. Nie obawiaj się jednak, choć tak modno to odczuwam, jestem przygotowana i zairazem dumna, że ten, który został wybrany do takiego dzieła, jest moim mężem. — Przerwała. — To chyba niemożliwe, żebyś się pomylił, Filipie?

— Nie, Aminę, nie pomyliłem się ani jeśli chodzi o wezwanie, ani co do mojej odwagi, ani wreszcie co do tego, jaką żonę wybrałem — odparł smutno Filip, obejmując ją ramieniem. — To jest wola Boga.

— Niech się więc stanie według niej — odparła Amine. — Pierwszy ból minął. Czuję się już lepiej, Filipie. Twoja Aminę zna swoją powinność.

Filip nie odpowiedział, ona zaś mówiła dalej.

— Tylko jeden krótki tydzień, Filipie.

— Chciałbym, aby to był tylko jeden dzień. Byłby wystarczająco długi. Za wcześnie przyszedł ten jednooki dziwoląg.

— Nie, nie, Filipie, jestem mu wdzięczna za ten tydzień. To i tak za mało czasu, abym się odzwyczaiła od szczęścia. Zapewniam cię, że gdybym miała cię dręczyć i osłabiać twe męstwo łzami, modlitwami lub wymówkami, jak by to uczyniła niejedna żona, jeden dzień wystarczyłby aż nadto na pokaz mojej słabości, a twego cierpienia. Ale nie, Filipie, twoja Arcii-

ne zna swój obowiązek. Musisz odejść jak dawny rycerz na niebezpieczne spotkanie, może na śmierć. Aminę cię uzbroi i okaże ci swoją miłość dopinając starannie zbroję, aby cię ochronić przed niebezpieczeństwem., i będzie patrzyła, jak odchodzisz, pełna ufności, wyglądając twego powrotu. Tydzień, to nie za długo, jeśli będzie wykorzystany tak, jak ja go wykorzystam. Tydzień na wzajemną wymianę uczuć, na słuchanie twego głosu, na wsluchiwanie się w twoje słowa, na przemyślanie i sycenie nimii mojej miłości, gdy ciebie już nie będzie, a ja zostanę osamotniona. Nie, Filipie, dziękuję Bogu, że pozostał nam jeszcze tydzień.

— A więc ja także, Aminę. Wiedzieliśmy zresztą, że to musi nastąpić.

— Tak, ale moja miłość była tak potężna, że odpędziła pamięć.

— W czasie naszej rozłąki twoja miłość, Aminę, musi się karmić pamięcią.

Aminę westchnęła. Tu ich rozmowę przerwało wejście Mynheer Pootsa, który, uderzony zmianą w twarzy córki, wykrzyknął:

— Na proroka! Co się tu znowu dzieje?

— Nic ponad to, o czym wiedzieliśmy już wcześniej — odparł Filip. — Niedługo was opuszczę, okręt odpływa za tydzień.

— O, odpływasz za tydzień?

Twarz starca miała szczególny wyraz, kiedy usiłował ukryć przed Aminę i jej mężem radość, jakiej doznał na wieść o wyjeździe Filipa. Stopniowo przybierał poważną minę i powiedział:

— To bardzo smutna nowina... tak.

Aminę i Filip nie odpowiedzieli i wyszli z izby.

Pomińmy milczeniem ten tydzień, wypełniony przygotowaniem do wyjazdu Filipa. Ami-

ne," zasypiając w ramionach męża, liczyła godziny, które im jeszcze pozostały, albo leżąc rozbudzona, kiedy wicher zawodził, drżała na myśl o tym, czemu Filip będzie musiał stawić czoła. Tydzień ten dłużył się, choć im się zdawało, że czas mija szybko, i odczuli ulgę, gdy nadszedł poranek, który miał ich rozłączyć. Nareszcie mogli dać upust uczuciom, nad którymi oboje panowali, jedno przez wzgląd na drugie. Napięte nerwy doznały odprężenia, pewność położyła kres stanowi zawieszenia w próżni, a pozostała nadzieja, aby rozjaśnić ciemny horyzont przyszłości.

— Filipie — powiedziała Amime, gdy usiedli ze splecionymi rękami — nie będę tego tak mocno odczuwać, kiedy już odjedziesz. Nie zapomniałam, że mówiłeś mi o tym wszystkim, zanim się pobraliśmy, i że w imię mojej miłości podjęłam ryzyko. Serce często mi mówi, że powrócisz, ale może mnie zwodzić. Może powrócisz, ale nie za życia. Będę czekała na ciebie w tej izbie, będę siadywać na tej kanapie, a jeśli nie będziesz mógł stanąć przede mną żywy — och, nie odmawiaj ukazania mi się po śmierci! Nie będę się bała burzy ani okien otwierających się z trzaskiem! O nie! Powitam z radością nawet twego ducha. Jeszcze raz cię proszę, pozwól mi tylko cię ujrzeć, pozwól mi się upewnić, że umarłeś, a wtedy będę wiedziała, że nie mam już po co dłużej żyć na tym świecie i pospieszę połączyć się z tobą w krainie szczęścia. Przyrzeknij mi, Filipie.

— Przyrzekam ci wszystko, o co prosisz — byleby Bóg mi na to pozwolił. Ale, Amine — i wargi mu drżały — nie mogę już... Boże miłosierny, co za udręka! Amine, muszę już odejść.

Wpatrywała się w męża, nie mogła mówić.

Twarz miała kohnwulsyjnie ściągniętą, siły fizyczne nie mogły dłużej wytrzymać naporu uczuć; osunęła mu się w ramiona i tak pozostała bez ruchu. Filip, gdy miał złożyć na jej ustach ostatni pocałunek, spostrzegł, że zemdląca.

— Teraz nic nie czuje — powiedział układając ją na kanapie. — Lepiej, że tak się stało. I tak zbyt wcześnie się obudzi, aby odczuć boleść.

(Wezwał na ratunek Myinheer Pootsa, który był w przyległej izbie, po czym porwał kapelusz, jeszcze raz ucałował ją w czoło, wypadł z domu i zniknął, zanim Aminę odzyskała przytomność.

ROZDZIAŁ 8

Zanim podążymy śladami Filipa Vanderdeckena, należy odświeżyć pamięć czytelników przypominając pokrótce okoliczności, jakie skierowały przedsiębiorczość Holendrów ku krajom Wschodu, które okazały się dla nich źródłem bogactw — niewyczerpanych, jak sądzili.

Karol V, władca większej części Europy, wycofał się ze świata dla powodów najlepiej wiadomych jemu samemu i podzielił swoje królestwa między Ferdynanda i Filipa. Ferdynandowi dał Austrię wraz z podległymi jej terytoriami, Filipowi — Hiszpanię. Aby jednak

podział był równy i do przyjęcia przez Filipa, dorzucił mai jeszcze Niderlandy. Kiedy ku własnemu zadowoleniu rozporządził w ten sposób losami swych bliźnich śmiertelników, sam poszedł do klasztoru, zachowując dla siebie niewielkie dochody, dwunastu ludzi i kucyka. Czy później wyrzekł się ze skrucą ulubionej rozrywki, czy też dosiadał kucyka, nie wiadomo, ale po dwóch latach umarł.

Filip uważał, że ma prawo robić ze swoją własnością, co mu się podoba. Odebrał Holendrom większość ich swobód i w zamian podarował im Inkiwizycję. Ale Holendrzy zaczęli sarkać, a Filip, aby skończyć z tym sarkaniem, spalił pewną ich liczbę. Na to Holendrzy zaprotestowali przeciwko religii, która była zbyt gorąca dla ich temperamentów. Krótko mówiąc, herezja czyniła duże postępy i książe Alba został wysłany na czele wojsk, aby udowodnić Holendrom, że Inkwizycja jest najlepszym z wszystkich możliwych rozwiązań i że lepiej, aby człowiek smażył się przez pół godziny na tym świecie niż przez wieczność na tamtym.

Ta różnica poglądów była przyczyną wojny, która trwała osiemnaście lat i, oszczędziwszy setkom tysięcy ludzi kłopotu umierania we własnym łóżku, zakończyła się ogłoszeniem niepodległości Siedmiu Zjednoczonych Prowincji. A teraz musimy się znowu cofnąć.

W ciągu stu lat od odkrycia przez Vasco da Gama przejścia dookoła Przylądka Dobrej Nadziei Portugalczycy wiedli spory z innymi narodami. W końcu obudził się awanturniczy duch w Anglikach. Portugalczycy rościli sobie wyłączne prawo do korzystania z drogi do Indii dookoła Przylądka i bronili tego prawa. Wobec tego angielscy poszukiwacze przygód skoncentrowali całą swą uwagę na odkryciu

północno-zachodniej drogi *do* Indii, w korzystaniu z której Portugalczycy nie mieliby prawa im przeszkadzać, i większa część szesnastego stulecia upłynęła na bezowocnych próbach odnalezienia tej drogi.

Po paru nieudanych wyprawach, na czele flotyli okrętów stanął Drake. Ten odważny żeglarz dokazał więcej, niż mogli się spodziewać najwięksi optymiści. Powrócił do Anglii w maju 1580 roku, po podróży, która trwała trzy lata. Przywiózł do kraju wiele bogactw i zawarł korzystny układ z królem Wysp Moluckich. W ślad za jego udaną wyprawą nastąpiły w 1600 roku dalsze — Cavendisha i innych. Angielska Kompania Indii Wschodnich uzyskana od rządu pierwszą kartę przywilejów i od pięćdziesięciu lat prowadziła handel ze zmiennym szczęściem.

W czasach gdy Holendrzy byli wasalami korony hiszpańskiej, mieli zwyczaj udawać się do Lizbony po towary pochodzące ze Wschodu, a następnie rozprowadzać je po całej Europie. Kiedy jednaki zadarli z Filipem, nie pozwolono im być dłużej detalistami jego indyjskich towarów. Domagając się uznania swej niepodległości i walcząc o nią, jednocześnie organizowali wyprawy do Indii. Powiodło im się — w 1602 roku rząd zorganizował różnych kupców w jedną kompanię, na tych samych zasadach i w tej samej formie, jakie były ustanowione w Anglii.

W czasach, do których powracamy, Anglicy i Holendrzy prowadzili handel na wodach indyjskich od pięćdziesięciu lat, a Portugalczycy utracili niemal całkowicie swoją potęgę wskutek przymierzy, jakie ich rywale zawarli z władcami Wschodu, którym dała się we znaki chciwość Portugalczyków.

Mimo że Holendrzy byli zobowiązani wobec

Anglików za pomoc, jaką uzyskali od nich w swej walce o niepodległość, nie wyglądało na to, aby ich wdzięczność miała się rozciągać poza Przylądek. Po drugiej jego stronie Portugalczycy, Anglicy i Holendrzy przechwytywali okręty jedni drugim i nie istniało tam żadne prawo poza prawem siły. Zwracano się do metropolii o interwencję, ale miewała ona tylko ten skutek, że wzniecała papierową wojnę. Było oczywiste, że żadna ze stron nie ma słuszności.

W 1650 roku Cromwell zawładnął tronem angielskim. W rok później, po bezskutecznym domaganiu się od Holendrów zadośćuczynienia za zabójstwo swego ambasadora, zamordowanego w tymże roku, oraz jakiejś rekompensaty za okrucieństwa dokonane na Anglikach w Amboyne trzydzieści lat wcześniej, wypowiedział wojnę Holandii. Aby dowieść, że to nie czcze pogrozki, zagarnął trzysta okrętów holenderskich. Wtedy Holendrzy poczęli szkować się do wojny. Blake i Van Tromp starli się ze sobą, bitwy morskie były zacięte. W historii Anglii niezmiennie przyznaje się zwycięstwo Anglikom, ale w historii Holandii — Holendrom. Bitwy te były tak zażarte, że w każdym wypadku obie strony dostawały mocne cięgi. W 1654 roku podpisano pokój. Holender przyrzekł „zdejmować kapelusz”, ilekroć spotka Anglika na pełnym morzu. Był to akt kurtuazji, przeciwko któremu Mynheer nie protestował, ponieważ to nic nie kosztowało.

Kiedy już opisaliśmy szczegółowo rozwój sytuacji aż do czasu wyruszenia Filipa na morze, będziemy snuć dalej naszą opowieść.

Opuściwszy próg swego domu Filip oddalał się pospiesznie, jakby chciał uciec przed bolesnymi myślami. Po dwóch dniach dotarł do Am-

sterdaimiu, gdzie pierwszą jego czynnością było wystaranie się o stalowy łańcuszek, aby zastąpić nim wstążeczkę, na której zawiesił był sobie na szyi relikwię. Po załatwieniu tej sprawy pospieszył zaokrętować się na „Ter Schilliinga”. Nie zapomniał wziąć z sobą pieniędzy, które zgodził się zapłacić kapitanowi za przyjęcie go na okręt jako praktykanta. Wziął też pewną sumę na własne wydatki. Był późny wieczór, kiedy przybył na „Ter Schilliinga”, który stał na kotwicy pośród innych okrętów flotyli indyjskiej. Kapitan, nazwiskiem Kloots, przyjął go uprzejmie, wskazał mu jego kaję, po czym zszedł do ładowni, aby zdecydować coś w sprawie ładunku, pozostawiając Filipa własnym rozmyślaniom na pokładzie.

Oto jest okręt, pomyślał Filip spoglądając przed siebie, na którym mam dokonać pierwszej próby. Pierwszej i... może ostatniej. Jak mało mają pojęcia o celu mojego zaokrętowania ci, z którymi mam niedługo odpłynąć. Czy szukam fortuny? Nie. Ozy może wyruszam w świat dla zaspokojenia ciekawości i niespokojnego ducha? Nie. Szukam duchowej łączności ze zmarłym. Ozy mogę się z nim spotkać bez narażania na niebezpieczeństwo siebie i tych, którzy płyną ze mną? Sądzę, że nie, bo mogę go osiągnąć tylko w śmierci. Gdyby się domyślali moich zamiarów, czy pozwoliliby mi pozostać na okręcie? Przesądni, jak zwykle marynarze, gdyby znali moją misję, mogliby znaleźć wystarczające usprawiedliwienie nie tylko dla swego przesądu, ale również dla pozbycia się człowieka mającego tak straszne zadanie do spełnienia. Bóg tylko, jeśli okaże wytrwałość, może rozwiązać tę tajemnicę. Myśli Filipa wróciły do Aminę. Z rakami skrzyżowanymi na piersi i wzrokiem wzniesionym ku

niebu zdawał się obserwować pędzone wiaitrem obłoki.

— Czy nie powinienes już zejść na dół? — zapytał ktoś łagodnym głosem.

Był to pierwszy oficer, Hillebramt, krępy trzydziestoletni mężczyzna. Jasne jak len włosy spływały mu na ramiona, cerę miał delikatną i jasnyniebieskie oczy. Choć jego powierzchowność miała w sobie mało z żeglarza, niewielu znało i wykonywało lepiej obowiązki swojego zawodu.

— Dziękuję — odparł Filip. — Zamyśliłem się, zapomniałem, gdzie jestem. Byłem myślamy daleko stąd. Dobranoc i dziękuję bardzo.

„Ter Schilling” różnił się swą budową i wyposażeniem od dzisiejszych statków. Był fregatą o nośności czterystu ton. Dno miał prawie płaskie, a burty pochylone do środka, tak że górne pokłady nie miały nawet połowy szerokości, ładowni.

Załoga „Ter Schillinga” składała się z kapitana, dwóch oficerów, dwóch pilotów i czterdziestu pięciu marynarzy. Supercargo dotychczas nie przybył na okręt. Kajuta armatorska była przeznaczona dla niego, a kajuta na pokładzie głównym dla kapitana i oficerów, którzy byli jedynymi stołowiniikami mesy kapitańskiej.

Kiedy Filip obudził się nazajutrz rano, spostrzegł, że marsie są postawione, a kotwica znajduje się w pionie. NieMóre z pozostałych okrętów flotylii wybierały kotwicę i wychodziły w morze. Kapitan, Mymheer Klootis, stał na rufie z lunetą przy dku i patrzył w kierunku miasta. W zębach trzymał fajkę, a dym, który wydmuchiwiał, przesłaniał szkła lunety. Filip wszedł po schodni rufowej i pozdrowił go.

Mynheer Kloots **był** męitózyzną o dość po-

teżneg postaci i nosił ubiór, który go jeszcze pogrubiał. Za wierzchnią odzież służyły mu: czapa z lisiego futra, spod której wyglądał rąbek czerwonej szlafmicy szydełkowej roboty, czerwona pluszowa kamizelka z metalowymi guzami, kaftan z zielonego sukna, na którym miał drugi, obszerniejszy, z niebieskiego sukna, sięgający tak nisko jak spencer. Nosił spodnie do kolain z czarnego pluszu, jasnoniebieskie włóczkowe pończochy i buciki ze srebrnymi kłamrami. Przepasany był pasem, spod którego zwisał w fałdach niemal do kolan brezentowy fartuch. W pochwie ze skóry rekina wisiał u pasa nóż o szerokim ostrzu. Tak wyglądał strój Mynheer Klootsa, kapitana „Ter Schillinga”.

Był on równie wysoki jak tęg. Twarz miał owalną, a rysy drobne w stosunku do rozmiarów Ciała. Szpakowate włosy powiewały na wietrze. Czubek nosa miał ogniście czerwony od częstego sięgania po butelczynę ze sznapssem i od żaru fajki, która rzadiko opuszczała jego wargi, chyba tylko wtedy, gdy o n miał wydać polecenie albo ona miała być nabita.

— Dzień dobry, mój synu — odpowiedział kapitan. — Zwlekamy z wyjściem z powodu supercarga, który, jak się zdaje, nie ma zbytnej ochoty przybyć na okręt. Łódź już od godziny czeka na niego przy brzegu. Wybierzemy kotwicę jako ostatni z flotyli. Szkoda, że Kompania nie pozwala nam pływać bez tych panów, kónzy, moim zdaniem, zawadzają w prowadzeniu initeresów. Ale oni na lądzie są innego zdania.

— Na czym polegają obowiązki supercarga na okręcie? — zapytał Filip.

— Ich obowiązkiem jest pilnować ładunku i handlu, i gdyby się tylko tego trzymali, nie byłoby tak źle, ale wtrącają się do wszystkie-

go, niewiele dbając o cokolwiek poza własnymi wygodami. Na okręcie zachowują się jak królowie, wiedząc, że nie odważymy się ich obrazić. Kompania żąda stanowczo, aby ich przyjmować z wszelkimi honorami. Ich przybycie witamy salutem z pięciu dział.

— Czy wiecie coś, panie, o tym supercargu, na którego czekamy?

— Nic poza pogłoskami. Mój kolega kapitan mówił mi, że on się strasznie boi niebezpieczeństw morza i że jest bardzo przejęty ważnością swojej osoby.

— Ach, żeby już przybył — powiedział Filip. — Tak bym chciał, żebyśmy już wyszli w marze.

— Musisz mieć żyłkę podróżniczą, synu. Słyszałem, że pozostawiłeś wygodny dom i na dodatek ładną żonę.

— Chciałbym poznać świat — odparł Filip. — A poza tym muszę się nauczyć żeglować, zanim kupię okręt i spróbuję zrobić majątek, czego bardzo pragnę. (Niestety, jak bardzo to się różni od moich rzeczywistych pragnień, pomyślał mówiąc te słowa).

— Na morzu robi się majątek i traci się majątek — zauważył kapitan. — Gdybym mógł zamienić ten okręt na porządny dom i kupić guldenów na jego dostatnie utrzymanie, nie zobaczyłbyś mnie tutaj na rufie. Już dwa razy opłynąłem Przylądek, co zazwyczaj wystarczy na jednego człowieka. Trzeci raz może się nie poszczęścić.

— Więc to aż tak niebezpiecznie?

— Tak niebezpieczne, jak niebezpieczne mogą być pływy, prądy, skały i mielizny, silne sztormy i wzburzone morze — nie więcej. Nawet jeśli rzucisz kotwicę w zatoce po tej stronie Przylądka, stojąc na niej trzęsiesz się ze strachu, gdyż wiatr może cię z niej zerwać

i popędzić na otwarte morze albo znieść na brzeg do dzikusów, zalnim załoga zdąży się przyodziać. Ale jak tylko znajdziesz się po drugiej stronie Przylądka, woda płąsa w promieniach słońca, jakby się weseliła, i możesz tygodniami! płynąć pod bezchmurnym niebem, nie potrzebujesz halsować ani ciągnąć brasów, ani wyjmować fajki z ust.

— Do jakich portów będziemy zawijać?

— Co do tego, niewiele ci mogę powiedzieć. Gambrun w Zatoce Perskiej będzie pierwszym punktem zbornym dla całej flotyli. Tam się rozdzielimy — jedni popłyną do Bantamu na Jawie, inni otrzymają polecenie przejścia cieśniny Malaklka po drewno kamforowe, żywicę z drzewa gumowego, żywicę benzoesową i wosk. Mają tam również złoto i kość słoniową na handel zamienny z nami. Z tubylcami trzeba być ostrożnym, Mynheer Vanderdecken. Są okrutni i podstępni, a ich zakrzywione noże są ostre i zatrute śmiertelnym jadem. Kiedyś w tej cieśninie walczyłem zawzięcie z Portugalczykami i Anglikami.

— Ale obecnie utrzymujemy z nimi pokojowe stosunki.

— To prawda, ale po opłynięciu Przylądka nie można dowierzać dokumentom podpisanym w' kraju, a Anglicy naciskają nas mocno i depczą nam po piętach, gdziekolwiek się ruszymy. Trzeba im przytrzeć rogów i podejrzewam, że nasza flotylla dlatego jest tak dobrze wyekwipowana, że przewiduje się działania wojenne.

— Jak sądzicie, panie, ile czasu może nam zabrać ta podróż?

— To zależy, ale myślę, że ze dwa lata. Oczywiście, jeżeli nie zostaniemy przetrzymany przez agentów dla jakichś działań bojo-

wych, ozego się właśnie spodziewani — to może krócej.

Dwa larta z dala od Aminę! — pomyślał Filip i westchnął, gdyż czuł, że ich rozłąka może być rozłąką na zawsze.

— Nie, mój synu, dwa lata to niedługo — mówił Mynheer Kloots. — Raz byłem pięć lat poza domem i nie poszczęściło mi się, gdyż nie przywiozłem do kraju nic, nawet mego okrętu. Wysłano minie do Ozitaigong na wschodnim wybrzeżu Zatoki Bengalskiej i trzy miesiące stałem na rzece. Wodzowie tego obszaru zatrzymali minie siłą; nie chcieli wymieniać swoich towarów na mój ładunek ani nie pozwalali mi szukać innego rynku zbytu. Wyładowano mi proch, więc nie mogłem stawiać oporu. Robactwo zżerało okręt, tak że w końcu zatonał stojąc na kotwicy. Wiedzieli dobrze, że tak się stanie i że będą mieć mój ładunek po takiej cenie, jaką im się spodoba wyznaczyć. Inny okręt zabrał nas do kraju. Gdyby mnie nie urządzili w tak podstępny sposób, nie potrzebowalibyśmy płynąć tym razem. Obecnie moje zarobki są niskie, gdyż Kompania zabrania handlować czymkolwiek. No, nareszcie się zjawili! Podnieśli w łodzi flagę służbową. Odbili. Mynheer Hillebrant, proszę dopilnować, aby kanonierzy mieli lonty w gotowości do oddania salwy na cześć supercargo.

— Jakie obowiązki życzyte sobie, panie, na minie nałożyć? — zapytał Filip. — W czym mogę się przydać?

— Póki co, na wiele się nie przydasz, chyba że będziemy mieli takie wiatry, w czasie których każda para rąk jest cenna. Jeszcze przez jakiś czas musisz się przyglądać i uczyć, ale możesz sporządzać odpis dziennika prowadzonego dla kontroli Kompanii i możesz mi pomagać w różnych rzeczach, jak tylko miną mdłość-

ci, które odczuwają ci, co się po raz pierwszy zaokrętowali. Jako sposób przeciwko temu radziłbym ci opasać się mocno chustką, aby ścisnąć żołądek, i zaaplikować sobie sznapsa, który oddaję do twojej dyspozycji. No, ale teraz trzeba powitać pełnomocnika najpotężniejszej Kompanii. Mynheer Hillebrant, niech odpalą z dział.

Wystrzelono z armat, a kiedy dym się rozwiął, łódź przybiła do burty. Fiiip wypatrywał pojawienia się supercargo, ale ten nie opuszczał łodzi, dopóki skrzynie opatrzone inicjałami i godłami Kompanii nie dostały podane na pokład. Na koniec sam się ukazał.

Był to mały mężczyzna o zasuszonej twarzy. Na głowie miał trójgranaasty kapelusz obsyty złotym galonem, spod którego spływały na plecy pukle falującej peruki. Ubrany był w kaftan z kanmaizynowego aksamitu z szerokimi połami i białą jedwabną kamizelkę w barwne kwiaty, sięgającą do połowy uda. Spodnie miał czarne atlasowe, a nogi w białych jedwabnych pończochach. Do tego dodajmy złote sprzączki u kolan i u bucików, koronkowe mankiety, okutą w srebro laskę w rękę — i oto czytelnik będzie miał cały strój Mynheer Jacoba Janza Von Strooma, supercargo Czigodtnej Kompamii, wyznaczonego na okręt „Ter Schilliing”.

Gdy, stojąc w otoczeniu kapitana, oficerów i załogi, rozglądał się dookoła, mógłby czytelnikowi przywieść na pamięć portret „Małpy, która zwiedziła świat”, w otoczeniu swoich krewniaków. Żaden z marynarzy nie był skłonny śmiać się z jego falującej peruki, gdyż w tamtych czasach strój wzbudzał szacunek. I mimo że Mynheer Von Strooma nie można było wziąć za marynarza, wszyscy wiedzieli, że jest on supercargo Kompanii i wielką fi-

gura. Okazywali mu głęboki szacunek, należny tak ważnej osobistości.

Mynheer Von Stroom nie objawiał ochoty do dłuższego pozostawania na pokładzie. Poprosił, aby go zaprowadzono do kajuty i udał się za kapitanem na rufę. Drzwi kajuty otworzyły się i supercargo znikł. Wybrano kotwicę, załoga odeszła od kabestanu i zamocowywała kotwicę na pokładzie, żagle wypełniły się wiatrem, gdy wtem zadźwięczał gwałtownie dzwonek w kajucie na rufie.

— Go to może być? — zdziwił się Mynheer Kloots. — Mynheer Vanderdecken, proszę zobaczyć, o co chodzi.

Filip poszedł na rufę, otworzył drzwi kajuty i ujrzał sterczącego na stole supercargo, który pociągał za sznur od dziwonka z wyrazem okropnego przestachu na twarzy. Peruka gdzieś się podziała, a łysa głowa nadawała mu szczególnie śmieszny wygląd.

— Co się stało, panie? — zapytał Filip.

— Co się stało! — wybełkotał Mynheer Von Stroom. — Wołaj żołnierzy z rusznicami! Mam być zamordowany, rozszarpany na sztuki i pożarty? Na litość boską, nie gap się, ale rób coś... patrz, zbliża się do stołu! O rety! — wrzasnął supercargo, oszalały z przerażenia.

Filip, który miał oczy wlepione w Mynheer Von Strooma, obrócił je teraz we wskazanym kierunku i ujrzał niedźwiedzia bawiącego się na podłodze peruką supercargo, którą trzymał w łapach, podrzucał i od ozasu do czasu chował w niej pysk. Na widok zwierzęcia Filip osłupiał, ale chwila zastanowienia upewniła go, że niedźwiedź musi być oswojony, gdyż inaczej nie pozwolono by mai chodzić swobodnie po okręcie.

Nie miał ochoty zbliżać się do zwierzaka, nie znając jego usposobienia, ale ukazanie się

Mynheer Klootsa położyło kres jego kłopotliwej sytuacji.

— Co się stało, Mynheer? — zapytał kapitan. — Ach, rozumiem, chodzi o Johannes. — Zbliżył się do niedźwiedzia i poczęstował go kopniakiem. — Johannes, wynoś się z kajuty! Wynoś się, mój panie! — pokrzykiwał Mynheer Kloots kpiąc niedźwiedzia dopóty, dopóki zwierzę nie umknęło drzwiami. — Przepraszam, Mynheer Von Stroom, oto wasza peruka. Zamknij drzwi, Mynheer Vanderdecken, w przeciwnym razie Johannes może wrócić, gdyż bardzo mnie lubi.

Jak tylko zamknęły się drzwi dzielące Mynheer Von Strooma od przyczyny jego przerażenia, ześliznął się on ze stołu na krtzesło stojące obok, strzepnął pukle peruki i włożył ją z powrotem na głowę. Poprawił koronkowe mankiety i przybierając godną minę, uderzył laską w stół, po czym tak przemówił:

— Mynheer Kloots, co oznacza ten brak szacunku dla supercarga potężnej Kompanii?

— Boże broń! Żaden brak szacunku, Mynheer. To oswojony niedźwiedź. Należy do mnie. To wynik nieporozumienia. Pierwszy oficer, Mynheer Hillebrant, zatłknął go w kajucie, aby nie zawadzał w czasie pracy na okręcie, i zapomniał, że go tam zostawił. Bardzo przepraszam, Mynheer Von Stroom, ale on tu więcej nie przyjdzie, chyba że chcielibyście się z nim pobawić.

— Pobawić się! Ja, bawić się z niedźwiedziem! Mynheer Kloots, trzeba natychmiast wyrzucić to zwierzę za burtę.

— O nie, nie mogę wyrzucić za burtę zwierzęcia, które bardzo lubię, Mynheer Von Stroom, ale Johannes nie będzie was więcej niepokoić.

— Wobec tego, kapitanie Kloots, będziecie

mieć do czynienia z Kompanią, której przedstawię tę sprawę. Wasza umowa czarterowa zostanie rozwiązana, a fracht skonfiskowany. Kloots był dość uparty, a postępowanie supercargo wzburzyło w nim żółć.

— W czarteinze nie ma klauzuli, która by mi zabraniała trzymać zwierzę na okręcie — uważa.

— Zgodnie z przepisami Kompanii — zaakceptował Von Stroom — jesteście obowiązani przyjmować na okręt zwierzęta egzotyczne przesyłane do kraju przez gubernatorów i agentów jako dar dla koronowanych głów, na przykład lwy, tygrysy, słonie i inne zwierzęta Wschodu, ale w żadnym wypadku nie wolno doiwódcom czarterowanych okrętów przewozić jakiegokolwiek zwierzęcia na własny rachunek, co musiałoby być potraktowane jako wykroczenie z tytułu prywatnego handlu.

— Ależ mój niedźwiedź nie jest przeznaczony na sprzedaż, Mynheer Von Stroom.

— Musi być natychmiast usunięty z okrętu, Mynheer Kloots. Rozkazuję wam go usunąć. W razie odmowy poniesiecie konsekwencje.

— W takim razie, Mynheer Von Stroom, rzucimy na nowo kotwicę i pošemy na ląd do zarządu prośbę o wydanie decyzji w tej sprawie. Jeżeli Kompania będzie nalegała, aby usunąć niedźwiedzia z okrętu, zostanie zdjęty. Proszę jednak pamiętać, że stracimy ochronę floty i będziemy musieli płynąć w pojedynkę. Mam rzucić kotwicę, Mynheer?

Słowa te złagodziły zawziętość supercargo. Nie miał on ochoty płynąć samotnie i strach przed taką ewentualnością był silniejszy niż strach przed niedźwiedzim.

— Mynheer Kloots, nie chcę być zbyt surowy. Jeżeli to zwierzę zostanie uwiązane na

łańcuchu, żeby się do mnie nie zbliżało, to zgodzę się, aby pozostało na okręcie.

— Będę go trzymać z dala od was, panie, ale jeśli chodzi o uwiązanie na łańcuchu, to będzie wył dzień i noc i nie da wam spać, Mynheer Von Stroom — odparł Kloots.

Supercargo, widząc, że kapitan jest stanowczy i lekceważy jego pogroźki, uczynił to, co czyni człowiek, który nie potrafi sam sobie poradzić. W duchu poprzysiął zemstę, ale powiedział:

— Na tych warunkach, Mynheer Kloots, zwierzę może pozostać na okręcie.

Mynheer Kloots i Filip opuścili kajutę. Kapitan, w złym humorze, mruczał pod nosem:

— Jeśli Kompania przysłała na okręty swoje małpy, to ja mogę mieć swego niedźwiedzia.

Zadowolony z tego dowcipu, Mynheer Kloots odzyskał dobry humor.

ROZDZIAŁ 9

Pozwólmy flotyli indyjskiej podążać swoją drogą do Przylądka i napotykać różne rodzaje wiatrów i pogody. Niektóre okręty odbiły od flotyli, ale Zatoka Stołowa pozostawała punktem zbornym, skąd miały wyruszyć dalej wszystkie razem.

Filip Vanderdecken wkrótce stał się przydatny na okręcie. Uczył się pilnie swoich obowiązków i ciężko pracował, gdyż wysiłek fizyczny zapewniał mu sen, którego by inaczej nie zaznał.

Po krótkim czasie stał się ulubieńcem kapitana i nawiązał serdeczny stosunek z Hillebrantem, pierwszym oficerem. Drugi oficer, Stnuyts, był człowiekiem posępnym, z którym Filip mało obcował. Co do supercargo, Mynheer Jacoba Jamza Von Strooma, to rzadko kiedy odważał się on opuszczać swoją kajutę. Niedźwiedź Johannes nie został zamknięty, wobec czego zamknął się Mynheer Von Stroom. Nie było prawie dnia, żeby nie przeglądał listu do Kompanii, który ułożył w tej sprawie, gotowego już do wysłania. I za każdym razem kiedy go przeglądał, wprowadzał pewne zmiany, które jego zdaniem mogły wzmocnić skargę i jeszcze bardziej zaszkodzić sprawom kapitana Klootsa.

W tym czasie Mynheer Kloots, nie wiedząc, co się dzieje w kajucie na rufie, ćmił fajkę, popijał sznapsa i zabawiał się z Johannesem. Zwierzę to przywiązało się do Filipa i miało zwyczaj przebywać z nim razem na wachcie.

Na okręcie znajdował się jeszcze ktoś, kogo nie wolno nam tracić z oczu — jednooki pilot Schriften, pełen, jak się zdawało, głębokiej niechęci do naszego bohatera i do jego ulubieńca, niedźwiedzia. Ponieważ Filip miał stopień oficerski, Schriften nie odważał się obrażać go jawnie, chociaż korzystał z każdej sposobności, aby mu dokuczyć i bezustannie pomstował na niego wobec innych członków załogi. W stosunku do niedźwiedzia był bardziej napastliwy i rzadko kiedy przeszedł obok niego bez poczęstowania go kopniakiem, okraszonym przekleństwem.

Tak przedstawiały się sprawy na „Ter Schillingu”, kiedy okręt stał w ciszy o dwa dni drogi od Przylądka. Było gorąco. Filip leżał pod płóciennym dachem rozpostartym nad pokładem rufowym i upał tak go zmorzył, że

zasnął. Obudził się z uczuciem chłodu w całym ciele, a szczególnie na piersi. Przez wpół otwarte powieki zobaczył pochylonego nad nim pilota Schrifftana; pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem trzymał on kawałek łańcuszka, na którym wisiała święta relikwia. Filip zamilknął oczy, chcąc się upewnić go do jego zamiarów. Poczul, że Schrifften wyciąga łańcuszek, a wydostawszy na wierzch relikwię, usiłuje zdjąć mu ją przez głowę. Wówczas schwytał go w pół.

— Ach, to tak? — krzytknął oburzony,, wyrzucając łańcuszek z ręki pilota.

.Schrifften jednak nie wydawał się stropiony przyłapaniem go na gorącym uczynku i patrząc na Filipa swym zjadliwym okiem, powiedział:

— Czy na tym łańcuszku wisi jej podobizna? He, he!

Vanderdecken odepchnął go i założył ręce na piersi.

— Radzę wam, panie pilocie, nie być za bardzo ciekawym, bo możecie tego pożałować.

— A może — ciągnął pilot — to czepek noworodka, niezawodny środek przeciwko utończeniu?

— Idźcie, panie, do swojej roboty — krzyknął Filip.

— Albo też, ponieważ jesteście katolikiem, paznokiec jakiegoś świętego, albo... tak, już wiem... kawałek Krzyża Świętego.

Filip drgnął.

— Tak, to jest to! — wykrzyknął Schrifften i odszedł w stronę schodni, gdzie stali marynarze.

— Chłopaki, maim dla was nowinę! Mamy na okręcie kawałek Krzyża Świętego, więc możemy się nie bać samego diabła.

Kiedy Schrifften zstępował ze schodni, Filip

poszedł za nim i był już w przedniej części pokładu rufojwego, gdy pilot oznajmiał tę wiadomość.

— Ay, ay — przytaiknął stary marynarz — nie tylko diabła, ale w dodatku Latającego Holendra.

Latającego Holendra? — zastanowił się Filip. Czyżby to miało się odnosić do...? I poszedł dalej, aby się ukryć za grotmasztem, miał bowiem nadzieję, że dowie się czegoś więcej, jeśli będą dłużej rozmawiać. Nie zawiódł się co do tego.

— Powiadają, że spotkać jego to gorzej, niż spotkać diabła — zauważył ktoś inny z załogi.

— A kto go tam kiedy widział? — odezwał się jeszcze inny.

— Widzieli go, to pewne, i tak samo pewne, że pech prześladowuje każdy okręt, który się na niego natknie.

— A gdzie można się na niego natknąć?

— O, powiadają, że to nie takie pewine, ale on krąży po morzu nie opodal Przylądka.

— Chciałabym usłyszeć tę historię w całości — odezwał się trzeci.

— Mogę ci opowiedzieć tylko to, co słyszałem. To okręt potępiony. Byli piratami i poderżnęli gardło kapitanowi.

— Nie! — krzyknął Schriften. — Kapitan jest na tym okręcie, a był to kawał łotra. Powiadają, że... podobnie jak ktoś inny na naszym okręcie... zostawił w domu ładną żonę i że bardzo ją kochał.

— Skąd to wiadomo, pilocie?

— Stąd, że zawsze, gdy wchodzi na pokład napotkanego okrętu, chce wysłać listy do domu. Ale biada okrętowi, który się tego podejmie. Z pewnością zginie i nikt z tych, którzy byli na jego pokładzie, nie pozostanie przy życiu.

— Ciekaw jestem, gdzieście to wszystko słyszeli — wtrącił się jeden z marynarzy. — Wdzieliście kiedy tein okręt?

— Tak, widziałem — krzyknął Schriften i krzyk jego przeszedł w charakterystyczny chichot. Pó chwili dodał: — Nie musimy się go obawiać, chłopcy. Mamy na okręcie odłamek prawdziwego Krzyża Świętego.

Schriften zawrócił w kierunku rufy, jakby chciał uniknąć dalszych pytań, gdy wtem spostrzegł Filipa przy grotmaszcie.

— A więc nie tylko ja jestem ciekawy? He, he! Powiedz mi, proszę, czy wzięłeś to ze sobą na wypadek, gdybyśmy się natknęli na Latającego Holendra?

— Nie boję się Latającego Holendra — odparł zimno Filip.

— Właśnie przychodzi mi na myśl, że masz to samo nazwisko. Powiadają, że on się nazywał Vanderdeckin — co?

— Wielu jest Vanderdeckinów na świecie poza miną — odparł Filip, który zdążył się już opanować, po czym poszedł w kierunku rufy.

Można by pomyśleć, że ten złośliwy jednooki łajdak zna powód mego zaokrętowania, zastanawiał się, ale to niemożliwe. Dlaczego odczuwam taki chłód, ile razy on się do mnie zbliży? Ciekaw jestem, czy inni też to odczuwają, czy też jest to tylko przywidzenie, moje i Amine. Nie śmiem ich zapytać. To dziwne, że ten człowiek czuje do mnie taką niechęć. Nigdy go nie sferzydziłem. To, co podsłuchałem, potwierdza wszystko, ale tu nie potrzeba żadnego potwierdzenia. Och, Amine, gdyby nie ty, z radością zapłaciłbym życiem za rozwiązanie tej zagadki! — Boże miłosierny, powstrzymaj bieg moich myśli — wymamrotał pod nosem — inaczej stracę rozum.

Po trzech dniach „Ter Schilling” i towarzyszący mu okręty przybyły do Zatoki Stołowej, gdzie zastały czekającą na nie resztę flotyli. Właśnie w tamtym czasie Holendrzy założyli na Przylądku Dobrej Nadziei kolonię, gdzie flotyle indyjskie pobierały wodę słodką i nabywały bydło od Hotentotów, którzy za miesięczny guzik lub duży gwóźdź gotowi byli ofiarować tłustego bawołu. Uzupelnienie przez eskadrę zapasu wody słodkiej zajęło kilka dni, po czym okręty, otrzymawszy od admirała instrukcję co do punktu zbornego na wypadek rozproszenia się flotyli oraz dokonawszy wszelkich przygotowań na złą pogodę, której się spodziewano, wyruszyły w dalszą drogę.

Przez trzy dni halsowały przeciwko zmiennym wiatrom, niewiele posuwając się naprzód. Na trzeci dzień zerwał się z południa silny wiatr, który przeszedł następnie w sztorm, i flotylla została zepchnięta na północ od zatoki. Siódmego dnia „Ter Schilling” znalazł się sarn, ale pogoda się poprawiła. Postawiono żagle i wzięto kurs na wschód, aby znaleźć się pod osłoną lądu.

— Mamy pecha, żeśmy się odbili od flotyli — powiedział Mynheer Kloots do Filipa — ale niebawem słońce będzie w kulminacji, co mi pozwoli określić szerokość geograficzną. Trudno powiedzieć, jak daleko na północ mogło nas zepchnąć. Przynies mi z dołu laskę Jakuba, a ulważaj, żebyś nie potracił nią o coś, jak będziesz wracał na górę.

Laska Jak/dba była instrumentem używanym do określania szerokości geograficznej, którą podawała dobremu obserwatorowi z dokładnością do pięciu lub dziesięciu mil.

— Znajdujemy się o trzy stopnie na północ od Przylądka — stwierdził Mynheer Kloots po obliczeniu szerokości geograficznej. — Prądy

muszą być silne, wiatr szybko słabnie. Jeśli się nie mylę, będziemy mieli zmianę.

Pod wieczór nastąpiła cisza, a martwa fala szła w kierunku brzegu. Stada fok ukazały się na powierzchni, posuwając się za okrętem niesioną falą. Ryby wyskakiwały we wszystkich kierunkach, a kiedy słońce zniżyło się do widnokręgu, morze zdawało się kipieć życiem.

— Co to za dziwny odgłos? — zapytał Filip. — Przypomina daleki grom.

— Ja także go, słyszę — odparł Mynheer Kloots. — Ej, tam w górze, widzicie ląd?

— Tak — odpowiedział marynarz. — Wprost przed nami, niskie piaszczyste pagórki i wysoki przybój.

— W takim razie ten odgłos to musi być to. Denna martwa fala pcha nas do brzegu z dużą prędkością. Chciałbym, żeby zerwał się wiatr.

Słońce chowało się za horyzont i nadal trwała cisza. Martwa fala znosiła „Ter Schillinga” na brzeg tak szybko, że mogli już dojrzeć falę przyboju, rozbijającą się z hukiem grzmotu.

— Pilotcie, czy znacie ten brzeg? — zapytał kapitał stojącego obok Schriftena.

— 'Znam dobrze, fala załamuje się na głębokości dwunastu sążni. Jeśli wiatr nie przyjdzie nam z pomocą, to za pół godziny okręt pójdzie w drzazgi. — Zachichotał, jakby ta myśl sprawiała mu przyjemność.

Mynheer Kloots nie mógł ukryć niepokoju. Załoga stała grupkami na pokładzie dziobowym i na schodni, wsłuchując się z przerażeniem w ryk kipieli. Słońce skryło się już za widnokretem i mrok nocy zwiększał trwogę załogi „Ter Schillinga”.

— (Musimy spuścić łodzie — powiedział Mynheer Kloots do pierwszego oficera — i spróbować odholować okręt od brzegu. Obawiam się, że wiele nie zdziałamy, ale łodzie

będą gotowe do przyjęcia załogi, zanim wyrzuci nas na brzeg. Wydać za burtę liny holownicze i spuszczać łodzie, a ja tymczasem pójdę powiadomić supercarga.

Mynheer Von Stroom siedział z dostojną miną, jaik przystało człowiekowi na jego stanowisku, a ponieważ była to, niedziela, włożył najlepszą swą perulkę. Przeglądał list do Kompanii w sprawie niedźwiedzia, kiedy wszedł Mynheer Kloots i oznajmił mu, że znajdują się w niebezpieczeństwie i że najprawdopodobniej za pół godziny okręt się roztrzaska. Na tę wiadomość Mynheer Von Stroom zerwał się z krzesła i w popłochu stracił palącą się świecę.

— W niebezpieczeństwie! Mynheer Kloots, dlaczego? Przecież morze jest spokojne i wiatr ucichł. Mój kapelusz! Gdzie jest mój kapelusz i laska? Chcę wyjść na pokład. Światło! Mynheer Kloots, proszę kazać przynieść tu światło. Mynheer Kloots, dlaczego nie odpowiadacie? Na litość boską! Poszedł i zostawił mnie.

Mynheer Kloots wyszedł po świecę i po chwili wrócił. Mynheer Von Stroom włożył kapelusz i wyszedł z kajuty. Łodzie były spuszczone, a dziób okrętu odwrócony od lądu, ale zrobiło się ciemno i nie było widać nic oprócz piany wzdłuż linii przyboru, gdzie fale uderzały o brzeg.

— Mynheer Kloots, chcę natychmiast opuścić okręt. Niech postawią moją łódź pod burtę. Muszę mieć największą łódź do dyspozycji Czcigodnej Kompanii, dla dokumentów i dla mnie.

— Obawiam się, że to będzie niemożliwe, Mynheer Von Stroom — odparł Kloots. — Łodzie z trudnością pomieszczą całą załogę, a dla każdego życie jest tak sarnio cenne, jak wasze życie dla was, panie.

— Ależ, Mynheer, jia jestem supercarga

Kompanii. Rozkazuję wam, chcę mieć osobną łódź dla siebie. Spróbujcie odmówić, jeśli się ośmielicie.

— iOśmidę się i odmawiam.

— Dobrze — odparł Mynheer Von Stroom, który już odlehdził od zmysłów — jak tylko wrócimy, mój panie... Boże, ratuj! Jesteśmy zgubieni. O, mój Boże!

Mynheer Von Stroom popędził do kajuty. W pośpiechu potknął się o niedźwiedziia, który mu stanął na drodze, a gdy upadł, kapelusze i peruka zleciały mu z głowy.

— Rety! Gdzie ja jestem? Ratunku! Tutaj... Ratujcie supericargo Czcigodnej Kompanii!

— Ej, wy tam w łodziach! Puścić hole i podejść do hurty — krzyczał Mynheer Kloots. — Nie mamy chwili czasu do stracenia. Prędko, Filipie, dawaj do łodzi busołę, wiodę i suchary. Mamy pięć minut na opuszczenie okrętu.

Ryik przyboju był talk przerażający, że z trudnością można było dosłyszeć rozkazy. Tymczasem Mynheer Von Stroom wciąż leżał na pokładzie wierzgając i wzywając pomocy.

— Jest lekki wiatr od ładu — zawołał Filip.

— Jest, ale obawiam się, że to już za późno. Podawajcie co trzeba do łodzi i spokojnie, chłopcy. Mamy jeszcze szansę uratować okręt, jeśli wiatr przybierze na sile.

iBylii juiz tak blisko przyboju, że czuli, jak martwa fala, na której okręt stał w miejscu, załamuje się tu i ówdzie w swoim długim biegu, ale wiatr się wzmagał i okręt już nie dryfował. Cała załoga była w łodziach, z wyjątkiem Mynheer Klooitsa, oficerów i Mynheer Von Stroom a..

— Zaczyna płynąć — zauważył Filip.

¹— Tak, myślę, że uda nam się go ocalić — odparł kapitan. — Tak trzymać, Hillebrant — zawołał do pierwszego oficera, który stał przy

kole sterowym. — Oddalamy się już od przyboju. Byleby wiatr potrwał jeszcze z dziesięć minut.

(Wiatr nie ustawał, „Ter Schilling” znajdował się już daleko od brzegu, kiedy znowu nastąpiła oisza i zaczęło go znosić z powrotem ku fali przyboju. Na koniec powiał silny wiatr i okręt zaczął pruć wodę. Odwołano załogę z łodzi, podniesiono Mynheer Von Strooma, jego kapelusz i perukę i zaniesiono go do kajuty, a po godzinie „Ter Schillingowi” nie groziło już niebezpieczeństwo.

— Teraż wciągniemy łodzię — powiedział Mynheer Kloots — a przed pójściem spać podziękujemy wszyscy Bogu za ocalenie.

Tej nocy „Ter Schilling” oddalił się o dwadzieścia mil od brzegu i szedł na południe. Nad ranem wiatr znowu ucichł i nastąpiła cisza.

Mynheer Kloots był już od godziny na pokładzie, rozmawiał z HiEihrantem o niebezpiecznej sytuacji poprzedniego wieczora i o sobkoistwie Mynheer Von Strooma, kiedy usłyszeł jakiś hałas w kajucie rufowej.

— Co to może być? — zapytał kapitan. — Czyżby ten pocziwiec ze strachu postradał zmysły? Przecież on rozbija kajutę w kawałki.

[W tym momencie wybiegł z kajuty służący supercargo.

— Mynheer Kloots, prędko, ratujcie mego pana... on go zabije... niedźwiedź! Niedźwiedź!

— Niedźwiedź? Co, Johannes? — krzyknął Mynheer Kloots. — Przecież ten zwierzak jest obłaskawiony jak pies. Zaraż zobaczę.

Zanim jednak Mynheer Kloots zdążył postąpić krok w kierunku kajuty, wypadł z niej supercargo w samej koszuli.

— Boże święty! Gzy mam być zamordowany? Pożarty żywicem? — wrzeszczał usiłując wdrapać się na wanty fokimasztu.

Mynheer Kloots ze zdumieniem śledził ruchy Mynheer Von Strooma, a kiedy zrozumiał, że supercargo wspina się na wanty, wszedł do kajuty i ku swemu zdziwieniu zobaczył, że Johannes czyni tam spustoszenie. Boazeria kajuty była rozbita, pudła na peruki leżały w strzępach na podłodze, obok nich wały się zapasowe peruki, a na nich — rozsypane kawałki potłuczonych słoików i mnóstwo miodu, który Johannes wylizywał z apetytem.

Gdy okręt stał na kotwicy w Zatoce Stołowej, Mynheer Von Stroom, który przepadał za miodem, kupił cały zapas od Hotentotów. Jego służący napełnił miodem słoje, które umieścił na dnie dwóch pudeł, aby były pod ręką do użytku w czasie podróży. Tego ranka służący, uważając, że peruka jego pana ucierpiała poprzedniego wieczoru, kiedy Mynheer Von Stroom potknął się o niedźwiedzia, otworzył jedno z pudeł, aby wyjąć inną. Przypadkiem Johannes przechodził w tym momencie obok kajuty i zwietrzył miód. Otóż, jakkolwiek Mynheer Von Stroom przepadał za miodem, niedźwiedzie przepadają za nim jeszcze bardziej i odważą się na Wszystko, żeby go dostać. Johannes uległ instynktowi swego gatunku, wszedł do kajuty i jż miał się wgiramolić do koi Mynheer Von Strooma, kiedy służący wypchnął go i zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Wtedy Johannes wybił dziurę w boazerii, robiąc sobie przejście. Rzucił się na pudła z perukami i pokazując siwe potężne zębiska przekonał służącego, który usiłował go odpędzić, że nie ma ochoty na żaroty. Mynheer Von Stroom wpadł w panikę, gdyż nie znając prawdziwego celu odwiedzin niedźwiedzia, wyobraził sobie, że zwierzę chce się rznić na niego. Służący, który bezskutecznie usiłował ocalić ostatnie pudło, wriął wreszcie nogi za pas,

a Mynheer Von Stroom widząc, że został sam, wyskoczył z pościeli i ulciekł, jak już wspomnieliśmy, na pokład dziobowy, pozostawiając na placu Johanna delectującego się swoim łupem. Mynheer Kloots podszedł do niedźwiedzia i przemówił do niego, następnie go kopnął, ale niedźwiedź nie chciał porzucić miodu i pomrukiwał niezadowolony, że mu przeszkadzają.

— Nawarzyłeś sobie piwa, Johannesie — powiedział Mynheer Kloots. — Teraz rozstaniesz się z okrętem, bo supercargo będzie miał słuszne powody do skargi. Musisz zjeść ten miód, bo niedługo zejdziesz z okrętu.

Po tych słowach Mynheer Kloots opuścił kajutę i poszedł szukać supercargo, który stał w koszuli na pokładzie dziobowym, chuderlawy i łysy, perorując do załogi.

— Przepraszam, Mynheer Von Stroom — odezwał się Kloots — niedźwiedź zostanie usunięty z okrętu.

— Tak, Mynheer Kloots, ale tą sprawą zajmie się najpotężniejsza Kompania, albowiem nie wolno narażać życia jej urzędników dla farytazji szalonego kapitana Okrętu. Omal nie zostałem rozszarpany w kawałki.

— Niedźwiedź nie chciał nic od was, panie, chciał tylko miodu — odparł Kloots. — Dobrań się do niego i nie mogę mu go odebrać. Nie można zmienić natury zwierzęcia. Zechcecie, panie, wejść do mojej kajuty, zanim uda się odprowadzić niedźwiedzia w bezpieczne miejsce? Nie będzie już chodził na wolności.

Mynheer Von Stroom uznał za wskazane przyjąć propozycję. Po niejakich trudnościach, z pomocą marynarzy, wyciągnięto niedźwiedzia z kajuty, choć się opierał, gdyż chciał jeszcze wylizać resztę miodu z pukli peruk.

Został wtrącony do więzienia jako przestępca schwytany na gorącym uczynku włamania na pełnym morzu. Ta nowa przygoda stała się tematem dnia, gdyż znowu panowała martwa cisza i okręt stał bez ruchu na fali.

— Słońce zachodziło czerwono — rzekł Hillebrant do kapitana, który stał z Filipem na pokładzie rufowym. — Jeśli się nie mylę, najdalej jutro będziemy mieli wiatr.

— Jestem tego samego zdania' — odparł Mynheer Kloots. — Dziwne, że nie natknęliśmy się na żaden okręt z naszej flotyli. Powinno było zapędzić wszystkie gdzieś tutaj.

— Może trzymały się dalej od brzegu.

— Szkoda, że my nie zrobiliśmy tego samego — odparł Kloots. — Wczoraj wieczorem ledwie się wywinęliśmy. Rzecz w tym, że jeśli źle jest mieć za wiele wiatru, to źle także mieć go za mało.

Wtamtam dał się słyszeć gwair wśród marynarzy, którzy zbili się w gromadę i spoglądali w kierunku rufy.

— Okręt! Nie... tak, tak, jest! — powtarzali jeden przez drugiego.

— Zdaje mi się, że widzą okręt — powiedział Schriften wschodząc na pokład rufowy. — He, he!

— Gdzie?

— Tam, w ciemności — odparł pilot wskazując w kierunku najciemniejszego sektora widnokregu, gdyż słońce już zaszło.

Kapitan, Hillebrant i Filip obrócili wzrok cwe wskazanym kierunku i zdawało im się, że dostrzegają coś na kształt okrętu. Stopniowo imrok się rozpraszał i migotliwa światłość rozwidniała horyzont. Nad wodą ani tchnienia wiatru. Okręt wydawał się coraz wyraźniejszy, aż wreszcie można było dokładnie odróżnić kadłub, maszty i reje. Przecierali oczy, aby

lepiej widzieć, gdyż ledwie mogli uwierzyć temu, co widzieli. Pośrodku światłości, która się rozpościerała na piętnaście stopni nad horyzontem, w odległości trzech mil widać było okręjt. Mimo że panowała cisza, borykał się ze sztormem, zanurzając się i wynurzając z wody, która była gładka jak lustro, przechylając się do granic stateczności i znów się prostując. Malrse i grott miał zwinięte, a reje izbrasiOiwalne ostro do wia'tru. Nie miał innych żagli oprócz bardzo zrefowanego foka, sztormowego szitafesla i bezana na rufie. Nie pruł ostro wody, ale zbliżał się prędko, znoszony siłą wiatru. Z każdą miinultą widzieli go wyraźniej. W końcu zobaczyli, że robi zwrot przez rufę i, zanim zmienił hals, był już tak blisko, że mogli dojrzeć ludzi na pokładzie i spienioną wodę spływającą z dziobu, słyszeli gwizdki bosmańskie, trzeszczenie wręgów i skrzypienie masztów. Witem ogaimęła go ciemność i po paru sekundach znikł.

— Boże wielki! — wykrzyknął Mynheer Klo'oits.

(Filip poczuł ozyjąś dłoń na ramieniu i chłód przeniknął mu ciało. Spotkał się ze spojrzeniem jednookiego Schriftena, który wir zasnął mu do ucha:

— Filipie Vanderdecken, to był Latający Holender!

ROZDZIAŁ 10

Gdy znikło blade światło i zapadła ciemność, ludzie z załogi „Ter Schillinga” widzieli mniej wyraźnie. Przez kilka chwil nikt na

okręcie nie wypowiedział słowa. Pienwiszy odezwał się Hillebrant. Obejrzał się ku wschodniej stronie, a zauważywszy jakąś jasność na widnokręgu, wzdrygnął się, chwycił Filipa za rękę i wykrzyknął:

— Co to?

— To tylko księżyc wynurza się z ławicy chmur — odparł Filip ponuro.

— Tak — mruknął Mynheer Kloots — mówiono mi o tym poprzednio, ale kpiłem sobie z tych opowiadań.

Filip nic na to nie odpowiedział. Zdając sobie sprawę z realności zjawiska i z tego, jak blisko go ono dotyczy, czuł się jak gdyby winnym.

Księżyc wzniosł się nad chmury i zalewał morze bladą poświatą. Wiedzeni jednoczesnym odruchem, wsizyscy skierowali wzrok ku imiejscu, gdzie po raz ostatni widzieli dziwne zjawisko, ale dookoła panowała zupełna, martwa cisza.

Od chwili pojawienia się zjawy pilot Schriften był na rufie. Teraz zbliżył się do Mynheer Kilootsa i powiedział:

— Mynheer Kloots, jako pilot tego okrętu uprzedzam, że powinniście się przygotować na bardzo złą pogodę.

— Złą pogodę! — powtórzył Kloots, ocknąwszy się z zadumy.

— Tak, na złą pogodę, Mynheer Kloots. Nie było jeszcze okrętu, którego nie spotkałoby nieszczęście wkrótce po natknięciu się na to... co widzieliśmy przed chwilą. Nazwisko Vanderdecken jest pechowe — he, he!

Filip chciał coś odpowiedzieć na tę uszczypliwość, ale język jakby mu zdrętwiał w ustach.

— Co ma z tym Wspólnego nazwisko Vanderdecken? — zapytał Kloots.

— Więc nie słyszeliście, panie? Kapitanem okrętu, który widzieliśmy, jest niejaki Mynheer Vanderdecken. Ib on jest Latającym Holendrem.

— Skąd o tym wiecie? — wtrącił się Hillebrant.

— Wiem i to, i coś więcej, gdybym zechciał mówić. Ale ostrzegłem was o złej pogodzie, bo to mój obojwiążek.

Z tymi słowami Schriften zszedł na dół po schodni rufowej.

— Boże wielki! Nigdy w życiu nie byłem tak zdumiony i wystraszony — zauważył Kloots. — Nie wiem, co o tym myśleć ani co powiedzieć. A jak ty myślisz, Filipie? Czy to było coś nadprzyrodzonego?

— Tak — odpowiedział Filip — co do tego nie mam wątpliwości.

— Myślałem, że czasy cudów już minęły, że jesteśmy zdani na własne siły i nie możemy się spodziewać innych ostrzeżeń poza tymi, które nam daje wygląd nieba.

— A niebo właśnie nas ostrzega — zauważył Hillebrant. — Proszę spojrzeć, jak tamta ławica chmur podniosła się w ciągu tych pięciu minut. Księżyc umknął przed nią, ale ona niedługo znów go dogoni. Na północnym zachodzie błysnęło się.

— No cóż, moi drodzy, potrafię stawić czoła żywiołom rowinie dobrze jak każdy inny. Nigdy sobie wiele nie robiłem z groźby złej pogody, ale nie lubię takich ostrzeżeń jak dzisiejsze. Serce mi ciąży jak ołów, nic nie przesadzam. Filipie, przyślij butelkę sznapsa, może to mi trochę rozjaśni umysł.

Filip był rad, że może odejść z rufy; pragnął mieć parę minut na zebranie myśli. Zjawienie się Okrętu Widma było dla niego okropnym wstrząsem. Nie dlatego, żeby nie wierzył w je-

go istnienie. A jednak... ujrzanie go, znalezienie się tak blisko okrętu, na którym jego ojciec odbywał straszną kairę, okrętu, na którym — był tego pewien — rozstrzygnie się jego własny los, wprowadziło zamęt do jego myśli. Kiedy usłyszał gwizdek bosmański na pokładzie Okrętu Widma, skwapliwie nadstawił uszu, aby pochwycić komendę wydaną głosem jego ojca. Nie mniej Usilnie wyteżał wzrok, aby dostrzec rysy twarzy i ubiór ludzi poruszających się po pokładach.

Wysławszy chłopca z butelką do Mynheer Klootsa, sam pospieszył do swojej kajuty, ukrył twarz w pościeli i modlił się, modlił, dopóki nie odzyskał zwykłej swojej energii i męstwa, dopóki nie doprowadził swego umysłu do stajnu rówfawaigi, który pozwalała mu oczekiwać spokojnie niebezpieczeństw i trudów, czuć się gotowym do stawienia im czoła z bohaterstwem męczennika.

Filip spędził na dole pół godziny. Jakąż zmianę zastał po powrocie na pokład! Gdy sohodził na dół, okręt unosił się na wodzie bez ruchu, żagle bezwładnie zwisały z rej, księżyc w całej swej krasie stał wysoko na niebie, odbijając na gładkiej wodzie wydłużone linie masztów i żagli. Teraz było cieimino. Krótka fala marszozyła powierzchnię wody, załamując się i pieniać. Mniejsze i najwyższe żagle zostały zwinięte i „Ter Schilliing” pruć wodę, a kapryśne podmuchy wiatru zwiastowały, że obudzili się on gniewiny i zbiera siły do niszczycielskiego dzieła. Ludzie byli zajęci refowaniem żagli, lecz pracowali niechętnie. Filip nie miał pojęcia, co im powiedział pilot Schriften, ale było oczywiste, że unikali go i spoglądali na niego nieżyczliwie. Sztorm nasilał się z każdą minutą.

— Wiatr zmienia kierunek — stwierdził Hil-

lebrant. — Wykręcił o pięć rumbów. Trudno powiedzieć, z której strony burza może uderzyć. Filipie, nie podoba mi się to wszystko i, jak kapitan, mogę powiedzieć, że ciężko mi na sercu.

— Mnie także, możesz mi wierzyć — odparł Filip — ale jesteśmy w rejku miłosiernej Opatrzności.

— Prawo na burzę! Wybrać na sztywno forsztafcsle. Zwinąć bezan, chłopcy. Żywo! — wykrzykiwał Kloóts, gdyż wsikulteik wykręcania wiatru w kierunku północnym, a następnie zachodnim, żagle złapały wiatr z przodu i okręt miał silny przechył. Lunęły potolki deszczu i zrobiło się taik ciemno, że z trudnością dostrzegali jedein drugiego.

— Musimy sprzątnąć marsie, paki ludzie mogą się dostać na reje. Hillebrańt, dopilnuj tego na dziobie!

Wtem błyskawica rozdarła niebo w poprzek i grzmot przetoczył się z hukiem.

— Prędko, chłopcy, zwinąć wszystko!

Marynarze strząsali wodę z ubrań, jedni pracowali, inni, korzystając z ciemności, pochowali się po kątach i myśleli tylko o swoim strachu.

Zwinięto wisizystkie żagile, z wyjątkiem klawra, i oikręt ginął haikszitagdem na południe. Podniosła się fala, morze huczało i pieniało się, deszcz lał strumieniami, noc była czarna jak piekło, a wystraszeni marynarze chronili się pod nadbiuricciem. Choć wielu z nich uloiękło od roboty, żaden nie odważył się tej nocy zejść pod pokład. Nie zbierali się raizem jak zwykle, każdy wolał być saim z własnymi myślami. Okręt Widmo zawładnął ich wyobraźnią i dręczył ich umysły.

Była to nieskończona długa noc, myśleli, że dzień już nie nadejdzie. Wreszcie ciemność

przemieniła się w szary półmrok — był dzień. Przyglądali się jeden drugiemu, ale patrząc sobie wzajemnie w oczy nie znajdowali w nich otuchy. Nie było ani jednej twarzy, w której można by dojrzeć utajoną nadzieję. Wszyscy byli skazani na zgubę. Siedzieli skuleni tam, gdzie pochowali się w nocy, i nie odzywali się słowem.

Fale wznosiły się jak góry i parę razy grzmotnęły w rufę okrętu. Kloots stał przy kompasie, a Hillebrant i Filip — przy kole sterowym, gdy wtem fala załamała się wysoko nad rufą i masa wody wlała się na pokład. Kapitan i obaj oficerowie zastali zimyci pod burłę, byli prawie nieprzytomni. Naktuz wraz z kompasem roztrzaskał się w kawałki. Nikt nie podbiegł do koła sterowego; okręt ustawił się prostopadle do kierunku fali i wiatru. Fale zalewały go całkowicie, grotmaszt runął za burłę.

Powstał straszny zamęt. Kapitan Kloots był ogłuszony i Filipowi z trudem udało się nakłonić dwóch marynarzy, aby go sprowadzili pod pokład. Hillebrant miał gorszego pecha — złamał prawą rękę i był mocno potłuczony. Filip pomógł mu dojść do koi, po czym wyszedł na pokład, aby przywrócić tam porządek.

Nie był jeszcze doświadczonym marynarzem, ale wywierał na ludzi wpływ moralny, jaki zapewniają zdecydowanie i odwaga. Nie można powiedzieć, żeby słuchali go chętnie, ale jednak słuchali i w pół godziny uprzątnęli wszystkie pogruchotane przedmioty. Łżejszy wskutek utraty masztu i sterowany przez dwóch najlepszych marynarzy, „Ter Schilling” pędził gnany wiatrem sztormowym.

Gdzie znajdował się podczas tego zamętu Mynheer Von Stroom? W swojej koi, przykry-

ty koldrą pod samą brodę. Trząśł się cały i przysięgał sobie, że jeśli kiedykolwiek postawi nogę na lądzie, wszystkie kompanie śiwiiata nie skłonią go do tego, aby po raz wtóry zawierzył słonej wodzie. Był to najlepszy plan dla tego biedaka.

Choć marynarze przez pewien czas byli posłuszni rozkazom Filipa, wkrótce zauważył on, że rozmawiają z jednookim pilotem, a po kwadransie narady wszyscy zeszli z pokładu, z wyjątkiem dwóch przy kole sterowym. Powód tego postępowania był oczywisty: kilku wróciło z blaszankami pełnymi alkoholu, który zdobyli wyłamując deski pomieszczenia na trunki. Przez godzinę Filip perswadował marynarzom na pokładzie, aby nie pili, lecz wszystko na próżno. Ci przy kole sterowym, poczęstowani grogiem, nie odmówili i wkrótce myszkowanie okrętu wskazywało na to, że trunek zrobił swoje. Filip pospieszył na dół, żeby się przekonać, czy Mynheer Kloots przyszedł do siebie na tyle, aby móc wyjść na pokład. Zastał go śpiącego. Ledwo się go dohudził i zakomunikował mu smutne nowiny. Mynheer Kloots poszedł wprawdzie za Filipem na pokład, ale odczuwał jeszcze skutki swego upadku i zataczał się idąc, jakby porządnie sobie popił. Postawszy parę chwil na pokładzie, osunął się bezwładnie na jedno z dział; widocznie doznał Wstrząsu mózgu. Hillebrant był zbyt oleifko poturbowany, aby móc ruszyć się z łóżka. Filip zdawał sobie sprawę z beznadziejności położenia. Dzień się skończył, a kiedy zapadła ciemność, wszystko stało się jeszcze bardziej przerażające. Okręt mknął pędzony wicherą, ale marynarze przy sterze musieli zmienić kurs, gdyż wiatr, który wpderw dął z prawego baksztagoi, teraz wiał z lewego. Nie było kompasu, a gdyby nawet był, pijani ma-

rymarze nie słuchaliby rozkazów ani wymówek Filipa. „Nie jest żeglarzem — mówili między sobą — i nie będzie nas uczył, jak sterować okrętem”.

Sztorm osiągał największe nasilenie. Deszcz ustał, ale wiatr się wzmógł i pędził okręt, zalewany przez fale z obu burt. Marynarze śmiali się z tego i śpiewali pieśni, a ich chóralny śpiew łączył się z wyciem wichru.

Pilot Schriften przewodził okrętowej kompanii. Z pełną blaszanką w rękę, tańczył i śpiewał strzelając palcami, a swym jednym okiem przyglądał się badawczo Filipowi. Wtem upadł i wśród głośnych krzyków i śmiechów potoczył się aż pod nadburcie. Z dołu przynoszono trunek, jak tylko ktoś się o niego upomniał. Przekleństwa i wrzaski mieszały się ze śmiechem. Marynarze przy kole sterowym zamocowali je linami w położeniu na zero i pospieszyli przyłączyć się do swoich towarzyszy, a „Ter Schilling” gnał pędzony wiatrem; forsztaksel, jedyny postawiony żagiel, wyrównywał kurs, gdy okręt myszkował w lewo i prawo. Filip stał na pokładzie przy schodni prowadzącej na rufę. To dziwne, myślał, że stoję tu właśnie ja, jedyny człowiek zdolny do działania, że sądzone mi jest przyglądać się samoŁ. nie tej okropnej i odrażającej scenie, że czekam, aż okręt się rozleci, a wraz z nim nieuchronnie stracą życie ludzie... ja, jedyny, który zdaje sobie sprawę z tego, co wkrótce musi nasitajpić. Boże, przebacz mi, ale wygląda na to, że stoję tu nie zagrożony przez sztorm, że mój los odgradza mnie od bliźnich. Tak musi być. Nie zginę w tej katastrofie, czuję, że nie zginę, gdyż moje życie jest zaczarowane czy też przedłużone, abym mógł spełnić przysięgę, którą złożyłem Bogu. Moje złe przeczucia mogą się jednak okazać błędne i może jeszcze

wszystko da się uratować. Dałby Bóg! Jakże bowiem żalosny jest widok ludzi stworzonych na obraz i podobieństwo Boga, gdy odchodzą z tego świata upodleni gorzej niż bydłota.

Płynąc na południe olkret minął Zatokę Stołową, po czym, wskutek zmiany kursu, wszedł do Zatoki Błędnej, gdzie znalazł osłonę przed gwałtownością wichru i fal. Mimo względnego spotkaju, fala i tu była wystarczająco silna, aby roztrzaskać każdy okret zapędzony na brzeg w głębi zatoki, dokąd właśnie zbliżał się „Ter Schilling”. Upłynęło jeszcze dwadzieścia minut i Filip spostrzegł, że morze dookoła jest całkowicie pokryte pianą. Ledwo miał czas domyślić się prawdy, gdy Okret uderzył dnem o piasek i pozostałe maszty zwały się na burzę.

Trzask padających masztów, tłuczenie dnem o piasek, wskutek czego popękały wiązania kadłuba, wreszcie fale przewalające się nad skazanym na zagładę okrętem położyły kres pieśniom i pijaństwu załogi. Jeszcze chwila i okret obrócił się burzą do fali, po czym położył się na drugiej burcie. Filip, który stał na nawietrznej, trzymał się kurczowo nadburcia, podczas gdy pijani marynarze staczali się w wodzie ku zawietrznej, usiłując się dostać na drugą stronę okrętu. Filip z przerażeniem dojrzał Mynheer Klootsa, którego ciało pogrążyło się w wodzie (na zawietrznej stronie pokładu miała ona kilka stóp głębokości), nie czyniącego żadnego wysiłku, żeby się ratować. Kapitan stracił przytomność, nie było więc nadziei ratunku. Filip pomyślał o Hillebrancie i pospieszył na dół. Znalazł go w koi, przyciśniętego do grodzi. Wyciągnął go stamtąd, wdrapał się z nim na pokład i ułożył go w barkasie umocowanym na rostrach, widział w tym bowiem najlepszą szansę uratowania mu życia. Do tejże

łodzi, jedynej nadającej się do użycia, schroniła się załoga. Odepchnęli Filipa, który także chciał się do niej dostać, a w momencie gdy przewałała się nad nimi fala przyboju, zwolnili liny przytrzymujące łódź. Przy następnej wysokiej fali uniosła się ona z lega rów, zeszała z rositrów i spłynęła nad burzą po zawietrznej, gdzie było spokojnie; miimb to nabrała wody po ławki. Pijalni marynarze nic sobie z tego nie robili i, gdy tyllko znaleźli się na wodzie, znowu zaczęli śpiewać hulasizicize piosenki, podczas gdy wiatr i fale unosiły ich ku plaży. Filip, który trzymał się resztek grótmasztu, śleodził ich trwożnym wizrokiem, widząc jak wznoszą się na spienionym grzbiecie przyboju, a następnie znikają w dolinie fali. Ich szaleńcze głosy oddalały się coraz bardziej, aż przestał je słyszeć. Widział jeszcze łódź chwiejącą się na grzbiecie olbrzymiego bałwana, a potem nie zohaczył jej więcej.

Wiedział, że dla niego jedyną szansą ocalenia jest trzymać się okrętu i próbować się ratować na jakimś odłamku wraka. Gzuł, że to niemożliwe, aby okręt zachował się długo w całości; górne pokłady już się rozszczepiły i każde uderzenie fali coraz bardziej rozdzierało kadłub. Wtem, kiedy czepiał się kurczowo nasady masiztu, usłyszał jakiś hałas od strony rufy i przypomniał sobie, że Mynheer Von Stroom został w swojej kajucie. Poczółgał się ku rufie i zobaczył, że schodnia rufowa została rzucona na drziwi kajuty w taki sposób, że nie możina ich było otworzyć od śmdka. Odsunął ją i wiszedił do kajulty, gdzie ujrział Mynheer Strooma, przyciśniętego w śmiertelnym uchwycie do grodzi nawietrznej. Nie był to jednak utehiwył śmierci, lecz strachu. Filip przemówił do niego, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Spróbował go poruszyć, lecz nie

mógł oderwać jego rąk od grodzi, której się uczepił. Trzask i nagłe wtargnięcie wody nie pozostawiały wątpliwości, że okręt przełamał się na dwoje. Filip pozostawił więc supercargo własnemu losowi i wybiegł z kajuty. Zobaczył, że coś się szamocze przy tylnym luku; to niedźwiedź Johannes pływał uwiązany na linie, która nie pozwalała mu uciec. Filip wydobyl nóż i uwolnił zwierzę. Zaledwie to uczynił, wielka fala przewróciła rufową część okrętu, rozbijając ją w kawałki, i Filip znalazł się w wodzie, walcząc z falami. Chwył się kawałka pokładu, na którym leżał, i fala przyboju uiniosa go w kierunku plaży. Po paru minutach był już blisko brzegu, a w chwili potem część poszycia, do której przywarł, uderzyła o piasek; pchnięty przez nadbiegającą falę, przelkoiziołkDiwał i wypuścił z rąk deski, zdamy już tylko na własne siły. Długo walczył, ale, choć do brzegu było tak blisko, nie mógł dotknąć dna stopą. Cofająca się fala wlokła go z sobą w tył i miotła nim tam i z powrotem, aż utracił siły. Już zaczynał tonąć, gdy wtem poczuł, że dotyka czegoś ręką. Nadludzkim wysiłkiem chwycił się tego. Było to futro niedźwiedzia, który, płynąc do brzegu, wyciągnął Filipa z pirayboju, talk że mógł zgruntować. Wczołgał się na plażę do miejsca, gdzie nie sięgała fala, i osunął się tam zemdlony z wyczerp ainia.

Kiedy odzyskał przytomność, pierwszym j&go odczuciem był ból w zamkniętych oczach, spowodowany wielogodzinnym leżeniem w palących promieniach słońca. Otworzył oczy, ale musiał je zaraz zamknąć, gdyż światło kłuło jak ostrze noża. Obrócił się na bok i zakrywszy oczy dłońmi, leżał jakiś czas w tej pozycji, aż się przekonał, że odzyskał zdolność widzenia. Gdy się podniósł, mógł już rozeznac otaczają-

cy krajobraz. Morze było nadal wzburzone, a fala przy boju ciskała odłamkami okrętu. Piasek był zarzucony ładunkiem i częściami wyposażenia. Opodal leżały zwłoki Hillebranta, a inine ciała porozrzucane na plaży uświadomiły mu, że ci, którzy się dostali do łodzi, zginęli wszyscy.

Było około trzeciej po południu, o ile mógł się zorientować. Czuł się jednak tak zbolały i przygnębiony, że rozejrzał się tylko pobieżnie. W głowie mu się mąciło i jedyną rzeczą, której pragnął, był odpoczynek. Oddalił się od widoku śmierci i zniszczenia, a natknąwszy się na piaszczystą wydmę, za którą mógł się schronić przed promieniami słońca, położył się tam i zapadł w sen, z którego przebudził się dopiero nazajutrz rano.

Po raz drugi obudziło go klucie w pierś. Zerwał się i ujrzał stojącą nad nim postać. Oczy go wciąż bolały, (widział więc niewyraźnie; przecierał je czas jakiś, bo najpierw wydało mu się, że (to niedźwiedź Johannes, a następnie, że to» supercargo Von Stroom stod przed nim. Popatrzył jeszcze raz i stwierdził, że się mylił. Obok niego stał wysoki Hotentot z włócznią w ręku. Na plecy zarzucił sobie skórę, świeżo zdartą z biednego niedźwiedzia, a głowę zdobiła mu jedna z peruk supercargo Von Strooma, której pukle spływały mu do pasa. W wyglądzie czarnego w tym stroju tyle było do stojnej powagi, że kiedy indziej rozśmieszyłoby to Filipa, teraz jednak doznawał zbyt bolesnych uczuć. Podniósł się li stanął obok Hotentota, który nie ruszał się z miejsca, ale nie zdradzał najmniejszych oznak wrogich zamiarów.

Filip pociziui pragnienie, rwięc pokazał na migi, że chce mu się pić. Hotentot skinął, aby szedł za mim, i pofprotwodził go przez piaszczyste wydmy ku plaży, gdzie Filip zobaczył oko-

ło pięćdziesięciu ludzi (zajętych wybieraniem różnych przedmiotów spośród wyrzuconych na brzeg zapasów okrętowych. Z szacunku okazywanego przez nich przewodnikowi Filipa łatwo się było domyślić, że jest on naczelnikiem wioski. Wystarczyło, że wypowiedział uroczystym tonem parę słów, aby przyniesiono w kalabasie — niezupełnie to, czego Filip pragnął — brudnej wody, która jednak smakowała mu wyśmienicie. Przewodnik wskazał ręką, aby usiadł na piasku.

Miał przed sobą osobliwy, zatrważający i niedorzeczny widok: biały piasek, który w oślepiającym blasku słońca wydawał się jeszcze bielszy, a na nim porzrzucone odłamki okrętu, beczułki i bele towarów; pienia się fala przyboju ciskała na wszystkie strony drobne kawałki wraka; kości wielorybów, wyrzucone na brzeg przez jakiś wcześniejszy sztorm, pozwalały rozpoznać części olbrzymich szkieletów; okaleczone ciała byłych towarzyszy Filipa, których odzieży dzicy nie (tknęli, z wyjątkiem poszukiwanych przez nich guzików; nędzy Hotentoci snujący się po plaży, podnoszący każdy bezwartościowy przedmiot, a pozostawiający wszystko, czego pożądamy ludzie cywilizowani; i wreszcie ukoronowanie wszystkiego — naczelnik wioski w okrwawionej skórze Johannesesa i w ogromnej peruce Mynheer Von Strdoma, siedzący z powagą wicekanclerza na obliczu i nie zdający sobie wcale sprawy ze swojej śmieszności. Wszystko to razem przedstawiało jeden z najdziwaczniejszych widoków, jakie kto kiedykolwiek oglądał.

Chociaż Holendrzy dopiero niedawno założyli swą kolonię na Przylądku, już od lat prowadzili iz tubylcami szeroki handel zamienna na skóry i inne produkty afrykańskie. Dla Hotentertów okręty nie były już czymś obcym, po~

nieważ zaś traktowano ich dobrze, byli zyczliwie usposobieni do Europejczyków.

Po pewnym czasie Hotentoci zaczęli zbierać wszelkie drewno wyglądające na to, że może zawierać w sobie kawałki żelaza; układali je w stosy i podpalali. Naczelnik zapytał Filipa na migi, czy jest "głodny. Filip odpowiedział twierdząco, ma co jego mowy znajomy sięgnął do worka z lkożlej skóry, wydobyl z niego garść duzych chrząszczy i poczęstował nimi rozbitka. Filip odmówił z miną wyrażającą obrzydzenie. Wówczas naczelnik zaczął z całym spokojem rozłupywać i zjadać chrząszcze, a gdy zjadł całą igarść, wstał i dał iznak Filipowi, aby szedł za nim. Podniósłszy się Filip dostrzegł swój kuferek unoszący się na fali przyboju. Pobiegł w taimtą stronę pokazując na migi, że kuferek należy dc* niego, wyjął z kieszeni klucz, otworzył i cz najpotrzebniejszych rzeczy .zrobił itumloczek, nie zapominając o woreczku z guldenami. Jego przewodnik nie sprzeciwiał się temu, ale zawołał jednego ze swych ludzi, będących w pobliżu, i wskazał mu zamek i zawiasy kufierka, po czym ruszył na przelaj przez piaszczyste wydmy, a Filip iza nim. Po godzinie przybyli do wicketki złożonej z niskich chat-pokrytych skórami, gdzie przywitały ich kobiety i dzieci, niezmiernie zachwycone, jak się zdawało, nowym strojem swego naczelnika. Filipowi okazywały nadzwyczajną zyczliwość i przyniosły mu mleka, które wypił. Przyglądał się przez chwilę tym córom Ewy, po czym, odwróciwszy się od widoku ich wybrudzonej odzieży, obcych kształtów i odrażających irysów, pomyślał z westchnieniem o swej uroczej Armine.

Słońce już zachodziło, a Filip czuł się zmęczony. Dał znak, że chciałby odpocząć. Zaprowadziły go do chaty i, choć zewsząd otaczał

go -brud, uderzały w nozdrza przeróżne wstrętne odory d napastowało go robactwa, złożył głowę na swym węzélku, odmówił modlitwę dziękczynną i wkrótce zapadł w głęboki sen.

Nazajutrz rano obudził go naczelnik, któremu towarzyszył inny mężczyzna, mówiący trochę po holendersku. Filip oświadczył, że pragnie, aby go zaprowadzono do kolonii, gdzie kotwiczą okręty. Zrozumieli go, ale obcy człowiek powiedział, że akurat w tym czasie nie ma w zatoce żadnego okrętu. Filip poprosił mimo to, aby mu pomogli tam się dostać, gdyż uważał, że w kolonii najłatwiej mu będzie złapać jakikolwiek statek i zaokrętować się, a do tego czasu będzie przebywać iw (towarzystwie Europejczyków. Osada znajdowała się w odległości zaledwie jednego dnia marszu. Hotentot mówiący po holendersku porozmawiał z naczelnikiem, po czym zaproponował Filipowi, że go tam zaprowadzi. Filip napił się do syta mleka z miski przyniesionej przez jedną z kobiet i, odmówiwszy przyjęcia garści chrząszczy, poszedł za nowo poznanym człowiekiem.

Pod wieczór dotarli do wzgórz, z których szczytu Filip ujrzał Zatokę Stołową i domy wzniesione przez Holendrów. W oddali dostrzegł okręt pod żaglami. Gdy zeszli na plażę, zobaczył, że z okrętu przysłano ma łódź po świeży prowiant. Przystąpił do wiosłarzy i oznajmił im, kim jest, powiedział im o rozbiściu się „Ter Schillihga" i o tym, że pragnie się zaokrętować.

Oficer dowodzący łodzią zgodził się go zabrać i poinformował Filipa, że są w drodze powrotnej do kraju. Na tę wiadomość Filipowi serce podskoczyło z radości. Nawet gdyby okręt był w podróży wyjściowej, zaimustrowałby na niego. Teraz otwierała się przed nim możliwość zobaczenia ukochanej Aminę, Kanim

powtórnie się zaokrętuje, aby dopełnić swego losu. Zrozumiał, że przeznaczone mu jest trochę szczęścia, że w jego życiu trud będzie się przeplatał z wytchnieniem i że przyszłość nie będzie nieprzerwanym pasmem cierpień, aż do śmierci.

Kapitan przyjął go życzliwie i przyznał mu przejazd do kraju. Po trzech miesiącach Filip po raz wtóry stanął na kotwicy na redzie Amsterdamu.

ROZDZIAŁ 11

Filip spieszył co sił do swego domku, w którym mieściło się wszystko, co miał najcenniejszego w świecie. Wprawdzie bardzo żałował straty Mynheer Klootsa i Hillebranta, jak również śmierci załogi, doznawał jednak pewnej ulgi na myśl, że uwolnił się od tego łotra Schriftena, który podzielił los ich wszystkich. Poza tym błogosławił niemal katastrofę, zgubną dla innych, dzięki której mógł tak szybko powrócić w ramiona Aminę.

Był późny wieczór, gdy Filip wynajął we Flushing łódź i popłynął do Temeuzen. Jak na tę porę roku, pogoda była kiepska. Wysiadł z łodzi i pospieszył do swego domku. Gdy zbliżał się z bijącym sercem, spostrzegł, że okno bawialni jest otwarte i wychyla się z niego jakaś kobieca postać. Wiedział, że to nie może być nikt inny, tylko jego Amina. Wobec tego, przeszedłszy przez (mostek, zwrócił się w stronę okna, zamiast iść do drzwi. Ajmdne,

gdyż ona to stała w oknie, była tak zapatrzona w niebo i zatopiona w myślach, że nie dostrzegła ani nie usłyszała zbliżającego się męża. Filip zauważył jej zamyślenie i przystanął o (kilka jardów od niej. Chciał teraz przemknąć się do drzwi nie zauważony, gdyż bał się ją przestraszyć zjawiając się zbyt nagle; przypomniał sobie swoje przyrzeczenie, że „gdyby uimatrl, odwiedzi ją, jeśli będzie mu dozwolone, jak niegdyś jego ojciec odwiedził matkę”. Podczas gdy stał wyczekując, Aminę obróciła ku niemu oczy. Zobaczyła go, ale chmura przesłaniała właśnie (tarczę księżyca i przyćmione światło nadawało jego postaci nierealny, widmowy wygląd. Poznała swego męża, nie mając jednak powodu spodziewać się jego powrotu, poznała w nim mieszkańca świata duchów. Drgnęła, obu rękami odgarnęła włosy z czoła i znów wpatrywała się w niego.

— To ja, Aminę, nie bój się — zawołał pośpiesznie Filip.

— Nie boję się — odpowiedziała. — Duchu mojego ukochanego męża... bo myślę, że nim jesteś... dziękuję ci! Witaj mi, Filipie, witaj nawet po śmierci.

I cofając się od okna, ruchem ręki zaprosiła go do wejścia.

Boże mój, uważa mnie za zmarłego, pomyślał Filip. Wszedłszy przez okno *do* bawialni, zastał ją siedzącą na kainapie. Chciał coś powiedzieć, ale Aminę, która nie odrywała od niego oczu, gdy wchodził do izby, przekonana, że jest nadprzyrodzoną zjawą, wykrzyknęła:

— Tak prędko! O Boże, bądź wola twoja, ale ciężko mi to znieść. Filipie, ukochany Filipie, czuję, że już wkrótce podążę szą tobą.

Filip przestraszył się jeszcze bardziej. Obawiał się jakiejś gwałtownej reakcji, gdy Aminę odkryje, że jest żywy.

— Aminę, droga moja, posłuchaj. Zjawiłem się o niezwyklej porze, ale pójdz w me ramiona, a przekonasz się, że twój Filip nie umarł.

— Nie umarł! — wykrzyknęła zrywając się z kanapy.

— Nie, Aminę, jestem z ciała i krwi, ciepły, jestem twoim czułym i do szaleństwa kochającym imężem — zawołał Filip chwytając ją w ramiona i przyciskając do serca.

Aminę wysunęła się z jego objęć, opadła na sofę i wybuchnęła płaczem, co przyniosło jej ulgę. Filip podtrzymywał ją, uklękawszy obok.

— O dzięki ci, Boże — (westchnęła Aminę. — Myślałam, że to twój duch, Filipie. O, cieszyłam się, że widzę chociaż twojego ducha ■— ciągnęła, płacząc z głową na jego ramieniu.

— Najdroższa, czy możesz niinie wysłuchać?

— Mów, mów, kochanie. Mogę cię słuchać bez końca.

Filip opowiedział ze szczegółami o wszystkim, co się wydarzyło i o nieoczekiwanej okazji powrotu. Czułe słowa wzruszonej Aminę wynagradzały mu z nawiązką wszystko, co wycierpiał.

— A twój ojciec, Aminę?

— Jest zdrow. Porozmawiamy o nim jutro.

Tak, pomyślał Filip, gdy obudzwszy się nazajutrz orano przyglądał się ślicznej twarzy drzemiącej obok żony, tak, Bóg jest łaskaw. Czuję, że jeszcze sądzone mi jest szczęście, mało tego... że to szczęście zależy od uczciwego spełnienia zadania i że zostałbym ukarany, gdybym miał zapomnieć o 'mojej przysiędze. Niechaj tak będzie. Wśród niebezpieczeństw, aż do śmierci będę wypełniał mój obowiązek, ufając Jego miłosierdziu, że otrzymam nagrodę tu, na ziemi, i w niebie. Czyż nie zostałem wynagrodzony za wszystko, eofm wycierpiał?

O tak, iz inaiwiązką, pomyślał przerywając pocałunkiem drzemkę żony i spotykając utkwione w nim spojrzenie jej ciemnych oczu, promieniających radością.

iZalnim zszedł ma dół, zapytał o Myinheer Pootsa.

— Ojciec sprawia mi wiele kłopotu — odparła Aminę. — Kiedy wychodzę z bawialni, muszę zamykać ją na (klucz. Parę razy przyłapałam go na tym, jalk usiłował wyłamać zamki w dolnych szufladach serwalntek. Jego żądza złota jest (nienasycona. Bardzo minie zabolalo, gdy nalegał, abym nigdy więcej cię nie zobaczyła d oddała jemu cały twój majątek. Ale boi się munie, a jeszcze bardziej boi się twego powrotu.

— Jak z jego zdrowiem?

— Chory Inie jest, ale widać, że zbliża się do kresu. Czasami (zachowuje się jak niespełna roaumu, a kiedy indziej snuje plany, jakby był w pełni sił. Och, cóż to musi być za przekleństwo ta miłość pieniędzy! Jestem wstrząśnięta, Filipie. Ten biedak stojący nad grobem, do którego przecież nie może nic z sobą zabrać, byłby gotów poświęcić twoje życie i moje, aby osiąść twoje guldeny, a ja oddałabym je wszystkie za jeden twój pocałunek.

— Czy rzeczywiście próbował. coś zrobić w czasie mojej nieobecności?

— Nie śmiem mówić, co o tym myślę, Filipie, i nie będę ryzykować podejrzeń, które byłoby (trudno (udowodnić. Obserwuję go uważnie... ale nie mówmy o nim więcej. Wkrótce go zobaczysz. Nie oczekuj serdecznego przywitania, a jeśli cię tak przywita, nie wierz w jego szczerłość. Nie powiem mu o twoim powrocie, bo chcę widzieć, jakie to na nim zrobi wrażenie.

Aminę zesła przygotować śniadanie, a Filip

wyszedł na parę minut na dwór. Kiedy wrócił, zastał Mynheer Pootsa siedzącego z córką przy stole.

— Na Allacha, czy ja dobrze widzę? — wykrzyknął staruszek. — To ty, Filipie Vanderdedkem?

— Jako żywo, wróciłem dziś w nocy.

— A ty mi nic nie powiedziałaś, Aminę!

— Chciałam wam zrobić niespodziankę, ojcze.

— Rzeczywiście, to niespodzianka. Kiedy znowu odpływasz, Mynheer Filipie? Sądzę, że bardzo niedługo? Może jutro?

— Mam nadzieję, że dopiero za kilka miesięcy — odparł Filip.

— Dopiero za kilka miesięcy! To długie próżnowanie. Musisz przecież zarabiać. Powiedz, dużo pieniędzy przywiozłeś tym razem?

— Nie, okręt się rozbił i o mało nie postradałem życia.

— Ale popłyniesz znowu?

— Tak, w odpowiednim czasie znowu popłynę.

— Doskonale. Zaopiekujemy się domem i twoimi pieniędzmi.

— Może zaoszczędzę wam kłopotu opieki nad pieniędzmi, ponieważ mam zamiar zabrać je z sobą.

— Zabrać z sobą! Ależ po co? — wykrzyknął Poots.

— Aby kupić za nie towarów tam, dokąd pojedę, i w ten sposób zarobić więcej pieniędzy.

— Możesz się znowu rozbić i wtedy stracisz wszystkie pieniądze. Nie, Mynheer Filipie, jedź, ale nie wolno ci zabierać tych guldenów.

— Owszem, zabiorę je. Odjeżdżając wezmę ze sobą wszystkie moje pieniądze.

W czasie tej rozmowy Filipowi przyszło na

myśl, że gdyby udało mu się skłonić Mynheer Pootsa do uwierzenia, że zabrał swoje pieniądze, Aminę miałaby więcej spokoju, dotychczas bowiem musiała, jak sama mówiła, być stale czujna. Postanowił, że przed odjazdem zrobi wszystko, aby medyk uwierzył, że zahiera ze sobą cały swój skarb.

Mynheer Poots pogrążył się w ponurej zadumie. Po chwili wyszedł z bawialni i udał się do swej izby. Wówczas Filip powiedział Aminę, co go skłoniło do mówienia starszukowi, że zabierze na okręt swój majątek.

— To ładnie z twojej strony, Filipie, i dziękuję ci, że jesteś dla minie taki dobry, ale wolałabym, żebyś był nic na ten temat nie mówił. Nie znasz mego ojca. Muszę go teraz śledzić jak wroga.

— Nie mamy się czego obawiać z tej strony niedołęznego starca — odparł Filip.

Aminę jednak była innego zdania i bezustannie miała się na baczności.

Minęła wiosna i lato. Filip i Aminę rozmawiali z sobą wiele o tym, co się wydarzyło — o nadprzyrodzonej zjawie okrętu jego ojca oraz o tragicznej katastrofie „Ter Schillinga”. Aminę czuła, że jej męża oczekują dalsze niebezpieczeństwa i trudności, ale nigdy nie starała się go odwieść od ponawiania prób wypełnienia ślubu.

Pod koniec lata Filip ponownie udał się do Amsterdamu, aby wystarać się o miejsce na jednym z okrętów, które miały odpłynąć z następnym zimą.

Wiedziano tam o rozbiciu się „Ter Schillinga”; towarzyszące temu okoliczności, z wyjątkiem ukazania się Okrętu Widma, Filip opisał w czasie swej powrotnej podróży i przesłał raport do wiadomości Rady Dyrekcyjnej. Nie tylko z uwagi na przynoszący mu zaszczyt sposób, w

jaki sporządził ten raport, lecz również ze względu na jego ciężkie przeżycia i ocalenie, Kompania przyrzekła mu miejsce drugiego oficera na jednym ze swych okrętów, gdyby ze-chciał popłynąć do Indii Wschodnich.

Kiedy się zgłosił w Dyrekcji, otrzymał nominację na „Batavię”, okręt o nośności około czterystu ton. Uzyskawszy to, czego chciał, Filip pospieszył z powrotem do Terneuzen i w obecności Mynheer Pootsa powiadomił o tym Aminę.

— A zatem znowu popłyniesz? — zauważył Mynheer Poots.

— Tak, ale myślę, że nie wcześniej jak za dwa miesiące.

— O — westchnął starszek ■ — za dwa miesiące! — I zaczął coś mrużyć do siebie.

Nie należy sądzić, że Aminę dręczyła się myślą o zbliżającej się rozłące z mężem. Smucilo ją to, ale rozumiała, że jego wyjazd jest obowiązkiem, a pamiętając o tym zawsze, nie traciła ducha i bez skargi poddawała się temu, co było nie do uniknięcia. Tylko jedna okoliczność przejmowała ją niepokojem — zachowanie ojca. Aminę zauważyła, że jej ojciec skrycie nienawidzi Filipa, upatrując w nim przeszkodę do zawładnięcia znajdującymi się w domu pieniędzmi. Stary dobrze wiedział, że gdyby Filip umarł, Aminę mało by się troszczyło o to, kto posiada te pieniądze kub^o się z nimi stało. Myśl, że Filip niedługo zabierze je z sobą, przyprawiała chciwego starca niema/l o pomieszenie zmysłów. Aminę obserwo-wała go i widziała, jak godzinami spacerował mrużąc coś do siebie i zaniedbując pracę zawodową.

Któregoś wieczoru, w kilka dni po swoim powrocie z Amsterdamu, Filip, który był prze-ziębiony, uskarżał się na złe samopoczucie.

— Żle się czujesz! — wykrzyknął staruszek. — Zaraz zobaiczymy... taik, tętno masz przyspieszane. Aminę, twój mąż jest chory! Musi się położyć, a ja dam mu coś, co mu dobrze zrobi. Nic ci za to 'nie policzę.

— Mynheer Poots, nie czuję się aż tak źle — odparł Filip. — Owszem, głowa mnie bardzo boli.

— Tak, Filipie, masz także gorączkę, a lepiej jest zapobiegać, niż leczyć. Idź zatem do łóżka i zażyj to, co ci przyślę, a jutro będziesz zdrow.

Filip poszedł na górę wraz z Aminę, a Mynheer Poots zamknął się w swojej izbie, aby przyrządzić lekarstwo. Jak tylko Filip położył się do łóżka, Aminę zeszła do bawialni, gdzie spotkała ojca. Wręczył jej proszek, który miała podać mężowi, po czym wyszedł z pokoju.

Boże, przebacz mi, jeśli niesprawiedliwie osądzam mego ojca, pomyślała Aminę, ale mam jakieś podejrzenie. Filip jest bardziej chory, niż się przyznaje, i jeżeli nie zażyje lekarstwa, może mu się pogorszyć... ale mani źle przecucie. Nie, przecież on nie może być aż tak szatańsko nikczemny!

Przyjrzała się uważnie zawartości papierka. Była w nim niewielka ilość ciemnobrązowego proszku, który, zgodnie ze wskazówkami Mynheer Pootsa, należało podać choremu rozpuszczony w kubku grzanego wina. Mynheer Poots zaofiarował się podgrzać wino. Jego powrót z kuchni przerwał rozmyślenia Aminę.

— Tu masz wino. Każ mu wypić kubek tego wina z proszkiem i niech się ciepło nakryje, bo wkrótce uderzą na niego poty, a nie powinno się ich powstrzymywać. Dopilnuj go, Aminę, żeby się nie odkrył, a jutro rano będzie zdrow. — Mynheer Poots opuścił izbę mówiąc: — Dobranoc, moje dziecko.

Aminę wsypała proszek do jednego ze srebrnych kubków stojących na stole i zaczęła go mieszać iz winem. Życzliwy ton głosu ojca rozproszył chwilowo jej podejrzenia. Trzeba oddać sprawiedliwość Mynheer Pootsowi, że jako lekarz przejawiał troskliwość w stosunku do swoich pacjentów. Wymieszawszy proszek, Aminę zauważyła, że na dnie nie itwoiny się osad, a wino jest tak samo klarowne jak przedtem. Było w tym coś niezwykłego i jej podejrzenia odżyły.

— Nie podoba mi się to — powiedziała. — Boję się ojca... Boże, dopomóż mi... nie wiem, co zrobić... nie, nie podam tego Filipowi. Może po samym grzanym winie także się spoci.

■Zastanawiała się przez chwilę. Wymieszała proszek z tak niewielką ilością wina, że nie wypełniło ono nawet ówieirci kubika. Odstawiła go na bok, napełniła drugi kubek po brzegi ciepłym winem i poszła na górę do sypialni. Na podeście schodów natknęła się na ojca; myślała, że udał się już na spoczynek.

— Uważaj, Aminę, żeby tego nie rozlać. Niech wypije pełen kubek. Zalczekaj, daj mi to, sam mu zaniosę.

Myriheer Poots wzięty kubek z rąk Aminę i wiszeił do izby Filipa.

— Masz, mój synu, wypij to do dna, a będziesz zdrow — powiedział.

Ręka tak imu drżała, że rozlał trochę wina na kołdrę. Aminę, która obserwowała ojca, była bardzo zadowolona, że nie wsypała proszku do tego kubika. Filip ulniósł się na łokciu i wypił wino do dna, po czym Mynheer Poots życzył miu dobrej nocy.

— Nie odchodź od niego, Aminę, sam zejść po światło — rzekł medyk wychodząc z izby.

Aminę, która zamierzała zejść po świecę pozostawioną w bawialni, została przy mężu;

zwierzyła miu się ze swoich obaw oraz z faktu, że nie dała mu tego proszku.

— Mam nadzieję, że się mylisz — powiedział Filip. — Jestem pewien, że musisz się mylić. Zadem, cizłoiwieik nie mógłby być tak podły, jalk posądzasz twego ojca.

— Nie żyłeś przy nim tak jalk ja i nie oglądałeś tego, co ja widziałam. Nie wiesz, do jakich czynów może skusić złoto... ale mogę się mylić. Musisz już spać, a ja będę czuwać przy tobie. Proszę cię, nic nie mów. Czuję, że teraz nie zasnę, poozyitaim trochę... niedługo się położę.

Wkrótce Filip zapadł w głęboki sen, a Aminę czuwała przy nim w ciszy, choć daiwino już minęła północ.

Oddycha ciężko, myślała, ale gdybym mu dała ten proszek, to kto wie, czy by się w ogóle obudził. Ojciec talk dobrze opanował umiejętności Wschodu, że boję się go. Wiem, że nazbyt często za sakiewkę złota przygotowywał napój śmiertelnego snu. Kogo innego' sanna myśl o tym przyprawiłaby o dreszcz, zgrozy, alle om... on, który rozdzielał śmierć zgodnie z wolą swych zleceniodawców, uczyniłby to bez skrupułów mężowi swej córki. Obserwowałam jego nastroje, znam jego myśli i pragnienia. Co za przeczucie nieszczęścia tknęło mnie dziś wieczór, jaki strach przed czymś złym! Filip jest chory, ale nie aż tak bardzo. Nie. A poza tym, jego godzina jeszcze nie wybiła. Ma do spełniefnia swoje straszne zadanie. Ach, żeby już był ranek! Jak on mocno śpi i pot mu wystąpił na czole. Muszę go dobrze okryć i pilnować, żeby nie odrzucił kołdry. Ktoś puka do drzwi wejściowych. Obudzą go? To pewno ktoś po ojca.

Aminę wyszła z izby i pospieszyła na dół. Wzywano Mynheer Pooitsa do rodzącej koibiety.

— Zaraz pójdzie — powiedziała. — Zawołani go.

Poszła na górę i zapukała do sypialni ojca, a nie słysząc odpowiedzi, zapukała powtórnie.

Ojciec nigdy tak mocno nie śpi, pomyślała Aminę. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Ku jej zdumieniu łóżko było puste. To dziwne, pomyślała, nie przypominam sobie, żebym słyszała, jak wracał na górę po zabraniu światła. Pospieszyła do balwiarza, gdzie ujrzała ojca wyciągniętego na kanapie, na pozór śpiącego. Kiedy zawołała, nie odpowiedział. Boże miłosierny! Nie żyje? — pomyślała przybliżając świecę do jego twarzy. Tak, tak właśnie było. Oczy miał szkliste, dolna szczęjka mu opadła. Aminę stała przez kilka chwil oparta o ścianę, oszołomiona; mąciło jej się w głowie. W końcu doszła do siebie.

Trzeba to natychmiast wyjaśnić, pomyślała podchodząc do stołu i zajrzała do srebrnego kubka, w którym poprzedniego wieczora wymieszała proszek z winem... kubek był pusty.

— Bóg sprawiedliwy go ukarał! — wykrzyknęła. — Alle, och... że też ten człowiek mógł być moim ojcem! Talk, to jasne. Wystraszony swoim podłym, diabelskim zamierzeniem dolał sobie wina z karafki, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia. Nie wiedząc, że w kubku znajduje się proszek, nalał do pełna i sam wypił... śmierć, którą przeznaczył dla kogo innego. Dla innego... ale dla kogo? Dla człowieka zaślubionego jego córce... dla Filipa, mojego męża! Gdybyś nie był moim ojcem — mówiła patrząc na martwe ciało — pluięłabym na ciebie i przekłęła cię. Ale zostałeś ukarany i niech ci Bóg przebaczy, biedny, słaby, nikczeminy człowieku.

Poszła na górę, gdzie zastała Filipa śpiącego jeszcze mocnym snem i bardzo spoconego.

Prawie każda kobieta na jej miejscu byłaby obudziła męża, ale Aminę nie myślała o sobie. Filip był choiry, więc nie chciała go budzić i denerwować. Usiadła obok łóżka, dłońmi ścisnęła czoło i z łokciami opartymi na kolanach siedziała w zamyśleniu, aż jasne promienie słońca wpadły przez okno.

Ponowine pukanie do drzwi domku przerwało jej rozmyślenia. Pospieszyła na dół, ale nie otworzyła drzwi wejściowych.

— Mynheer Pooits jest potrzebny natychmiast — oznajmiła przysłana dziewczyna.

— Moja żalona Tereso, ojciec mój potrzebuje pomocy bardziej niż ta biedna kobieta. Niestety, jego ziemskie trudy już się skończyły. Kiedy poszłam go zawołać, zastałam go chorego i nie miał siły wstać z łóżka. Serdecznie cię proszę, abyś zechciała pójść do księdza Seysena i poprosić, żeby tu przyszedł. Boję się, że mój biedny ojciec jest już bliski, śmierci.

— Boże, zlituj się! — wykrzyknęła Teresa. — Naprawdę? Niech pani Aminę będzie spokojna, zrobię jak każecie.

Drugie kołatanie do drzwi obudziło¹ Filipa, który poczuł się lepiej; głowa przestała go już boleć. Zauważył, że Aminę nie kładła się tej nocy i właśnie miał jej czynić wymówki z tego powodu, gdy oznajmiła mu, co się stało.

— Ubieraj się, Filipie — mówiła dalej. — Musisz mi pomóc przenieść ciało na górę i położyć w łóżku, zanim ksiądz nadejdzie. Boże miłosierny, gdybym ci była dała ten proszek, najdroższy Filipie... ale nie mówmy już o tym. Pospiesz się, bo ksiądz Seysen zaraiz tu będzie.

Filip ubrał się szybko i zszedł za żoną do bawialni. Słońce świeciło jasno, jego promienie padały na wychudłą twarz starca, którego pięści były zaciśnięte, a język przygryziony w kącie ust.

— (Niestety! Zdaje się, że nad tą izbą ciąży jakiś zły los. He okropnych scen jeszcze się tutaj rozegra?

— Mam nadzieję, że żadna — odparła Aminę. — Ta scena nie jest okropna. Kiedy ten starzec, już nie żyjąca ofiara własnej zdrady, stał przy twoim łóżku i poidawał ci kubek wina z wszystkimi oznakami troskliwości i życzliwości... to była scena okropna, która długo będzie minie prześladować.

— Boże, przebacz mu, jak ja jemu przebaczam — powiedział Filip, po czym podźwiął ciało i zaniósł je na górę, do izby zajmowanej przez Mynheer Poioitsa.

— Niech ludziom się zdaje, że umarł w swoim łóżku śmiercią naturalną — rzekła Aminę. — Mąja дума nie mogłaby znieść, żeby wiedzieli o tym i wytykali minie palcami jako cónkę mordercy. Och, Filipie!

Usiadła i wybuchnęła płaczem. Gdy mąż próbował ją pocieszyć, zapukał do drzwi ksiądz Seysen. Filip pospieszył mu otworzyć.

— Dzień dobry, mój syniu. Ozy chory bardzo cierpi?

— Już przestał cierpieć, księżę proboszczu.

— (Nie może być! — wykrzyknął pocziwy proboszcz. — Więcej przybyłem za późno? A przecież nie marudziłem.

— Skończył w konwulsjach — wyjaśnił Filip.

Ksiądz Seysen popatrzył na ciało, a zrozumiał, że jego posługa jest już zbyt ciężka, zwrócił się do Aminę, która jeszcze nie zdołała powstrzymać łez.

— Płacz, moje dziecko, płacz, bo masz co opłakiwać. Utrata miłości ojcowskiej musi być bolesnym ciosem dla troskliwej i czulej córki. Nie poddawał się jednak smutkowi, Aminę.

Masz, moje dzieidko, inne obowiązki, masz męża.

— Wiem, księżo, ale muszę płakać, bo byłam jego córką.

— Czy wczoraj wieczorem nie kładł się do łóżka, że dotąd jest w ubraniu? Kiedy zaczął się uskarżać?

— Ostatni raz widziałem go, kiedy przyszedł do mojej izby i dał mi lekarstwo. Połtem powiedział dobranoc. Kiedy wzywano go do chorego, moja żona poszła po niego, ale już nie mógł mówić.

— To prędko poszło — zauważył ksiądz — ale był już w podeszłym wieku, a starczy ludzie kończą w jednej chwili. Byłeś przy nim, kiedy umierał?

— Nie, proszę księdza. Zanim żona mnie zawołała i zdążyłem się ubrać, już odszedł z tego świata.

— Ufam, moje dzieci, że do lepszego świata. — Aminę wzdrygnęła się. — Powiedz mi, Aminę — ciągnął ksiądz — czy przed śmiercią widać było na nim oznaki łaski Bożej? Bo wiesz, że przez długi czas był uważany za niepewnego w wierze i nie przywiązującego wielkiej wagi do obrządków Kościoła świętego.

— Bywają wypadki, wielbny księżo — odparła Amine — kiedy nawet chrześcijaninowi można wybańczyć, jeśli nie oikazuje znaków łaski Bożej. Spójrzycie na jego zaciśnięte dłonie, na wyraz twarzy świadczący o śmiertelnej męce. Czy w tym stanie można oczekiwać oznak łaski Bożej?

— Niestety, to prawda. Musimy więc tylko poikładać nadzieję w Painu, że będzie zbawiony. Ofiarujmy modlitwę za duszę zmarłego.

Filip i Anilinę uklękli wraz z księdzem, który odmówił modlitwę, a gdy powstali z klęczek,

wymienili z sobą szybkie spojrzenia, wyrażające to, co działo się w sercu każdego z nich.

— Przysię ludzi, aby czuwali przy zmarłym i przygotowali zwłoki do pogrzebu — powiedział ksiądz Seysen. — Ale byłoby lepiej nie mówić, że umarł, zanim przyszedłem, i nie dawać powodu do przypuszczeń, że odszedł ze świata bez ostatniej pociechy, jaką nam daje nasza wiara.

Filip, który stał w nogach łóżka, przytaknął skinieniem głowy, po czym ksiądz odszedł. W wiosce zaiwsze istniała silna niechęć do Mynheer Pootsa. Leikcewaiżetnie przez niego obowiązków religijnych przysporzyło mu wrogów, ale jego wybitne umiej ejtin ości medyczne, w pełni doceniane, czyniły go ważną osobistością. Gdyby ludzie wiedzieli, że wyznawał mahoime-tanizim, i że umarł usiłując otruć swego zięcia, z pewnością odmówiliby mu chrześcijańskiego pogrzebu i z pogardą wskazywaliby palcem jego córkę. Polnieważ jednak ksiądz Seysen, gdy go pytano, odpowiadał: „Odszedł w pokoju”, mieszkańcy wsi przypuszczali, że Mymheer Poots umarł jako przykładowy chrześcijanin, choć za życia postępował niezbyt zgodnie z zasadami chrześcijańskimi. Nazajutrz doczesne szdzajtki starca zostały złożone do grobu ze zwykłym ceremoniałem, a Filipowi i Amilne mocno ulżyło, że wszystko przeszło tak spokojnie.

Dopiero po pogrzebie Filip wraz z Aminę przeszukali izbę teścia. W kieszeni ubrania Filip znalazł klucz od skrzyni, ale na razie nie zaglądał do tego schowka. W izbie pełno było butelek i szkatulek z lekami. Wyrzucili je, a te, których przeznaczenie Aminę znała, przenieśli do nieużywanej izby. Stół Mynheer Pootsa miał wiele szuflad. Przeszukali je i wśród różnorodnych przedmiotów znaleźli wiele arabskich ma-

nuskryptów, prawdopodobnie recepty. Znaleźli też pudełka i papiery ze znakami pisma arabskiego, a w pierwszym pudełku, które wzięli do rąk, znajdował się proszek podobny do tego, jaki Mynheer Poots dał Aminę. Wiele przedmiotów i manuskryptów wskazywało na to, że staruszek parał się wiedzą tajemną, którą praktykowano w owych czasach; te rzeczy natychmiast wrzucidii do ognia.

— Gdyby ksiądz Seysen widział to wszystko! — zaiulważyła Aminę. — Ale, Filipie, tu są jakieś druki.

Przyjrzaivtezy się im dokładnie Filip przeko^nał się, że są to potwierdzenia własności udziałów Holenderskiej Kompanii Indii Wschodnich.

— Nie, Aminę — powiedzie! — to są pieniądze, a raczej coś równie cennego jak pieniądze... osiem udziałów w kapitale Koimjpanii, które będą nam przynosić co roiku ładny dochód. Nie miałem poljęcia, że staruszek w tein sposób lokował swoje pieniądze. Zamierzałem przed wyjazdem zrobić to samb z częścią moich pieniędzy, żeby nie leżały bez pożytku.

Trzeba było w końcu zajrzeć do żelaznej skrzyni. Gdy Filip ją otworzył, w pierwszej chwili wydało mu się, że niewiele w niej jest. Była wielka, gęboika i robiła wdrażanie prawie pustej.. Kiedy jednak sięgnął rejką aż do dna, wyciągnął stamtąd trzydzieści kilka woreczków, których zawartość stanowiły same złote monety, a nie srebrne guldeny, jak można było przypuszczać. Był tam tylko jeden woreczek ze srebrnymi pieniędzmi. To jeszcze nie wszystko. Znaleźli kilka małych szkatulek i paczuszek z diamentami i innymi drogocennymi kamieniami. Kiedy zgromadzili to wszystko, skarb przedstawiał dużą wartość.

— Aminę, kochanie moje, wniosłaś mi do-
prawdy niespodziewany posag.

— Dobrze mówisz... niespodziewany. Te dia-
menty i klejnoty ojciec musiał przywieźć
z Egiptu. A mimo to, jakże ubogo żyliśmy, za-
nim przenieśliśmy się do tego domku! I posia-
dając całe to bogactwo, chciał otruć mego Fi-
lipa, aby osiąść jeszcze więcej! Boże, prze-
bacz mu.

Przeliczyli złoto, w sumie blisko pięć-
dziesiąt tysięcy guldenów, po czym włożyli je
z powrotem do skrzyni i wyszli z izby.

Jestem bogatym człowiekiem, pomyślał Filip,
gdy Aminę pozostawiła go samego, ale co mi
przyjdzie z bogactwa? Mógłbym kupić okręt
i być sam sobie kapitanem, czy jednak ten
okręt nie zatonie? Oczywiście, nie musi tak się
stać, ale los jest przeciwko memu okrętowi,
więc nie będę go posiadał. Czy wolno mi jed-
nak z takim przeświadczeniem pływać na cu-
dzych okrętach? Nie wiem. Wiem tylko, że
mam obowiązek do wypełnienia i że życie każ-
dego z nas jest w ręku łaskawej Opatrzności,
która odwołuje człowieka z tego świata wte-
dy, gdy uzna to za stosowne. Ulokuję większą
część moich pieniędzy w akcjach Kompanii.
Jeżeli będę pływać na jej okrętach i dotknie
je nieszczęście wskutek spotkania z moim
ojcem, będę przynajmniej tak samo poszkodo-
wany jak inni udziałowcy. A teraz trzeba za-
pewnić Aminę więcej wygód.

Filip zaprowadził niezwłocznie duże zmia-
ny w ich trybie życia. Najęli dwie służebne,
urządzili izby z większym komfortem; Van-
derdecken nie szczędził pieniędzy na nic, co
mogło zapewnić jego żonie dostatek i wygodę.
Napisał do Amsterdamu i zakupił kilka udzia-
łów w kapitale akcyjnym Kompanii. Diamen-
ty i własne pieniądze pozostawił jednak w rę-

ku Amine. Na załatwianiu tych spraw szybko upłynęły dwa miesiące i kiedy wszystko było już zakończone, otrzymał znowu listowne wezwanie do przybycia na okręt. Amine pragnęłaby, żeby popłynął jako pasażer, a nie jako oficer, ale Filip wolał to ostatnie, gdyż inaczej nie mógłby ludziom wyjaśnić powodu swej podróży do Indii.

— Nie wiem dlaczego — zauważył w wieczór poprzedzający jego wyjazd — ale nie czuję tego, co czułem wyjeżdżając ostatnim razem. Teraz nie mam przeczucia nieszczęścia.

— Ani ja — odparła Amine — ale czuję, że mnie opuścisz na długo, a czyż to nie jest nieszczęściem dla kochającej żony, która czeka pełna niepokoju?

— Tak, kochanie, masz rację, ale...

— Och, tak, wiem, to twój obowiązek i musisz odpłynąć — odparła chowając twarz na jego piersi.

Nazajutrz Filip pożegnał się z żoną, która okazywała więcej hartu ducha niż przy pierwszym rozstaniu.

Wszyscy zginęli, ale on ocalał, myślała Amine. Czuję, że powróci do mnie. Boże w niebiesiech, bądź wola twoja.

Filip znalazł się wkrótce w Amsterdamie i zakupiwszy szereg rzeczy, które, jego zdaniem, mogły mu się przydać w wypadku katastrofy ■—■ obecnie oczekiwał jej niemal z pewnością — zaokrętował się na „Batavię”, która stała na jednej kotwicy, gotowa do wyjścia.

ROZDZIAŁ 12

Filip nie potrzebował długiego czasu, żeby się zorientować, że prawdopodobnie nie będą mieli wygodnej podróży, gdyż „Batavia” została zacarterowana do przewozu dużego oddziału wojska na Cejlon i Jawę w celu uzupełnienia i wzmocnienia tamtejszych wojsk Kompanii. Miała się odłączyć od flotyli w pobliżu Madagaskaru i płynąć bezpośrednio na Jawę. Uważano, że liczba żołnierzy na okręcie jest wystarczająca dla zabezpieczenia go przed napaścią albo wrogimi działaniami ze strony piratów lub nieprzyjacielskich okrętów. Poza tym „Batavia” była uzbrojona w trzydzieści dział i miała siedemdziesięciu pięciu ludzi załogi. Oprócz sprzętu wojskowego, który stanowił główną część ładunku, okręt wiózł znaczną ilość pieniędzy dla rynku indyjskiego. Gdy Filip wchodził na statek, akurat załadowywał się oddział żołnierzy; w parę minut pokłady były tak zatłoczone, że ledwo można się było poruszać. Filip nie rozmawiał jeszcze z kapitanem, ale odszukał pierwszego oficera i natychmiast objął swoje obowiązki, które, dzięki sumiennemu przykładaniu się do służby w czasie poprzedniego rejsu i podróży powrotnej, poznał znacznie lepiej, niż można by przypuszczać.

Po upływie krótkiego czasu znikły wszelkie objawy pośpiechu i zamętu. Uprzątnięto bagaże wojskowe, żołnierze otrzymali rozkaz podzielenia się na grupy, a gdy zaopatrzone ich w sprzęt do jedzenia i rozłokowano na głównym pokładzie pomiędzy działami, zrobiło się miejsce do obsługi okrętu. Filip wykazywał tak dużą ruchliwość i systematyczność w podejmowanych przygotowaniach, że kapitan po-

wiedział do niego w przerwie między własnymi, żmudnymi czynnościami:

— Myślałem, panie Vanderdecken, że nie lubisz się przemęczać, skoro nie przybyłeś wcześniej na okręt, ale teraz, odkąd tu jesteś, odrabiasz stracony czas. W ciągu przedpołudnia zrobiłeś więcej, niż mogłem się spodziewać. Rad jestem, żeś przybył, choć bardzo żałuję, że nie było cię tutaj, gdy sztauowaliśmy ładunek pod pokładem. Obawiam się, że nie zostało to wykonane najlepiej. Mynheer Struys, pierwszy oficer, miał tyle roboty, że nie mógł wszystkiego dobrze dopilnować.

— Przykro mi, że nie byłem obecny, panie kapitanie, ale przybyłem natychmiast po otrzymaniu wezwania od Kompanii.

— Tak, a ponieważ oni wiedzą, że jesteś żonaty i nie zapominają o tym, że jesteś poważnym udziałowcem, nie chcieli niepokoić cię zbyt wcześnie. Przypuszczam, że w następnej podróży dostaniesz dowództwo okrętu. Jeżeli ulokowałeś taką sumę w ich kapitale, to właściwie możesz być tego pewien. Nie dalej jak dziś rano rozmawiałem na ten temat z jednym ze starszych rachmistrzów.

Filip nie zmartwił się wcale, że ulokował swoje pieniądze na tak dobry procent, gdyż bardzo pragnął zostać kapitanem. Odpowiedział, że oczywiście ma nadzieję dowodzić okrętem po następnej podróży, ufa bowiem, że do tego czasu nabędzie niezbędnej na tym stanowisku znajomości rzeczy.

— Bez wątpienia, bez wątpienia, panie Vanderdecken. Jestem tego pewien. Musisz kochać morze.

— Kocham i wątpię, czy kiedykolwiek je porzucę.

— Nigdy nie porzucę! Tak myślisz teraz. Jesteś młody, energiczny i pełen nadziei, ale

z czasem będziesz miał dosyć morza i z chęcią położysz się w dryf na resztę życia.

— Ile wojska okrętujemy? •— zapytał Filip.

— Dwustu czterdziestu pięciu żołnierzy i sześciu oficerów. Biedne chłopaki, niewielu z nich powróci. Ba, więcej niż połowa nie doczeka następnych urodzin. To okropny klimat. Kiedyś wyokrętowałem w tej wstrętnej dziurze trzystu ludzi, a po sześciu miesiącach, zanim odpłynąłem, pozostało przy życiu mniej niż stu.

— To niemal zbrodnia posyłać ich tam — zauważył Filip.

— Phi, gdzieś przecież muszą umrzeć, a jeśli umrą trochę wcześniej, to co za różnica? Życie jest towarem, do kupienia i do sprzedania jak każdy inny towar. Wysyłamy tyle a tyle wyrobów i pieniędzy na wymianę za towary indyjskie. Wysyłamy także tyłu a tyłu żywych ludzi i to się bardzo opłaca Kompanii.

— Ale, niestety, nie opłaca się tym biednym żołnierzom.

— Nie, Kompania kupuje ich tanio, a sprzedaje drogo — odparł kapitan oddalając się w kierunku dziobu.

To prawda, pomyślał Filip, tanio kupują ludzkie życie i zarabiają na tym pierwszorzędnie. Bez tych biednych chłopców jakże mogliby utrzymać swe posiadłości zagrożone przez tubylców* i wrogów zewnętrznych? Za jakież marny żołd ci ludzie sprzedają swoje życie! Za jakie nędzne, psie pieniądze ważą się na wszystkie okropności najbardziej morderczego klimatu, bez szansy ani nadziei na powrót do ojczystego kraju, gdzie mogliby odzyskać nadwątlone siły i przedłużyć sobie życie. O, dobry Boże, jeżeli wolno tak bez serca poświęcać tych żołnierzy dla pieniędzy, to czemuż ja miałbym czuć wyrzuty sumienia, gdyby miało

zginąć iluś tam ludzi przy wypełnianiu świętego obowiązku, nałożonego na mnie przez tego, który kieruje naszymi losami według swojej woli? Nawet wróbel nie spada na ziemię bez jego wiedzy i od niego zależy śmierć lub ocalenie. Jestem tylko tworem jego woli i spełniam moją powinność, jestem tylko posłuszny rozkazom tego, którego drogi są niezbadane. A jednak, gdyby i ten okręt miała spotkać zgruba przeze mnie, musiałbym żałować, że nie zamustrowano mnie na inny, gdzie może mniej ludzi postradałoby życie.

Dopiero w tydzień po przybyciu Filipa „Batavia” i reszta flotyli były gotowe do wyjścia.

Trudno byłoby zanalizować uczucia Filipa w ciągu tej drugiej podróży. Umysł Vanderdeckena był tak nieustannie zwrócony ku jej celowi, że choć skrupulatnie wypełniał obowiązki religijne, to sprawy życia doczesnego przesuwały się przed jego oczami jak sen. Był pewien, że znowu spotka Okręt Widmo i niemal równie pewien, że po tym spotkaniu nastąpi jakieś nieszczęśliwe wydarzenie, najprawdopodobniej śmierć tych, którzy z nim płynęli, i ta myśl tak go gnębiła, że został z niego tylko cień. Rzadko się odzywał, chyba tylko na służbie. Czuł się jak zbrodniarz, jakby, zaokrętowując się razem z nimi, z góry skazywał wszystkich dookoła siebie na śmierć, na nieszczęście, na niebezpieczeństwo. Gdy któryś z marynarzy mówił o swojej żonie, inny o dzieciach, kiedy puszczała wodze myślom o przyszłości i układali radosne plany, Filipowi serce się ścisnęło, wstawał od stołu i spieszył szukać samotności na pokładzie. Czasem próbował przekonywać sam siebie, że w tamtym momencie jego zmysły działały pod wpływem podniecenia, że padł ofiarą złudy. Innym razem przypominał sobie całą przeszłość, wy-

czuwał jej straszną realność. I wtedy przychodziło mu na myśl, że Bóg nie miał nic wspólnego z tą nadprzyrodzoną zjawą, że to była robota i podstęp szatana. Ale z drugiej strony relikwia... szatan nie posługiwałby się takimi środkami. W kilka dni po wypłynięciu żałował gorzko, że nie przedstawił całej sprawy księdzu Seysenowi i nie zasięgnął jego rady, czy istotnie powinien prowadzić dalej swe poszukiwania. Teraz jednak było już za późne, dzielna „Batavia” znajdowała się o przeszło tysiąc mil od Amsterdamu, a jego obowiązek, jakkolwiek można by go oceniać, musiał być spełniony.

Gdy flotylla zbliżała się do Przylądka, jego niepokój wzrósł do tego stopnia, że zwróciło to uwagę wszystkich na okręcie. Kapitan i oficerowie dowodzący zaokrętowanym wojskiem interesowali się Filipem, ale daremnie usiłowali dowiedzieć się przyczyny jego niepokojów. Filip utrzymywał, że źle się czuje. Jego zmizerowana twarz i zapadłe oczy były niemyym świadectwem okrutnego cierpienia. Większą część nocy spędził na pokładzie, wyężając wzrok we wszystkich kierunkach i śledząc każdą zmianę na widnokręgu, w oczekiwaniu na ukazanie się Okrętu Widma. Dopiero o świcie udał się do swojej kajuty na niespokojny odpoczynek.

Po pomyślnej podróży okręty flotylli rzuciły kotwicę w Zatoce Stołowej w celu odświeżenia zapasów i Filip uczuł pewną ulgę, że do tego czasu nadprzyrodzona zjawą nie ukazała się ponownie.

Jak tylko flotylla pobrała wodę, ruszyli w dalszą drogę i znowu podniecenie Filipa stało się widoczne. Przy sprzyjającym wietrze opłynęli jednak Przylądek, minęli Madagaskar i przybyli na morza indyjskie, gdzie „Batavia”

rozstała się z resztą flotylli, która popłynęła do Gambrunu i na Cejlon. A teraz, pomyślał Filip, czy Okręt Widmo się pokaze? Czekał tylko, aż zostaniemy sami, żeby żaden okręt nie mógł nam pomóc w nieszczęściu. Ale „Batavia” płynęła po spokojnym morzu, pod niebem bez chmur, i nic im się nie ukazało. Po paru tygodniach zbliżyli się do brzegów Jawy i, zanim weszli na wspaniałą redę Batawii, położyli się na noc w dryf. Była to ich ostatnia noc pod żaglami i Filip nie ruszył się z pokładu; przemierzał go tam i z powrotem, wyczekując niespokojnie ranka. Wreszcie rano wstał, słońce wzeszło w całej swej wspaniałości, a „Batavia” wpłynęła na redę. Przed południem stała już na kotwicy. Uspokojony, Filip zszedł szybko do swej kajuty i zapadł w sen, którego bardzo potrzebował.

Obudził się odświeżony, gdyż wielki ciężar spadł mu z serca. A zatem, myślał, załoga nie musi być skazana na śmierć dlatego, że ja jestem na pokładzie. Okręt Widmo nie musi się ukazać dlatego, że ja go poszukuję. A jeśli tak, to sumienie nie będzie mnie więcej gryzło. Szukam go, to prawda, i pragnę go spotkać, mam jednak tylko takie szanse jak inni. I nie ma żadnej pewności, że go znajdę, ponieważ go poszukuję. Że sprowadza nieszczęście na wszystkich, którzy go spotkają, to może być prawda, ale nie to, że ja ściągam nieszczęśliwe spotkanie. Dzięki ci, Boże! Teraz mogę go dalej szukać bez wyrzutów sumienia.

Dzięki tym refleksjom Filip wrócił do równowagi i wyszedł na pokład. Wojsko już schodziło z okrętu, gdyż żołnierzom równie pilno było wydostać się z długotrwałego zamknięcia, jak marynarzom — odzyskać trochę wolnej przestrzeni i wygod. Obserwował krajobraz. Batawia położona była w odległości około jed-

nej mili, nisko na wybrzeżu. Za miastem wznosił się łańcuch wysokich gór, olśniewający zielenią. Gdziegdzie było widać wiejskie siedziby rezydentów kolonialnych, zachwycająco wtulone w kępy drzew. Panorama była piękna, bujna roślinność, dzięki swej jaskrawej zieleni, stanowiła wypoczynek dla oczu. Blżej miasta stały małe i duże okręty, cały las masztów. Woda w zatoce była jasnoniebieska i marszczyła się pod wpływem lekkiego wiatru. Tu i ówdzie małe wysepki, jak kępki świeżej zieleni, przerywały monotonię wodnej płaszczyzny. Nawet samo miasto sprawiało miłe wrażenie, gdyż biel domów kontrastowała z ciemnym listowiem drzew rosnących w ogrodach i wzdłuż ulic.

— Czy to możliwe — zwrócił się Filip do kapitana „Batavii”, który stał obok niego — aby ta piękna miejscowość była tak niezdrowa? Na podstawie jej wyglądu wyobrażałbym sobie coś wręcz przeciwnego.

— W tym kraju — odparł kapitan — jadowite węże wylaniają się spośród kwiatów, a śmierć spaceruje po pięknych zakątkach wspaniałej przyrody. Czujesz się lepiej, Mynheer Vanderdecken?

— Znacznie lepiej.

— Jednak, przy twoim osłabieniu, radziłbym zejść na ląd.

— Z wdzięcznością skorzystam z pozwolenia. Jak długo będziemy tu stali?

— Nie tak długo, gdyż kazali nam szybko wracać. Ładunek jest już dla nas przygotowany i załadujemy go, jak tylko skończy się wyładunek.

Filip poradził się kapitana i bez trudności znalazł kwaterę u gościnnego kupca, którego dom stał w pewnej odległości od miasta, w zdrowej okolicy. Spędził tam dwa miesiące,

w ciągu których odzyskał siły, po czym wrócił na okręt na parę dni przed jego odejściem. Podróż powrotna przebiegała pomyślnie i w cztery miesiące po opuszczeniu Batawii znaleźli się na wysokości Wyspy Świętej Heleny, gdyż w tych czasach okręty na ogół płynęły tak zwanym przejściem wschodnim, idąc na południe wzdłuż wybrzeży Afryki, zamiast skierować się ku brzegom Ameryki. Znowu opłynęli Przylądek nie napotkawszy Okrętu Widma i Filip nie tylko cieszył się doskonałym zdrowiem, ale był też w dobrym nastroju. Kiedy stali unieruchomieni przez ciszę, mając wyspę w zasięgu wzroku, zauważył łódź wiosłującą w ich stronę; po trzech godzinach łódź dobiła do burty. Załoga była bardzo wyczerpana, gdyż wiosłowała od dwóch dni bez przerwy, pragnąc dopłynąć do wyspy.

Ludzie ci oświadczyli, że są załogą małego holenderskiego okrętu kursującego między Europą a Indiami, który zatonał dwa dni wcześniej. Pękła jedna z desek poszycia i okręt zaczął nabierać wody tak szybko, że ledwo zdążyli się uratować. Byli wśród nich: kapitan, oficerowie i dwudziestu marynarzy oraz stary portugalski ksiądz katolicki, odesłany do kraju przez gubernatora holenderskiego za to, że przeciwstawiał się interesom Holendrów w Japonii. Żył on wśród tubylców, którzy przez jakiś czas go ukrywali, ponieważ rząd japoński również pragnął go schwytąć i uśmiercić. W końcu nie widział innego wyjścia jak oddać się w ręce Holendrów, mniej okrutnych wrogów.

Władze holenderskie zdecydowały, że należy go usunąć z tego kraju i w konsekwencji wsadzono go na powracający do Holandii okręt indyjski. Według relacji kapitana i załogi, zginął w tej podróży tylko jeden człowiek, ale była to ważna osobistość, gdyż przez wiele lat

piastował stanowisko dyrektora holenderskiej faktorii w Japonii. Powracał do Holandii z całym bogactwem, jakie nagromadził. Kiedy umieszczono go w łodzi, zaczął się nagle domagać — zgodnie z oświadczeniem kapitana i załogi — żeby mu pozwolono wrócić na okręt i zabrać zapomnianą, niezmiernie cenną szkatułkę z diamentami i innymi drogimi kamieniami. Podczas gdy na niego czekali, bukszpryt okrętu nagle się zanurzył i okręt poszedł dziobem pod wodę, oni zaś ledwo sami się uratowali. Wyczekiwali jakiś czas myśląc, że dyrektor faktorii może wypłyne na powierzchnię, ale nie ukazał się więcej.

— Wiedziałem, że coś się stanie — zauważył kapitan, gdy posiedział już jakiś czas w kajucie z Filipem i kapitanem „Batavii”. — Za ledwie trzy dni przedtem widzieliśmy tego Szatana, ten Diabelski Okręt, czy jak go tam nazywają.

— Co! Latającego Holendra? — zapytał Filip.

— Tak, zdaje się, że właśnie tak go nazywają — odparł kapitan. — Często o nim słyszałem, ale dotychczas nigdy nie zdarzyło mi się go spotkać i mam nadzieję, że więcej go nie spotkam. Jestem człowiekiem zrujnowanym, muszę rozpoczynać wszystko od nowa.

— Opowiadano mi o tym okręcie — rzekł kapitan „Batavii”. — Proszę, powiedzcie mi, jak się wam ukazał?

— No cóż, właściwie widziałem tylko niewyraźny zarys kadłuba. To było bardzo dziwne. Noc była spokojna i niebo bezchmurne. Mieliśmy postawione bramsle, gdyż w nocy nie płynę pod wszystkimi żaglami. Zszedłem do siebie, ale około drugiej nad ranem oficer zawołał mnie, żebym przyszedł na pokład. Zapytałem, o co chodzi, a on na to, że trudno mu

powiedzieć, ale ludzie są bardzo wystraszeni i widać Okręt Widmo, jak go nazwali marynarze. Wszedłem na pokład. Cały horyzont był czysty, ale za rufą, nie dalej jak o dwa kable od nas, widać było jakby kłęb mgły, okrągły jak kula. Płynęliśmy z szybkością czterech i pół węzła, lekko licząc, a mimo to nie mogliśmy uciec od tej mgły. „Proszę spojrzeć tam” — powiedział oficer. „Hm, co to może być, u diabła?” — odparłem przecierając oczy. — Żadnych chmur po nawietrznej, a mimo to mgła przy czystym niebie i lekkim wietrzyku, i widoczna dookoła niej woda”. Bo, widzicie, mgła rozciągała się nie więcej niż na sześć kabli, mogliśmy się o tym przekonać porównując z horyzontem po obu stronach. „Proszę nadstawić ucha, panie kapitanie — odezwał się oficer. — Znowu coś mówią”. „Mówią?” — powtórzyłem i zacząłem nasłuchiwać. Z wnętrza tej mglistej kuli dolatywały głosy. W końcu jeden z głosów wykrzyknął: „Wypatruj uważnie z dziobu, słyszysz?” „Ay, ay, panie — odpowiedział mu inny głos. — Okręt z prawej burty od dziobu”. „Dobrze, uderz w dzwon na dziobie”. I wtedy usłyszeliśmy głos dzwonu. „To musi być okręt” — powiedziałem do oficera. „Nie z tego świata, panie kapitanie — odparł oficer. — Proszę posłuchać”. „Przygotować działo na dziobie!” „Ay, ay, panie! — usłyszeliśmy spośród mgły, która jakby się do nas zbliżała. — Wszystko gotowe, panie”. „Ognia!” Huk działa zagrzmiął nam w uszach jak piorun i wtedy...

— No, no i co wtedy? — zapytał bez tchu kapitan „Batavii”.

— I wtedy — odparł z powagą drugi kapitan — mgła i wszystko znikło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, cały widnokrąg był czysty i nie było nic widać.

— Czy to możliwe?

— Na waszym okręcie jest dwudziestu marynarzy, którzy mogą opowiedzieć tę historię — odparł kapitan — i na dodatek ten stary ksiądz katolicki, bo stał przy mnie przez cały czas, jak byłem na pokładzie. Marynarze mówili, że wydarzy się jakieś nieszczęście, a na porannej wachcie, sondując studzienkę zęzową, stwierdziliśmy cztery stopy wody. Zaczęliśmy wypompowywać, ale woda przybierała szybciej i zatonieliśmy, jak wam już mówiłem. Oficer powiada, że ten okręt jest znany, nazywają go Latającym Holendrem.

W czasie tego opowiadania Filip się nie odzywał, ale był zadowolony z tego, co usłyszał. Jeżeli, myślał, Okręt Widmo mojego biednego ojca ukazuje się nie tylko mnie, ale i innym, i oni cierpią z tego powodu, to moja obecność na statku nie ma żadnego znaczenia. Ja tylko szukam okazji spotkania go, ale nie narażam na ryzyko życia tych, którzy płyną ze mną. Teraz lżej mi na duszy i mogę dalej szukać go z czystym sumieniem.

Nazajutrz skorzystał z pierwszej sposobności, aby zawrzeć znajomość z księdzem, który władał holenderskim i innymi językami równie dobrze jak portugalskim. Był to czcigodny starzec w wieku około sześćdziesięciu lat, z białą rozwianą brodą, łagodny w obejściu i bardzo ujmujący w rozmowie.

Gdy Filip tej nocy miał wachtę, stary ksiądz dotrzymywał mu towarzystwa i właśnie wtedy, po dłuższej rozmowie, Vanderdecken zwierzył mu się, że jest katolikiem.

— Ależ, synu mój, to niezwykła rzecz wśród Holendrów.

— Tak — odparł Filip — i nikt na okręcie o tym nie wie. Nie dlatego, żebym się wsty-

dził mojej wiary, ale pragnę uniknąć rozmów na ten temat.

— Jesteś roztropny, mój synu. Niestety, jeżeli zreformowana religia nie daje lepszych owoców niż te, jakie oglądałem na Wschodzie, to nie jest ona lepsza od pogaństwa.

— Powiedźcie mi, księżo, opowiadają o jakiejś cudownej zjawie, o okręcie obsadzonym nie przez śmiertelników. Widzieliście to?

— Widziałem to, co inni i rzeczywiście, o ile mogę sądzić na podstawie świadectwa moich zmysłów, było to zjawisko całkiem niezwykle, mogę powiedzieć... nadprzyrodzone. Już przedtem słyszałem o Okręcie Widmie i o tym, że jego zjawienie się jest zwiastunem nieszczęścia. Potwierdziło się to w naszym wypadku, choć, zaprawdę, mieliśmy na naszym okręcie człowieka, teraz już nie żyjącego, którego przewiny stanowiły ciężar aż nadto wystarczający, aby zatopić każdy okręt. Jeżeli fale pochłonęły go wraz z całym bogactwem, z którego miał zamiar czerpać tyle uciechy w swoim kraju, dowodzi to w sposób oczywisty, że Wszechmocny niekiedy nawet na tym świecie wymierza sprawiedliwość i okrutną karę tym, którzy zasłużyli na jego pomstę.

— Mówicie, księżo, o tym holenderskim dyrektorze faktorii, który utonął, gdy okręt poszedł na dno?

— Tak, o nim, ale historia zbrodni tego człowieka jest długa. Jutro w nocy pochodzę z tobą na wachcie i opowiem ci wszystko. Pokój z tobą, mój synu. Dobranoc.

Pogoda była nadal piękna i wieczorem „Batavia” położyła się w dryf, zamierzając rzucić kotwicę nazajutrz rano na redzie Wyspy Świętej Heleny. Gdy Filip wyszedł o północy na pokład, żeby objąć wachtę, spostrzegł staro księdza, który czekał na niego przy schod-

ni. Na okręcie panował spokój, żołnierze drzemali między działami. Filip ze swym nowym znajomym poszli na rufę, gdzie usiedli na kojcu z kurami i ksiądz zaczął mówić:

— Może nie wiesz o tym, że Portugalczycy, choć zależy im na zachowaniu dla siebie kraju odkrytego dzięki przedsiębiorczości i męstwu, kraju, którego zdobycie kosztowało ich, niestety, wiele zbrodni, nigdy jednak nie tracił z oczu jednej sprawy, drogiej każdemu dobremu katolikowi, mianowicie sprawy krzewienia prawdziwej wiary, zatknięcia Chrystusowego sztandaru w pogańskich krainach. Gdy gromadka moich rodaków rozbiła się u japońskich brzegów, poznaliśmy te wyspy, a w siedem lat później nasz świątobliwy i błogosławiony święty Franciszek, przebywający obecnie u tronu Bożego, wylądował na wyspie Ksimo, gdzie spędził dwa lata i pięć miesięcy, głosząc naszą wiarę i nawracając wielu ludzi. Następnie popłynął do Chin, które były pierwotnym celem jego podróży, lecz nie było mu dane tam dotrzeć, umarł w drodze i tak zakończył swój czysty, świątobliwy żywot. Po jego śmierci, mimo klód, jakie często rzucali nam pod nogi pogańscy kapłani i mimo że od czasu do czasu prześladowali oni wyznawców naszej wiary, liczba nawróconych na wyspach japońskich wzrastała poważnie. Nasza święta wiara rozpowszechniała się szybko i wiele tysięcy ludzi chwaliło prawdziwego Boga.

— Po jakimś czasie Holendrzy założyli kolonię w Japonii i gdy się spostrzegli, że japońscy chrześcijanie w pobliżu faktorii chcą mieć do czynienia tylko z Portugalczykami, do których mieli zaufanie, stali się naszymi wrogami. A człowiek, o którym mówiliśmy i który w tamtym czasie zarządzał holenderską faktorią, powodowany żądzą złota posta-

no wił zaszczyć w sercu cesarza tego kraju nieufność do religii chrześcijańskiej, aby w ten sposób zniszczyć Portugalczyków i ich zwolenników. Takie, mój synu, było postępowanie tego, który głosił, że przyjął religię zreformowaną, ponieważ jest ona moralnie czystsza niż nasza.

— Niedaleko nas mieszkał pewien japoński możnowładca, bardzo bogaty i wpływowy, który przyjął wraz z dwoma synami wiarę chrześcijańską i został ochrzczony. Miał on jeszcze dwóch synów, którzy przebywali na dworze cesarskim. Ten wielki pan podarował nam dom na szkołę średnią i katechetyczną. Jednakże po jego śmierci dwaj synowie przebywający na dworze, którzy byli poganami, zażądali, abyśmy opuścili tę nieruchomość. Odmówiliśmy, dając w ten sposób holenderskiemu dyrektorowi faktorii pretekst do podburzania tych dwóch młodych wielmożów przeciwko nam. Za ich pośrednictwem przekonał on cesarza japońskiego, że Portugalczycy i chrześcijanie uknułi spisek na jego życie i tron. Bo trzeba zauważyć, że ilekroć pytano jakiegoś Holendra, czy jest - chrześcijaninem, odpowiadał: „Nie, jestem Holendrem”.

— Uwierzywszy w istnienie spisku, cesarz wydał rozkaz wycięcia w pień Portugalczyków, a następnie wszystkich Japończyków, którzy przyjęli wiarę chrześcijańską. Powołał w tym celu armię i oddał ją pod rozkazy tych młodych wielmożów, o których wspomniałem, synów feudała, który podarował nam szkołę. Chrześcijanie, rozumiejąc, że jedyną ich szansą jest opór, chwycili za broń i wybrali na swych dowódców dwóch pozostałych synów japońskiego możnowładcy, którzy wraz z ojcem przyjęli chrześcijaństwo. W ten sposób na czele dwóch wrogich armii stanęli czterej bra-

cia — dwaj po jednej stronie i dwaj po przeciwnej.

— Wojska chrześcijan liczyły przeszło czterdzieści tysięcy ludzi, ale cesarz o tym nie wiedział i dla ich pokonania oraz wycięcia wysłał oddziały w sile około dwudziestu pięciu tysięcy ludzi. Wojska te starły się z sobą i po żartej walce (gdyż Japończycy są bardzo waleczni) chrześcijanie odnieśli zwycięstwo, a cesarska armia została doszczętnie rozbita, z wyjątkiem nielicznych żołnierzy, którzy umknęli na łodziach.

— Zwycięstwo to przyczyniło się do nowych nawróceń i wkrótce nasza armia powiększyła się do przeszło pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Z drugiej strony, gdy cesarz dowiedział się, że jego armia została rozbita, zarządził nowy pobór i postawił na nogi wojsko liczące sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, nakazując swoim dowódcom, aby nie darowywać życia chrześcijanom, z wyjątkiem dwóch młodych arystokratów, którzy nimi dowodzili, a których chciał pojmać żywcem, aby móc zadać im śmierć przez powolne tortury. Cesarz odrzucał wszystkie propozycje ugodowe i osobiście wyruszył w pole. Wojska znowu starły się z sobą i pierwszego dnia szala zwycięstwa przechyliła się na stronę chrześcijan. Opłakiwali oni jednak stratę jednego ze swoich wodzów, który został ranny i wzięty do niewoli, ponieważ zaś nikomu nie udzielano pardonu, była to strata dotkliwa.

— Drugiego dnia chrześcijanie ponieśli straszną klęskę. Ich wódz padł zabity, ulegli liczebnej przewadze wroga i zginęli co do jednego. Wówczas cesarz zaatakował ich obóz na tyłach i wyciął w pień wszystkich starców, kobiety i dzieci. Na polu bitwy, w obozie i wskutek późniejszych tortur zginęło przeszło

sześćdziesiąt tysięcy chrześcijan. Ale na tyra się nie skończyło; przez wiele lat prowadzono skrupulatne poszukiwania chrześcijan na wszystkich wyspach, a znalezionych skazywano na śmierć w najokrutniejszych męczarniach. Dopiero piętnaście lat temu chrześcijaństwo zostało całkowicie wykorzenione w cesarstwie japońskim. W ciągu przeszło szesnastu lat prześladowań zgładzono przypuszczalnie więcej niż czterysta tysięcy chrześcijan. A cała ta rzeź, mój synu, była dziełem przewrotności i chciwości człowieka, którego spotkała kara dopiero parę dni temu. Kompania Holenderska, zadowolona z jego postępowania, które przysparzało jej tyle korzyści, przez wiele lat zatrudniała go na stanowisku dyrektora faktorii w Japonii. Kiedy przybył tam po raz pierwszy, był młodym człowiekiem, ale zanim pomyślał o powrocie do swej ojczyzny, zdążył posiwieć. Zgromadził olbrzymią fortunę. Zaiste, musiała być olbrzymia, aby zaspokoić jego zachłanność. Teraz wszystko przepadło wraz z nim, on zaś został wezwany do zdania rachunku ze swego życia. Zastanów się tylko, mój synu. Czyż nie lepiej podążać drogą obowiązku, wyrzekając się bogactw i rozkoszy tego świata, a za to, gdy zostaniemy wezwani do odejścia, żywić nadzieję na szczęście w życiu przyszłym?

— Na pewno tak, wielbny księże — odparł Filip zamyślony.

— Pozostało mi niewiele lat życia — ciągnął starzec — i Bóg mi świadkiem, że opuszczę ten świat bez żalu.

— Ja bym także go nie żałował — westchnął Filip.

— Ty, mój synu? O nie! Ty jesteś młody i powinienes być pełen nadziei. Musisz jesz-

cze spełnić swój obowiązek na tym posterunku, na który Bóg zechce cię powołać.

— Wiem, że mam do spełnienia obowiązek — odparł Filip. — Księżę, nocne powietrze jest zbyt ostre dla człowieka w waszym wieku. Idźcie już spać, a ja pozostanę na wachcie z moimi myślami.

— Pójdę, synu. Niech cię Bóg ma w swojej opiece. Przyjmij błogosławieństwo starego człowieka. Dobranoc.

— Dobranoc — odpowiedział Filip rad, że został sam.

Czy wyznać mu wszystko? — pomyślał. Czuję, że mógłbym mu wyznać... a jednak, nie. Nie chciałem się zwierzyć księdzu Seysenowi, dlaczego więc miałbym jemu? Oddałbym się w jego ręce i mógłby mi kazać... Nie, nie, moja tajemnica należy do mnie. Nie potrzebuję doradców. Wyciągnął z zanadru relikwię i z nabożeństwem przycisnął ją do ust.

„Batavia” stała parę dni na Wyspie Świętej Heleny, po czym odpłynęła w dalszą drogę. Po sześciu tygodniach Filip znowu stanął na kotwicy w Zuydeer Zee, a uzyskawszy zgodę kapitana, udał się natychmiast do domu, zabierając ze sobą starego portugalskiego księdza Mathiasa; żył się z nim bardzo i zaofiarował mu gościnę i opiekę na tak długo, jak tylko tamten zechce pozostać w Niderlandach.

ROZDZIAŁ 13

— Daleki jestem od chęci dokuczenia ci, mój synu — mówił ksiądz Mathias, z trudnością dotrzymując kroku prędko maszerującemu Filipowi, który był już o ćwierć mili od swojego domu — ale pamiętaj, że ten świat jest przemijający i że wiele czasu upłynęło od chwili, gdy opuściłeś te strony. Toteż pragnąłbym bardzo, abyś pohamował, jeśli to możliwe, rozsadzające cię pragnienie szczęścia i to radosne oczekiwanie, któremu folgowaleś od chwili, gdy opuściliśmy okręt. Wierzę i ufam w miłosierdzie boskie, że wszystko będzie dobrze i że za parę minut znajdziesz się w ramionach twojej ukochanej żony. Jednakowoż, im bardziej wybijają żywisz nadzieje, tym niechybniej zostaną one zmiażdżone, gdyby miało cię spotkać rozczarowanie. We Flushing mówiono nam, że straszliwa zaraza nawiedziła tę okolicę, a śmierć mogła nie oszczędzić nawet tak młodej i pięknej istoty.

— Pospieszajmy, księżu. To, co mówicie, jest słuszne, a niepewność dręczy mnie okrutnie.

Filip przyspieszył kroku, pozostawiając starca w pewnej odległości za sobą. Dotarł do mostku i do drewnianej furtki na nim. Dochodziła godzina siódma rano, gdyż przez Skaldę przeprawili się o świcie.

Filip zauważył, że okiennice na dole są jeszcze zamknięte.

Mogły wstać wcześniej i krzątają się po domu, pomyślał sięgając ręką do klamki u drzwi. Były nie zamknięte. Wszedł do środka. W kuchni paliło się światło. Pchnął drzwi i ujrzał służebną niewiastę rozłożoną na krześle i pożąną w głębokim śnie. Zanim zdążył wejść

i obudzić ją, usłyszał jakiś głos wołający ze szczytu schodów:

— Mario, czy to lekarz?

Nie czekał dłużej. W trzech susach znalazł się na górnym podejściu i otarłszy się o osobę, która zadała to pytanie, otworzył drzwi do izby Aminę.

Knot pływający w kubku napelnionym oliwą dawał tylko wątle, migotliwe światło. Zasłony łóżka były zaciągnięte, a przy łóżku klęczał ktoś, kogo Filip znał dobrze — ksiądz Seysen. Cofnął się, serce mu zamarło, nie mógł przemówić. Z trudem chwytając powietrze, wsparł się o ścianę. W końcu dał upust swej udreće w przeciągłym jęku, który zwrócił uwagę księdza. Proboszcz odwrócił głowę, a poznawszy Filipa powstał z klęczek i w milczeniu wyciągnął do niego rękę.

— Więc umarła! — wyjąkał wreszcie Filip.

— Nie, mój synu, nie umarła. Jest jeszcze nadzieja. Niebawem nastąpi przesilenie. Za godzinę wszystko się rozstrzygnie. Albo wróci w twoje ramiona, albo pójdzie w ślady tych wielu setek ludzi, którym straszliwa zaraza przeznaczyła grób.

Ksiądz Seysen podprowadził Filipa do łóżka i rozsunał zasłony. Aminę leżała bez przytomności, dysząc ciężko, oczy miała zamknięte. Filip ujął jej rozpaloną dłoń, przykląkł, przycisnął ją do ust i wybuchnął spazmatycznym szlochem. Jak tylko trochę się uspokoił, ksiądz Seysen namówił go, aby się podniósł z klęczek i usiadł z nim obok łóżka.

— To smutny widok po powrocie do domu. A dla ciebie, Filipie, tak żarliwego i uczuciowego, musi to być podwójnie przygnębiające. Ale... niech się dzieje wola nieba. Pamiętaj, jest jeszcze nadzieja. Przyznaję, że niewielka, **ale** jednak jest jeszcze nadzieja. Tak mi po-

wiedział medyk, który ją leczy i którego oczekuję tutaj lada minuta. Jest chora na tyfus. Ta zaraza wygubiła całe rodziny w ciągu ostatnich dwóch miesięcy i nadal szaleje. Szczęśliwy zaiste ten dom, w którym oplakują tylko jedną ofiarę. Wolałbym, żebyś nie był przyjechał akurat teraz, gdyż choroba ta jest bardzo zaraźliwa. Wielu ludzi dla bezpieczeństwa uciekło z tych stron. Na domiar nieszczęścia, brakowało nam pomocy lekarskiej, gdyż śmierć zabierała zarówno pacjentów, jak i lekarzy.

Powoli drzwi się otwarły i do izby wszedł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w brązowym płaszczu, trzymając przy nosie tampon nasycony octem. Skinął głową Filipowi i księdzu, podszedł do łóżka. Przez chwilę badał tętno chorej, po czym odłożył jej rękę z powrotem na pościel, przytknął dłoń do jej czoła i okrył ją kołdrą aż po szyję. Podał Filipowi tampon i ocet, pokazując na migi, że powinien to stosować, po czym skinieniem ręki wywołał księdza Seysena z izby.

Za chwilę ksiądz wrócił.

— Dał mi wskazówki, jak należy postępować, mój synu. Uważa, że uda się może ją uratować. Musi być stale przykryta, a gdyby odrzucała kołdrę, trzeba ją przykrywać z powrotem. Wszystko jednak zależy od tego, czy będzie miała spokój i ciszę, gdy odzyska przytomność.

— To możemy jej przecież zapewnić — odparł Filip.

— Niepokoi mnie nie to, że dowie się o twoim powrocie czy nawet, że cię zobaczy. Radość rzadko zabija, choćby wstrząs był wielki. Ale są inne powody do niepokoju.

— Jakie, wielbny księżę?

— Już trzynaście dni mija, odkąd Aminę majączy, i w tym okresie rzadko ją opuszczają

łem, chyba dla spełnienia moich obowiązków wobec tych, którzy tego potrzebowali. Bałem się odchodzić od niej, bo w malignie opowiadała historię, która, mimo iż przerywana i chaotyczna, przejęła grozą moją duszę. Widocznie to ją gnębiło od dawna i teraz opóźnia jej powrót do zdrowia. Filipie, pamiętasz chyba, że chciałem kiedyś dowiedzieć się od ciebie o tajemnicy... o tajemnicy, która wpędziła do grobu twoją matkę i która teraz może posłać jej śladem twoją żonę, bo nie ulega wątpliwości, że ona wie o wszystkim. Czy mam rację?

— Tak, wie o wszystkim — odparł Filip ponuro.

— I wszystko powiedziała w malignie. Nie, myślę, że powiedziała więcej. Ale nie mówmy o tym teraz. Czuwaj nad nią. Wrócę za pół godziny, bo lekarz powiedział, że w tym czasie wystąpią objawy, które zadecydują, czy odzyska przytomność, czy też utracisz ją na zawsze.

Filip wyjaśnił księdzu szeptem, że przybył w towarzystwie księdza Mathiasa, który ma być jego gościem, i prosił o wytłumaczenie mu jego obecnej sytuacji oraz o dopilnowanie, aby służebne się nim zajęły. Ksiądz Seysen wyszedł z izby, a Filip usiadł obok łóżka i odsunął zasłonę.

Chyba nie ma w życiu sytuacji powodującej równie okrutną udękę serca, jak sytuacja, w której znalazł się teraz Filip. Jego radosne wzruszenie, gdy oczekiwał, że uściśnie w pełni zdrowia i kraszy przedmiot swych najgorętszych uczuć i bezustannych myśli w czasie długiej nieobecności, naraz zostało zduszone przez zawód, obawę i smutek na widok wynędzniałej postaci w łóżku, zmienionej, wyniszczonej chorobą i nieprzytomnej, z oczami nieświadomymi jego obecności. Życie Aminę

wisiał na włosku, jej ciało było bezbronne wobec królowej grozy, która krążyła nad nią ze strzałą w podniesionym ręku, czekając na dekret, który by jej pozwolił przebić bezprzymną ofiarę.

O Boże, pomyślał Filip, więc tak się spotykamy, Aminę? Słusznie napominał mnie ksiądz Mathias, gdy spieszyłem tak niecierpliwie nie do szczęścia, jak naiwnie myślałem, lecz do cierpienia. Boże miłosierny, przebacz mi. Jeśli nawet kochałem tę anielską istotę, stworzoną przez ciebie, bardziej niż ciebie samego, oszczędź ją, dobry Boże, oszczędź ją, bo... zginę na wieki.

Ukrył twarz w dłoniach i modlił się przez jakiś czas. Następnie pochylił się nad Aminę i złożył pocałunek na jej rozpalonych wargach. Były gorące, ale jednak wilgotne, i zauważył, że czoło też jest wilgotne. Dotknął jej dłoni: wewnątrz była również wilgotna. Okrył ją troskliwie kołdrą i przyglądał się jej z niepokojem i nadzieją.

Po kwadransie uradował się widząc, że Aminę poci się obficie. Oddychała już nie tak ciężko, mijał dotychczasowy stan bezwładu, zaczęła się poruszać i być niespokojna. Filip czuł i poprawiał kołdrę, gdy ją odrzucała, aż w końcu wydało mu się, że zapadła w głęboki, kojący sen. W chwilę potem nadeszli ksiądz Seysen i lekarz. Filip w paru słowach zdał sprawę z tego, co zaszło. Medyk podszedł do łóżka i po chwili wrócił.

— Wasza żona jest uratowana, Mynheer, ale nie byłoby wskazane, aby zobaczyła was tak niespodziewanie. Wstrząs mógłby być zbyt silny przy jej osłabieniu. Trzeba pozwolić jej spać jak najdłużej. Obudzi się przytomna. Wówczas musicie ją zostawić pod opieką księdza Seysena.

— Czy nie mógłbym pozostać w izbie do czasu, gdy się przebudzi? Wymknę się wtedy niepostrzeżenie.

■— To bezcelowe. Choroba jest zaraźliwa, a wy, panie, i tak byliście już tu za długo. Proszę pozostać na dole. Musicie zmienić odzież i dopilnować, aby przygotowano dla chorej łóżko w innej izbie, do której trzeba będzie ją przenieść, jak tylko uznacie, że będzie mogła to wytrzymać. Wtedy każcie otworzyć tutaj okna na oścież, żeby porządnie przewietrzyć izbę. Nie należy ryzykować, aby żona, dopiero co wyratowana ze szponów śmierci, padła ofiarą wysiłku przy pielęgnowaniu chorego męża.

Uznając roztropność tej rady, Filip opuścił izbę wraz z lekarzem i poszedł zmienić ubranie, następnie zaś udał się do księdza Mathiasa, którego odnalazł w bawialni na dole.

— Mielicie rację, księżo — powiedział opadając na kanapę.

— Jestem stary i przezorny, a ty, Filipie, młody i pełen dobrej myśli. Ale wierzę, że wszystko może być jeszcze dobrze.

— Ja też w to wierzę.

Po tych słowach Filip zamilkł i siedział pogrążony w zadumie, bo teraz, gdy minęło straszne niebezpieczeństwo, rozmyślał nad tym, co mu powiedział ksiądz Seysen — że Aminę w malignie wyjawiała tajemnicę. Ksiądz Mathias, widząc, że Filip ma głowę czymś zaprzątniętą, nie przeszkadzał mu. Tak minęła godzina i do izby wszedł ksiądz Seysen.

— Złóż Bogu dziękczynienie, mój synu. Aminę obudziła się całkowicie przytomna i spokojna. Już nie ma obawy o to, czy wyzdrowieje. Przyjęła środek wzmacniający przepisany jej przez medyka, choć tak bardzo chciało jej się znowu zasnąć, że ledwo ją na-

kłoniłem, aby to przełknęła. Teraz śpi mocno pod okiem jednej ze służebnych. Najprawdopodobniej będzie spać jeszcze wiele godzin, ale każda chwila takiego snu jest drogocenna i nie wolno jej budzić. Zajmę się teraz jakimś posiłkiem, który przyda się nam wszystkim. Filipie, *nie* poznajomiłeś mnie z twoim towarzyszem, który, jak widzę, jest tego samego powołania co ja.

— Wybaczenie mi, księżo — odparł Filip. — Będziecie mieć wielką przyjemność z poznania księdza Mathiasa, który przyrzekł zamieszkać u mnie, na dłuższy czas, mam nadzieję. Zostawię was samych i pójdę dopilnować, aby przygotowane śniadanie. Myślę, że ksiądz Mathias wybaczy mi to opóźnienie.

Po t^jch słowach wyszedł z izby i udał się do kuchni. Poleciał zanieść wszystko co trzeba do bawialni, po czym włożył kapelusz i wyszedł z domu. Nie miał ochoty na jedzenie. Czuł zamęt w głowie. Wydarzenia tego ranka były tak przytłaczające i zarazem podniecające, że świeże powietrze wydawało mu się czymś po prostu niezbędnym do istnienia.

Gdy szedł przed siebie nie bacząc, w jakim kierunku, spotykał wielu znajomych, którzy składali mu kondolencje z racji jego przypuszczalnej żałoby, a następnie gratulacje, gdy dowiadawali się od niego, że niebezpieczeństwo minęło. Od osób tych dowiedział się, jak straszliwa była zaraza.

Pozostała przy życiu mniej niż jedna trzecia mieszkańców Terneuzen i najbliższej okolicy, a ci, którzy wyzdrowieli, znajdowali się w stanie takiego wyczerpania, że nie mogli powrócić do swych zwykłych zajęć. Zwalczyli wprawdzie chorobę, ale popadli w biedę i nędzę. Filip poprzysiął w duchu, że przeznaczy wszystkie swoje oszczędności na ulżenie nie-

doli tych ludzi. Upłynęły więcej niż dwie godziny, zanim powrócił do domu.

Po przyjsciu przekonał się najpierw, że Aminę jeszcze drzemie. Obaj księża rozmawiali z sobą na dole.

— Mój synu — przywitał go ksiądz Seysen — musimy sobie teraz wyjaśnić pewne sprawy. Długo rozmawiałem z tym zacnym kapłanem, który bardzo mnie zainteresował opowiadaniem o krzewieniu wiary świętej wśród pogan. Wiele z tego, co opowiadał, sprawiło mi radość i wiele mnie zasmuciło. Między innymi pytaniami, które mu zadałem, in-dagowałem go... ze względu na to, czego się dowiedziałem w czasie nieprzytomności twojej żony... na temat nadprzyrodzonej zjawy okętu na wodach wschodnich. Zauważ, Filipie, że znam twoją tajemnicę, inaczej bowiem nie mógłbym o to wypytywać. Ku mojemu zdziwieniu ksiądz Mathias potwierdził prawdziwość tego zjawiska, którego był naocznym świadkiem i którego nie można wytłumaczyć rozsądnie w inny sposób, jak tylko działaniem sił nadprzyrodzonych. Dziwna to i niewątpliwie pełna grozy zjawia. Czy nie byłoby lepiej, Filipie, zamiast pozostawiać mnie w labiryncie wątpliwości, żebyś teraz wyjawiał nam obu wszystkie fakty związane z tą dziwną historią, abyśmy mogli je rozważyć i dopomóc ci radą, jako ludzie starsi od ciebie, którzy dzięki swemu powołaniu mogą chyba trafniej osądzić, czy ta nadprzyrodzona siła była przejawem działania dobrego czy złego ducha?

— Wielebny ksiądz ma rację, Filipie — odezwał się ksiądz Mathias.

— Jeżeli to jest dziełem Wszechmocnego, komuż miałbyś zawierzyć i kto miałby ci wskazać drogę, jak nie ci, którzy pełnią jego służbę na tym świecie? Jeżeli zaś jest to dzieło sza-

tana, komuż mógłbyś zaufać, jak nie tym, których obowiązkiem i pragnieniem jest przeciwdziałać jego zgubnym wpływom? Zastanów się, Filipie, ponieważ tajemnica ta może poważnie zaciążyć na umyśle twojej ukochanej żony i może ją wpędzić do grobu, jak to uczyniła z twoją, miejmy nadzieję, świętą matką. Będąc razem z tobą, podtrzymywana na duchu przez twoją obecność, może znosić dobrze ciężar tej tajemnicy, ale nie zapominaj o tym, *ile* samotnych dni i nocy będzie musiała spędzać w czasie twojej nieobecności i jak bardzo będzie wtedy potrzebowała od innych pociechy i pomocy. Taka tajemnica musi gryźć człowieka jak robak i, choć Aminę jest odważna i mocnego ducha, musi to skrócić jej życie, chyba że dozna pomocy i ukojenia od kapłanów naszej wiary. To było z twojej strony okrutne i samolubne, Filipie — zostawić ją samotną, aby znosiła twoją nieobecność przytłoczona jednocześnie brzemieniem tak strasznej świadomości.

— Przekonaliście mnie, wielbny księże — odparł Filip. — Myślę, że powinienem był przedtem zapoznać was z tą dziwną historią. Przedstawię wszystkie okoliczności i wydarzenia, ale niewiele mam nadziei, aby wasza rada mogła mi pomóc w tej trudnej sprawie, wobec tak nieodwołalnego, choć zdumiewającego obowiązku.

Opowiedział z najdrobniejszymi szczegółami o wszystkim, co się zdarzyło, począwszy od paru dni przed śmiercią jego matki aż do ostatnich czasów, a kiedy skończył, dodał jeszcze:

— Widzicie, księże proboszczu, że związałem się uroczystą przysięgą i że przysięga ta została przyjęta i zapisana w niebie. Wydaje mi się, że teraz mogę już tylko iść dalej drogą mego dziwnego przeznaczenia.

— Synu, opowiedziałeś nam o niezwykłych i wstrząsających rzeczach, o rzeczach nie z tego świata... jeżeli nie zostałeś wprowadzony w błąd. A teraz zostaw nas samych. Naradzimy się z księdzem Mathiasem w tej poważnej sprawie. Gdy dojdziemy do zgodnego poglądu, dowiesz się o naszej decyzji.

Filip poszedł na górę zobaczyć, co się dzieje z Aminę. Wciąż jeszcze spała mocno. Odprawił służebną i sam czuwał przy łóżku. Siedział tam prawie dwie godziny, gdy wezwano go na dół do księży.

— Mieliśmy długą rozmowę, mój synu — odezwał się ksiądz Seysen — o tym niezwykłym i, być może, nadprzyrodzonym zjawisku. Powiadam być może, bo odrzuciłbym raczej obłądną historię opowiedzianą przez twoją matkę jako twór rozgorączkowanej wyobraźni. Dla tego samego powodu byłbym skłonny przypuszczać, że stan ogromnego podniecenia, w jakim się znajdowałaś po zgonie matki, mógł zamącić trzeźwość twego umysłu. Ponieważ jednak ksiądz Mathias twierdzi stanowczo, że dziwna, jeżeli nie nadprzyrodzona zjawia okrętu istotnie się ukazała w jego podróży powrotnej, i ponieważ to zjawisko zgadza się i potwierdza legendę, jeśli wolno mi to tak nazwać, którą ty mi opowiedziałeś, stwierdzam, że nie jest to niemożliwe, lecz nadprzyrodzone.

— Zważcie, że taką samą zjawę Okrętu Widma widziałem i ja, i wielu innych — zauważył Filip.

— Tak — odpowiedział ksiądz Seysen — ale kto z tych, którzy to widzieli, pozostał przy życiu, poza tobą? To zresztą mało ważne. Przyjmijmy, że cała ta sprawa nie jest dziełem ludzkim, lecz siły wyższej.

— Na pewno siły wyższej! — potwierdził Filip. — To dzieło Boga.

— Właśnie to jest rzeczą nie tak łatwą do przyjęcia. Oprócz potęgi Bożej istnieje jeszcze moc inna, moc szatana, największego wroga ludzkości. Ponieważ jednak ta moc, słabsza niż potęga Boga, nie może działać bez jego zezwolenia, wolno nam pośrednio przyjąć, że wola Boga jest, aby w pewnych okolicznościach mogły się ukazywać tego rodzaju znaki zapowiadające nieszczęście.

— W takim razie, wielebny księże, jesteśmy tego samego zdania.

— Nie, niezupełnie, mój synu. Elymasowi, czarnoksiężnikowi, dozwolone było praktykować sztuki, których nauczył się od diabła, po to, aby jego klęska i ślepotą mogły służyć za dowód, o ile słabszy jest jego pan od Króla Niebios. Ale z tego nie wynika, że czarnoksięstwo w ogóle jest dozwolone. W danym wypadku może być tak, że złemu duchowi zostało dozwolone przejawić swą moc w stosunku do kapitana i załogi tamtego okrętu, a ukazywanie się okrętu w sposób nadprzyrodzony może być dozwolone jako przestroga przed tak ciężkimi grzechami. W tych granicach mamy prawo w to wierzyć. Ale zasadnicze dwie kwestie to — po pierwsze, czy rzeczywiście twój ojciec jest skazany na taką karę, a po drugie, jak długo masz prowadzić ten szaleńczy pościg, który, choć może się skończyć twoją zgnębą, w żadnym wypadku, wydaje mi się, nie może stanowić drogi do wyzwolenia twój ojca ze stanu zawieszenia między zbawieniem i potępieniem wiecznym. Rozumiesz mnie, Filipie?

— Oczywiście, księże proboszczu, rozumiem, co chcecie powiedzieć, ale...

— Nie odpowiadaj mi teraz. Zarówno ten

świętobliwy kapłan, jak i ja jesteśmy zdania, że, choćby fakty były istotnie takie, jak przypuszczasz, objawienie, którego doświadczyłeś, nie pochodzi z niebios, lecz jest podszeptem szatana, prowadzącym cię ku niebezpieczeństwu, a w końcu ku... śmierci. Bo gdyby naprawdę takie było twoje zadanie, jak to uważasz, to dlaczego ten okręt nie ukazał ci się w ostatniej podróży? I, gdybyśmy przypuścili, że spotkasz go pięćdziesiąt razy, w jaki sposób będziesz się mógł porozumiewać z tym albo z tymi, którzy są tylko upiorami i widmami, istotami nie z tego świata? Otóż proponujemy ci, abyś przeznaczył część pieniędzy pozostawionych przez twój ojca na msze święte za spokój jego duszy, co twoja matka, w innych okolicznościach, z pewnością byłaby zrobiła. Uczyniwszy to powinieneś pozostać spokojnie na łądzie do czasu, aż otrzymasz jakiś nowy znak, który mógłby nas upewnić w przekonaniu, że istotnie zostałeś wybrany do prowadzenia tych dziwnych poszukiwań.

— Ale moja przysięga, księżo, moje ślubowanie, które zostało przyjęte!

— Kościół święty, mój synu, posiada moc zwolnienia cię od tego ślubu, i otrzymasz zwolnienie. Sam oddałeś się w nasze ręce, wobec czego musisz postępować zgodnie z naszą decyzją. Jeśli w tym będzie grzech, my będziemy odpowiedzialni, a nie ty. Ale teraz skończmy już tę rozmowę. Pójdę na górę i jak tylko twoja żona się obudzi, przygotuję ją do zobaczenia ciebie.

Gdy ksiądz Seysen opuścił izbę, ksiądz Mathias dalej roztrząsał z Filipem tę sprawę. Wywiązała się długa dyskusja, w której portugalski duchowny używał podobnych argumentów co proboszcz, a Filip, choć nieprzekonany,

popadł w zwątpienie i niepewność. Wyszedł z domu.

Nowy znak, znak potwierdzający, rozmyślał. Przecież dosyć już było znaków i cudów. Ale możliwe, że msze święte za duszę ojca ulżą mu w męczarniach. W każdym razie, jeśli oni tak decydują za mnie, ja nie ponoszę winy. Dobrze, wobec tego czekajmy na nowy znak woli Bożej, skoro tak być musi. Filip szedł przed siebie, rozmyślając chwilami o argumentach księdza Seysena, lecz częściej o Aminę.

Zapadł już wieczór, słońce zachodziło szybko. Filip wędrował dalej, aż doszedł do tego miejsca, gdzie kiedyś ukląkł i złożył swoją uroczystą przysięgę. Rozpoznawał to miejsce, spoglądał na odległe wzgórze. Słońce stało na tej samej wysokości co wtedy. Przypomniawszy sobie żywo całą tę scenę, miejsce i czas. Znowu ukląkł, wyjął z zanadru relikwię i ucałował. Pochylony nad ziemią, patrzył w słońce. Czekając na znak, ale słońce schowało się za widnokretem i welon nocy rozpostarł się nad okolicą. Nie było żadnego znaku. Filip podniósł się z klęczek i zawrócił w kierunku domu, bardziej niż przedtem skłonny usłuchać rady księdza Seysena.

Powróciwszy do domu poszedł cichutko na górę i wśliznął się do izby Aminę. Zastał ją obudzoną i rozmawiającą z obu księżmi. Zastłony łóżka były zaciągnięte, tak że go nie widziały. Z bijącym sercem stał przy ścianie u wezłowania łóżka.

— ■ Dlaczego mam przypuszczać, że mój mąż przyjechał? — pytała Aminę słabym głosem. — O, powiedzcie mi, dlaczego?

— Wiemy, że jego okręt już przyplłynął, a ktoś, kto tam był, powiedział, że wszyscy są zdrowi.

— W takim razie, dlaczego go tu nie ma?

Któż, jak nie on sam, powinien mi przynieść wiadomość o powrocie? Księżę proboszczu, albo on nie przyjechał, albo jest tutaj... wiem, że musi tu być, jeśli jest zdrow i cały. Zbyt dobrze znam mojego Filipa. Powiedzcie mi, powiedzcie. Czy jest tutaj? Nie bójcie się powiedzieć tak, a jeśli powiecie nie, to mnie zabije.

— On jest tutaj, Aminę — odparł ksiądz Seysen. — Zdrow i cały.

— Dzięki ci, Boże! Ale gdzie jest? Jeżeli tutaj, to musi być w tej izbie, chyba że mnie zwodzicie. Och, ta niepewność jest zabójcza.

— Tu jestem — zawołał Filip rozsuwając zasłony.

Aminę zerwała się z krzykiem, wyciągnęła do niego ramiona i z powrotem opadła na łóżko bez zmysłów. Po paru chwilach jednak odzyskała przytomność, potwierdzając tym słuszność zapewnienia pocziwego proboszcza, że „radość nie zabija”.

Musimy teraz pominąć tych kilka dni, w ciągu których Filip czuwał u łóżka Aminę, powracającej szybko do sił. Jak tylko poczuła się na tyle dobrze, że można było poruszyć z nią ten temat, Filip opowiedział jej o wszystkim, co się wydarzyło od jego wyjazdu, także o wyznaniu, jakie uczynił księdzu Seysenowi, i o jego wyniku. Uradowana, że Filip miał przy niej pozostać, Aminę dodawała własne argumenty do perswazji księdza i przez krótki czas Filip nie mówił więcej o wypłynięciu w następny rejs.

ROZDZIAŁ 14

Minęło sześć tygodni. Aminę już wyzdrowiała i przechadzała się po okolicy wsparta na ramieniu swego uwielbianego Filipa lub, przytulona do niego, przesiadywała w swoim wygodnym domu. Ksiądz Mathias nadal u nich gościł. Filip opłacił msze święte za spój duszy swego ojca i oddał do dyspozycji księdza Scysena więcej pieniędzy dla ulżenia cierpieniom dotkniętej zarazą biedoty. Można się łatwo domyślić, że jednym z głównych tematów rozmów Filipa z Aminę była decyzja obu księży w sprawie dalszego postępowania Vanderdeckena. Został on zwolniony z przysięgi, ale, mimo że uległ swym duchowym doradcom, nie był z tego bynajmniej zadowolony. Miłość do Aminę i jej pragnienie, aby pozostał w domu, niewątpliwie dodawały wagi orzeczeniu księdza Seysena, i choć z tego powodu Filip chętniej mu się podporządkowywał, jego wątpliwości, czy takie postępowanie jest słuszne, pozostawały niezmienione. Argumenty Aminę, która obecnie, znajdując oparcie w opinii księży, była przeciwna wyjazdowi Filipa, nawet pieszczoty towarzyszące tym argumentom skutkowały tylko na krótko. Gdy Filip pozostawał sam albo kiedy na jakiś czas dawali spój temu tematowi, natychmiast w jego sumieniu odzywało się oskarżenie, że zaniedbuje święty obowiązek. Aminę często zauważała chmurę na czole męża. Aż nadto dobrze znała powód tego. Ponawiała nieustannie perswazje i pieszczoty, aż w końcu Filip zapomniał, że istnieje na świecie cokolwiek poza nią.

Któregoś ranka siedzieli na zielonym zboczu zrywając rosnące wokół nich kwiaty i roz-

rzucając je bezmyślnie. Aminę skorzystała ze sposobności, na którą czekała od dawna, aby napocząć temat dotychczas nie poruszony.

— Filipie, czy ty wierzysz w sny? Czy myślisz, że możemy tą drogą dostawać wskazówki z innego świata?

— Oczywiście, że możemy. Mamy na to wiele dowodów w pismach świętych.

— Dlaczego więc nie uspokoisz swoich skrupułów za pośrednictwem snu?

— Najdroższa Aminę, sny przychodzą nie prozone. Nie można ich mieć na zawołanie ani przeszkodzić im, aby przyszły,

— Możemy je przywołać, Filipie. Powiedz tylko, że chcesz śnić o czymś, co jest najbliższe twemu sercu, a b ę d z i e s z o tym śnić.

— Naprawdę?

— Tak, ja posiadam tę moc, chociaż nigdy ci o tym nie mówiłam. Mam to po mojej matce, to i wiele innych rzeczy, o których w ostatnich czasach nigdy nie myślałam. Wiesz, Filipie, że nigdy nie mówię nieprawdy. Powiadam ci, że jeśli tylko zechcesz, będziesz śnił o tym.

— Ale po co, Aminę? Jeżeli posiadasz moc sprowadzania snów, ta moc musi skądś pochodzić.

— Oczywiście, że tak. Istnieją sposoby, o których ty wiesz niewiele, a które w moim kraju nadal się stosuje. Znam zakłęcie, które nigdy nie zawodzi.

— Zakłęcie! Zajmujesz się więc czarami? Bo taka moc nie może pochodzić od Boga.

— Tego nie potrafię powiedzieć. Wiem tylko, że taka moc bywa komuś dana.

— Ona musi pochodzić od diabła.

— Dlaczego, Filipie? Mogę się posłużyć argumentem, którego użyli twoi dwaj księża mówiąc, że moc diabelska może działać tylko za wiedzą Boga i że bez jego pozwolenia nie

może się przejawiać. Dobrze więc, niech to będą czary czy co ci się żywnie podoba — gdyby Bóg na nie nie pozwalał, nie odnosiłyby pożądanego skutku. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego mielibyśmy przypuszczać, że ta władza pochodzi od diabła. Prosimy o wskazanie za pośrednictwem snu, aby móc według tego kierować naszym postępowaniem w okolicznościach nasuwających wątpliwości. Z pewnością szatan wskazałby nam raczej fałszywą drogę niż właściwą.

— Aminę, możemy otrzymać we śnie wskazówkę, jak niegdyś patriarchowie, ale używanie tajemniczych lub bezbożnych zaklęć dla jej uzyskania — to jest zмова z diabłem.

— Ale diabeł nie mógłby wypełnić warunków tej zmowy bez pozwolenia siły wyższej. Filipie, twoje rozumowanie jest błędne. Nas uczono, że przy pomocy pewnych, ściśle przestrzeganych obrzędów można sprowadzać sny, których pragniemy. Przestrzeganie obrzędów stanowi z pewnością ten najskromniejszy uczynek, za pomocą którego możemy dowieść naszej szczerości. Wybacz mi, Filipie, ale czyż [^] w twojej religii, którą przyjąłem, nie są również potrzebne pewne praktyki? Czy nie uczą nas, że zaniedbanie zwykłej ceremonii skropienia wodą główki niemowlęcia obraca wszystkie możliwości jego szczęścia w wieczne cierpienie?

Przez pewien czas Filip nie odpowiadał.

— Boję się, Aminę — odezwał się wreszcie cichym głosem. — Boję się...

— Ja niczego się nie boję, jeśli mam dobre intencje. Używam określonych środków dla osiągnięcia celu. Jakież to cel? Dowiedzieć się, jeśli to możliwe, jaka jest wola Boga w tej trudnej sprawie. Jeśli to się stanie za pośrednictwem diabła, to cóż z tego? Będzie on wte-

dy moim sługą, a nie panem. Bóg dozwoli mu działać przeciwko samemu sobie.

Oczy Aminę płonęły ogniem', gdy tak śmiało wypowiadała swe myśli.

— Czy twoja matka często praktykowała te czary? — zapytał Filip po chwili.

— Nigdy przy tym nie byłam, ale ludzie mówili, że była bardzo doświadczona w swoim kunszcie. Umarła młodo, jak wiesz, inaczej dowiedziałabym się o wiele więcej. Czy myślisz, Filipie, że świat jest zamieszkały tylko przez takie ułomne stworzenia jak my, ulepione z gliny, śmiertelne i ulegające zepsuciu? Władcy zwierząt... ale sami niewiele lepsi od nich. Czy w twoich własnych świętych księgach nie znajdujesz wielu potwierdzeń i dowodów istnienia wyższych istot, które mieszają się do ludzkich spraw i działają na tym padole? Dlaczego to, co działo się ongiś, nie miałooby dziać się i teraz? Dlaczego uciekanie się do ich pomocy miałooby obecnie być czymś gorszym niż parę tysięcy lat temu? Dlaczego przypuszczasz, że już wtedy nie wolno im było przebywać na ziemi i obecnie również nie wolno? Co się z nimi stało? Zginęły? Kazano im wrócić — dokąd... do nieba? Jeżeli do nieba, to świat i ludzkość zostały pozostawione na łasce szatana i jego pomocników. Czy przypuszczasz, że biedni śmiertelnicy zostali w ten sposób porzuceni? Mówię ci otwarcie, ja w to nie wierzę. Nie utrzymujemy już z tymi istotami związków, jakie mieliśmy niegdyś, ponieważ, w miarę jak stawaliśmy się bardziej oświeceni, stawaliśmy się także bardziej pyszni i już nie szukaliśmy porozumienia z nimi. Ale jestem przekonana, że one wciąż istnieją — zastęp sił dobra przeciwko zastępowi sił zła, zwalczające się nawzajem i niewidzialne. Powiedz mi, Filipie, czy w głębi duszy uwa-

żasz, że wszystko, co zostało ci objawione, jest tylko tworem wyobraźni?

— Nie, Aminę, nie uważam tak. Wiesz dobrze, że chciałbym tak myśleć.

— W takim razie słuszność mojego rozumowania jest udowodniona. Bo jeżeli mogłeś mieć takie objawienia, to dlaczego nie mógłbyś mieć innych? Nie potrafisz powiedzieć, za czyją sprawą to się stało. Księża mówią, że za sprawą szatana, a ty uważasz, że to był głos z nieba. Wobec tego, kto ma decydować, przez kogo będzie zesłany sen?

— Masz rację, Aminę, ale czy jesteś pewna swojej mocy?

— Jestem pewna jednego: jeśli tylko wyższa istota zechce dać ci jakąś wskazówkę, to na tej wskazówce możesz polegać. Albo nie będziesz miał żadnych snów, tylko prześpisz głęboko kilka godzin, albo też twój sen będzie związany ze sprawą, o którą ci chodzi.

— W takim razie, Aminę, jestem zdecydowany. Chcę mieć sen, bo dręczą mnie sprzeczne i bardzo zawile wątpliwości. Chcę wiedzieć, czy mam rację, czy nie. Dziś w nocy , użyj swojej sztuki.

— Jeszcze nie tej nocy, Filipie, i nie następnej. Czy pomyślałeś przez chwilę, że proponując to działam wbrew własnym pragnieniom? Czuję, że ten sen zadecyduje przeciwko mnie, że każe ci powrócić do twego obowiązku, bo, mówiąc uczciwie, nie podzielam opinii księży. Ale jestem twoją żoną, Filipie, i moim obowiązkiem jest nie dopuścić, abyś poszedł błędną drogą. Posiadając, jak mi się zdaje, środki pozwalające na powzięcie decyzji o twoim przyszłym postępowaniu ofiaruję ci je. Przyrzeknij, że jeśli to uczynię, w nagrodę zrobisz dla mnie to, o co oię poproszę.

— Przyrzekam, Aminę, nawet nie wiedząc,

o co chodzi — odparł Filip wstając z murawy. — A teraz wracajmy do domu.

Wspominaliśmy już o tym, że przed odpłynięciem na „Batavii” Filip ulokował znaczną część swych funduszów w akcjach Holenderskiej Kompanii Indii Wschodnich. Odsetki od tych pieniędzy wystarczały aż nadto na potrzeby Aminę i po powrocie Filip stwierdził, że suma, jaką zostawił pod jej opieką, powiększyła się. Po wypłaceniu księdzu Seysenowi pieniędzy na msze święte i na pomoc biednym, pozostała jeszcze poważna kwota, za którą nabył dalsze udziały w Kompanii Indyjskiej.

Nie powracali więcej do tamtej rozmowy. Filip odczuwał pewną niechęć do praktykowania przez Aminę czarodziejskich sztuk, które, gdyby księża wiedzieli o nich, najprawdopodobniej ściągnęłyby na nią klątwę kościelną. Nie mógł nie podziwiać śmiałości i siły rozumowania Aminę, lecz mimo to był przeciwny zastosowaniu tego rozumowania w praktyce. Mijał już trzeci dzień, a oni nie rozmawiali więcej o tej sprawie.

Filip położył się do łóżka i wnet zasnął, ale Aminę nie spała. Jak tylko nabrała pewności, że Filip się nie obudzi, wyśliznęła się z pościeli i ubrała. Wyszła z izby, a po kwadransie wróciła niosąc w ręku mały metalowy koszyk wypełniony rozżarzonym węglem drzewnym oraz dwa niewielkie zwiłki pergaminu, każdy przewiązany pośrodku wąską wstążką. Przypominały one dokładnie filakterie, noszone niegdyś przez Żydów, i zakładało się je w podobny sposób. Jedną wstążką Aminę opasała ostrożnie czoło męża, a drugą jego lewe ramię. Wsypała pachnidła do metalowego koszyczka z żarem i kiedy sylwetka śpiącego Filipa zaczęła się rozpyływać za zasłoną dymu wypełniającego izbę, wymamrotała kilka zdań, po-

machała nad jego głową gałązką jakiegoś krzewu, którą trzymała w białej dłoni, po czym zaciągnęła zasłony, wyniosła metalowy koszyczek i usiadła przy łóżku.

Gdyby w tym miało być coś złego, pomyślała, będzie to przynajmniej nie jego uczynek, tylko mój. Nie mogą powiedzieć, że wykonywał praktyki nielegalne i zakazane przez księży. Niech to spadnie na moją głowę! Pięknie zarysowane usta Aminę skrzywiły się pogardliwie, co świadczyło niezbyt pochlebnie o jej przywiązaniu do nowej religii.

Świtało już, a Filip spał jeszcze. Aminę obserwowała wschód słońca.

— Dosyć — powiedziała ujrzawszy jego górną krawędź wylaniającą się nad horyzontem. Znowu pomachała gałązką nad Filipem i zawołała: — Filipie, obudź się!

Filip drgnął, otworzył oczy i znowu je zamknął przed oślepiającym blaskiem jasnego dnia, podparł się na łokciu i jakby zbierał myśli.

— Gdzie ja jestem? — zawołał. — We własnym łóżku? Ależ tak! — Przesunął dłonią po czole i natrafił na zwitek pergaminu. — Co

to takiego? — ciągnął zdejmując go z głowy i oglądając. — A gdzie Aminę? Boże drogi, co za sen! Jeszcze jeden? — wykrzyknął, zauważwszy zwitek przywiązany do ramienia. — Teraz rozumiem. Aminę, to twoje dzieło!

Rzucił się na posłanie i ukrył twarz w poduszce.

Tymczasem Aminę wśliznęła się do łóżka na swoje miejsce u boku Filipa.

— Spij, kochany, śpij — mówiła obejmując go ramieniem. — Porozmawiamy później, jak obudzimy się drugi raz.

— Jesteś tu, Aminę? — odparł Filip oszołomiony. — Myślałem, że jestem sam. Śniło mi się...

I znów zasnął, zanim zdążył dokończyć zdania. Aminę, zmęczona całonocnym czuwaniem, także drzemała i czuła się szczęśliwa.

Tego ranka ksiądz Mathias musiał długo czekać na śniadanie. Filip i Aminę pokazali się dwie godziny później niż zwykle.

— Witajcie, moje dzieci, późno dziś wstaliście.

— Tak, księżę — odparła Aminę — bo Filip spał, a ja czuwałam aż do świtu.

— Mam nadzieję, że nie był chory?

— Nie, nie był chory. To ja nie mogłam usnąć.

— W takim razie dobrze się stało, że spędziłaś noc na pobożnych rozmyślaniach, bo nie wątpię, moje dziecko, że na tym minął ci czas.

Filip zadrżał. Wiedział, że czuwanie Aminę, gdyby ujawnić jego powód, byłoby w opinii księdza czymś bardzo dalekim od pobożności. Aminę szybko odpowiedziała:

— Rzeczywiście, obcowałam z siłami wyższymi, na ile mój słaby umysł był do tego zdolny.

— Błogosławieństwo Kościoła świętego niech spłynie na ciebie, moje dziecko — wyrzekł starzec kładąc dłoń na jej głowie. — I na ciebie także, Filipie.

Filip, zmieszany, usiadł do stołu. Aminę była opanowana jak zawsze. Mówiła mało, to prawda, i zdawało się, że zajęta jest własnymi myślami.

Jak tylko skończyli posiłek, stary ksiądz sięgnął po brewiarz, Aminę zaś dała znak Filipowi i wyszli. Szli w milczeniu, aż dotarli do zielonego zbocza, gdzie Aminę zaproponowała mu, że użyje swej tajemniczej mocy. Usiadła na trawie, a Filip, zdając sobie w pełni sprawę z jej zamiarów, usiadł w milczeniu obok niej.

— Filipie — rzekła Aminę biorąc go za rękę

i poważnie patrząc mu w oczy — dziś w nocy miałeś sen.

— Tak, miałem — odparł Filip z powagą.

— Opowiedz mi ten sen, bo moją rzeczą będzie go objaśnić.

— Obawiam się, że nie wymaga on wielu objaśnień. Wszystko, co chciałbym wiedzieć, to jaka siła mi go zesłała.

— Opowiedz mi ten sen — powtórzyła spokojnie Aminę.

— Zdawało mi się — zaczął Filip ponuro — że płynę jako dowódca okrętu i okrążam Przyładek. Morze było spokojne, a wiatr lekki. Byłem na rufie. Słońce już zaszło i gwiazdy świeciły jaśniej niż zwykle. Było ciepło, leżałem na płaszczu, twarzą do góry, przypatrując się gwiazdom mrugającym na niebie i spadającym od czasu do czasu meteorom. Zdawało mi się, że zasnął. Wtem obudziłem się z uczuciem, że tonę. Rozejrzałem się dookoła. Maszty, osprzęt, kadłub okrętu, w s z y s t k o znikło, a ja płynąłem sam w dużej muszli pięknego kształtu po pustym bezmiarze wód. Byłem zatrzwożony i bałem się uczynić najmniejszy ruch, żeby nie wywrócić mojej wątłej łódeczki i nie zginąć. Wreszcie spostrzegłem, że coś ściąga w dół przednią część muszli, jakby wisiał tam jakiś ciężar, a w chwilę potem mała, biała ręka uchwyciła się dziobu muszli. Nie ruszałem się. Chciałem zawołać, że łódeczka zatonie, ale nie mogłem. Jakaś postać stopniowo wynurzała się z wody i oparła się obu rękoma o przednią część muszli, tam gdzie wpierw widziałem tylko jedną rękę. Była to niewiasta, nad wyraz piękna. Skórę miała białą jak śnieg. Długie rozpuszczone włosy okrywały ją całą, spływając końcami na wodę. Ramiona miała jak utoczone z kości słoniowej. Powiedziała miękkim, melodyjnym głosem:

— „Filipie Vanderdecken, czego się boisz? Czyż twoje życie nie jest zaczarowane?”

— „Nie wiem — odpowiedziałem — czy jest zaczarowane, czy nie, ale wiem, że jest w niebezpieczeństwie”.

— „W niebezpieczeństwie! — odparła. — Mogło być w niebezpieczeństwie, gdy zawierzałeś je kruchym dziełom rąk ludzkich — naszym dzielnym okrętom, jak je nazywacie, które zaledwie potrafią utrzymać się na wodzie i które fale tak lubią rozbijać w drzazgi. Ale jak można mówić o niebezpieczeństwie, gdy siedzisz w syreniej muszli, przed którą największe fale czują respekt i której nie śmiały opryskać grzywacze? Filipie Vanderdecken, przybyłeś tutaj w poszukiwaniu twego ojca?”

— „Tak. Czyż nie jest to wola Boga?”

— „To jest twój los, a los rządzi wszystkim, tam w górze i tu na dole. Będziemy go szukać razem. Ta muszla należy do mnie. Nie potrafisz nią żeglować. Czy mam ci pomóc?”

— „Utrzyma nas oboje?”

— „Zobaczysz — odpowiedziała ze śmiechem, po czym ześliznęła się do wody i natychmiast ukazała się znowu przy burcie muszli, która wystawała najwyżej na trzy cale nad wodę. Ku mojemu zaniepokojeniu podciągnęła się w górę i usiadła na krawędzi muszli, ale zdawało się, że jej ciężar nie ma żadnego znaczenia. Ledwie usiadła w ten sposób, trzymając wciąż nogi w wodzie, muszla szybko ruszyła naprzód i z każdą chwilą zwiększała swą prędkość, choć nie napędzała jej żadna inna siła prócz woli syreny. — Boisz się teraz, Filipie Vanderdecken?”

— „Nie” — odparłem.

Przesunęła dłońmi po czole, rozgarniając włosy, które częściowo zakrywały jej twarz,

i powiedziała: „Więc przyjrzyj mi się”. Spojrzałem i zobaczyłem ciebie.

— Mnie? — zapytała Aminę z uśmiechem na ustach.

— Tak, to byłeś ty. Zawołałem cię po imieniu i wziąłem w ramiona. Czułem, że mógłbym żeglować z tobą po świecie bez końca.

— Mów dalej — powiedziała Aminę spokojnie.

— Zdawało mi się, że płyniemy tysiące i tysiące mil. Przeplądaliśmy obok pięknych wysp, wprawionych jak klejnoty w dno oceanu. Raz podskakiwaliśmy na wartkim strumieniu prądu, innym razem ślizgaliśmy się blisko brzegu na ryczącej fali, która rozlewała się dalej na piasku, a palmy kokosowe na plaży kołysały się w podmuchach orzeźwiającej bryzy.

— „Nie na spokojnym morzu trzeba szukać twojego ojca — powiedziała. — Musimy próbować gdzie indziej”.

— Stopniowo fale rosły, aż zaczęły szaleć z wściekłości, a wzburzone morze podrzucało muszlę, lecz w dalszym ciągu ani kropla wody nie wpadła do niej i przeplądaliśmy bezpiecznie nad bałwanami, które pochłonęłyby najwspanialszy okręt.

— „Czy boisz się, Filipie?” — zapytałaś mnie.

— „Nie — odpowiedziałem — z tobą, Aminę, niczego się nie boję”.

— „Jesteśmy znowu w pobliżu Przylądka — oznajmiła — i możesz tutaj odnaleźć twojego ojca. Rozejrzyjmy się dobrze, bo jeżeli spotkamy jakiś okręt, będzie to z pewnością jego okręt. Tylko Okręt Widmo może żeglować w takim sztormie”.

— Pędziliśmy wśród olbrzymich fal, prześlizgując się z grzbietu na grzbiet. Czasem na-

sza łódeczka wynurzała się całkiem z wody. Raz na wschód, raz na zachód, na północ, to znów na południe, co chwila zmienialiśmy kurs w inną stronę świata. Przebyliśmy setki mil. W końcu dostrzeżliśmy okręt miotany wściekłą wichurą.

— „Tam — zawołała wskazując palcem. — Tam jest, Filipie, okręt twego ojca”.

— Zbliżaliśmy się szybko. Dojrzel nas z pokładu i obrócili okręt do wiatru. Byliśmy już przy ich burcie... podciągnęli trap... bo choć żadna łódź nie mogłaby podpłynąć tak blisko, naszej muszli nic nie groziło. Spojrzałem w górę i zobaczyłem mojego ojca. Tak, Amine, zobaczyłem go i usłyszałem, jak wydawał rozkazy. Wyjąłem z zanadru relikwię i wyciągnąłem ją ku niemu. Uśmiechał się stojąc na mocnicy burtowej i trzymając się want grotmasztu. Właśnie wstawałem, aby wspiąć się na pokład, bo podali mi liny, gdy wtem usłyszałem przeraźliwy wrzask i jakiś mężczyzna skoczył z trapu do muszli. Krzyknęłaś, ześliźnięłaś się z krawędzi i znikłaś pod wodą, a w chwilę potem muszla sterowana przez mężczyznę, który zajął twoje miejsce, oddaliła się od okrętu szybko jak myśl. Śmiertelny chłód przeniknął mi ciało. Odwróciłem się, aby spojrzeć na mojego nowego towarzysza... był to pilot Schriften, ten jednooki łotr, który utonął, kiedy rozbiliśmy się w Zatoce Stołowej.

— „Nie, nie! Jeszcze nie!” — wrzeszczał.

— Nieprzytomny z rozpacz i wściekłości, zepchnąłem go do wody, gdzie unosił się na powierzchni.

— „Filipie Vanderdecken — krzyknął płynąc — spotkamy się jeszcze kiedyś!”

— Odwróciłem głowę z obrzydzeniem, gdy wtem fala załapała moją łódeczkę i zatopiła ją. Miotalem się pod wodą, pogrążając się coraz

głębiej, ale nie cierpiałem. I wtedy obudziłem się.

— No i co, Aminę — odezwał się Filip po chwili milczenia — co myślisz o tym śnie?

— Czyż nie wskazuje na to, że jestem ci przyjacielem, a pilot Schriften wrogiem?

— Z pewnością, ale on nie żyje.

— Czy to takie pewne?

— Nie przypuszczam, żebym mógł o tym nie wiedzieć, gdyby się uratował.

— To prawda, ale sen mówi co innego. Filipie, według mnie jedyny wniosek, jaki należy wyciągnąć z tego snu, to ten, abyś chwilowo pozostał na łodzi. To samo doradzają ci księża. W każdym razie musisz dostać jakieś dalsze wskazanie. We śnie ja byłam twoim niezawodnym przewodnikiem, pozwól więc, abym prowadziła cię dalej.

— Niech tak będzie, Aminę. Jeżeli nawet twoja dziwna wiedza sprzeciwia się naszej świętej wierze, to wykladasz ten sen zgodnie z radą kapłanów tej wiary.

— Tak. A teraz, Filipie, zapomnijmy o tej sprawie. Gdy nadejdzie właściwa pora, twoja Aminę nie będzie cię odwozić od spełnienia obowiązku. Ale pamiętaj, że przyrzekłeś mi spełnić jedno życzenie, kiedy cię o to poproszę.

— Przyrzekłem. Powiedz zatem, jakie jest to życzenie.

— Och, w tej chwili nic. Nie mam ani jednego życzenia, które nie byłoby spełnione. Czyż nie posiadam ciebie, Filipie? — odparła tuląc się z czułością do ramienia męża.

ROZDZIAŁ 15

Jakieś trzy miesiące po tej rozmowie Aminę z Filipem znowu usiedli na porośłym murawą stoku, o którym już wspominaliśmy; z czasem najchętniej tu przesiadywali. Ksiądz Mathias zaprzyjaźnił się bardzo z księdzem Seysenem i byli oni prawie tak samo nierozłączni jak Filip i Aminę. Postanowiwszy, że Filip będzie czekał na wezwanie armatora, zanim podejmie na nowo swoje niezwykle i straszne zadanie, szczęśliwi oboje, że posiadają się nawzajem, rzadko powracali do tego tematu. Po swoim powrocie Filip oświadczył dyrekcji Kompanii, że pragnąłby zostać natychmiast zatrudniony i, jeśli to możliwe, dostać dowództwo okrętu, od tamtego czasu jednak nie podejmował żadnych dalszych kroków ani nie miał żadnych kontaktów z Amsterdamem.

— Lubię tę pochyłość, Filipie — rzekła Aminę. — To miejsce stało mi się bliskie. Tu właśnie, jeżeli sobie przypominasz, dyskutowaliśmy nad dopuszczalnością wywoływania snów z punktu widzenia religii i właśnie tu, kochany Filipie, opowiedziałeś mi swój sen, a ja ci go objaśniłam.

— Tak, Aminę, ale gdybyś zapytała o zdanie księdza Seysena, zobaczyłabyś, że wypowiedziałby się stanowczo przeciwko tobie. Nazwałby takie postępowanie heretyckim i zasługującym na potępienie.

— Niech sobie nazywa, jak mu się podoba. Nie mam nic przeciwko temu, aby mu o tym powiedzieć.

— Nie, proszę cię, Aminę. Zachowajmy to między nami.

— Myślisz, że ksiądz Mathias miałby mi za złe?

— Jestem tego pewien.

— A ja jednak nie. Ten staruszek ma w sobie jakąś dobroć i wyrozumiałość, które podziwiam. Chętnie podyskutowałabym z nim na ten temat.

Gdy Aminę wymawiała te słowa, Filip poczuł na ramieniu jakieś dotknięcie i nagle ziąb przeniknął go na wskroś. Natychmiast myśl jego zwróciła się ku przypuszczalnej przyczynie. Obejrzał się za siebie i w najwyższym zdumieniu ujrzał pilota z „Ter Schillinga”, jednookiego Schriftena (o którym sądzono, że utonął) z listem w ręku. Nieoczekiwane pojawienie się złośliwego łotra wyrwało z ust Filipa okrzyk:

— Boże miłosierny! Czy to możliwe?

Odwróciwszy się na ten okrzyk, Aminę zakryła twarz i wybuchnęła płaczem. To niezwykle wzruszenie wywołał nie strach, lecz przekonanie, że jej mąż nigdy już nie zazna spokoju, chyba w grobie.

— Filipie Vanderdecken — odezwał się Schriften. — He, he! Mam dla was list... od Kompanii.

Filip wziął list, ale zanim go otworzył, utkwiał wzrok w Schriftenie.

— Myślałem, że utonęliście, kiedy okręt rozbił się w Zatoce Błędnej. Jak wam się udało uratować?

— Jak się uratowałem? — powtórzył Schriften. — Pozwólcie, że zapytam, jak wy się uratowaliście?

— Fala mnie wyrzuciła — odparł Filip — ale...

— Ale — przerwał Schriften — he, he! Fala nie powinna była wyrzucić mnie.

— Czemuż by nie? Wcale tego nie powiedziałem.

— Nie, ale domyślam się, że chcielibyście, aby tak było. Tymczasem, nic podobnego, ura-

towałem się w taki sam sposób jak wy, zostałem wyrzucony przez fale. He, he! Ale już muszę odejść. Załatwiłem, co mi polecono.

— Zatrzymajcie się jeszcze chwilę — zawołał Filip. — Odpowiedzcie mi na jedno pytanie. Czy i tym razem popłyniecie na tym samym okręcie co ja?

— Wolałbym raczej nie — odparł Schriften. — Ja nie szukam Okrętu Widma, Mynheer Vanderdecken.

Z tymi słowy mały człowieczek odwrócił się na pięcie i oddalił się szybkim krokiem.

— Czy to jest wezwanie, Aminę? — zapytał po chwili Filip, trzymając wciąż w ręku list z nie przełamaną pieczęcią.

— Nie będę temu zaprzeczać, kochany Filipie. Z całą pewnością to jest to. Ten ohydny posłaniec jakby powstał z grobu w tym celu, aby móc ci doręczyć wezwanie. Wybacz, Filipie, ale to mnie zaskoczyło. Nie będę ci więcej dokuczać niewieścią słabością.

— Moja biedna Aminę — odrzekł Filip pośpiesznie. — O, dlaczego nie odbywam mojej pielgrzymki samotnie? To samolubstwo z mej strony, że związałem cię z taką wielką niedolą i zmusiłem, abyś wspólnie ze mną dźwigała brzemie nieustannego lęku i niepewności.

— A któż by miał dźwigać je z tobą, kochany Filipie, jeśli nie żona, której zaufałeś? Mało znasz moją naturę, jeśli myślisz, że wzdragam się przed spełnieniem obowiązku. Nie, Filipie, to dla mnie rozkosz, nawet gdy sprawia mi najostrejszy ból. Uważam, że uczestnicząc w twoim smutku częściowo uwalniam cię od niego i czuję się dumna, że jestem żoną człowieka, który został wybrany do tak niezwykle ciężkiej próby. Ale, kochanie, nie mówmy o tym więcej. Musisz przeczytać list.

Filip nie odpowiedział. Przełamałszy pie-

część znalazł w liście wiadomość, że został mianowany pierwszym oficerem na „Vrow Katerinie”, okręcie odchodzącym z następną flotyllą. Proszono go o stawienie się jak najprędzej, gdyż okręt miał być wkrótce gotów do przyjęcia ładunku. List, podpisany przez sekretarza, informował go ponadto, że po odbyciu tej podróży może być pewien otrzymania dowództwa okrętu jako kapitan, na warunkach, które zostaną mu przedstawione, gdy zgłosi się do dyrekcji.

— Zdawało mi się, Filipie, że prosisz o dowództwo okrętu już w tej podróży — zauważyła Aminę ze smutkiem.

— Tak, prosiłem, ale ponieważ nie powtarzałem mojej prośby, wygląda na to, że nie była rozpatrywana. Sam jestem sobie winien.

— A teraz już za późno?

— Tak, kochanie, na pewno, ale to nie ma znaczenia. Jeszcze w tę podróż popłynę chętnie, może nawet chętniej, jako pierwszy oficer.

— Filipie, teraz wolno mi to powiedzieć. Muszę ci wyznać, że jestem zawiedziona. Spodziewałam się z wszelką pewnością, że dostaniesz dowództwo okrętu i może pamiętasz, że wymogłam na tobie pewne przyrzeczenie na tym zboczku, gdzie teraz siedzimy, kiedy opowiedziałeś mi twój sen. Wyegzekwuję jeszcze tamto przyrzeczenie, a teraz powiem ci, o co zamierzałam cię prosić. Miała to być, kochany Filipie, twoja zgoda na to, abym popłynęła razem z tobą. Z tobą nie dbam o nic. Potrafię czuć się szczęśliwa w każdej biedzie czy niebezpieczeństwie. Ale pozostać sama na tak długo — pogrążona w bolesnych myślach, zżerana przez niepewność, niecierpliwa i pełna niepokoju, niezdolna do zajęcia się czymkolwiek — to jest, kochany Filipie, najokrutniejsze cierpienie i to właśnie odczuwam, gdy ciebie nie

ma. Pamiętaj, przyrzekłeś mi. Jako kapitan masz prawo zabrać z sobą na okręt żonę. Spotkał mnie gorzki zawód, że tym razem pozostanę. Pociesz mnie więc choć trochę przyrzekając, że popłynę z tobą w następny rejs, jeśli Bóg pozwoli ci wrócić.

— Przyrzekam ci, Aminę, skoro tak bardzo ci na tym zależy. Nie potrafię niczego ci odmówić, ale mam przeczucie, że twoje i moje szczęście zostanie zniszczone na zawsze. Nie jestem jasnowidzem, ale naprawdę wydaje mi się, że choć tak dziwacznie jestem wplątany jednocześnie w ten świat i w tamten, to jednak jakaś część przyszłości jeszcze stoi przede mną otworem. Dałem ci przyrzeczenie, Aminę, ale chętnie zostałbym z niego zwolniony.

— Jeśli rzeczywiście stanie się coś złego, będzie to naszym, przeznaczeniem, Filipie. Któż zdoła odwrócić swój los?

— Mamy wolną wolę i w pewnym stopniu możemy kierować naszym losem.

— Owszem, ksiądz Seysen usiłował mnie o tym przekonać, ale ta, co przytaczał na poparcie tego twierdzenia, było dla mnie niezrozumiałe. Mimo to utrzymywał, że stanowi ono część wiary katolickiej. Możliwe, że tak jest. Nie potrafię zrozumieć również wielu innych rzeczy. Pragnęłabym, aby twoją religią uczyniono prostszą. Jak dotychczas ten zacny człowiek, bo rzeczywiście jest zacny, doprowadził mnie tylko do wątpienia.

— Gdy przebrniesz przez wątpienie, dojdiesz do przeświadczenia.

— Możliwe — odparła Aminę — ale wydaje mi się, że jestem zaledwie na początku drogi. Chodź, Filipie, wracajmy. Musisz jechać do Amsterdamu, a ja pojedę z tobą. Po całodzienniej pracy, przynajmniej dopóki nie odpłyniesz,

uśmiech twojej Aminę musi cię stale rozweselać, prawda?

— Tak, kochanie, chciałem ci to zaproponować. Bardzo jestem ciekaw, jak Schriften mógł tu przybyć. To prawda, że nie widziałem jego ciała, ale to, że ocalał, wydaje mi się cudem. Dlaczego nie pojawił się zaraz po ocaleniu? Gdzie mógł się podziewać? Co myślisz o tym, Aminę?

— To, co już dawno myślałam. On jest gulem* o niedobrym spojrzeniu. Z jakiegoś powodu wolno mu chodzić po ziemi w ludzkiej postaci i z pewnością jest w jakiś sposób związany z twoim osobliwym losem. Gdyby było potrzeba czegokolwiek, aby mnie przekonać o prawdziwości tego wszystkiego, co się wydarzyło, to właśnie pojawienia się jego, tego obrzydliwego ifrita**. Och, gdybym posiadała władzę mojej matki! Ale zapomniałam, Filipie, że nie lubisz, gdy mówię o tych rzeczach, więc już jestem cicho.

Filip nie odpowiedział i, pochłonięci każde swoimi myślami, w milczeniu wracali do domu. Chociaż Filip już powziął decyzję, od razu poprosił portugalskiego księdza, aby sprawdził proboszcza Seysena, gdyż chciał się z nim porozumieć i usłyszeć ich opinię o wezwaniu, które otrzymał. Opowiedział im na nowo z wszystkimi szczegółami o domniemanej śmierci Schriftena oraz o jego ponownym zjawieniu się w charakterze posłańca, po czym pozostawił obu księży samych, aby się naradzili, i poszedł na górę do Aminę. Uplęły przeszło dwie godziny, zanim wezwali go na

* Gul — duch żerujący na trupach w baśniach Wscho-
du.

** Ifirit — zły demon w mitologii mahometańskiej.

dół. Ksiądz Seysen wyglądał na bardzo strapionego.

— Mój synu — rozpoczął — jesteśmy poważnie zakłopotani. Uważaliśmy, że nasze zdanie o tamtym dziwnym liście jest słuszne i że — przyjmując, iż wszystko, czegoś się dowiedział od matki i co sam widziałeś, nie było złudzeniem wyobraźni — było to jednak dziełem szatana, a jeśli tak, to nasze modlitwy i msze święte powinny były zniweczyć tę siłę. Doradzaliśmy ci, abyś czekał na następne wezwanie, i otrzymałeś je. Sam list oczywiście nie ma znaczenia, ale ponowne zjawienie się tego posłańca jest sprawą, która zmusza do zastanowienia. Powiedz mi, Filipie, co ty o tym myślisz? Istnieje przecież możliwość, że się uratował. Czemuż by nie, skoro ty ocalałeś?

— Uznaję taką możliwość, księżu proboszczu — odparł Filip. — Fala mogła go wyrzucić na brzeg i mógł powędrować w innym kierunku. Jest to możliwe, chociaż mało prawdopodobne. Ponieważ jednak pytacie o moje zdanie, muszę powiedzieć szczerze, że nie uważam go za posłańca ziemskiego, nie, tego jestem pewien. Z pewnością jest on związany w tajemniczy sposób z moim losem. Ale kim jest i jaki jest, tego naturalnie nie mogę powiedzieć.

— W takim razie, mój synu, postanowiliśmy w tym wypadku nic ci nie doradzać. Musisz teraz działać na własną odpowiedzialność i według własnego rozeznania. Jakakolwiek drogę wybierzesz, nie potępimy cię. Będziemy się modlić, aby Bóg miał cię zawsze w swojej świętej pieczy.

— Zdecydowałem, wielbny księżu, usłuchać wezwania.

— Niech więc tak będzie, mój synu. Może zajdzie coś, co pomoże w rozwiązaniu tej tajemnicy — tajemnicy, która, przyznaję, prze-

kracza moją zdolność rozumienia i jest zbyt bolesnej natury, abym miał się nad nią dłużej zatrzymywać.

Filip nie powiedział nic więcej, spostrzegł bowiem, że proboszcz nie jest bynajmniej usposobiony do dalszej rozmowy. Ksiądz Mathias skorzystał ze sposobności, aby podziękować Filipowi za jego gościnność i życzliwość. Powiadomił go o swoim zamiarze powrotu do Lizbony pierwszą okazją, jaka mu się nadarzy.

Po paru dniach Aminę i Filip pożegnali się z księżmi i odjechali do Amsterdamu. Ksiądz Seysen miał się zaopiekować domkiem aż do powrotu Aminę. Po przyjeździe Filip stawił się u dyrektorów Kompanii; przyrzekli mu dowództwo okrętu, gdy powróci z rejsu, który miał właśnie rozpocząć, pod warunkiem jednak, że zostanie współwłaścicielem tego okrętu. Filip wyraził zgodę na ten warunek, po czym udał się do portu, aby obejrzeć „Vrouw Katerine”, okręt, na który został przydzielony jako pierwszy oficer. Nie miał on jeszcze osprzętu, gdyż oczekiwano wyjścia flotyli nie wcześniej niż za dwa miesiące. Tylko część załogi była na statku, a kapitan, mieszkający w Dort, jeszcze nie przybył.

O ile Filip mógł się zorientować, „Vrouw Katerina” była okrętem bardzo marnej klasy. Była większa niż wiele innych okrętów, ale stara i lichy zbudowana. Niemniej jednak, jeżeli zrobiła już kilka rejsów do Indii i szczęśliwie powracała, należało przypuszczać, że Kompania nie brałaby jej w rachubę, gdyby nie była spokojna co do jej zdatności żeglugowej. Filip udzielił paru wskazówek marynarzom znajdującym się na okręcie, po czym powrócił do zajazdu, gdzie zarezerwował kwatery dla siebie i Aminę.

Nazajutrz, gdy nadzorował zakładanie o-

sprzętu, przybył kapitan „Vrow Kateriny”. Wszedłszy na pokład po desce łączącej okręt z nabrzeżem, przede wszystkim podbiegł do grotmasztu i objął go oburącz, chociaż maszt był porządnie wysmarowany łojem i mógł wytłuścić jego sukienny kaftan.

— O, moja kochana „Vrow Katerino!” — wołał, jakby zwracał się do kobiety. — Jak się miewasz? Cieszę się, że znów cię widzę. Mam nadzieję, że czułaś się dobrze? Nie lubisz, jak cię w ten sposób stawiają na sznurku. To nic, moja kochaneczko! Wkrótce znów będziesz piękna.

Człowiek, który się tak czulił do swego okrętu, nazywał się William Barentz. Był młody, na oko poniżej trzydziestki, niskiego wzrostu i drobnej budowy. Twarz miał ładną, ale zniewieściałą, ruchy szybkie i niespokojne. Wyraz jego oczu uzasadniałby przypuszczenie, że jest on trochę pomyłony, nawet gdyby tego nie potwierdzało jego zachowanie.

Gdy kapitan przestał się rozplęwać nad „Vrow Kateriną”, Filip przedstawił mu się i powiedział o swojej nominacji.

— O, jesteście pierwszym oficerem na „Vrow Katerinie!” Panie, macie wielkie szczęście. Zaraz po kapitanie, pierwszy oficer na „Vrow Katerinie” to stanowisko najbardziej w świecie godne zazdrości.

— Na pewno nie z powodu jej urody — zauważył Filip. — Może posiada wiele innych zalet.

— Nie z powodu urody! Ależ, panie, ja twierdzę... jak twierdził przede mną mój ojciec, bo to była jego „Vrow”, zanim stała się moją... ja twierdzę, że to najpiękniejszy okręt na świecie. W tej chwili nie możecie tego ocenić. A poza tym, że jest najpiękniejsza, posiada wszystkie możliwe zalety.

— Miło mi to słyszeć, panie kapitanie. Dowodzi to, że nie powinno się nigdy sądzić po pozorach. Ale czy nie jest bardzo stara?

— Stara! Nie ma więcej jak dwadzieścia osiem lat, akurat w kwiecie wieku. Zaczekajcie, mój drogi panie, aż zobaczycie ją tańczącą na fali. Wówczas przez cały dzień będziecie tylko rozprawiać ze mną o jej doskonałości i nie wątpię, że będzie nam z sobą bardzo miło.

— Byleby temat się nie wyczerpał — odparł Filip.

— Jeżeli o mnie chodzi, nie nastąpi to nigdy i pozwólcie mi zauważyć, Mynheer Vanderdecken, że każdy oficer, który wynajduje defekty we „Vrow Katerinie”, musi mieć ze mną na pieńku. Jestem jej rycerzem i walczyłem już z trzema mężczyznami w jej obronie. Mam nadzieję, że nie będę zmuszony walczyć z czwartym.

Filip uśmiechnął się. Uważał, że ten okręt nie jest wart, aby o niego walczyć, ale postąpił zgodnie z sugestią kapitana i od tamtej pory nie ryzykował więcej wypowiedzenia krytycznych opinii o pięknej „Katerinie”.

Wkrótce załoga została skompletowana, okręt otrzymał pełny osprzęt, żagle zostały przymocowane do drzewc. Stanęli na kotwicy w linii prądu, otoczeni innymi okrętami, tworzącymi flotyllę, która miała wyruszyć w drogę. Wówczas dopiero przyjęli na okręt ładunek, a gdy tylko ładownia została zapełniona, ku wielkiemu utrapieniu Filipa dostali polecenie przyjęcia stu pięćdziesięciu żołnierzy i innych pasażerów, wśród nich wielu z żonami i dziećmi. Filip ciężko pracował, gdyż kapitan nie robił nic poza wychwalaniem okrętu. W końcu zaokrętowali wszystkich i flotylla była gotowa do wyjścia.

Nadszedł więc czas rozstania z Aminę, która pozostawała - w zajeździe i której Filip poświęcał każdą wolną chwilę. Flotylla miała wyruszyć za dwa dni; postanowili rozstać się na zajutrz. Aminę była opanowana i skupiona. Miała przeświadczenie, że zobaczy jeszcze swego męża i z tym przeświadczeniem uściskała go, gdy rozstawali się na nabrzeżu, po czym on wsiadł do łodzi, która go miała dowieźć do okrętu.

Tak, myślała Aminę śledząc sylwetkę męża, podczas gdy odległość pomiędzy nimi rosła, tak, wiem, że spotkamy się znowu. To jeszcze nie ta podróż będzie fatalna dla ciebie i dla mnie. Ale mam czarne przeczucie, że w następnej podróży, w której będę ci towarzyszyć, przyjdzie nam rozstać się na zawsze. W jaki sposób... nie wiem, ale to jest nam przeznaczone. Księża opowiadają o wolnej woli! Czyż to wolna wola zabiera go ode mnie? Czy nie wolałby pozostać ze mną na łądzie? Tak, ale nie wolno mu pozostać, bo musi wypełnić swój los. Wolna wola? Przecież gdyby nie działało tu przeznaczenie, to działałaby tyrania. Zdaje się, i zawsze mi się zdawało, że ci księża są moimi wrogami. Ale w czym... nie wiem. Obaj są dobrymi ludźmi i wiara, której uczą, jest dobra. Życzliwość i miłosierdzie, miłość ku wszystkim ludziom, przebaczenie krzywd i nieosądzanie innych. Wszystko to jest dobre, a mimo to serce mi szepcze, że... ale łódź jest już pod burzą i Filip wspina się na pokład. Żegnaj, żegnaj, najukochańszy mężu! Szkoda, że nie jestem mężczyzną. Nie, nie! Lepiej jest tak, jak jest.

Aminę wpatrywała się tak długo, aż nie mogła już dostrzec Filipa, i wtedy wolnym krokiem wróciła do zajazdu. Wstawszy nazajutrz dowiedziała się, że flotylla odpłynęła o świcie,

a kanał, poprzedniego dnia zatłoczony okrętami, teraz był pusty.

— Odplynął — wyszeptala. — Czeka mnie wiele miesiecy cierpliwego, spokojnego trwania. Nie moge powiedziec — zycia, bo zyje tylko w jego obecnoSci.

ROZDZIAŁ 16

Musimy pozostawic Aminę w jej osamotnieniu i sledzic losy Filipa. Flotylla wychodzila z wyluzowanymi szotami i plynela przy pelnym wietrze przez Zuider Zee. Ale zaledwie minela godzina od wyjscia z portu, „Vrow Katerina” pozostala okolo dwuch mil w tyle. Mynheer Barentz kladl to na karb bladnego postawienia zagli i niewlasciwego ich ustawienia do wiatru, na karb marynarza przy kole sterowym, ktorego wciaz zmienial, jednym slowem — na karb wszystkiego prucz swej kochanej „Vrow Kateriny”. Nic to jednak nie pomagalo, okret stopniowo pozostawal coraz bardziej w tyle, okazujac sie najgorszym zaglowcem w calaj flotylli.

— Mynheer Vanderdecken — rzekl wreszcie kapitan — „Vrow”, jak mawial moj ojciec, nie jest tak bardzo szybka przy fordewindzie. Okrety, ktore dobrze chodza w bejdewindzie, rzadko bywaja szybkie przy fordewindzie, natomiast moge powiedziec, ze pod kazdym innym wzgledem nie ma w calaj flotylli okretu, ktory dorownyalby „Vrow Katerinie”.

— Poza tym — wtrącił Filip, który zauważył, jak bardzo kapitan był zaniepokojony — jesteście mocno załadowani i mamy tyle woj-ska na pokładzie.

Flotyła obeszła bezpiecznie mielizny, po czym płynęła ostro do wiatru, a „Vrow Katerina” posuwała się jeszcze wolniej niż przedtem.

— Kiedy płyniemy tak bardzo ostro do wiatru — usprawiedliwiał ją Mynheer Barentz — „Vrow Katerina” nie zachowuje się najlepiej, ale wystarczy odpaść o jeden rumb, a zobaczysz pan, jak pokaże rufę całej flotyli. To piękny okręt, Mynheer Vandepdecken, prawda?

— Tak, bardzo piękny i pojemny — odparł Filip, było to bowiem wszystko, co mógł powiedzieć z czystym sumieniem.

Flotyła płynęła dalej, czasem bejdewindem, czasem wiatrem pełniejszym, lecz bez względu na to, jakie były warunki żeglowania, „Vrow Katerina” stale pozostawała w tyle. O zachodzie słońca flotyła musiała położyć się w dryf, aby umożliwić jej doszlusowanie. Kapitan w dalszym ciągu oświadczał, że ten kurs względem wiatru, którym akurat płynęli, jest jedynym, przy którym „Vrow Katerina” zawodzi. Niestety, okręt ten miał jeszcze inne cechy, równie złe jak jego żeglowność. Był miękki, nieszczelny i nie słuchał dobrze steru, ale Mynheer Barentza nie można było przekonać. Uwielbiał swój okręt i, jak wszyscy mężczyźni, gdy zakochani są do szaleństwa, nie umiał dostrzec żadnej wady u swojej kochanki. Inni jednak nie byli tak zaślepieni i admirał, widząc, że podróż bardzo się opóźnia wskutek złego żeglowania jednego okrętu, postanowił pozostawić go własnemu losowi, jak tylko miną Przylądek. Zostało mu jednak oszczędzone okrucieństwo porzucenia marudera,

gdyż nadszedł silny sztorm i rozpędził całą flotyllę, a nazajutrz dzielny okręt „Vrouw Katerina” znalazł się sam, pracując ciężko na fali, przeciekając tak bardzo, że trzeba było bez przerwy pompować, i dryfując w sztormie ku zawietrznej niewiele wolniej niż przedtem posuwał się naprzód. Sztorm trwał tydzień i z każdym dniem sytuacja okrętu stawała się coraz bardziej niepokojąca. Zapchany wojskiem, / obciążony dużymi zapasami, stękał i pracował, fale przewalały się przez niego, a marynarze ledwo mogli wytrzymać przy pompach. Filip był bardzo czynny, dobywał z siebie wszystkich sił, dodając ducha wyczerpanym marynarzom i zabezpieczając cokolwiek się gdzie popsuło; kapitan nie wtrącał się zbyt do jego czynności, gdyż sam nie był żeglarzem.

— Tak — powiedział do Filipa, podczas gdy obaj trzymali się kołków do obkładania lin — przyznacie, Mynheer Vanderdecken, że to świetny okręt w czasie sztormu, co? Spokojnie, moja ślicznotko, spokojnie — przemawiał do okrętu, gdy ten pogrążał się głęboko w fali, aż każda deska trzeszczała. — Spokojnie, moja kochana, spokojnie! Jak tych nieboraków musi teraz ciskać na tamtych okrętach, prawda? Mynheer Vanderdecken, tym razem my jesteśmy górą. Oni muszą już być diabelnie daleko po zawietrznej. Jak sądzicie?

— Doprawdy, nie potrafię tego powiedzieć — odparł Filip z uśmiechem.

— Przecież żadnego z nich nie widać. Jest, na Boga, jest! Popatrzcie tylko, na zawietrznym trawersie. Widzę okręt! Hm, to musi być znakomity żaglowiec. Spójrzcie tam, rumb od trawersu ku rufie. Boże, zlituj się! Jakż on musi być sztywny, żeby wytrzymać taki napór wiatru na rozwinięte żagle!

Filip już go dojrzał. Był to duży okręt idą-

cy bejdewindem, tym samym halsem co oni. W sztormie, w którym żaden okręt nie mógłby nieść nic więcej prócz marsli, a „Vrow Katerina” miała bardzo zrefowane fokżagle i sztaksle, okręt widoczny po zawietrznej wytrzymał napór na pełne ożaglowanie — bramsle, bombramsle, kliwer i wszystkie inne żagle, które można byłoby postawić przy lekkim wietrze. Góry wody wznosiły się i co chwila „Vrow Katerina” zanurzała się aż po linię pokładu, ale tamten okręt, jakby nic sobie nie robił ze wzburzonego morza, płynął spokojnie i gładko na równym kilu. Filip natychmiast zrozumiał, że to musi być Okręt Widmo, na którym jego ojciec odbywa karę.

— Coś niezwykłego, prawda? — odezwał się Mynheer Barentz.

Filip czuł w piersiach taki ucisk, że nie mógł odpowiedzieć. Przytrzymując się jedną ręką, drugą przysłaniał oczy.

Ale marynarze dojrżeli już okręt, a legenda o nim była zbyt dobrze znana. Kiedy nowina się rozeszła, wielu żołnierzy wyległo na pokład i wszystkie oczy były teraz wpatrzone w niesamowite zjawisko. Wtem silny szkwał uderzył we „Vrow Katerinę” razem z hukiem piorunów i rześistą ulewą; zrobiło się tak ciemno, że nie było nic widać. Po kwadransie wszystko się rozeszło, a kiedy spojrzeli ku zawietrznej, dziwny okręt już zniknął.

— Boże miłosierny, musiało go przewrócić w tym szkwałie i poszedł na dno — wykrzyknął Mynheer Barentz. — Ja myślę, przy takiej powierzchni żagli! Żaden okręt nie potrafił dotychczas nieść więcej żagli niż „Vrow Katerina”. To szaleństwo ze strony kapitana tamtego okrętu, ale domyślam się, że nie chciał dać się nam wyprzedzić. Co, Mynheer Vanderdecken?

Filip nie odpowiedział nic na te słowa, które w pełni potwierdzały obłąd kapitana. Zrozumiał, że jego okręt skazany jest na zagładę i kiedy pomyślał, jak wielu ludzi może paść ofiarą, wzdrygnął się. Po chwili powiedział:

— Mynheer Barentz, ten sztorm może potrwać dłużej, a moim zdaniem nawet najlepszy okręt, jaki kiedykolwiek zbudowano, nie może wytrzymać takiej pogody. Radziłbym odpaść od wiatru i zawrócić do Zatoki Stołowej, aby przeprowadzić konieczne naprawy. Możecie być pewni, panie, że zastaniemy tam już całą flotyllę.

— Nie obawiajcie się o „Vrow Katerine” — odparł kapitan. — Patrzcie tylko, jak ona sobie radzi z tym sztormem.

— Diabelnie źle — zauważył jeden z marynarzy. Zbliżyli się oni do Filipa, aby posłuchać, jaka jest jego rada. — Gdybym był wiedział, że to takie stare, zwariowane bydło, nigdy bym się nie zaciągnął. Mynheer Vanderdecken ma rację, musimy zawrócić do Zatoki Stołowej, zanim przydarzy się nam coś gorszego. Ten okręt ostrzegł nas. On się na darmo nie pokazuje, proszę zapytać pana Vanderdec-kena, panie kapitanie, on to wie dobrze, bo jest naprawdę żeglarzem.

Filip drgnął, gdy marynarze odwołali się do niego, choć uczynili to nie wiedząc nic o jego osobistym zainteresowaniu Okrętem Widmem.

— Muszę powiedzieć — odparł — że ile razy natknąłem się na ten okręt, zawsze przydarzała się potem jakaś bieda.

— Okręt! A cóż takiego was wystraszyło w tym okręcie? Niósł za dużo żagli i dlatego zatonał.

— On nigdy nie tonie — odburknął jeden z marynarzy.

— Nigdy! Nigdy! — zawołało wiele gło-

#

sów. — Ale za to my utoniemy, jeśli nie zawrócimy.

— Ach, bzdura! Mynheer Vanderdecken, co wy na to?

— Ja powiedziałem już moje zdanie — odparł Filip, któremu pilno było, jeśli to możliwe, ujrzeć swój okręt znowu w porcie. — Najlepsze, co możemy zrobić, to wziąć kurs na Zatokę Stołową.

— Panie kapitanie — ciągnął stary marynarz, który pierwszy przemówił — wszyscy jesteśmy zdecydowani, że tak ma być, czy się to wam, panie, podoba, czy nie podoba. No, obracaj ster, chłopcze, a Mynheer Vanderdecken przebrasuje żagle.

— Co? Co takiego? — krzyknął kapitan Barentz. — Bunt na „Vrouw Katerinie”? To niemożliwe! Na „Vrouw Katerinie"! Na najlepszym, najszybszym okręcie z całej flotyli!

— Powolna jak zółw, stara, spróchniała balia — zawołał jeden z marynarzy.

— Co! — zakrzyknął kapitan. — Co ja słyszę? Mynheer Vanderdecken, proszę zamknąć za bunt tego łgarza, tego szubrawca.

— Też coś! Bzdura! On oszalał! — odparł stary marynarz. — Mniejsza z nim, chodźmy, Mynheer Vanderdecken, będziemy słuchali was. Ale trzeba natychmiast obrócić koło sterowe.

Kapitan awanturował się, ale Filip, przyznając mu rację co do wyższości jego okrętu nad innymi, jednocześnie zaś ganiąc marynarzy za robienie paniki, przekonał go o konieczności ustąpienia i w końcu Mynheer Barentz zgodził się na to. Obrócili koło sterowe, przebrasowali żagle i „Vrouw Katerina” szła forwardem, kołysząc się mocno na boki. Pod wieczór uciszyło się, niebo się wyjaśniło, fala i wiatr uspokajały się szybko, przecieki zmniejszały się i Filip miał nadzieję, że za

dzień lub dwa dopłyną bezpiecznie do Zatoki Stołowej.

Kiedy tak szli swoim kursem, wiatr stopniowo słabł, aż wreszcie zapanowała cisza. Po nawałnicy nie zostało śladu, prócz martwej fali odchodzącej na zachód, z którą „Vrow Katerina” powoli dryfowała. Było to wytchnieniem dla wyczerpanych marynarzy, jak również dla wojska i pasażerów, którzy byli zamknięci pod pokładem albo mokli na głównym pokładzie.

Górny pokład był zatłoczony, matki z dziećmi w objęciach wygrzewały się w słońcu. Na wszystkich wantach pełno było przemoczonej odzieży, porozwieszanej do wysuszenia. Marynarze pracowali zawzięcie przy naprawie uszkodzeń spowodowanych sztormem. Według własnych obliczeń, znajdowali się nie dalej niż pięćdziesiąt mil od Zatoki Stołowej i spodziewali się w każdej chwili ujrzeć ląd na południe od niej. Znowu zapanowała niepodzielnie radość i wszyscy na okręcie, z wyjątkiem Filipa, uważali, że nie należy się już obawiać żadnego niebezpieczeństwa.

Drugi oficer, nazwiskiem Krantz, był rzutkim, dobrym marynarzem i ulubieńcem Filipa, który wiedział, że może na nim polegać. Tego właśnie dnia po południu obaj spacerowali po pokładzie.

— Co myślisz, Vanderdecken, o tym dziwnym okręcie, który widzieliśmy?

— Ja go widziałem już przedtem i...

— I co?

— Żaden okręt, na którym byłem i któr"y go zobaczył, nie powrócił do portu. Inni mówią to samo.

— Wobec tego jest on widmem jakiegoś okrętu?

— Tak mi powiadano i krążą o nim różne

opowieści. Ale o jednym mogę cię zapewnić. Jestem przekonany, że, zanim dopłyniemy do portu, coś nam się przydarzy, chociaż' w tej chwili wszystko wygląda tak spokojnie, a przystań jest tuż, tak blisko.

— Jesteś przesądny — odparł Krantz — ale muszę przyznać, że dla mnie ta zjawy nie wyglądała na coś rzeczywistego. Żaden okręt nie mógłby nieść tylu żagli w czasie sztormu. Chociaż zdarzają się na morzu szaleńcy, którzy czasem próbują najbardziej absurdalnych rzeczy. Jeśli to był rzeczywiście okręt, to musiał zatonać, bo jak się przejaśniło, nie było go widać. Nie jestem taki łatwowierny i nic mnie nie przekona, że w tej sprawie było coś nadprzyrodzonego, chyba że zdarzy się to. co przepowiadasz.

— No cóż, będę rad, jeśli dalszy bieg wypadków udowodni, że się myliłem — odparł Filip — ale mam złe przeczucie. Jeszcze nie jesteśmy w przystani.

— Nie, ale dzieli nas od niej tylko nieznaczna odległość i wszystko wskazuje na to, że ładna pogoda się utrzyma.

— Trudno przewidzieć, z której strony może nadejść niebezpieczeństwo — zauważył Filip. — Poza gwałtownością wichury są jeszcze inne rzeczy, których możemy się obawiać.

— To prawda, ale już nie kraczymy. Mimo tego wszystkiego, co mówisz, ja przepowiadam, że najdalej za dwa dni będziemy bezpiecznie stali na kotwicy w Zatoce Stołowej.

Na tym rozmowa się urwała i Filip był zadowolony, że został sam. Ogarnął go smutek i przygnębienie, mocniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Wychylił się nad furką w nadburciu i obserwował, jak okręt podnosi się i opada.

— Boże miłosierny! — jęknął. — Racz oszczędzić ten okręt. Nie daj mi słuchać zawodzenia kobiet i krzyku biednych dzieci płynących razem ze mną. Nie dozwól, aby tylu ludzi, którzy zaufali deskom tego okrętu, padło ofiarą za grzechy mego ojca.

I dumał dalej. Zaiste, niezbadane są drogi Boże. Czemuż inni mają cierpieć dlatego, że zgrzeszył mój ojciec? A jednak, czy wszędzie nie dzieje się tak samo? Ileż tysięcy ludzi pada na polu bitwy w wojnie rozpętanej wskutek ambicji jakiegoś króla lub wpływów niewiasty! Ileż milionów ludzi zostało zgładzonych za to, że wyznawali odmienną wiarę! O n działała na swój własny sposób, pozwalając nam zdumiewać się lub wątpić.

Słońce już zaszło, gdy Filip odszedł od furty i udał się pod pokład. Polecając opiece Opatrzności siebie i wszystkich, którzy z nim płynęli, wreszcie zasnął. Ale zanim dzwon wybił osiem uderzeń oznajmiając północ, obudziło go mocne szarpnięcie za ramię i ujrzał stojącego tuż obok Krantza, który miał pierwszą wachtę.

— Na Boga, Vanderdecken, dobrze przepowiedziałeś! Wstawaj prędko! Pożar na okręcie!

— Pożar? — zawołał Vanderdecken wyskakując z koi. — Gdzie?

— Główna ładownia.

— Będę natychmiast na górze. Krantz, dopilnuj tymczasem, aby luki były zakryte, i szykuj pompy.

Nie minęła minuta i Filip znalazł się na pokładzie. Zobaczył tam kapitana Barentza, którego drugi oficer również powiadomił o wypadku. W paru słowach Krantz wyjaśnił wszystko. Z głównej ładowni dochodził silny śwąd ognia, a po wyjęciu jednej z desek lukowych,

co wykonał sam, nie wołając nikogo do pomocy, bo zdawał sobie sprawę, jaką panikę by to wywołało, zobaczył, że w ładowni jest pełno dymu; natychmiast zakrył ją z powrotem i powiadomił o tym tylko Filipa i kapitana.

— Dzięki twojej przytomności umysłu — powiedział Filip — mamy czas spokojnie się zastanowić, co należy zrobić. Gdyby żołnierze i te biedne kobiety z dziećmi wiedzieli o grożącym niebezpieczeństwie, ich trwoga mogłaby nam bardzo utrudnić zadanie. Ale w jaki sposób mógł powstać pożar w głównej ładowni?

— Nigdy nie słyszałem, aby „Vrow Katerina” paliła się kiedykolwiek — zauważył kapitan. — Myślę, że to niemożliwe. Musiała zajść jakaś pomyłka... ona jest...

— Teraz sobie przypominam — przerwał Filip — że mamy w ładunku kilka skrzynek kwasu siarkowego w butelkach. W sztormie musiały kołatać o siebie i potłukły się. Na wszelki wypadek umieściłem je na wierzchu. To długotrwałe boczne kołysanie i zanurzanie się aż po linię pokładu musiało ruszyć z miejsca jedną ze skrzynek.

— Tak, to będzie na pewno to — potwierdził Krantz.

— Byłem przeciwny przyjęciu kwasu siarkowego. Mówiłem, że te skrzynki powinny iść na inny okręt, nie tak zatłoczony wojskiem, aby można je było postawić na głównym pokładzie. Odpowiedzieli mi, że już "wystawili konosamenty i że nie można ich zmienić. Ale teraz, do dzieła! Ja uważam, że należy trzymać luki zamknięte, aby tłumić ogień, jeśli to będzie możliwe.

— Tak — odparł Krantz — i jednocześnie wyciąć mały otwór w pokładzie, aby tylko

wprowadzić wąż, i pompować ile się da wody do ładowni.

— Masz rację, Krantz. Wezwij cieślę i niech się zabiera do roboty, a ja obudzę załogę i przemówię do niej. Czuję już bardzo mocny swąd, nie ma czasu do stracenia. Jeśli tylko uda się nam utrzymać wojsko i kobiety w spokoju, to może coś zdziałamy.

Marynarze zostali zbudzeni i wkrótce zjawili się na pokładzie, dziwiąc się, po co ich wezwano. Nie zauważyli, w jakiej sytuacji znajduje się okręt, gdyż luki były przykryte, a niewielka ilość wydobywającego się dymu nie przedostawała się na dolny pokład, lecz unosiła się do luku.

— Chłopcy — rozpoczął Filip — z przykrością muszę wam oznajmić, że mamy powody do podejrzenia, iż w głównej ładowni istnieje pewne niebezpieczeństwo pożaru.

— Czuję swąd! — wykrzyknął jeden z marynarzy.

— I ja! — zawołało kilku innych, okazując na różne sposoby zaniepokojenie i cofając się, jakby chcieli zejść pod pokład.

— Cisza! I nie ruszać się z miejsca, chłopcy. Posłuchajcie, co wam powiem. Jeżeli wystraszyacie żołnierzy i pasażerów, to nic nie zrobimy. Musimy polegać na nas samych. Nie ma czasu do stracenia. Pan Krantz z cieślą robią wszystko, co można w tej chwili zrobić. A teraz, moi drodzy, zechciejcie łaskawie usiąść na pokładzie — wszyscy, wszyscy — a ja wam powiem, co musimy zrobić.

Posłuchali rozkazu i rezultat okazał się doskonały. Dało im to czas na uspokojenie się po pierwszym wstrząsie, gdyż ze wszystkich szoków, jakich człowiek może doświadczyć, żaden chyba nie wywołuje większej paniki niż

pierwsza wiadomość o pożarze na okręcie. Sytuacja to, zaiste, godna politowania, jeśli pomyśleć, że marynarz musi wybierać pomiędzy dwoma żywiołami czyhającymi na jego zgubę. Filip milczał przez dłuższą chwilę. Następnie przedstawił marynarzom niebezpieczeństwo sytuacji, kroki, jakie on i Krantz postanowili podjąć, oraz konieczność zachowania przez wszystkich zimnej krwi i spokoju. Przypominał im również, że mają tylko trochę prochu w magazynie, który znajduje się daleko od miejsca wybuchu ognia, i że można go stamtąd z łatwością usunąć i wyrzucić za burtę. Powiedział im poza tym, że, gdyby się nie udało ugasić ognia, to mają na pokładzie masę zapasowych drzewc, z których można będzie zbudować tratwę; na tej tratwie i w szalupach pomieszczą się wszyscy ludzie znajdujący się na okręcie, a do lądu już niedaleko.

Przemówienie Filipa odniosło zbawienny skutek. Na jego rozkaz marynarze powstali; część zeszła na dół do magazynu i podawała proch na pokład, skąd przenoszono go dalej i w końcu wyrzucono za burtę. Reszta poszła do pomp, a Krantz zameldował o wycięciu otworu w poszyciu pokładu nad główną ładownią. Założyli węże i wkrótce wpompowali do środka bardzo dużo wody. Nie dało się jednak utrzymać niebezpieczeństwa w tajemnicy. Żołnierze spali na pokładzie, a same czynności spełniane przez marynarzy wskazywały na to, co się stało, nawet gdyby nie zdradzał tego dym, który wzmógł się bardzo i wypełniał teraz pomieszczenia położone na dolnym pokładzie. W parę minut później wołanie: „Pożar! Pożar!” rozlegało się po całym okręcie. Widać było odziewających się pospiesznie mężczyzn, kobiety i dzieci, inni biegali wystraszeni po pokładach, jeszcze inni wrzeszczeli, inni wresz-

cie modlili się. Trudno opisać ten zamęt i panikę.

Wówczas dopiero okazało się, jak rozumne było postępowanie Filipa. Gdyby marynarze zostali obudzeni przerażającym alarmem, byłiby równie niezdolni do działania, jak wojsko i pasażerowie. Ustałaby wszelka dyscyplina; jedni porwaliby łodzie, skazując większość ludzi na zagładę, inni pospieszyliby do składowiska spirytualiów i swoim pijaństwem powiększaliby chaos i panikę. Nie można by nic zdziałać i według wszelkiego prawdopodobieństwa prawie wszyscy zginęliby marnie. Dzięki przytomności umysłu Filipa i drugiego oficera nie doszło do tego. Bo kapitan był zerem — choć zapewne nie brakło mu odwagi, nie umiał postępować z ludźmi i nie miał pojęcia o swoim zawodzie. Marynarze spokojnie robili swoje, odsuwając z drogi żołnierzy, którzy im zawadzali w wykonywaniu wyznaczonych zadań. Widząc to, Filip pozostawił na pokładzie Krantza, a sam zszedł na dół; przekonując najrardziej opanowanych żołnierzy, stopniowo doprowadził większość z nich do stanu względnego spokoju.

Proch już wyrzucono za burtę, a gdy wycięto drugi otwór w pokładzie, po przeciwnej stronie, można było zainstalować drugą pompę i dzięki temu wlewano do ładowni podwójną ilość wody. Dla Filipa było jednak oczywiste, że pożar się wzmaga. Dym i para buchały przez szczeliny w pokrywach lukowych i przez otwory wycięte w pokładzie z gwałtownością, która świadczyła o rozmiarach ognia szalejącego pod pokładem. Filip uważał za wskazane przeprowadzić wszystkie kobiety i dzieci na rufę i na pokład rufowy, prosząc mężów tych kobiet, aby pozostali z nimi. Był to żalony widok i Filipowi łzy zakreściły się w oczach, gdy

patrzył na grupę niewiast. Jedne płakały przytulając do piersi swe dzieci, inne były spokojniejsze i bardziej opanowane niż mężczyźni. Ł>tarsze dzieci milczały lub płakały widząc, że płaczą ich matki, a młodsze, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, bawiły się pierwszym lepszym przedmiotem, który przyciągnął ich uwagę, lub uśmiechały się do swych rodziców. Dwaj oficerowie dowodzący wojskiem byli świeżo upieczonymi podporucznikami. Ci bardzo młodzi ludzie nie znali swojej służby i nie mieli żadnego autorytetu, ponieważ w największym niebezpieczeństwie żołnierze nie chcą słuchać tych, którzy mniej niż oni sami znają się na rzeczy. Na prośbę Filipa oficerowie pozostali z kobietami i dziećmi, aby nimi kierować.

Przykazawszy kobietom, aby się dobrze odziały (bo wiele z nich tego nie uczyniło), Filip znowu skierował się ku dziobowi, aby doglądać pracy marynarzy, którzy zaczęli już zdradzać oznaki zmęczenia wskutek nadmiernego wysiłku. Ale teraz wielu żołnierzy zaofiarowało swą pomoc przy pompach, którą chętnie przyjęto.

-Wysiłki ich były daremne. W pół godziny później pokrywy łukowe wyleciały w powietrze z głośnym hukiem i potężny słup rwących płomieni strzelił z ładowni pionowo, na wysokość wierzchołka masztu. Wówczas rozległ się głośny krzyk niewiast, które w śmiertelnym przeobrażeniu przyciskały dzieci do piersi, a pracujący przy pompach marynarze i żołnierze, cofając się gwałtownie przed parzącymi płomieniami, rzucili się ku rufie i wpadli w środek bezładnego tłumu.

— Spokojnie, chłopcy, spokojnie — wołał Filip. — Jeszcze nie ma niebezpieczeństwa. Pamiętajcie, że mamy szalupy i tratwę, i choć nie możemy opanować pożaru ani uratować

okrętu, możemy jednak, jeżeli zachowacie spokój i przytomność umysłu, nie tylko sami się ocalić, ale i uratować wszystkich... przede wszystkim te biedne dzieci, które błagają was, jako mężczyzn, abyście nie szczydzili dla nich sił. Dalej, dalej, chłopcy, róbmy, co do nas należy... Ocalenie jest w naszej mocy, jeśli nie będziemy traciли czasu. Cieśla, dawaj siekiery i tnij przewiązy! A teraz, chłopaki, spuszczaemy łodzie na wodę i budujemy tratwę dla tych biednych niewiast i dzieci. Jesteśmy nie dalej jak dziesięć mil od lądu. Krantz, dopilnuj łodzi z wachtą prawej burty. Wachta lewej burty, za mną! Artylerzyści, bierzcie wszystkie, jakie możecie, liny zdadne do robienia wiązań. Jazda, chłopcy, światła nam nie brakuje, możemy pracować bez latarni.

Ludzie usłuchali, gdyż Filip, aby im dodać odwagi, napomknął prawie żartobliwym tonem (bo żart często bywa bardzo na czasie, gdy, zdawałoby się, jeden krok tylko dzieli od wieczności), że nie brak im światła. Słup ognia wznosił się teraz powyżej wierzchołka grotmasztu, liżąc rozwidlonym językiem olinowanie stengi i spowijając grotmaszt płachtami płomieni; głośny ryk, z jakim się wznosił, świadczył o gwałtowności i szybkości pożaru na dole i o tym, jak niewiele pozostawało czasu na ratunek. Dolny i górny pokład były teraz tak wypełnione dymem, że nikt już nie mógł tam wytrzymać. Kilku nieszczęśliwych chorych dawno już się udusiło w swych kojach, gdyż o nich zapomniano. Kołysanie morza znacznie się uspokoiło, nie czuło się już ani tchnienia wiatru, dym wydobywający się z luków unosił się prosto w powietrze; była to okoliczność bardzo szczęśliwa, gdyż okręt stracił prędkość sterowną. Wkrótce szalupy były już na wodzie, a w szalupach marynarze. Za-

pasowe drzewca wyrzucono za burtę, gdzie marynarze z łodzi ułożyli je i powiązali. Potem pozbierano wszystkie kratownice i zamocowano na belkach, aby ludzie mogli na nich siedzieć. Filip radował się perspektywą, realną obecnie, ocalenia mnóstwa ludzi, którzy znajdowali się na okręcie.

ROZDZIAŁ 1?

Ale trudności nie zostały jeszcze przezwyciężone. Ogień przedostał się na górny pokład i buchał z ambrazur na śródokręciu. Tratwę, którą marynarze budowali pod burtą, trzeba było przeciągnąć w stronę rufy, gdzie była bardziej wystawiona na działanie fali. Opóźniało to robotę, a tymczasem ogień szybko się wzmagał. Grotmaszt, który płonął od dawna, runął na burtę powodując nagły boczny przechył okrętu, a języki płomieni wydobywające się z ambrazur głównego pokładu wkrótce ukazały się nad nadburciem. Kłęby dymu wdzierały się na główny pokład dusząc cisnący się tam tłum ludzi, gdyż od jakiegoś czasu wszelki dostęp do części dziobowej był odcięty przez płomienie i wszyscy wycofali się w kierunku rufy. Zaprowadzono teraz kobiety i dzieci na samą rufę, nie tylko, aby odsunąć je dalej od duszącego dymu, lecz także po to, aby można było opuszczać je z rufy na tratwę.

Dochodziła już czwarta nad ranem, gdy wszystko było gotowe. Dzięki wysiłkom Filipa i marynarzy mimo fali, kobiety i dzieci zostały

bezpiecznie umieszczone na tratwie w taki sposób, aby jak najmniej przeszkadzały, gdyby zmęczeni marynarze chcieli się zmieniać przy wiosłach.

Gdy opuszczono już niewiasty i dzieci, żołnierze dostali rozkaz schodzenia po trapach. Paru z nich zginęło przy tej operacji, wpadli pod okręt i więcej nie wypłynęli, ale dwie trzecie żołnierzy dostało się bezpiecznie na miejsce wyznaczone przez Krantza, który zszedł z okrętu, aby nadzorować rozmieszczenie ludzi, rzecz niezmiernie ważną. Dzięki czujności Filipa, który poprosił kapitana Barentza, aby stał z pistoletami w ręku nad lukiem pomieszczenia na spirytualia, dopóki dym na głównym pokładzie nie uczyni tej ostrożności zbyt dużą, nikt się nie upił i tym właśnie można wytłumaczyć porządek i dyscyplinę, jakie panowały w czasie tej trudnej akcji. Ale zanim jedna trzecia żołnierzy zeszła po trapach rufowych, ogień buchnął oknami na rufie z niepohamowaną gwałtownością. Strugi jaskrawych płomieni tryskały z potężnym rykiem na kilka stóp poza okręt. Jednocześnie płomienie buchnęły przez wszystkie rufowe ambrazury głównego pokładu i ci, którzy znajdowali się na okręcie, zostali otoczeni ogniem i dusili się od dymu i żaru. Trapy rufowe spłonęły w jednej chwili i spadły do wody. Łodzie, do których schodzili żołnierze, musiały również cofnąć się ku rufie przed silnym żarem. Nawet ludzie na tratwie krzyczeli, bo parzyły ich płonące odłamki, unoszone przez gęstą chmurę dymu, która ich spowijała przesłaniając tych, co jeszcze zostali na pokładzie. Do tych ostatnich Filip usiłował przemówić, ale go nie słyszeli. Nastąpiło zamieszanie, w którym zginęło wielu ludzi. Zdawało się, że chodzi im tylko o to, kto pierwszy ma się rato-

wać, chociaż nie było żadnego ocalenia poza skokiem do wody. Gdyby zaczekali i (jak Filip chciał im wytłumaczyć) skakali do morza pojedynczo, marynarze w łodziach byłiby całkowicie gotowi do wyciągnięcia ich z wody. Albo mogli, wdrapując się aż na wystający za burtę nok opuszczonej łacińskiej bezanrei, spuścić się bezpiecznie po linie. Ale obezwładniał ich żar ognia, którym byli otoczeni ze wszystkich stron, oraz duszący dym; większość żołnierzy skakała z relingu rufowego, wszyscy naraz lub prawie naraz. Skutek był taki, że jednocześnie znajdowało się w wodzie około czterdziestu ludzi — widok równie żałosny, jak przerażający. Marynarze w łodziach wyciągali ich z wody tak szybko, jak tylko mogli. Kobiety z tratwy rzucały na wodę sztuki odzieży, aby ich nimi przyciągnąć. W pewnej chwili jakaś kobieta krzyknęła przeraźliwie, ujrzała bowiem swego męża miotającego się w wodzie i tonącego. Inny pływak zaczął głośno przeklinać i złorzeczyć, gdy uczepił się go tonący kolega, pociągając z sobą pod wodę. Spośród osiemdziesięciu żołnierzy będących jeszcze na okręcie w chwili, gdy płomień buchnęły przez okna na rufie, uratowało się zaledwie dwudziestu pięciu. Pozostało na pokładzie bardzo niewiele marynarzy razem z Filipem, większość bowiem była zatrudniona przy budowie tratwy lub przy obsłudze trzech łodzi. Ci, którzy byli na okręcie, nie odstępowali Filipa i robili to samo co on. Odczekawszy, aż powyciągają z wody żołnierzy, Filip rozkazał swoim ludziom wdrapać się na wystający nad wodą nok rei łacińskiej, która opierała się o reling rufowy, i albo opuścić się na tratwę, jeśli była pod nimi, albo przywołać łodzie, aby ich zabrały. Marynarze odprowadzili tratwę dalej za rufę, aby uchronić znajdujących się na niej

ludzi przed dymem i żarem, wobec czego ich kolegów z okrętu, którzy spuszczały się jeden po drugim, zabierały łodzie. Filip chciał, aby kapitan Barentz zszedł przed nim, ale kapitan odmówił. Dym za bardzo go dusił, aby mógł wytłumaczyć, dlaczego to uczynił, ale niewątpliwie przyczyną była jakaś cnota „Vrow Kateriny”. Wobec tego Filip przesunął się wzdłuż reji aż poza reling, w jego ślady poszedł kapitan i jedna z łodzi zabrała ich obu.

Odcięto linę, którą tratwa była dotychczas przywiązana do okrętu; przyjęły ją łodzie i wkrótce odholowały od „Vrow Kateriny”. Filip i Krantz zajęli się teraz lepszym rozmieszczeniem ludzi. Prawie wszystkich marynarzy umieścili w łodziach, aby mogli się zmieniać przy wiosłach. Pozostałych przydzielili na tratwę razem z żołnierzami, kobietami i dziećmi. Mimo że wszystkie łodzie były obciążone do granic swej nośności, na tratwie znajdowało się tylu ludzi, że gdy zalewała ją fala, pograżała się w wodzie na jedną stopę. Zamocowano jednak stojaki z linami, aby było się czego trzymać. Mężczyźni stanęli po bokach tratwy, a kobiety i dzieci stłoczyły się pośrodku.

Jak tylko ukończono te przygotowania, łodzie, mając tratwę na holu, powiosłowały w kierunku lądu. Zaczynało już świtać.

W tym czasie „Vrow Katerina” była jedną masą ognia. Zdryfowała około pół mili ku zawietrznej. Kapitan Barentz, który przyglądał się jej siedząc w łodzi z Filipem, wykrzyknął:

— Tak oto ginie śliczny okręt, któremu brakowało tylko umiejętności mowy. Na pewno żaden inny okręt z naszej flotyli nie umiałby się zamienić w taki płonący stos. Czyż nie pięknie się pali? Czyż nie wspaniale? Moja biedna „Vrow Katerino”! Byłaś doskonała do końca, nigdy już nie ujrzymy takiego okrętu jak ty.

Tak, rad jestem, że mój ojciec nie dożył tego widoku, serce pękłoby biedakowi.

Filip nic nie odrzekł. Odczuwał szacunek nawet dla tak niewłaściwie ulokowanego przez kapitana Barentza uznania dla okrętu. Posuwali się bardzo wolno, gdyż fala szła raczej przeciw nim i tratwa siedziała głęboko w wodzie. Wstał już dzień i pogoda nie zapowiadała się dobrze, wskazywała na nawrót sztormu. Lekki wiatr już marszczył powierzchnię morza, a martwa fala jakby się powiększała, zamiast się uspokajać. Chmury pokrywały niebo, horyzont był ciemny. Filip wypatrywał lądu, ale nie mógł go dojrzeć, gdyż lekka mgła przesłaniała widnokrąg i nie widział dalej niż na pięć mil. Rozumiał, że aby zachować przy życiu tyle kobiet i dzieci na wątej tratwie zanurzonej w wodzie, bez żadnego prowiantu, musieli koniecznie dopłynąć do brzegu, zanim zapadnie noc. W zasięgu wzroku nie było lądu, zbliżał się sztorm i — najprawdopodobniej — duża fala oraz ciemna noc. Perspektywa była rzeczywiście rozpaczliwa, toteż Filip poczuł przygnębienie, straszne przygnębienie, gdy pomyślał, że tyle niewinnych istot, jeszcze przed nadejściem ranka, może znaleźć mogiłę w morzu. Tak, doznawał uczucia, którego nie potrafił nigdy przezwyciężyć, mimo że rozumowo umiał mu się przeciwstawić. O własne życie nie dbał ani trochę, nawet myśl o ukochanej Aminę nic nie ważyła w takich chwilach. Jediną rzeczą, która go podtrzymywała na duchu, była świadomość, że ma do spełnienia zadanie, i wypełniając je, jak mógł najlepiej, odzyskiwał wewnętrzną równowagę.

— Ląd przed nami! — wykrzyknął nagle Krantz, który znajdował się w łodzi płynącej na samym przodzie. Wiadomość ta została przy-

jęta okrzykiem radości na tratwie i na łodziach. Wywołane nią oczekiwanie i nadzieja były jak manna na pustyni. Biedne kobiety na tratwie, przemoczone niekiedy aż do pasa wskutek rozkołysania morza, jeszcze mocniej ścisnęły w ramionach swoje dzieci, wołając:

— Kochanie moje, ocalejesz!

Filip stał na rufie, aby nie tracił z oczu lądu. Z zadowoleniem stwierdził, że był on oddalony nie więcej niż o pięć mil, i promień nadziei rozgrzał mu serce. Wiatr stopniowo wzmacniał się, marszcząc powierzchnię morza. Jego kierunek nie był ani sprzyjający, ani przeciwny, wiało bowiem z boku. Gdyby mieli żagle na łodziach, sprawa wyglądałaby inaczej, ale zostały one na okręcie i nie można ich było odzyskać. Widok lądu naturalnie uradował wszystkich, a marynarze z okrzykami radości zabrali się po dwóch do wiosł, aby zwiększyć szybkość. Holowanie zanurzonej tratwy nie było jednak łatwym zadaniem. Mimo że wiosłowali co sił, posuwali się nie więcej niż pół mili na godzinę.

Trudziło się tak aż do południa, lecz bez skutku. Byli już niecałe trzy mile od brzegu, ale gdy słońce zeszło z zenitu, nastąpiła zmiana: wiatr powiał mocniej, martwa fala szybko rosła, a tratwa często zanurzała się w falach tak głęboko, że bali się o życie znajdujących się na niej ludzi. Szybkość łodzi zmniejszyła się jeszcze bardziej i do godziny trzeciej nie oddalili się o pół mili od miejsca, gdzie znajdowali się w południe. Marynarze, którzy od tylu godzin ciężko pracowali w napięciu nerwów i bez żadnego posiłku, zaczęli opadać z sił. Wszyscy wołali o wodę, począwszy od dziecka, które domagało się jej od matki, a skończywszy na marynarzu wyężdżającym mięśnie przy wiosle. Filip robił, co mógł, aby podtrzymać na duchu

marynarzy. Oni jednak, pólżywi ze zmęczenia, widząc, że są już tak blisko lądu i że holowana tratwa nie pozwoli im dopłynąć do bezpiecznej przystani, sarkali i pogadywali o tym, że trzeba odzepić się od tratwy i pomyśleć o sobie. Własny interes brał górę, zaczęli się buntować. Ponieważ Filip robił im wymówki, więc przez szacunek dla niego harowali jeszcze godzinę. Wtem zaszło coś, co rozstrzygnęło sprawę, nad którą zaczęli znowu dysputować.

Zwiększająca się fala i ostry wiatr tak silnie miotają i podrzucają tratwę, że od pewnego czasu ludzie z trudem mogli się na niej utrzymać. Głośne krzyki i piski kobiet zwróciły uwagę tych, co płynęli w łodziach. Obejrzawszy się za siebie Filip spostrzegł, że wiązania tratwy puściły pod uderzeniami fal i tratwa rozerwała się pośrodku. Widok ten był rozdzierający. Mężowie zostali oddzieleni od swoich żon i dzieci; jedni oddalali się od drugich, gdyż ta część tratwy, którą łodzie wciąż holowały, pozostawiła drugą część daleko w tyle. Niewiasty wstawały i, krzycząc przeraźliwie, podnosiły w górę swe dzieci. Niektóre, bardziej oszalałe niż inne, rzucały się w wodę usiłując dopłynąć do unoszącego się na wodzie wraka, na którym stali ich mężowie, ale tonęły, zanim można było im przyjść z pomocą. Na tym nie koniec okropności. Gdy puściło jecno wiązanie, wkrótce stało się to samo z wszystkimi pozostałymi. Zanim łodzie zdołały zawrócić spiesząc na ratunek, morze było już usiane belkami z rozbitej tratwy, których czepiali się mężczyźni, kobiety i dzieci. Słychać było głośne wycia rozpacz i wrzaski kobiet, które trzymały w objęciach dzieci i usiłując je ratować, same ginęły. Fala ciskała belki jedne na drugie, ponieważ znajdowały się jeszcze blisko siebie, i wielu ludzi poniosło śmierć wskutek

ściśnięcia między nimi. Choć wszystkie łodzie przyplęły na pomoc, tak trudno było i tak niebezpiecznie przepychać się wśród belek, że uratowano tylko niewielu, a nawet ci nieliczni ledwie zdołali się pomieścić w łodziach. Wyłowiono marynarzy i trochę żołnierzy, ale wszystkie niewiasty i dzieci utonęły.

Można sobie wyobrazić wrażenie, jakie wywarła ta katastrofa, ale trudno je opisać. Marynarze, którzy przedtem dowodzili, że trzeba odciąć hole i oddać na zagładę ludzi płynących na tratwie, teraz płakali wiosłując w kierunku brzegu. Filip był złamany, ukrył twarz w dłoniach i przez pewien czas nie wydawał żadnych poleceń, nie zwracał uwagi na to, co się dzieje dookoła niego.

Była już piąta po południu. Puściwszy hole, łodzie prześcigały się wzajemnie w wysiłku wiosłowania. Zanim zaszło słońce, łodzie dopłynęły do brzegu i wszyscy bezpiecznie wylądowali w małej piaszczystej zatoce, ku której sterowali, ponieważ wiatr wiał od brzegu i nie było przyboju. Wyciągnąwszy łodzie na brzeg, wyczerpani marynarze pokładli się na piasku, jeszcze ciepłym od słonecznego żaru, i wkrótce zasnęli zapominając o tym, że od tak dawna nie jedli ani nie pili. Zaraz po zabezpieczeniu łodzi kapitan Barentz, Filip i Krantz odbyli krótką naradę, po czym skwapliwie poszli za przykładem marynarzy. Byli zmordowani i wyczerpani przeżyciami ostatnich dwudziestu czterech godzin, toteż wkrótce świadomość ich rozplynęła się w zapomnieniu.

Wszyscy spali twardo przez wiele godzin, śniąc o wodzie, i obudzili się w smutnej rzeczywistości dręczącego pragnienia, piaszczystej plaży i słonych fal, które się z nich naigrawały. Przypomnieli sobie jednak, ilu spośród ich niedawnych towarzyszy utonęło w morzu i po-

•czuli wdzięczność za swe ocalenie. Był wczesny ranek, gdy podnieśli się z wgłębień, jakie odcisnęły ich ciała w miękkim piasku, i na polecenie Filipa rozeszli się we wszystkie strony w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby złagodzić mękę pragnienia. Przechodząc przez wydmy natrafili na rosnący w piasku rodzaj niskiego krzewu o gąbczastych liściach, coś podobnego do śródziemnomorskiej trawy, znanej w naszych ciepłarniach pod nazwą przypołudnika okroplonego. Grube liście tego krzewu pokryte były dużymi kroplami rosy. Padli na kolana i, liść po liściu, zlizywali obfitą wilgoć, aż poczuli chwilową ulgę. Nie przestawali szukać do samego południa, ale na próżno. Do pragnienia dołączył się teraz głód. Wrócili więc na plażę, aby się przekonać, czy ich towarzyszący nie powiodło się lepiej. Oni także ugasili pragnienie rosą niebieską, nie znaleźli jednak ani wody, ani żadnego pokarmu. Niektórzy jedli liście rośliny okrytej rano rosą i stwierdzili, że choć kwaśne, zawierają one dużo wodnistej soku i mają przyjemny smak. Szczodrośliwa opatrność hoduje tę roślinę dla utrzymania przy życiu wielbłądów i innych zwierząt na bezwodnej pustyni; tylko tam można ją spotkać, a wszystkie zwierzęta przeżuwające chciwie ją pożerają. Za radą Filipa uzbierali zapas tej rośliny i umieścili w łodziach, po czym zepchnęli je na wodę.

Od Zatoki Stołowej dzieliło ich nie więcej niż pięćdziesiąt mil i, choć nie mieli żagli, wiatr był pomyślny. Filip przekonywał ich, jak bezcelowe byłoby pozostawanie na miejscu, gdy według wszelkiego prawdopodobieństwa mogli przed świtem dotrzeć tam, gdzie dostaną wszystko, czego im potrzeba. Posłuchali jego rady i postąpili według niej. Odepchnąwszy łodzie od brzegu zabrali się znów do wiosł. Byli tak

zmęczeni i wyczerpani, że wiosła zanurzały się w wodzie siłą bezwładu, nie mogli już na nie naciskać. Dopiero nazajutrz rano, kiedy zrobiło się całkiem widno, znaleźli się na wysokości Zatoki Błędnej i mieli jeszcze przed sobą wiele mil wiosłowania. Prawie wszystkiego dokonał za nich sprzyjający wiatr, marynarze nie mogli zdziałać właściwie nic.

Zachęceni jednak widokiem znajomego lądu, zebrali siły i koło południa, wyczerpani do cna, dopłynęli do plaży w głębi Zatoki Stołowej, w pobliżu domów i fortu strzegącego osadników, którzy zamieszkiwali tu od jakichś kilku lat. Wylądowali blisko miejsca, gdzie dosyć szeroki strumyk (o tej porze roku, a w zimie rwącą rzeką) wlewał swe wody do zatoki. Na widok słodkiej wody niektórzy marynarze rzucili wiosła i wskoczyli do morza, zaledwie minęli głębie, inni dopiero wtedy, gdy woda sięgała im wyżej pasa, ale ani jedni, ani drudzy nie dobrnęli tak szybko jak ci, którzy zaczęli, aż łódź uderzy o plażę i wyskoczyli na suchy ląd. Padli w łożysko strumienia mającego niespełna sześć cali głębokości i płynącego po kamykach; orzeźwiająca woda wlewała im się do ust, łykali, ile tylko mogli pomieścić, zanurzali w niej rozgrzane ręce i tarzali się z rozkoszą.

Despoci i fanatycy wysilali swą pomysłowość wymyślając męczarnie dla swoich ofiar. Na co koło tortur, na co but hiszpański i stos? Wszystko, cokolwiek wymyślili, nie da się porównać z torturą szalonego pragnienia. W najgorszych męczarniach torturowani błagają o wodę i tej im się nie odmawia. Okrutnicy mogliby sobie oszczędzić fatygi obmyślania wyrafinowanych tortur i ohydy publicznego ich pokazywania, gdyby tylko zamknęli więźnia w celi i nie dali mu wody.

Gdy zaspokoił tę najmocniejszą ze wszystkich potrzeb, ociekając wodą podnieśli się z dna strumyka i poszli w górę ku zabudowaniom faktorii. Jej mieszkańcy, widząc przybijające łodzie, podczas gdy w zatoce nie stał żaden okręt, pojęli oczywiście, że wydarzyła się jakaś katastrofa i schodzili na ich spotkanie. Rozbitkowie opowiedzieli pokrótce swą tragiczną historię. Tych trzydziestu sześciu mężczyzn to wszyscy, którzy pozostali przy życiu spośród bez mała trzystu osób płynących na okręcie; przeszło dwie doby nic nie jedli. Usłyszawszy to, osadnicy przez delikatność nie zadawali już więcej pytań, dopóki nieszczęśliwcy nie zaspokoił głodu. Dopiero wtedy Filip i Krantz opowiedzieli z wszystkimi szczegółami o tym, co przeżyli.

— Zdaje się — zauważył jeden z osadników — że już was kiedyś widziałem. Czy schodziliście na ląd, kiedy flotylla stała na kotwicy?

— Nie — odparł Filip — ale ja tu już byłem.

— Teraz sobie przypominam — podjął osadnik — to wy byliście tym jedynym uratowanym z „Ter Schillinga”, który zatonął w Zatoce Błędnej.

— Nie jedynym — odpowiedział Filip. — Sam tak myślałem, ale później spotkałem jednookiego pilota nazwiskiem Schriften, który był ze mną w tamtym rejsie. Musiał tu przybyć po mnie. Widzieliście go oczywiście?

— Nie, nie widziałem. Po was nikt tu nie przybył z „Ter Schillinga”. Siedzę tutaj od tamtej pory i nie może być, abym zapomniał o takiej rzeczy.

— W takim razie musiał powrócić do Holandii w jakiś inny sposób.

— Nie wiem jak. Nasze okręty po wyjściu

z zatoki nigdy nie płyną blisko brzegu, to zbyt niebezpieczne.

— A przecież widziałem go — odparł Filip w zadumie.

— Jeżeli go widzieliście, to wystarcza. Może wiatr zagnał jakiś okręt aż na wschodni brzeg i tamci go zabrali. Ale w tamtych stronach krajowcy nie są tacy, żeby mieli darować życie Europejczykowi. Kafrowie to okrutne plemie.

Wiadomość, że na Przylądku nie widziano Schriftena, dała do myślenia Filipowi. Jak wiemy, zawsze uważał, że w tym człowieku było coś niesamowitego, a słowa osadnika potwierdzały to mniemanie.

Musimy teraz pominąć milczeniem okres dwóch miesięcy, w ciągu których osadnicy życzliwie gościli rozbitków, po czym do zatoki przybył mały bryg, by pobrać świeży prowiant. Ponieważ wracał do kraju z pełnym ładunkiem i w czarterze Kompanii, nie mógł odmówić zabrania załogi „Vrow Kateriny”. Filip, Krantz i marynarze wsiedli na okręt, ale kapitan Barantz pozostał, aby osiedlić się na Przylądku.

— Wracać do kraju? — odpowiedział Filipowi, który próbował mu to wyperswadować. — Nie mam absolutnie nic, do czego warto by wracać. Nie mam żony ani dzieci. Miałem tylko jedną ukochaną, moją „Vrow Katerinę”, która była mi żoną, dzieckiem, wszystkim. Zginęła i nigdy już nie znajdę drugiego takiego okrętu. A gdybym znalazł, nie kochałbym go tak, jak ją kochałem. Nie, moja miłość została pogrzebana wraz z nią, złożona do mogiły w morskich głębinach. Jakże ona pięknie płonęła! Odeszła z tego świata jak feniks i była feniksem. Nie, nie! Pozostanę jej wierny. Każę sobie przysłać te trochę pieniędzy, jakie posiadają, i będę żył jak najbliżej jej grobu. Nie

zapomnę jej póki życia. Będę ją opłakiwać, a gdy umrę, znajdą na moim sercu wyryte imię „Vrow Kateriny”.

Filip mógł tylko żałować, że uczucia kapitana Barentza nie zwróciły się ku godniejszemu obiektowi, wówczas bowiem tragiczna katastrofa prawdopodobnie nie miałaby miejsca. Zmienił jednak temat, gdyż zrozumiał, że kapitan Barentz, nie będąc żeglarzem, znacznie lepiej da sobie radę na lądzie niż jako dowódca okrętu. Uścisnęli sobie dłonie i rozstali się. Filip przyrzekł Barentzowi wykonać jego zlecenie, mianowicie zakupić za jego pieniądze przedmioty najprzydatniejsze dla osadnika i wysłać je z pierwszą flotyllą, jaka wypłynie z Zuider Zee. Ale nie było mu dane wykonać tego zlecenia.

Bryg „Wilhelmina” odpłynął i przybył wkrótce na Wyspę Świętej Heleny. Po uzupełnieniu zapasów słodkiej wody ruszył w dalszą drogę. Minęli Wyspy Zachodnie i Filip cieszył się już nadzieją szybkiego ujrzenia Aminę, gdy tymczasem na północ od tych wysp napotkali wściekły wicher i musieli sztormować przez wiele dni dziobem ku południowemu wschodowi. Kiedy wichura osłabła i mogli już iść z wiatrem, natknęli się na holenderską flotyllę złożoną z pięciu okrętów i dowodzoną przez admirała. Wyszła ona z Amsterdamu przed z górą dwoma miesiącami i przez większą część tego czasu borykała się z silnymi przeciwnymi wiatrami. Zimno, zmęczenie i marne wyżywienie spowodowało szkorbut, wskutek czego okręty były tak słabo obsadzone, że ledwie mogły żeglować. Gdy kapitan „Wilhelminy” zameldował admirałowi, że ma na pokładzie część załogi „Vrow Kateriny”, dostał polecenie natychmiastowego przysłania tych ludzi, aby pomogli przy obsłudze obezwładnionej flotylli. Protesty były bezcelowe. Filip ledwie miał czas napisać

do Aminę, powiadamiając ją o swoich nieszczęściach i o zawodzie, który go spotkał. Powierzywszy kapitanowi „Wilhelminy” list do żony, jak również swój raport dla dyrekcji o stracie „Vrouw Kateriny”, spakował się szybko, po czym udał się wraz z Krantzem i załogą na okręt admirałski. Dołączyło do nich sześciu marynarzy z „Wilhelminy”, których admirał koniecznie chciał zatrzymać dla siebie. Po przekazaniu na „Wilhelminę” depesz admirała pozwolono, brygowi odpłynąć w dalszą drogę.

Nie ma, być może, cięższej próby dla wytrzymałości psychicznej marynarzy niż niespodziewana konieczność rozpoczęcia od nowa serii trudnych doświadczeń akurat w tym momencie, gdy spodziewają się wytchnienia po poprzednich. A jednak, jakże często tak bywa. Filip był przygnębiony. Taki jest mój los, myślał słowami Aminę, czemuż miałbym mu się nie poddać? Krantz był wściekły, a marynarze niezadowoleni i nastroszeni buntowniczo, ale wszystko to na nic się nie zdało. Na otwartym oceanie prawo ma ten, kto ma siłę, nie ma tam żadnej apelacji, żadnych rozpraw sądowych ani zakazów.

Mimo że czuli się pokrzywdzeni takim obrotem sprawy, postępowanie admirała było w pełni usprawiedliwione. Jego okręty były prawie niezdolne do żeglugi z tą nieliczną załogą, która miała jeszcze dość sił, aby pełnić służbę, a nieznaczne zwiększenie liczby rąk do* pracy mogło się przyczynić do uratowania setek ludzi, którzy leżeli bezsilni w hamakach. Na jego własnym okręcie „Lion”, który wychodząc z Amsterdamu miał dwustu pięćdziesięciu ludzi załogi, było teraz nie więcej niż siedemdziesięciu zdatnych do pracy, a na pozostałych okrętach ubytki były proporcjonalnie takie same.

Pierwszy kapitan „Liona” umarł, drugi kapitan leżał w hamaku i admirał nie miał niko- go do pomocy poza oficerami z tegoż okrętu. Niektórzy z nich ledwie się wyczołgiwali na służbę, podobniejsi do nieboszczyków niż do żywych ludzi. Okręt zastępcy admirała, „Dort”, był w jeszcze bardziej opłakanej sytuacji. Komodor umarł, pierwszy kapitan nadal pełnił swe obowiązki, ale miał zaledwie jednego ofi- cera, który mógł jeszcze pracować na pokła- dzie.

Admirał wezwał Filipa do swojej kajuty, a wysłuchawszy jego opowiadania o katastrofie „Vrow Kateriny”, polecił mu udać się na okręt komodora jako pierwszy kapitan, awansując obecnego kapitana na stanowisko komodora. Krantza zatrzymał na swoim okręcie jako dru- giego kapitana, gdyż na podstawie opowieści Filipa od razu się zorientował, że obaj są do- brymi oficerami i dzielnymi ludźmi.

ROZDZIAŁ 18

Flotylla pod dowództwem admirała Ryme- landta otrzymała polecenie płynięcia do Indii Wschodnich drogą zachodnią, przez Cieśninę Magellana na Ocean Spokojny, gdyż wciąż je- szcze, mimo poprzednich nieudanych prób, wy- obrażano sobie, że ta trasa umożliwi skrócenie czasu trwania podróży do Wysp Korzennych. Flotylla składała się z następujących okrętów: „Liona” o czterdziestu czterech działach, noszą- cego flagę admirałską; „Dorta” o trzydziestu

sześciu działach, z flagą komodorską, na który Filip został przydzielony; „Zuider Zee” o dwudziestu działach; „Young Vrow” o dwunastu działach oraz kecza „Schevelling” o czterech działach.

Załoga „Vrow Kateriny” została rozdzielona na dwa większe okręty, gdyż pozostałe, jako* mniejsze, można było łatwiej obsługiwać mniejszą liczbą ludzi. Kiedy wszystkie zarządzenia zostały już wykonane, wciągnięto szalupy i okręty ruszyły w drogę. Przez dziesięć dni zwodziły ich lekkie wiatry ze zmiennych kierunków, a liczba ofiar szkorbutu na okręcie Filipa znacznie w¹rosła. Wielu zmarło i ciała ich zostały wyrzucone za burtę, innych znoszono pod pokład do hamaków.

Nowo mianowany komodor nazwiskiem Avenhorn udał się na okręt admirałski, aby złożyć raport o sytuacji swojego okrętu i zasugerować, jak mu podsunął Filip, popłynięcie wzdłuż wybrzeża Ameryki Południowej i zdobycie drogą przekupstwa lub siłą zapasów żywności od zamieszkałych tam Hiszpanów albo od krajowców. Ale admirał nie chciał o tym słyszeć. Był to człowiek władczy, odważny i uparty, nie dawał się przekonać ani namówić i niewiele miał współczucia dla cierpień innych ludzi. Nie znosił cudzych rad i bez namysłu odrzucał propozycję, którą, gdyby pochodziła od niego, prawdopodobnie byłby natychmiast wprowadził w życie. Komodor więc wrócił na swój okręt nie tylko zawiedziony, lecz także rozsierdzony słowami, jakimi go poczęstował admirał.

— Co mamy począć, kapitanie Vanderdecken? Znacie aż nadto dobrze naszą sytuację. Nie możemy dłużej pozostawać na morzu. Jeśli to uczynimy, okręt będzie dryfował na łasce fal, a załoga wymrze nędzną śmiercią w hamakach. Zostało nam czterdziestu ludzi, za dziesięć dni

prawdopodobnie będziemy mieli tylko dwudziestu, bo w miarę jak praca staje się cięższa, szybciej się wykańczają. Czy nie lepiej zaryzykować życie w walce z Hiszpanami, niż zdychać tu jak barany?

— Całkowicie się z wami zgadzam, komodorze — odparł Filip — ale musimy być posłuszni rozkazom. Admirał jest człowiekiem nieugiętym.

— I okrutnym. Mam wielką ochotę odłączyć się w nocy, a jeśli on uzna to za wykroczenie, sam będę się usprawiedliwiał przed dyrektorem, jak powrócimy.

— Nie czyńcie nic pochopnie, panie komodorze. Gdy będzie widział, jak jego własna załoga z dnia na dzień coraz bardziej słabnie, może zrozumie wówczas konieczność pójścia za waszą radą.

Minął tydzień od tej rozmowy, flotylla przepłynęła niewiele drogi. Straszna choroba czyniła coraz poważniejsze spustoszenia na wszystkich okrętach i, jak przepowiadał komodor, miał on u siebie już tylko dwudziestu ludzi naprawdę zdolnych do pracy. Zarówno okręt admirałski, jak i pozostałe ucierpiały nie mniej. Komodor po raz drugi udał się do admirała, aby ponowić swą propozycję.

Admirał Rymelandt był nie tylko srogi, ale i mściwy. Zdawał sobie sprawę ze słuszności sugestii przedstawionej mu przez jego zastępcę, lecz odrzuciwszy ją raz, nie chciał na nią przystać. Żywił mściwe uczucia w stosunku do komodora, którego radę musiał obecnie albo przyjąć, albo, odrzucając ją, uniemożliwić sobie podjęcie kroków tak koniecznych dla utrzymania przy życiu załogi i dla powodzenia podróży. Zbyt dumny na to, żeby się przyznać do pomyłki, ponownie odmówił stanowczo i komodor wrócił na swój okręt. Flotylla znajdo-

wała się w tym czasie o trzy dni drogi od wybrzeża i płynęła na południe ku Cieśninie Magellana. Tej nocy, kiedy Filip poszedł już spać, komodor wyszedł na pokład i kazał zmienić kurs okrętu o kilka rumbów bardziej na zachód. Noc była bardzo ciemna, a jedynie „Lion” miał światło na rufie, toteż odejścia „Dorta” nie zauważono ani na okręcie admirałskim, ani na pozostałych okrętach. Gdy nazajutrz rano Filip wyszedł na pokład, stwierdził, że towarzyszące im okręty znikły z pola widzenia. Spojrzał na kompas i zauważywszy, że kurs został zmieniony, zapytał, o której godzinie to się stało i na czyje polecenie. Gdy usłyszał, że rozkaz wydał jego zwierzchnik, oczywiście nic nie powiedział. Komodor, przyszedłszy na pokład, oświadczył Filipowi, że uważa swoje nieposłuszeństwo wobec rozkazów admirała za usprawiedliwione, ponieważ usłuchanie ich oznaczałoby skazanie na śmierć całej załogi. Niewątpliwie była to prawda.

Po dwóch dniach żeglugi zaoczyli ląd, a gdy zbliżyli się do brzegu, ujrzeli duże miasto i Hiszpanów na plaży. Stanęli na kotwicy w ujściu rzeki i, gdy podnieśli banderę angielską, przybiła do ich burty łódź, aby się dowiedzieć, kim są i czego sobie życzą. Komodor odpowiedział, że to okręt angielski, znał bowiem nienawiść Hiszpanów do Holendrów i był przekonany, że gdyby się dowiedzieli o jego przynależności do tej nacji, nie miałby szansy dostania jakichkolwiek zapasów, chyba że siłą. Oświadczył, że natknął się na hiszpański okręt, zupełny wrak, ponieważ cała załoga chorowała na szkorbut, że zabrał tych marynarzy, którzy obecnie leżą w hamakach pod pokładem, gdyż uważał, że pozostawienie tylu bliźnich na zagładę byłoby okrucieństwem, i że zszedł ze swego kursu, aby ich wysadzić w pierwszym napotkanym porcie

hiszpańskim. Poprosił, aby natychmiast dostarczono na okręt jarzyn i świeżego prowiantu dla chorych, ponieważ przeniesienie ich na ląd przed upływem kilku dni, zanim poczują się nieco lepiej, byłoby równoznaczne z ich śmiercią. Ponadto wyraził nadzieję, że w zamian za pomoc udzieloną Hiszpanom gubernator przyśle zapasy również dla jego ludzi.

Oficer przysłany na okręt przez hiszpańskiego gubernatora potwierdził na lądzie tę zrzęcznie ułożoną historyjkę. Kiedy go poprosili, aby zszedł pod pokład zobaczyć chorych, widok tylu nieszczęśliwców w ostatnim stadium straszliwej choroby — ich bezzębne szczęki, owrzodzone dziąsła, ciała pokryte ropiejącymi guzami i ranami — okazał się całkowicie wystarczający. Wróciwszy szybko z dolnego pokładu na górę, jakby uciekał z kostnicy, oficer pospieszył na ląd, gdzie zdał raport.

Po dwóch godzinach przysłano łódź ze świeżą wołowiną i jarzynami w ilości wystarczającej na trzy dni dla całej załogi; zostało to natychmiast rozdzielone pomiędzy marynarzy. Komodor wysłał list z podziękowaniem zaznaczając, że zły stan zdrowia nie pozwala mu zejść na ląd, aby osobiście podziękować gubernatorowi. Do listu dołączył spis rzekomych Hiszpanów⁷ przebywających na jego okręcie; wymienił w nim nazwiska kilku oficerów i wybitnych ludzi, przypuszczając, że mogli być spokrewnieni z rodziną gubernatora, którego nazwiska i tytułów rodowych dowiedział się od oficera przysłanego na okręt. Holendrzy znali doskonale większość arystokratycznych rodów hiszpańskich, gdyż w okresie poprzedzającym uzyskanie niepodległości stale koligacili się z nimi przez związki małżeńskie. W zakończeniu swego listu komodor wyraził nadzieję, że za dzień **lub dwa będzie** się czuł na **siłach** złożyć swoje

uszanowanie i omówić sprawę przeniesienia chorych na ląd, gdyż pilno mu podjąć dalszą podróż w celach odkrywczych.

Na trzeci dzień dostarczono na okręt nowe zapasy prowiantu i zaraz po ich odebraniu komodor, przywdziawszy angielski mundur, udał się na ląd i złożył wizytę gubernatorowi. Zdał mu szczegółową relację o cierpieniach ludzi, których wyratował, i uzgodnił, że za dwa dni zostaną oni odesłani na ląd, gdyż w tym czasie będą się czaili już dostatecznie dobrze, aby można ich było przenieść. Po wymianie wielu uprzejmości wrócił na okręt; gubernator oznajmił mu przedtem swój zamiar rewizytowania go nazajutrz, jeżeli pogoda nie będzie zbyt przykra. Na szczęście przez następne dwa dni pogoda nie była sprzyjająca i gubernator zjawił się dopiero na trzeci dzień. Stało się zatem dokładnie tak, jak tego pragnął komodor.

Nie ma chyba drugiej choroby o tak okropnych i tak szybko występujących objawach, jak szkorbut, a jednocześnie dającej się tak momentalnie opanować, jeżeli można zastosować właściwe lekarstwo. Wystarczyło kilka dni, aby ci, którzy nie mogli obrócić się o własnych siłach w hamaku, odzyskali swój dawny wigor. Po sześciu dniach prawie cała załoga „Dorta” była już w stanie rekonwalescencji i mogła wyjść na pokład, ale nie była jeszcze wyleczona. Komodor czekał na przybycie gubernatora, przyjął go z wszystkimi należnymi honorami, po czym, gdy tylko gubernator znalazł się w jego kajucie, zakomunikował mu bardzo grzecznie, że on i wszyscy towarzyszący mu oficerowie są uwięzieni, że okręt jest holenderską jednostką wojenną i że to jego marynarze, a nie Hiszpanie, byli umierający "z powodu szkorbutu. Pocięszył go jednak zwracając uwagę, że jego zdaniem lepiej było zdobyć zapasy podstęp-

pem, niż poświęcać życie ludzi po obu stronach w wypadku użycia siły, i że niewola Jego Ekscelencji nie potrwa dłużej niż do chwili, kiedy okręt otrzyma wystarczającą ilość bawołów i świeżych jarzyn, aby zapewnić powrót do zdrowia załogi, a do tego czasu nie spotka go najmniejszy afront. Hiszpański gubernator spojrział najpierw na komodora., następnie na uzbrojonych ludzi przy drzwiach kajuty i na odległość dzielącą go od miasta, w końcu zaś pomyślał o możliwości uprowadzenia go na morze. Wążąc w myśli wszystkie te momenty oraz bardzo umiarkowany okup, jakiego żądał komodor (bo w tym kraju bawoły nie były warte dolara za sztukę), postanowił, skoro nie było innego wyjścia, przyjąć proponowane warunki. Poprosił o pióro i inkaust, po czym napisał rozkaz, aby natychmiast przysłano na okręt wszystko, czego żądał komodor. Jeszcze przed zachodem słońca wysłano z lądu bawoły i jarzyny, a gdy tylko znalazły się pod burta, komodor z niezliczonymi ukłonami i podziękowaniami odprowadził gubernatora do trapu, oddając mu honory salwą z największych dział, jak to uczynił przedtem na jego przyjazd. Ludzie na brzegu uważali, że wizyta Jego Ekscelencji trwała długo, ponieważ jednak nie miał on ochoty przyznawać się, że padł ofiarą podstępny, nie mówiono nic na ten temat, przynajmniej w jego obecności, choć wkrótce już wiadziano dobrze, co zaszło. Gdy tylko łodzie odbiły od burty, komodor wybrał kotwicę i odpłynął, bardzo zadowolony, że udało mu się utrzymać przy życiu załogę. Ponieważ Wyspy Falklandzkie zostały wyznaczone jako punkt zborny flotyli na wypadek stracenia kontaktu, wziął kurs na te wyspy. Po dwóch tygodniach znalazł się na miejscu, ale stwierdził, że admirała jeszcze nie ma. Cała załoga była już

zdrowa i nie zużyli jeszcze zapasu świeżej wołowiny, kiedy w oddali dostrzeżono okręt admirałski i trzy pozostałe jednostki.

Okazało się, że natychmiast po odłączeniu się „Dorta” admirał poszedł za radą komodora i popłynął w kierunku brzegu. Ponieważ nie udało mu się użyć podstępu z takim powodzeniem, jak to zrobił jego zastępca, wysadził z czterech okrętów uzbrojony oddział i zdobył ileś sztuk bydła kosztem tej samej liczby ludzi zabitych i rannych. Marynarze zebrali także dużo rozmaitych jarzyn, które przywieźli na okręt i rozdzielili między chorych z wielkim dla nich pożytkiem, gdyż stopniowo zaczęli powracać do zdrowia.

Zaledwie admirał rzucił kotwicę, dał sygnał, aby komodor przybył natychmiast na jego okręt, i tam oskarżył go, że porzucając flotyllę nie usłuchał rozkazów. Komodor nie zaprzeczał temu, ale usprawiedliwiał się koniecznością, proponując przedłożyć sprawę pod sąd dyrekcji zaraz po powrocie do kraju. Admirał posiadał jednak bardzo szerokie uprawnienia, nie tylko do sądzenia, ale również do skazywania i wymierzania kary każdemu w swojej flotylli, kto był winien buntu lub nieposłuszeństwa. Oznajmił komodorowi, że jest uwięziony, a żeby tego dowieść, zamknął go w kajdanach pod pokładem.

Wezwał następnie wszystkich kapitanów. Przybyli na okręt admirałski, wśród nich oczywiście i Filip. Kiedy się stawili, admirał odprawił doraźny sąd wojenny, udowodniwszy im na podstawie posiadanych instrukcji, że jest do tego uprawniony. Orzeczenie sądu wojennego mogło być tylko jedno — uznanie faktu złamania dyscypliny. Filip, choć niechętnie, musiał je podpisać. Wówczas admirał mianował go swoim zastępcą i wręczył mu flagę komo-

dorską ku wielkiemu niezadowoleniu kapitanów dowodzących pozostałymi okrętami. Tym postępkim jednak admirał dowiódł trafności swego rozeznania, żaden bowiem z kapitanów nie nadawał się do tego zadania tak jak Filip. Dokonawszy tego, admirał odprawił wszystkich. Filip chciał porozmawiać z byłym komodorem, ale wartownik mu nie pozwolił, gdyż było to sprzeczne z rozkazami admirała. Wobec tego, kiwnąwszy przyjaźnie głową komodorowi, Filip musiał odejść bez porozumienia się z nim. Flotylla stała u Wysp Falklandzkich przez trzy tygodnie w celu uzupełnienia zapasów okrętowych. Wprawdzie nie można tam było dostać świeżej wołowiny, ale za to pełno było trawy przeciwskorbutowej i pingwinów. Niektóre części wyspy były zamieszkane przez miliony tych ptaków i z powodu zagęszczenia ich gniazd ulepionych z błota nazywano te obszary miastami. Pingwiny siedziały tam ciasno jedno obok drugich (cały zajęty przez nie teren był ogołocony z trawy), wysiadując jaja i wychowując młode. Marynarze mogli wybierać tyle jaj i ptaków, ile chcieli, a było tego tak dużo, że, gdy się już zaopatrzyli, trudno było zauważyć jakiś ubytek w tej masie. Pożywienie to, choć szybko przestało marynarzom smakować, przywróciło im jednak zdrowie i zanim flotylla wyruszyła w drogę, żaden z nich nie cierpiał już na skorbut. Tymczasem komodor wciąż pozostawał w kajdanach i wiele snuto domysłów na temat tego, co go ostatecznie czeka. Wiedziano, że w mocy admirała jest prawo życia i śmierci, ale nikt nie wierzył, aby mógł wykorzystać to prawo w stosunku do przestępcy tak wysokiej rangi. Inni kapitanowie trzymali się z daleka od Filipa, toteż nie bardzo wiedział, co na ogół o tym myśleli. Przy okazji swej bytności na

okręcie admirałskim odważył się poruszyć tę kwestię, lecz admirał natychmiast zmusił go do milczenia, czując zaś, że mógłby zaszkodzić byłemu komodorowi (dla którego żywił szacunek), Filip nie chciał ryzykować i więcej admirała nie molestował. Flotylla odplynęła w kierunku Cieśniny Magellana i nikt nie wiedział, jaki będzie wyrok sądu wojennego.

Mniej więcej w dwa tygodnie po opuszczeniu Wysp Falklandzkich weszli w Cieśninę Magellana. Początkowo mieli wiatr z rufy, który niósł ich aż do połowy długości cieśniny, lecz nie trwało to długo i następnie musieli walczyć nie tylko z przeciwnym wiatrem, lecz i z prądem, tracąc codziennie na przebytej drodze. W dodatku załogi okrętów zaczęły chorować ze zmęczenia i chłodu. Czy admirał powziął decyzję wcześniej, czy też zirytowały go bezowocne próby kontynuowania podróży, trudno powiedzieć. Ale po trzech tygodniach daremnego zmagania się z wiatrami i prądami stanął w dryf i wezwał wszystkich kapitanów na swój okręt, gdzie oznajmił, że trzeba wymierzyć więźniowi karę i że karą tą powinno być porzucenie go, to znaczy odesłanie na ląd z jednodniową racją żywności w takim miejscu, gdzie nie ma żadnych szans jej zdobycia i można tylko zginąć marnie śmiercią głodową. W owych czasach Holendrzy często stosowali tę karę, o czym można się przekonać czytając relacje z ich podróży, ale zarazem bardzo rzadko skazywali na nią kogoś posiadającego tak wysoki stopień, jak komodora.

Filip natychmiast zaprotestował przeciwko temu i to samo uczynił Krantz, choć obaj zdawali sobie sprawę, że w ten sposób robią sobie wroga z admirała. Ale pozostali kapitanowie, którzy patrzyli na nich obu zazdrosnym okiem i uważali ich za intruzów stających im na dro-

dze do awansu, opowiedzieli się po stronie admirała. Pomimo tej większości głosów Filip uważał za swój obowiązek uciec się do perswazji.

— Wiecie dobrze, panie admirale, że ja także podpisałem orzeczenie o złamaniu przez niego dyscypliny, ale jednocześnie wiele było okoliczności usprawiedliwiających. Dopuszczał się wykroczenia przeciwko dyscyplinie po to, aby ocalić swą załogę, ale nie popełnił błędu w ocenie sytuacji, czego dowiedliście wy, panie, podejmując taką samą decyzję w celu uratowania swoich ludzi. Nie karzcie więc w tak okrutny sposób za wykroczenie o tak wątpliwym charakterze. Pozwólcie, panie, by Kompania zadecydowała w tej sprawie, gdy odeślecie go do kraju, co możecie uczynić zaraz po przybyciu do Indii. Został już dostatecznie ukarany odebraniem dowództwa, a wymierzenie mu kary, jaką proponujecie, będzie przypisywane bardziej uczuciem zemsty niż sprawiedliwością. Jak możemy zasłużyć na powołanie w podróży, jeżeli popełnimy cAgn tak okrutny? Jak możemy oczekiwać, że miłosierdana opatrzność będzie nas osłaniała od wiatrów i fal, jeżeli jesteśmy jedni wobec drugich takimi barbarzyńcami?

Argumenty Filipa na nic się nie zdały. Admirał kazał mu wrócić na swój okręt i, gdyby tylko mógł znaleźć jakiś pretekst, pozbawiłby go dowództwa. Nie mógł tego uczynić tak łatwo, ale Filip zdawał sobie sprawę, że od tej chwili admirał stał się jego zakamieniałym wrogiem. Komodorowi zdjęto kajdany, przyprowadzono go do kajuty i admirał odczytał mu wyrok.

— Niech tak będzie, admirale — rzekł Avenhorn — bo wiem, że byłoby bezcelowe starać się was odwieść od raz powziętego zamiaru.

Ponoszę karę nie za nieposłuszeństwo rozkazom, lecz za to, że przez swoje nieposłuszeństwo zwróciłem wam, panie, uwagę na wasz obowiązek, na obowiązek, który później byliście zmuszeni wypełnić z konieczności. Więc niech tak będzie, niechaj zginę na tych czarnych skałach, a moje kości niech zbieleją od mroźnych wiatrów wiejących na tym pustkowiu. Ale zapamiętajcie, co wam mówię, okrutny i mściwy człowieku. Ja nie będę jedynym, którego kości tam pobieleją. Przepowiadam, że wielu innych podzieli mój los, i nawet wy, admirałe, możecie być jednym z nich. Jeśli się nie mylę, będziemy leżeli obok siebie.

Admirał nie odpowiedział, tylko dał znak, aby odprowadzić więźnia. Potem naradzał się z kapitanami trzech mniejszych okrętów. Ponieważ były one stale opóźnione w żegludze wskutek tego, że okręt admirałski oraz „Dort”, dowodzony przez Filipa, płynęły wolniej, admirał zdecydował, aby się odłączyły i popłynęły do Indii tak szybko, jak będą mogły. Wpierw jednak miały przekazać na oba większe okręty wszystkie zapasy żywności, bez których mogły się obejść, ponieważ tym dwom okrętom zaczynało już jej brakować.

Gdy wyprowadzono więźnia, Filip wraz z Krantzem opuścił kajutę. Na skrawku papieru napisał kilka słów: „Kiedy was wysadzą na ląd, nie odchodźcie z plaży, dopóki okręty nie znikną wam z oczu”. Poprosił Krantza, aby znalazł jakiś sposób doręczenia kartki komodorowi, po czym powrócił na swój okręt.

Gdy załoga „Dorta” dowiedziała się o karze, jaka miała zostać wymierzona jej dawnemu dowódcy, powstało wśród niej wielkie wzburzenie. Marynarze rozumieli, że komodor poświęcił siebie, aby ich ocalić, i bardzo sarkali na okrucieństwo admirała.

W jakąś godzinę po powrocie Filipa na okręt odstawiono więźnia na ląd i wysadzono na pustym, skalistym wybrzeżu, pozostawiając mu żywność na dwa dni. Nie pozwolono mu zabrać choćby jednej sztuki dodatkowej odzieży ani przyrządów do skrzęsania ognia. Kiedy łódź dotknęła stępką plaży, kazano mu wysiąść. Łódź odpłynęła, a marynarzom nie wolno było nawet go pożegnać.

Jak Filip przewidywał, wszystkie okręty le-gły w dryf, aby przeładować zapasy żywności. Zanim zostało to zakończone, zrobiło się ciemno. Nie zmarnował tej okazji. Zdawał sobie sprawę, że mogło to być uznane za złamanie dyscypliny, ale tym się nie przejmował i był przekonany, że admirał się o tym nie dowie, ponieważ załoga „Dorta” miała sentyment zarówno do komodora, jak i do niego. Wezwał marynarzy, którym mógł zaufać, i kazał im włożyć do łodzi dwa muszkiety oraz odpowiednią ilość amunicji, kilka derek i różne inne rzeczy, nie licząc żywności na dwa lub trzy miesiące dla jednego człowieka. Jak tylko się ściemniło, marynarze powiosłowali łodzią do brzegu, odszukali na plaży czekającego na nich Komodora i zaopatrzyli go we wszystkie niezbędne rzeczy, po czym powrócili na okręt. Admirał absolutnie nie podejrzewał tego, co się stało. Wkrótce potem flotylla odpłynęła z wiatrem, oddalając się od brzegu. Nazajutrz rano trzy mniejsze okręty odłączyły się i o zachodzie słońca znajdowały się już w odległości wielu mil w kierunku wiatru, po czym zniknęły im z oczu.

Admirał wezwał Filipa, aby mu wydać instrukcje. Były one bardzo surowe i sformułowane najwidoczniej w taki sposób, aby w przyszłości mogły dostarczyć pretekstu do odebrania Filipowi dowództwa. Między innymi rozka-

zał, aby „Dort”, który miał mniejsze zanurzenie niż okręt admirałski, płynął w nocy przed nim i uprzedził go na czas, gdyby przechodząc przez kanał zbliżyli się zbyt blisko do brzegu i woda okazała się za płytka. To odpowiedzialne zadanie zmuszało Filipa do stałego przebywania na pokładzie, gdy przybliżali się do lądu po jednej lub drugiej stronie cieśniny. Drugiej nocy po rozdzieleniu się flotylli wezwano Filipa na pokład, gdyż zbliżali się do wybrzeża Ziemi Ognistej. Kiedy stał przy marynarzu zajętym sondowaniem, oficer wachtowy zameldował, że okręt admirałski płynie przed nimi, zamiast z tyłu. Filip próbował się dopytać, kiedy zostali wyprzedzeni, ale nie udało mu się tego ustalić. Poszedł na dziób i zobaczył okręt admirałski ze światłem rufowym, które było niewidoczne, gdy admirał płynął z tyłu. Dlaczego on to zrobił? — zastanawiał się Filip. Czyżby rozmyślnie wysunął się naprzód, aby móc mnie oskarżyć o zaniedbanie w służbie? Tak, to musi być to. Dobrze, niech robi, co mu się podoba, ale będzie musiał poczekać, aż dopłyniemy do Indii, bo ja nie dam się porzucić na żadnym pustkowiu. A jeśli chodzi o Kompanię, to myślę, że zależy jej na mnie tyle samo albo nawet, jako na poważnym współwłaścicielu, więcej niż na nim. No cóż, jeżeli uważał za stosowne wyjść przede mną, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko płynąć za nim.

— Ej tam, możesz dać spokój tej sondzie — zawołał do marynarza.

Wrócił znowu na dziób. Znajdowali się, jego zdaniem, już bardzo blisko lądu, ale noc była ciemna i nie mógł nic dojrzeć. Przez pół godziny szli dalej tym samym kursem, ku wielkiemu zdziwieniu Filipa, bo teraz zdawało mu się, że mimo panujących ciemności rozróżnia zarysy lądu. Wpatrywał się bez ustanku w okręt idą-

cy przed nim, spodziewając się, że w każdej chwili wykona on zwrot przez sztąg. Ale nie, szedł dalej tym samym kursem, a Filip podążał jego śladem.

— Jesteśmy bardzo blisko lądu, panie komodorze — zauważył porucznik Vander Hagen, oficer wachtowy.

— Tak i mnie się zdaje, ale admirał jest jeszcze bliżej, a ma większe zanurzenie niż my.

— Zdaje się, panie komodorze, że widać skały na trawersie po zawietrznej.

— Zapewne macie rację — odparł Filip. — Nie mogę tego pojąć. Przygotować się do zwrotu przez sztąg i działa mieć gotowe do strzału. Z pewnością przypuszczają, że idziemy przed nimi.

Ledwo Filip wydał ten rozkaz, okręt uderzył mocno o skałę. Vanderdecken pobiegł na rufę i stwierdził, że ster jest uszkodzony, a okręt został unieruchomiony na dobre. Wówczas pomyślał znowu o admirałach: Czy wszedł na mieliznę? Pobiegł na dziób, ale admirał płynął dalej ze światłem na rufie, w odległości około dwóch kabli przed nimi.

— Ej tam, wystrzelić z działa! — krzyknął Filip, stropiony ponad wszelką miarę.

Rozległ się strzał, po czym natychmiast odpowiedział mu błysk i huk innego działa, blisko za rufą. Filip zdumiony wychylił się za rufę i zobaczył tuż tuż okręt admirałski, najwidoczniej unieruchomiony na skałach podobnie jak jego własny.

— Wielki Boże! — wykrzyknął i popędził znowu na dziób. — Co to może być?

Ujrzał przed sobą tamten okręt ze światłem, jak płynął oddalając się od nich. Światało już i było dostatecznie widno, aby móc dojrzeć ląd. „Dort” siedział na mieliznie o niecałe pięćdziesiąt jardów od plaży, otoczony wysokimi na-

gimi skałami. A tamten okręt płynął dalej, jak gdyby ponad lądem. Marynarze stłoczyli się na pokładzie dziobowym obserwując to niezwykle zjawisko, dopóki nie znikło im z oczu.

— To Latający Holender, klnę się na wszystkie świętości! — wykrzyknął jeden z marynarzy zeskakując z działa.

Zaledwie wypowiedział te słowa, okręt znikł. Filip miał przeświadczenie, że to prawda i odszedł ku rufie bardzo wzburzony. To nieszczęsny okręt jego ojca musiał ich zwabić w pułapkę grożącą zagładą. Nie wiedział, jak ma postąpić. Bo w tym momencie nie chciał stanąć przed rozgniewanym admirałem. Wezwał oficera wachtowego, polecił mu dobrać obsadę łodzi spośród marynarzy, którzy przed chwilą byli na pokładzie i mogli potwierdzić jego relację, po czym rozkazał mu udać się na okręt admirałski i opowiedzieć o tym, co się wydarzyło.

Gdy tylko łódź odbiła od burty, Filip zainteresował się stanem własnego okrętu. Rozwiłno się już znacznie, spostrzegł więc, że są otoczeni skałami i że osiedli pomiędzy dwiema rafami, które ciągnęły się równoległe do brzegu, o pół mili od niego. Dokonał sondowania dna dookoła okrętu i stwierdził, że siedzi on na skale całą swą długością i że bez częściowego rozładunku nie będzie można go ściągnąć. Spojrzał następnie ku miejscu, gdzie osiadł na mieliźnie okręt admirałski. Wszystko wskazywało na to, że znajdował się on w jeszcze gorszym położeniu, gdyż po jego zawietrznej sterczały z wody skały i w razie pogorszenia się pogody był znacznie bardziej narażony. Trudno byłoby sobie wyobrazić smutniejszy i bardziej przerażający krajobraz — ciemne zimowe morze, niebo pokryte ciężkimi chmurami, lodowaty, przeszywający wiatr, a wzdłuż wybrze-

za — jak okiem sięgnąć — nic, tylko nagie skały, bez najmniejszego śladu roślinności. Wnętrze tej krainy miało równie ponury wygląd, a wyższe szczyty pokrywał śnieg, choć zima jeszcze nie nadeszła. Przesuwając wzrok wzdłuż linii brzegowej, Filip dojrzał o niecałe cztery mile po zawietrznej (tak niewielką odległość przepłynęli) miejsce, gdzie porzucili komodora.

To z pewnością kara dla admirała za jego okrucieństwo, pomyślał Filip. I sprawdzi się przepowiednia biednego Avenhorna: nie tylko jego kości zbielają na tych skałach. Znowu obejrzał się w stronę okrętu admirałskiego i cofnął się gwałtownie, gdyż zobaczył coś bardziej przerażającego niż wszystko, co widział dotychczas. Vander Hagen, oficer, którego posłał na okręt admirałski, wisiał na rei grotmasztu.

— Boże, czy to możliwe! — wykrzyknął Filip, tupiąc o pokład z żalu i oburzenia.

Łódź powracała. Filip oczekiwał jej z niecierpliwością. Marynarze wdrapali się w pośpiechu na burtę i bez tchu powiedzieli mu, że admirał, gdy tylko wysłuchał raportu porucznika i jego potwierdzenia, że w tym czasie był oficerem wachtowym, kazał go powiesić, ich zaś odesłał z wezwaniem dla Filipa, aby natychmiast się stawił na okręcie admirałskim; dodali przy tym, że widzieli, jak szykowano linę na drugim końcu rei.

— Ale ta lina nie będzie dla was, panie — wykrzykiwali marynarze. — To się nigdy nie stanie. Wy, panie, nie popłyniecie na jego okręt. Obronimy was, choćby nam przyszło oddać własne życie.

Cała załoga przyłączyła się do tego postanowienia i wyraziła zdecydowaną wolę **stawienia oporu admirałowi**. Filip **podziękował**

im serdecznie i oświadczył, że nie zamierza udać się na okręt admirałski. Prosił, aby ze-
chcieli zachować spokój, dopóki się nie okaże,
jakie kroki może podjąć admirał. Następnie
zszedł do swojej kajuty, aby się zastanowić nad
planem działania. Wyjrawszy przez okno ru-
fowe zobaczył ciało młodego oficera kołyszące
się wciąż na wietrze. Prawie pożałował, że nie
jest na miejscu tamtego, wówczas bowiem na-
stąpiłby kres jego pogmatwanego losu. Pomy-
ślał jednak o Aminę i zrozumiał, że pragnie
żyć dla niej. To, że Okręt Widmo mógł go
zwać w śmiertelną zasadzkę, było również
źródłem bolesnych refleksji, którym oddawał
się ściskając dłońmi skronie. To mój los, po-
myślał w końcu, a wola nieba musi się speł-
nić. Nie moglibyśmy dać się tak zwiesić, gdy-
by Bóg na to nie zezwolił. Potem wrócił my-
śla do swej obecnej sytuacji.

Wieszając oficera admirał bezsprzecznie
przekroczył swoje uprawnienia, bo choć wedle
instrukcji przysługiwało mu prawo życia
i śmierci, to jednak zdecydować o tym mógł
tylko wyrok sądu wojennego, złożonego z ka-
pitanów dowodzących okrętami flotyli. Toteż
Filip czuł się usprawiedliwiony w swym opo-
rze. Dręczyła go jednak myśl, że taki opór
może doprowadzić do wielkiego rozlewu krwi.
Wciąż jeszcze bił się z myślami, jak postąpić,
gdy doniesiono mu, że zbliża się łódź z admi-
rałskiego okrętu. Wszedł na pokład, aby
przyjąć oficera. Ten oświadczył mu, że z roz-
kazu admirała ma przybyć natychmiast na je-
go okręt, przy czym już teraz musi się uwa-
żać za aresztowanego i oddać szpadę.

— Nie! Nie! — wykrzyknęli marynarze z
załogi „Dorta”. — Nie popłynie na okręt ad-
mirałski. Nie damy naszego kapitana!

— Spokój, chłopcy, spokój! — zawołał Fi-

lip. — Musicie wiedzieć, panie oficerze, że karząc w tak okrutny sposób tego niewinnego młodzieńca admirał przekroczył swoje uprawnienia. Choć sam ubolewam nad wszelkimi objawami buntu i niesubordynacji, nie wolno zapominać, że jeśli dowódcy naruszają otrzymane rozkazy wykraczając poza nie, dają nie tylko przykład, ale i usprawiedliwienie dla postępowania w taki sam sposób tym, którzy w innym wypadku mieliby obowiązek ich słuchać. Powiedzcie admirałowi, że mord dokonany przez niego na tym niewinnym człowieku skłonił mnie do nieuznawania go nadal za mego zwierzchnika i że będę uważał zarówno siebie, jak i jego za odpowiedzialnych przed Kompanią, której służymy. Nie mam zamiaru popłynąć na okręt admirała i oddać się w jego ręce po to, aby mógł nasycić swą nienawiść moją haniebną śmiercią. Moim obowiązkiem w stosunku do ludzi, którymi dowodzę, jest zachowanie mego życia, abym mógł, jeśli to możliwe, uchronić ich życie w tej opresji. Możecie mu powiedzieć także i to, że wystarczy się chwilę zastanowić, aby zrozumieć, że nie pora nam teraz walczyć przeciwko sobie, że powinniśmy wszystkimi siłami pomagać jeden drugiemu. Leżymy tu rozbici na pustynnym brzegu, zapasy żywności nie wystarczą na dłuższy pobyt, nie mamy żadnych widoków na pomoc i niewielkie widoki zejścia z mielizny. Dobrze przepowiedział komodor, wielu innych prawdopodobnie zginie tak jak on... i nawet admirał może się znaleźć wśród nich. Będę czekał na jego odpowiedź. Jeśli się zdecyduje odłożyć na bok wszelką złość na mnie i przedstawić nasze postępowanie wyższemu sądowi, to ja gotów jestem do wzajemnego udzielania sobie takiej pomocy, jakiej będzie wymagała nasza sytuacja. Jeśli zaś nie, to zro-

zumcie i, naturalnie, powiedzcie mu, że ci oto ludzie są ze mną i będą mnie bronić przed każdą próbą użycia siły. Taka jest moja odpowiedź, panie oficerze. Możecie wracać na swój okręt.

Oficer odszedł do trapu, spostrzegł jednak, że w jego łodzi nie ma nikogo z obsady prócz bosakowego. Pozostali weszli na pokład, aby się dowiedzieć od marynarzy z „Dorta” całej prawdy o tym, co słyszeli tylko piąte przez dziesiąte. Zanim oficer wezwał ich do powrotu na łódź, dowiedzieli się już wszystkiego. Zgadzała się z marynarzami z „Dorta”, że pojawienie się Okrętu Widma, które spowodowało ich obecną katastrofę, było karą dla admirała za porzucenie w tak okrutny sposób biednego komodora.

Kiedy oficer powrócił z odpowiedzią Filipa, wściekłość admirała nie miała granic. Rozkazał, aby działa rufowe, które mogły donieść do „Dorta”, załadować podwójnie i wystrzelić do niego. Alle Krantz zwrócił mu uwagę, że w obecnej sytuacji nie mogą użyć większej liczby dział donoszących do „Dorta”, gdyż „Dort” mógłby użyć takich, które by doniosły do nich, że wskutek tego nie mają nad nim przewagi i że taki krok nie może przynieść żadnej korzyści. Admirał natychmiast kazał zaaresztować Krantza i przystąpił do wprowadzania w czyn swych szaleńczych zamiarów. Przeszkodzili mu w tym jednak marynarze z „Liona”, którzy nie chcieli strzelać do bratniego okrętu ani wystawiać się na jego strzały. Wiadomości przywiezione przez obsadę łodzi rozeszły się po okręcie. Marynarze czuli do admirała zbyt wielką wrogość, a jednocześnie zbyt dobrze rozumieli swoje niezmiernie ciężkie położenie, aby chcieć jeszcze je pogarszać. Nie wystąpili z otwartym buntem, lecz zesзли

pod pokład, a kiedy oficerowie kazali im wyjść na górę, odmówili wykonania rozkazu. Oficerowie, którzy byli tak samo oburzeni postępowaniem admirała, poinformowali go tylko o stanowisku załogi, nie wymieniając żadnych nazwisk, aby nie wzbudzać w nim nienawiści do poszczególnych ludzi. Tak się miały sprawy, gdy zachodziło słońce. Na okręcie admirałskim nie zrobiono nic, ponieważ Krantz przebywał w areszcie, a rozwścieczony admirał zamknął się w swojej kajucie.

Tymczasem Filip i jego załoga nie próżnowali. Wyrzucili kotwicę za rufę i obciągnęli łańcuch na szywno. Okręt nabrał dużo wody i właśnie zajęci byli jej wypompowywaniem, gdy jakaś łódź dobiła do burty i na pokładzie ukazał się Krantz.

— Kapitanie Vanderdecken, przybyłem, aby się oddać — jeżeli mnie przyjmiecie — pod wasze rozkazy. Jeśli nie, to zechciejcie mi użyć schronienia, bo gdybym pozostał na moim okręcie, jutro rano powiesiliby mnie jak amen w pacierzu. Marynarze, którzy przybyli ze mną w łodzi, zamierzają także służyć pod waszymi rozkazami, jeżeli na to pozwolicie.

Filip wcale nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy, ale nie mógł w żaden sposób odmówić przyjęcia Krantza. Bardzo go lubił i dla ratowania jego życia, które niewątpliwie było zagrożone, uczyniłby znacznie więcej. Zażądał, aby załoga łodzi powróciła na okręt admirałski, kiedy jednak Krantz opowiedział, co zaszło na „Lionie”, a marynarze zaczęli żarliwie go prosić, aby ich nie odsyłał na pewną śmierć, która ich czekała za udzielenie Krantzowi pomocy w ucieczce, Filip, aczkolwiek niechętnie, pozwolił im zostać.

Noc była wprawdzie burzliwa, ale wiatr wiał od lądu, więc morze nie było wzburzone.

Załodze „Dorta” pod kierownictwem Filipa i Krantza udało się w ciągu nocy odładować okręt na tyle, że nazajutrz rano mogli go ściągnąć ze skały; okazało się, że dno nie było poważnie uszkodzone. Mieli szczęście, że nie przerywali roboty, gdyż na parę godzin przed świtem wiatr zmienił kierunek i kiedy założyli z powrotem ster, zaczęło dąć mocno wzdłuż cieśniny, a jednocześnie podniosła się duża martwa fala.

Okręt admirałski wciąż siedział na skale i nie widać było, aby czyniono jakiegokolwiek wysiłki w celu ściągnięcia go. Filip łamał sobie głowę, jak ma postąpić. Nie mógł pozostawić załogi „Liona”. Oczywiście nie mógł także ani nie chciał odmówić admirałowi, gdyby ten wyraził chęć przeniesienia się na jego okręt. Postanowił jednak, że przyjąłby go tylko jako pasażera, dowództwo zachowując dla siebie. Chwilowo poprzestał na rzucaeniu kotwicy w bezpiecznej odległości od rafy, pod osłoną urwistego cypla, gdzie morze było spokojne, mniej więcej o milę od admirałskiego okrętu. Kazał swojej załodze napęłnić baryłki słodką wodą ze strumyka w pobliżu miejsca zakotwiczenia okrętu. Czekał, żeby zobaczyć, czy tamten okręt spłynie na wodę, był bowiem przekonany, że jeśli nie spłynie, to wkrótce będzie musiało dojść do jakiegoś wzajemnego porozumienia. Gdy tylko marynarze wzięli zapas słodkiej wody, wysłał jedną z szalup do tego punktu na wybrzeżu, gdzie wysadzili komodora. Postanowił zabrać go na swój okręt, jeśli tylko uda się go odnaleźć. Niestety, łódź wróciła nie znalazwszy śladu po komodorze, mimo że marynarze przepatrzyli nawet dosyć odległe wzgórze.

Rankiem drugiego dnia po ściągnięciu ze skały „Dorta” Filip zauważył, że szalupy z ad-

miralskiego okrętu kursują pomiędzy okrętem a lądem, wyładowując na brzeg zapasy okrętowe i żywność. Nazajutrz rozbite na brzegu namioty stały się widowym dowodem porzucenia okrętu, chociaż łodzie wciąż przewoziły z niego różne rzeczy na ląd. Tej nocy wiał silny wiatr i była duża fala. Następnego ranka „Lion” stracił maszty i obrócił się burta do brzegu. Było oczywiste, że to już wrak i Filip naradzał się z Krantzem, co robić. Nie mogli pozostawić załogi „Liona”, gdyż z nastaniem zimy wszyscy musieliby wyginąć na tym pustkowiu. W końcu uznali za wskazane czekać na pierwszy krok z tamtej strony, wobec czego Filip postanowił spokojnie stać na kotwicy.

Nie ulegało wątpliwości, że wśród marynarzy „Liona” zanikła wszelka karność. W ciągu dnia widziano, jak łazili na wszystkie strony po skalistych wzgórzach, a wieczorem zapalili wielkie ogniska, przy których hulali i pili. Filip bardzo się gryzł tym marnotrawieniem żywności. Sam miał jej zaledwie tyle, żeby wystarczyło dla własnej załogi, a był przekonany, że gdy tylko skończą się zapasy wyładowane na brzeg, załoga „Liona” będzie prosić o zabranie jej na „Dorta”.

Taki stan rzeczy trwał już przeszło tydzień, gdy pewnego ranka ujrzeli łódź wiosłującą ku nim, a na rufie łodzi Filip rozpoznał oficera przysłanego przedtem przez admirała, aby go aresztować. Wszedłszy na pokład oficer zdjął przed Filipem kapelusz.

— Uznajecie mnie zatem za dowódcę? — zauważył Filip.

— Tak, panie, z całą pewnością. Byliście zastępcą dowódcy, ale obecnie jesteście dowódcą, bo... admirał nie żyje.

— Nie żyje! — wykrzyknął Filip. — Jak się TO stało?

— Znaleźliśmy go nieżywego na plaży, pod wysokim urwiskiem. Trzymał w ramionach ciało komodora, a właściwie byli z sobą zwarci jak w walce. Przypuszczam, że wchodząc na szczyt wzgórza, co admirał czynił co dzień, aby zobaczyć, czy nie ma w cieśninie jakiegoś okrętu, natknął się na komodora, doszło między nimi do bitki i razem spadli w przepaść. Nikt nie widział tej walki, ale musieli spadać po kamieniach, bo ich ciała są strasznie zmasakrowane.

Z rozmowy z oficerem Filip dowiedział się, że wszelka szansa uratowania „Liona” przypadła już po drugiej nocy, kiedy to okręt admirałski uderzył o skałę całą długością lewej burty i nabrał sześć stóp wody do ładowni. Załoga była bardzo niezdyscyplinowana i wypila prawie wszystkich alkohol. Nie tylko pomarli wszyscy chorzy, lecz także zginęło wielu marynarzy, którzy albo po pijanemu pospadali ze skał, albo też z rana znaleziono ich nieżywych z zimna.

— A więc spełniła się przepowiednia nieśczęśliwego komodora — rzekł Filip do Krantza. — Jeszcze wielu innych i nawet sam admirał zginął razem z nim. Pokój ich duszom. A teraz zabierajmy się jak najprędzej z tego straszego miejsca.

Filip kazał oficerowi zgromadzić swoich ludzi i przygotować pozostałe zapasy do natychmiastowego załadunku. Wkrótce potem Krantz podążył za nim z wszystkimi łodziami i przed nocą załadunek był ukończony. Ciała admirała i komodora pochowali tam, gdzie leżały. Nazajutrz rano „Dort” wybrał kotwicę i przy pomysłnym wietrze położył się na kurs wzdłuż cieśniny.

ROZDZIAŁ 19

Zdawało się, że po tragicznej śmierci obu dowódców skończyły się nieszczęścia pozostałych przy życiu ludzi. W parę dni „Dort” przeszedł Cieśninę Magellana i żeglował przez Ocean Spokojny przy pięknej pogodzie i spokojnym morzu. Załoga powróciła do sił i odzyskała dobry humor. Ponieważ okręt był teraz dobrze obsadzony, marynarze pracowali ochoczo.

Mniej więcej w ciągu dwóch tygodni posunęli się dosyć daleko na północ wzdłuż hiszpańskiego wybrzeża, ale, choć widzieli na plaży wielu mieszkańców, nie natknęli się na żaden okręt należący do Hiszpanów. Zdając sobie sprawę, że jeśli spotkają hiszpański okręt o większej sile ognia, to zostaną przez niego zaatakowani, Filip poczynił wszelkie przygotowania i wyćwiczył swych ludzi w obsłudze dział. Dysponując dwiema połączonymi załogami, miał okręt dobrze obsadzony, a spodziewany udział w przyzie rozpałił w marynarzach mocne pragnienie napotkania jakiegoś hiszpańskiego okrętu, wiedzieli bowiem, że Filip go zagarnie, jeśli tylko będzie to możliwe. Słabe wiatry i okresy ciszy trzymały ich przez miesiąc niedaleko brzegu, po czym Filip postanowił popłynąć do wyspy Santa Maria. Wiedział wprawdzie, że była ona we władaniu Hiszpanów, ale miał nadzieję, że — czy to po dobremu, czy też siłą — uda mu się tam zdobyć świeże zapasy żywności dla załogi. Według wyliczeń „Dort” znajdował się w odległości około trzydziestu mil od wyspy. Płynęli w jej kierunku, póki się nie ściemniło, po czym stanęli w dryf do następnego ranka. Krantz był na pokładzie; oparł się o reling i próbował

wypatrzeć linię horyzontu. Było bardzo ciemno, ale gdy się tak wpatrywał, wydało mu się, że dostrzega jakieś światło, które po chwili znikło. Nie odrywając wzroku od tego miejsca, wkrótce rozróżnił okręt leżący w dryfie w odległości mniej niż dwóch kabli. Zbiegł na dół, aby powiadomić o tym Filipa i wziąć lunetę. Zanim Filip znalazł się na pokładzie, Krantz już wyraźnie rozpoznał mały okręt trzymasztowy, bardzo głęboko zanurzony. Po krótkiej naradzie uzgodnili, że trzeba spuścić na wodę szalupy rufowe, obsadzić je i uzbroić bez najmniejszego hałasu, po czym podkradną się one cichutko pod burłę obcego okrętu i zniemacka go zaatakują. Zwołali marynarzy, nakazali im zachowanie ciszy i już po kilku minutach załoga zawładnęła obcym okrętem abordując go i obsadzając dostęp do luków, zanim paru ludzi będących na pokładzie zdążyło podnieść alarm. Krantz czekał w łodzi pod zawietrzną burzą „Dorta” aż do świtu, tak bowiem było z góry postanowione, po czym zabrał większą liczbę ludzi na zdobyty okręt. Otworzyli luki i odesłali jeńców na „Dorta”. Było ich sześćdziesięciu — dużo, jak na tego rodzaju okręt.

W czasie przesłuchiwania wystąpili naprzód dwaj spośród nich, dostatnio ubrani i wyglądający na dobrze urodzonych. Zeznali, że ich okręt szedł z wyspy Santa Maria do Limy z ładunkiem mąki i pasażerami, że załoga łącznie z kapitanem liczy dwudziestu pięciu ludzi, a wszystkie pozostałe osoby skorzystały z okazji dostania się do Limy. Oświadczyli ponadto, że oni także są pasażerami i ufają, że okręt wraz z ładunkiem zostanie natychmiast zwolniony, ponieważ oba państwa nie są ze sobą w stanie wojny.

— Oczywiście, nie są w stanie wojny u sie-

bie — odparł Filip — ale stałe napady wazszych uzbrojonych okrętów na tych wodach zmuszają mnie do odwetu, toteż zagarnę wasz okręt wraz z ładunkiem jako przrę. Ponieważ jednak nie chcę robić trudnoŝci osobom prywatnym, wysadzę wszystkich pasażerów i załogę na wyspie Santa Maria, dokąd płynę w celu uzupełnienia zapasów. Mam nadzieję, że teraz chętnie nam ich dostarczą jako okup za was, uwalniając mnie w ten sposób od konieczności użycia siły.

Jeńcy protestowali przeciwko temu energicznie, ale bez skutku. Wobec tego poprosili o pozwolenie złożenia okupu za okręt wraz z ładunkiem, oferując sumę, która, jak się zdawało, przewyższała jego wartość. Ale Filip, któremu brakowało żywności, nie zgodził się zrezygnować z ładunku. Hiszpanie sprawiali wrazenie bardzo zawiedzionych odrzuceniem ich propozycji. Zrozumiawszy, że nic nie zdoła skłonić Filipa do pozostawienia zapasów, zaczęli go usilnie prosić o przyjęcie okupu za sam okręt. Po naradzie z Krantzem Filip wyraził zgodę. Oba okręty ruszyły w drogę kierując się ku wyspie, odległej teraz o jakieś cztery mile. Chociaż Filip nie chciał zatrzymać hiszpańskiego statku, to jednak, gdy płynął on obok „Dorta”, jego większa prędkość tak się rzuciła w oczy, że niemal pożałował swojej zgody na okup.

W południe „Dort” zakotwiczył na redzie, poza zasięgiem strzału armatniego. Częŝci pasażerów Filip pozwolił zejść na ląd dla załatwienia sprawy okupu za pozostałych. Załoga „Dorta” ustawiła zdobyczny okręt burty w burty i przeładowała jego ładunek na swój okręt. Pod wieczór do burty „Dorta” dobiły trzy wielkie łodzie z bydłem i jarzynami oraz z uzgodnioną kwotą okupu za statek. Gdy tyl-

ko rozładowano pierwszą łódź, Filip pozwolił, aby udali się nią na ląd wszyscy jeńcy, z wyjątkiem hiszpańskiego pilota, którego zatrzymał za radą Krantza. Przyrzekł jednak, że go zwolni, gdy tylko „Dort” opuści hiszpańskie wody. Zgodził się także, aby pozostał na okręcie murzyński niewolnik, który go o to prosił. Wywołało to wielkie niezadowolenie wspomnianych poprzednio dwóch pasażerów, którzy utrzymywali, że Murzyn jest ich własnością i podkreślali z naciskiem, że byłoby to naruszeniem zawartej umowy.

— Tymi słowami sami potwierdzacie moje prawo — odparł Filip. — Zgodziłem się uwolnić wszystkich pasażerów, ale nie ich mienie. Niewolnik zostanie na okręcie.

Widząc bezowocność swych usiłowań Hiszpanie pożegnali się z wyniosłymi minami. Tej nocy „Dort” pozostał na kotwicy, aby sprawdzić takieiunek. Nazajutrz rano spostrzegli, że okręt hiszpański znikł, odpłynął w nocy nie zauważony.

Wybrali kotwicę i postawili żagle, po czym Filip poszedł z Krantzem do swojej kajuty, aby się naradzić w sprawie obrania najwłaściwszego kursu. Za nimi wszedł do kajuty murzyński niewolnik, zamknął drzwi i rozejrzawszy się uważnie dookoła oświadczył, że chce im coś powiedzieć. Wiadomość, którą im przekazał, była bardzo ważna, ale uczynił to nieco zbyt późno. Wykupiony okręt był rządową kanonierką, najszybszym żaglowcem, jaki Hiszpanie posiadali. Dwaj rzekomi pasażerowie byli oficerami hiszpańskiej marynarki wojennej, pozostali zaś stanowili załogę tego okrętu. Przysłano go po ładunek złota i srebra, które miał przewieźć do Limy, a jednocześnie po to, by śledzić nadejście flotyli holenderskiej, o której otrzymano wiadomość jakiś czas temu

drogą lądową. Z chwilą pojawienia się flotylli okręt miał wrócić z tą wiadomością do Limy, po czym siły hiszpańskie zostałyby wysłane przeciwko niej. Dalej Filip i Krantz dowiedzieli się, że niektóre beczułki, rzekomo z mąką, zawierają każda po dwa tysiące złotych dublonów, inne zaś — sztaby srebra; podjęto te środki ostrożności na wypadek wzięcia okrętu w niewolę. Nie było wątpliwości, że popłynął on teraz do Limy. Hiszpanom bardzo zależało, aby Murzyn nie pozostał na „Dorcie”, bo wiedzieli, że wyjawia to, co rzeczywiście wyjawiał. Jeśli chodzi o pilota, to wiedzieli, że nie mogą mu ufać, i właśnie dlatego Filip i Krantz powinni mieć się przed nim na baczności, żeby nie wpakował „Dorta” w jakieś tarapaty.

Filip pożałował, że zwolnił okręt w zamian za okup. Według wszelkiego prawdopodobieństwa czekały go, zanim uda mu się opuścić te wody, spotkanie i walka przeciwko przeważającym siłom. Ale nie było na to żadnej rady. Po rozmowie z Krantzem postanowili zebrać załogę i zapoznać ją z tymi faktami. Wychodzili z założenia, że gdy marynarze dowiedzą się o wartości zdobytego łupu, będą zaciekle walczyć z nadzieją na dalszą zdobycz. Załoga przyjęła te wiadomości z entuzjazmem i oświadczyła gotowość walki przeciwko dwukrotnie większym siłom. Następnie na rozkaz Filipa marynarze wynieśli beczułki na pokład rufowy, otworzyli je i wyjęli złoto i srebro. Gdy zgromadzili już wszystko, wartość tego wynosiła, o ile potrafili ocenić, około pół miliona talarów. Pieniądze Filip rozdzielił nazytuz rano koło kabestanu, a sztaby kruszcu kazał zachować do czasu, gdy będzie można je wycenić i sprzedać.

Przez sześć tygodni posuwali się w górę wybrzeża nie napotykając żadnego płynącego

okrętu. Wyglądało na to, że załoga kanonierki przekazała wiadomość, wskutek czego wszystkie okręty, duże i małe, stały na kotwicy pod osłoną przybrzeżnych baterii. Przeszli już niemal wzdłuż całego wybrzeża i Filip postanowił, że następnego dnia zmieni kurs bezpośrednio na Batawie, gdy wtem dojrzano w pobliżu brzegu jakiś okręt pod pełnymi żaglami, płynący w kierunku Limy. „Dort” natychmiast puścił się za nim w pogoń, ale woda stawała się coraz płytsza, więc Filip zapytał pilota, czy będą mogli utrzymać dalej ten kurs. Pilot odpowiedział twierdząco, oświadczając, że znajdują się teraz na najpłytszych wodach i że bliżej brzegu jest głębiej. Posłano marynarza do sondy, ale ołowianka się urwała. Posłano go więc po drugą, a tymczasem „Dort” pruł pod pełnymi żaglami. W tym momencie podszedł do Filipa murzyński niewolnik i powiedział mu, że widział pilota z nożem w rękę i że zapewne musiał on przerznąć linkę ołowianki na tyle, by spowodować jej pęknięcie. Radził, aby mu Filip nie ufał. Natychmiast przełożyli ster na burzę, ale gdy okręt robił zwrot, dotknął dnem mielizny; jakiś czas ciągnęło go po niej, po czym spłynął na głębszą wodę.

— Ty łajdaku! — huknął Filip. — Przeciąłeś linę od ołowianki? Murzyn cię widział i to nas uratowało.

Hiszpan zeskoczył z działa i, zanim ktokolwiek zdążył mu przeszkodzić, zatopił nóż w sercu Murzyna.

— Przeklęty! Masz za swoją gorliwość — wrzasnął z wściekłością, zgrzytając zębami i wymachując nożem.

Murzyn padł trupem. Marynarze pojмали i rozbroili pilota, gdyż bardzo lubili Murzyna, dzięki któremu stali się bogaczami.

— Niech zrobią z nim, co chcą — powiedział Krantz do Filipa.

— Tak — zgodził się Filip. — Doraźny wymiar sprawiedliwości.

Marynarze naradzali się parę minut, po czym związali pilota razem z trupem Murzyna i ponieśli ich pod reling rufowy. Rozległ się głośny plusk i oba ciała znikły pod kotłującą się wodą kilwateru.

Filip postanowił wziąć kurs na Batawię. Znajdował się o parę dni drogi od Limy i miał wszelkie podstawy do przypuszczenia, że wysłano stamtąd okręty, które go miały przychwycić. Dzięki pomyślnemu wiatrowi oddalił się od wybrzeża i przez trzy dni płynął z dużą szybkością. Czwartego dnia o świcie ukazały się po nawietrznej dwa okręty idące prosto na „Dorta”. Widać było wyraźnie, że są to duże uzbrojone jednostki, a wkrótce potem, gdy zawracały w odległości około mili po zawietrznej, hiszpańskie bandery i flagi upewniły Filipa, że ma przed sobą wrogów. Była to fregata większa niż „Dort” oraz korweta o dwudziestu dwóch działach.

Załoga „Dorta” nie okazywała bynajmniej niepokoju z powodu tej nierówności sił. Pobrzękując dublonami w kieszeniach, marynarze przysięgli nie oddać ich prawowitym właścicielom i skoczyli rażno do dział. Wciągnęli na maszt holenderską banderę, jak wyzwanie. Gdy oba hiszpańskie okręty znów wzięły kurs na „Dorta”, aby się do niego przybliżyć, zostały przywitane ogniem flankowym, co je trochę stropiło. Zatoczyły jednak koło w odległości jednego kabla i rozpoczęły energiczną akcję zachodząc okręt Filipa — fregata z boku, a korweta od dziobu. Po półgodzinnej żartej wymianie całoburtowych salw zważył się fokmaszt hiszpańskiej fregaty, pociągając za

sobą stengę grotmasztu. Przeszkodziło to fregacie w strzelaniu. „Dort” ruszył natychmiast kursem na korwetę, unieruchomił ją czterema salwami burtowymi ze wszystkich dział, po czym wykonał zwrot przez sztag i zbliżył się do burty fregaty, która z powodu strzaskanego fokmasztu w dalszym ciągu nie mogła użyć swych dział po zawietrznej. Oba okręty stały teraz równoległe do siebie, dziób przy rufie, w odległości dziesięciu stóp jeden od drugiego, i na nowo podjęły walkę, nieszczęśliwą dla hiszpana. Po upływie kwadransa zwisające z jego burty żagle zapaliły się od wystrzałów armatnich i bardzo szybko ogień przeniósł się na okręt, a tymczasem „Dort” wciąż walił morderczym ogniem z całej burty, na który fregata nie mogła skutecznie odpowiadać. Kiedy wszystkie próby ugaszenia ognia zawiodły, kapitan hiszpańskiej fregaty zdecydował, że oba okręty powinien spotkać ten sam los. Obrócił ster na zawietrzną, przesunął swoją fregatę na „Dorta” i zwarł się z nim usiłując związać z sobą oba okręty. Rozgorzała walka. Hiszpanie próbowali przerzucić szczepiające łańcuchy, aby nie dać uciec wrogowi, a Holendrzy starali się udaremnić te próby. Marynarze stłoczeni na ławach wantowych i na nadburciach obu okrętów bili się zażarcie. Strąceni spadali pomiędzy dwa okręty, którym szczątki strzaskanego fokmasztu wciąż nie pozwalały całkowicie się zetknąć. Filip i Krantz nie próżnowali w czasie tej walki. Dzięki przebrasowaniu rej rufowych na fordewind i postawieniu wszystkich żagli na dziobie zdołali sprawić to, że „Dort” oderwał się z wiatrem od swego przeciwnika i tym manewrem wydostali się z dymu, który im tak przeszkadzał. Oddalwszy się od nieprzyjacielskich okrętów, zawrócili następnie w ten sposób, aby mieć

Hiszpanów po swojej zawietrznej. Dało im to oczywistą przewagę i pozwoliło wkrótce zakończyć walkę. Wiatr spychał dym i płomień z powrotem na hiszpański okręt, na „Dortie” zaś ugaszono ogień, który przerzucił się z fregaty. Hiszpanie nie byli już zdolni do ponawiania prób szczepienia się z „Dortem” i chronili się za nadburciem własnego okrętu. „Dort” wysunął się przed swego przeciwnika, który wkrótce stanął cały w płomieniach. Korweta trzymała się w odległości kilku kabli po nawietrznej, strzelając od czasu do czasu z działa. Kiedy Filip gruchnął w nią salwą z całej burty, opuściła flagę na maszcie. Można było uważać bitwę za skończoną i należało ratować załogę płonącej fregaty. Z „Dorta” spuszczone na wodę szalupy, ale tylko dwie były zdadne do użytku. Jedną z nich Filip wysłał natychmiast do korwety z rozkazem, aby wyprowadziła wszystkie swe łodzie na ratunek fregacie. Rozkaz wykonano, dzięki czemu większość pozostałej przy życiu załogi została uratowana. Jeszcze przez dwie godziny działa fregaty, rozgrzane w pożarze, strzelały samoczynnie. Gdy ogień przedostał się do składu amunicji, fregata wyleciała w powietrze, a resztki jej kadłuba pogrążyły się z wolna w wodzie, aż w końcu znikły. Wśród jeńców Filip rozpoznał dwóch rzekomych pasażerów w hiszpańskich mundurach, co potwierdziło prawdziwość informacji Murzyna. Oba okręty wojenne wysłano z Limy po to, aby przychwycić „Dorta”, przy czym, ze względu na znaczną przewagę sił, spodziewano się łatwego zwycięstwa. Po naradzie z Krantzem, biorąc pod uwagę opłakany stan korwety oraz to, że oba państwa nie były z sobą właściwie w stanie wojny, Filip uznał za wskazane zwolnić okręt wraz z wszystkimi jeńcami, *co też i uczynił.* „Dort”

pożeglował znowu w kierunku Batawii i w trzy tygodnie po bitwie rzucił kotwicę na re-dzie tego portu. Został tam wysłane naprzód okręty flotyli, które przyszły do Batawii przed paru tygodniami, przyjęły ładunek i były już gotowe do wyruszenia w drogę do Holandii. Filip napisał raporty, w których donosił dy-rekcji o wydarzeniach tej podróży, po czym zszedł na ląd i do czasu załadowania „Dorta” w podróż powrotną zamieszkał w domu kupca, u którego już kiedyś gościł.

ROZDZIAŁ 20

Musimy powrócić do Aminę, która siedzi oto na zboczu porośłym trawą, gdzie gawędzili z Filipem wówczas, gdy przeszkodził im pilot Schriften. Jest głęboko zamyślona, oczy ma spuszczone, jakby usiłowała sobie przypomnieć coś z przeszłości.

— Niestety — westchnęła — sztuka mojej matki już przepadła, przepadła na zawsze. Nie mogę znieść tej udreki i niepewności... i tych głupich księży.

Wstała z murawy i poszła w kierunku do-mu.

Ksiądz Mathias nie wrócił do Lizbony. Po-czątkowo nie trafiała mu się okazja, później zaś dług wdzięczności wobec Filipa skłonił go do pozostania z Aminę, która, jak się zdawa-ło, z każdym dniem nabierała coraz większej niechęci do zasad wiary chrześcijańskiej. Wie-

le, wiele razy naradzał się z księdzem Seysenem, wiele razy obaj zacni starcy upominali Aminę, która czasem wysłuchiwała ich nie odpowiadając ani słowem, a kiedy indziej spierała się z nimi zuchwale. Uważali, że Aminę odtrąca ich religię z uporem równie niewybaczalnym, jak niezrozumiałym. Ale dla niej sprawa przedstawiała się prościej. Mówiła, że nie może uwierzyć w coś, czego nie rozumie. Posuwała się tak daleko, że uznawała piękność zasad i czystość nauki, ale kiedy poczciwi księża zaczęli się wdawać w artykuły wiary, Aminę albo potrząsała przecząco głową, albo też próbowała zmienić temat rozmowy. Wzmagało to tylko gorliwość zacnego księdza Mathiasa w jego zabiegach o nawrócenie i zbawienie duszy tak młodej i pięknej niewiasty. Przestał już myśleć o powrocie do Lizbony i cały swój czas poświęcał nauczaniu Aminę, która, znużona jego nieustannym natręctwem, prawie go znienawidziła.

Jeśli się nad tym zastanowić, to fakt, że Aminę odrzucała wiarę tak niezgodną z jej pragnieniami i zamierzeniami, nie wyda się dziwny. Natura ludzka jest tak dumna, że musi wezwać na pomoc całą swą pokorę, zanim się ugnie, nawet przed Bogiem.

Aminę wiedziała, że jej matka posiadała wyższy stopień wtajemniczenia i utrzymywała bliską styczność z siłami pozaziemskimi. Widziała ją uprawiającą z powodzeniem swój kunszt, choć była w tym czasie jeszcze tak mała, że obecnie nie mogła sobie przypomnieć tajemniczych przygotowań, dzięki którym zaklęcia matki się spełniały. I właśnie teraz, gdy jej myśl zwrócona była całkowicie ku temu, aby sobie przypomnieć rzeczy zapomniane, ksiądz Mathias nawoływał ją do wiary, która kategorycznie zabraniała nawet prób uprawia-

nia tych rzeczy. Przedziwna i okropna misja jej męża umacniała ją w przekonaniu o dopuszczalności uciekania się do pomocy sił nadprzyrodzonych. Argumenty wysuwane przez tych zacnych, lecz nie nazbyt utalentowanych nauczycieli wiary chrześcijańskiej miały niewielki wpływ na silny i zdecydowany umysł Aminę. Umysł ten, skupiony na jednym problemie, z pogardą odrzucał dogmaty, na których potwierdzenie nie mogli księża przedstawić żadnych widomych dowodów i które zobowiązywałyby ją do ślepej wiary w to, co wydawało jej się sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Że kunszt jej matki potrafił dostarczać dowodów potwierdzających jej prawdę, o tym się już przekonała i zadowolili ją skutek tego kunsztu, sprawdzony na Filipie w postaci snu. A jaki dowód oni mogą pokazać? Pisma... których nie pozwalali jej czytać.

— Och, gdybym znała sztukę mojej matki! — powtórzyła Amina wchodząc do domu. — Wiedziałabym, gdzie się w tej chwili znajduje mój Filip. Och, gdybym miała to czarne zwierciadło, w które się wpatrywałam na jej rozkaz, opowiadając, co się przesuwa przed moimi oczami. Jak dokładnie pamiętam tamten dzień, kiedy pod nieobecność ojca patrzyłam uważnie na płyn rozlany we wgłębieniu mej dłoni i mówiłam jej o obozowisku Beduinów, o potyczce, o koniu bez jeźdźcy i o turbanie porzuconym na piasku. — Znowu zamyśliła się głęboko. — Tak! — wykrzyknęła po chwili. — Tak, matko, ty możesz mi pomóc. Przekaż mi swoją wiedzę we śnie, córka błaga cię o to jak o łaskę. Muszę jeszcze pomyśleć. To słowo... jakie to było słowo? Jakie imię ducha? Tarszun? Tak, zdaje się, że Tarszun. O matko, matko, pomóż swojej córce!

— Wzywaj Matkę Najświętszą, moje dziec-

ko? — zapytał ksiądz Mathias, który wszedł do izby, gdy wymawiała ostatnie słowa. — Jeśli tak, to dobrze czynisz, bo ona może ci się ukazać we śnie i umocnić cię w prawdziwej wierze.

— Wzywałam moją matkę, która przebywa w krainie duchów.

— Tak, moje dziecko, ale obawiam się, że jako niewierna nie przebywa w krainie duchów błogosławionych.

— Przecież nie może być ukarana za wyznawanie wiary swoich przodków tam, gdzie żyła i gdzie nie znano innej wiary — odparła Aminę z oburzeniem. — Jeżeli ci, którzy na ziemi żyli sprawiedliwie, są błogosławieni w życiu przysłym, jeżeli, jak sami twierdziecie, wielbny księżę, ona miała duszę godną zbawienia, miała nieśmiertelnego ducha, to Ten, który stworzył jej ducha, nie odda go na zagładę dlatego, że modliła się tak samo jak jej ojcowie. Jej życie było cnotliwe, dlaczego więc miałaby zostać ukarana za nieznamość wiary, której nawet nie miała sposobności odrzucić?

— Któż śmie podawać w wątpliwość wolę Bożą, moje dziecko? Bądź wdzięczna za to, że dane ci jest być oświeconą w prawdziwej wierze i przyjętą na łono Kościoła.

— Jestem wdzięczna za wiele rzeczy, księżę, ale czuję się zmęczona i muszę już powiedzieć wam dobranoc.

Aminę schroniła się w swojej izbie, ale nie po to, aby spać. Próbowwała naśladować obrzędy odprawiane przez jej matkę, za każdym razem coś zmieniając, gdyż nie była pewna, czy jej się uda. Raz jeszcze zapaliła kadzielnice i spróbowała zaklęć. Raz jeszcze izba wypełniła się dymem, gdy wsypywała rozmaite

zioła, znane jej dzięki temu, że starannie pozbierała wszystkie papiery wyrzucone po śmierci ojca i na wielu z nich znalazła wskazówki dotyczące stosowania ziół.

— Te słowa. Te słowa. Mam już pierwsze... mam drugie słowo. Pomóż mi, matko! — zawołała siadając obok łóżka, w izbie tak pełnej dymu, że nie można było już nic rozróżnić. Wszystko na próżno, pomyślała w końcu, opuszczając ręce z rezygnacją. Zapomniałam. Mammo, mammo, pomóż mi tej nocy we śnie.

Stopniowo dym się rozpląwał i znikał, a gdy podniosła wzrok, spostrzegła przed sobą jakąś postać. Z początku pomyślała, że jej zaklęcie okazało się jednak skuteczne, ale gdy postać stała się wyraźniejsza, poznała księdza Mathiasa, który patrzył na nią z surową miną i zmarszczonym czołem, z rękoma założonymi na piersi.

— Bezbożne dziecko! Co czynisz?

Aminę obudziła w księżach podejrzliwość nie tylko tym, co mówiła, lecz także ponawianymi już przedtem próbami odzyskania zapomnianej sztuki czarnoksiężkiej. Pewnego razu, gdy broniła przed nimi tych praktyk, zarówno ksiądz Mathias, jak i ksiądz Seysen zagrozili najgorszymi klątwami i jej, i wszystkim, którzy by się parali podobnymi rzeczami. Zapach aromatycznych ziół wsypanych do kadzielnicy i dym, który się wydobywał przez szpary w drzwiach aż na schody, obudził podejrzliwość księdza Mathiasa. Skradając się po cichu, wśliznął się do izby tak, że tego nie zauważyła. Aminę od razu zrozumiała grożące jej niebezpieczeństwo. Gdyby chodziło tylko o nią, stawiałaby czoła księdzu, ale przez wzgląd na Filipa postanowiła wywieść go w pole.

— Nie czynię nic złego, wielebny księżu — odpowiedziała ze spokojem. — Ale nie wydaje

mi się rzeczą przystojną, abyście wchodzili do izby młodej niewiasty, gdy męża jej nie ma w domu. Mogłam już leżeć w łóżku. Dziwi mnie wasze nieproszone najście.

— Niewiasto, nie możesz chyba myśleć o czymś takim! Mój wiek, moje duchowne powołanie są wystarczającą rękojmią — odparł ksiądz Mathias, nieco stropiony nieoczekiwanym zarzutem.

— Nie zawsze, jeśli prawdą jest to, co słyszałam o mnichach i księżach. Jeszcze raz zapytuję was, księżo, dlaczego wchodzicie do izby bezbronnej niewiasty?

— Bo byłem przekonany, że ta niewiasta odprawia bezbożne praktyki.

— Bezbożne praktyki! Co przez to rozumiecie? Czy sztuka przystawiania pijawek jest bezbożna? Czy bezbożnym jest przynoszenie ulgi cierpiącym? Zamawianie zarazy i złej gorączki, która dręczy ciała ludzi mieszkających w tym niezdrowym kraju?

— Wszelkie zamawiania, wszelkie czary są rzeczą wielce bezbożną.

— Kiedy mówiłam „zamawianie”, to nie miałam na myśli tego, o czym wy myślicie, wielbny księżo. Chciałam powiedzieć po prostu „leczenie”. Jeżeli znajomość pewnych cennych ziół, które, odpowiednio dobrane, stają się lekiem przynoszącym ulgę cierpiącemu biedakowi — sztuka ta była dobrze znana mojej matce i chętnie bym sobie ją przypomniała — jeśli ta wiedza lub chęć jej odzyskania jest czymś bezbożnym, to macie rację, księżo.

—■ Słyszałem, jak wzywałaś pomocy swojej matki.

— Wzywałam, bo ona znała dobrze wszystkie składniki, ale ja, niestety, nie posiadam tej wiedzy, jaką ona miała. Czy to grzech, wielbny księżo?

— A więc chciałaś znaleźć lekarstwo? Myślałem, że oddawałaś się praktykom, które są najsurowiej zakazane.

— Czy spalenie garstki ziół może być zakazane? Co spodziewaliście się tutaj zobaczyć? Spójrzcie, księżo, na ten popiół. Można go zmieszać z oliwą, wetrzeć w skórę i przynieść komuś ulgę, ale czy może on zdziałać coś więcej? Czego się po nim spodziewacie? Że wstanie z niego upiór, duch? Jak prorok wskrzeszony dla króla Izraela?

Aminę roześmiała się głośno.

— Nie wiem, co o tym myśleć, ale nie jestem przekonany.

— Ja także nie wiem, co o tym myśleć i nie jestem przekonana — odparła Aminę wzgardliwym tonem. — Nie mogę uwierzyć, aby taki rozumny człowiek jak wy, księżo, mógł naprawdę przypuszczać, że jest coś złego w paleniu ziół. Nie jestem też przekonana, że właśnie to było powodem waszych odwiedzin o tej późnej porze w izbie samotnej niewiasty. Mogą w tym być czary przyrodzone, potężniejsze od tych, które zwiecie nadprzyrodzonymi. Proszę was, księżo, opuście tę izbę. To nie przystoi. Gdybyście mieli jeszcze raz się ośmielić, opuścicie ten dom. Miałam o was lepsze mniemanie. Odtąd nie zostanę już nigdy sama.

Ta napaść Aminę na dobrą sławę starego księdza była zbyt poważna. Ksiądz Mathias natychmiast opuścił izbę, a wychodząc powiedział:

— Niech ci Bóg przebaczy te fałszywe podejrzenia i wielką niesprawiedliwość. Przyszedłem tu z powodu, o którym ci mówiłem, a nie dla czego innego.

— Tak — rzekła do siebie Aminę, gdy drzwi się za nią zamknęły. — Wiem, że to prawda, ale muszę się uwolnić od twego niepożądanego-

go towarzystwa. Nie chcą, żeby ktoś szpiegował, co robię. Żeby czyjeś wścibstwo krzyżowało moje zamierzenia. Przez swą gorliwość sam się naraziłeś na kompromitację, a ja wykorzystam przewagę, jaką mi dałeś. Czyż wy, święci kapłani, nie powinniście szanować odosobnienia niewieściej izby jak świętości? W zamian za pomoc w niedoli, za chleb i dach nad głową chciałeś być szpiegiem. Jakaż to wdzięczność, jakie godne świadectwo wiary, którą głosisz!

Aminę schowała kadzielnicę, po czym otworzyła drzwi i zawołała jedną ze służebnych, każąc jej zostać z sobą na noc. Wyjaśniła, że ksiądz wszedł do jej izby, ona zaś nie życzy sobie takiego natręctwa.

— Wielebny ksiądz! Czy to możliwe? — zdumiała się służebna.

Aminę nie odpowiedziała, tylko położyła się spać. Ale ksiądz Mathias słyszał wszystko, gdy przemierzał krokami izbę na dole. Nazajutrz odwiedził księdza Seysena i powiadomił go o tym, co się zdarzyło, oraz o fałszywych podejrzeniach Aminę.

— Działaliście zbyt pochopnie, mój księżu — zauważył ksiądz Seysen — wchodząc do niewieściej komnaty o tak późnej porze.

— Miałem podejrzenia, wielebny księżu.

— A teraz ona będzie miała podejrzenia. Jest młoda i piękna.

— Ależ, na imię Najświętszej Panny...

— Ja was rozgrzeszam, zacny Mathiasie — przerwał mu ksiądz Seysen. — Ale gdyby to się rozniosło, byłoby wielkie zgorszenie i uszczerbek dla naszego Kościoła.

A rozniosło się prędko, gdyż służebna wezwana przez Aminę nie omieszkała rozpowiedzieć o tym wydarzeniu. Ksiądz Mathias zauważył, że ludzie przyjmują go wszędzie bar-

dzo chłodno, ponadto zaś sam czuł się tak nie-swojo, że wkrótce potem opuścił Holandię i wrócił do Lizbony. Zły był na siebie za swą nieostrożność, lecz jeszcze bardziej zagniewany na Aminę za jej niesprawiedliwe posądzenia.

ROZDZIAŁ 21

W krótkim czasie ładunek „Dorta” był gotowy. Filip odpłynął i bez dalszych przygód przybył do Amsterdamu. Nie trzeba chyba dodawać, że dotarł do swego domu i został powitany przez Aminę z wielką radością. Już go oczekiwała, gdyż dwa okręty flotyli, które odpłynęły z Batawii, gdy on tam dopiero przybył i którym powierzył raporty dla dyrekcji, przywiozły oczywiście listy Filipa do niej, pierwsze w ogóle listy, jakie od niego dostała z podróży. Sam Filip zjawił się w sześć tygodni po owych listach i Aminę była uszczęśliwiona. Dyrektorzy byli naturalnie bardzo zadowoleni z postępowania Filipa i powierzyli mu dowództwo dużego uzbrojonego okrętu, który na wiosnę miał się udać do Indii i który, zgodnie z umową, Filip wykupił w jednej trzeciej ze swych funduszków pozostających w dyspozycji Kompanii. Czekало go pięć miesięcy spokoju i wypoczynku przed ponownym zawierzeniem żywiołom swojej osoby. Tym razem, jak się umówili z Aminą, miał wszystko tak urządzić, aby i ona mogła z nim popłynąć.

Aminę opowiedziała Filipowi, co jej się przy-

darzyło z księdzem Mathiasem i w jaki sposób uwolniła się od jego nieproszonego nadzoru.

— A czy praktykowałeś czary twojej matki?

— Nie, bo nie mogłam ich sobie przypomnieć, ale próbowałam.

— Dlaczego, Aminę? Nie powinnaś była tego robić. To jest „bezbożne”, jak mówił wielbny ksiądz Mathias. Przyrzeknij mi, że zaprzestasz tych praktyk raz na zawsze.

— Jeżeli one mają być bezbożne, Filipie, to twoje posłannictwo jest także bezbożne. Masz dc czynienia i współdziałasz z istotami z zaświatów. Ja nie czynię nic więcej. Ponechaj zatem swojej straszliwej misji, ponechaj pogoni za bezcielesnymi duchami, zostań w domu ze swoją Aminę, a ona z radością spełni twoją prośbę.

— Moje straszne wezwanie pochodzi od Najwyższego.

— Więc Najwyższy pozwala ci obcować z istotami nie z tego świata?

— Pozwala. Wiesz przecie, że nawet księża nie sprzeciwiają się, choć się wzdrygają na samą myśl o tym.

— Jeżeli zatem Bóg pozwala na to jednemu, to pozwoli także drugiemu człowiekowi. Nie, cokolwiek bym czyniła, mogę to uczynić jedynie za zgodą Boga.

— Tak, Aminę. Podobnie Bóg dozwala, aby pleniło się na ziemi zło, ale go nie pochwała.

— Pochwała twoje poszukiwanie potępionego ojca, twoje usiłowania, aby się z nim spotkać. Mało tego, nakazuje ci to. Jeżeli tobie wolno, dlaczego nie mnie? Jestem twoją żoną, częścią ciebie. A kiedy zostaję sama w opustoszałym domu, gdy ty podążasz swym niebezpiecznym szlakiem, czyż nie wolno mnie także odwoływać się do świata duchów, prosić

je o wiadomość, która by złagodziła mój smutek, uczyniła lżejszym moje brzemie, a która jednocześnie nie może wyrządzić krzywdy żadnej żywej istocie? Gdybym próbowała tych praktyk w jakichś złych zamiarach, byłoby rzeczą słuszną zakazywać mi ich i źle bym uczyniła uprawiając je nadal. Ale ja chciałam podążać śladem mego męża i szukać, jak on szuka, w dobrych zamiarach.

— Ale to jest sprzeczne z naszą wiarą.

— Czy księża uznali twoje posłannictwo za sprzeczne z ich wiarą? A jeżeli tak, to czyż nie przekonali się, że jest przeciwnie i czy nie zostali zmuszeni do milczenia? Zresztą, po cóż mamy się spierać, kochany Filipie? Czyż nie będziemy teraz razem? A dopóki będziemy razem, nie będę więcej próbować, przyrzekam ci. Ale jeżeli się rozstaniemy, nie powiem ani słowa, tylko będę prosiła niewidzialne duchy, abym mogła dowiedzieć się, jakimi drogami podąża mój mąż, szukając także niewidzialnych duchów.

Zima przeszła Filipowi szybko, gdyż spędził ją w spokoju i szczęściu. Nadeszła wiosna. Trzeba było wyekwipować okręt. Filip udał się do Amsterdamu razem z Aminę.

Okręt, na który go wyznaczono, został niedawno zwodowany, nazywał się „Utrecht”, miał czterysta ton i ambrazury na dwadzieścia cztery działa. Minęły dwa miesiące, w ciągu których Filip nadzorował wyposażenie i załadunek okrętu, mając do pomocy swego ulubionego Krantza jako pierwszego oficera. Przygotowano dla Aminę wszelkie udogodnienia, jakie tylko Filip mógł wymyślić. W maju wyruszył w drogę z poleceniem, aby się zatrzymać w Gambrunie i na Cejlonie, przejść przez cieśninę sumatrzeńską i stamtąd przedrzeć się na morza chińskie; Kompania miała wszelkie

podstawy do tego, aby oczekiwać ze strony Portugalczyków zdecydowanego przeciwstawienia się tej próbie. Miał liczną załogę i niewielki oddział żołnierzy jako ochronę dla supercargu, który wiozł z sobą wiele tysięcy talarów na zakupy w portach chińskich, gdzie towary holenderskie mogły nie mieć powodzenia. Okręt został wyposażony z największą starannością. Był chyba najlepszym i najlepiej obsadzonym okrętem, jaki Kompania kiedykolwiek wysłała do Indii, a także wiozł najcenniejszy ładunek.

„Utrecht” płynął pod pełnymi żaglami i wkrótce zostawił za sobą Kanał Angielski. Podróż zapowiadała się pomyślnie. Sprzyjające wiatry niosły ich bez żadnej złej przygody aż do miejsca odległego o paręset mil od Przyłądka Dobrej Nadziei, gdzie po raz pierwszy zaskoczyła ich cisza. Aminę była zachwycona. Wieczorami przechadzała się z Filipem po pokładzie. Dookoła była cisza, tylko fala chlupcząc ocierała się o burtę okrętu. Wszystko tchnęło spokojem i pięknnością w jasnym blasku południowych konstelacji, skrzących się nad ich głowami.

— Czyje losy zależą od tych gwiazd, niewidocznych dla mieszkańców północnych krain? — rzekła Aminę podnosząc wzrok ku górze i podziwiając ich jasność. — Go wróży ten spadający meteor? Jaka jest przyczyna jego szybkiego upadku z niebios?

— Więc wierzysz w gwiazdy, Aminę?

— U nas w Arabii wierzymy. I czemuż by nie? Nie zostały przecież rozsiane na niebie po to, by dawać światło. A zatem... po co?

— Aby upiększyć świat. Mają też swoje zadania.

— Więc zgadzasz się ze mną, że mają swoje zadania. Są w nich ukryte ludzkie losy.

Moja matka była jedną z tych osób, które umieją je dobrze odczytywać. Niestety, dla mnie są one zamkniętą księgą.

— Czy tak nie jest lepiej, Aminę?

— Lepiej! To znaczy, lepiej jest pełzać po tej ziemi wraz z całym samolubnym, poniżonym rodzajem ludzkim, błąkać się wśród tajemnicy, grozy i zwątpienia, podczas gdy jest w naszej mocy porozumiewać się z istotami wyższymi. Czyż dusza nie wrywa się do tego, aby wolno jej było poradzić się sił wyższych? Czyż dumne serce nie raduje się przekonaniem, że należy do hojniej obdarzonych w porównaniu ze zwykłymi śmiertelnikami? Czy to nie jest szlachetna ambicja?

— Niebezpieczna... bardzo niebezpieczna.

— I właśnie dlatego bardzo szlachetna. Zdaje mi się, że chcą do mnie przemówić. Popatrz na tamtą jasną gwiazdę... mruga do mnie.

Przez jakiś czas Aminę wpatrywała się w niebo. Milczała, a Filip stał obok niej. Podeszła do trapu i spojrzała w dół na spokojną wodę, przez którą przenikały daleko w głąb promienie księżycowej poświaty.

— A czy twoja wyobraźnia, Aminę, potrafi wyczarować plemię istot zdolnych żyć w głębinach błękitnego morza, igrających wśród koralowych raf i wplatających sobie perły we włosy? — zapytał Filip z uśmiechem.

— Nie wiem, ale wydaje mi się, że byłoby cudownie tam żyć. Może sobie przypominasz swój sen, Filipie? Jak sam opowiadałeś, byłam wtedy właśnie jedną z tych istot.

— Tak, to prawda — odparł zamyślony.

— A jednak czuję, że woda nie chciałaby mnie przyjąć, nawet gdyby nasz okręt miał zatonać. Nie wiem, w jaki sposób moja śmiertelna powłoka obróci się w to, z czego powstała, ale to wiem z pewnością, że nigdy nie

stanie się igraszką figlarnych fal. Idźmy już spać, Filipie. Zrobiło się późno i pokłady są wilgotne od rosy.

Gdy zaczęło świtać, marynarz w bocianim gnieździe zawołał, że widzi na trawersie coś unoszącego się na gładkiej powierzchni wody. Krantz wyszedł na pokład z lunetą, aby się dokładnie przyjrzeć. Rozpoznał małą łódź, która prawdopodobnie zerwała się z jakiegoś okrętu. Ponieważ nie było ani śladu wiatru, Filip pozwolił wysłać szalupę, aby to sprawdziła. Po długim czasie szalupa wróciła holując małą łódź.

— Jest w niej ciało jakiegoś mężczyzny — powiedział drugi oficer do Krantza, wchodząc na trap. — Ale czy to nieboszczyk, czy też jeszcze żyje, nie potrafię rozpoznać.

Krantz zameldował o tym Filipowi, który właśnie siedział z żoną w kajucie przy śniadaniu. Filip wstał, aby pójść do trapu, gdzie leżał ów mężczyzna, wniesiony na pokład przez marynarzy. Przywołano lekarza, który orzekł, że życie jeszcze się w nim tli i kazał go zanieść pod pokład. Wtem, ku zdumieniu wszystkich, rozbitek obrócił się na bok, usiadł, w końcu zaś stanął na własnych nogach i chwiejnym krokiem podszedł do działa; po krótkiej chwili wydawało się, że całkiem odzyskał siły. Na stawiane mu pytania odpowiedział, że płynął na okręcie, który się przewrócił wskutek uderzenia gwałtownego szkwału, że miał jeszcze czas spuścić z rufy łódkę i że cała reszta załogi zginęła. Zaledwie to powiedział, Filip i Aminę, wyszedłszy z kajuty, zbliżyli się do miejsca, gdzie marynarze stali stłoczeni wokół tego człowieka. Rozstąpili się, aby zrobić im dostęp. Wówczas Filip i Aminę poznali ze zdumieniem i przerażeniem swego starego znajomego, jednookiego pilota Schriftena.

— He, he! Kapitan Vanderdecken, o ile się nie mylę. Miło mi was zobaczyć jako dowódcę okrętu, i was także, piękna pani.

Filip odwrócił się i odszedł z uczuciem przejmującego chłodu w piersi. Oczy Aminę miotają błyskawice, gdy przyglądała się wyniszczonemu ciału tego nędznika. Po chwili oddaliła się w ślad za Filipem do kajuty, gdzie zastała go z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Odwagi, Filipie, odwagi — powiedziała. — To był zaiste okropny wstrząs i obawiam się, że zwiastuje nieszczęście. Ale co zrobić? Taki jest nasz los.

— ■ Tak, ale to powinien być tylko mój los — odparł Filip unosząc głowę. •— Dlaczego ty, Aminę, miałabyś mi towarzyszyć?...

— Jestem twoim towarzyszem w życiu i w śmierci. Nie chciałabym umrzeć pierwsza, Filipie, bo to by ci sprawiło boleść, ale twoja śmierć będzie dla mnie sygnałem i niezadługo się z tobą połączę.

— Aminę, chyba nie przyspieszyłabyś swojej śmierci?

— Owszem. Jedna chwila wystarczy, aby ten kawałek stali spełnił swoje zadanie.

— Nie, nie, Aminę, to jest niedozwolone. Nasza religia tego zakazuje.

— Możliwe, ale nie rozumiem dlaczego. Nikt mnie nie pytał o zgodę, gdy przychodziłam na ten świat, więc mogę z niego odejść, nie pytając księży o pozwolenie. Ale chwilowo dajmy temu spokój. Co zrobisz z tym Schriftenem?

— Wyszadę go na Przylądku. Nie mogę znieść bliskości tego obmierzłego łotra. Nie poczułaś chłodu, jak dawniej, kiedy się do niego zbliżyłaś?

— Owszem, poczułam. Wiedziałam, że to on, zanim go zobaczyłam, ale mimo to, nie wiem

dlaczego, zdaje się, że nie chciałabym się go pozbyć z okrętu.

— Dlaczego?

— Pewnie dlatego, że skłonna jestem raczej stawiać czoła losowi, aniżeli drżeć przed nim. Ten łotr nie może nam uczynić nic złego.

— Może, i to wiele złego. Może zbuntować załogę i źle ją do mnie usposobić. Poza tym usiłował mi zabrać moją relikwię.

— Prawie żałuję, że mu się to nie udało. Musiałbyś wówczas zaniechać tego szalonego poszukiwania.

— Nie, Aminę, nie mów tak. To mój obowiązek i złożyłem uroczysty ślub...

— Ale z tym Schriftenem... Nie możesz go wysadzić na Przylądku. Jest pracownikiem Kompanii, więc mógłbyś go odesłać do kraju, gdybyś znalazł okręt płynący w podróży powrotnej. A jednak na twoim miejscu pozwoliłabym działać losowi. To pewne, że jego los jest spleciony z naszym. Odwagi, Filipie, i daj mu pozostać.

— Może masz rację, Aminę. Mogę odwlec, ale nie potrafię uniknąć przeznaczonego mi losu, jakikolwiek on będzie.

— Niechaj więc Schriften zostanie i niech czyni, co może najgorszego. Bądź dla niego uprzejmy. Kto wie, co możemy od niego uzyskać.

— Racja, racja, Aminę. Był moim wrogiem bez żadnego powodu. Kto wie, może zostanie moim przyjacielem?

— A jeśli nie, spełnisz swój obowiązek. Wezwij go teraz.

— Nie, nie teraz... jutro. Tymczasem wydam polecenie, aby miał wszelkie wygody.

— Rozmawiamy o nim w taki sposób, jakby był jednym z nas, a ja w to nie wierzę — zauważyła Aminę. — Tak czy owak, czy jest

z tego świata, czy z innego, możemy mu zaoferować tylko ziemską życzliwość i to, na co pozwala ten świat, a raczej ten okręt. Aż mnie korci, żeby z nim porozmawiać i przekonać się, czy zdołam wyrzeć jakieś wrażenie na tej lodowatej postaci. Czy mam się zalecać do tego upiora? — Tu Aminę gorzko się roześmiała. Na tym urwała się ich rozmowa, ale jej treść nie poszła w zapomnienie. Nazajutrz rano, gdy lekarz zameldował, że Schriften powrócił już zupełnie do zdrowia, Filip wezwał go do swojej kajuty. Pilot wychudł na kościotrupa, ale poruszał się i mówił tak samo gwałtownie i opryskliwie jak zaiwsze.

— Wezwałem was, Schriften, aby się dowiedzieć, czy mogę coś więcej uczynić dla waszej wygody. Czego byście sobie życzyli?

— Czego bym sobie życzył? — odparł Schriften mierząc wzrokiem najpierw Filipa, a następnie Aminę. — He, he! Myślę, że życzyłbym sobie przybrać trochę ciała.

— Z pewnością prędko przybierzecie. Poleciłem mojemu stewardowi, aby dbał o was.

— Biedaczysko — rzekła Aminę z wyrazem litości na twarzy — ileż musiał wycierpieć! Filipie, czy to nie jest ten sam człowiek, który ci przywiózł list od Kompanii?

— He, he! Ten sam. Nie byłem wtedy zbyt miłym gościem, nieprawdaż, pani?

— Rzeczywiście, mój dobry człowieku. Dla żony list, który posyła jej męża w dalekie strony, nigdy nie jest miłe widziany, ale nie była to wasza wina...

— ...skoro mąż chce się tłuc po morzach i zostawiać w domu śliczniutką żonę, choć ma dosyć pieniędzy, jak powiadają, żeby siedzieć na łądzie. He, he!

— Zaprawdę, macie prawo tak mówić — odparła Aminę.

— Lepiej dać temu spokój. To oczywiste szaleństwo, obłąd... prawda kapitanie?

— Cokolwiek bym uczynił później, tę podróż muszę w każdym razie ukończyć — rzekł Filip zwracając się do Aminę. — Wiele wycierpiałem i wy także, Schriften. Dwa razy się rozbiliście. A teraz powiedzcie mi, co zamierzacie z sobą zrobić. Wracać do domu pierwszym okrętem czy zejść na ląd na Przylądku, czy też...

— ■ ...czy też zrobić cokolwiek innego, byle-bym tylko wyniósł się z tego okrętu? He, he!

— ■ Nie. Wiem, że jesteście dobrym marynarzem, jeżeli zatem wolicie płynąć ze mną, to dostaniecie funkcję i płacę pilota... to znaczy, jeśli postanowicie podążać śladem moich złych i dobrych przygód.

— Jeśli postanowię? Ja muszę podążać za wami, Mynheer Vanderdecken. Tak, popłynę z wami, chcę być zawsze blisko was. He, he!

— ■ Niech więc tak będzie. Jak tylko odzyskacie siły, weźcie się do pracy. Do tego czasu będę dbał, żeby na niczym wam nie zbywało.

— I ja także, mój dobry człowieku — dorzuciła Aminę. — Przychodźcie do mnie, jeśli będziecie czegoś potrzebować, a ja wam pomogę. Wiele wycierpieliście, ale uozynimy co w naszej mocy, abyście o tym zapomnieli.

— To bardzo szlachetnie. I bardzo uprzejmie! — odparł Schriften przyglądając się uważnie ślicznej twarzy i kibici Aminę. Po chwili dodał wzruszając ramionami: — Szkoda! Tak, szkoda. Ale tak musi być.

— Do widzenia — rzekła Aminę wyciągając ku niemu rękę.

Pilot ujął jej dłoń i do serca Aminę przeniknął zimny dreszcz. Spodziewając się tego, nie dała nic po sobie poznać. Schriften przez parę sekund przytrzymał jej rękę w swojej,

patrzając na nią z powagą, po czym podniósł wzrok i spojrzął w twarz Aminę.

— Taka piękna, taka dobra! Dziękuję, Mynheer Vanderdecken. Niech Bóg was zachowa, o pani. — Uściskawszy dłoń Aminę, której dotychczas nie wypuścił, wyszedł szybko z kajuty.

Nagły lodowaty dreszcz, który przeniknął ciało Aminę, gdy Schriften uściskał jej rękę, był tak silny, że z trudnością doszła do sofy i osunęła się na nią. Siedziała jakiś czas przyciskając rękę do serca, a Filip stał nad nią pochylony. W końcu powiedziała, z trudem dobywając tchu:

— ■ To musi być istota nie z tego świata, jestem pewna. Teraz jestem zupełnie pewna. Cóż — podjęła po krótkiej przerwie ■ — tym lepiej będzie, jeśli potrafimy zyskać w nim przyjaciela. Jeżeli tylko zdołam tego dokonać, to dokonam.

— Czy ty myślisz, Aminę, że istoty nie z tego świata znają, tak jak my, uczucia życzliwości, wdzięczności i wrogości? Czy możemy je poddać naszej woli?

— Tak, z całą pewnością. Jeżeli żywią nieprzyjemne uczucia, a wiemy, że tak jest, to muszą być także obdarzone lepszymi uczuciami. Dlaczego istnieją dobre i złe siły? Mogły się uwolnić od swej śmiertelnej powłoki, ale dusza musi być taka sama. Dusza bez uczuć nie byłaby w ogóle duszą. Dusza działa na tym świecie i musi działać na tamym. Jeżeli aniołowie umieją się litować, to muszą czuć podobnie jak my. Jeżeli demony umieją dokuczać, to muszą czuć podobnie jak my. Nasze uczucia się zmieniają, dlaczego więc ich uczucia nie miałyby także się zmieniać? Bez uczuć nie byłoby nieba ani piekła. Tutaj nasze dusze są uwięzione, skrepowane i obciążone nadmier-

nym brzemieniem. Przytłoczone ciężarem ciała, które przejściowo je plugawi. Ale dusza, która uleciała z cielesnego więzienia, nie jest chyba ani odrobinę czystsza, jaśniejsza ani doskonalsza niż dusze mieszkające w nas. Czy można poddać te duchy naszej woli, pytasz? Tak, można. Śmiertelny człowiek może je sobie poddać, jeżeli posiada odpowiednie środki i władzę. Te, które skłaniają się ku złemu, można zmusić zarówno do dobrego, jak i do złego. Za pomocą czarów zdobywamy uległość nie duchów dobrych i doskonałych, lecz tych, które mają skłonność do złego. Właśnie nad nimi ludzie mogą panować. Nasze czary nie mają żadnej władzy nad duchami doskonałymi, lecz tylko nad tymi, które są zawsze sprawcami zła, ale muszą być posłuszne i czynić dobro, jeśli żądają tego ci, którzy nad nimi panują.

— Wciąż zajmujesz się zakazanymi praktykami. Czy to właściwe, Aminę?

— Właściwe! Jeżeli dana jest nam moc, to korzystanie z niej jest rzeczą właściwą.

— Tak, z pewnością, ale do dobrego celu, nie do złego.

— Ludzie sprawujący władzę i posiadający tylko ziemskie środki są odpowiedzialni za użytek, jaki czynią ze swojej władzy. Podobnie ludzie obdarzeni nadprzyrodzonymi środkami władzy są odpowiedzialni za to, jak je stosują. Czy Bóg każe rosnąć kwiatu po to, aby go nie zerwano? Nie. Nie pozwoliłby także na udzielanie nadprzyrodzonej pomocy, gdyby nie leżało w jego zamiarach, aby ludzie z takiej pomocy korzystali.

Kiedy Aminę patrzyła na Filipa oczami pełnymi promiennego blasku, nie mógł przez chwilę zapanować nad wyłaniającą się z jego

świadomości myślą, że nie jest podobna do innych ludzi.

— Aminę, czy na pewno poślubiłem istotę ziemską? — zapytał spokojnie. — Taką samą jak ja?

— Tak, tak, Filipie. Uspokój się, jestem tylko ziemską istotą. Żałuję, że nie jest inaczej. Że Bóg nie uczynił mnie jednym z tych duchów, który mógłby unosić się nad tobą, czuwać w każdym niebezpieczeństwie, chronić cię i ratować na obłąkanych drogach twego życia. Jestem tylko biedną, słabą niewiastą, której serce bije miłością i oddaniem dla ciebie, która dla ciebie odważyłaby się na wszystko, która z miłości odmieniła swoją naturę, stała się odważna i zuchwała. I odrzuca każdą religię, która by jej zabraniała wzywać niebiosa, ziemię albo piekło, aby jej pomogło zatrzymać przy sobie życie jej duszy.

— Nie, nie, Aminę. Nie mów, że odrzucasz religię. Czyż to — tu Filip wyciągnął z zanzardza świętą relikwię — czyż ona i przekazana przez nią wiadomość nie są dowodem prawdziwości naszej wiary?

— Dużo o tym myślałam, Filipie. Z początku wstrząsnęło to mną do tego stopnia, że prawie uwierzyłam. Ale twoi księża sami pomogli w wyprowadzeniu mnie z błędu. Nie chcieli ci dać odpowiedzi. Opuścili cię, abyś sam sobie był przewodnikiem. Przekazane ci zadanie i święte słowo, i cudowne znaki nie zgadzały się z ich religią, więc się zawahali. Czy mnie nie wolno się zawahać, tak jak oni to uczynili? Twoja relikwia może być mistyczna i potężna, jak utrzymujesz, ale siły, za pośrednictwem których działa, mogą być fałszywe i nikczemne, a dana jej moc dostała się, być może, w nieodpowiednie ręce. Moc pozostaje ta sama, ale używa się jej dla celów nie zamierzonych.

— Mocą krzyża mogą się posługiwać tylko miłujący Tego, który umarł na krzyżu.

— W takim razie to nie jest w ogóle moc, a jeśli jest, to nawet w połowie nie tak wielka, jak moc szatana, bo jego moc zdolna jest działać zarówno dla dobra, jak i dla zła. W tej sprawie, kochany Filipie, nie bardzo się zgadzamy i żadne z nas nie zdoła przekonać drugiego. Ciebie uczono tak, mnie inaczej. Tego, czym nasiąkało nasze dzieciństwo, co rosło wraz z nami i umacniało się w nas z biegiem lat, nie da się wykorzenić. Widziałam moją matkę, jak odprawiała wielkie czary i widziałam, że były one skuteczne. Ty kłękałeś przed księżmi. Nie mam ci tego za złe. Ale też ty nie miej za złe swojej Aminę. Oboje chcemy dobrze... postępujemy dobrze, mam nadzieję.

— Gdyby niewinne, czyste życie było wszystkim, czego się od człowieka wymaga, moja Aminę mogłaby być pewna przyszłej szczęśliwości.

— Myślę, że to jest wszystkim, a ponieważ tak myślę, jest to moją wiarą. Wiele istnieje religii, ale kto ma prawo powiedzieć, która z nich jest prawdziwa? I jakie to ma znaczenie? Wszystkie one mają przed sobą ten sam cel, przyszłe niebo.

— To prawda, Aminę, to prawda — odparł Filip chodząc w zamyśleniu po kajucie — a jednak nasi księża mówią co innego.

— Co jest podstawą ich religii, Filipie?

— Miłość bliźniego i dobra wola.

— Czy miłość bliźniego skazuje na wieki cierpienia tych, którzy nigdy nie słyszeli o tej religii? Którzy żyli i umierali wielbiąc Najwyższą Istotę wedle swojej najlepszej woli i niewielkiej wiedzy?

— Nie, z pewnością nie.

Aminę nie powiedziała nic więcej, a Filip

jeszcze przez kilka minut chodził w zamyśleniu tam d z powrotem, po czym wyszedł z kajuty.

„Utrecht” dopłynął do Przylądka, zaopatrzył się w słodką wodę i ruszył dalej, a po dwóch miesiącach trudnego żeglowania rzucił kotwicę w Gambrunie. Przez cały ten czas Aminę nie ustawała w staraniach o pozyskanie przychylności Scriftena. Często rozmawiała z nim na pokładzie, wyświadczała mu najrozmaitsze uprzejmości i pokonywała lęk, jaki zwykle wzbudzała w niej jego bezpośrednia bliskość. Zdawało się, że Scriften stopniowo zaczynał doceniać tę życzliwość, a w końcu znajdował przyjemność w towarzystwie Aminę. Wobec Filipa bywał niekiedy grzeczny i uprzejmy, ale nie zawsze, za to jego żonie zawsze okazywał szacunek. Wyrażał się w sposób tajemniczy. Aminę nie potrafiła zapobiec jego chichotom, powtarzającemu się co pewien czas „he, he”. Ale gdy rzucili kotwicę w Gambrunie, był już z nią w takiej zażyłości, że raz po raz przychodził do kajuty i choć nie siadał, gawędził z Aminę parę minut, po czym odchodził. Kiedy stali na kotwicy w Gambrunie, pewnego wieczoru Scriften podszedł do Aminę, która siedziała na rufie.

— Pani — przemówił po krótkim milczeniu — tamten okręt za parę dni odpłynie do waszego kraju.

• — Słyszałam o tym — odparła Aminę.

— Czy przyjmiecie, pani, radę kogoś, kto wam dobrze życzy? Wracajcie tym okrętem, wracajcie do swego domu i czekajcie tam, aż mąż wasz znowu powróci.

— Dlaczego tak mi doradzacie?

— Bo przeczuwam niebezpieczeństwo... może śmierć, okrutną śmierć... kogoś, komu nie chciałbym uczynić krzywdy.

¹— Moją śmierć! — odparła Aminę wpatrując się w Schriftena i wytrzymując jego przenikliwe spojrzenie.

— Tak, pani. Niektórzy ludzie umieją zaglądać w przyszłość dalej niż inni.

— Tylko wtedy, gdy nie są śmiertelni.

— Owszem, kiedy są śmiertelni. Ale, czy jestem śmiertelnikiem, czy też nie, widzę coś, co chciałbym odwrócić. Nie kuście dłużej losu, pani.

— Któż zdoła odwrócić los? Jeśli posłucham waszej rady, to moim przeznaczeniem było przyjąć waszą radę, a jeśli jej nie posłucham, to także było moim przeznaczeniem.

— Cóż, zatem unikajcie tego, co wam zagraża, pani.

— Nie boję się, ale mimo to dziękuję. Powiedźcie mi, czy wasz los nie jest w jakiś sposób spleciony z losem mego męża? Czuję, że tak właśnie jest.

— Dlaczego tak myślicie, pani?

— Z wielu powodów. Dwa razy przychodziliście po niego. Dwa razy rozbiliście się na morzu, pojawiliście się znowu w cudowny sposób i powróciliście do zdrowia. Wiecie także o jego posłannictwie, to oczywiste.

— Ale to niczego nie dowodzi.

— Owszem, dowodzi wiele, bo potwierdza, że wiedzieliście to, o czym, zdawało się, wiedział tylko on jeden.

— Wy, pani, także wiedzieliście, a duchowni dysputowali o tej sprawie — odparł Schriften z drwiącym uśmiechem.

— Jak się o tym dowiedzieliście?

— He, he! — zachichotał Schriften. — Wybaczcie mi, pani, nie chciałem was urazić.

— Nie możecie zaprzeczyć, że jesteście złączeni w tajemniczy i niezrozumiały sposób z posłannictwem mojego męża. Powiedźcie mi,

czy J^eg^o misja jest rzeczywiście prawdziwa i święta, jak on wierzy?

— Jeżeli on ją uważa za prawdziwą i świętą, to taką się staje.

— Dlaczego więc jesteście jego wrogiem?

■— Nie jestem jego wrogiem, piękna pani.

— Nie jesteście jego wrogiem? Dlaczego zatem próbowaliście kiedyś odebrać mu świętą relikwię, dzięki której ma dopełnić swego zadania?

— Chciałem mu przeszkodzić w dalszych poszukiwaniach z powodów, o których nie mogę mówić. Czy to dowodzi, że jestem jego wrogiem? Czy nie byłoby lepiej, gdyby pozostał na łądzie, w dostatku i mając przy sobie was, pani, zamiast przemierzać burzliwe morza w tej obłądnej pogoni? Bez relikwii nie mógłby spełnić swej misji. Odebranie mu relikwii byłoby życzliwą przysługą.

Aminę nie odpowiedziała, pogrążona w myślach.

— Pani — podjął po jakimś czasie Schriften — dobrze wam życzę. O waszego męża nie dbam, ale nie życzę mu niczego złego. A teraz wysłuchajcie mnie, pani. Jeżeli pragniecie, aby dalsze życie upływało wam w dostatku i spokoju, jeżeli waszym pragnieniem jest długo pozostać na tym świecie razem z mężem wybranym przez pierwszą, najgorętszą miłość, jeżeli pragniecie, aby on umarł we własnym łóżu i w sędziwym wieku, abyście mogli zamknąć mu oczy, aby wasze dzieci oplakiwały ojca i pocieszały matkę swymi uśmiechami... Widzę to wszystko i mogę wam to obiecać na przyszłość, jeżeli zabierzecie relikwię z jego piersi i oddacie mnie. A jeżeli chcecie, żeby cierpiał więcej, niż cierpiał jakikolwiek człowiek, żeby całe życie mijało mu w zwątpieniu, niepewności i bólu, zanim głębiny morskie pochłoną

jego oiało, to pozostawcie mu tę relikwię. Jeżeli chcecie, żeby dni waszego życia, pani, zostały skrócone, a te, które wam jeszcze pozostają, wydłużyły się w cierpieniach, jeśli chcecie zostać rozłączoną ze swoim mężem i ponieść okrutną śmierć... to pozostawcie mu tę relikwię. Umiem czytać w przyszłości i taki musi być los was obojga. Pani, rozważcie dobrze. Muszę już odejść. Odpowiedź dacie mi jutro.

Schriften odszedł pozostawiając Aminę jej własnym myślom. Przez długi czas rozmyślała o niedawnej rozmowie i przepowiedniach tego człowieka, co do którego była już przekonana, że nie jest z tego świata i że w taki czy inny sposób jest głęboko związany z losem jej męża. Mnie życzy dobrze, niczego złego nie życzy memu mężowi i chce mu przeszkodzić w poszukiwaniach. Dlaczego? Tego nie wyjawia. Kusił mnie, kusił bardzo dziwnie. Jak łatwo byłoby zabrać relikwię, gdy Filip śpi na mym łonie, ale jakże zdradziecko! A jednak, życie w dostatku i spokoju, uśmiechnięte dzieci, piękny sędziwy wiek... co za pokusa dla czulej i do szaleństwa kochającej żony. A jeśli nie, to ciężki trud, niepokój i grób na dnie morza. A ja? Ach, to głupstwo. Jednakże... umierać z dala od Filipa, czy to naprawdę głupstwo? O nie, myśl o tym mnie przeraża. Tak, wierzę mu. Przepowiedział przyszłość, przepowiedział prawdziwie. Czy potrafiłabym przekonać Filipa? Nie. Znam go dobrze. Przysiągł i nie da się przekonać. Ale gdyby mu zabrać relikwię bez jego wiedzy, nie mógłby winić siebie. Kogo by zatem obwiniał? Czy potrafiłabym go oszukać? Ja, najukochańsza żona, okłamać go? Nie, nie! Tego mi nie wolno. Niech się stanie, co chce, to nasze przeznaczenie, poddam się. Wolałabym, żeby Schriften mi tego nie powie-

dział. Niestety. Zaglądamy w przyszłość, a później chętnie byśmy się wycofali i żał nam, że nie pozostaliśmy w nieświadomości.

— Czemu się tak zamyśliłaś? — zapytał Filip, gdy po jakimś czasie przyszedł tam, gdzie siedziała Aminę.

Nie od razu odpowiedziała. Czy mam mu powiedzieć wszystko? — pomyślała. To jedyna okazja... powiem. Powtórzyła mu treść swojej rozmowy ze Schriftenem. Filip nic nie odrzekł, usiadł obok niej i wziął ją za rękę. Aminę oparła głowę o jego ramię.

— Co o tym myślisz? — zapytał po chwili.

— Nie mogłabym ci ukraść relikwii, Filipie. Może sam mi ją oddasz?

— A mój ojciec, mój nieszczęśliwy ojciec? Jego straszliwa kara ma trwać wiecznie? Wzywał i było mu dozwolone wzywać pomocy syna, aby straszna kara mogła być odwrócona. Czy rozmowa ze Schriftenem nie przekonuje cię o tym, że moje posłannictwo nie jest fałszywe? Czy fakt, że on wie o nim, nie potwierdza wszystkiego? Ale dlaczego chciałby temu przeszkodzić? — zastanowił się Filip.

— Nie potrafię ci odpowiedzieć dlaczego, ale chętnie sama bym temu przeszkodziła. Czuję, że on posiada dar odczytywania przyszłości i że ją dobrze odczytał.

— Niech i tak będzie. Ale mówił niejasno. Przepowiedział mi to, na co od dawna jestem przygotowany, co przysiągłem Bogu przeczepić. Wiele już wycierpiałem i jestem gotów wycierpieć więcej. Od dawna patrzę na ten świat jako na drogę pielgrzymki, a ponieważ zostałem wybrany, ufam, że nagroda czeka mnie na tamtym świecie. Ale ty, Aminę, nie jesteś związana przysięgą złożoną Bogu, tyś nie zawierała żadnego paktu. Schriften radził

ci wracać do kraju, mówił o okrutnej śmierci. Posłuchaj jego rady, a zdołasz tego uniknąć.

— Nie jestem związana przysięgą, Filipie, ale posłuchaj. Jak pragnę zbawienia wiecznego, teraz oto wiąże się przysięgą.

— Aminę, zaczekaj!

— Nie, Filipie, nie możesz mi przeszkodzić, bo jeśli przeszkodzisz teraz, powtórzę tę przysięgę w twojej nieobecności. Okrutna śmierć byłaby dla mnie łaską, bo nie będę widziała twoich cierpień. Dlatego też, obym nie dostała wiecznej szczęśliwości, oby cierpienie było moim udziałem na wieki, jeżeli cię opuszczę, zanim sam los nas rozłączy. Należę do ciebie. Jestem twoją żoną. Moje szczęście i nieszczęście, moje obecne życie i przyszłość, wszystko co moje złączone jest z tobą i choćby los sprowadził na nas najgorsze, Aminę się nie ulęknę. Nie jestem tchórzliwego serca, nie uchylę się przed niebezpieczeństwem ani przed cierpieniem. Przynajmniej pod tym względem, Filipie, dokonałeś dobrego wyboru, dobrze się ożeniłeś.

Filip w milczeniu podniósł jej rękę do ust i nie podjęli już więcej tej rozmowy. Nazajutrz wieczorem Schriften znów przyszedł do Aminę.

— A więc jak, pani?

— Nie mogę tego uczynić, ale dziękuję wam bardzo.

— Pani, jeżeli on musi iść dalej za swoim posłannictwem, dlaczegoż wy mielibyście to czynić?

— Słuchajcie, jestem jego żoną. Jego na zawsze, w tym życiu i w przyszłym. Nie możecie mieć mi tego za złe.

— Nie, pani — odparł Schriften — nie mam wam tego za złe, podziwiam was. Żal mi. Ale ostatecznie, cóż to jest śmierć? Nic. He, he! — Odszedł szybko, pozostawiając Aminę samą.

ROZDZIAŁ 22

„Utrecht” wyszedł z Gambrunu, na krótko zawinął na Cejlon i płynął dalej przez wschodnie morza. Schriften pozostał na okręcie, ale od czasu swej ostatniej rozmowy z Aminę trzymał się na uboczu i zdawało się, że unika zarówno jej, jak i Filipa. Nie próbował już jednak, jak dawniej, podburzać załogi ani nie pozwalał sobie na zwykłe urągłości i szyderstwa. To, co wyjawiał Aminę, wywarło wpływ i na nią, i na Filipa. Byli bardziej zamyśleni, jedno starało się ukryć przed drugim swoje przygnębienie, a gdy tulili się we wzajemnym uścisku, nie odstępowało ich ponure uczucie, że może wkrótce zabraknie im tej pieszczoty. Jednocześnie hartowali swe serca do wytrwania i przygotowywali się na najgorsze. Krantz dziwił się tej zmianie, ale oczywiście nie umiał sobie jej wytłumaczyć. „Utrecht” był już niedaleko od Wysp Andamańskich, gdy któregoś dnia Krantz, sprawdzwszy stan barometru, wszedł wczesnym rankiem do kajuty Filipa.

— Według wszelkich znaków możemy się spodziewać tajfunu, panie kapitanie — powiedział. — Ani barometr, ani pogoda nie wróżą nic dobrego.

— W takim razie musimy wszystko przygotować. Natychmiast opuścić bramreje i małe żagle. Spuścimy bramstengi. Będę tam za minutę.

Filip wybiegł na pokład. Morze było spokojne, ale już zawodzenie wiatru zwiastowało zbliżający się sztorm. Próżnia w powietrzu miała się lada chwila wypełnić w strasznym spazmie. Biała mgielka zbierała się szybko, gęstniejąc coraz bardziej. Zwołano marynarzy, wszystkie ciężkie przedmioty zniesiono pod po-

kład i zabezpieczono działa. Wtem silny podmuch wiatru przechylił okręt, przewalił się nad nim i po chwili „Utrecht” wrócił do poprzedniej pozycji. Następny podmuch i następny, coraz bardziej gwałtowne. Morze, choć nie wzburzone, w miarę jak tajfun zmiatał je we wściekłym galopie, zbiegało w końcu od piany jak prześcieradło. Wicher uderzył w okręt, który przechylił się aż po linię pokładu i tak już pozostał. Po kwadransie huragan przeszedł, okręt się wyprostował, ale morze zaczęło falować i dał silny wiatr. W godzinę później nadleciał nowy podmuch, gwałtowniejszy, wścieklejszy niż poprzednim razem, cisnął im w twarz bryzgami fal, lunęły potoki deszczu, okręt przechylił się niebezpiecznie i pozostawał w tej pozycji, dopóki dziki podmuch się nie oddalił, aby się nie zniszczył, daleko, pozostawiając za sobą wzburzone, gniewne morze.

— Zdaje się, panie kapitanie, że już prawie przeszło — odezwał się Krantz. — Od nawietrznej trochę się rozjaśnia.

— Myślę — odparł Filip — że najgorsze minęło.

— Nie, najgorsze dopiero przyjdzie — usłyszał obok siebie przyciszony głos. Powiedział to Schriften.

— Po nawietrznej jakiś okręt sztormuje rufą do wiatru — zawołał Krantz.

Filip spojrział ku nawietrznej i w miejscu, gdzie horyzont był najjaśniejszy, dostrzegł okręt pod marsłami i fokiem, idący kursem prosto na nich.

— To jakiś duży okręt. Przynieście mi lunetę.

Przyniesiono mu ją z kajuty, lecz zanim Filip zdążył ją podnieść do oczu, lekka mgła ze-

brała się znów po nawietrznej i nie można już było dojrzeć okrętu.

— Znów się zaciągnęło — zauważył Filip składając lunetę. — Musimy się -mieć na baczności, żeby ten okręt za bardzo się do nas nie zbliżył.

— Na pewno nas dojrzał, panie kapitanie — odparł Krantz.

Parę minut później tajfun szalał od nowa i powietrze wypełniło się gęstym mrokiem. Zdawało się, że wściekły wichur miota przed siebie kłęby ciężkiej mgły. Nie widać było nic poza białą pianą na morzu, a i to na odległość zaledwie pół kabla, dalej bowiem zatracala się w otchłani ciemnoszarej mgły. Sztormsztaksel nie wytrzymał siły wiatru; podarty na strzępy, chlastał i trzaskał głośniejsz niż wichura. Znowu przeleciał gwałtowny podmuch i mgła się nieco rozwinęła.

— Okręt po nawietrznej na trawersie, blisko nas — krzyknął jeden z marynarzy.

Krantz i Filip skoczyli do nadburcia; w odległości najwyżej trzech kabli zobaczyli duży okręt idący wprost na nich.

— Ster na burzę! Nie widzą i wpakują się na nas — wołał Filip. — Ster na burzę, powiadam. Mocno, prędko!

Przełożono ster na burzę, a tymczasem marynarze, widząc grożące z bliska niebezpieczeństwo, wspinali się na działa, aby zobaczyć, czy tamten okręt nie zmieni kursu. Nie. Szedł prosto na nich, przy czym spostrzegli ze zgrozą, że „Utrecht”, którego forsztakse zostały zerwane, nie słucha steru i nie odpada od wiatru, jak tego pragnęli.

— Okręt, ahoy! — ryknął Filip przez tubę, ale wichura odniosła jego głos z powrotem.

— Okręt, ahoy! — wrzeszczał Krantz z nadburcia, wymachując kapeluszem.

Nic nie pomagało. Okręt zbliżał się, tnąc dziobem spienioną wodę, był już w odległości strzału z pistoletu od „Utrechta”.

— Okręt, ahoy! — ryczeli wszyscy marynarze tak głośno, że nie można ich było nie słyszeć.

Żadnej reakcji. Okręt sunął wprost na nich, jego dziobnica była już o dziesięć jardów od „Utrechta”. Spodziewając się, że wskutek zderzenia ich okręt zostanie rozszczępiony na dwoje, marynarze wdrapywali się na wanty po nawietrznej, gotowi chwycić się lin tamtego okrętu i przeskoczyć na jego pokład. Aminę, zdziwiona hałasem na pokładzie, wyszła z kajuty i ujęła Filipa pod ramię.

— Trzymaj się mnie... zderzenie... — powiedział Filip. Nie miał czasu wyrzec nic więcej.

Dziobnica obcego okrętu dotknęła ich burty. Marynarze na „Utrechcie” podnieśli jeden wielki krzyk. Skoczyli, aby się uchwycić olinowania bukszprytu, który się wbił pomiędzy ich maszty. Nie chwycili nic... zupełnie nic! Nie odczuli żadnego wstrząsu, żadnego zderzenia. Zdawało się, że obcy okręt rozcina „Utrechta” na pół. Jego kadłub przesuwał się w ciszy, bez trzasku łamanych wręg, bez łoskotu walących się masztów. Fokreja przeszła przez ich grotżagiel nie rozdzierając płótna. Wydawało się, że okręt przerywa się przez „Utrechta”, nie zostawiając jednak ani śladu uszkodzeń, bez pośpiechu, powoli, jakby naprawdę przepiłowywał go swym ostrym dziobem w takt wznoszenia się i opadania fali. Łańcuchy watersztagów przeszły przez mocnicę burtową „Utrechta”, zanim Filip zdążył się opamiętać.

— Aminę — zawołał wreszcie — to Okręt Widmo! Mój ojciec!

Marynarze „Utrechta”, bardziej zaskoczeni cudownym przebiegiem wydarzenia niż grożą-

cym poprzednio niebezpieczeństwem, zeskakiwali na pokład. Jedni pospieżyli na dół, inni modlili się głośno, jeszcze innym zdumienie i strach odebrały mowę. Aminę sprawiała wrażenie spokojniejszej niż inni, nie wyłączając Filipa. Obserwowała, jak tamten okręt powoli przerywał się przez nich. Widziała marynarzy wychylających się spokojnie przez burtę, jakby się śmiali z dokonywanego zniszczenia. Szukała wzrokiem samego Vanderdeckena i ujrzała na rufie okrętu, z tubą pod pachą, sobowtóra swego Filipa. Ta sama mocna, solidna budowa ciała, te same rysy, z wyglądu mniej więcej ten sam wiek. Nie mogło być żadnych wątpliwości, że to „potępiony” kapitan Vanderdecken.

— Patrz, Filipie — powiedziała. — Patrz, to twój ojciec.

—■ Chyba tak... Boże miłosierny! Tak, tak, to on. — Obezwładniony gwałtownym wzruszeniem Filip osunął się na pokład.

Obcy okręt przeszedł już przez „Utrechta”. Widać było postać starszego Vanderdeckena, który zbliżył się do relingu rufowego i spoglądał w ich stronę. W pewnej chwili Aminę spostrzegła, że wzdrygnął się i odwrócił. Spojrzawszy w dół zobaczyła Schriftena wygrażającego pięścią nadprzyrodzonej zjawie. Niesiony wiatrem Okręt Widmo odpływał ku zawietrznej i wkrótce zniknął we mgle. Zanim to nastąpiło, Aminę odwróciła się i spostrzegła leżącego Filipa. Wyglądało na to, że tylko ona i Schriften byli zdolni poruszać się i coś robić. Napotkała spojrzenie jednookiego pilota, dała mu znak ręką i z jego pomocą odprowadziła Filipa do kajuty.

ROZDZIAŁ 23

— A więc widziałem go — rzekł Filip leżąc na sofie w kajucie, gdzie po kilku minutach przyszedł do siebie. Aminę siedziała pochylona nad nim. — Nareszcie go zobaczyłem. Czy możesz jeszcze wątpić, Aminę?

— Nie, Filipie, nie wątpię już — odparła ze smutkiem. — Ale bądź odważny.

— Gdyby chodziło o mnie, nie potrzebowałbym odwagi. Ale chodzi o ciebie. Wiesz, że jego pojawienie się zwiastuje nieszczęście, które z pewnością nadejdzie.

— Niech nadchodzi — odparła Aminę ze spokojem. — Jestem od dawna na to przygotowana, i ty także.

— Tak, jeśli chodzi o mnie samego, ale nie o ciebie.

— ■ Nie raz przecież rozbiłeś się na morzu i ocalałeś. Dlaczego więc ja nie miałabym ocalać?

— Ale to, co trzeba będzie wycierpieć...

— Najmniej cierpią ci, którzy mogą przeciwstawić cierpieniom najwięcej odwagi. Jestem tylko niewiastą, słabą i wątłą cieleśnią, ale wierzę, że mam w sobie coś, dzięki czemu nie będziesz musiał się wstydzić swojej Aminę. Nie, Filipie, z moich ust nie usłyszysz lamentów ani słów rozpacz. Jeżeli potrafię cię pocieszyć, uczynię to, jeśli potrafię ci pomóc, pomogę. Cokolwiek się jednak zdarzy, gdybym nie umiała być ci użyteczną, przynajmniej nie będę ci ciężarem.

— Twoja obecność w nieszczęściu odbierze mi odwagę.

— Nie, ona ci doda śmiałości, choćby los zesłał najgorsze.

— Możesz mi wierzyć, Amine, że to nastąpi niedługo.

— Możliwe, Filipie, ale byłoby lepiej, gdybyś się pokazał na pokładzie. Marynarze są wystraszeni i zauważą twoją nieobecność.

— Masz rację — odparł Filip. Wstał, uściśnął ją i wyszedł z kajuty.

A więc to rzeczywiście prawda, pomyślała Amine. Teraz trzeba przygotować się na katastrofę i śmierć. Mieliśmy ostrzeżenie. Chciałabym wiedzieć coś więcej. O matko, matko, spójrz z nieba na twe dziecko i odkryj mi we śnie tajemnicze obrzędy, których zapomniałam. Wtedy dowiem się więcej. Ale przyrzekłam Filipowi, że tylko w razie rozłąki... tak, ta myśl jest gorsza niż śmierć, a mam złe przeczucie. Braknie mi odwagi tylko wówczas, gdy pomyślę o tym.

Powróciwszy na pokład Filip zastał załogę w wielkim przerażeniu. Nawet Krantz wydawał się wytrącony z równowagi. Nie zapomniał on zjawienia się Okrętu Widma w pobliżu Desolation Harbour ani tego, jak ich własny okręt podążał za nim ku swej zgubie. To drugie ukazanie się, straszniejsze od poprzedniego, całkiem mu odebrało odwagę. Gdy Filip wyszedł z kajuty, Krantz stał w ponurym milczeniu, oparty o grodz po nawietrznej.

— Nie dopłyniemy do żadnego portu, panie kapitanie — powiedział do Filipa, kiedy ten się zbliżył.

— Ciszej, ciszej, ludzie mogą was usłyszeć.

— To nie ma znaczenia, oni myślą to samo.

— Ale nie mają racji — odparł Filip i odwrócił się do marynarzy. — Chłopaki, skoro ten okręt się nam pokazał, to najpewniej przydarzy się nam jakieś nieszczęście. Widywałem go już nie raz i rzeczywiście nieszczęścia się przydarzały. Ale oto stoję przed wami żyw

i cały, co jest dowodem, że możemy się z tego wywinąć, tak jak ja się wywijałem dotychczas. Musimy zrobić wszystko co w naszej mocy i zaufać Bogu. Sztorm szybko się uspokaja i za parę godzin będziemy mieli ładną pogodę. Spotykałem się już z Okrętem Widmem i nie dbam o to, jak często będę go jeszcze spotykać. Panie Krantz, dajcie się czegoś napić. Ludzie mieli ciężką robotę i muszą być zmordowani.

Zdawało się, że sama nadzieja napicia się mocnego trunku dodała ducha marynarzom. Skoczyli wykonać rozkaz, a ilość rozdanego grogu wystarczyła, aby dodać odwagi najbardziej strachliwym i skłonić pozostałych do urągania staremu Vanderdeckenowi i jego diabelskiej załodze. Nazajutrz rano pogoda była śliczna, morze spokojne i „Utrecht” beztrudno płynął dalej.

Łagodne bryzy i przychylne wiatry utrzymujące się przez wiele dni stopniowo zacierają w pamięci strach wywołany przez niesamowitą zjawę i jeśli o niej nie zapomnieli, to w każdym razie wspominali ją albo żartobliwie, albo obojętnie. Przepłynęli już cieśninę Malakka i wyszli na Archipelag Polinezyjski. Filip miał polecenie zawinąć na wysepkę Boton, będącą wówczas w posiadaniu Holendrów, aby odświeżyć zapasy i odebrać instrukcje. Przybyli tam bezpiecznie i po dwudniowym postoju odpłynęli w dalszą drogę, zamierzając przejść pomiędzy Celebesem a wyspą Galago. Pogoda była nadal dobra i wiatr łagodny. Posuwali się ostrożnie ze względu na rafy i prądy, wypatrując przy tym uważnie pirackich statków, które od wieków były utrapieniem tych mórz. Nikt jednak ich nie zaczepił i zapuścili się już daleko między wyspy na północ od Galago, gdy nastała cisza, a prąd znosił okręt na wschód od tej wyspy. Cisza trwała kilka dni

i nie mogli trafić na miejsce odpowiednie do kotwiczenia. W końcu znaleźli się pośrodku grupy wysp w pobliżu północnego wybrzeża Nowej Gwinei.

Rzucili kotwicę i zwinęli na noc żagle. Zaczęła siąpić drobna mżawka, było pochmurno. W wielu miejscach na okręcie rozstawiono strażę, aby nie dać się zaskoczyć pirackim prau. Prąd miał prędkość ośmiu do dziewięciu mil na godzinę, toteż stateczki te, jeśli się ukryły między wyspami, mogły napaść na „Utrechta” niepostrzeżenie.

Była dwunasta w nocy, gdy Filip, który już spał, obudził się od jakiegoś wstrząsu. Pomyślał, że to może prau otarło się o burtę. Zerwał się z koi i wybiegł na pokład nie ubrany. Nastąpił drugi wstrząs, po czym okręt przechylił się na lewą burtę. Filip zrozumiał, że weszli na mieliznę.

Ciemna noc nie pozwalała im rozeznaczyć, gdzie się znajdują, ale gdy wyrzucili sondę za burtę, okazało się, że utknęli na piaszczystej ławicy i że w najgłębszym miejscu głębokość wody nie przekracza czternastu stóp. Okręt ustawił się w poprzek mielizny, a silny prąd wpychał go na nią coraz dalej. Prąd pędził jak woda w młynie i z każdą minutą znosił ich na coraz płytszą wodę.

Sprawdzili, że „Utrecht” powłókł kotwicę; wprawdzie po prawej stronie dziobu miała ona łańcuch napięty, ale to nie chroniło okrętu przed spychaniem go dalej na mieliznę. Podejrzewali, że urwało się ramię kotwicy, więc rzucili drugą.

Do świtu nie można było zrobić nic więcej, toteż niecierpliwie oczekiwali ranka. Gdy słońce wstało i mgła się przetaiła, zobaczyli, że siedzą na piaszczystej ławicy, której niewielka część wynurzała się z wody, omywana bardzo

byстрыm prądem. W odległości około trzech mil widać było mały archipelag wysepek porośniętych palmami kokosowymi, ale nie wyglądających na zamieszkane.

— Niestety, mamy niewielkie szanse — rzekł Krantz do Filipa. — Jeżeli odładujemy okręt, to kotwica może go nie utrzymać i prąd zepchnie nas jeszcze dalej, a pod taki silny prąd nie da się wywieźć kotwicy.

— W każdym razie musimy spróbować, ale przyznaję, że nasze położenie trudno nazwać dobrym. Przyślijcie mi wszystkich ludzi na rufę.

Marynarze zebrali się na rufie smutni i przygnębieni.

— Chłopcy — przemówił do nich Filip — czemu jesteście tacy zniechęceni?

— Przepadliśmy, panie kapitanie. Wiedzieliśmy, że tak się stanie.

— Uważałem za rzecz możliwą, że okręt zginie. Mówiłem wam o tym. Ale zguba okrętu nie oznacza przecież zguby załogi. Mało tego, okręt może się znaleźć w wielkiej biedzie, tak jak teraz, ale nie musi z tego powodu przepaść. Czego mamy się bać, chłopcy? Morze jest spokojne, mamy dużo czasu, możemy zbudować tratwę i spuścić szalupy. Między tymi wyspami nigdy nie ma wiatrów, a ląd jest blisko nas po zawietrznej. Najpierw spróbujmy, co się da zrobić z okrętem, a jeśli nie damy rady, wówczas zajmijmy się sobą.

Marynarze uchwycili się tej myśli i rażno zabrali się do roboty. Wylali wodę z beczek i uruchomili pompy, a wszystko, bez czego można się było obyć, wyrzucili za burtę, aby zmniejszyć ciężar okrętu. Ale kotwica wciąż się wlokła, gdyż piaszczysty grunt słabo trzymał, a prąd był silny; Filip i Krantz widzieli, że spycha ich coraz dalej na ławicę.

Nadeszła noc, zaniem przerwali ciężką pracę. Zerwał się silny wiatr podnosząc fale, która uderzała dnem okrętu o twardy piasek. Trwało to aż do rana. O świcie marynarze wzięli się znów do roboty. Znow pompowali, aby opróżnić kadłub okrętu z wody, która się tam przedostała. Po pewnym czasie zaczęli wypompowywać piasek, co wskazywało na to, że puściły jakieś wiązania poszycia i że ich trud jest daremny. Rzucili pracę, ale Filip dalej dodawał im otuchy mówiąc, że z łatwością mogą się uratować, jeśli tylko zbudują tratwę, na którą załaduje się zapas żywności oraz tych ludzi z załogi, którzy nie- zmieszczą się w łodziach.

Po krótkim odpoczynku marynarze raz jeszcze podjęli pracę. Opuścili marsie i reje, po czym zaczęli budować tratwę na zawietrznej, gdzie prąd nie był tak silny. Pamiętając o swej poprzedniej katastrofie, Filip dokładał wszelkich starań przy budowie tratwy. Zdawał sobie sprawę, że w miarę zużywania słodkiej wody i żywności niepotrzebne będzie holowanie tak ciężkiej tratwy, toteż budował ją z dwóch części, które można było łatwo rozłączyć; dzięki temu, gdy tylko okoliczności pozwoliłyby porzucić jedną część tratwy, łodzie miałyby mniej do holowania.

Znowu noc przerwała im pracę i marynarze udali się na spoczynek. Pogoda wciąż była ładna, wiał bardzo słaby wiatr. Nazajutrz w południe tratwa była gotowa. Załadowali na nią wodę i prowiant. Pośrodku jednej części tratwy urządzili dla Aminę bezpieczne i suche schronienie. Załadowali też zapasowe liny, żagle i wszystko, co mogło się przydać w wypadku, gdyby zniosło ich na mieliznę. Zabrali muszkiety i amunicję. Kiedy wszystko już było gotowe, marynarze przyszli na rufę i przypom-

nieli Filipowi, że na okręcie jest mnóstwo pieniędzy, że byłoby głupotą je zostawić i że chcą zabrać tyle, ile tylko się da. Ze sposobu, w jaki to oświadczyli, widać było jasno, że są zdecydowani przeprowadzić swój zamiar, wobec czego Filip nie protestował. W duchu jednak postanowił, że gdy przybędą do takiego miejsca, gdzie będzie mógł wyegzekwować posłuch dla swej władzy, odbierze te pieniądze w imieniu Kompanii, do której należały. Marynarze zeszli pod pokład i podczas gdy Filip urządził Aminę, wynieśli z ładowni beczki z talarami, odbili je i brali, ile się dało, kłócąc się przy otwieraniu każdej beczki o to, kto ma brać pierwszy. W końcu każdy wziął tyle, ile mógł unieść, i umieścił zdobycz na trawie razem ze swoim bagażem lub w szalupie, do której został przydzielony. Wszystko już było gotowe. Opuszczono Aminę na tratwę, gdzie zajęła przygotowany dla niej szalás. Łodzie wzięły tratwę na hol, po czym odwiązano ją od okrętu. Odплыnęli z prądem wiosłując co sił, aby się nie dać zepchnąć na tę część piaszczystej ławicy, która się wynurzała z wody. Było to groźne niebezpieczeństwo, któremu musieli stawić czoła, i ledwie się z niego wywinęli.

Było ich razem osiemdziesiąt sześć dusz, w łodziach trzydziestu dwóch ludzi, reszta na tratwie, solidnie zbudowanej z dużej ilości drewna, dzięki czemu przy spokojnym morzu płynęła wynurzona wysoko. Filip umówił się z Rrantzem, że jeden z nich zostanie na tratwie, a drugi w którejś z łodzi. Ale w momencie gdy tratwa odbiła od okrętu znajdowali się na niej obaj, chcieli bowiem, zaraz po ustaleniu kierunku prądu, naradzić się co do najważniejszego kursu. Okazało się, że prąd, wyminąwszy ławicę, zawracał bardziej na po-

łudnie, ku Nowej Gwinei. Zaczęli więc radzić nad tym, czy mają lądować na tej wyspie, której mieszkańcy byli znani nie tylko ze swej małoduszności, ale i ze zdradliwości. Narada trwała długo, w końcu jednak postanowili jeszcze się nie decydować, lecz czekać na dalszy bieg zdarzeń. Tymczasem łodzie wiosłowały na zachód, a prąd znosił je uparcie na południe.

Zapadła noc i łodzie rzuciły kotwiczki, w które były wyposażone. Filip stwierdził z zadowoleniem, że prąd jest już daleko słabszy i kotwiczki trzymają zarówno łodzie, jak i tratwę. Zmęczeni marynarze, nakrywszy się zapasowymi żaglami, które zabrali z sobą, i wystawiwszy straż, wkrótce zasnęli kamiennym snem.

—■ Czy nie powinienem być zostać w jednej z łodzi? — zastanowił się głośno Krantz. — Przypuśćmy, że łodzie porzucą tratwę, żeby się same ratować.

— Myślałem o tym — odparł Filip. — Dlatego nie pozwoliłem załadować do łodzi wody ani żywności. Z tego właśnie powodu nie opuszcza nas.

— Prawda, zapomniałem.

Krantz został na straży, a Filip poszedł spać, gdyż bardzo już tego potrzebował. Amine przyjęła go z otwartymi ramionami.

— Wcale się nie boję, Filipie. Nawet podobą mi się ta niezwykła przygoda. Zejdziemy na ląd i zbudujemy sobie chatkę pod palmami kokosowymi. Będę się skarżyć i narzekać, jeśli pewnego dnia przybędzie pomoc, aby nas wyswobodzić z bezludnej wyspy. Czy potrzeba rai czegokolwiek poza tobą?

— Kochanie — odparł Filip — jesteśmy w ręku Boga, który uczyni z nami wedle swo-

jej woli. Musimy być wdzięczni za to, że nie jest gorzej. Ale teraz już czas spać, bo niezadługo muszę objąć wachtę.

Kiedy wstał rano, morze było spokojne, a niebo błękitne. Tratwa przesunęła się ku zachodniej stronie grupki niezamieszkałych wysp, o których wspominaliśmy, i nie było już nadziei, aby mogła dobić do którejś z nich. Ale na zachodzie widać było rysujące się na tle horyzontu, czuby i pnie palm kokosowych. Postanowili więc holować tratwę w tamtym kierunku. Po śniadaniu marynarze chwycili za wiosła, gdy wtem zauważyli pełne ludzi prau, podążające za nimi od strony jednej z wysp po nawietrznej. Nie mogło być żadnej wątpliwości, że to statek piracki, ale Filip i Krantz uważali, że dysponują siłami aż nadto wystarczającymi do odparcia ataku, gdyby piraci zamierzali ich napaść. Wy tłumaczyli to marynarzom. Rozdali broń wszystkim w łodziach i tym znajdującym się na tratwie, aby zaś marynarze nie byli zmęczeni, kazali im przestać wiosłować i czekać na zbliżenie się prau.

Gdy tylko statek piracki znalazł się w zasięgu ognia, rozpoznawszy przeciwników zaniechał wiosłowania i zaczął strzelać z małej armatki ustawionej na dziobie. Kartacze, którymi do nich walili piraci, zraniły kilku marynarzy, mimo że Filip kazał im się położyć płasko na tratwie i w łodziach. Piraci podплыли bliżej, ogień ich stawał się coraz bardziej morderczy, podczas gdy marynarze z „Utrechta” nie mogli nań odpowiedzieć. W końcu więc zaproponowali Filipowi, aby łodzie zaatakowały piratów, gdyż była to jedyna szansa ocalenia. Filip zgodził się na to. Przydzielił do łodzi więcej marynarzy, a Krantz objął nad nimi dowództwo. Odwiązali tratwę i powiosłowali. Zaledwie jednak nieco się oddalili, za-

wrócili jak na komendę i popłynęli w przeciwnym kierunku. Filip słyszał głos Krantz i widział, jak jego szpada błysnęła w powietrzu. W chwilę później Krantz skoczył do wody i popłynął w stronę tratwy. Wyglądało na to, że marynarze w łodziach, pragnąc uratować pieniądze, które mieli przy sobie, umówili się, że odpłyną pozostawiając tratwę własnemu losowi. Z tą myślą podsunęli propozycję zaatakowania piratów i jak tylko się uwolnili od tratwy, wprowadzili w czyn swoje zamiary. Na próżno Krantz czynił im wyrzuty i groził; byliby go zabili. Gdy zrozumiał, że jego wysiłki na nic się nie dadzą, wyskoczył z łodzi.

— W takim razie obawiam się, że jesteśmy zgubieni — powiedział Filip. — Zostało nas tak niewiele, że nie możemy mieć nadziei na bronienie się przez dłuższy czas. Co myślicie, Schriften? — zaryzykował zwracając się z tym pytaniem do stojącego obok pilota.

— Zgubieni... ale nie z powodu piratów. Od nich nic nam nie grozi. He, he!

Uwaga Schriftena była trafna. Myśląc, że uciekający w łodziach marynarze zabrali z sobą wszystkie wartościowe rzeczy, piraci, zamiast strzelać do tratwy, natychmiast puścili się w pogoń za łodziami. Długie ich wiosła znów zagarniały wodę i prau śmigало jak ptak po spokojnym morzu. Minęło tratwę i początkowo odległość między nim a łodziami wyraźnie się zmniejszała. Wkrótce jednak szybkość jego zmaląa i pod koniec dnia najpierw łodzie, a za nimi statek piracki, znikły na południu, przy czym dzieląca je odległość wydawała się mniej więcej taka sama, jak na początku pościgu.

Ponieważ tratwa była teraz na łasce wiatru i fal, Filip i Krantz zgromadzili narzędzia cie-

sielskie zabrane z „Utrechta” i, wybrawszy z tratwy dwa drzewca, przygotowali wszystko do ustawienia masztu i postawienia żagla na-
zajutrz rano.

Pierwszą rzeczą, którą ujrzeli o świcie następnego dnia, były łodzie wiosłujące z powrotem ku tratwie, a tuż za nimi piraci. Marynarze wiosłowali całą noc i byli zupełnie wyczerpani. Przypuszczalnie po naradzie doszli do wniosku, że trzeba zatoczyć szeroki łuk i zawrócić do tratwy, bo jeśli im się uda do niej dopłynąć, to będą mogli się bronić, a ponadto zdobędą żywność i słodką wodę, których nie mieli w łodziach w momencie dezercji. Ale sądzone im było inaczej. Zmordowani ludzie stopniowo wypuszczali z rąk wiosła i osuwali się na dno łodzi, a piraci ścigali ich ze zdwojoną energią. Opanowali łodzie jedną po drugiej. Znaleziony łup przewyższał ich oczekiwania. Byłoby zbytecznym dodawać, że żadnemu z marynarzy nie darowali życia. Wszystko to działo się w odległości trzech mil od tratwy. Filip spodziewał się, że piraci z kolei zaatakują ich, ale się mylił. Zadowoleni ze zdobyczy, nie wyobrażali sobie, że na tratwie mogło być coś więcej, toteż powiosłowali na wschód, w stronę wysp, spośród których przedtem wychynęli. W ten sposób zostali słusznie ukarani ci, którzy spodziewali się ocaleć i opuścili swych towarzyszy, podczas gdy ci, którzy oczekiwali najgorszego wskutek tej dezercji, zrozumieli, że stała się ona przyczyną ich ocalenia.

Na tratwie pozostało czterdzieści sześć osób: Filip, Krantz, Schriften, Aminę, dwaj oficerowie, szesnastu marynarzy oraz dwudziestu czterech żołnierzy, którzy zostali zaokrętowani w Amsterdamie. Prowiantu mieli dosyć na trzy do czterech tygodni, ale wody bardzo ską-

po; wystarczyło zaledwie na trzy dni przy normalnych racjach. Gdy tylko ustawiono i otaklowano maszt oraz postawiono żagle (choć prawie nie było powiewu), Filip wytłumaczył ludziom konieczność zmniejszenia racji wody. Zgodzili się na wydawanie jej w takich ilościach, aby zapas wystarczył na dwanaście dni, to jest na ograniczenie racji do kwaterki dziennie.

Ponieważ tratwa składała się z dwóch części, zaczęli dyskutować, czy nie byłoby lepiej odłączyć mniejszą część i umieścić wszystkich ludzi na większej. Odrzucono jednak ten projekt, gdyż, po pierwsze, liczba ludzi na tratwie niewiele się zmniejszyła mimo odejścia łodzi, a poza tym tratwa pod żaglem mogła płynąć znacznie sprawniej mając odpowiednią długość, niż gdyby zmniejszyć jej rozmiary i sprowadzić kształt do kwadratowego bloku pływającego drewna.

Trzy dni trwała cisza, prażyły ich palące promienie słońca i okrutnie dręczyło pragnienie. Ci, którzy nie przestali pić alkoholu, cierpieli najgorzej.

Czwartego dnia zerwał się pomyślny wiatr i wypełnił żagiel. Była to ulga dla spalonych twarzy i pokrytych bąblami pleców. Tratwa posuwała się z prędkością czterech mil na godzinę, a ludzie cieszyli się i byli pełni nadziei. Można już było dojrzeć ląd pod czubami palm kokosowych. Spodziewali się wylądować na jutro i znaleźć wodę, której tak potrzebowali. Całą noc szli pod żaglem, lecz następnego rana spostrzegli, że mają przeciw sobie silny prąd i że to, co zyskują dzięki silnemu wiatrowi, tracą, gdy tylko wiatr ustaje, wskutek przeciwnego prądu. Rano zawsze dał silny wiatr, ale wieczorem izacichał. Powtarzało się to przez cztery dni. Co dzień w południe znaj-

dowali się o niecałe dziesięć mil od lądu, a nazajutrz rano stwierdzali, że zniosło ich daleko i że muszą rozpocząć od nowa. Minęło już osiem dni. Umęczeni palącym słońcem ludzie zaczęli okazywać niezadowolenie i buntownicze nastroje. Raz nalegali, aby rozdzielić tratwę, co, być może, (pozwoliłoby dopłynąć do lądu na drugiej połowie, innym razem — aby zmniejszyć ciężar tratwy wyrzucając do wody żywność, której nie mogli już jeść. Trudność polegała na tym, że nie mieli na tratwie ani kotwicy, ani kilkuramiennej kotwiczki, gdyż wszystko, co zabrali z okrętu, załadowano do łodzi. Wówczas Filip zaproponował marynarzom, aby każdy z nich, mając tak dużo talarów, zaszył swoje pieniądze w oddzielny płócienny worek i aby uwiązać wszystkie te ciężkie worki na linach, dzięki czemu prawdopodobnie uda im się utrzymać tratwę przez jedną noc przeciwko prądowi, a następnego dnia będą mogli dopłynąć do lądu. Ale marynarze nie zgodzili się na to, nie chcieli ryzykować utraty swoich pieniędzy. Nie i nie. Głupcy! Woleli raczej zginąć najędźniejszą śmiercią. Filip i Krantz namawiali ich kilkakrotnie, lecz na próżno.

Tymczasem Aminę zachowywała odwagę i pogodę ducha, dopomagając Filipowi cenną radą i pocieszając w niepowodzeniu.

— Rozchmurz się, Filipie, jeszcze zbudujemy sobie domek w cieniu tych palm kokosowych i spędzimy w spokoju część życia, jeśli nie całą resztę. Bo komuż by przyszło do głowy szukać nas w tych niezamdeszkanych stonach, nie tkniętych ludzką stopą?

Schriften był spokojny i zachowywał się przyzwoicie. Często rozmawiał z Aminę, ale z nikim wdęcej. Zdawało się nawet, że jest w stosunku do Aminę jeszcze bardziej życzli-

wy niż przedtem. Opiekował się nią i pomagał. Często zdarzało się, że po chwili milczenia podnosiła wzrok i spostrzegła na twarzy Schriftena wyraz litości i smutku, choć dawniej nie wierzyła, aby był zdolny do okazywania takich uczuć.

Minął jeszcze jeden dzień, znowu zbliżyli się do lądu i znowu wiatr ucichł, a prąd zniósł ich z powrotem na morze. Tym razem marynarze się zbuntowali; mimo wysiłków Filipa i Krantza zepchnęli do wody prowiant i zapasy, wszystko, z wyjątkiem jednej baryłki alkoholu i pozostałego jeszcze zapasu słodkiej wody. Następnie usiedli w końcu tratwy i z ponurymi, złowrogimi minami zaczęli się po cichu naradzać.

Znowu zapadła noc. Filip był pełen obaw. Ponownie nalegał na marynarzy, aby użyli swych pieniędzy do zakotwiczenia tratwy, lecz wszystko na próżno. Kazali mu się wynosić, więc odszedł na tył tratwy, gdzie wznosił się bezpieczny szalaz Arnine. Oparł się o jego ścianę w głębokim zamyśleniu i smutku, przypuszczał bowiem, że Aminę już śpi.

— Czym się tak martwisz, Filipie?

— Czym się martwię? Chciwością i głupotą tych ludzi. Gotowi są raczej umrzeć, niż zaryzykować stratę swoich obmierzłych pieniędzy. Mają możliwość ocalenia siebie i nas, ale nie chcą. W przedniej części tratwy znajduje się dosyć złota i srebra, aby utrzymać w miejscu tuzin tratw o ciężarze takim jak nasza, ale oni nie chcą tego zaryzykować. Przekłeta miłość złota. Robi z ludzi głupców, szaleńców, nikczemników. Mamy wody już tylko na dwa dni, przy takim oszczędnym wydzielaniu jak teraz, po kropelce. Popatrz na ich wychudzone, złamane, wyniszczone ciała, a mimo to

spójrz, jak kurczowo trzymają pieniądze, których zapewne nigdy nie będą mieli sposobności wydać, nawet gdyby dostali się na ląd. Ja chyba oszaleję!

— Cierpisz, Filipie, z pragnienia i głodu. Ale ja byłam zapobiegliwa. Przewidywałam, że do tego dojdzie, więc zaoszczędziłam wody i sucharów. Mam tu cztery butelki. Pij, Filipie, to ci przyniesie ulgę.

Filip napił się. Rzeczywiście sprawiło mu to ulgę, gdyż całodzienne napięcie bardzo go zmęczyło.

— Dziękuję, Amine. Dziękuję ci, najdroższa. Czuję się teraz lepiej. Boże drogi! Czyż są tacy głupi, żeby w udręce i nędzy, jaką teraz cierpimy, cenić marny metal więcej niż kroplę wody?

Noc zapadła jak zwykle, gwiazdy świeciły jasno, ale nie było księżyca. O północy Filip wstał, aby zmienić Krantza przy sterowaniu tratwą. Zazwyczaj marynarze układali się do snu w różnych miejscach, ale tej nocy większość pozostała na przodzie. Filip był pogrążony w niewesołych myślach, gdy wtem usłyszał z przodu jakieś szamotanie i głos Krantza przyzywający go na pomoc. Puścił ster i chwyciwszy nóż pobiegł na przód tratwy, gdzie zobaczył leżącego Krantza, którego wiazali marynarze. Przedarł się do niego, ale schwycili go i rozbroili.

— Odcinać! Odcinać! — krzyknęli ci, którzy go przytrzymywali. Po chwili Filip ujrzał z rozpaczą, że tylna część tratwy razem z Amine oddała się od tej, na której on się znajdował.

— Na litość boską! Moja żona... moja Amine... Na Boga, ratujcie ją! — krzyczał szamocząc się daremnie z trzymającymi go ludźmi.

Aminę wybiegła na krawędź tratwy i wyciągnęła ramiona, lecz także na próżno. Dzielili ich już od siebie odległość co najmniej jednego kabla. Filip jeszcze raz podjął beznadziejną walkę, po czym padł bez zmysłów i leżał nieruchomy.

ROZDZIAŁ 24

Zaczynało już świtać, kiedy Filip po raz pierwszy otworzył ooczy i zobaczył obok siebie klęczącego Krantza. Z początku nie mógł zebrać rozproszonych, splątanych myśli, miał wrażenie, że przytrafiło mu się jakieś straszne nieszczęście, ale nie mógł sobie przypomnieć, jakie. W końcu zważyło się na niego i ukrył twarz w dłoniach.

— Nie martwcie się, kapitanie — pocieszał go Krantz. — Pewnie dzisiaj dobrniemy do lądu i zaczniemy jej szukać jak się da najprędzej.

A więc to jest ta rozłąka, to jest okrutna śmierć Aminę, którą nam przepowiedział ten •lotr Schriften, pomyślał Filip. Tak, to straszne wysychać na szkielet pod palącym słońcem, bez kropli wody dla zwilżenia wysuszonego języka, na łasce wiatrów d fal. Unoszona bezwolnie... sama... zupełnie sama, oderwana od męża, w którego ramionach umarłaby bez żalu. Nieustannie dręcząca się aż do obłędu myślą o tym, co ja cierpię albo co mogło się ze mną stać. Macie rację, pilocie, nie może

być okrutniejszej śmierci dla kochającej i czułej żony. Och, w głowie mi się mąci. Po co teraz ma żyć Filip Vanderdecken?

Krantz starał się go pocieszać tak, jak podpowiadała mu przyjaźń, lecz daremnie. Zaczął więc mówić o zemście i wówczas Filip uniósł głowę. Po chwili namysłu wstał.

— Tak, zemsta — powiedział. — Zemsta na tych nikczemnych tchórzach i zdrajcach. Powiedzcie, Krantz, ilu jest takich, którym możemy zaufać?

— Myślę, że co najmniej połowa. To było zaskoczenie.

Zrobiono ster z jakiegoś drzewca i tratwa znajdowała się już bliżej brzegu niż kiedykolwiek przedtem. Z tego powodu ludzie byli w doskonałym humorze. Każdy siedział na własnym worku pieniędzy, których wartość rosła w ich oczach w miarę zwiększania się szans ocalenia.

Filip dowiedział się od Krantza, że to żołnierze i najgorsi spośród marynarzy zbuntowali się poprzedniej nocy i odcięli tamtą część tratwy, wszyscy zaś lepsi marynarze zachowali postawę neutralną.

— I myślę — mówił Krantz — że teraz postąpią tak samo. Nadzieja dostania się na ląd w pewnym sensie pogodziła ich ze zdradzieckim czynem towarzyszy.

—• Zapewne tak — odparł Filip z cierpkim uśmiechem — ale wiem, co ich poruszy. Prześlijcie mi ich tutaj.

Przemówił do marynarzy przysłanych przez Krantza. Tłumaczył im, że tamci są zdrajcami, na których nie można polegać, że są gotowi poświęcić wszystko i wszystkich dla własnej korzyści i że już to uczynili dla pieniędzy. Że oni sami nie będą bezpieczni z takimi ludźmi

ani na tratwie, ani na łądzie, że nie odważą się zasnąć w obawie, aby tamci nie poderżnęli im gardła i że byłoby lepiej od razu pozbyć się tych, którzy nie potrafią być wierni jeden drugiemu. Że to by im umożliwiło ocalenie i mogliby rozdzielić między siebie pieniądze tamtych, dzięki czemu podwoiliby swoje zasoby. Że miał zamiar, chociaż nic o tym nie mówił, wymóc zwrot pieniędzy na rzecz Kompanii natychmiast po dostaniu się do jakiegoś cywilizowanego portu, gdzie władze mogłyby wdać się w tę sprawę, ale że teraz, jeśli oni się zgodzą przejść na jego stronę i pomóc mu, odda im wszystkie pieniądze na własność.

Czegóż nie działa żądza zysku? Czy można się zatem dziwić, że ci ludzie, w gruncie rzeczy niewiele lepsi od tamtych, których Filip, spragniony zemsty, w ten sposób oskarżał, przystali na jego propozycję? Stało na tym, że jeśli tratwa nie dopłynie do brzegu, to jeszcze tej nocy napadną na tamtych i wrzucą ich do morza.

Ale narada marynarzy z Filipem obudziła czujność drugiej strony. Tamci również odbyli naradę i nie rozstawali się z bronią. Gdy wiatr ucichł, tratwa znajdowała się o niecałe dwie mile od lądu i znowu zdryfowała na pełne morze. Filip był przytłoczony żalem po stracie Aminę, ale w pewnej mierze otrząsnął się z niego, gdy pomyślał o zemście. Ta myśl go podtrzymywała i raz po raz macał palcami ostrze broni, oczekując niecierpliwie chwili odpłaty.

Noc była śliczna, morze gładkie jak lustro i ani powiewu wiatru. Żagiel zwisał martwo wzdłuż masztu i odbijał się w spokojnej powierzchni wody dzięki poświacie samych tylko gwiazd. Taka noc sprzyja rozmyślaniom —

medytacji nad sobą i uwielbieniu Boga. A tymczasem tu, na wątej tratwie, stłoczyło się przeszło czterdziestu ludzi gotowych do walki, do mordowania i rabunku. Obie strony udawały, że śpią, choć każda śledziła ukradkiem ruchy drugiej, nie wypuszczając broni z ręki. Filip miał dać sygnał. Miało nim być puszczenie fału, aby żagiel spadł na ludzi z tamtej grupy, płacząc i obezwładniając ich ruchy. Na polecenie Filipa Schriften objął ster, a Krantz pozostał przy nim.

Reja wraz z żaglem spadła z łoskotem na dół i rozpoczęło się żniwo śmierci. Nie było żadnych układów, żadnego wahania. Każdy zrywał się na nogi i podnosił nóż. Słychać było tylko głosy Filipa i Krantza, a szpada Filipa nie próżnowała. Wszystkie jego siły zwrócone były ku zemście i nie mógł się nią nasycić, dopóki pozostawał przy życiu choć jeden z tych, których ofiarą padła Aminę. Jak przewidywał, wielu przeciwników zaplątało się w żaglu, który ich nakrył spadając i dzięki temu łatwiej było sobie z nimi poradzić.

Jedni ginęli tam, gdzie stali, inni cofając się spadali z tratwy i tonęli w spokojnej wodzie, jeszcze inni umierali zakłuci, szamocąc się pod żaglem. Po paru minutach rzeź dobiegła końca. Schriften przyglądał się temu i od czasu do czasu po swojemu demonicznie chichotał: he, he!

Walka była skończona. Filip oparł się o maszt, aby złapać oddech. W ten sposób została pomszczona, moja Aminę, pomyślał. Ach, ale cóż jest warte życie tych nędzników w porównaniu z twoim? Teraz, gdy zaspokoił pragnienie zemsty i nie mógł uczynić nic więcej, ukrył twarz w dłoniach i gorzko zapłakał. A ci, którzy mu pomagali, gromadzili już do podziału pieniądze po zabitych. Kiedy się oka-

zało, że z ich strony zginęło tylko trzech ludzi, pozostali zaczęli lamentować, że nie zginęło więcej, wówczas bowiem każdemu, kto ocalał, przypadłaby w udziale większa suma.

Nie licząc Filipa, Krantza i Schriftena, na tratwie było już tylko trzynastu ludzi. O świcie znowu zerwał się wiatr. Marynarze rozdzielili pomiędzy siebie porcje wody, które należały się ich poległym towarzyszom. Nie odczuwali głodu, a woda poprawiła im humor.

Mimo iż od czasu rozstania z Aminę Filip niewiele mówił do Schriftena, obaj z Krantzem zauważyli wyraźnie, że cała dawna zjadliwość pilota powróciła. Nieustannie słychać było jego chichot i sarkastyczne docinki, a jego jedyne oko spoglądało na Filipa tak samo złośliwie, jak przy pierwszym spotkaniu. Było oczywiste, że tylko Aminę zdobyła na jakiś czas jego względy i wraz z jej zniknięciem przepadła wszelka życzliwość Schriftena w stosunku do jej męża. Filip się tym nie przejmował, miał dużo większy ciężar na sercu — stratę swojej ukochanej Aminę, toteż wszystko inne było mu obojętne.

Wiatr się wzmaczał, spodziewali się zatem, że za dwie godziny dopłyną do plaży. Spotkał ich jednak zawód. Jarzmo masztu puściło pod naporem wiatru i maszt z żaglem upadł na tratwę. Spowodowało to znaczne opóźnienie i, zanim zdążyli naprawić szkodę, wiatr znowu ucichł pozostawiając ich w odległości około mili od plaży. Zmęczony i wyczerpany przeżyciami, Filip zasnął wreszcie u boku Krantza, a Schriften został przy sterze. Filip spał mocno. Śniła mu się Aminę. Zdawało mu się, że spała słodko pod kępą palm kokosowych, że stał obok niej i przyglądał się i że uśmiechnęła się we śnie szepcząc: „Filipie”. Wtem obudziło go dziwne uczucie. Na pół śniąc jeszcze

pomyślał, że Schriften próbował w czasie jego snu zabrać mu relikwię, że przełożył mu łańcuszek przez głowę i teraz ostrożnie wyciąga spod karku ten kawałek, na którym leżał na wznak. Przerażony tą myślą podniósł gwałtownie rękę, aby pochwycić łotra i zobaczył, że naprawdę trzyma Schriftena, który klęczy obok niego z relikwią w ręku. Walka trwała krótko. Odebrał relikwię, a pilot leżał zdany na jego łaskę, z piersią przygniecioną kolanem zwycięzcy. Filip zawiesił sobie z powrotem relikwię na szyi i nie panując nad wzburzeniem podniósł się, porwał w ramiona leżącego bez tchu Schriftena i cisnął go do wody.

— Nie dbam o to, czy jesteś człowiekiem, czy też diabłem — wykrzyknął zdyszany. — Ratuj się teraz, jeżeli potrafisz!

Walka obudziła Krantza i innych, ale nie dość wcześnie, aby mogli przeszkodzić Filipowi w wywarceniu zemsty na Schriftenie. W paru słowach opowiedział Krantzowi o tym, co zaszło. Marynarzy mało to obchodziło; zadowoleni, że ich pieniądze są bezpieczne, ułożyli się znowu do snu i nie pytali o więcej.

Filip uważnie patrzył, czy Schriften nie wypłynie na powierzchnię i nie będzie próbował dostać się z powrotem na tratwę. Nie pokazał się jednak więcej i Filip poczuł zadowolenie.

ROZDZIAŁ 25

Czyje pióro zdoła opisać uczucia tkliwej i do szaleństwa kochającej Aminę w chwili, gdy zobaczyła, że rozdzielono ją z mężem? W osłupieniu nie odrywała wzroku od drugiej tratwy, która oddalała się coraz bardziej. W końcu zapadający zmierzch skrył ją przed obolałymi oczami młodej kobiety. W niemej rozpaczy osunęła się na belki tratwy.

Powoli przychodziła do siebie i rozglądając się dookoła zawołała:

— Jest tu kto?

Nie było odpowiedzi.

— Jest tu kto? — powtórzyła głośniejsze. — Sama... sama... nie ma Filipa. O matko, matko, spójrz z nieba na twoje nieszczęśliwe dziecko. — I padła jak obłąkana tak blisko krawędzi tratwy, że jej długie włosy, rozplótłszy się, spłynęły na wodę.

— O, ja nieszczęsna! Gdzie jestem? ■— wykrzyknęła Aminę, gdy po paru godzinach ocknęła się z odrętwienia.

Słońce prażyło niemilosiernie i oślepiało ją, gdy otworzyła oczy. Rzuciła wzrokiem na błękitną wodę tuż obok siebie i zobaczyła dużego rekina leżącego nieruchomo przy samej tratwie, czekającego na zdobycz. Odsunęła się dalej od krawędzi i wstała. Rozejrzawszy się dokładniej stwierdziła, że tratwa jest pusta i wtedy dopiero prawda uderzyła w nią jak piorun.

— Och, Filipie, Filipie! — zawołała. — Więc to prawda, odszedłeś na zawsze. Myślałam, że to tylko sen. Teraz wszystko sobie przypominam. Tak, wszystko... wszystko.

Upadła na posłanie w swoim szałasie pośrodku tratwy i przez jakiś czas leżała bez ruchu.

Ale pragnienie stało się silniejsze nad wszystko. Chwyciła jedną z butelek z wodą i napiła się.

— Właściwie, po co mam pić i jeść? Po cóż miałabym pragnąć zachować życie? — Wstała i objęła wzrokiem horyzont. — Niebo i woda, nic więcej. Czy taką śmiercią mam umrzeć? Śmiercią okrutną, przepowiedzianą mi przez Schriftena... powolną śmiercią w żarze słońca, który wysusza mi wnętrzności? Niech się tak stanie. Losie, wzywam cię, pokaż, co chowasz najgorszego. Tylko raz się umiera, a bez niego cóż mi po życiu? Ale... może go jeszcze zobaczę? — podjęła spiesznie po krótkiej chwili milczenia. — Może, kto wie? Więc pragnę żyć. Będę ochraniać życie dla tej płonnej nadziei. Zaprawdę płonnej, nie mającej skąd czerpać pokarmu. Zaraz... czy mam go przy sobie? — Spojrzała na swój pasek i przekonała się, że tkwi za nim sztylet.

— Dobrze, więc będę żyła, skoro mam śmierć na swoje rozkazy, i będę chroniła swoje życie dla ukochanego męża.

Rzuciła się na posłanie, aby zapomnieć o wszystkim. Tak się też stało: od tego ranka aż do południa następnego dnia leżała w stanie odętwienia. Gdy wstała, czuła się słaba. Znowu rozejrzała się dookoła. Widać było tylko niebo i wodę.

— Och, ta samotność! To straszne. Śmierć byłaby wyzwoleniem. Ale nie, nie wolno mi umierać, muszę żyć dla Filipa.

Pokrzepiła się wodą i paroma kawałkami sucharów, po czym skrzyżowała ręce na piersi.

— Jeszcze parę dni bez pomocy i wszystko musi się skończyć. Czy jakaś inna niewiasta znalazła się kiedykolwiek w takim położeniu? A mimo to śmiem żywić nadzieję. Przecież to szaleństwo. Dlaczego zostałam tak wy-

różniona? Czy dlatego, że poślubiłam Filipa? Być może, a jeśli tak, to się cieszę. Łotry, w taki sposób rozłączyli mnie z mężem, poświęcili bezbronną niewiastę dla ratowania własnego życia. Owszem, może by mnie ocalili, gdyby mieli choć odrobinę litości. Ale nie, oni nigdy nie odczuwali litości. I to są chrześcijanie! To jest religia, którą stary ksiądz chciał mi narzucić... którą Filip chciał mi narzucić. Miłość bliźniego i dobra wola! Opowiadają o tym, ale nigdy nie widziałam, aby to stosowali w życiu. Miłować się wzajemnie, przebaczać jeden drugiemu... powiedzcie raczej — nie nawidzić i czyhać jeden na drugiego. Religia, której nikt nie praktykuje. A przecież, jeśli jej nie praktykują, to jaką ma wartość? Każda inna religia byłaby lepsza. Wyrzekam się jej, a jeśli ocaleję, to po raz drugi wyrzeknę się jej na zawsze. O, duchu mojej matki, czy za to, że słuchałam tych ludzi, że dla zdobycia miłości męża starałam się zapomnieć to, czegoś mnie uczyła, gdy, dzieckiem jeszcze, siedziałam u twych stóp... wiarę, w której nasi praojcowie przez tysiące lat żyli i umierali, wiarę potwierdzoną uczynkami, i posłuszeństwo woli proroka... czy za to jestem pokarana? Powiedz mi, matko, powiedz mi to we śnie.

Zapadła noc, a wraz z ciemnością ciężkie chmury zaległy niebo, błyskawice raz po raz rozdzierały firmament, oświetlając tratwę. W końcu błyski zaczęły pruć z góry na dół tak szybko — nie jeden po drugim, lecz jednocześnie ze wszystkich stron — że całe niebo jakby stanęło w ogniu, a grzmoty przewalały się raz blisko i głośno, to znów dudniąc w oddali. Zerwał się silny wiatr, fale podrzucały tratwę i od czasu do czasu lizały nawet stopy Aminę stojącej pośrodku.

—Lubię to. To jest o wiele lepsze niż ci-

sza i zabójczy żar. To innie podnieca — mówiła Aminę patrząc w górę i śledząc zygżaki błyskawic, dopóki wzrok się jej nie zaćmił. — Tak, tak być powinno. Piorunie, jeśli chcesz, uderz we mnie. Fale, zmyjcie mnie i pochowajcie w słonej mogile. Niechaj gniew wszystkich żywiołów spadnie na tę skazaną głowę. Nie dbam o to, śmieję się z tego, wyzywam to wszystko. Możecie mnie tylko zabić, ten sztylet potrafi dokonać tego samego. Niech drżą ze strachu ci, którzy gromadzą bogactwa, którzy żyją w przepychu, ci, którzy są szczęśliwi i te, które mają mężów, dzieci, cośkolwiek do kochania. Ja nie mam nic. Żywioły — ogniu, wodo, ziemio, powietrze, Aminę wzywa was! A jednak... Nie, nie oszukuj samej siebie, Aminę, nie ma już nadziei. Położę się zatem na moich śmiertelnych marach i będę czekać na wolę przeznaczenia.

Wróciła do szałasu, który Filip dla niej zbudował, padła na łożo i zamknęła oczy.

Po grzmotach i błyskawicach lunęły obfite potoki deszczu, który padał aż do brzasku. Dał ciągle silny wiatr, ale niebo się wypogodziło i zaświeciło słońce. Aminę drżała w swych wilgotnych sukniach. Żar słońca okazał się zbyt mocny dla jej wycieńczonego ciała, umysł błąkał się w majakach. Usiadła i rozejrzała się dookoła. Wszędzie widziała zielone pola, palmy kokosowe kołyszące się na wietrze. Wydało jej się nawet, że widzi w oddali Filipa spieszącego ku niej. Wyciągnęła oba ramiona, usiłowała powstać i biec mu naprzeciw, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Wołała do niego, krzyczała i wyczerpana upadła z powrotem na posłanie.

Musimy na jakiś czas wrócić do Filipa i śledzić jego niezwykle losy. W parę godzin po wrzuceniu pilota w morze rozbitkowie dopłynęli do brzegu, na który od tak dawna patrzyli z utęsknieniem i niepewnością. Belki tratwy, targane ruchami morza, chwiały się i ocierały jedna o drugą, wznosiły się i opadały na falach, załamujących się na plaży. Wiatr był wprawdzie silny, ale przybój nieznaczny, toteż wylądowali bez trudności. Plaża wznosiła się łagodnie; zbity biały piasek usiany był mnóstwem rozmaitych muszli o jaskrawych barwach. Gdzieś tam bieląły kości jakiegoś zwierzęcia, wyrwanego ze swego żywiołu, aby tu skonać. Wyspa była, podobnie jak wszystkie inne, porośnięta gęstym lasem palm kokosowych, których czuby kołysały się w lekkim wietrze lub gięły nisko pod silnym podmuchem. Dawały one cień i chłód, które byłyby należycie doceniane przez każdego, tylko nie przez nich; jedynym wyjątkiem był Krantz, bo Filip myślał wyłącznie o utraconej żonie, a marynarze nie myśleli o niczym innym, tylko o swoim nieoczekiwanym bogactwie. Krantz pomógł Filipowi wydostać się na plażę i zaprowadził go w cień. Po chwili jednak Filip wstał i pobiegł na brzeg, wypatrując z niepokojem tratwy, na której pozostała Aminę, a która była już daleko, bardzo daleko. Krantz poszedł za nim zdając sobie sprawę, że teraz, kiedy pierwszy wstrząs minął, nie ma już obawy, aby Filip odebrał sobie życie.

— Przepadła, przepadła na zawsze! — zawołał Filip przyciskając dłonie do oczu.

— Nie mów tak, Filipie. Ta sama opatrzność, która nas zachowała przy życiu, z pew-

nością i jej dopomoże. To niemożliwe, żeby miała zginąć pośród tylu wysp, z których wiele jest zamieszkanym, a jako niewiasta z pewnością będzie dobrze traktowana.

— Gdybym tylko mógł w to uwierzyć — odparł Filip.

— Jeżeli się choć trochę zastanowisz, dojdiesz do przekonania, że nawet lepiej się stało, iż została w ten sposób oddzielona... nie od ciebie, ale od tej gromady samowolnych łotrów, których połączonym siłom nie moglibyśmy stawić oporu. Czy sądzisz, że po trochę dłuższym pobycie na tej wyspie nasi towarzysze pozwoliliby ci cieszyć się w spokoju swoją żoną? Nie, nie uszanowaliby żadnego prawa i, moim zdaniem, Aminę została cudem ocalona od hańby i poniewierki, jeżeli nie od śmierci.

— Nie odważyliby się, jestem tego pewien! Ale słuchaj, Krantz, musimy zbudować tratwę i popłynąć za nią. Nie możemy tu zostać. Będę jej szukał po całym świecie.

— Niech tak będzie, jeżeli tego chcesz, Filipie. Zostanę przy tobie w dobrej i w złej doli — odparł Krantz, rad, że znalazło się coś, co zaabsorbuje umysł przyjaciela, choć pomysł był jego zdaniem szaleńczy. — Ale teraz wracajmy do tratwy, poszukajmy jakiegoś jedzenia, bo bardzo nam tego potrzeba, a potem zastanowimy się nad planem, jakiego najlepiej byłoby się trzymać.

Filip przystał milcząco na tę propozycję, był bowiem bardzo wyczerpany, i poszedł za Krantzem tam, gdzie znajdowała się wyciągnięta na brzeg tratwa. Marynarze zeszli z niej i każdy usiadł osobno, z dala od swoich towarzyszy, w cieniu wybranej palmy kokosowej. Nie wyładowali tego wszystkiego, co ocalało na tratwie, więc Krantz zawołał, **aby** przyszli

wynieść te rzeczy na brzeg. Żaden z nich nie odpowiedział ani nie usłuchał rozkazu. Siedzieli pilnując swoich pieniędzy i bojąc się z nimi rozstać, aby koledzy nie przywłaszczyli ich sobie. Teraz, kiedy ich życie było stosunkowo bezpieczne, demon chciwości zawładnął nimi całkowicie. Siedzieli wymęczeni, usychający z pragnienia, tęskniący do snu, lecz mimo to nie śmieli się ruszyć z miejsca, przykuci do niego jakby za sprawą czarów.

— To te przekłete talary pomieszały im zmysły — powiedział Krantz do Filipa. — Spróbujmy, może damy radę znieść to, czego nam najbardziej potrzeba, a potem pójdziemy poszukać wody.

Filip i Krantz pozbierali narzędzia ciesielskie, najlepszą broń i wszystką amunicję, gdyż w razie czego posiadanie jej zapewniało im przewagę. Następnie ściągnęli na brzeg żagiel, trochę małych drzewc i zanieśli to wszystko pod kępę palm kokosowych, o jakieś sto jardów od plaży.

W pół godziny ustawili tam skromny namiot i ułożyli w nim wszystkie rzeczy zabrane z tratwy, z wyjątkiem większej części amunicji, którą Krantz zagrzebał w kopcu suchego piasku za namiotem, gdy tylko mógł się za nim ukryć. Aby jak najprędzej zaspokoić pragnienie, zrząbał następnie małą palmę kokosową, która bogato obrodziła. Ci, którzy doświadczyli męczarni długotrwałego pragnienia, mogą zrozumieć ogromną rozkosz, jaką odczuwali Krantz i Filip wlewając w wyschnięte gardła mleko kokosowe z jednego orzecha po drugim. Marynarze przyglądali się w milczeniu tej uczcie, pożerając ich wzrokiem. Za każdym razem gdy oficerowie chwyтали nowy orzech i wypijali jego zawartość, oni odczuwali coraz dotkliwiej zabójcze pragnienie, co-

raz bardziej sklejały im się wysuszone wargi, ale nie ruszyli się z miejsca, choć cierpieli jak skazańcy na torturach.

Zapadł wieczór. Filip położył się na zapasowych żaglach i zasnął, a Krantz wyruszył na obchód wyspy, na którą zostali wyrzuceni. Wyspa była mała, liczyła nie więcej niż trzy mile długości i w żadnym miejscu nie więcej niż pięćset jardów szerokości. Nie było na niej wody, chyba że można by się jej dokopać. Na szczęście młode orzechy kokosowe uwalniały ich od absolutnej konieczności takich poszukiwań. Wracając Krantz przechodził obok marynarzy, którzy trwali każdy na swoim stanowisku. Nie spali i po kolei unosili się na łokciu, aby sprawdzić, czy to nie jakiś napastnik, lecz widząc Krantza opadali z powrotem na piasek. Krantz doszedł do tratwy. Morze było teraz zupełnie spokojne, gdyż wiatr skręcił i wiał od lądu. Drzewca, z których zrobiona była tratwa, ledwo trącały jedno o drugie. Wszedł na nią, a ponieważ księżyc świecił jasno, pozbierał z ostrożności wszystką pozostawioną broń i wyrzucił do wody tak daleko, jak mógł. Następnie poszedł do namiotu, gdzie zastał Filipa śpiącego głębokim snem, i po chwili sam odpoczywał już obok niego. Filip śnił o Aminę. Zdawało mu się, że widzi, jak znieawidzony Schriften znów się wynurza z wody, wdrapuje się na tratwę i siada obok niej. Zdawało mu się, że znowu słyszy jego upiorny chichot, wzgardliwy śmiech i przykre słowa wciskające się do uszu umęczonej Aminę. Zdawało mu się, że ona szuka przed nim uciezki w morzu i że fale jakby nie chciały jej przyjąć, że ainosi się na powierzchni. Zerwał się sztorm i Filip zobaczył ją jeszcze raz, ślizgającą się po falach w muszli morskiej. Potem znalazła się w szalejącym

przyboju, muszla zatoneła, a ją samą pochłonięły fale. Wtem ujrzał ją znowu idącą brzegiem, zdrową i całą, niezależną, morze bowiem, które nie oszczędzało nikogo, jej najwidoczniej nie uczyniło żadnej krzywdy. Filip chciał ją dogonić, ale jakaś nieznana siła zatrzymywała go. Aminę pomachała mu ręką i powiedziała: „Spotkamy się jeszcze, Filipie. Tak, jeszcze raz się spotkamy na tym świecie”.

Słońce stało już wysoko na niebie i paliło żarem, gdy Krantz otworzył oczy i obudził Filipa. Siekiera posłużyła im znowu do zdobycia porannego posiłku. Filip był milczący, przetrawiał swoje sny, które dodały mu trochę otuchy. Spotkamy się jeszcze! — myślał. Tak, co najmniej jeszcze raz się spotkamy. Dzięki ci za to, Boże.

Krantz wyszedł z namiotu, aby sprawdzić, co się dzieje z ludźmi. Byli tak słabi i wyczerpani, że nie mogli już długo pociągnąć, ale mimo to pilnowali ukochanych skarbów. Smutno było patrzeć na takie obłąkanie rozumu, toteż Krantz obmyślił sposób uratowania im życia. Zapropozował każdemu z osobna, aby zakopał swoje pieniądze tak głęboko, żeby nie można ich było prędko wykopać. Nikt nie mógłby wtedy dobrać się do cudzego skarbu, gdyż byłby czas zauważyć i udaremnić taką próbę. Umożliwiłoby im to zdobywanie niezbędnego pożywienia i napoju bez obawy, że zostaną obrabowani.

Zgodzili się na tę propozycję. Krantz przyniósł z namiotu jedyną łopatę, jaką posiadali, i marynarze kolejno zakopywali swoje talary w miążkim piasku, na głębokości kilku stóp. Kiedy już wszyscy zabezpieczyli swoje skarby, przyniósł im siekiere. Zarabali parę palm kosowych, dzięki którym odzyskali chęć do

życia i siły. Nasytzeni, pokładli się w miejscu, gdzie zakopali swoje talary, i wkrótce zapadli w sen, który wszystkim był tak bardzo potrzebny.

Filip i Krantz naradzali się teraz poważnie nad krokami, jakie powinni podjąć, aby opuścić wyspę i udać się na poszukiwanie Aminę. Wprawdzie Krantz uważał tę ostatnią część propozycji Filipa za nierealną, ale nie śmiał mu tego powiedzieć. Musieli opuścić tę wyspę, ale nie mogli się spodziewać niczego więcej jak dopłynięcia do jednej z zamieszkałych wysp. Jeśli chodzi o Aminę, to był zdania, że już nie żyje: albo fala zmyła ją z tratwy, albo też jej ciało leży wystawione na rozkładające działanie słonecznego żaru.

Chcąc pocieszyć Filipa mówił mu co innego i za każdym razem, gdy rozprawiali o opuszczeniu wyspy, chodziło nie o ratowanie własnego życia, lecz zawsze i niezmiennie o poszukiwanie zaginionej żony Filipa. Plan, który obmyślili i wprowadzali w życie, polegał na zbudowaniu lekkiej tratwy. Jej środek miały stanowić trzy barylki po wodzie, przepiłowane na pół i ułożone rzędem jedna za drugą oraz zamocowane krzyżulcami do dwóch długich drzewc po obu bokach. Taka tratwa pod żaglem posuwałaby się prędko i można by nią sterować, utrzymując określony kurs. Wybrali zewnętrzne drzewca, wyciągnęli na brzeg i przystąpili do pracy. Musieli pracować sami, gdyż marynarze, jak się zdawało, nie zamierzali na razie opuścić wyspy. Wzmocnieni jedzeniem i snem, nie kontentowali się już tymi pieniędzmi, które posiadali, i chcieli zdobyć więcej. Każdy wykopał część swojego skarbu i całymi dniami grali w wymyśloną przez siebie grę w kamyki, które uzbierali na plaży. Przyszedł im do głowy jeszcze inny szatański

pomysł. Wyciosali stopnie w pniach największych palm kokosowych i wspiawszy się po nich z marynarską zręcznością, nacięli wierzchołki drzew, a następnie przymocowali pod nacięciami puste skorupy po orzechach kokosowych. Tym sposobem otrzymywali płyn, który po wstępnej fermentacji bywa nazywany sokiem palmowym, a później można go destylować na arak. Ale już sok palmowy ma wystarczającą moc, aby się nim upić. Z każdym dniem pijackie bójki z towarzyszeniem przekleństw i złorzeczeń stawały się coraz gwałtowniejsze. Przegrywający rwali sobie włosy z głowy i rzucali się jak szaleni na tych, którzy wygrali ich talary. Na szczęście Krantz wyrzucił do wody broń, a tę, którą uratował, jak również amunicję, trzymał w ukryciu.

Bójki i rozlew krwi trwały zatem bez przerwy, ale nikt nie został zabity, gdyż walczących rozdzielał inni, którym zależało na tym, aby nie przerywać gry. Tak wyglądały sprawy od blisko dwóch tygodni. Tymczasem praca przy tratwie powoli posuwała się naprzód. Niektórzy marynarze przegrali wszystko, co mieli, i zgodnie z jednomyślnym postanowieniem tych, którzy wygrali ich pieniądze, zostali przepędzeni na pewną odległość, aby nie mogli ich ograbić. Krążyli oni z ponurymi twarzami po całej wyspie lub po plaży, szukając czegoś, co mogłoby im posłużyć jako narzędzie zemsty i sposób odebrania swoich pieniędzy. Krantz i Filip zaproponowali im, aby się do nich przyłączyli i porzucili wyspę, ale oni odmówili z pośępnymi minami.

Teraz już Krantz nie rozstawał się z siekierą. Ścinał tyle palm kokosowych, ile im było trzeba do przetrwania i zabraniał ludziom ścinać więcej drzew dla zdobycia napoju, którym się upijali. Szesnastego dnia wszystkie pie-

niądze przeszły do **rąk** trzech marynarzy, którym się poszczęściło bardziej niż innym. Przegranymi mieli teraz znaczną przewagę liczebną, a skutek tego był taki, że nazajutrz rano znalaziono na plaży tych trzech szczęśliwców zaduszonych. Pieniądze rozdzielono znów między wszystkich i gra zaczęła się od nowa, grano z większym zapalem niż przedtem.

— Czym to się może skończyć? — wykrzyknął Filip do Krantza, przyglądając się zsiniałym twarzom zamordowanych marynarzy.

— Śmiercią wszystkich — odparł Krantz. — Nie możemy temu zapobiec. Sami wydali na siebie wyrok.

Tratwa była już gotowa. Wykopali spod niej piasek, aby mogła napłynąć woda i unieść ją, a gdy ją przywiązali do pala, kołysała się lekko na spokojnej wodzie. Zgromadziwszy duży zapas orzechów kokosowych, dojrzałych i zielonych, ułożyli je na tratwie. Zamierzali opuścić wyspę nazajutrz.

Na nieszczęście, jeden z marynarzy kąpiąc się spostrzegł broń leżącą na dnie płytkiej wody. Znurkował i zdobył dla siebie nóż. Inni poszli za jego przykładem i wkrótce wszyscy się uzbroili. Skłoniło to Filipa i Krantza do przeniesienia się na noc na tratwę i trzymania warty. Tej nocy, gdy gra szła w najlepsze, czyjaś duża przegrana doprowadziła do ogólnej bijatyki. Walczyli zażarcie, wszyscy bowiem byli mniej lub bardziej pijani. Rezultat był smutny, gdyż tylko trzech marynarzy pozostało przy życiu. Filip i Krantz obserwowali przebieg awantury. Każdego, kto padał zraniony, dobijano." Trzej żyjący, którzy walczyli po tej samej stronie, stali zdyszani wspierając się na długich nożach. Po chwili dwaj z nich zmówili się z sobą i rzucili się na trzeciego, który padł pod ich ciosami.

— Boże miłosierny, czyż to są istoty stworzone przez ciebie? — wykrzyknął Filip.

— Nie — odparł Krantz — oni czcili szatana, któremu na imię Mamona. Czy myślisz, że ci dwaj, choć mogliby teraz podzielić między siebie więcej pieniędzy, niż potrafiliby wydać, gdyby powrócili do kraju... czy myślisz, że oni zgodzą się na podział? Nie, nigdy. Muszą mieć wszystko, wszystko.

Zaledwie wypowiedział te słowa, jeden z marynarzy, korzystając z tego, że drugi na moment się odwrócił, pchnął go nożem w plecy. Ten upadł z jękiem, a nóż towarzysza przebił go powtórnie.

— Czy nie mówiłem, że tak będzie? Ale ten nikczemny zdrajca nie będzie się cieszyć swą zdobyczą — rzekł Krantz celując z muszkietu, który trzymał w ręku. Wystrzelił i położył tamtego trupem na miejscu.

— Złe postąpiłeś, Krantz. Uratowałeś go przed karą, na jaką zasłużył. Pozostawiony na wyspie sam, bez możliwości zdobycia pożywienia, musiałby zdychać nędznie i powoli wśród wszystkich swoich bogactw. To byłaby naprawdę tortura.

— Może źle zrobiłem — odparł Krantz. — Jeśli tak, niech Bóg mi to wybaczy, ale nie mogłem wytrzymać. Zejdźmy na ląd, bo teraz jesteśmy już sami na tej wyspie. Musimy pozbierać te skarby i zakopać je, aby można było je kiedyś odnaleźć. Musimy także wziąć część pieniędzy z sobą, kto wie, czy się nam nie przydadzą. Lepiej zostanmy tu przez jutrzejszy dzień, bo dosyć będzie roboty z grzebaniem ciał tych szaleńców i zakopaniem skarbów, które ich doprowadziły do zguby.

Filip uznał tę radę za słuszną. Nazajutrz pogrzebali ciała marynarzy tam, gdzie leżały, a wszystkie pieniądze zakopali w głębokim ro-

wie pod palmą kokosową, którą starannie nazaczyli siekierą. Pozostawili około pięciuset sztuk złota, które zabrali na tratwę z zamiarem ukrycia ich przy sobie i wyciągania pojedynczo w miarę potrzeby.

Nazajutrz rano postawili żagiel i rozstali się z wyspą. Czyż trzeba mówić, w jakim kierunku odpłynęli? Łatwo się domyślić, że w tym kierunku, gdzie widzieli ostatni raz tratwę z opuszczoną przez wszystkich Aminę.

KOZDZIAŁ 27

Filip i Krantz przekonali się, że tratwa jest dobra w manewrowaniu i choć nie płynie zbyt szybko, słucha jednak steru i daje się dobrze prowadzić. Obaj starali się zapamiętać wszelkie charakterystyczne znaki i szczegóły wyspy, które pozwoliłyby im, w razie potrzeby, odnaleźć ją. Wspomagani przychylnym prądem posuwali się szybko na południe, aby zbadać położoną w tamtej stronie dużą wyspę. Poza poszukiwaniem Aminę drugim ich celem było ustalenie, w jakim kierunku znajduje się wyspa Ternate. Wiedzieli, że król tej wyspy jest wrogo usposobiony do Portugalczyków, którzy posiadali fort i faktorię na niezbyt odległej wyspie Tidore. Z Ternate zamierzali popłynąć jedną z chińskich dżonek, które zawijały na tę wyspę w drodze do Bantamu.

Pod wieczór zbliżyli się do dużej wyspy i Wkrótce płynęli wzdłuż jej brzegów w bardzo małej odległości od plaży. Filip wodził

wzrokiem w tę i w tamtą stronę, aby się przekonać, czy jakiś przedmiot na brzegu nie wskazuje na obecność tratwy Aminę, ale nic takiego nie zauważył. Nie dostrzegł także mieszkańców.

Obawiając się, że w nocy mogliby przeoczyć to, czego szukała, dobili do brzegu w małej zatoczce, gdzie woda była zupełnie spokojna. Zostali tam do rana, po czym znów postawili żagiel i ruszyli w dalszą drogę. Krantz sterował długim, ciężkim wiosłem, które przysposobili do tego celu. W pewnej chwili zauważył, że Filip, który milczał od jakiegoś czasu, wyjął coś z zanadrza i uważnie wpatrywał się w ten przedmiot.

— Czy to czyjaś podobizna, Filipie? — zapytał Krantz.

— Niestety, nie, to moje przeznaczenie — odparł Filip bez zastanowienia.

— Twoje przeznaczenie! Co chcesz przez to powiedzieć?

— Powiedziałem „moje przeznaczenie”? — Nie bardzo wiem, co mówiłem — wycofał się Filip, chowając relikwię z powrotem na piersi.

— Wydaje mi się, że powiedziałeś więcej, niż chciałeś — zauważył Krantz — ale zarazem powiedziałeś coś bliskiego prawdy. Często cię widywałem z tym drobnym przedmiotem w ręku i nie zapomniałem, jak bardzo Schriftenowi zależało na jego zdobyciu, ani . . . czym się skończyły jego zakusy. Czy nie wiąże się z tym jakiś sekret, tajemnica? Jeżeli tak, to znasz mnie już chyba dosyć dobrze jako przyjaciela, że*by mnie uznać godnym twego zaufania.

— Wiem dobrze, Krantz, że jesteś moimi przyjacielem. Szczerym i bardzo cenionym przyjacielem, bo przeszliśmy razem przez wiele niebezpieczeństw i to wystarczyło, żeby

uczynić z nas przyjaciół. Wierzę, że mógłbym ci (zaufać, ale mam uczucie, że nie powinienem zaufać nikomu. Z tą relikwią... bo to jest relikwia... związana jest pewna tajemnica, z której zwierzyłem się dotychczas tylko mojej żonie i osobom duchownym.

— Jeżeli powierzyłeś ją uświęconym osobom, to z pewnością możesz ją także powierzyć szczerzej przyjaźni, bo nie ma nad nią nic świętszego.

— Tak, ale mam przeczucie, że znajomość mojej tajemnicy może się dla ciebie okazać zgubna. Skąd się bierze takie przeczucie, nie wiem, ale je mam, a nie mogę sobie pozwolić na to, aby cię utracić, mój drogi przyjacielu.

— Zdaje się, że wobec tego na nic ci się nie przyda moja przyjaźń — odparł Krantz. — Dotychczas narażałem życie razem z tobą i twoje dziecinne przeczucie, będące skutkiem podniecenia i wyczerpania, nie odwiedzie mnie od obowiązków przyjaźni. Cóż bardziej niedorzecznego niż przypuszczenie, że powierzona mi tajemnica może być brzemienne w niebezpieczeństwo? Chyba jedynie w tym znaczeniu, że gorliwość, z jaką ci będę pomagał, może spowodować na mnie jakąś biedę. Nie jestem z natury ciekaw cudzych spraw, ale my, dwaj od dawna trzymamy się razem, a teraz jesteśmy tak odcięci od reszty świata, że chyba byłoby dla ciebie pociechą, gdybyś się zwierzył komuś zaufanemu z tego, co najwidoczniej dręczy cię od długiego czasu. Nie trzeba gardzić, Filipie, pociechą i radą przyjaciela. Poczujesz ulgę, gdy zdobędziesz się na porozmawianie ze mną o sprawie, która w sposób oczywisty cię gnębi. Jeśli więc cenisz moją przyjaźń, pozwól mi dzielić wraz z tobą twoje smutki.

Niewielu ludzi przeszło przez życie tak spokojnie, że nie pamiętają, jak wielkie ukojenie

w boleści przynosi wyjawienie jej źródła miłemu przyjacielowi, wysłuchanie jego rad i pociechy. Toteż trudno się dziwić, że Filip w swojej sytuacji, przygnębiony stratą Aminę, widział w Krantzu człowieka, któremu odważyłby się zawierzyć swą wielką tajemnicę. Nie czynił żadnych zastrzeżeń przed rozpoczęciem swojej opowieści, uważał bowiem, że jeśli Krantz nie potrafiłby uszanować jego tajemnicy ze względu na nią samą albo przez życzliwość dla niego, to prawdopodobnie nie czułby się także związany żadnym przyrzeczeniem. Tak więc w ciągu tego dnia, podczas gdy tratwa mijala małe przylądki i cyple wyspy, Krantz wysłuchiwał historii Filipa, którą czytelnik zna dobrze.

— Teraz wiesz już wszystko — zakończył Filip z głębokim westchnieniem. — Co o tym myślisz? Czy wierzysz w prawdziwość tej dziwnej opowieści, czy też sądzisz, jak z pewnością niejeden by uważał, że jest to po prostu przywidzenie chorobliwie podnieconego umysłu?

— Nie, Filipie, nie sądzę, aby tak było, bo sam miałem naoczny dowód prawdziwości pewnej części twojej historii. Przypomnij sobie, ile razy widziałem ten Okręt Widmo. A jeżeli twojemu, ojcu dozwolone jest błąkać się po morzach, czemużbyś ty nie miał być wybrany i czemuż by tobie nie miało być dozwolone odwrócić od niego wieczystą karę? Wierzę w pełni każdemu słowu, które mi powiedziałeś, i dopiero teraz mogę zrozumieć wiele rzeczy w twoim zachowaniu, które czasami wydawało mi się niewytłumaczalne. Wielu ludzi współczułoby ci, Filipie, ale ja ci zazdroszczę.

— Zazdrościsz? — zdumiał się Filip.

— Tak, zazdroszczę. I chętnie wziąłbym na swoje barki ciężar twego losu, gdyby to tylko było możliwe. Pomyśl, czyż to nie wspaniale,

żeś został ipowołany do tak wielkiego zadania? Że zamiast się włóczyć po świecie, jak my wszyscy, w pogoni za bogactwem, które po latach trudów i wyrzeczeń możemy stracić w ryzykownej przygodzie jednego dnia i z którym, tak czy owak, musimy się kiedyś rozstać, ty zostałeś wybrany do spełnienia wielkiego i chlubnego dzieła... powiedziałbym, dzieła aniołów... do okupienia duszy ojca, cierpiącego oczywiście za swe ludzkie ułomności, ale nie potępionego na wieki. Masz, zaprawdę, cel dążeń wart wszystkich trudów i niebezpieczeństw życia na morzu. Jeśli to się skończy dla ciebie śmiercią, cóż z tego? Czymże innym kończą się nasze czcze pożądanja, nasz nieustający trud bez żadnego celu? Wszyscy musimy umrzeć, ale jakże niewielu... komu właściwie poza tobą... dane było przed śmiercią okupić duszę sprawcy swego istnienia? Tak, Filipie, zazdroszczę ci.

— Myślisz i mówisz jak Aminę. Ona także ma nieposkromioną, żarliwą duszę, która przestaje z istotami z innego świata i porozumiewa się z duchami wyzwolonymi z cielesnej powłoki.

— I ma słuszność — odparł Krantz. — W moim życiu, a raczej w życiu mojej rodziny zdarzały się rzeczy, które mnie całkowicie przekonały o tym, że jest to nie tylko możliwe, ale i dozwolone. Twoja opowieść tylko potwierdziła to, w co już przedtem wierzyłem.

— Naprawdę, Krantz?

— ■ Naprawdę. Ale o tym potem. Nóc już zapada, musimy znowu znaleźć jakieś bezpieczne miejsce dla naszej tratwki, a tu właśnie jest zatoczka, która wydaje mi się odpowiada do tego celu.

Przed świtem zerwał się silny wiatr wiejący wprost ku brzegowi, a przybój spiętrzył się tak wysoko, że zagrażał tratwie. Nie mogło

być mowy o wyruszeniu w dalszą drogę. Mogli tylko wyciągnąć tratwę na brzeg, aby rozbijające się fale nie roztrzaskały jej w kawałki. Myśli Filipa, jak zwykle, były przy Aminę. Patrząc na wzburzone morze, na grzywy fal iskrzące się w promieniach słońca, zawołał:

— O morze, czy Aminę leży na twoim dnie? Jeżeli tak, to oddaj mi swoją ofiarę martwą. Co to takiego? — zapytał wskazując widoczną na horyzoncie plamkę.

— To żagiel jakiegoś małego stateczku — odparł Krantz. — Wygląda na ito, że płynię fordewindem, aby się schronić w tym samym zakątku, który my wybraliśmy.

— Masz rację, to żagiel. Jedna z tych pirog, które śmigają po powierzchni morza. Jak ona się podnosi na fali! Zdaje się, że pełno w niej ludzi.

Piroga zbliżała się szybko i wkrótce znalazła się bardzo niedaleko od plaży. Spuszczono żagiel, po czym przeskoczyła rufą przez przybój.

— Jeśli się okaże, że to nieprzyjaciel, opór będzie bezcelowy — zauważył Filip. — Niedługo się dowiemy, co nas czeka.

Ludzie z pirogi nie zwracali na nich uwagi, dopóki nie wyciągnęli na brzeg i nie zabezpieczyli łodzi. Wówczas trzech mężczyzn podeszło do Filipa i Krantza z dzidami w ręku, ale najwidoczniej bez żadnych wrogich zamiarów. Jeden z nich zapytał po portugalsku, kim są.

— Jesteśmy Holendrami — odpowiedział Filip.

— Z załogi okrętu, który się rozbił?

— Tak.

— Nie macie się czego obawiać. Jesteście wrogami Portugalczyków, tak jak i my. Pochozimy z wyspy Ternate. Nasz król wojuje z Portugalczykami, bo to są łajdaki. Gdzie wasi towarzysze? Na której wyspie?

— Wszyscy zginęli — odparł Filip. — Chciałbym was zapytać, czy nie natknęliście się na samotną niewiastę dryfującą na tratwie? A może słyszeliście coś o niej?

— Słyszeliśmy, że znaleziono jakąś niewiastę na plaży na południe stąd i że ludzie z Tidore, przypuszczając, że to Portugalka, zawieźli ją *do* portugalskiego osiedla.

— A więc jest ocalona, Bogu niech będą dzięki! — wykrzyknął Filip. — Boże przyjmij me dziękczynienie. Na Tidore, powiadacie?

— Tak. Jesteśmy w stanie wojny z Portugalczykami, więc nie możemy was tam zawieźć.

— Nie, ale zobaczę ją jeszcze!

Mężczyzna, który pierwszy zwrócił się do nich z (Zapytaniem, był według wszelkich pozorów znaczną osobistością. Miał na sobie ubiór częściowo arabski, częściowo zaś malajski. Za pasem krzywy nóż, a w ręku dzida. Na głowie zawój z wzorzystego perkalu. Jego zachowanie, jak większości wysoko postawionych osób w tym kraju, było nacechowane uprzejmością i godnością.

— Wracamy na Ternate i zabieramy was ze sobą. Nasz król z przyjemnością udzieli gościny Holendrom, zwłaszcza że jesteście wrogami tych portugalskich psów. Zapomniałem wam powiedzieć, że mamy w łodzi jednego z waszych towarzyszy. Wyciągnęliśmy go z morza w stanie wielkiego wycieńczenia, ale teraz już się dobrze miewa.

— Któż to może być? — zdziwił się Krantz.

— Chyba z jakiegoś innego okrętu.

— Nie — odparł Filip, przejęty nagłym dreszczem. — To jest z pewnością Schriften.

— W takim razie muszę go zobaczyć na własne oczy, zanim w to uwierzę.

— Uwierz więc własnym oczom — rzekł

Filip wskazując na Schriftena, który właśnie szedł w ich kierunku.

— Miło mi was widzieć, Mynheer Vanderdecken. Mynheer Krantz, mam nadzieję, że czujecie się dobrze. Co za szczęście, że wszyscy ocaleliśmy. He! he!

Zaprawdę, morze oddało swoją ofiarę, jak o to prosiłem, pomyślał Filip.

Tymczasem Schriften, nie czyniąc żadnej aluzji do bezceremonialnego sposobu, w jaki się z sobą rozstali, zagadywał do Krantza wesoło i z lekką nutką szyderstwa. Krantz nieprędko zdołał się od niego odczepić.

— Co o nim myślisz, Krantz? — zapytał Filip.

— Że jest częścią całości i musi dopełnić swego przeznaczenia, podobnie jak ty swego. Musi odegrać swoją rolę w tej zdumiewającej, tajemniczej historii i będzie pozostawał przy tobie aż do jej zakończenia. Nie myśl o nim. Pamiętaj, że twoja Aminę ocalała.

— To prawda — odparł Filip. — Ten łotr nie jest wart jednej myśli. Nie pozostaje nam teraz nic innego, jak tylko zabrać się z tymi ludźmi. Później może się go pozbędziemy i postaramy się dotrzeć do mojej najukochańszej Aminę.

ROZDZIAŁ 28

Kiedy Aminę odzyskała przytomność, zobaczyła, że leży na liściach palmowych w małej chatce. Obok niej siedziało bardzo szpetne dziecko i odganiało muchy. Gdzie się znajdowała?

Morze miało tratwę prawie przez dwa dni, w ciągu których Aminę na przemian to mijała, to znów zapadała w stan odrętwienia. Prąd i wichura zapędziły tratwę aż na wschodni kraniec wybrzeża Nowej Gwinei i tam ją wyrzuciły na brzeg. Odnaleźli Aminę krajowcy, którzy akurat w tym czasie prowadzili na plaży handel wymienny z mieszkańcami Tidore. Choć poznali, że jeszcze żyje, czym prędzej odarli ją z szat. Zanim jednak pozostawili ją nagą jak oni sami, uwagę jednego z dzikich zwrócił pierścień z cennym diamentem, подарowany Aminę przez Filipa. Nie mogąc go ściągnąć, krajowiec wziął tępy, zardzewiały nóż i właśnie zabierał się gorliwie do odpiłowania palca, gdy wmieszała się w sprawę jakaś stara, bardzo stanowcza kobieta i kazała mu tego zaprzestać. Ponadto ludzie z Tidore, żyjący w przyjaźni z Portugalczykami, powiedzieli tubylcom, że za ocalenie osoby należącej do tej nacji dostaną z pewnością nagrodę. Powiedzieli także, iż po powrocie dadzą znać mieszkańcom osiedla przy faktorii, że ich rodaczka została wyrzucona z tratwą na brzeg. Temu ewdzięczała Aminę troskę i dbałość, jaką ją otaczano. Te okolice Nowej Gwinei były nieco ucywilizowane dzięki stosunkom z mieszkańcami Tidore, którzy przybywali tu od czasu do czasu, aby wymienić europejskie świecidełka i tandetę na bardziej użyteczne produkty tej wyspy.

Stara Papuaska zaniósła Aminę do swojej chaty. Tam pozostawała przez wiele dni między życiem a śmiercią, pielęgnowana troskliwie, lecz wymagająca niewiele poza zwilżaniem wodą wyschniętych warg oraz odganiaaniem moskitów i much.

Kiedy Aminę otworzyła oczy, czarna dziewczynka wybiegła, aby powiadomić o tym kobietę, która przyszła za nią do chaty. Była duża, tłusta i ociążała, a przy tym bardzo skąpo odziana. Welniste włosy miała częściowo splecione, częściowo zaś skręcone i puszczone luźno. Płócienna przepaska wokół bioder i kawałek spłowiałego żółtego jedwabiu na ramionach stanowiły cały jej ubiór. Za ozdobę służyło jej parę srebrnych pierścieni na tłustych palcach i naszyjnik z perłowej macicy. Zęby miała czarne jak węgiel od żucia betelu, a cały jej wygląd wzbudzał w Aminę obrzydzenie.

Zaczęła coś mówić, ale chora nie mogła jej zrozumieć i, zmęczona nawet tym nieznacznym wysiłkiem, opadła z powrotem na posłanie z liści i zamknęła oczy. Mimo iż tak odrażająca, kobieta była jednak życzliwa i dzięki jej staraniom Aminę mogła po trzech tygodniach wyczołgać się z chaty i rozkoszować się wieczorną bryzą. Mieszkańcy wyspy czasem schodzili się i otaczali ją ciasnym kołem, ale odnosili się do niej z szacunkiem z obawy przed starą kobietą. Ich welniste włosy były splecione lub sterczały dookoła głowy, niekiedy przypudrowane na białą czunamem. Spódniczka z liści karłowatej palmy, sięgająca do kolan, była ich jedynym strojem. Nosili ozdoby w postaci kółek w nosie i uszach oraz ptasich piór, zwłaszcza piór rajskiego ptaka. Mowa ich była zupełnie niezrozumiała. Aminę odczuwała wdzięczność za to, że żyje. Siadywała w cieniu drzew i przyglądała się chyżym piro-

gom, śmigającym po lazurowym morzu, które się przed nią rozścielało. Myślami jednak była gdzie indziej... przy Filipie.

Pewnego ranka wyszła z chaty z radosną twarzą i usiadła na swoim zwykłym miejscu pod drzewami.

— Matko, moja najdroższa matko, dzięki ci. Ukazałaś mi się, przypomniłaś mi swoje obrzędy, które zapomniałam. Gdybym tylko mogła się porozumieć z tymi ludźmi, już teraz wiedziałabym, gdzie jest mój Filip.

Stara Papuaska już od dwóch miesięcy opiekowała się Aminę, kiedy znowu przybyli ludzie z Tidore z poleceniem przywiezienia do faktorii białej kobiety wyrzuconej przez morze oraz wynagrodzenia tych, którzy się nią zajmowali. Wytłumaczyli na migi Aminę, która już odzyskała całą swą urodę, że ma odpłynąć z nimi. Każda zmiana była lepsza niż dalsze pozostawanie na wyspie, toteż Aminę poszła do pirogi, w której ją bezpiecznie usadowili, i wkrótce niknęła po morzu ze swymi nowymi towarzyszami. Kiedy sunęli przez spokojną toń, myślała o dawnym śnie Filipa i o syreniej muszli.

Pod wieczór dopłynęli do południowego cypla Galolo, gdzie wylądowali na noc. Naza jutrz znaleźli się u celu swej drogi i zaprowadzili Aminę do portugalskiej faktorii.

Historia ocalenia Aminę, opowiedziana przez krajowców, wydała się mieszkańcom faktorii tak cudowna, że trudno się dziwić ich wielkiemu zaciekawieniu. Poczynając od komendanta, a kończąc na najniższym słudze, wszyscy oczekiwali z niecierpliwością jej przybycia. Uroda Aminę i jej prześliczna postać wprawiły ich w podziw^T. Komendant powitał ją długim, bardzo uprzejmym przemówieniem w języku portugalskim. Zdziwiło go, że nie od-

powiedziała mu jak przystoi. Aminę jednak nie rozumiała ani słowa z tego, co do niej mówił, byłoby zatem rzeczą jeszcze bardziej zadziwiającą, gdyby mu odpowiedziała.

Kiedy wyjaśniła na migi, że nie rozumie ich mowy, domyślili się, że jest albo Angielką, albo Holenderką, i posłali po tłumacza. Wówczas powiedziała im, że jest żoną holenderskiego kapitana, którego okręt się rozbił, i że nie wie, czy załoga się uratowała, czy też nie. Portugalczycy byli bardzo radzi, że jakiś holenderski okręt zatonął i że ocalała tak urocza istota jak Amina. Komendant oświadczył, że miło mu ją gościć i że uczyni wszystko, aby zapewnić jej wszelkie wygody w czasie pobytu na wyspie. Powiedział również, że za trzy miesiące spodziewają się tutaj okrętu z mórz chińskich, (udającego się do Goa, i że, jeśli zechce, będzie mogła popłynąć tym okrętem do Goa, a w tamtejszym porcie łatwo znajdzie inny okręt, który ją zabierze tam, dokąd pragnęłaby się udać. Następnie zaprowadzono ją do osobnego mieszkania i pozostawiono tam wraz z małą Murzynką do posług.

Portugalski komendant był niskim, chudym człowieczkiem, wysuszonym na wiór wskutek długiego przebywania w tropikalnym słońcu. Nosił bardzo duże bokobrody i niezwykle długą szpadę. Były to dwa najbardziej rzucające się w oczy szczegóły jego postaci i stroju.

Nie można było mylnie sobie tłumaczyć jego atencji. Aminę śmiałyby się z niego, gdyby się nie lękała, że może ją zatrzymać na wyspie. Po paru tygodniach, dzięki swej wielkiej pilności, opanowała na tyle język portugalski, że mogła prosić o to, czego jej było trzeba, a zanim opuściła Tidore, rozmawiała już całkiem biegle. Ale z każdym dniem coraz mocniej pragnęła stąd wyjechać i dowiedzieć się,

co się stało z Filipem. Pod koniec trzeciego miesiąca swego pobytu na wyspie prawie nie odrywała oczu od morza, aby jak najwcześniej dojrzeć wyczekiwany okręt. W końcu ukazał się. Kiedy Aminę śledziła zbliżanie się jego żagli od zachodu, komendant nagle padł przed nią na kolana wyznając swą gorącą miłość i prosząc, aby nie odjeżdżała, lecz połączyła swój los z jego losem.

Aminę odpowiedziała ostrożnie, wiedziała bowiem, że jest w jego mocy. Musi najpierw dostać wiadomość o śmierci męża, co jeszcze nie jest pewne, tłumaczyła mu. Pojedzie więc do Goa i jeżeli się dowie, że jest wolna, to napisze do niego.

Odpowiedź ta, jak zobaczymy później, stała się dla Filipa powodem głębokiego cierpienia. Komendant, zupełnie spokojny o to, że potrafi zmyślić śmierć Filipa, zadowolił się jej słowami i oświadczył, że jak tylko otrzyma jakąś pewną wiadomość, sam ją zawiezie do Goa. Złożył przy tym tysiące uroczystych zapewnień o swej szczerości i wierności.

— Głupcze! — pomyślała Aminę obserwując okręt, który był już blisko kotwicowiska.

Pół godziny później okręt rzucił kotwicę i ludzie wysiedli na ląd. Gdy szli pod górę do fortu, Aminę zauważyła wśród nich jakiegoś księdza. Zadrżała, choć nie wiedziała dlaczego. Zbliżyli się i wtedy spotkała się twarzą w twarz z księdzem Mathiasem.

ROZDZIAŁ 29

Zarówno Aminę, jak i ksiądz Mathias drgnęli i cofnęli się zdumieni tym nieoczekiwanym spotkaniem. Aminę pierwsza wyciągnęła rękę. Uradowana widokiem znajomej twarzy, w tej chwili prawie nie pamiętała, w jakich okolicznościach się rozstali.

Ksiądz Mathias chłodno ujął jej dłoń i kładąc drugą rękę na jej głowie powiedział:

— Niech cię Bóg błogosławi i przebaczy ci, córko, jak ja ci przebaczyłem już dawno.

Wówczas Aminę przypomniała sobie nagle, co zaszło między nimi i zarumieniła się mocno. Czy ksiądz Mathias naprawdę jej przebaczył? Teraz miało się to okazać, ale jedno było pewne: traktował ją jak dawną dobrą znajomą, słuchał z zainteresowaniem jej opowiadania o rozbiciu się okrętu i zgodził się, że słusznie uczyni udając się z nim razem do Goa.

Po paru dniach okręt odpłynął. Aminę pożegnała faktorię i rozkochanego komendanta. Przepłynęli bezpiecznie przez archipelag i przecinali Zatokę Bengalską przy pięknej pogodzie, która towarzyszyła im od początku.

Po wyjeździe z Terneuzen ksiądz Mathias powrócił do Lizbony, ale mając dość bezczynności zgłosił się znów dobrowolnie na wyjazd do Indii jako misjonarz. Przybył na Formozę i wkrótce po przyjeździe dostał od swego przełożonego polecenie przyjazdu do Goa w ważnej sprawie. W ten sposób spotkał się z Aminę na wyspie Tidore.

Trudno byłoby zanalizować uczucia, jakie żywił ksiądz Mathias w stosunku do Aminę, tak często się one zmieniały. Raz przywoływał na pamięć życzliwość okazywaną mu przez nią

i Filipa, szacunek, jaki miał dla jej męża, i wiele zalet, jakie przyznawał jej samej. Kiedy indziej znów przypominał sobie hańbę, niezasłużoną hańbę, której przez nią doznał, i zastanawiał się, czy ona rzeczywiście uważała go za natręta, który wtargnął do jej izby w innych zamiarach niż te, jakie nim kierowały naprawdę, czy też po prostu wykorzystała jego nieostrożność. Obie strony rachunku prawie się równoważyły w jego myślach i byłby zdolny wybaczyć wszystko, gdyby wierzył, że Aminę szczerze się nawróciła na wiarę chrześcijańską. Jednakże mocne przeświadczenie, że nie tylko była niewierząca, lecz ponadto uprawiała zakazane praktyki, przeważało szaleńczo przeciwko niej. Obserwował ją pilnie i jeśli w rozmowie przejawiała jakieś uczucia religijne, w sercu jego odzywała się nuta sympatii. Jeśli jednak, przeciwnie, z ust jej wymykały się słowa, które mogłyby świadczyć o tym, że lekceważy sobie jego wiarę, wówczas wzbierała mu w piersi wielka fala oburzenia i pragnienie zemsty.

Gdy przecinali Zatokę Bengalską, aby opłynąć południowy przylądek Cejlonu, natknęli się po raz pierwszy na złą pogodę. Sztorm przybierał na sile i przesądni marynarze zapalili świece przed świętym obrazkiem wprawionym w ołtarzyk na pokładzie. Przyglądając się temu, Aminę uśmiechnęła się wzgardliwie. Uczyniła to niemal bezwiednie i w tej samej chwili spostrzegła, że ksiądz Mathias wpatruje się w nią z powagą.

— Papuasi, z którymi niedawno się rozstałam, nie robią nic złego, czczą tylko swoich bożków, a nazywa się ich bałwochwalcami — mruknęła pod nosem Aminę. — Kimże więc są ci chrześcijanie?

— Nie zeszlabyś pod pokład? — zapytał

ksiądz Mathias podchodząc do Aminę. — W taki czas niewiasty nie powinny przebywać na pokładzie, lecz raczej zanosić modły o zachowanie nas przy życiu.

— Nie, wielbny księżu, tutaj potrafię się lepiej modlić. Lubię tę walkę żywiołów i kiedy na nią patrzę, w uwielbieniu skłaniam głowę przed Bogiem, który włada burzą, śle gniewne wiatry albo je ucisza.

— Dobrze powiedziałaś, moje dziecko, ale Wszechmocnego trzeba wielbić nie tylko w jego dziełach, także w zamknięciu, przez rozmyślanie, zastanawianie się nad sobą i przez wiarę. Czy postępowałaś według zasad, jakich cię nauczono? Czy odnosiłaś się ze czcią do wzniosłych tajemnic, które zostały ci odsłonięte?

— Czyniłam wszystko co w mojej mocy, wielbny księżu — odpowiedziała Aminę odwracając głowę i obserwując wznoszącą się fale.

— Wzywałaś pomocy Najświętszej Panny i świętych pańskich, którzy są orędownikami grzeszników błędzących jak ty?

Aminę milczała. Nie chciała drażnić księdza i nie chciała kłamać.

— Odpowiedz mi, moje dziecko — nalegał ksiądz surowo.

— Księżu, modliłam się tylko do Boga... do Boga chrześcijan... do Boga całego wszechświata.

— Niewiasto, kto nie wierzy we wszystko, ten w nic nie wierzy. Tak właśnie myślałem. Przed chwilą widziałem twój wzgardliwy uśmiech. Z czego się śmiałaś?

— Z moich myśli, księżu.

— Powiedz raczej: z prawdziwej wiary okazywanej przez innych.

Aminę nie odpowiedziała.

— Jesteś wciąż niewierzącą i heretyczką. Strzeż się, niewiasto, strzeż się!

— Czego się strzec, wielbny księżu? I dlaczego miałabym się strzec? Czyż nie ma w tych krainach milionów ludzi bardziej niewierzących niż ja i może gorszych heretyków? Ilu nawróciliście na waszą wiarę? Ilu przykrości, ilu trudów i niebezpieczeństw doświadczyliście krzewiąc tę wiarę, a dlaczego tak źle wam to idzie? Czy mam wam odpowiedzieć? Dlatego, że ci ludzie mieli już własną wiarę. Wiarę, której ich uczono od maleńkiego, którą wyznawali wszyscy dokoła nich. Czyż ja nie jestem w tym samym położeniu? Wychowano mnie w innej religii, czy możecie się zatem spodziewać, że da się to po prostu odsunąć i za jednym razem wykorzenie przesady zaszczerpione w latach dzieciństwa? Dużo myślałam o tym, co mi mówiliście. Czułam, że jest w tym wiele prawdy. Że zasady waszej wiary są boskie. Czyż to mało? A mimo to nie jesteście zadowoleni. Chcielibyście ślepego uznawania, ślepego posłuszeństwa. Byłabym wówczas niegodną neofitką. Niedługo dopłyniemy do portu. Nauczajcie mnie tam i przekonujcie, jeżeli zechcecie. Jestem gotowa zastanowić się nad tym i przyznać do błędu, ale tylko jeśli zostanę przekonana. Miejcie cierpliwość, wielbny księżu, może nadejdzie czas, kiedy będę mogła uwierzyć w to, w co teraz nie wierzę... że ten kawałek drewna z namalowanym na nim obrazkiem jest czymś, przed czym należy skłaniać głowę ze czcią.

Pomimo ironii zawartej w ostatniej uwadze, w słowach Aminę było tyle prawdy, że ksiądz Mathias odczuł ich siłę. Ponieważ była żoną katolika, przywykł myśleć o niej jako o osobie, która odpadła od Kościoła katolickiego, nie zaś jako o osobie wychowanej w innej re-

ligii. Przypomnił sobie teraz, że w ogóle nie została jeszcze przyjęta do Kościoła, gdyż ksiądz Seysen nie uważał jej za dostatecznie przygotowaną do tego i odłożył jej chrzest do czasu, aż będzie pewien jej całkowitego nawrócenia.

— Mówisz zuchwale, moje dziecko — odparł ksiądz Mathias po chwili milczenia — ale mówisz to, co czujesz. W Goa będziemy z sobą rozmawiać o tych sprawach i Bóg da, że nowa wiara stanie się dla ciebie oczywista.

— Oby tak się stało — odparła Aminę.

Ksiądz Mathias ani się domyślał, że umysł Aminę był w tej chwili zaprzątnięty snem, jaki miała na Nowej Gwinei. W tym śnie ukazała jej się matka, odślaniając tajemnice swej czarodziejskiej sztuki, i Aminę wyczekiwała z niecierpliwością przyjazdu do Goa, aby móc ją wypróbować.

Sztorm nasilał się z każdą godziną, okręt zaczął przeciekać. Portugalscy marynarze byli wystraszeni i wzywali pomocy swych świętych. Ksiądz Mathias i pozostali pasażerowie pogodzili się z tym, że muszą zginąć, gdyż pompy nie mogły nadażyć z usuwaniem wody. Kiedy ogromna fala przewaliła się przez okręt, twarze ludzi zbieleły, trzęśli się i modlili. Ksiądz Mathias udzielił im rozgrzeszenia. Niektórzy płakali jak dzieci, inni darli sobie włosy, jeszcze inni przeklinali, przeklinali tych samych świętych, do których modlili się zaledwie dzień przedtem. Aminę stała niewzruszona, a słysząc, jak złorzeczyli, uśmiechała się pogardliwie.

— Moje dziecko — przemówił do niej ksiądz Mathias, starając się zapanować nad drżeniem głosu, aby się nie wydać roztrzęsionym w oczach kogoś, kto wyglądał **tak** spokojnie i niewzruszenie wśród ryku żywiołów. — Mo-

je dziecko, nie marnujmy tej godziny śmiertelnego niebezpieczeństwa. Zanim staniesz przed najwyższym sądem, chcę cię przyjąć na łono naszego Kościoła. Udzielić ci odpuszczenia grzechów i dać pewność zbawienia wiecznego.

— Wielebny księże — odpowiedziała Aminę — zastraszeniem nie można mnie nakłonić do wiary, nawet gdybym się bała burzy. I nie uwierzę w waszą moc odpuszczania grzechów tylko dlatego, że pod wpływem strachu mogłabym powiedzieć coś takiego, czego, być może, wyrzekłabym się w chwili spokoju umysłu. Jeśli kiedykolwiek zdolna byłam ulec strachowi, to wtedy, gdy zostałam sama na tratwie. Była to zaiste próba siły mojego ducha. W tej chwili samo tamto wspomnienie jest dla mnie straszliwsze niż szalejący sztorm i śmierć, która nas może czeka. Istnieje na wysokościach Bóg. Wierzę w jego litość, ufam jego miłości, poddaję się jego woli. Niech się stanie wola jego.

— Dziecko, nie umieraj w niewierze.

— Księże — odparła Aminę wskazując na płaczących, lamentujących pasażerów i marynarzy — to są chrześcijanie. Tym ludziom obiecaliście przed chwilą dziedzictwo wiecznej szczęśliwości. Czym jest ich wiara, jeżeli nie daje im dość siły, aby umierali jak przystoi mężom? Dlaczegoż to niewiasta nie drży z lęku, oni zaś czołgają się i pełzają po pokładzie?

— Życie jest miłe każdemu, moje dziecko. Oni mają się rozstać ze swymi żonami i dziećmi i boją się tego, co będzie potem. Któż jest gotów na śmierć?

— Ja — odparła Aminę. — Nie mam męża... przynajmniej obawiam się, że już go nie mam. Dla mnie życie nie ma żadnych uroków, choć

tli się jeszcze isierka nadziei, słomka dla tonącego nieszczęśnika. Nie boję się śmierci, bo nie mam dla kogo żyć. Gdyby był tutaj Filip, może wtedy... Ale on odszedł przede mną i teraz pragnę tylko podążyć za nim.

— On umarł w prawdziwej wierze, moje dziecko. Jeśli chcesz się z nim spotkać, uczynić to samo.

— Na pewno nie umierał tak, jak ci tutaj — zauważyła Aminę spoglądając z pogardą na pasażerów.

— Może nie żył tak, jak oni żyli — odrzekł ksiądz Mathias. — Dobry człowiek umiera spokojnie i bez lęku.

— Tak umierają dobrzy ludzie każdego wyznania, wielebny księżę, a dla ludzi złych śmierć jest jednakowo okropna w każdej religii.

— Będę się za ciebie modlił, moje dziecko — powiedział ksiądz Mathias osuwając się na kolana.

— Dzięki. Wasze modlitwy będą wysłuchane, choć zanosicie je za taką osobę jak ja — odparła Aminę, po czym, trzymając się lin ochronnych, doszła do schodni i wydostała się na pokład.

— Zginęliśmy, pani, zginęliśmy! — wykrzyknął kapitan załamując ręce, skulony pod nadburciem.

— Nie — odparła Aminę, która przeszła na nawietrzną i przytrzymała się liny — tym razem nie zginiemy.

— Co powiadacie, pani? — zawołał kapitan patrząc z podziwem na spokojną, opanowaną twarz Aminę. — Co powiadacie?

— Coś mi mówi, zacny kapitanie, że nie zginiecie, jeśli tylko uczynicie wszystko, co w waszej mocy. Coś mi to mówi tutaj — i Aminę położyła sobie rękę na sercu.

Była przekonana, że okręt nie zatoni, nie uszło bowiem jej uwagi, że sztorm już tracił na gwałtowności, choć przerażeni marynarze tego nie spostrzegli.

Zimna krew Aminę, jej piękność, może niezwykły widok tak młodej kobiety spokojnej i opanowanej, gdy wszyscy naokoło pogrążeni byli w rozpacz, podziałała zbawiennie na kapitana i marynarzy. Sądząc, że jest katoliczką, wyobrażali sobie, iż jej zapewnienia muszą się opierać na jakimś znaku z góry, łatwowierność bowiem jest siostrą zabobonu. Spoglądali na Aminę z podziwem i szacunkiem. Odzyskiwali stopniowo zwykłą energię i zabierali się do roboty. Znowu uruchomiono pompy. W ciągu nocy sztorm ucichł i, tak jak przepowiedziała Amina, okręt ocalał.

Załoga i pasażerowie uważali ją niemal za świętą i opowiadali o niej księdzu Mathiasowi, który słuchał tego ze smutkiem i zakłopotaniem. Odwaga, jaką okazała, była niezwykłą. Nawet wtedy, gdy on sam się trząsł ze strachu, ona nie objawiała najmniejszego lęku. Nie odpowiadał na, pełne zachwyty relacje, lecz zagłębił się we własnych myślach, a wynik tych medytacji nie był korzystny dla Aminę. Jaka siła dawała jej tę zimną krew? Jaka siła obdarzyła ją duchem proroczym? Nie Bóg chrześcijan, bo nie jest wierząca. Któż zatem? Tu księdzu Mathiasowi przyszła na myśl izba Aminę w Terneuzen i pokręcił głową.

ROZDZIAŁ 30

Musimy teraz powrócić znowu do Filipa i Krantza, którzy rozmawiali ze sobą długo na temat dziwnego pojawienia się Schriftena. Doszli do zgodnych wniosków tylko co do tego, że powinni go bacznie śledzić i pozbyć się go," jak się da najprędzej. Krantz zapytał pilota, w jaki sposób zdołał się uratować. Schriften odpowiedział mu na to swoim zwykłym szyderczym tonem, że w czasie bójki z Filipem jedno z dużych wiosł spadło z tratwy do wody i że utrzymywał się na nim tak długo, aż dopłynął do małej wysepki. Spostrzegłszy płynącą pirogę, rzucił wiosło ponownie na wodę i leżał na nim, dopóki tamci go nie zauważyli i nie wyciągnęli z wody. W opowiadaniu tym nie było nic niemożliwego, choć było wiele nieprawdopodobieństw, toteż Krantz nie zadawał już więcej pytań. Nazajutrz rano, gdy wiatr zelżał, spuścili pirogę na wodę i pozełowali ku wyspie Ternate.

Dopiero po czterech dniach dopłynęli do celu, gdyż co wieczór lądowali i wyciągali łódź na piaszczystą plażę. Filipowi było lżej na sercu, wiedział już bowiem, że Aminę jest bezpieczna. Mógłby nawet czuć się szczęśliwy w oczekiwaniu bliskiego spotkania, gdyby nie dręczyła go nieustannie obecność Schriftena.

Było coś dziwnego, coś przeciwnego ludzkiej naturze w tym, że mały człowieczek mimo swego diabelskiego usposobienia nigdy nie robił żadnych aluzji ani nie wypominał Filipowi zamachu na jego życie. Gdyby miał pretensję, gdyby oskarżał Filipa o morderstwo, gdyby poprzysiągł zemstę i po dotarciu do siedziby jakichś władz zażądał od nich sprawiedliwości, byłoby całkiem inaczej. Ale nie. Wy-

głaszał dalej nieproszone, impertynenckie uwagi z tym swoim wiecznym szyderczym chichotem, jak gdyby nie miał najmniejszego powodu do gniewu ani wrogości.

Gdy tylko zawinęli do głównego portu i miasta na Ternate, zaprowadzono ich do dużej chaty zbudowanej z liści palmowych i bambusu i poproszono, aby jej nie opuszczali, dopóki król nie zostanie powiadomiony o ich przybyciu. Filip i Krantz wciąż na nowo dziwili się szczególnej uprzejmości i dobremu wychowaniu tych wyspiarzy. Mieli wrażenie, że ich religia, podobnie jak ubiór, łączyła w sobie cechy mahometańskie i malajskie.

Po paru godzinach wezwano ich na audiencję do króla; odbywała się ona na świeżym powietrzu. Król siedział w cieniu werandy, otoczony liczną świtą kapłanów i wojowników. Świta była liczna, ale nie okazała. Wszystkie osoby otaczające króla były ubrane w białe szaty i białe turbany, ale nawet on sam nie miał na sobie żadnych ozdób. Pierwszą rzeczą, która uderzyła Filipa i Krantza, kiedy ich wprowadzono przed oblicze króla, była panująca wszędzie cudowna czystość. Wszystkie szaty były nieskazitelnie czyste i takie białe, że tylko słońce mogło je do tego stopnia wybielić.

Idąc za przykładem tych, którzy ich przyprowadzili, pozdrowili króla według mahometańskiego obyczaju, po czym poproszono ich, aby usiedli. Za pośrednictwem portugalskich tłumaczy — gdyż dzięki dawnym stosunkom z Portugalczykami, których wyspiarze stąd wypędzili, wielu z nich dobrze znało język portugalski — król, powitawszy życzliwie przybyśców, poprosił, aby mu opowiedzieli o katastrofie swego okrętu.

Filip zdał krótką relację wspominając mię-

dzy innymi, że rozłączył się z żoną, która podobno znajduje się w ręku Portugalczyków z faktorii na Tidore. Zapytał, czy jego królewska mość zechciałby mu pomóc w jej uwolnieniu lub w dojechaniu do niej.

— Dobrze rzekłeś — odparł król. — Niechaj przyniosą posiłek dla cudzoziemskich gości. Audyencja skończona.

Po kilku chwilach z całego orszaku pozostało tylko paru najbardziej zaufanych przyjaciół i doradców króla. Wniesiono curry, ryby i różne inne dania. Po skończonym posiłku król zabrał głos:

— Portugalczycy to psy. Są naszymi wrogami. Czy pomożecie nam walczyć z nimi? Mamy duże działa, ale nie umiemy się z nimi obchodzić tak jak wy. Jeśli mi pomożecie, to wyślę moją flotę przeciwko Portugalczykom z Tidore. Powiedzcie mi, Holendrzy, czy będziecie walczyć? Wy — zwrócił się do Filipa — odzyskacie wtedy swą żonę.

— Jutro dam wam odpowiedź, królu — odparł Filip. — Muszę się naradzić z moim przyjacielem. Jak już mówiłem, byłem kapitanem okrętu, a on moim zastępcą. Naradzimy się razem.

Schriften, którego Filip przedstawił jako prostego marynarza, nie został dopuszczony przed oblicze władcy.

— Zgoda — odparł król. — Jutro będziemy oczekiwali waszej odpowiedzi.

Filip i Krantz odeszli. Po powrocie do swojej chaty zastali tam przysłane przez króla w prezencie dwa kompletne stroje muzułmańskie wraz z turbanami. Bardzo się z tego ucieszyli, gdyż ich ubrania były w opłakanym stanie i zupełnie nieodpowiednie do noszenia w palącym słońcu tych okolic. Ich spiczaste kapelusze także przyciągały gorące promienie słoń-

ca, co było nie do zniesienia, toteż chętnie zamienili je na białe turbany. Ukrywszy pieniądze w malajskiej szarfie, stanowiącej część stroju, szybko się przebrali w miejscową odzież, której wygodę odczuli natychmiast. Po długiej naradzie postanowili przyjąć warunki stawiane przez króla, gdyż była to jedyna realna decyzja, dająca Filipowi nadzieję odzyskania Aminę. Nazajutrz zakomunikowali królowi o swojej zgodzie, po czym podjęto wszelkie przygotowania do wojennej wyprawy.

Widać było ruch i krzątaninę. Setki piróg różnej wielkości, ustawionych burta w burcie, kołysało się na spokojnej wodzie zatoki, tworząc tratwę sięgającą niemal na pół mili od plaży. Roily się one od mężczyzn, którzy je wyposażali do żeglugi i do walki. Jedni szykowali żagle, inni wykonywali prace ciesielskie, tam gdzie to było potrzebne, większość zaś ostrzyła miecze i sporządzała śmiertelną truciznę z ananasa do swoich krisów.

Na plaży panował nieład. Dzbany z wodą, worki ryżu, jarzyny, solone ryby, drób w kojcach — rozrzucone były bezładnie, a wśród tego wszystkiego kręcili się uzbrojeni krajowcy wykonując rozkazy swych dowódców, którzy przechadzali się tam i z powrotem, ubrani w najpiękniejsze stroje, błyskający bronią i ozdobami. Król posiadał sześć spiszowych czterofuntówek z długimi lufami, które dostał w prezencie od kapitana holenderskiego okrętu. Pod kierunkiem Filipa i Krantza działka te wraz z odpowiednią ilością prochu i pocisków umieszczono na sześciu największych pirogach. Holendrzy nauczyli obchodzenia się z nimi odpowiednią liczbę krajowców. Początkowo król, który był całkiem pewien zniszczenia portugalskiego fortu, oznajmił o swoim postanowieniu udania się tam osobiście. Uległ jednak per-

swazjom swych zaufanych doradców i prośbie Filipa, nie mogli oni bowiem zgodzić się na to, aby władca narażał swe cenne życie. Po dziesięciu dniach wszystko było gotowe i flota z siedmioma tysiącami wojowników pożeglowała w kierunku wyspy Tidore.

Był to piękny widok — błękitne, łagodnie falujące morze pokryte blisko sześcioma setkami tych 'malowniczych stateczków, prujących wodę pod żaglami, jak delfiny w pogoni za zdobyczą. Wszystkie zapchane były krajowcami tych malowniczych stateczków, prujących z ciemnym błękitem morza. Duże pirogi, w których płynęli Filip i Krant z wraz z naczelnikami krajowców, były jaskrawo ozdobione chorągwiami i proporcami w rozmaitych barwach, powiewającymi i łopoczącymi na ostrym wietrze. Wyglądało to na wyprawę, której celem była raczej wesoła zabawa niż bój i rzeź.

Drugiego dnia wieczorem dopłynęli do wyspy Tidore i podeszli na odległość paru mil od portugalskiej faktorii i fortu. Miejscowa ludność, która nie lubiła Portugalczyków, choć bała się odmawiać im posłuszeństwa, opuściła chatki w pobliżu plaży i schroniła się w lasach. Wobec tego flota z Ternate zakotwiczyła blisko plaży i spędziła tam noc nie niepokojona przez nikogo. Nazajutrz rano Filip i Krantz wybrali się na rekonesans.

Fort i faktoria na Tidore były zbudowane według tych samych zasad co niemal wszystkie portugalskie fortyfikacje w rejonie tamtych mórz. Zewnętrzne umocnienia, składające się z fosy i silnej, obmurowanej palisady, otaczały faktorię i wszystkie domy osiedla. Bramy w zewnętrznych murach były przez cały dzień otwarte dla wchodzących i wychodzących, a zamykano je tylko na noc. Od strony morza wznosiła się za tym obwarowaniem bu-

dowla, którą można by nazwać cytadelą lub właściwą twierdzą. Była ona z kamienia, z blankami, otoczona głęboką fosą i dostępna tylko przez zwodzony most, na którym po każdej stronie stało jedno działo. Trudno się było zorientować w jej rzeczywistej sile obronnej, bo zasłaniała ją wysoka palisada otaczająca całe osiedle. Po dokładnym rozpoznaniu Filip zalecił, aby duże pirogi z armatkami zaatakowały z morza. Jednocześnie wojownicy z małych pirogów powinni, jego zdaniem, wylądować i otoczyć fort, wykorzystując każdą osłonę, aby z ukrycia nękać nieprzyjaciela ogniem z rusznic, strzałami i dzidami. Plan ten został przyjęty przez naczelników i sto pięćdziesiąt pirogów ruszyło do ataku. Pozostałe wyciągnięto na plażę, a przybyli na nich wojownicy podążyli lądem.

Portugalczyki zostali uprzedzeni o zbliżaniu się nieprzyjaciół i byli w pełni przygotowani na ich przyjęcie. Działa ciężkiego kalibru ustawione od strony morza miały dobrą obsługę. Armaty na pirogach, chociaż pod kierunkiem Filipa strzelały tak skutecznie, jak tylko to było możliwe, były małe i wyrządzały niewiele szkody w grubej kamiennej ścianie fortu.

Po czterogodzinnej akcji, w czasie której zginęło bardzo wielu ludzi z Ternate, za radą * Filipa i Krantza pirogi odstąpiły i wróciły tam, gdzie stacjonowała reszta floty. Ponownie zwołano naradę wojenną. Nie wycofano jednak tych sił, które otaczały fort od strony lądu, gdyż odcinały one drogę wszelkim dostawom i odsieczy. Poza tym wojownicy od czasu do czasu kładli trupem jakiegoś Portugalczyka, który ośmielił się wychylić zza murów. Filip dobrze wiedział, że nie było to bez znaczenia dla bardzo nielicznego garnizonu w forcie.

Było rzeczą oczywistą, że nie mogli zdobyć fortu przy pomocy swoich armatek. Od strony morza był on nie do wzięcia. Musieli skierować uderzenie od lądu. Gdy naczelnicy skończyli swoje rozmowy, Krantz poradził im, aby poczekać do zmroku i wtedy ponowić atak w następujący sposób. Gdy wiatr zacznie wiać wzdłuż brzegu, co nastąpi wieczorem, wojownicy powinni przygotować duże wiązki suchych liści palmy karłowatej i kokosowej, znieść je i ułożyć jedno na drugim pod samą palisadą od strony nawietrznej, a następnie podpalić. W ten sposób spalą palisadę i zdobędą dostęp do zewnętrznych umocnień. Potem można będzie się zastanowić, co robić dalej. Rada ta była zbyt rozsądna, aby jej nie posłuchać. Wszystkich tych ludzi, którzy nie mieli rusznic, posłano do zbierania suszu. Wkrótce uzbierali go bardzo dużo i przed zapadnięciem zmroku wszystko było gotowe do podjęcia drugiego ataku.

Wojownicy z Ternate zdjęli swoje białe opończe. Ubrani tylko w niebieskie spodnie i pasy, uzbrojeni w krótkie szable i krisy, podkradali się po cichu pod palisadę, układali tam wiązki suszu i zawracali, aby jeszcze i jeszcze raz odbyć tę, samą drogę. W miarę jak warstwy suszu sięgały coraz wyżej, oni podchodzili coraz śmielej do palisady, aż wreszcie stos był gotów. Wówczas z głośnym krzykiem podpalili go w kilku miejscach naraz. Płomień strzelił w górę, z fortu zagrzmiała armata, wielu wojowników padło rażonych kartaczami i granatami. Ale żołnierze z fortu, dławiąc się dymem, który spowijał ich kłębam, musieli wkrótce porzucić szanse, aby uniknąć uduszenia. Palisada stała w ogniu, a płomień, wznosząc się w powietrze, przerzucały się na drugą stronę i zaczynały atakować faktorię

oraz domy mieszkalne. Nikt już nie stawiał oporu. Ternateńczycy zwalali palącą się palisadę, wdzierali się do fosy i każdy, komu się nie udało schronić w cytadeli, ginął pod ciosami ich szabel i krisów. Ginęli głównie słudzy-tubylcy, których atak zaskoczył. Portugalczycy widocznie nie dbali o ich życie, gdyż nie zwracali uwagi na wołania, aby opuścić zwodzony most i wpuścić ich do cytadeli.

Pałała się kamienna faktoria i wszystkie domy mieszkalne, oświetlając wyspę w promieniu wielu mil. Dym się rozproszył i budowle obronne twierdzy były teraz doskonale widoczne w jasnym blasku pożaru.

— Gdybyśmy mieli drabiny oblężnicze — wykrzyknął Filip ■— twierdza byłaby nasza. Na murach nie ma żywego ducha.

—■ To prawda, to prawda — zgodził się Krantz — ale nawet i tak znajdziemy dobre stanowisko w murach faktorii, jak tylko wygaśnie ogień. Jeśli ją obsadzimy, to tamci nie ośmielą się wychylić nosa, a tymczasem my będziemy budować drabiny. Jutro na noc mogą być gotowe. Najpierw podkurzimy ich jeszcze kilku wiązkami suszu, a potem wdrapiemy się na mury i weźmiemy fort szturmem.

— Tak, to się powinno udać — odparł Filip odchodząc.

Zbliżył się do naczelników, którzy zebrali się po zewnętrznej stronie fosy, i zakomunikował im ten plan. Kiedy zapoznał ich ze swymi zamiarami, oni zaś zgodzili się na nie, ukazał się Schriften, który przybył z wyprawą bez wiedzy Filipa.

— To się nie uda — powiedział. — Nigdy nie zdobędziecie tej twierdzy, Filipie Vanderdecken. He, he! — zachichotał.

Ledwo wymówił te słowa, nastąpił straszny wybuch. W powietrzu przelatowały wielkie

kamienie i padając na wszystkie strony, zabijały oraz kaleczyły setki ludzi: To faktoria wyleciała w powietrze, gdyż ogień przedostał się do podziemi, gdzie znajdowały się wielkie ilości prochu.

— Ot i koniec waszego planu, Mynheer Vanderdecken, be, he! — krzyczał Schriften. — Nigdy nie zdobędziecie tej twierdzy.

Ciężkie straty w zabitych i zamęt spowodowany tym nieoczekiwanym wypadkiem wywołały panikę. Wszyscy ludzie z Ternate uciekali na plażę, gdzie leżały ich pirogi. Daremnie Filip i naczelnicy usiłowali zebrać ich na nowo. Nie znając strasznych skutków wybuchu prochu zgromadzonego w większej ilości, myśleli, że wydarzyło się coś nadprzyrodzonego. Wielu wskoczyło do pirog i odpłynęło, podczas gdy pozostali, wystraszeni, trzęsąc się i z trudem chwytając powietrze, stłoczyli się w jedną gromadę na plaży.

— Nigdy nie zdobędziecie tej twierdzy, Mynheer Vanderdecken — zaskrzeczał znajomy głos.

Filip uniósł już szablę, żeby rozplatać na dwoje uprzykrzonego pilota, ale opuścił ją z powrotem. Niestety, pomyślał, mówi przykrą prawdę, ale czemuż miałbym go za to zabijać?

Paru naczelników z Ternate nadal trzymało się dzielnie, większość jednak była tak samo wystraszona, jak ich ludzie. Po krótkiej naradzie zgodnie postanowiono, że wojsko pozostanie na miejscu do rana i wtedy podejmą ostateczną decyzję.

Kiedy wstał dzień, zobaczyli, że twierdza portugalska, nie otoczona już innymi budynkami, jest potężniejsza, niż początkowo przypuszczali. Na murach obronnych było pełno ludzi, którzy nastawiali lufy dział na wojska z Ternate. Filip naradzał się z Krantzem i obaj

uznali, że wobec trwającej paniki wśród wojowników nic więcej nie da się zrobić. Naczelnicy byli tego samego zdania i wydali rozkaz odwrotu. W gruncie rzeczy byli bardzo zadowoleni z odniesionego sukcesu, zniszczyli bowiem wielki fort, faktorię i wszystkie portugalskie budynki, a jedynie mała forteca pozostała nie uszkodzona. Była ona zbudowana z kamienia i niedostępna, wiedzieli więc, że król przyjmie łaskawie raport o tym, czego dokonali, i uzna to za wielkie zwycięstwo. Zarządzili wsiadanie do pirog i po dwóch godzinach cała flota, straciwszy około siedmiuset ludzi, płynęła z powrotem na Ternate. Tym razem Krantz i Filip wsiedli do jednej pirogi dla przyjemności rozmawiania z sobą. Nie minęły jednak trzy godziny, gdy nastąpiła cisza, a pod wieczór wszystko wskazywało na to, że pogoda się popsuje. Gdy wiatr na nowo się zerwał, dął już z przeciwnego kierunku, ponieważ jednak pirogi trzymały się tak ostro do wiatru, nie zwracano ma to uwagi. O północy wiatr nabrał siły sztormu i zanim minęli północno-wschodni cypel Tidore, zmienił się w huragan. Fale zmyły z pirog wielu ludzi. Ci, którzy nie umieli pływać, potonęli. Opuszczono żagle i stateczki unosiły się na łasce wiatru i fal, które się przez nie przewały. Flota dryfowała z dużą prędkością w kierunku brzegu. Zanim zaczęło świtać, piroga, w której płynęli Filip i Krantz, znalazła się na fali przyboju, uderzającej o plażę w pobliżu północnego krańca wyspy. Wkrótce rozbiła się w kawałki i każdy musiał myśleć o własnym ratunku. Filip i Krantz uczepili się tego samego odłamka i zdołali się utrzymać na powierzchni tak długo, aż wydostali się na brzeg. Zastali tam około trzydziestu ludzi, których spotkał taki sam los. Kiedy się rozwid-

niło, zobaczyli, że większa część floty opłynęła cypel, a pozostałe pirogi najprawdopodobniej się uratują, gdyż wiatr był już słabszy. Ponieważ wszyscy ludzie z Ternate byli dobrze uzbrojeni, zaproponowali, aby, jak tylko pogoda się poprawi, spuścić na wodę kilka piróg należących do mieszkańców wyspy i dogonić flotę. Ale Filip, który przedtem narodził się z Krantzeim, uznał, że nadarza się dobra sposobność do upewnienia się o losie Aminę. Krantzowi i jemu Portugalczycy nie mogli niczego dowieść, toteż mogliby albo zaprzeczać, że byli wśród napastników, albo też twierdzić, że zostali zmuszeni przyłączyć się do wyprawy. Bez względu na ryzyko Filip był zdecydowany pozostać, a Krantz postanowił dzielić jego losy. Udając, że się zgadzają na ich plan, pozwolili wojownikom z Ternate wyruszyć po miejscowe pirogi, a gdy tamci spuszczały je na wodę, Filip i Krantz cofnęli się w dżunglę i znikli.

Portugalczycy widzieli, jak rozbiła się nieprzyjacielska piroga. Rozjuszeni poniesionymi stratami, kazali miejscowej ludności schwytać wszystkich tych, których fala wyrzuciła na brzeg. Teraz, gdy Portugalczycy nie byli już obleżeni, mieszkańcy Tidore okazywali im posłuch. Bardzo szybko odnaleźli Filipa i Krantza, którzy siedzieli spokojnie w cieniu dużego drzewa czekając, czym to się skończy. Poprowadzono ich do fortu, dokąd przybyli przed zapadnięciem nocy. Wkrótce stanęli przed obliczem komendanta, tego samego chudego człowieka, który umizgał się do Aminę. Ponieważ byli ubrani w stroje muzułmańskie, komendant już miał dać rozkaz, aby ich powieszono, kiedy Filip powiedział mu, że są Holendrami, że ich okręt się rozbił, oni zaś zostali zmuszeni przez króla Ternate do wzięcia

udziału w wyprawie. Powiedział następnie, że skorzystali z pierwszej nadarzającej się okazji, aby umknąć, co było przecież oczywiste, gdyż wojownicy z Ternate, którzy razem z nimi zostali wyrzuceni na brzeg, odpłynęli na miejscowych łodziach, podczas gdy oni woleli pozostać. Na to mały komendant portugalski uderzył końcem szpady o kamienne płyty ganku na murach obronnych, nadął się, aby sprawiać wrażenie wielkiego, po czym kazał ich odprowadzić do lochu aż do dalszego przesłuchania.

ROZDZIAŁ 31

Ponieważ wszyscy bez wyjątku więźniowie rozwodzą się na temat braku wygod w więzieniach, należy przypuszczać, że nie są one specjalnie wygodne. To, do którego zaprowadzono Filipa i Krant za, z pewnością nie przypominało w niczym przyjemnej rezydencji. Mieściło się w podziemiach twierdzy i miało małej otwór w ścianie od strony morza dla dopływu powietrza i światła. Było tam bardzo gorąco, a ponadto brakowało tych wszystkich drobnych udogodnień, które tak bardzo się przyczyniają do dobrego samopoczucia w nowoczesnych domach i hotelach. Właściwie były tam cztery gołe ściany, kamienna posadzka, i to wszystko.

Chcąc się dowiedzieć czegoś o Aminę, Filip zwrócił się po portugalsku do żołnierza, który sprowadził ich do lochu.

— Przepraszam, drogi przyjacielu...

— Ja też przepraszam — odpowiedział żołnierz wychodząc i zamykając drzwi na klucz.

Filip oparł się o ścianę z ponurą miną. Krantz, który miał żywsze usposobienie, zaczął chodzić po celi, trzy kroki w jednym kierunku, trzy z powrotem.

— Wiesz, o czym myślę? — zapytał przerywając na chwilę swoją wędrówkę. — Bardzo szczęśliwie się stało — tu zniżył głos do szeptu — że mamy przy sobie wszystkie nasze dublony. Jeśli nie będą nas rewidować, to możemy się stąd wydostać drogą przekupstwa.

— A ja myślałem — odparł Filip — że wolę siedzieć tutaj, niż znosić towarzystwo tego łotra Schriftena, którego widok działa na mnie jak trucizna.

— Komendant nie zachwyił mnie swoim wyglądem, ale przypuszczam, że jutro dowiemy się czegoś i więcej.

W tym momencie przerwał im rozmowę zgrzyt klucza przekręcanego w zamku i wejście żołnierza z glinianym garnkiem pełnym wody i dużym półmiskiem gotowanego ryżu. Nie był to ten sam żołnierz, który ich przyprowadził do lochu, toteż Filip zagadnął go:

— Napracowaliście się ciężko przez te ostatnie dwa dni?

— O tak, panie.

— Krajowcy zmusili nas, żebyśmy się przyłączyli do ich wyprawy, ale uciekliśmy od nich.

— Słyszałem, panie, jak to mówiliście.

— Stracili bez mała tysiąc ludzi — odezwał się Krantz.

— Święty Franciszku! **Bardzo się z tego cieszą.**

— Myślę, że na drugi raz będą ostrożniejsi,

kiedy zachce im się napadać na Portugalczyków — zauważył Krantz.

— Ja też tak myślę — odparł żołnierz.

— A wy straciliście dużo ludzi? — zaryzykował Filip widząc, że żołnierz jest rozmowny-

— Ii, naszych nie padło nawet dziesięciu. W faktorii zginęło około stu krajowców, trochę niewiast i dzieci, ale to głupstwo.

— Słyszałem, że była tu u was młoda niewiasta, Europejka — podjął Filip niepewnie. — Z jakiegoś rozbitego okrętu. Czy ona także zginęła?

— Młoda niewiasta? Święty Franciszku! Tak, teraz sobie przypominam. Tak, rzeczywiście.

— Pedro! — zawołał jakiś głos z góry. Żołnierz umilkł, przyłożył palec do ust, wyszedł z celi i zamknął drzwi na klucz.

— Boże, daj mi cierpliwość! — zawołał Filip. — To zbyt ciężka próba.

— Zejdzie tu do nas jutro rano — pocieszył go Krantz.

— Tak, jutro rano. Ale oczekiwanie wydłuży w nieskończoność godziny dzielące nas od rana.

— Rozumiem cię — odparł Krantz — ale co można na to poradzić? Godziny te muszą przeminąć, choć niepewność rozciąga je w nieskończone lata... Cyt, słyszę jakieś kroki.

Drzwi znowu się otworzyły i stanął w nich pierwszy żołnierz.

— Za mną! Komendant chce z wami mówić.

Filip i jego towarzysz z radością usłuchali tego nieoczekiwanego wezwania. Wstępowali po wąskich, kamiennych schodkach w górę i w końcu znaleźli się w małej komnacie, w obecności komendanta, którego czytelnicy już mieli okazję poznać. Leżał w niedbalej pozycji na małej kanapce. Długa szpada spoczywała

przed nim na stole, a dwie miejscowe młode kobiety wachlowały go, jedna stała u wezgowia, druga u nóg.

— Skąd macie tę odzież? — padło pierwsze pytanie.

— Krajowcy, którzy zabrali nas jako jeńców z wyspy, gdzie wyrzuciła nas fala, odebrali nam nasze ubrania i dali te, mówiąc, że to podarek od ich króla.

— I najęli was do służby w jego flocie na czas wyprawy przeciwko temu fortowi?

— Zmusili nas — odparł Krantz — wiedząc bowiem, że nasze kraje nie są ze sobą w stanie wojny, nie chcieliśmy się zgodzić na tę służbę. Mimo to wsadzili nas do pirogi, żeby prości wojownicy mogli myśleć, że pomagają im Europejczycy.

— Skąd mogę wiedzieć, czy to prawda?

— Po pierwsze, macie na dowód tego nasze słowo, panie komendancie, a po drugie, naszą ucieczkę od nich.

— Płynęliście na okręcie Holenderskiej Kompanii Indii Wschodnich. Jesteście oficerami czy prostymi marynarzami?

Krantz uważał za mniej prawdopodobne, aby ich dalej więziono, jeśli zatają swoje prawdziwe stanowiska na okręcie, dotknął więc leciutko palcem ręki Filipa i odpowiedział:

— Jesteśmy młodszymi oficerami. Ja byłem trzecim oficerem, a mój towarzysz pilotem.

— Gdzie jest wasz kapitan?

— Nie... nie potrafię powiedzieć, czy żyje, czy też zginął.

— Nie mieliście na okręcie żadnej niewiasty?

— Owszem, płynęła z nami żona kapitana.

— Co się z nią stało?

— Zapewne poniosła śmierć na kawałku tratwy, który oderwał się i zdryfował.

— Ha! — mruknął komendant, po czym zamilkł na dłuższą chwilę.

Filip spojrział na Krantza, jakby chciał powiedzieć: „Po co te wszystkie wybiegi”, ale Krantz dał mu znak, żeby pozwolił jemu mówić dalej.

— Powiadacie, że nie wiecie, czy wasz kapitan żyje, czy nie żyje?

— Tak jest — odparł Krantz.

— No, a gdybym zechciał was wypuścić na wolność, czy zgodzilibyście się podpisać dokument stwierdzający, że on nie żyje, i potwierdzić to swoją przysięgą?

Filip popatrzył ze zdumieniem najpierw na komendanta, a potem na Krantza.

— W gruncie rzeczy nie widzę przeszkód — odpowiedział Krantz. — Tyle, że gdyby ten dokument został wysłany do Holandii, to moglibyśmy mieć przykrości. Czy wolno zapytać, panie komendancie, po co wam potrzebny taki dokument?

— Nie! — ryknął chudy człowieczek głosem podobnym do gromu. — Nie będę się przed wami tłumaczyć. Wystarczy, że chcę go mieć. Wybierajcie: loch albo wolność i odjazd pierwszym okrętem, jaki tu zawinie.

— Nie wątpię... właściwie jestem pewien, że do tego czasu musi już nie żyć — podjął Krantz cedząc słowa jakby w zamyśleniu. — Komendancie, czy zechcecie nam zostawić czas do jutra rana, żebyśmy mogli to sobie rozważyć?

— Dobrze, możecie odejść.

— Ale nie do lochu, panie komendancie — zaprotestował Krantz. — Nie jesteśmy przecież więźniami, a jeżeli oczekujecie od nas przysługi, to z pewnością nie będziecie nas źle traktować.

— Sami przyznajecie, żeście podnieśli broń przeciwko arcychrześcijańskiemu monarsze. Mimo to możecie tę noc spędzić na wolności. Jutrzejszy ranek zadecyduje o tym, czy będziecie więźniami, czy nie.

Filip i Krantz podziękowali małemu komendantowi za jego łaskawość i wyszli szybko na mury. Było ciemno, księżyc jeszcze się nie pokazał. Usiedli na blankach ciesząc się wietrzykiem i rozkoszując wolnością nawet po tak krótkotrwałym pobycie w więzieniu. Ale w pobliżu stali lub leżeli żołnierze, więc dwaj przyjaciele rozmawiali ze sobą tylko szeptem.

— O co mu mogło chodzić, kiedy żądał od nas zaświadczenia o śmierci kapitana i dlaczego odpowiedziałeś mu w ten sposób? — zapytał Filip.

— Możesz sobie wyobrazić, że często rozmyślałem o losie twojej pięknej żony, a kiedy usłyszałem, że sprowadzono ją tutaj, zadrżałem z lęku o nią. Ona, taka piękna, jakież musi sprawiać wrażenie w porównaniu z miejscowymi kobietami. A ten mały komendant... Czy nie jest to akurat taki człowiek, który mógłby ulec jej urokowi? Zataiłem nasze stanowiska, bo uważałem, że prędzej wypuści na wolność zwyczajnych*, skromnych ludzi niż kapitana i pierwszego oficera, zwłaszcza że podejrzewa nas o kierowanie napaścią ludzi z Ternate. A kiedy zażądał od nas zaświadczenia o twojej śmierci, pomyślałem od razu, że jest mu ono potrzebne po to, aby skłonić Aminę do poślubienia go. Ale gdzie ona jest? Oto pytanie. Gdyby tylko udało nam się odnaleźć tamtego żołnierza, moglibyśmy zdobyć jakieś wiadomości.

— Możesz być pewien, że ona jest tutaj — odparł Filip zaciskając pięści.

— Skłonny jestem tak przypuszczać — zgodził się Rrantz. — Że żyje, tego jestem pewien.

Podczas gdy tak rozmawiali, wzeszedł księżyc i blask jego padł na wzburzone wody. Filip i Krantz odwrócili się ku morzu. Wychyleni poza blanki patrzyli w milczeniu. Po dłuższej chwili ktoś przerwał ich zadumę podchodząc ze słowami:

— Dobry wieczór, panie.

Krantz rozpoznał natychmiast portugalskiego żołnierza, z którym nie dokończyli rozmowy.

— Dobry wieczór, przyjacielu. Dziękujemy Bogu, że nie będziesz nas już zamykać na klucz.

— Tak, to coś dziwnego — odpowiedział żołnierz przyciszonym głosem. — Nasz komendant bardzo lubi pokazywać swoją władzę. Ty le wam mogę powiedzieć, panie, że rządzi tutaj jak chce.

— Teraz nie słyszy nas — zauważył Krantz. — Ładne miejsce, przyjemnie musi się tutaj żyć. Od jak dawna jesteście w tym kraju?

— Już trzynaście lat, panie, i mam tego dosyć. W Opór to mam żonę i dzieci... to znaczy, miałem, bo czy jeszcze żyją, czy nie, któż to może wiedzieć?

— Nie spodziewacie się wrócić do swoich?

— Wrócić! Ach, panie, żaden portugalski żołnierz z takich jak ja nie powraca. Zaciągamy się na pięć lat i zostawiamy tutaj nasze kości.

— To rzeczywiście ciężko.

— Ciężko, panie — potwierdził żołnierz cichym szeptem. — To okrucieństwo i podstęp. Nieraz już chciałem sobie przystawić do gło-

wy lufę muszkietu, ale dopóki życia, dopóty nadziei.

— Żal mi was, pocziwcze — odparł Krantz. — Słuchajcie no, zostały mi dwie sztuki złota. Weźcie jedną, może uda się wam przesłać ją do kraju dla waszej biednej żony.

— Tu macie jeszcze jedną sztukę ode mnie, zacny człowieku — powiedział Filip wsuwając mu monetę do ręki.

— Niech was wszyscy święci mają w swojej opiece, szlachetni panowie — podziękował żołnierz — boć to pierwszy raz od wielu lat spotyka mnie taka dobroć, choć moja żona i dzieci pewnie nie zobaczą na oczy tego złota.

— Kiedy siedzieliśmy w lochu, wspominaliście o jakiejś młodej Europejce — odezwał się Krantz po krótkim milczeniu.

— Tak, panie, to było prześliczne stworzenie. Nasz komendant bardzo się w niej rozkochał.

— A gdzie ona jest teraz?

— Odpłynęła do Goa z pewnym księdzem, który ją znał. Z księdzem Mathiasem. To pocziwy staruszek, dał mi rozgrzeszenie, jak tu był u nas.

— Ksiądz Mathias! — wykrzyknął Filip, ale Krantz powstrzymał go lekkim dotknięciem ręki.

— Powiadacie, że komendant się w niej kochoł?

— A tak, całkiem dla niej oszalał ten wyskrobek i żeby nie ksiądz Mathias, jestem pewny, że nie dałby jej odjechać, choć była żoną innego.

— Odpłynęła do Goa, mówiliście?

— Tak, okrętem, który tu zawinął. Musiała być bardzo zadowolona, że się stąd wydo stała, bo nasz komendancik nie dawał jej spokoju od rana do wieczora, a po niej było wi-

dać, że się zamartwiała o męża. Nie wiedzą szlachetni panowie, czy jej mąż żyje?

— Nie, nie wiemy. Nic o nim nie słyszeliśmy.

— Hm, jeżeli żyje, to życzę mu, żeby się tu nie pokazywał, bo jakby się dostał w łapy komendanta, kiepsko by z nim było. Ten człowiek nie cofa się przed niczym. Odważny mały, to trzeba mu przyznać, ale jakby chodziło o zdobycie tamtej pani, nie zważałby na ryzyko, zniszczyłby każdą przeszkodę. A mąż to bardzo ważna przeszkoda. No tak, szlachetni panowie — podjął po chwili — nikt nie powinien wiedzieć, że się tu tak długo zasiedział. Jakby czego było potrzeba, to jestem na rozkazy. Na imię mi Pedro, zapamiętajcie. Dobranoc i stokrotne dzięki. — Co powiedziałszy, odszedł.

— W każdym razie zyskaliśmy przyjaciela — zauważył Krantz — i zdobyliśmy wiadomości nie byle jakiej wagi.

— Niezmiernie ważne — potwierdził Filip. — A więc Aminę popłynęła do Goa z księdzem Mathiasem. Wiem, że jest bezpieczna i pod dobrą opieką. To wspaniały człowiek ten ksiądz Mathias. Lżej mi na duszy.

— Tak, ale pamiętaj, że jesteś w mocy twojego wroga. Powinniśmy się stąd wydostać jak najprędzej. Musimy jutro podpisać świadectwo. To nie ma znaczenia, bo zanim ten dokument dotrze do Goa, prawdopodobnie my już tam będziemy. A nawet gdyby nie, to wiadomość o twojej śmierci nie skłoni Aminę do poślubienia tej wysuszonej kukły.

— O to jestem spokojny, ale taka wiadomość mogłaby jej zadać ogromny ból.

— Nie gorszy od obecnego stanu niepewności, wierz mi, Filipie. Ale nie ma sensu medy-

tować nad przeszłością. Musimy to zrobić. Ja podpiszę jako Cornelius Richter, nasz trzeci oficer, a ty jako Jacob Vantreat. Zapamiętaj. — Zgoda — odparł Filip i odwrócił się, jakby chciał zostać sam ze swymi myślami. Krantz zrozumiał to, położył się pod ambrazurą i wkrótce zasnął.

ROZDZIAŁ 32

Zmordowany przeżyciami minionego dnia, Filip położył się obok Krantza i także zasnął. Nazajutrz wczesnym rankiem obudził go głos komendanta i pobrząkiwanie jego długiej szpady, wlokącej się jak zwykle po kamiennych płytach chodnika. Podniósł się i zobaczył chudego oficerka, który łajał swoich żołnierzy. Jednym groził lochem, innym dodatkową służbą. Krantz wstał także, i zanim komendant skończył swoje poranne kazanie. W końcu zauważył ich i .-surowym tonem kazał iść za sobą, do jego mieszkania. Usłuchali. Rozwaliwszy się na kanapie komendant zapytał, czy są gotowi podpisać dokument, jak tego żądał, czy też wolą wrócić do lochu. Krantz odpowiedział, że rozważyli wszystkie możliwości i w rezultacie są tak głęboko przekonani o śmierci kapitana, iż chętnie podpiszą dokument stwierdzający ten fakt. Usłyszawszy tę odpowiedź komendant natychmiast zrobił się bardzo uprzejmy. Kazał sobie przynieść potrzebne przybory i wypisał dokument, który Krantz i Filip podpisali jak należy. Gdy się to stało

i chudy człowieczek miał już papier w ręku, był tak zadowolony, że zaprosił ich, aby zjedli z nim śniadanie.

Podczas posiłku przyrzekł, że będą mogli opuścić wyspę przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Wprawdzie Filip był małomówny, ale za to Krantz starał się być ogromnie miły, toteż komendant zaprosił ich na obiad. Kiedy nastrój zrobił się swobodniejszy, Krantz powiedział mu, że i on, i Filip posiadają po parę sztuk złota, chcieliby zatem dostać jakąś izbę, gdzie mogliby być na własnym wikcie. Czy to była potrzeba towarzystwa, czy też chęć zdobycia złota — prawdopodobnie i jedno, i drugie — dość że komendant zaproponował, aby jadali u niego płacąc swój udział. Chętnie na to przystali. Umówili się co do warunków i Krantz nalegał, żeby zapłacić z góry należność za pierwszy tydzień. Od tej chwili komendant stał się ich najserdecznym przyjacielem i myślał tylko o tym, jak dogodzić tym ludziom, których przedtem tak uprzejmie wpakował do lochu poniżej poziomu omtorza. Trzeciego dnia wieczorem, kiedy palili we trójkę manilskie cygara, Krantz zauważył, że komendant jest w szczególnie dobrym humorze, d ośmielił się zapytać, dlaczego tak bardzo mu zależało na zaświadczeniu o śmierci kapitana. Portugalczyk odpowiedział, ku zdumieniu Filipa, że Aminę zgodziła się go poślubić, jeżeli tylko przedstawi jej taki dokument.

— To niemożliwe! — krzyknął Filip zrywając się z krzesła.

— Niemożliwe? A czemuż to niemożliwe, mój panie? — odparł komendant podkreślając wąsa. Minę miał złą i zdziwioną.

— Ja także powiedziałbym: „To niemożliwe” — wtrącił szybko Krantz, przewidując skutki nieostrożności Filipa. — Gdybyście wie-

dzieli, panie komendancie, jak ta niewiasta bez pamięci kochała swego męża, jak go pieściła, tobyście rzekli jako i my, że to niemożliwe, żeby tak prędko obróciła swe serce ku innemu. Ale niewiasty są niewiastami, a żołnierz ma w ich oczach wielką przewagę nad każdym innym mężczyzną. Może więc i ona ma coś na swoje usprawiedliwienie. Panie komendancie, za wasze zdrowie i do waszych usług.

— Właśnie to samo zamierzałem powiedzieć — dodał Filip przystosowując się do taktyki Krantza. — Kiedy sobie przypomnę jej męża, a z drugiej strony patrzę na was, panie komendancie, to jednak ona ma bardzo wiele na swoje usprawiedliwienie.

Udobruchany tym pochlebstwem komendant odpowiedział:

— No tak, powiadają, że żołnierze mają duże powodzenie u płci pięknej. Moim zdaniem, to dlatego, że niewiasty szukają u nas obrony, a u kogóż mogą być jej pewniejsze niż u mężczyzny, który nosi u boku szpadę? Dalej, przyjaciele, wypijmy za jej zdrowie. Za zdrowie pięknej Armine Vanderdecken!

— Za zdrowie pięknej Aminę Vanderdeckent

— zawołał Krantz wychylając puchar wina.

— Za zdrowie pięknej Aminę Vanderdecken

— powtórzył Filip. — Ale, komendancie, czy nie obawiacie się zaufać jej tam, w Goa, gdzie na niewiastę czyha tyle pokus, tyle ją nęci powabów?

— Nie, nic a nic. Jestem przeświadczony, że ona mnie kocha. Między nami mówiąc, szaleje za mną.

— To łgarstwo! — wykrzyknął Filip.

— Co takiego? Czy to pod moim adresem? — wrzasnął komendant chwytając ze stołu szpadę.

— Ależ nie, nie — odparł Filip odzyskując

panowanie nad sobą — to było pod jej adresem. Słyszałem, jak przysięgała swemu mężowi, że będzie żyła tylko dla niego i dla nikogo więcej.

— Ha, ha! To wszystko? — parsknął śmiechem komendant. — Przyjacielu, nie znacie niewiast.

— Nie zna ich i nie ma do nich szczególnej skłonności — wtrącił Krantz, po czym pochylił się do komendanta i szepnął mu do ucha: — Zawsze się tak zachowuje, kiedy jest mowa o niewiastach. Kiedyś jedna go porzuciła w okrutny sposób i odtąd nienawidzi wszystkich.

— Wobec tego musimy mieć nad nim litość — odparł mały oficer. — Może byśmy zmienili temat?

Gdy się znaleźli w swojej izbie, Krantz zwrócił Filipowi uwagę na konieczność panowania nad swymi uczuciami, gdyż inaczej wpakują ich znowu do lochu. Filip przyznał się do zbytnej popędliwości, ale tłumaczył Krantzowi, że powodem jego rozdrażnienia był fakt, iż Aminę przyrzekła poślubić komendanta, jeśli ten uzyska pewną wiadomość o śmierci jej męża.

— Czy to możliwe? Czy możliwe, żeby była aż tak fałszywa? — pytał z rozpaczą. — Ale komendantowi tak bardzo zależało na zdobyciu tego dokumentu. To by potwierdzało prawdziwość jego słów.

— Myślę, Filipie, że było najprawdopodobniej tak, jak on mówi — odparł Krantz niechętnie. — Ale jednego możesz być pewien: Aminę znalazła się w sytuacji grożącej dużym niebezpieczeństwem i postąpiła w ten sposób tylko dlatego, żeby się uratować dla ciebie. Kiedy się spotkacie, na pewno ci udowodni, że to konieczność zmusiła ją do wyprowadzenia w pole komendanta i że, gdyby tego nie zrobiła, byłaby obecnie ofiarą jego przemocy.

— To możliwe — przyznał Filip z powagą.

— To całkiem pewne, Filipie, głowę za to daję. Nie dopuszczaj do siebie ani na chwilę myśli tak krzywdzącej dla niewiasty, która żyje tylko miłością do ciebie. Podejrzewać tę kochającą i całkowicie oddaną ci istotę! "Wstyd mi za ciebie, Filipie.

— Masz rację i będę ją prosił o przebaczenie za to, że pozwoliłem, aby takie uczucia czy myśli zawładnęły mną choć na chwilę. Ale kochającemu mężowi ciężko słuchać, gdy pomiatają imieniem jego żony i kiedy taki podły łajdak, jak ten komendant, ubliża jej godności.

— Tak, ciężko, na pewno, ale nawet to wydaje mi się lepsze niż zamknięcie w lochu — odpowiedział Krantz. — No, dobranoc.

Już trzy tygodnie przebywali w forcie i z każdym dniem wzrastała ich zażyłość z komendantem. Często widywał się on z Krantzem w nieobecności Filipa i wtedy sprowadzał rozmowę na swoją miłość do Aminę, opowiadając z najdrobniejszymi szczegółami o wszystkim, co zaszło. Krantz przekonał się, że miał rację i że Aminę przymilała się komendantowi tylko po to, aby mu uciec. Ale czas bardzo się dłużył i jemu, i Filipowi, gdyż żaden okręt się nie zjawiał.

— Kiedy ją znów zobaczę? — zapytał Filip sam siebie, gdy pewnego ranka stali z Krantzem na murach, wychylając się niedbale przez blanki.

— Zobaczę kogo? — podchwycił komendant, który niespodziewanie stanął tuż obok niego.

Filip odwrócił się i bąknął coś niezrozumiale.

— Rozmawialiśmy o jego siostrze, panie komendancie — powiedział Krantz biorąc Portugalczyka pod ramię i odprowadzając go nieco dalej. — Nie wspominajcie o tym mojemu

druhowi, bo to bardzo bolesna sprawa. Jest to także jeden z powodów jego wrogości względem niewiast. Była ona żoną jego przyjaciela i uciekła od męża. Jedyna siostra! Hańba ta zadała straszny cios jego matce i unieszczęśliwiła jego samego. Proszę was, komendancie, nie zwracajcie na to uwagi.

— Nie, nie, oczywiście, że nie. Nie dziwię się temu, honor rodziny to poważna sprawa. Biedny młody człowiek. Siostra dopuszcza się takiego czynu, narzeczona go zwodzi, nie dziwię się, że jest taki poważny i milczący. Czy on pochodzi z dobrej rodziny?

— To jedna z najbardziej arystokratycznych rodzin w Holandii — odpowiedział Krantz. — Mój druh jest dziedzicem wielkich włości, a dzięki fortunie matki już dzisiaj jest niezależny. Ale te dwa fatalne wydarzenia skłoniły go do opuszczenia Zjednoczonych Prowincji incognito. Wsiadł na okręt udający się do tych krajów, aby zapomnieć o swojej zgryzocie.

— Jedna z najbardziej arystokratycznych rodzin? — powtórzył komendant. — W takim razie używa przybranego nazwiska. Jacob Vantreat nie jest oczywiście jego prawdziwym imieniem i nazwiskiem?

— Ach, nie! Zapewniam was, komendancie, że nie, ale co do tego przysiągłem dyskrecję.

— Oczywiście, ale przecież nie w stosunku do przyjaciela, który potrafi zachować tajemnicę? Nie będę teraz o to wypytywał. Więc on jest naprawdę szlachcicem?

— To jeden z najzaciejszych rodów w kraju, posiadający wielkie bogactwa i wpływy. Skoligacony przez związki małżeńskie ze szlachtą hiszpańską.

— Tak, tak — mruknął komendant, zastanawiając się nad czymś. — Przypuszczam, że zna także wiele osób ze szlachty portugalskiej?

— Niewątpliwie. Oni wszyscy są ze sobą bliżej lub dalej spowinowaceni.

— Musi być dla was niezmiernie cenny jako przyjaciel, panie Richter.

— Myślę, że gdy wrócimy do kraju, będę miał być zapewniony do końca życia. On jest z natury hojny i potrafi się odwdzięczyć, jak sami się o tym przekonacie, panie, jeśli spotkacie go w przyszłości.

— Nie wątpię w to i mogę was zapewnić, że mam już serdecznie dosyć pobytu w tym kraju. Pozostanę tu zapewne jeszcze dwa lata, zanim mnie zwolnią. Potem będę się musiał przenieść do pułku w Goa i nie dostanę zezwolenia na powrót do kraju, chyba żebym zrezygnował ze stopnia oficerskiego. Ale oto nadchodzi wasz przyjaciel.

Po tej rozmowie z Krantzem nastąpiła bardzo wyraźna zmiana w zachowaniu portugalskiego komendanta, odczuwającego najwyższy respekt dla szlachty. Traktował Filipa z szacunkiem, który zwrócił uwagę wszystkich w forcie i dziwił samego Filipa, dopóki Krantz nie wyjaśnił mu przyczyny tej zmiany. W rozmowach z Krantzem komendant często powracał do tego tematu, próbując wysondować, czy sposób jego postępowania w stosunku do Filipa wywierał na nim dobre wrażenie. Chudy człowieczek miał nadzieję, że dzięki poparciu tak wpływowej osobistości uda mu się może osiągnąć jakieś korzyści.

W parę dni później, kiedy siedzieli we trzech przy stole, wszedł kapral i salutując komendantowi zameldował, że jakiś holenderski marynarz przybył do fortu i zapytuje, czy wolno mu wejść. Usłyszawszy to Filip i Krantz zbledli. Mieli złe przeczucie, ale milczeli. Komendant kazał wprowadzić marynarza i po kilku minutach ukazał się — któż by, jak nie ich

dreńcyiel, jednooki Scliriften. Zobaczywszy Filipa i Krantza siedzących przy stole, natychmiast wykrzyknął:

— O, kapitan Filip Vanderdecken i mój dobry znajomy Krantz, pierwszy oficer na dzielnym okręcie „Utrecht”. Cieszę się, że znów panów spotykam.

— Kapitan Filip Vanderdecken! — ryknął komendant zrywając się z krzesła.

— Tak, to mój kapitan, Mynheer Filip Vanderdecken, a to mój pierwszy oficer, Mynheer Krantz, obaj z dzielnego okrętu „Utrecht”. Rozbiliśmy się razem, prawda, Mynheer? He, he?

— *Sangue...** Vanderdecken, mąż! *Corpo del diavolo!*** Czy to możliwe? — wrzeszczał komendant, z trudem łapiąc oddech. Chwycił oburącz swą długą szpadę i z wściekłością zacisnął palce na jej główki. ■— Więc to tak! Oszukaliście mnie, schlebialiście, drwiliście ze mnie! — Żyły na skroniach nabrzmiały mu tak, jakby miały pęknąć. Po chwili milczenia mówił dalej zduszonym głosem: — Dziękuję wam, szlachetnie urodzony panie, ale teraz kolej na mnie. Hej tam, kapral! Żołnierze, do mnie, natychmiast! Piorunem!

Filip i Krantz byli przekonani, że wszelkie zaprzeczenia na nic się nie zdadzą. Filip założył ręce na piersi i milczał. Krantz powiedział tylko:

— Gdybyście się choć trochę zastanowili, panie komendancie, pojęlibyście, że wasze oburzenie jest bezpodstawne.

— Bezpodstawne! — powtórzył komendant z szyderczą miną. — Wyprowadziliście mnie w pole, ale wpadliście we własne sidła. Mam

* Błuzniercze przekleństwo w języku portugalskim.

** Do stu diabłów (port.).

ten papier podpisany przez was i nie zaniedbam go wykorzystać. Nie żyjecie, kapitanie, wiadomo wam o tym? Mam wasz własny podpis na dokumencie. Wasza żona chętnie w to uwierzy.

— Ona was zwiódła, komendancie, żeby się wyrwać z waszych rąk, nic więcej — odparł Vanderdecken. — Gdyby była wolna jak wiatr, odtrąciłaby z pogardą takiego podłego cherlawego łajdaka.

— Dalej, mówcie, dalej. Zaraz nadejdzie moja kolej. Kapralu, odprowadzić tych dwóch do lochu, warta przy drzwiach, aż do odwołania. Zabierać ich! Szlachetnie urodzony panie, może wasi możni krewniacy w Holandii i w Hiszpanii pomogą wam wydostać się z lochu po raz drugi.

Żołnierze wyprowadzili Filipa i Krantza, bardzo zdziwieni tą nową zmianą w traktowaniu cudzoziemców. Schriften poszedł za nimi, a kiedy przechodzili w poprzek muru kierując się ku schodom, które wiodły do ich więzienia, rozwścieczony Krantz wyskoczył spośród żołnierzy i dał Schriftenowi takiego kopniaka, że ten upadł na twarz o kilka stóp dalej.

— To było całkiem dobre, he, he! — zawołał Schriften podnosząc się i spoglądając z uśmiechem na Krantza.

Gdy zstępowali po schodach, czyjeś oczy rzuściły im w przejściu szybkie, porozumiewawcze spojrzenie. Były to oczy żołnierza Pedro. Powiedziały im, że jest przyjaciel, na którego mogą liczyć i który nie będzie szczędził wysiłku, aby im pomóc w tej nowej opresji. Było to dla obu pociechą i promieniem nadziei, dodało im otuchy, gdy po raz wtóry zeszli po wąskich schodkach i usłyszeli zgrzyt ciężkiego klucza, zamykającego ich w lochu.

ROZDZIAŁ 33

— Tak więc wszystkie nasze nadzieje obrócone wniwecz — rzekł Filip posępnie. W jaki sposób możemy się teraz wymknąć temu małemu tyranowi?

— Bywa, że sposób się znajduje — odparł Krantz. — W tej chwili widoki nie są wesołe, ale miejmy nadzieję, że się zmienią na lepsze. Przychodzi mi do głowy pewna myśl, którą zapewne uda się jakoś spożytkować, niech tylko komendantowi minie pierwsza pasja.

— Jakaż to myśl?

— A taka, że choćby komendant nie wiem jak miłował twoją żonę, istnieje coś, co miłuje równie mocno. To pieniądze. Otóż wiemy, gdzie jest ukryty skarb i myślę, że moglibyśmy skusić tego pokurcza do wypuszczenia nas na wolność, gdybyśmy przyrzekli oddać ten skarb w jego ręce.

— To niewykłuczone. Niech diabli wezmą tego złośliwego łotra Schriftena! On z pewnością nie jest, jak to się mówi, z tego świata. Prześladowuje mnie od dawna i wydaje mi się, że działa nie z własnej woli.

— W takim razie musi być nieodłącznie związany z twoim losem. Zastanawiam się, czy nasz szlachetny komendant zamierza nas tutaj trzymać bez jedzenia i picia.

— Wcale bym się temu nie dziwił. Jestem przekonany, że zawziął się na moje życie, choć myślę, że nie zdoła mi go odebrać. Może jednak przysporzyć mi jeszcze cierpień.

Gdy tylko komendant oprzytomniał z wściekłości kazał sobie przyprowadzić Schriftena, aby go dokładniej wy badać. Ale pomimo usilnych poszukiwań nie można go było nigdzie znaleźć. Wartownicy przy bramie twierdzili, że

tamtędy nie wychodził. Komendant zarządził więc nowe poszukiwania, ale wszystko na próżno. Przeszukano nawet lochy więzienne i korytarze, również bezskutecznie.

Czyżby go zamknęli razem z tamtymi? — pomyślał komendant. — To niemożliwe, ale jednak pójdę zobaczyć.

Zszedł na dół, otworzył drzwi lochu i zajrzał do środka. Już miał zawrócić nie rzekłszy słowa, gdy przemówił do niego Krantz.

— Jakże to, panie komendancie? Pięknie nas traktujecie po tak długiej, przyjaznej znajomości. Wtrącać nas do więzienia tylko z tego powodu, że jakiś włóczęga twierdzi, jakobyśmy nie byli tymi, za kogo się podaliśmy? Może zezwolicie, aby nam przyniesiono trochę wody do picia?

Speszony niezrozumiałym zniknięciem Schriftena, komendant nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Wreszcie rzekł tonem łagodniejszym, niż można się było spodziewać:

— Każę wam przynieść, panie.

Zamknął drzwi lochu i odszedł.

— To dziwne — zauważył Filip. — Wydaje się już spokojniejszy.

Po chwili drzwi się znowu otwarły i wszedł Pedro z wodą w glinianym garnku.

— Podział się gdzieś, jakby za sprawą czarów i nie można go znaleźć — oznajmił żołnierz. — Wszędzie szukaliśmy, ale nic z tego.

— Kto? Ten stary, niewyrośnięty marynarz?

— A jakże, ten sam, któregoście, panie, kopnęli, jak was prowadzili do lochu. Wszyscy mówią, że to musiał być duch. Wartownicy powiadają, że nie wyszedł z fortu ani się nawet do nich nie zbliżał. Więc nie wiadomo, jakim sposobem się wydostał. Miarkuję tylko tyle, że nasz komendant porządnie się wystraszył.

Krantz spojrział na Filipa i gwizdnął przeciągle.

— (Pedro, czy to wy macie mieć służbę przy nas?

— Ano, spodziewam się, że tak.

— Dobrze, więc zameldujcie komendantowi, że mam mu coś ważnego do powiedzenia, jeżeli zechce mnie wysłuchać.

Pedro wyszedł.

— Słuchaj, Filipie, mogę nastraszyć tego cherlaka tak, że wypuści nas na wolność, jeżeli się zgodzisz oświadczyć, że nie jesteś mężem Aminę.

— Nie mogę tego zrobić — odparł Filip. — Takie kłamstwo nie przejdzie mi przez gardło.

— Tego się właśnie bałem, choć wydaje mi się, że wolno nam posłużyć się oszustwem, aby móc stawić czoła okrucieństwu i niesprawiedliwości. Jeżeli nie uczynisz tak, jak ci radzę, to nie jestem pewien, czy uda mi się dopiąć celu. Spróbuję jednak zrobić, co się da.

— Będę ci pomagał wszelkimi sposobami, tylko nie wyprę się mojej żony. Tego nie uczynię nigdy.

— Dobrze. Wobec tego zobaczę, czy potrafię ułożyć taką historyjkę, która by odpowiadała wszystkim. Daj mi trochę pomyśleć.

Krantz rozmyślał chodząc od ściany do ściany i wciąż jeszcze zajęty był swoimi myślami, gdy drzwi się otwarły i ukazał się w nich komendant.

— Macie mi jakoby coś do powiedzenia. O co chodzi?

— Najpierw, panie komendancie, każcie tutaj sprowadzić tego małego łajdaka, niech nam spojrzy w oczy.

— Nie widzę żadnego powodu, aby to uczynić. Co możecie, panie, mieć mi do powiedzenia?

— Czy wiecie, komendancie, kogo macie przed sobą, kiedy rozmawiacie z tą jednooką pokraką?

— Myślę, że holenderskiego marynarza.

— Nie, to duch. Demon, który sprowadził zgubę na nasz okręt. Gdziekolwiek się pokaże, przynosi nieszczęście.

— Panno Najświętsza! Co mówicie?

— Prawdę, panie komendancie. Jesteśmy wam wdzięczni za zamknięcie nas tutaj, dopóki on przebywa w forcie, ale wy sami miejcie się na baczności.

— Kpicie sobie ze mnie, panie.

— Wcale nie kpię. Sprowadźcie go tutaj. Ten pan szlachetnego rodu posiada nad nim władzę. Dziwi mnie zaprawdę zuchwalstwo jednookiego, że śmie pozostawać w jego pobliżu. Mój przyjaciel nosi na piersi coś, przed czym tamten ucieknie trzęsąc się ze strachu. Sprowadźcie go, panie, a zobaczycie na własne oczy, jak szcześnie wśród przekleństw i wrzasków.

— Panie Boże, miej nas w swojej opiece! — wykrzyknął przerażony komendant.

— Poślijcie po niego zaraz.

— Nie ma go... przypadł. Nie można go odnaleźć.

*

— Wiedziałem, że tak się stanie — odezwał się Filip znaczącym tonem.

— Nie ma go? Przypadł, powiadacie. W takim razie, panie komendancie, zapewne przeprosicie tego szlachetnego pana za sposób, w jaki go potraktowaliście, i pozwolicie nam wrócić do naszej komnaty? Tam wytłumaczę wam tę niezwykłą i ciekawą historię.

Komendant nigdy jeszcze nie był tak stropiony, toteż nie bardzo wiedział, jak ma postąpić. Wreszcie skłonił się przed Filipem pro-

sząc go, aby uważał się za wolnego. Następnie zwrócił się do Krantza.

— Będę niezmiernie rad usłyszeć bez zwłoki wyjaśnienie tej sprawy, albowiem wszystko to wydaje mi się pełne sprzeczności.

— I musi się takim wydawać, dopóki wam nie wytłumaczę, panie komendancie. Pójdę z wami do waszej komnaty. Nie możecie oczekiwać podobnej uprzejmości ze strony mego szlachetnie urodzonego przyjaciela, jest bowiem trochę oburzony sposobem, w jaki go potraktowaliście.

Komendant wyszedł pozostawiając drzwi lochu otwarte. Filip i Krantz wyszli także, przy czym pierwszy udał się do swojej kwatery, drugi zaś poszedł za komendantem do jego bawialni. Pod wpływem zamętu, jaki miał w głowie, komendant zachowywał się bardzo śmiesznie. Nie wiedział, czy ma być władczy, czy też uprzejmy, czy rzeczywiście rozmawia z pierwszym oficerem okrętu, czy też z kim innym, wreszcie — czy obraził możnego pana, czy też to jego owinął sobie dokoła palca kapitan okrętu. Upadł na kanapę, a Krantz, usadowiwszy się w krześle, tak zaczął prawić:

— Panie komendancie, zostaliście wyprowadzeni w pole tylko po części. Najpierw, kiedyśmy tutaj przybyli nie wiedząc, jak zostaniemy przyjęci, zatailiśmy nasze stopnie na okręcie. Później powiedziałem wam, jaką pozycję zajmuje mój przyjaciel na lądzie, ale nie uważałem, żeby warto było wspominać o jego stanowisku we flocie. W istocie rzecz miała się tak — w co łatwo uwierzyć, gdy chodzi o równie godną personę — że był on właścicielem doskonałego okrętu i stracił go za przyczyną tego jednookiego łotra. Ale o tym potem.

Teraz przechodzę do głównej historii. Jakieś dziesięć lat temu mieszkał w Amsterdamie pe-

wien wielki skąpiec. Żył w najgorszej nędzy, w jakiej człowiek żyć może. Chodził w łachmanach, a ponieważ niegdyś był marynarzem, łachmany te przypominały z grubsza ubiór noszony zwykle przez ludzi tego zawodu. Miał jedyne syna, któremu nie chciał dawać żadnych środków do życia i z którym postępował okrutnie. Po daremnych próbach zawładnięcia częścią ojcowskiego majątku syn z poduszczenia diabelskiego zamordował starca, którego znaleziono pewnego dnia nieżywego w łóżku. Ponieważ jednak nie było żadnych widomych śladów morderstwa, które można by zaświadczyć pod przysięgą, nie nadano sprawie rozgłosu i młodzieniec wszedł w posiadanie bogactw swego ojca. Wszyscy się spodziewali, że młody dziedzic będzie teraz hulał i szastał pieniędzmi na prawo i lewo, jak to zwykle bywa, ale on, na odwrót, nic nie wydawał i sprawiał wrażenie jeszcze biedniejszego niż dawniej. Zamiast się cieszyć i weselić, wyglądał na przybitego i najniezwyklejszego człowieka na świecie. Włóczył się i szperał po różnych kątach w poszukiwaniu marnej skórki chleba. Niektórzy mówili, że wziął to po ojcu i że jest strasznym skąpcem, jak kiedyś jego ojciec. Inni kręcili głowami i powiadali, że coś tu jest nie w porządku. Wreszcie, po sześciu czy siedmiu latach usychania z nędzy, umarł w młodym wieku, bez spowiedzi i bez rozgrzeszenia. Właściwie znaleziono go w łóżku martwego. Obok łóżka leżał list zaadresowany do władz, w którym przyznawał się, że zamordował ojca, aby osiąść jego majątek. Pisał też, że nazajutrz po morderstwie, kiedy poszedł wziąć trochę pieniędzy na swoje wydatki, zobaczył ducha ojca siedzącego na workach z pieniędzmi; duch zagroził mu natychmiastową śmiercią, gdyby dotknął choć jednej monety.

"Wracał tam wielokrotnie i za każdym razem zastawał ojca na straży. W końcu zrezygnował z prób uzyskania pieniędzy. Zbrodnia uczyniła go nieszczęśliwym. Był właścicielem ogromnych bogactw, ale nie śmiał wydać ani grosza. Kiedy zbliżał się kres jego życia, prosił, aby oddać wszystkie pieniądze kościołowi pod wezwaniem jego patrona, gdziekolwiek taki kościół by się znajdował. Gdyby go jednak nigdzie nie było, prosił, aby zbudować go i uposażyć. Po wielu poszukiwaniach okazało się, że nie ma takiego kościoła ani w Holandii, ani w Dolnych Prowincjach (bo wiecie, komendancie, że jest tam niewielu katolików). Dalsze poszukiwania w krajach katolickich, w Lizbonie i Hiszpanii, także przyniosły rozczarowanie. W końcu wykryto, że jedyny kościół pod wezwaniem tego świętego został wzniesiony przez pewnego portugalskiego arystokratę w mieście Goa w Indiach Wschodnich. Biskup katolicki zdecydował, że pieniądze należy wysłać do Goa. Wobec tego załadowano je na okręt mojego patrona z poleceniem wydania ich pierwszym napotkanym władzom portugalskim.

Otóż, komendancie, dla większego bezpieczeństwa umieszczono te pieniądze w kabynie kapitańskiej, którą oczywiście zajmował mój szlachetnie urodzony przyjaciel. Pierwszej nocy, kiedy udał się na spoczynek, zobaczył ze zdumieniem małego jednookiego człowieka siedzącego na skrzyniach z pieniędzmi.

— Boże miłosierny! — wykrzyknął komendant. — Co, ten sam, który się tu dziś zjawiał?

— Tak, ten sam — odparł Krantz.

Komendant przeżegnał się znakiem krzyża, a Krantz ciągnął dalej.

— Mój szlachetnie urodzony patron był, jak możecie sobie, panie, wyobrazić, trochę zanie-

pokójony. Ale że z natury jest bardzo odważny, zapytał tego starego, kim jest i jak się dostał na okręt. „Dostałem się na okręt razem z moimi pieniędzmi — odparło widmo. — To wszystko jest moje i pozostanie moje. Postaram się, żeby kościół, nie dostał złamanego szeląga”. Na to mój patron wydobył słynną relikwię, którą nosi na piersi, i wyciągnął ją w jego stronę. Stary zaczął wyć i wrzeszczeć, aż wreszcie z wielką niechęcią zniknął. Przez następne dwie noce upiór wracał uparcie, ale na widok relikwii zawsze umykał wyjąc, jakby z wielkiego bólu. Za każdym razem uciekając wykrzykiwał niezmiennie: „Stracony! Stracony!” Ale przez resztę podróży już nas nie niepokoił.

Gdy nasz patron opowiedział nam o tym, sądziliśmy, że upiór miał na myśli stracony majątek, ale okazuje się, że myślał o okręcie. Zaprawdę, było to bardzo nierozważne zabierać na okręt bogactwa ojcobójcy. Wioząc taki ładunek nie mogliśmy *sią* spodziewać szczęśliwej podróży, i to się potwierdziło. Kiedy okręt tonął, patronowi bardzo zależało, żeby ocalić te pieniądze. Kazał je załadować na tratwę, a gdy dobiliśmy do brzegu, marynarze wynieśli je na ląd i zakopali, aby można było po nie wrócić i oddać je kościołowi, dla którego były zapisane. Ale wszyscy ludzie, którzy zakopywali pieniądze, zginęli i nie został nikt poza moim przyjacielem patronem, kto by znał to miejsce. Zapomniałem powiedzieć, że jak tylko pieniądze zostały wyładowane i zakopane na wyspie, upiór znów się pokazał i siedział na tym miejscu, gdzie zagrzebano skarb. Gdyby nie to, marynarze pewnie by sobie przywłaszczyli te bogactwa. Ale jeżeli dzisiaj pokazał się tu, to zapewne jest już zmęczony i porzucił swój posterunek. A może przybył tu

po to, aby kogoś posłać po te pieniądze, choć nie pojmuję dlaczego.

— Dziwne... bardzo dziwne. Zatem wielki skarb jest zakopany w piasku?

— Tak jest.

— Ja bym uważał, że jeśli upiór pokazał się tutaj, to musiał porzucić skarb.

— Z pewnością. Inaczej by go tu nie było.

— Jak myślicie, panie, co mogło być powodem jego przybycia tutaj?

— Zapewne chciał oznajmić o swoim zamiarze i prosić mego przyjaciela, aby posłał kogoś po pieniądze. Ale sami wiecie, panie komendancie, że nie pozwolono mu dokończyć.

— To prawda, ale on nazwał waszego przyjaciela Vanderdeckenem.

— Tego nazwiska patron używał na okręcie.

— Ale to samo nazwisko nosiła dama, która tu gościła.

— Tak, oczywiście. Mój i przyjaciel spotkał ją na Przylądku Dobrej Nadziei i zabrał ze sobą.

— A zatem jest jego żoną?

— Na to pytanie nie potrzebuję odpowiadać. Wystarczy w zupełności, że on traktuje ją jak żonę.

— No tak, rozumiem. Ale co do tego skarbu... Powiadacie, że nikt nie wie, gdzie go zakopano, oprócz waszego patrona, jak go nazywacie?

— Nikt inny.

— Zechciejcie, panie, wyrazić mu moje ubolewanie z powodu tego, co zaszło, i powiedzieć, że miło mi będzie zobaczyć się z nim jutro.

— Uczynię to, panie komendancie — odparł Krantz wstając z krzesła. Wychodząc życzył mu dobrej nocy.

— Dążyłem do czego innego, zdobyłem co

innego — rozważał głośno komendant. — Tak, to musiał być upiór. Ale trzeba by bardzo odważnego upióra, żeby zdołał mnie odstraszyć od dublonów. Zresztą mogę wezwać pomocy księży. A teraz zastanówmy się. Jeżeli wypuszczę tego człowieka na wolność pod warunkiem, że wskaże władzom, to znaczy mnie, miejsce, gdzie się znajduje skarb, nie muszę z tego powodu utracić tej pięknej młodej niewiasty. Jeżeli pošlę jej dokument, to będę ją miał. Ale najpierw muszę się pozbyć jego. Lepiej obydwóch. Tak... złoto! Ale nie mogę zdobyć dwóch rzeczy naraz. Tak czy owak, zdobędziemy najpierw pieniądze. Mnie są one potrzebniejsze niż kościołowi. Ale jeśli rzeczywiście zgarnę pieniądze, ci dwaj mogą mnie wydać. Muszę się ich pozbyć, zamknąć im gęby na zawsze, a wtedy może mi się uda zdobyć także piękną Aminę. Tak, ich śmierć będzie konieczna dla zabezpieczenia jednego i drugiego. To znaczy wtedy, kiedy już będę miał w rękę skarb. Muszę jeszcze trochę nad tym pomyśleć.

Przez kilka minut komendant chodził tam i z powrotem po komnacie, zastanawiając się głośno nad wyborem najlepszej drogi działania.

— On twierdzi, że to był duch, i opowiedział całkiem wiarygodną historię, ale nie wiem... mam pewne wątpliwości. Mogą mnie zwodzić. Dobrze, niech i tak będzie. Jeżeli pieniądze rzeczywiście tam są, to będę je miał, a jeżeli nie, to wezmę sobie odwet. Tak, już wiem, co zrobię. Trzeba sprzątnąć nie tylko ich, ale stopniowo także i wszystkich, którzy będą pomagali przy zabieraniu skarbu. A potem... ale... Kto tam, czy to Pedro?

— Tak jest, panie komendancie.

— Od jak dawna tu jesteś?

— Dopiero co wszedłem, jak pan komendant się odezwał. Zdawało mi się, że pan komendant wołał.

— Możesz odejść. Nic mi nie potrzeba.

Pedro odszedł, ale przedtem pozostawał pod drzwiami dostatecznie długo, aby podsłuchać wszystko, co komendant do siebie mówił.

ROZDZIAŁ 34

Był pogodny ranek, gdy portugalski okręt wiozący Aminę wszedł do zatoki i na redę Goa.

W tym czasie Goa znajdowała się u szczytu swego rozkwitu. Dumne, rozmiłowane w zbytku, wspaniałe, bogate miasto, stolica Wschodu, miasto pałaców, w którym najwyższą władzę sprawował wicekról. Kiedy się zbliżali do rzeki, obejmującej dwoma ramionami ujście wyspę, na której zbudowana jest Goa, wszyscy pasażerowie wyszli na pokład. Portugalski kapitan, który często tu bywał, pokazywał Aminę najbardziej godne uwagi budowle. Minawszy fortyfikacje weszli na rzekę; wzdłuż obu jej brzegów ciągnęły się wiejskie rezydencje miejscowych notabli i hidalgów, okazałe dwory wtulone w pomarańczowe gaje, które nasycaly powietrze swym aromatem.

— Spójrzcie, pani, tam widać wiejski pałac wicekróla — objaśniał kapitan wskazując budowlę zajmującą blisko trzy akry gruntu.

Okręt płynął dalej, aż zrównał się prawie z miastem. Aminę przyglądała się wyniosłym

iglicom wież kościelnych i innym gmachom publicznym. Widziała niewiele miast w swoim życiu, co nas nie zdziwi, jeżeli przypomnimy sobie jej dzieje.

— To kościół jezuitów razem z klasztorem — mówił kapitan wskazując wspaniałą, wyniosłą bryłę zabudowań. — A w tym kościele, który się w tej chwili przed nami odsłania, leżą szczątki sławnego świętego Franciszka, który złożył w ofierze swe życie, żarliwie głosząc w tych stronach ewangelię.

— Słyszałam o nim od księdza Mathiasa. Ale co to za budowla tam?

— To klasztor augustynów, a zaraz na prawo klasztor dominikanów.

— Zaiste wspaniały — zauważyła Aminę.

— Ta budowla, którą widzicie, pani, nad samą wodą, to pałac wicekróla. A na prawo, to znowu klasztor karmelitów bosych. Tamta wyniosła wieża to katedra św. Katarzyny, a ta piękna, leciutka świątynia to kościół Matki Boskiej Miłosiernej. Czy widzicie, pani, kopułę wynurzającą się spoza pałacu wicekróla?

— Tak, widzę.

— To Święta Inkwizycja.

Aminę słyszała wprawdzie, jak Filip mówił o Inkwizycji, lecz wiedziała o niej bardzo niewiele. Gdy Kapitan wymówił tę nazwę, nagły dreszcz przeniknął jej ciało, ale nie umiała sobie tego wytłumaczyć.

— Teraz przepływamy koło pałacu wicekróla. Widzicie, pani, jaka to piękna budowla — ciągnął kapitan. — Tamten wielki gmach, trochę dalej w górę rzeki, to Urząd Celny. Staniemy na kotwicy naprzeciw niego. Teraz, pani, muszę was już opuścić.

W parę minut później okręt rzucił kotwicę naprzeciwko Urzędu Celnego. Kapitan i pasażerowie zeszli na ląd, wyjątkiem była Amina,

która pozostała na okręcie, gdyż ksiądz Mathias udał się na poszukiwanie odpowiedniego mieszkania dla niej.

Nazajutrz rano wrócił na okręt z wiadomością, że uzyskał dla Aminę gościnę w klasztorze urszulanek, których ksienię znał dobrze. Zanim Aminę zesła na ląd, przestrzegł ją, że ksieni jest niewiastą surową i chętnie by widziała, aby Aminę stosowała się jak najściślej do reguł klasztornych. Powiedział jej także, że ten klasztor udziela gościny młodym kobietom tylko z najlepszych i najzamożniejszych rodzin i że wierzy, iż Aminę będzie się tam ozuć dobrze. Przyrzekł odwiedzać ją i rozmawiać o sprawach tak bliskich jego sercu, a tak potrzebnych dla jej zbawienia. Żarliwość i serdeczność starego księdza rozczuliły Aminę do łez. Schodząc na dół po jej bagaże, świątobliwy ksiądz Mathias miał dla niej tyle ciepłych uczuć, jak rzadko kiedy przedtem, i żywił większą niż kiedykolwiek nadzieję, że jego wysiłki zmierzające do nawrócenia Aminę ostatecznie nie pójną na marne.

To dobry człowiek, myślała Aminę schodząc z okrętu. I miała słuszość. Ksiądz Mathias był dobrym człowiekiem, ale, jak wszyscy ludzie, nie był doskonały. Fanatycznie oddany sprawie swej religii, z radością poświęciłby dla niej życie jako męczennik, ale gdy ktoś mu się przeciwstawił albo chciał pokrzyżować jego zamierzenia, potrafił być okrutny i niesprawiedliwy.

Ksiądz Mathias miał wiele powodów do tego, aby umieścić Aminę w klasztorze urszulanek. Czuł się zobowiązany do zapewnienia jej opieki, z której sam korzystał tak długo pod jej dachem. Chciał poza tym, aby pozostawała pod nadzorem ksieni, gdyż nie mógł się pozbyć myśli (choć nie miał na to dowodów), że

Aminę nadal próbuje lub nawet uprawia zakazane praktyki. Nie powiedział o tym ksieni, uważał bowiem, że byłoby niesprawiedliwością wzbudzać jej podejrzenia, lecz przedstawił Aminę jako osobę, która przyniesie zaszczyt świętej wierze, choć nie została jeszcze w pełni nawrócona. Sama myśl o nawróceniu kogoś jest dla zakonników czymś w najwyższym stopniu pociągającym, toteż ksieni była dużo bardziej zadowolona z udzielenia gościny w swoim klasztorze komuś, kto potrzebował jej rad i przekonywania, niż prawdziwie pobożnej chrześcijance, która nie sprawiałaby jej żadnych kłopotów.

Aminę zesłała na ląd! z księdzem Mathiasem. Nie chciała skorzystać z zamówionego dla niej palankinu i udała się do klasztoru pieszo. Wyszli na brzeg między Urzędem Celnym a pałacem wicekróla, przecięli obszerny plac na jego tyłach, po czym skierowali się w górę Strada Diretta, czyli ulicy Prostej, która prowadzi do kościoła Matki Boskiej Miłosiernej, w pobliżu klasztoru. Jest to najpiękniejsza ulica w Goa, a nazywa się Strada Diretta ze względu na szczególny fakt, iż niemal wszystkie ulice w tym mieście bieżą łukiem, stanowiącym ćwiartkę lub mniejszy odcinek koła. Aminę rozglądała się ze zdziwieniem. Domy były z kamienia, wysokie i ciężkie. Na każdym piętrze wystawały z fasady marmurowe balkony, kunsztownie rzeźbione, a nad każdymi drzwiami widniał herb właściciela domu, arystokraty lub hidalgę. Plac za pałacem i szerokie ulice wypełniał ruchliwy tłum ludzi i zwierząt. Słonie w pysznych przybraniach, konie we wspaniałych czaprakach, prowadzone za uzdę lub niosące na grzbiecie jeźdźców, palankiny niesione przez krajowców w bogatych liberiach, biegnący słudzy, wszelkie odmiany

ras i narodowości, od dumnych Portugalczyków do półnagich krajowców. Arabowie, Hindusi, Ormianie, oficerowie i żołnierze w mundurach, wszystko to stłoczone razem i przemieszane, jeden hałaśliwy rozgardiasz i krzątania. Tak wyglądało bogactwo, wspaniałość i przepych dumnego miasta Goa, Cesarzowej Wschodu, w czasach, które opisujemy.

Minęło pół godziny, zanim ksiądz Mathias i Aminę przepchali się przez tłum i dotarli do klasztoru. Ksieni przywitała Aminę uprzejmie, a po paru minutach wspólnej rozmowy ksiądz Mathias pożegnał się i odszedł. Wówczas ksieni przystąpiła niezwłocznie do swego zadania, to jest do nawracania młodej kobiety. Przede wszystkim kazała przynieść kandyzowane owoce, wcale niezły początek, gdyż były bardzo smaczne. Ponieważ jednak nie miała żadnego wykształcenia i nie przywykła do prowadzenia dysput teologicznych, dalsze jej argumenty nie trafiały Aminę do przekonania tak jak owoce. Po godzinnym chaotycznym dyskursie starsza niewiasta poczuła się zmęczona, ale wyobrażała sobie, że dokonała cudów. Następnie przedstawiła Aminę zakonnicom, które w większości były młode, a wszystkie pochodziły z dobrych rodzin. Pokazano Aminę jej sypialnię, a gdy powiedziała, że pragnęłaby zostać sama, weszło za nią tylko szesnaście sióstr, czyli mniej więcej tyle, ile mogło się w izbie pomieścić.

Musimy pominąć milczeniem te dwa miesiące, w ciągu których Aminę pozostawiała w klasztorze. Ksiądz Mathias podjął wszelkie niezbędne kroki, aby się dowiedzieć, czy jej mąż się uratował i czy przebywał na którejś z wysp należących do Portugalii, ale nie udało mu się uzyskać żadnej wiadomości. Po krótkim czasie Aminę miała już dość klasztoru.

Stara ksieni zamęczała ją swymi kazaniami, ale nade wszystko przejmowały ją obrzydzeniem rozmowy i zachowanie zakonnice. Wszystkie chciały się jej zwierzać ze swoich sekretów, z których zwierzyły się już przedtem całemu klasztorowi. Były to tego rodzaju historie i sekrety — tak różne od czystych myśli Aminę, takie brudy — że Aminę czuła do nich wstręt. Ale czyż mogło być inaczej? Te biedne istoty, wcześniej dojrzałe w tutejszym słońcu, zostały wyrwane ze świata w pełnym rozkwicie swej młodości i wbrew naturze zamknięte w tych murach, aby zaspokoić skąpstwo i pychę rodową krewniaków. Ponieważ pochodziły wyłącznie z najlepszych rodzin, reguła tego zakonu nie była tak surowa jak innych. Przyznawano im różne swobody, one zaś pozwalały sobie na jeszcze większe. Ku swemu zdumieniu Aminę dostrzegła w tej kongregacji istot poświęconych Bogu więcej przejawów złych namiętności ludzkich, niż zdarzyło jej się dotychczas spotkać.

Obserwowano ją nieustannie, nie pozwalano choćby na jedną chwałę samotności, toteż życie stało się dla niej nie do zniesienia. Po trzech miesiącach poprosiła księdza Mathiasa, aby jej znalazł jakieś inne schronienie, wyznając otwarcie, że pobyt w klasztorze raczej nie przyczyni się do jej nawrócenia na wiarę chrześcijańską. Ksiądz Mathias rozumiał ją doskonale, odpowiedział jednak:

— Nie mam na to pieniędzy.

— ■ Oto są pieniądze — odparła Aminę zdejmując z palca pierścień z diamentem. — W moim kraju to jest warte osiemset dukatów, nie wiem, ile może być warte tutaj.

Ksiądz Mathias wziął pierścień.

— Wstąpię do Ciebie jutro rano, moje dziecko, i powiem, co zdziałalem. Wytlumaczę ksie-

ni, że wyjeżdżasz do męża, byłoby bowiem rzeczą niebezpieczną, gdyby się domyśliła, że masz inne powody do opuszczenia klasztoru. Już kiedyś wspomiano mi o tym samym, co ty opowiadasz, uważałem to jednak za oszczerstwo. Ale wiem, że ty nie jesteś zdolna do kłamstwa.

Ksiądz Maithias wrócił nazajutrz i odbył rozmowę z ksienią, która po krótkim czasie wezwała do siebie Aminę i oznajmiła jej, że niestety musi się wyprowadzić z klasztoru. Pocięła ją, jak mogła, z powodu rozstania z tak miłym miejscem pobytu, posłała po kandyzowane owoce, aby osłodzić to rozstanie, udzieliła jej swego błogosławieństwa i powierzyła ją opiece księdza Mathiasa. Gdy zostali sami, ksiądz powiadomił Aminę, że sprzedał pierścień za tysiąc osiemset talarów i znalazł dla niej mieszkanie w domu pewnej owdowiałej damy, u której miała się stołować.

Pożegnawszy się z zakonnicami, Aminę opuściła klasztor w towarzystwie księdza Mathiasa i wkrótce wprowadziła się do nowego mieszkania, w domu wychodzącym na obszerny plac, zwany Terra di Sabaoi. Ksiądz przedstawił ją pani domu, po czym wyszedł. Aminę stwierdziła, że okna jej komnaty wychodzą na plac, że jest ona wygodna i przewiewna. Zanim gospodyni, która pokazywała jej wszystkie pomieszczenia, zostawiła ją samą, Aminę zapytała:

— Co to za wielki kościół po drugiej stronie placu?

— To kościół Wniebowstąpienia. Ślicznie tam grają. Jeżeli macie ochotę, możemy pójść jutro posłuchać.

— A ten ciężki gmach naprzeciwko?

— To Święta Inkwizycja — odpowiedziała wdowa żegnając się znakiem krzyża.

Aminę znowu się wzdrygnęła, nie wiedząc dlaczego.

— Czy to wasz synek, pani? — zapytała, gdy do komnaty wszedł chłopiec mniej więcej dwunastoletni.

— Tak, jedyne dziecko, jakie mi zostało. Niech go Bóg zachowa.

Chłopiec był ładny i bystry. Dla siebie tylko znanych powodów Aminę czyniła wszystko, co było w jej mocy, aby się z nim zaprzyjaźnić, i dopięła swojego celu.

ROZDZIAŁ 35

Aminę wróciła przed chwilą z popołudniowej przechadzki po ulicach Goa. Zrobiła trochę zakupów w różnych sklepach na bazarze i przyniosła je do domu ukryte pod mantylą. Tutaj wreszcie, dzięki Bogu, jestem sama i nikt mnie nie śledzi, pomyślała siadając na posłaniu.

— Filipie, gdzie jesteś, mój Filipie? — wykrzyknęła. — Teraz mam już wszystko, czego mi potrzeba i niedługo będę wiedziała.

Mały Pedro, syn wdowy, wszedł do komnaty i podbiegłszy do Aminę, ucałował ją.

— Powiedz mi, Pedro, gdzie jest twoja mama?

— Wyszła na wieczór w gościnę do znajomych. Jesteśmy w domu sami. Zostanę u was, pani.

— Zostań, kochanie. Powiedz mi, Pedro, czy potrafisz zachować tajemnicę?

— Tak, na pewno. Proszę mi powiedzieć.

— Nie, nie mam ci nic do powiedzenia, ale chcę coś zrobić. Chcę urządzić taką zabawę. Zobacysz na swojej dłoni różne rzeczy.

— O tak, tak, pokażcie mi koniecznie.

— Pokażę, jeżeli przyrzekniesz, że nie powiesz nikomu.

— Nie, nie powiem, przysięgam na Najświętszą Pannę.

— W takim razie zobacysz.

Rozpaliła trochę węgla drzewnego w metalowym naczyniu służącym do ogrzewania i postawiła je u swych stóp. Następnie wzięła trzcinowe pióro, umoczyła je w buteleczce z inkaustem i napisała na kawałku papieru kilka znaków, śpiewając przy tym lub raczej śpiewnie wymawiając jakieś słowa, niezrozumiałe dla jej małego towarzysza. Potem wsypała do naczynia kadzidło i nasienie kolendry, które buchnęły gęstym, aromatycznym dymem. Kazała Pedrowi usiąść na stołeczku obok siebie, wzięła prawą rękę chłopca i przytrzymała ją w swojej. Następnie narysowała na wewnętrznej stronie jego dłoni kwadrat z jakimś znakiem przy każdym boku, a do środka kwadratu naląła troszkę inkaustu, tak że powstało we wgłębieniu dłoni czarne zwierciadełko wielkości monety.

— No, teraz wszystko jest gotowe. Spójrz, Pedro, co widzisz w inkaucie?

— Moją twarz.

Aminę wsypała do naczynia więcej kadzidła. Gdy izba napelniła się dymem, zaczęła śpiewnie zawodzić:

— Tarszunie, Tario-szunie, zstąpcie na ziemię, zstąpcie. Stawcie się tutaj, słudzy tych dwóch imion. Uchylcie zasłonę i pokażcie prawdziwie, co jest.

Poprzednio wycięła nożyczkami i przekroiła

przez pół znaki narysowane na papierze. Wziąwszy jedną połówkę, wrzuciła ją do naczynia, trzymając wciąż rękę chłopca.

— Powiedz mi, Pedro, co teraz widzisz?

— Widzę płynącego człowieka — odparł Pedro nieco wystraszony — walczy z falami.

— Nie bój się, zobaczysz jeszcze więcej. Czy już zniknął?

— Tak, zniknął.

Aminę zaczęła mamrotać niezrozumiałe słowa i wrzuciła do naczynia drugą połówkę wyciętego z papieru znaku.

— Pedro, a teraz powiedz tak: „Filipie Vanderdecken, pokaż się”.

— Filipie Vanderdecken, pokaż się — powtórzył chłopiec trzęsąc się ze strachu.

— Powiedz, Pedro, co widzisz. Mów prawdę — rzekła Aminę trwożnym głosem.

— Widzę człowieka leżącego na białym piasku... Nie podoba mi się ta zabawa!

— Nie lękaj się, Pedro, zaraz dam ci łakoci. Powiedz mi, co widzisz. Jak jest ubrany ten człowiek?

— Ma na sobie krótki kaftan. Ma białe spodnie. Rozgląda się dookoła. Wyciąga coś z zanadrza i całuje.

— To on, to on! Żyje! Boże, dzięki ci! Fopatrz jeszcze raz, mój chłopcze.

— Wstaje... Nie podoba mi się ta zabawa! Boję się, naprawdę się boję!

— Nie bój się.

— Ale ja się boję... nie mogę — zawołał Pedro padając na kolana. — Pozwólcie mi stąd odejść.

Odwrócił dłoń, z której ściekł inkaust. Czar prysł, Aminę nie mogła się dowiedzieć nic więcej. Uspokoila chłopca podarkami, kazała mu jeszcze raz przyrzec, że nikomu nie powie i odłożyła dalsze badanie tajników przeznaczenia

do czasu, kiedy chłopiec zapomni o swoim strachu i objawi chęć podjęcia na nowo przerwanych obrzędów.

—■ Mój Filip żyje... Matko, kochana matko, dzięki!

Aminę nie dała chłopcu wyjść ze swojej komnaty, zanim się całkiem nie uspokoił. Przez kilka dni nie rozmawiała z nim, przypominała mu tylko o przyrzeczeniu, że nic nie powie ani matce, ani nikomu innemu, i zasypywała go podarkami.

Pewnego popołudnia, kiedy wdowy nie było w domu, Pedro przyszedł do Aminę i zapytał, czy nie zechciałaby znowu urządzić takiej zabawy jak wtedy.

Aminę, która pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej, ucieszyła się z prośby chłopca i szybko przygotowała wszystko, co trzeba. Znowu jej izba wypełniła się dymem kadzidła, znów mamrotała swoje zaklęcia. Trzymając na dłoni magiczne zwierciadło, Pedro zawołał tak jak poprzednim razem: „Filipie Vanderdecken, pokaż się”. W tej samej chwili drzwi otwarły się z trzaskiem i na progu stanęli ksiądz Mathias, wdowa oraz kilka innych osób. Aminę zerwała się na równe nogi. Pedro głośno krzyknął i podbiegł do matki.

—■ A więc dobrze widziałem wtedy, w Terneuzen, nie myliłem się — zawołał z oburzeniem ksiądz Mathias, zakładając ręce na piersi. — Przeklęta czarownico, przyłapałem cię!

Aminę zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem i odpowiedziała chłodno:

— Nie należę do waszego Kościoła, wiecie o tym, księżo. Wydaje się, że podsłuchiwanie stanowi część waszej religii. To jest moja izba. Nie po raz pierwszy jestem zmuszona was wypraszać. Teraz wypraszam was, księżo, i tych, którzy weszli tu razem z wami.

— Zabierzcie najpierw wszystkie te narzędzia czarów — zwrócił się ksiądz Mathias do towarzyszących mu osób.

Zabrali metalowe naczynie do ogrzewania i inne przedmioty, którymi posługiwała się Aminę. Ksiądz i wszyscy pozostali opuścili komnatę. Aminę była sama.

Miała przeczucie, że jest zgubiona. Wiedziała, że w krajach katolickich uprawianie czarów jest uważane za zbrodnię najwyższego stopnia i że przyłapano ją na gorącym uczynku. Trudno, trudno, pomyślała, takie jest moje przeznaczenie i potrafię spojrzeć w oczy najgorszemu.

Aby wyjaśnić pojawienie się księdza Mathiasa i świadków, trzeba dodać, że mały Pedro nazajutrz po pierwszej próbie Aminę zapomniał o danym przyrzeczeniu i opowiedział matce wszystko, co się wydarzyło. Wystraszona tym, co usłyszała od chłopca, wdowa uznała za stosowne pójść do księdza Mathiasa i wyjawić mu całą historię, wed'ług niej bowiem były to czary. Ksiądz Mathias szczegółowo wypytał Pedra i umocniwszy się w przekonaniu, że wdowa ma rację, postanowił zapewnić sobie świadków zdemaskowania Aminę. Zaproponował więc, aby chłopiec udał, że chce jeszcze raz spróbować tej zabawy, i odpowiednio go pouczył, ustalwszy przedtem, że wtargnie wraz ze świadkami do komnaty Aminę, tak jak to opisaliśmy.

Mniej więcej w pół godziny później do izby Aminę weszli dwaj mężczyźni w długich czarnych szatach i zażądali, aby poszła z nimi, grożąc w przeciwnym razie użyciem siły. Aminę nie stawiała oporu. Przeszli na drugą stronę placu. Brama wielkiej budowli otwarła się przed nimi. Kazali jej wejść i po chwili Aminę znalazła się w jednym z lochów Inkwizycji.

ROZDZIAŁ 36

Za chwilę podejmiemy dalszy ciąg naszej opowieści, dobrze będzie zapoznać po trosze naszych czytelników z charakterem, obrzędami i przepisami Inkwizycji. Opisując Inkwizycję w Goa możemy przyjąć, że opisujemy z bardzo nieznacznymi odchyleniami wszystkie inne placówki tego urzędu*.

Santa Casa, czyli siedziba Inkwizycji w Goa, zajmuje jedną pierzeję obszernego placu, zwanego Terra di Sabaoi. Jest to potężny, piękny kompleks budynków z kamienia, z trójgiem drzwiami od frontu. Środkowe wejście jest większe od dwóch bocznych i właśnie przez nie wchodzi się do Sali Trybunału. Boczne drzwi prowadzą do obszernych, ładnych mieszkań inkwizytorów oraz urzędników tej instytucji.

Na tyłach mieszkań znajdują się cele więzienne i lochy Inkwizycji. Ciągną się one wzdłuż dwóch długich korytarzy, mają podwójne drzwi i mniej więcej dziesięć stóp powierzchni każda. Jest ich około dwustu. Niektóre są znacznie lepsze niż inne, gdyż dochodzi do nich światło i powietrze, podczas gdy pozostałe są zupełnie ciemne. W korytarzach czuwają dozorczy i żadne słowo, żaden dźwięk dochodzący z którejkolwiek celi nie może ująć ich uszu.

Więźniów traktuje się, jeśli chodzi o jedzenie, bardzo dobrze; dba się o dostarczenie im tego rodzaju pokarmów, aby nie chorowali nie*

* Portugalia należała do krajów, w których Inkwizycja została zniesiona najpóźniej (1820 r.). Jeszcze dłużej mogła ona istnieć w zamorskich posiadłościach Portugalii. Tym się tłumaczy używanie przez autora niekiedy czasu teraźniejszego w opisie działalności tej instytucji (przyp. tłum.).

niestrawność z powodu braku ruchu. Zezwala się także na korzystanie z pomocy lekarskiej. Ale, poza bardzo wyjątkowymi przypadkami, księżom nie wolno odwiedzać więźniów. Odmawia się im wszelkiej pociechy religijnej, nawet spowiedzi i ostatniego namaszczenia w wypadku śmierci. Jeśli umierają w więzieniu, to grzebie się ich bez żadnych ceremonii kościelnych, bez względu na to, czy udowodniono im, że są winni przestępstwa, o które ich oskarżono, czy też nie, a później prowadzi się przeciwko nim proces. Jeśli zostaną uznani winnymi, odkopuje się ich cielesne szczątki i na nich wykonuje się wyrok.

W Goa są dwaj inkwizytorzy — wielki inkwizytor i jego zastępca, wybierani niezmiennie z zakonu dominikanów. Tym dwóm pomaga w sądach i w badaniach liczny zastęp wybranych zakonników, tak zwanych członków Świętego Oiricium, którzy jednak uczestniczą w tych czynnościach tylko wówczas, gdy zostaną do tego wezwani. Inkwizytorzy mają jeszcze innych urzędników, których zadaniem jest kontrolowanie wszystkich wydawanych ksiąg i rozstrzyganie, czy nie ma na ich kartach czegoś przeciwnego świętej nauce Kościoła. Działa także publiczny oskarżyciel, czyli prokurator Inkwizycji, oraz adwokaci, którym wolno wprawdzie prowadzić obronę więźniów, ale ich głównym zadaniem i źródłem korzyści jest wyłudzenie oraz zdradzanie tajemnic więźniów. Tak zwani domownicy Inkwizycji nie są w istocie nikim innym, jak właśnie ludźmi takiego autoramentu. Ale tych haniebnych obowiązków podejmują się osoby z najwyższej arystokracji, które uważają wciągnięcie ich na listę domowników Inkwizycji za zaszczyt i zarazem za asekurację. Wskutek tego domownicy rozproszeni są w całym spo-

leczeństwie i dzięki nim każde nieostrożne słowo z całą pewnością trafia do Świętego Of-
ficium.

Nikt nie śmie *nie* usłuchać wezwania do stawienia się przed Inkwizycją, a gdyby nawet ktoś się ośmielił, całe pospólstwo powstałoby przeciwko niemu i zmusiło go siłą. Więźniów zamkniętych w lochach Inkwizycji trzyma się w odosobnieniu. Niezmiernie rzadko zamyka się po dwóch w jednym lochu; praktykuje się to jedynie w tym wypadku, gdy długotrwałe odosobnienie doprowadziło więźnia do takiego stopnia depresji psychicznej, że zagraża to jego życiu. Obowiązuje nieustająca cisza i ściśle się ją egzekwuje. Tych, którzy jęczą, płaczą lub nawet modlą się w otaczającej ich zupełnej ciemności, zmusza się do milczenia biciem. Krzyki i wrzaski więźniów poddawanych chłóście albo torturom rozlegają się od końca do końca korytarzy, przejmując przerażeniem tych, którzy w samotności i w ciemności oczekują tego samego losu.

Pierwsze pytanie, jakie się stawia osobie uwięzionej przez Inkwizycję, dotyczy posiadanego przez nią majątku. Żąda się od więźnia, aby dokładnie wymienił wszystko, co posiada i potwierdził przysięgą wiarygodność swych zeznań. Uprzedza się go, że gdyby coś zataił (choćby w tym czasie nie był jeszcze uznany winnym zarzucanego mu przestępstwa), to przez sam fakt zatajenia zasłuży na gniew Inkwizycji. I że, gdyby został uniewinniony z postawionego mu zarzutu, czeka go ponowne uwięzienie za krzywoprzysięstwo wobec Inkwizycji. Wreszcie zapewnia się go, że jeśli się okaże niewinny, jego własność pozostanie bezpieczna i nienaruszona. Ujawnienia majątku żąda się nie bez powodu. Jeśli oskarżona osoba przyzna się do winy, to najczęs-

cię wypuszcza się ją w końcu na wolność, ale cały jej majątek ulega konfiskacie.

Przepisy Inkwizycji stwarzają pozory, że skazańcy sązeni są według zasad sprawiedliwości. Wprawdzie wystarczają dwaj świadkowie, aby uczynić prawomocnym uwięzienie dowolnej osoby, ale dla jej skazania wymaga się siedmiu świadków. Ponieważ jednak nigdy nie konfrontuje się świadków z więźniami i często stosuje się wobec tych pierwszych tortury, znalezienie wymaganej ich liczby nie nastęcza trudności. Wiele ludzi ginie wskutek fałszywej przysięgi świadka, który chce ratować własne życie. Za główne przestępstwa Inkwizycja uważa uprawianie czarów, herezję, bluźnierstwo i tak zwany judaizm.

Aby czytelnik zrozumiał sens tego ostatniego przestępstwa, za które Inkwizycja prześladowała więcej ludzi niż za jakiegokolwiek inne, trzeba przypomnieć, że kiedy Ferdynand i Izabela kastylijska wygnali z Hiszpanii wszystkich Żydów, zbiegli oni do Portugalii, gdzie przyjęto ich wyłącznie pod warunkiem, że przejdą na chrześcijaństwo. Przystali na to lub też zgodzili się pozornie. Portugalczycy jednak pogardzali tymi neofitami, nie wierząc w ich szczerłość. Nadali im miano nowych chrześcijan w przeciwstawieniu do dawnych chrześcijan. Z czasem zdarzało się niekiedy, że te dwa odłamy łączyły się z sobą przez małżeństwa, ale w takich wypadkach zawsze wypominano to starym rodzinom, o potomkach zaś takich związków długo jeszcze mówiono w formie zarzutu, że mają domieszkę krwi nowych chrześcijan.

Potomkowie w ten sposób skazonych starych rodów nie tylko ulegali społecznej degradacji, lecz ponadto — ponieważ genealogia każdego rodu była dobrze znana — patrzono na

nich z podejrzliwością i zdani byli zawsze na łaskę Świętego Officium, gdy oskarżano ich o judaizm, to jest o powrót do starych żydowskich obrzędów Paschy i innych praktyk nakazanych przez Mojżesza.

Zobaczmy, jak tego rodzaju oskarżenie działa w rękach Inkwizycji. Naprawdę szczerzy katolik, pochodzący z jednej z tych nieszczęśliwych rodzin, zostaje oskarżony i aresztowany na polecenie Inkwizycji. Każą mu ujawnić swój majątek. Przeświadczony o swojej niewinności i spodziewając się rychłego uwolnienia, czyni to bez zatajania czegokolwiek. Za ledwie jednak zamkną się za nim drzwi lochu, całe jego mienie zostaje zajęte i sprzedane na publicznej licytacji. Rozumie się, że nigdy mu go nie zwrócą. Po paru miesiącach trzymania w lochu wzywają go do Sali Trybunału i pytają, czy wie, dlaczego został uwięziony. Doradzają mu z całą powagą, aby się przyznał, niczego nie skrywając, jest to bowiem jedyna dla niego droga do odzyskania wolności. Więziony oświadcza, że nie wie, o co chodzi. Wzywają go kilkakrotnie, on zaś obstaje przy swoim. Zbliża się okres auto-da-fe, czyli aktu wiary, który odbywa się co dwa lub trzy lata. Jest to publiczna egzekucja osób uznanych przez Inkwizycję za winne. Występuje wówczas publiczny oskarżyciel i stwierdza, że wielu świadków oskarżyło więźnia o judaizm. Namawiają go do przyznania się, ale on nadal upiera się przy swojej niewinności. Wtedy wydają na niego wyrok nazywany *corwicto invito*, co znaczy „uznany za winnego, ale nie chce się przyznać do przestępstwa”, i skazują go na spalenie w czasie nadchodzących uroczystości. Następnie odprowadzają go do celi, namawiają usilnie, aby się przyznał do winy i obiecują, że jeśli się przyzna, będzie mu ona

darowana. Te perswazje powtarzają się aż do wieczora poprzedzającego dzień egzekucji. Przerazony myśli o czekającej go śmierci w strasznych cierpieniach, nieszczęśliwy w końcu, aby ocalić swe życie, wyraża zgodę. Prowadzą go do Sali Trybunału, tam przyznaje się do przestępstwa, którego nie popełnił, i wyobraża sobie, że jest już ocalony. Niestety, nie. Sam się zaplątał w sieć i już nie może się z niej wyrwać.

— Uznajesz, żeś był winien przestrzegania praktyk nakazanych przez Mojżesza. Obrzędów tych nie można spełniać samemu, nie mogłeś jeść sam baranka paschalnego. Powiedz natychmiast, kto jeszcze brał udział w tych obrządkach, inaczej grozi ci nadal kara śmierci. Stos dla ciebie jest już przygotowany.

Tak więc oskarżył sam siebie, nic na tym nie zyskując, a jeśli chce ocalić swoje życie, musi oskarżać innych. Kogóż może oskarżać, jeśli nie swoich przyjaciół i znajomych? Nie, najprawdopodobniej swoich krewnych — braci, siostry, żonę, synów lub córki. Przypuszcza się bowiem w sposób naturalny, że do wszelkich tego rodzaju praktyk religijnych oskarżony dopuszcza w zaufaniu tylko członków własnej rodziny. Bez względu na to, czy przyzna się do 'winy, czy też umrze broniąc swej niewinności, jego doczesne dobra ulegają konfiskacie. Ale przyznanie się do przestępstwa ma dla Inkwizycji wielkie znaczenie, ponieważ akt przyznania się, opatrzony podpisem oskarżonego i odczytany publicznie, służy jako dowód wobec świata, że Inkwizycja jest bezstronna i sprawiedliwa, więcej nawet — że jest miłosierna, gdyż przebacza tym, którym wina została udowodniona.

W Goa zdarzało się znacznie więcej oskarżeń o czary i magię niż w innych miastach

będących siedzibą Inkwizycji. Powodem tego był fakt, że do zwyczajów i obrzędów religijnych Hindusów przyłgnęło bardzo wiele niedorzecznych zabobonów. Zarówno Hindusi, jak i niewolnicy pochodzący z innych krajów bardzo często przyjmowali chrześcijaństwo jedynie dla przypodobania się swoim panom. Jeśli zostali ochrzczeni, a następnie dowiedziano im jakiegoś przestępstwa, to skazywano ich na spalenie. Jeśli natomiast nie byli ochrzczeni, karano ich jedynie chłostą, więzieniem lub galerami. Tylko z tego powodu wielu odmawiało przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Wyjaśniliśmy zatem wszystkie te szczegóły, które naszym zdaniem czytelnik powinien znać, zanim przystąpi do dalszej lektury. Wszystko, cokolwiek tutaj pominęliśmy, znajdzie on w dalszym ciągu opowieści.

ROZDZIAŁ 3?

W parę godzin po wtrąceniu Aminę do lochu wkroczyli tam dozorczy więzienni. Nie mówiąc ani słowa rozpuściła jej miękkie, jedwabiste włosy i obcięli je przy samej skórze. Z grymasem pogardy na ustach, nie stawiając oporu ani nie czyniąc żadnych wymówek, Aminę pozwoliła im spełnić, co do nich należało. Gdy skończyli, pozostała znowu tylko ze swoją samotnością.

Nazajutrz dozorczy weszli do celi, kazali jej zdjąć obuwie i pójść z nimi boso. Popatrzyła na nich, a oni na nią.

— Jeżeli sama tego *nie* uczynisz, będziemy musieli zrobić to za ciebie — rzekł jeden z dozorców, wzruszony jej młodością i urodą.

Aminę uczyniła więc, czego od niej żądali. Zaprowadzili ją do Sali Trybunału, gdzie czekali na nią tylko wielki inkwizytor i sekretarz.

Sala Trybunału była dużą komnatą z wysokimi oknami po obu stronach i w szczytowej ścianie naprzeciwko drzwi, przez które wprowadzono Aminę. Pośrodku, na wzniesionym podium, stał długi stół przykryty sukniem w pasy niebieskie i płowe. W przeciwległym końcu sali wznosił się olbrzymi krucyfiks z wyrzeźbioną postacią Zbawiciela. Dozorca wskazał Aminę małą ławkę i powiedział, aby usiadła.

Sekretarz przez dłuższą chwilę przeglądał uważnie akta, po czym zapytał:

— Jak się nazywasz?

— Aminę Vanderdecken.

— Z jakiego kraju pochodzisz?

— Mój mąż pochodzi z Niderlandów, a ja ze Wschodu.

— Kim jest twój mąż?

— Kapitanem holenderskiego okrętu kursującego do Indii Wschodnich.

— Jakim sposobem przybyłaś tutaj?

— Jego okręt się rozbił i zostaliśmy rozdzieleni.

— Kogo tutaj znasz?

— Księdza Mathiasa.

— Jaki posiadasz majątek?

— Żadnego. Wszystko, co mam, należy do mego męża.

— Gdzie się to znajduje?

— Pod opieką księdza Mathiasa.

— Czy wiesz, dlaczego cię tu sprowadzono?

— Skąd miałabym wiedzieć? — odparła Ami-

ne wymijająco. — Powiedzcie mi, o co jestem oskarżona.

— Musisz sama wiedzieć, czy popełniłaś coś złego, czy też nie. Powinnaś wyznać wszystko, co ci wyrzuca sumienie.

— Sumienie nie wyrzuca mi żadnego złego uczynku.

—• A zatem nie chcesz się przyznać do niczego?

— Według tego, co sami rzekliście, nie mam nic do wyznania.

— Mówisz, że pochodzisz ze Wschodu. Czy jesteś chrześcijanką?

— Odrzucam waszą wiarę.

— Wyszłaś za mąż za katolika?

— Tak, za prawdziwego katolika.

— Kto ci dawał ślub?

— Ksiądz Seysen, duchowny katolicki.

— Czy zostałam przyjęta na łono Kościoła? Czy ten ksiądz ośmielił się dać ślub nie ochrzczonej?

— Odbył się pewien obrzęd, na który się zgodziłam.

— To był chrzest, czy tak?

— Zdaje się, że tak to nazywano.

—■ A teraz mówisz, że odrzucasz wiarę chrześcijańską?

— Tak, odrzucam ją, odkąd się stałam świadkiem postępowania tych, którzy ją głoszą. Kiedy wychodziłam za mąż, skłaniałam się ku niej.

— Jaka jest wartość tego, co powierzyłaś pieczy księdza Mathiasa?

— Kilkaset talarów. On wie dokładnie.

Wielki inkwizytor potrząsnął dzwonkiem, weszli dozorczy i odprowadzili Aminę z powrotem do lochu.

Dlaczego pytali mnie tak często o pieniądze? — zastanawiała się Aminę. Jeśli żądają

pieniędzy, niech je sobie biorą. Jak daleko sięga ich władza? Co chcą ze mną uczynić? No cóż, jeszcze parę dni i wszystko się rozstrzygnie. Parę dni... o nie, Aminę! Być może, lata upłynęłyby bez żadnej decyzji, gdyby nie to, że w cztery miesiące po twoim uwięzieniu miało się odbyć auto-da-fe, którego nie obchodzono od przeszło trzech lat, a liczba tych, którzy mieli ponieść karę śmierci, nie była dostatecznie duża, aby uroczystość mogła wypaść imponująco. Potrzeba było jeszcze kilku ludzi na stos, inaczej nie wyostałabyś się z lochu tak prędko.

W tej sytuacji Aminę musiała przeżyć cały miesiąc obaw i niepewności prawie nie do zniesienia, zanim wezwano ją ponownie do Sali Trybunału. W tym więc czasie wprowadzono ją znowu do długiej komnaty z krucyfiksem i znowu zapytano, czy jest gotowa się przyznać. Rozdrażniona długotrwałym więzieniem i niesprawiedliwością postępowania sądowego, odparła:

—■ Powiedziałam wam raz na zawsze, że nie mam do czego się przyznać. Róbcie ze mną, co chcecie, byle prędko.

—■ Może tortury zmuszą cię do przyznania się?

— Spróbujcie — odparła twardo. — Spróbujcie, okrutnicy, a jeśli wydobędziecie ze mnie choć jedno słowo, nazwijcie mnie wtedy nikczemnym tchórzem. Jestem tylko niewiastą, ale nie boję się, rzucam wam wyzwanie.

Rzadko się zdarzało, aby sędziowie Świętej Inkwizycji wysłuchiwali takich słów, a jeszcze rzadziej czyjeś oblicze zapalało się w ich obecności blaskiem takiego zdecydowania. Ale nigdy nie stosowano tortur przed sformułowaniem oskarżenia i uzyskaniem na nie odpowiedzi.

— Zobaczymy — rzekł wielki inkwizytor. — Zabrać ją.

Zaprowadzili Aminę z powrotem do celi. W tym okresie ksiądz Mathias rozmawiał kilkakrotnie z wielkim inkwizytorem. Pod wpływem gniewu oskarżył Aminę i dostarczył potrzebnych świadków przeciwko niej, ale teraz trapił go niepokój i wewnętrzna rozterka. Fakt, że korzystał z długotrwałej gościny pod dachem Aminę, że okazywała mu niezmienną życzliwość aż do czasu, gdy został wyproszony, świadomość, że nigdy nie przyjęła wiary chrześcijańskiej, jej odwaga i męstwo, nie tylko to — jej uroda i młodość, wszystko to razem silnie przemawiało na jej korzyść. Jego jedynym celem było teraz namówić Aminę, aby się przyznała, że postąpiła źle, skłonić ją do przyjęcia wiary chrześcijańskiej i w ten sposób ją ocalić. Mając to na oku uzyskał zezwolenie Świętego Officium na wstęp do celi Aminę i na prowadzenie z nią rozmów. Była to wyjątkowa uprzejmość, której z wielu powodów nie mogli mu odmówić. Na trzeci dzień po drugim przesłuchaniu odryglowano drzwi celi Aminę o niezwyklej porze i wszedł ksiądz Mathias, po czym znowu zamknięto drzwi na zasuwę. Pozostali we dwoje.

— Moje dziecko! Moje dziecko! — wybuchnęła ksiądz Mathias z twarzą zmienioną od żalu.

— Nie, księżo, to fałsz. To wy sprowadziliście mnie tutaj. Odejdźcie.

— Ja cię tu sprowadziłem, to prawda, ale teraz, Aminę, chciałbym cię stąd wydostać, jeśli mi pozwolisz.

— Bardzo chętnie. Wyjdę stąd z wami, księżo.

— Och, nie! Jest jeszcze wiele rzeczy do omówienia, wiele do zrobienia. Z tych lochów ludzie nie wydostają się tak łatwo.

— Wyjawcie mi zatem, co macie do powiedzenia i co takiego trzeba uczynić.

— Tak, wyjawię to.

— Ale, chwileczkę. Zanim wyrzekniecie choć słowo, odpowiedzcie mi, księżo, na jedno pytanie. Tak szczerze, jak pragniecie zbawienia. Czy słyszeliście co o Filipie?

— Tak, słyszałem. Jest zdrów.

— A gdzie przebywa?

— Wkrótce już będzie tutaj.

— Dzięki ci, Boże! Czy go zobaczę?

— To zależy tylko od ciebie.

— Ode mnie? Więc powiedzcie prędko, co chcieliby, abym uczyniła?

— Abyś wyznała swoje grzechy... przyznała się do przestępstw.

— Jakie grzechy? Do jakich przestępstw?

— Czy nie posługiwałaś się ludźmi w sposób niedozwolony? Czy nie przywoływałaś duchów, nie otrzymywałaś pomocy od istot nie z tego świata?

Aminę nie odpowiedziała.

— Odpowiedz. Nie przyznajesz się?

— Nie przyznaję się, abym uczyniła cokolwiek złego.

— To bezcelowe. Widzieliśmy cię, ja i inne osoby. Na co ci się zda zaprzeczać? Czy wiesz, jaka kara czeka cię niechybnie, jeżeli się nie przyznasz i nie zostaniesz owieczką w owczarni Kościoła?

— Dlaczego mam przystąpić do waszego Kościoła? Czyżbyście zatem karali tych, którzy odmawiają?

— Nie. Gdyby nie to, że w swoim czasie zgodziłaś się zostać ochrzczona, nie żądano by tego od ciebie. Skoro jednak zostałaś ochrzczona, musisz teraz przystąpić do Kościoła, w przeciwnym razie uważano by, że popadłaś w herezję.

— Wówczas nie wiedziałam, co oznacza wasz chrzest.

■— Tak, ale zgodziłaś się go przyjąć.

— Niech tak będzie. Ale powiedzcie mi, proszę, jaka może spaść na mnie kara, jeżeli odmówię?

—■ Zostaniesz żywcem spalona na stosie. Nic nie może cię uratować. Posłuchaj mnie, Amine. Kiedy cię znowu wezwą, musisz się przyznać do wszystkiego i, prosząc o przebaczenie, prosić zarazem o przyjęcie cię do Kościoła. Wówczas będziesz ocalona i...

— I co?

— I znowu znajdziesz się w objęciach Filipa.

— Filip... mój Filip! Zaiste, księżu, mocno nalegał. Ale jeśli się przyznam, że jestem winna, a czuję, że nie jestem...

■ Czujesz, że nie jesteś!

■ Tak. Wzywałam pomocy mojej matki, a ona mi jej udzieliła we śnie. Czy matka zechciałaby pomóc córce, gdyby to było czymś złym?

— To nie była twoja matka, tylko szatan, który przyjął jej postać.

■ To była moja matka. Znowu żądam, abym powiedziała, że wierzę w to, w co nie mogę uwierzyć.

— Nie możesz uwierzyć! Amine, nie upieraj się.

— Nie upieram się, wielbny księżu. Czyż nie obiecaliście mi tego, co jest dla mnie bezcenne, że znów się znajdę w ramionach mego męża? Czy mogę się poniżyć do kłamstw? Nie, ani za cenę życia, ani za cenę wolności, ani nawet za mojego Filipa.

— Amine, gdybyś się przyznała do popełnienia przestępstwa, zanim zostaniesz oskarżona, miałyby to wielkie znaczenie. Kiedy już

odczytają ci akt oskarżenia, nie na wiele się to przyda.

— Nie przyznam się, księżę, ani przedtem, ani potem. Com uczyniła, to uczyniłam, ale dla mnie i dla moich braci to nie jest przestępstwem. Może jest nimi dla was chrześcijan, ale ja do was nie należę.

— Pomyśl, że narażasz na niebezpieczeństwo także swojego męża, ponieważ poślubił czarownicę. Nie zapominaj o tym. Jutro znów cię odwiedzę.

— W głowie mi się mąci — odparła Aminę. — Zostawcie mnie samą, księżę, bardzo proszę.

Ksiądz Mathias wyszedł z celi zadowolony z ostatnich słów Aminę. Miał wrażenie, że myśl o niebezpieczeństwie grożącym Filipowi przejęła ją lękiem.

Aminę padła twarzą na siennik w kącie celi.

— Spalona żywcem! — wykrzyknęła po chwili siadając i przesuając dłońmi po czole. — Spalona żywcem. I to są chrześcijanie. A więc to jest ta okrutna śmierć przepowiedziana mi przez tego potwora Schriftena. Przepowiedziana... tak, i dlatego musi się spełnić. To moje przeznaczenie. Nie mogę się uratować. Jeżeli się przyznam, to tym samym przyznam, *' że Filip poślubił czarownicę, i na niego też spadnie kara. Nie, nigdy, nigdy. Mogę znieść męki. To okrutne. Strasznie o tym pomyśleć. Ale to długo nie potrwa, Boże ojców moich, daj mi siłę, abym mogła stawić czoła tym nikczemnikom, daj, abym mogła znieść wszystko przez miłość dla Filipa.

Nazajutrz wieczorem ksiądz Mathias znowu zjawił się w celi. Zastał Aminę spokojną i skupioną. Nie chciała słuchać jego rad ani zastosować się do jego zaleceń. Ostatnia uwaga księdza, że jej mężowi będzie grozić niebezpie-

czeństwo, jeśli ją uznają winną uprawiania czarów, uzbroiła ją w męstwo. Aminę postanowiła, że ani tortury, ani stos nie zmuszą jej do przyznania się do winy. Ksiądz opuszczał jej celę z bólem w sercu. Czuł się nieszczęśliwy myśląc, że Aminę zginie tak straszną śmiercią. Oskarżał się o zbytnią pochopność w działaniu i żałował, że w ogóle poznał kiedyś Aminę, której nieugięta stałość i odwaga, choćby w błędzie, wzbudzały w nim podziw i litość. Potem pomyślał o Filipie, który był dla niego tak życzliwy. Jak zdoła mu teraz spojrzeć w oczy? A jeśli Filip zapyta o żonę, co mu odpowie?

Minęły dwa tygodnie, zanim ponownie wezwano Aminę do Sali Trybunału i zapytano ją znowu, czy się przyznaje do popełnienia przestępstwa. Gdy odmówiła przyznania się, odczytano jej oskarżenie. Ksiądz Mathias oskarżył ją o uprawianie zakazanych praktyk; odczytano zeznania małego Pedra i innych świadków. Ksiądz Mathias w swej gorliwości zeznał także, iż jeszcze w Terneuzen uważał ją za winną tych samych praktyk. Oświadczył ponadto, że w czasie gwałtownego sztormu, kiedy wszyscy oczekiwali niechybnej śmierci, ona jedna zachowała spokój i odwagę i powiedziała kapitanowi okrętu, że ocaleją, o czym mogła wiedzieć tylko dzięki niedobremu duchowi proroczemu, którym ją natchnęły złe moce. Słuchając tego ostatniego oskarżenia Aminę skrzywiła drwiąco usta. Zapytano ją, czy ma coś do powiedzenia na swoją obronę.

— Jak można się bronić przeciwko takim oskarżeniom? — odparła. — Niechaj będzie przykładem to ostatnie. Jestem oskarżona o czary, ponieważ nie byłam taka tchórzliwa jak chrześcijanie. Zdziecinniały starzec! Ale ja odsłonię jego prawdziwe oblicze. Odpowiedzcie

mi: jeżeli ktoś wie o czarach i ukrywa to albo na to zezwala, czyż nie jest współuczestnikiem i współwinnym przestępstwa?

— Jest — odparł inkwizytor, oczekując z niepokojem, ku czemu to zmierza.

— W takim razie oskarżam... — Aminę już miała wyjawić, że ksiądz Mathias i ksiądz Seysen wiedzieli o Misji Filipa i nie zakazali mu jej spełnienia, gdy wtem uświadomiła sobie, że Filip zostałby wciągnięty w tę sprawę, i urwała.

— Kogo oskarżasz? — zapytał inkwizytor.

— Nikogo — odparła krzyżując ręce na piersiach i spuszcżając głowę.

— Mów, niewiasto.

Aminę milczała.

— Tortury zmuszą cię do mówienia.

— Nigdy! Nigdy! Zamęczcie mnie na śmierć, jeśli chcecie. Wolę to niż publiczne stracenie.

Inkwizytor naradzał się przez chwilę z sekretarzem. Przekonani, że Aminę nie odstąpi od swego postanowienia, a przy tym potrzebując jej osoby do publicznej egzekucji, zaniechali myśli o torturach.

— ■ Przyznajesz się? — zapytał inkwizytor.

— • Nie — odpowiedziała stanowczo Aminę.

— A więc zabrać ją stąd.

W wieczór poprzedzający auto-da-fe ksiądz Mathias przyszedł jeszcze raz do celi Aminę, ale i tym razem jego wysiłki okazały się bezskuteczne.

— Jutro wszystko się skończy, księżo. Odejdźcie. Chcę być sama.

ROZDZIAŁ 38

Musimy teraz powrócić do Filipa i Krantza. Ten ostatni, pożegnawszy komendanta fortu, udał się do swojej kwatery i opowiedział Filipowi o wszystkim, co zaszło. Powtórzył mu fantastyczną historię, jaką wymyślił, aby zwieść Portugalczyka.

— ■ Powiedziałem mu, że tylko ty wiesz, gdzie skarb został ukryty i że może ciebie po niego wysłać, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa mnie zatrzyma jako zakładnika. To głupstwo, trzeba zaryzykować. Ty postarasz się uciec takim czy innym sposobem i odnaleźć Aminę.

— Nie, tak nie będzie dobrze — odparł Filip. — Musimy wybrać się razem, przyjacielu. Czuję, że gdybym się z tobą rozstał, już nigdy nie zaznałbym szczęścia.

— To bzdura. Zupełnie bezpodstawny nastrój. Zresztą, ja mu się wymknę tak czy inaczej.

— Ujawnię mu miejsce skarbu tylko pod warunkiem, że popłyniemy razem.

— No cóż, możesz w każdym razie spróbować.

Usłyszeli ciche stukanie do drzwi. Filip wstał i otworzył (bo już się położyli spać). Wszedł Pedro. Rozejrzawszy się ostrożnie dookoła, zamknął cichutko drzwi i położył palec na ustach, nakazując im milczenie. Następnie opowiedział szeptem to, co podsłuchał u komendanta.

— Postarajcie się zabrać mnie z sobą, jeżeli to możliwe — szeptał dalej. — Muszę już iść, komendant wciąż chodzi po swojej stancji.

Pedro wymknął się na dwór i chyłkiem przekradł się wzdłuż murów.

— A to podły zdrajca, pokurcz! Ale my go przechytzymy, jeśli tylko się uda —• rzekł Krantz ściszym głosem. —■ Tak, Filipie, masz rację, musimy popłynąć razem, bo będziesz potrzebował mojej pomocy. Muszę go namówić, aby on także wybrał się z nami. Zastanowię się nad tym. No, dobranoc.

Nazajutrz rano poproszono Filipa i Krantza na śniadanie. Komendant powitał ich rozpluwając się w uśmiechach i uprzejmościach. W stosunku do Filipa był niesłychanie grzeczny. Po skończonym posiłku wyjął mu swoje zamiary i życzenia w następujący sposób:

— Panie, rozmyślałem o tym, co mi powiedział wasz przyjaciel i o wczorajszym ukazaniu się upiora, które wywołało tyle zamętu. Z tego właśnie powodu zachowałem się tak porwoczo, za co teraz przepraszam was najserdeczniej. Moje rozmyślenia, a także pobożne uczucia, jakie powinny mieszkać w sercu każdego prawdziwego katolika, skłoniły mnie do powzięcia decyzji, aby z waszą pomocą odzyskać skarb przeznaczony dla Kościoła świętego. Proponuję wam, panie, abyście objęli dowództwo nad oddziałem żołnierzy, udali się z nimi na wyspę, gdzie został ukryty skarb, i odnalazszy go powrócili tutaj. Zatrzymam każdy okręt, który by w tym czasie zjawił się na redzie, dzięki czemu zaraz po powrocie zawieziecie do Goa skarb i moje listy. Zapewni to wam zaszczytne przyjęcie ze strony miejscowych władz i umożliwi jak najmielsze spędzenie czasu. Odnajdziecie też, panie, swoją żonę, której wdzięk wywarł na mnie takie wrażenie. Muszę was przeprosić za to, że nazbyt poufale wspominałem jej imię. Niechże mnie usprawiedliwi w waszych oczach to, że wca-

le nie był świadom, kim jest ani też, że cośkolwiek ją łączy z waszą czcigodną osobą. Gdyby taki plan był po waszej myśli, z największą przyjemnością wydam odpowiednie zarządzenia.

— Jako dobry katolik — odparł Filip — z radością wskażę miejsce, gdzie skarb został ukryty i zwrócę go Kościołowi. Wasze przeprosiny, panie komendancie, przyjmuję z satysfakcją, gdyż rozumiem, że wasze zachowanie w stosunku do mojej żony wynikało z nieświadomości jej sytuacji i pozycji społecznej. Ale właściwie nie widzę jasno mojej roli. Proponujecie mi oddział żołnierzy. Czy będą mnie słuchali? Czy można im zaufać? W razie czego miałbym przeciwko nim tylko siebie i mego przyjaciela, a czy oni będą posłuszni?

— Nie obawiajcie się o to, panie, są bardzo zdyscyplinowani. Nie ma nawet potrzeby, aby wasz przyjaciel wybierał się z wami. Chciałbym go mieć przy sobie, aby mi dotrzymywał towarzystwa podczas waszej nieobecności.

— O nie, na to nie mogę przystać — odparł Filip. — Sam nie będę się czuł pewnie.

— Czy wolno mi powiedzieć, co o tym myśle? — wtrącił się Krantz. — Otóż nie widzę powodu, dla którego miałbym nie jechać z moim przyjacielem, jeżeli będzie mu towarzyszył tylko oddział żołnierzy. Uważam jednak za niewskazane, aby wybierał się — obojętne, czy ze mną, czy też beze mnie — w taki sposób, jak to proponuje komendant. Musicie, panie komendancie, pamiętać o tym, że chodzi o przewiezienie nie byle jakiej sumy, że wasi żołnierze będą mogli zobaczyć te pieniądze i stale je mieć przed oczami, że tych ludzi przetrzymuje się tutaj od wielu lat i że pragną oni powrócić do domu. Kiedy się zorientują, że mają nad sobą -tylko dwóch cu-

dzoiemców, że ich komendant jest daleko i że **mają** w ręku wielką sumę pieniędzy, czy pokusa nie okaże się nazbyt silna? Wystarczy, aby przepłynęli kanał południowy i dotarli do przylądka Bantam, a już będą bezpieczni, zdobędą zarówno wolność, jak i bogactwo. Dlatego wysłanie mojego przyjaciela i mnie oznaczałoby dla nas prawie pewną śmierć. Ale gdybyście wy, komendancie, pojechali z nami, wówczas nie groziłoby żadne niebezpieczeństwo. Wasza obecność i wasz autorytet trzymałyby ich w karchach, a czegokolwiek mogliby pragnąć, o czymkolwiek myśleć, cofnęliby się przed jednym błyskiem waszych oczu.

— Racja! Racja! — wykrzyknął Filip. — Że też mi to nie przyszło do głowy.

Komendantowi także nie przyszło to do głowy, kiedy jednak podsunęto mu tę myśl, natychmiast uderzyła go jej słusność i zanim Krantz skończył mówić, on już od dobrej chwili był zdecydowany pojechać.

— ■ Dobrze, zacni panowie — odpowiedział. ■ — Zawsze jestem gotów przystać na wasze życzenia. Ponieważ uważacie moją obecność za konieczną, a ja ze swojej strony nie przypuszczam, żeby już teraz można się było spodziewać drugiej napaści Ternateńczyków, wezmę na siebie odpowiedzialność za pozostawienie fortu na kilka dni pod dowództwem mojego porucznika, podczas gdy my oddamy tę przysługę Kościołowi świętemu, matce naszej. Posłałem już po jeden z miejscowych stateczków, które są pojemne i wygodne. Jeśli pozwolicie, odpłyniemy jutro.

— Lepiej byłoby wybrać się dwoma statkami — zauważył Krantz. — Po pierwsze, na wypadek nieszczęścia. Po drugie zaś dlatego, że do jednej pirogi moglibyśmy wsiąść sami i załadować cały skarb, a w drugiej umieścić

część żołnierzy. W ten sposób bylibyśmy w większej sile, gdyby widok tylu pieniędzy miał ich podburzyć do nieposłuszeństwa.

— Słusznie, panie, weźmiemy dwa statki. Wasza rada jest dobra.

W ten sposób wszystko się ułożyło po myśli Filipa i Krantza, z wyjątkiem zabrania na tę wyprawę Pedra. Właśnie debatowali nad tym, jak by wystąpić z tą sprawą wobec komendanta, gdy wszedł do ich izby sam Pedro i zameldował, że komendant kazał mu uczestniczyć w wyprawie i być do usług obu cudzoziemców.

Nazajutrz wszystko było gotowe. Komendant wybrał dziesięciu żołnierzy i kaprała. Załadowanie prowiantu i innych potrzebnych rzeczy zabrało niewiele czasu. O świcie wsiedli do łodzi, komendant i Filip do jednej, Krantz z kapralem i Pedrem do drugiej. Żołnierze, którym dotychczas nic nie powiedziano o celu wyprawy, dowiedzieli się o nim od Pedra. Długo szepotali między sobą ku wielkiemu zadowoleniu Krantza, który zdawał sobie sprawę, że wkrótce wybuchnie bunt, żołnierze bowiem rozumieją, że uczestnicy wyprawy mają paść ofiarą chciwości komendanta. Pogoda była piękna, więc płynęli przez całą noc. Minęli Ternate w odległości dziesięciu mil i o świcie znaleźli się wśród archipelagu wysp; najbardziej wysunięta na południe była ta, na której zakopano skarb. Następnej nocy wyciągnęli pirogi na brzeg małej wyspy i wtedy po raz pierwszy żołnierze z łodzi Pedra i Krantza nawiązali bezpośrednią łączność z tymi, którzy płynęli z komendantem. Filip i Krantz także mieli sposobność porozumieć się z sobą przez krótką chwilę na osobności.

Kiedy nazajutrz rano ruszyli w dalszą drogę, Pedro już mówił otwarcie. Powiedział

Krantzowi, że żołnierze w ich łodzi powzięli postanowienie i że pozostali bez wątpienia do wieczora uczynią to samo, choć rano, gdy wsia- dali do łodzi, nie byli jeszcze ostatecznie zde- cydowani przyłączyć się do nich. Powiedział także, iż zamierzają zgładzić komendanta, po- płynąć do Batawii i stamtąd wrócić jakimś okrętem do Europy.

— Czy nie możecie tego osiągnąć bez mor- derstwa?

— Owszem, moglibyśmy, ale gdzie zemsta? Nie wiecie, panie, jak on się z nami obcho- dził. Choć pieniądze są miłe naszemu sercu, jego śmierć będzie jeszcze miłsza. A zresztą, czyż nie postanowił wymordować nas wszyst- kich w ten czy inny sposób? To tylko spra- wiedliwość. Nie, nie! Gdyby żaden inny nóż nie był na to gotów, mój będzie na pewno go- towy.

— I nasze także! — wykrzyknęli wszyscy pozostali żołnierze kładąc dłoń na swej broni.

Płynęli jeszcze jeden dzień i od wyspy dzie- liło ich już tylko dwadzieścia mil, bo Filip do- brze zapamiętał punkty orientacyjne. Znowu wylądowali i wszyscy ułożyli się na spoczy- nek. Komendant śnił o bogactwie i o zemście, a tymczasem żołnierze zrywali się, że wyko- panie skarbu, którego tak pożądał, będzie sy- gnałem jego śmierci.

Jeszcze raz wsiedli do łodzi. Komendant nie zwracał uwagi na otaczające go ponure, na- sępione twarze. Promieniał wesołością i uprzej- mością. Mknęli chyżo po szafirowej powierzch- ni morza, między prześlicznymi wyspami, któ- rymi było usiane. Nie minęły trzy godziny od wschodu słońca, gdy Filip rozpoznał poszuki- waną wyspę i pokazał komendantowi naciętą palmę kokosową, która miała im służyć za drogowskaz do miejsca, gdzie były ukryte pie-

niądze. Wylądowali na piaszczystej plaży. Niecierpliwy oficerek kazał wynieść na brzeg łopaty, nie domyślając się wcale, że każda zyskana chwila oznacza dla niego tyleż czasu utraconego bezpowrotnie i że, gdy on rozmyśla z uśmiechem o zdradzie, tamci mogą robić to samo.

Wszyscy razem podeszli do naznaczonego drzewa. Wkrótce łopaty odrzuciły lekki piasek i po paru minutach skarb ukazał się ich oczom. Żołnierze podawali worek za workiem, a talary leżące luzem pozbierali w kupki. Dwóch ludzi posłano do łodzi po worki, aby wsypać do nich luźne monety. Reszta zaprzestała pracy. Odłożyli łopaty i wymienili między sobą spojrzenia; wszyscy byli gotowi.

Komendant odwrócił się, chcąc zawołać na żołnierzy posłanych po worki, aby się pośpieszyli, gdy w tej samej chwili kilka noży przebiło mu plecy. Upadł na wznak i zaczął czynić swym ludziom wymówki, ale noże wbiły się teraz w jego pierś, po czym znieruchomiał na ziemi. Filip i Krantz byli niemymi świadkami tej sceny. Żołnierze wyciągnęli noże z piersi trupa, otarli je i włożyli z powrotem do pochew.

—■ Spotkała go zasłużona zapłata — odezwał się Krantz.

— Tak — wykrzyknęli portugalscy żołnierze. —• Sprawiedliwość, tylko sprawiedliwość!

— Panowie dostaną swoją część — szepnął Pedro. — Prawda, chłopcy?

— Tak! Tak!

— Ani talara, moi drodzy — odparł Filip. — Weźcie sobie wszystko i oby te pieniądze przyniosły wam szczęście. Prosimy was jedynie o to, abyście nam pomogli dostać się tam, dokąd zamierzamy się udać. A teraz, zanim się po-

dzielicie pieniędzmi, proszę was, pochowajcie ciało tego nieszczęśnika.

Żołnierze usłuchali. Chwycili znów za łopaty i szybko wykopali płytki grób. Wrzucili do niego ciało komendanta i przysypali piaskiem tak, aby znikło im z oczu.

ROZDZIAŁ 39

Ledwo żołnierze skończyli z tą robotą i odrzucili łopaty, już zaczęła się między nimi sprzeczka. Wyglądało na to, że pieniądze staną się znowu przyczyną masakry i rozlewu krwi. Filip i Krantz postanowili odpłynąć natychmiast w jednej z piróg, zostawiając ich, aby rozstrzygnęli spór, jak im się podoba. Filip poprosił żołnierzy, aby pozwolili jemu i Krantzowi zabrać z obfitego zapasu żywności i wody więcej, niżby na nich przypadowało. Wyjaśnił, że on i Krantz mają przed sobą długą podróż, więc będzie im to potrzebne. Zwrócił im także uwagę, że na wyspie jest mnóstwo orzechów kokosowych, którymi mogą się żywić. Żołnierze byli zaprządnięci wyłącznie świeżo zdobytym bogactwem, toteż pozwolili mu robić, co zechce. Nazbierawszy pośpiesznie tyle orzechów kokosowych, ile tylko zdołali, aby w ten sposób powiększyć swe zapasy żywności, Filip i Krantz przed południem wsiedli do pirogi i odpłynęli, a żołnierze, którzy znowu powyciągali noże z pochew, tak byli zacierzeni w swej kłótni, że nawet nie zauważyli ich odjazdu.

— Zdaje się, że się powtórzy tamta scena — zauważył Krantz, gdy piroga odbiła lekko od brzegu.

— Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Spójrz, już się biorą do bójki. Gdybym miał nadać nazwę tej wyspie, nazwałbym ją Wyspą Przekłątą.

— Czyż każde inne miejsce nie byłoby równie przekłete, gdyby się w nim znalazło tak silne zarzewie dla rozpalenia ludzkich namiętności?

— Z pewnością. Jakimże przekleństwem jest złoto!

— I jakim błogosławieństwem — odparł Krantz. — Żał mi Pedra, że z nimi został.

— To ich przeznaczenie, zatem nie myślmy już o nich. A teraz, co proponujesz? Naszym stateczkiem, choć jest taki mały, możemy bezpiecznie żeglować po tych wodach. Myślę, że prowiantu mamy na dłużej niż miesiąc.

— Proponuję dostać się na szlak okrętów idących na zachód i dopłynąć jednym z nich do Goa.

— A jeśli nie napotkamy żadnego — podjął Filip — to w każdym razie możemy bez ryzyka płynąć w górę cieśniny Malakka aż do Pulau Penang. Tam moglibyśmy zaczekać do czasu, aż będzie przechodził jakiś okręt.

— Zgadzam się z tobą. To jest najlepsze, nie, to jedyne wyjście, chyba żebyśmy popłynęli do Kochin, skąd zawsze odchodzą dżonki do Goa.

— Ale to by wymagało zboczenia z trasy, podczas gdy płynąc cieśniną Malakka nie moglibyśmy nie zauważyć mijających nas dżonek.

Nie mieli żadnych trudności z utrzymaniem się na kursie. W dzień wyspy, a w nocy jasno świecące gwiazdy zastępowały im kompas. To prawda, że nie trzymali się najkrótszej drogi, lecz za to najbezpieczniejszej, płynąc po spo-

kojnych wodach i posuwając się bardziej na północ niż na zachód. Kilka razy ścigały ich malajskie prau, będące utrapieniem tych wysp, ale chyżość małej pirogi zapewniała im bezpieczeństwo. Na ogół piraci rezygnowali z pogoni, gdy tylko zdołali stwierdzić skromne rozmiary stateczku, które nie obiecywały żadnego albo tylko bardzo niewielki łup.

Nietrudno sobie wyobrazić, że Aminę i posłannictwo Filipa były stałym tematem ich pogwarek. Pewnego ranka, gdy żeglowali między wyspami przy wietrze słabszym niż zwykle, Filip powiedział:

— Słuchaj, Krantz, mówiłeś, że w twoim życiu czy też w związku z nim zachodziły zdarzenia potwierdzające prawdziwość tajemniczej historii, z której ci się zwierzyłem. Czy możesz mi powiedzieć, co miałeś wówczas na myśli?

— Oczywiście — odparł Krantz. — Często o tym myślałem, ale dotychczas zawsze coś mi stawało na przeszkodzie. Teraz jednak jest właśnie odpowiednia okazja. Przygotuj się więc na wysłuchanie dziwnej historii, może równie dziwnej jak twoja. Na pewno słyszałeś o górach Harcu?

— Nie przypominam sobie, żeby mi ktoś o nich opowiadał, ale czytałem w jakiejś książce o dziwach, jakie się tam zdarzały.

— Są to zaprawdę dzikie strony i opowiadają o nich wiele niezwykłych historii, ale pomimo ich niezwykłości mam dostateczne powody, żeby wierzyć w ich prawdziwość. Mówiłem ci, Filipie, że wierzę bez zastrzeżeń w twoje komunikowanie się z tamtym światem, że wierzę w historię twego ojca i w słuszność twojego posłannictwa. Miałem dosyć dowodów na to, że otaczają nas, inspirują i oddziałują

na nas istoty różniące się od nas co do swej natury. Sam to przyznasz, gdy ci opowiem, co się wydarzyło w mojej rodzinie. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego takim złośliwym istotom, o jakich właśnie chcę opowiedzieć, wolno się mieszać do naszych spraw i karać, moim zdaniem, prawie niewinnych ludzi, ale że im wolno to czynić, jestem więcej niż pewien.

— Wielki władca wszelkiego zła spełnia swoje szatańskie dzieło, czemuż by więc nie miały tego czynić inne pomniejsze duchy podobnego gatunku? — odparł Filip. — Cóż to ma dla nas za znaczenie, czy doświadcza nas i każe nam cierpieć nienawiść naszych bliźnich, czy też prześladują nas istoty potężniejsze i bardziej wrogo usposobione niż my sami? Wiemy, że musimy zasłużyć na zbawienie i że będziemy sądzeni według siły naszego ducha. Jeśli więc istnieją złe duchy, znajdujące przyjemność w ciemieniu ludzi, to z pewnością, jak twierdzi Aminę, muszą także istnieć dobre duchy, których radością jest niesienie ludziom pomocy. Wobec tego, czy musimy walczyć tylko z własnymi namiętnościami, czy też nie tylko z nimi, ale także ze zgubnym wpływem niewidzialnych wrogów, zawsze walcząc mamy po swojej stronie tę samą przewagę, ponieważ dobre duchy są silniejsze od złych, które zwalczamy. W obu wypadkach jesteśmy w korzystnej pozycji, czy to, jak w pierwszym, gdy walczymy o dobrą sprawę w pojedynkę, czy też jak w drugim wypadku, kiedy, choć mamy przeciwnika, stoją za nami niebieskie zastępy. W ten sposób szale boskiej sprawiedliwości są zrównoważone, a człowiek pozostaje wolny, ponieważ jego grzeszne skłonności muszą zawsze decydować o tym, czy osiągnie zwycięstwo, czy też przegra w walce. — Masz najzupełniejszą słuszość — zgodził

się Krantz. — A teraz powróćmy do mojej historii.

— Mój ojciec nie urodził się ani nie mieszkał początkowo w górach Harcu. Był poddanym pewnego węgierskiego arystokraty, który posiadał rozległe włości w Siedmiogrodzie. Choć tylko poddany, nie był bynajmniej biedny ani nieoświecony. W rzeczywistości był zaможny, a przy tym taką odznaczał się bystrością umysłu i uczciwością, że pan wyniósł go na stanowisko zarządcy swoich majątkości. Ale ten, kto za zrządzeniem losu urodził się poddanym, musi nim pozostać, choćby nawet stał się bogatym człowiekiem. Tak też było z moim ojcem. Od pięciu lat żonaty, miał z tego małżeństwa troje dzieci — mojego starszego brata Cezara, mnie (Hermana) i siostrę Marcelę. Wiesz zapewne, Filipie, że w tamtym kraju łacina jest nadal w użyciu i stąd nasze górnołotnie brzmiące imiona. Moja matka była bardzo piękną niewiastą, niestety, bardziej piękną niż cnotliwą. Zobaczył ją i zachwyił się pan tych włości. Wysłał ojca z domu w jakiejś sprawie. W czasie jego nieobecności moja matka, której schlebialiły atencje i nadskakowania arystokraty, uległa jego grzesznej zachciance. Tak się złożyło, że ojciec wrócił zupełnie nieoczekiwanie i odkrył tę intrygę. Miał oczywisty dowód hańby mojej matki, bo przyłapał ją razem z uwodzicielem. Opanowany gwałtowną zazdrością i nienawiścią, wypatrzył schadzke tamtych dwojga i zamordował oboje, żonę i uwodziciela. Zdawał sobie sprawę, że w stosunku do poddanego nawet prowokacja nie zostanie uznana za usprawiedliwienie takiego postępku. Zebrał więc pospiesznie wszystkie pieniądze, jakie miał pod ręką, a ponieważ działo się to w środku zimy, zaprzął konie do sań i zabrawszy ze sobą dzieci, ciemną nocą puścił

się w drogę. Zanim rozeszła się wieść o tragicznym wydarzeniu, był już daleko. Wiedział, że będą go ścigać i że w żaden sposób nie zdołałby ująć z życiem, gdyby pozostał w którejkolwiek okolicy ojczystego kraju, gdzie władze mogłyby go uwięzić. Uciekał zatem dalej, nie zatrzymując się nigdzie, aż się zaszył w głuchych ostępach gór Harcu. Wszystkiego, co teraz opowiedziałem, dowiedziałem się oczywiście później. Moje najdawniejsze wspomnienia wiążą się z ubogim, ale wygodnym domkiem, w którym mieszkałem z ojcem, bratem i siostrą. Stał on na skraju jednego z tych rozległych borów, które pokrywają północną część Niemiec. Otaczało go kilka akrów gruntu, które ojciec uprawiał w letnich miesiącach i które, choć dawały mizerne plony, wystarczały na nasze utrzymanie. W zimie przesiadywaliśmy dużo w domu, bo ojciec, wychodząc na polowania, zostawiał nas samych, a o tej porze roku grasowały nieustannie wilki. Ojciec kupił domek wraz z przyległym gruntem od jednego z tych nieokrzesanych mieszkańców lasu, którzy żyją częściowo z polowania, a częściowo z wypalania węgla drzewnego, służącego do wytapiania rudy z pobliskich kopalń. Do najbliższej ludzkiej siedziby było około dwóch mil. Przypominam sobie jeszcze tamtejszy krajobraz. Nad nami wysokie sosny wznoszące się na zboczu góry, a w dole rozległa przestrzeń puszczy; spoglądaliśmy z naszego domku na najwyższe konary i wierzchołki drzew, bo stok górski pod nami opadał stromo ku odległej dolinie. W lecie widok był przepiękny, ale w czasie surowej zimy trudno było sobie wyobrazić smutniejszy krajobraz.

Powiedziałem, że w zimie ojciec zajmował się polowaniem. Codziennie zostawiał nas samych, a często zaryglowywał drzwi, żebyśmy

przypadkiem nie wyszli z domu. Nie miał nikogo do pomocy ani do zajęcia się nami. Niełatwo było znaleźć służbę, która by zechciała mieszkać na takim odludziu. A nawet gdyby mógł taką znaleźć, ojciec nie zgodziłby jej, bo nabrał strasznej abominacji do niewiast. Dowodziła tego w sposób oczywisty różnica w traktowaniu przez niego nas, obu synów, oraz mojej biednej siostrzyczki Marceli. Możesz się domyślić, że byliśmy w najbardziej żalospodobny sposób zaniedbani. Naprawdę, niemało wycierpieliśmy, bo ojciec, bojąc się, żebyśmy nie zrobili sobie jakiejś krzywdy, nie zostawiał nam drzewa na opał, kiedy wychodził z domu. Musieliśmy więc zagrzebywać się pod stosami niedźwiedzich skór i zagrzewać się tam aż do wieczora, dopóki ojciec nie wrócił. Wtedy dopiero rozkoszowaliśmy się jasno płonącym ogniem. Może się wydawać dziwne, że mój ojciec wybrał taki ruchliwy tryb życia, ale rzecz w tym, że nie potrafił usiedzieć w spokoju. Czy przyczyną tego były wyrzuty sumienia z powodu popełnionego morderstwa, czy też bieda spowodowana zmianą położenia, czy wreszcie oba te względy razem, dość, że czuł się dobrze tylko w nieustannym ruchu. Dzieci jednak, jeżeli pozostawia się je na dłużej same, nabierają nie odpowiadającej ich wiekowi skłonności do zadumy. Tak właśnie było z nami. W krótkie zimowe dni siadywaliśmy w milczeniu, tęskniąc do tych szczęśliwych chwil, kiedy śnieg stopnieje, listki wystrzelą z pąków i zaczną śpiewać ptaki, kiedy znowu wypuszczą nas na wolność.

Tak wyglądał nasz dziwaczny i pierwotny tryb życia aż do czasu, kiedy mój brat Cezar skończył dziewięć lat, ja siedem, a moja siostrzyczka pięć. Wtedy to zaszły wydarzenia,

wokół których osnuta jest niezwykła historia, jaką ci za chwilę opowiem.

Pewnego wieczoru ojciec wrócił do domu później niż zwykle. Tym razem nie miał szczęścia, ponieważ zaś pogoda była bardzo zła i śniegu spadło na kilka stóp grubości, nie tylko mocno przeziębł, ale był także w złym humorze. Przyniósł do izby drew, a my we trójkę z radością pomagaliśmy jedno drugiemu rozdmuchiwać żar aż do płomienia. Wtem ojciec chwycił za ramię biedną Marcelkę i odepchnął ją na bok. Dziecko upadło, uderzyło się w buzię i zaczęło obficie krwawić. Brat podbiegł, żeby ją podnieść. Przyzwyczajona do złego traktowania przez ojca i bojąc się go, nie śmiała płakać, tylko żałośnie popatrzyła mu w oczy. Ojciec przysunął sobie stołek bliżej pieca i mamrocząc jakieś złorzeczenia pod adresem niewiast, sam zajął się ogniem, od którego brat i ja odeszliśmy, gdy Marcela została tak niegodziwie skrzywdzona. Wnet buchnął wesoly płomień, ale my nie skupiliśmy się, jak zwykle, wokół niego. Wciąż krwawiąc ze skaleczonych ust, Marcela zaszyła się w kącie izby, a brat i ja zostaliśmy przy niej, podczas gdy ojciec siedział pochylony nad ogniem, ponury i samotny. Tak upłynęło jakieś pół godziny, gdy wtem usłyszeliśmy wycie wilka pod samym oknem. Ojciec zerwał się ze stołka i chwycił fuzję. Wycie się powtórzyło. Sprawdził proch na panewce, po czym spieszenie wyszedł na dwór, zamykając za sobą drzwi. Czekaliśmy nasłuchując z niecierpliwością, myśleliśmy bowiem, że jeśli mu się uda zastrzelić wilka, to wróci w lepszym humorze. Choć był surowy dla nas wszystkich, a szczególnie dla naszej siostrzyczki, kochaliśmy jednak ojca i lubiliśmy, gdy był wesoly i szczęśliwy. Do kogóż innego mogliśmy się uciec? Warto w tym miejscu za-

uważyć, że może nigdy nie było na świecie trojga dzieci bardziej się nawzajem kochających. Nie biliśmy się ani nie sprzeciali, jak inne dzieci, a jeśli przypadkiem powstała jakaś kłótnia pomiędzy mną a moim starszym bratem, Marcelka podbiegała i całując nas obu oraz usilnie prosząc, przypieczętowywała naszą zgodę. Marcela była prześlicznym, miłym dzieckiem. Jeszcze teraz pamiętam jej piękną twarzyczkę. Niestety, biedna Marcelka.

— A więc umarła? — zapytał Filip.

— Umarła. Tak, umarła. Ale w jaki sposób? Nie powinienem jednak wybiegać naprzód. Pozwól mi, Filipie, opowiedzieć po porządku moją historię.

— Czekaliśmy jakiś czas, ale nie doleciał nas odgłos strzału i mój starszy brat powiedział: „Ojciec poszedł za wilkiem, więc nieprędko wróci. Marcelko, obmyjemy ci buzię z krwi, wyjdziemy z tego kąta i pogrzejemy się przy ogniu”.

Tak też uczyniliśmy i siedzieliśmy przy kominku prawie do północy, zastanawiając się co chwila, w miarę jak czas upływał, dlaczego ojciec nie wraca. Nie przychodziło nam na myśl, że jest w niebezpieczeństwie, myśleliśmy, że musiał bardzo długo ścigać wilka. „Wyjrzej, czy ojciec nie wraca”, powiedział Cezar idąc ku drzwiom. „Uważaj, braciszku”, upomniała go Marcela, „wilki muszą być teraz blisko, a nie potrafimy ich zabić”. Brat uchylił drzwi bardzo ostrożnie, tylko na parę cali, i wyjrzał na dwór. „Nic nie widzę”, oznajmił po jakimś czasie i wrócił do nas, do ognia. „Nie jedliśmy wieczerzy”, zauważyłem, bo zwykle ojciec przyrządzał mięso zaraz po przyjściu do domu, a w czasie jego nieobecności mieliśmy tylko resztki z poprzedniego dnia.

— „Wiesz co, Cezar”, powiedziała Marcela,

„jak ojciec wróci z polowania, to będzie zadowolony, kiedy dostanie coś na wieczerzę. Ugotujemy dla niego i dla siebie". Cezar włożył na stołek i ściągnął kawał mięsa. Nie pamiętam już, czy to była sarnina, czy też mięso niedźwiedzia, ale odkrajaliśmy tyle co zwykle i zabraliśmy *się* do przyrządzania go tak, jak żeśmy to zawsze robili pod okiem ojca. W oczekiwaniu na jego przyjście nakładaliśmy mięso na talerze ustawione przy ogniu, gdy wtem usłyszeliśmy granie rogu. Zaczęliśmy nasłuchiwać. Z dworu dochodził jakiś hałas i po chwili wszedł ojciec wprowadzając do izby młodą niewiastę i dużego, ciemnowłosego mężczyznę w myśliwskim stroju.

Może lepiej, żebym już teraz opowiedział to, o czym dowiedziałem się w wiele lat później. Kiedy ojciec wyszedł z domu, zobaczył o jakiejś trzydziści jardów od siebie dużego, białego wilka. Gdy zwierzę go dostrzegło, zaczęło się powoli cofać mrużąc i warcząc. Ojciec szedł za nim, wilk biegł, ale trzymał się stale w pewnej odległości. Ojciec nie lubił strzelać, dopóki nie był zupełnie pewny skuteczności swojego strzału. W ten sposób przez pewien czas posuwali się coraz dalej w głąb lasu, wilk to pozostawiał ojca daleko w tyle, to znów zatrzymywał się i warczał wyzywająco. Kiedy ojciec się zbliżał, zwierzę znowu odbiegało szybciej.

Ojcu bardzo zależało na zastrzeleniu tego wilka, bo białe wilki zdarzają się bardzo rzadko. Ścigał go więc przez kilka godzin, ciągle wspinając się zboczem pod górę. Trzeba ci wiedzieć, Filipie, że w tych górach są dziwne miejsca, o których powiadają — a moja historia dowiedzie ci, iż słusznie powiadają — że zamieszkuje je złe duchy. Miejsca te są dobrze znane myśliwym, którzy zawsze je omijają. Otóż co do jednego z tych miejsc, polany w sosno-

wym lesie nad naszym domem, ostrzegano ojca, że jest pod tym względem niebezpieczne. Czy nie dawał wiary tym dziwnym opowieściom, czy też w zawziętej pogoni za wilkiem po prostu je zlekceważył, nie wiem. Pewne jest to, że biały wilk zwabił go na tę polanę, po czym jak gdyby zwolnił biegu. Ojciec zbliżył się, podszedł do niego tuż, przyłożył fuzję do ramienia i już miał wystrzelić, gdy nagle... wilk zniknął. Pomyślał wtedy, że śnieg leżący na ziemi musiał mu zaćmić wzrok i opuścił strzelbę, aby rozejrzeć się za wilkiem. Wilka nie było. W jaki sposób ojciec mógł nie zauważyć jego ucieczki przez rozległą polanę, tego nie pojmował. Zawstydzony swoim niepowodzeniem, już miał zawrócić w stronę domu, gdy wtem usłyszał dalekie granie rogu. Zdumienie wywołane tym dźwiękiem — o takiej porze i na takim pustkowiu — kazało mu chwilowo zapomnieć o rozczarowaniu i przykuło do miejsca. W chwilę później róg zagrał po raz drugi, i to w niewielkiej odległości. Ojciec wciąż stał bez ruchu i nasłuchiwał. Granie rogu rozległo się po raz trzeci. Zapomniałem nazwy tego sygnału, który, jak ojciec dobrze wiedział, oznaczał, że ktoś zbłądził w puszczy. Po dłuższej chwili ojciec ujrzał wyjeżdżającego na polanę i zbliżającego się jeźdźca; za nim siedziała na koniu niewiasta. Zrazu przypomniały się ojcu dziwne opowieści o nadprzyrodzonych istotach nawiedzających rzekomo te góry. Kiedy jednak tamci podjechali bliżej, przekonał się z zadowoleniem, że są takimi samymi ludźmi jak on. Zatrzymali się i jeździec zagadnął ojca: „Towarzyszu myśliwy, zapóźniliście się w boru, tym szczęśliwiej dla nas. Jedziemy z daleka, uchodzimy w obawie o życie, na które nastają nasi wrogowie. Dzięki tym górcom zdołaliśmy uniknąć pościgu, jeśli jednak nie znaj-

dziemy schronienia i posiłku, niewiele nam z tego przyjdzie i zginiemy z głodu i zimna jeszcze tej nocy. Moja córka, która siedzi za mną na koniu, jest już ledwie żywa. Rzeknijcie, czy możecie nam pomóc w tym ciężkim położeniu?"

— „Mój dom jest o parę mil stąd" — odpowiedział ojciec — „ale niewiele mogę wam zaoferować poza schronieniem przed chłodem. Choć mam tak niewiele, przecie czym chata bogata, tym rada. Wolno wiedzieć, skąd przybywacie, panie?"

— „Tak, przyjacielu, to nie jest już tajemnicą. Uciekliśmy z Siedmiogrodu, gdzie niebezpieczeństwo groziło zarówno czci mojej córki, jak i mojemu życiu".

Wiadomość ta wystarczyła, aby obudzić w sercu ojca życzliwość i zainteresowanie. Przypomniawszy sobie własną ucieczkę, przypomniał utratę czci swojej żony i tragedię, którą się to skończyło. Natychmiast zaoferował serdecznie obcym wszelką pomoc, na jaką było go stać.

— „Wobec tego nie traćmy czasu, zacny panie" — odparł jeździec. — „Córka przemarzła do szpiku kości i nie wytrzyma już wiele dłużej w tym mroźnym powietrzu".

— „Jedźcie za mną" — powiedział ojciec prowadząc ich w stronę swego domu. — „Dałem się zwieść aż tutaj w pogoni za dużym białym wilkiem. Podeszedł pod samo okno mojej chaty, inaczej nie wychodziłbym z domu tak późno".

— „Ten wilk minął nas akurat w chwili, kiedy wyjeżdżaliśmy z lasu" — odezwała się srebrzystym głosem niewiasta.

— „O mało do niego nie strzeliłem" — dodał obcy myśliwy — „ponieważ jednak wyświadczył nam tak wielką przysługę, rad jestem, że pozwoliłem mu uciec".

Ojciec szedł szybkim krokiem, toteż w niepełna półtorej godziny przybyli na miejsce i, jak już powiedziałem, weszli do izby.

— „Zdaje się, że trafiliśmy w samą porę”, zauważył czarny myśliwy zbliżając się do ognia i węsząc zapach pieczonego mięsiwa, a zarazem przyglądając się memu bratu, siostrze i mnie. „Macie, panie, młodych kucharzy w domu”. „Cieszę się, że nie będziemy musieli czekać”, odpowiedział ojciec. „Podejdźcie bliżej, pani, i usiądźcie przy ogniu, musicie się ogrzać po tej jeździe na mrozie”. „A gdzie mogę postawić mojego konia?”, zapytał myśliwy. „Sam się nim zajmę”, odparł ojciec i wyszedł z domu.

O tej niewieście muszę jednak opowiedzieć osobno. Była młoda, wyglądała na dwadzieścia lat. Ubrana była w suknię podróżną, suto obramowaną białym futrem, a na głowie miała kołpaczek z białych gronostajów. Twarz jej odznaczała się niezwykłą pięknnością, przynajmniej mnie się tak zdawało, ale i ojciec mówił później to samo. Jej lniane włosy błyszcząły i lśniły jasno jak lustro. Usta, choć nieco szerokie, gdy je otwierała, ukazywały najbardziej olśniewające zęby, jakie zdarzyło mi się widzieć. Ale w oczach, mimo że były jasne, miała coś takiego, co nas, dzieci, przejmowało lekkiem. Takie były niespokojne i rzucały ukradkowe spojrzenia. Wówczas nie umiałbym powiedzieć dlaczego, ale wyczuwałem w jej oczach jakieś okrucieństwo. Kiedy przyzwała nas do siebie ruchem ręki, podeszliśmy drżąc ze strachu. A jednak była piękna, bardzo piękna. Przemawiała mile do mojego brata i do mnie, poklepała nas po głowie i pogłaskała. Marcela jednak nie chciała się do niej zbliżyć. Przeciwnie, odsunęła się nieznacznie i położyła się do łóżka nie czekając na wieczerzę,

do której tak jej było pilno pół godziny wcześniej.

Umieściwszy konia w zamkniętej szopie, ojciec po chwili wrócił i podał na stół wieczerzę. Po skończonym posiłku poprosił młodą panią, aby zajęła jego łóżko, gdyż on sam posiedzi wraz z jej ojcem przy ogniu. Wahała się chwilę, ale w końcu zgodziła się, a ja i mój brat położyliśmy się w drugim łóżku z Marcelą, bo do tego czasu zawsze sypialiśmy razem.

Nie mogliśmy zasnąć. Było coś tak niezwykłego nie tylko w widoku obcych ludzi, ale i w tym, że ci ludzie mieli spać u nas w domu, że wytrąciło nas to z równowagi. Co do biednej Marcelin, to leżała cichutko, ale zauważyłem, że drżała przez całą noc i czasem wydawało mi się, że tłumi szlochanie. Ojciec wyciągnął jakieś trunki, których rzadko używał, i obaj z obcym myśliwym siedzieli przed ogniem gwarząc i popijając. Nawet najcichszy szept dolatywał do naszych uszu, tak bardzo wyostrzona była nasza ciekawość.

— „Więc powiadacie, panie, żeście przybyli z Siedmiogrodu?” — zagadnął mój ojciec.

— „Tak, właśnie stamtąd” — odparł zbieg.

— „Byłem poddanym arystokratycznego rodu. Mój pan nalegał, abym oddał moją śliczną córkę na pastwę jego żądz. Skończyło się na tym, że wpakowałem mu w pierś na parę cali głęboko ostrze mojego kordelasa”.

— „Jesteśmy rodakami i towarzyszami niedoli” — wyrzekł ojciec ujmując dłoń myśliwego i ściskając ją serdecznie.

— „Czyżbyście pochodzili z naszego kraju?”

— „Tak, i ja także zbiegłem, aby ratować życie. Ale moja historia jest smutna”.

— „Jak was zowią?” — zapytał myśliwy.

— „Krantz”.

— „Co? Krantz z...? Opowiadano mi o was,

nie musicie na nowo rozdrapywać waszej rany powtarzając mi tę historię. Witam was, witam z całego serca, zacny krewniaku. Mogę tak powiedzieć, gdyż jestem wasz cioteczno-cioteczny — Wilfred Barnsdof" — oświadczył myśliwy podnosząc się i ściskając ojca.

Napełnili po brzegi rogi do picia i przepili do siebie niemieckim obyczajem. Dalej rozmawiali już przyciszonym głosem. Udało nam się zrozumieć tylko tyle, że nasz nowy krewniak i jego córka mają zamieszkać w naszym domu, przynajmniej chwilowo. Po jakiejś godzinie obaj wyciągnęli się na krzesłach i wyglądało, jakby zasnęli.

— „Marcelko, czy słyszysz, kochanie?” — zapytał po cichu mój brat.

— „Tak — odparła Marcela szeptem — „słyszałam wszystko. Och, braciszku, nie mogę patrzeć na tę niewiastę, tak się boję”!

Brat nic nie odpowiedział i wkrótce wszyscy troje usnęliśmy mocnym snem.

Gdy obudziliśmy się nazajutrz rano, córka myśliwego już wstała. Wydała mi się jeszcze piękniejsza niż przedtem. Podeszła do Marcelki i pogłaskała ją po głowie. Dziecko wybuchnęło płaczem i szlochało tak, jakby miało mu pęknąć serce.

Żeby cię nie znudzić nazbyt długim opowiadaniem, powiem, że myśliwy i jego córka zamieszkali w naszym domku. Ojciec wychodził z nim co dzień na polowanie, zostawiając z nami Krystynę. Wykonywała wszystkie prace w gospodarstwie domowym, była bardzo miła dla nas, dzieci, i stopniowo nawet niechęć Marcelki zaczęła ustępować. Ale naprawdę wielka zmiana zaszła w moim ojcu. Zdawało się, że przewyciężył już swoją niechęć do niewiast i był dla Krystyny uprzedzająco grzeczny. Często, kiedy jej ojciec i my poszliśmy już spać,

siadywał z nią przy ogniu i rozmawiali z sobą po cichu. Powinienem być wspomnieć, że ojciec i myśliwy Wilfred spali w drugiej części domu, a łóżko, które przedtem zajmował ojciec i które stało w tej samej izbie co nasze, odstąpił Krystynie. Goście mieszkali u nas od jakichś trzech tygodni, gdy pewnego wieczoru posłano dzieci spać, a dorośli urządzili naradę przy ogniu. Ojciec poprosił o rękę Krystyny, na co uzyskał zgodę jej samej i Wilfreda. Później rozmawiali we troje, a przebieg tej rozmowy, o ile mogę sobie przypomnieć, był następujący:

— „Możecie wziąć moją córkę razem z moim błogosławieństwem” — mówił Wilfred — „a ja opuszczę was i poszukam sobie jakiegoś innego miejsca do zamieszkania, mniejsza z tym gdzie”.

— „Dlaczego nie mielibyście zostać tutaj, Wilfredzie?”

— „Nie, nie, jestem potrzebny gdzie indziej. Niech wam to wystarczy i nie pytajcie o więcej. Macie moją córkę”.

— „Dziękuję wam za nią. Będę ją szanował jak należy. Ale jest jeden kłopot...”

— ■ „Wiem, co chcecie powiedzieć. W tej dzikiej okolicy nie ma księdza, to prawda, ani żadnego przedstawiciela prawa, który mógłby was złączyć węzłem małżeńskim. Mimo to jakiś obrzęd musi się odbyć, żeby zadowolić ojca. Czy zgodzicie się poślubić Krystynę według mojego obrządku? Jeśli tak, to zaślubię was zaraz”.

— „Zgadzą się” — odparł ojciec.

— „Weźcie ją zatem za rękę. A teraz, panie, przysięgajcie”.

— „Przysięgam” — powtórzył ojciec.

— „...na wszystkie duchy gór Harcu...”

— „Nie, dlaczegóż nie na Boga?” — przerwał mu ojciec.

— „Dlatego, że nie podoba mi się inaczej” — odparł Wilfred. — „Jeśli wolę taką przysięgę, może mniej wiążącą niż inna, nie będziecie mi się chyba sprzeciwiać?”

— „Dobrze, niechaj więc będzie taka, jak się wam podoba. Chcecie mnie zmusić do przysięgi na coś, w co nie wierzę?”

— „A jednak wielu tak czyni, choć z pozoru są chrześcijanami” — rzekł na to Wilfred. — „Więc jak? Chcecie wziąć ślub czy też mam zabrać córkę ze sobą?”

— „Zaczynajcie” — mruknął ojciec zniecierpliwiony.

— „Przysięgam na wszystkie duchy gór Harcu, na całą ich moc czynienia dobra lub zła, że biorę sobie Krystynę za ślubną żonę, że będę ją zawsze ochraniał i kochał, że nigdy nie podniosę przeciwko niej ręki, aby ją ukrzywdzić”.

Ojciec powtórzył te słowa za Wilfredem.

— „A jeśli nie dotrzymam tego ślubowania, niech wszystka zemsta duchów spadnie na mnie i na moje dzieci. Niechaj zginą rozszarpane przez sępy, wilki lub innego leśnego zwierza. Niechaj ciało ich zostanie oderwane od kości, a kości niechaj zbieleją w puszczy. Na to wszystko przysięgam”.

Przy ostatnich słowach ojciec się zawahał. Marcelka nie mogła się powstrzymać i kiedy ojciec powtórzył ostatnie zdanie, wybuchnęła płaczem. Ten niespodziewany zgrzyt wzburzył całe towarzystwo, a zwłaszcza ojca. Zbeształ ostro córeczkę, która tłumiała łkanie chowając twarz w pościeli.

Tak się odbył drugi ślub mego ojca. Naza jutrz rano myśliwy Wilfred dosiadł konia i odjechał.

Ojciec wrócił do swego łóżka, które stało w tej samej izbie co nasze, i sprawy potoczyły się

dalej podobnie jak przed ślubem, tylko nasza nowa macocha nie okazywała nam już wcale życzliwości. Kiedy ojca nie było w domu, często nas nawet biła, szczególnie Marcelkę, a w jej oczach zapalały się dziwne błyski, gdy chciała spoglądać na śliczne i miłe dziecko. Pewnej nocy Marcelka obudziła mnie i brata.

— „Co się stało?” — zapytał Cezar.

— „Ona wyszła na dwór” — wyszeptła dziewczynka.

— „Wyszła na dwór!”

— „Tak, wyszła na dwór, w samej nocnej koszuli” — odparło dziecko. — „Widziałam, jak wstała z łóżka, popatrzyła na ojca, czy śpi, a potem wyszła na dwór”.

Nie mogliśmy zrozumieć, co ją skłoniło do wstania z łóżka i wyjścia na dwór bez żadnego okrycia na taki okropny mróz, na taki głęboki śnieg. Leżeliśmy nie śpiąc i po jakiejś godzinie usłyszeliśmy warczenie wilka tuż pod oknem.

— „Wilk” — powiedział Cezar. — „Rozszarpie ją w kawałki”.

— „Och, nie!” — wykrzyknęła Marcelka.

W parę minut później zjawiała się macocha.

Była w nocnej koszuli, tak jak mówiła Marcela. Zamknęła drzwi na klamkę nie robiąc najmniejszego hałasu, podeszła do widdra z wodą, umyła sobie twarz i ręce, po czym wśliznęła się do łóżka, gdzie leżał ojciec.

Drżeliśmy wszyscy troje. Nie bardzo wiedzieliśmy dlaczego, ale postanowiliśmy czuwać następnej nocy. Tak też uczyniliśmy, i to nie tylko najbliższej nocy, lecz także przez szereg dalszych. Zawsze mniej więcej o tej samej godzinie macocha wstawała i wychodziła z domu, a po jej wyjściu niezmiennie słyszeliśmy pod oknem warczenie wilka i zawsze widzieliśmy,

jak wróciwszy myła się przed pójściem do łóżka. Zauważyliśmy też, że rzadko zasiadała do posiłków, a jeśli zasiadała, to jadła jakby niechętnie. Za to kiedy brała z powały mięso, aby je przyrządzić na obiad, często wkładała ukradkiem do ust surowy kawałek.

Mój brat Cezar był odważnym chłopcem. Nie chciał nic mówić ojcu, zanim nie dowie się czegoś więcej. Postanowił wyjść za nią na dwór i przekonać się, co ona tam robi. Marcela i ja usiłowaliśmy go odwieść od tego zamiaru, ale on nie dał sobą powodować. Już następnego wieczoru położył się w ubraniu i jak tylko macocha wyszła, wyskoczył z łóżka, chwycił fuzję ojca i podążył za nią.

Możesz sobie wyobrazić, jak bardzo byliśmy niespokojni, Marcela i ja, w czasie jego nieobecności. Po paru minutach usłyszeliśmy huk wystrzału. Ojciec się nie obudził, a my leżeliśmy drżąc ze strachu. W chwilę potem zobaczyliśmy macochę, jak wchodziła do izby. Miała zakrwawioną koszulę. Szybko położyłem rękę na ustach Marceli, żeby nie krzyknęła, choć sam byłem bardzo wystraszony. Macocha zbliżyła się do posłania ojca, spojrzała, czy śpi, a potem podeszła do kominka i rozdmuchała żar, aż buchrnął płomień.

— „Kto tu jest?” — wymamrotał ojciec ocknąwszy się ze snu.

— „Spij spokojnie, kochanie” — odpowiedziała macocha — „to tylko ja. Rozpaliłam ogień, żeby zagrzać trochę wody. Nie całkiem dobrze się czuję”.

Ojciec przewrócił się na drugi bok i wkrótce zasnął, ale my śledziliśmy macochę. Przebrała się w świeżą koszulę, a tę, którą miała na sobie przedtem, wrzuciła w ogień. Wtedy spostrzeżliśmy, że jej prawa noga mocno krwawi, jakby od postrzału. Zabandażowała ją, po czym

ubrała się i przesiadła przy ogniu aż do świtu.

Biedna Marcelka, serduszko stukalo jej tak szybko, gdy przyciskała się do mego boku. Podobnie biło i moje serce. Gdzie był nasz brat Cezar? W jaki inny sposób macocha mogła zostać raniona, jeśli nie z jego strzelby? W końcu ojciec wstał i dopiero wówczas zapytałem:

— „Ojczy, gdzie jest Cezar”?

— „Cezar”? — zdziwił się. — „Jak to, a gdzie miałby być?”

— „Boże miłosierny!” — wykrzyknęła macocha. — „W nocy, kiedy nie mogłam zasnąć, wydało mi się, że ktoś otwierał drzwi z klamki. Ach, kochany mężu, a co się stało z twoją strzelbą?”

Ojciec rzucił okiem na ścianę nad kominkiem i zobaczył, że nie ma tam jego fuzji. Przez chwilę wydawał się zbity z tropu, ale potem chwycił szeroką siekierę i wyszedł z domu bez słowa.

Nie zabawił długo. Już po paru minutach wrócił niosąc w ramionach poszarpane ciało mego nieszczęśliwego brata. Położył je na podłodze i zasłonił sobie twarz dłońmi.

Macocha podniosła się i patrzyła na zwłoki, podczas gdy Marcela i ja rzuciliśmy się na ziemię obok ciała, płacząc i gorzko szlochając.

— „Wracajcie do łóżka, dzieci” — powiedziała ostro. — „Mężu, twój syn widocznie wziął fuzję, żeby zastrzelić wilka, ale zwierzę było silniejsze niż on. Biedny chłopiec, drogo zapłacił za swoją porywczosć”.

Ojciec milczał. Chciałem się odezwać, powiedzieć wszystko, ale Marcela, widząc, co zamierzam uczynić, przytrzymała mnie za rękę i spojrzała tak błagalnie, że zaniechałem mojego zamiaru.

Ojciec pozostawał więc nadal w błędnym

mniemaniu, ale Marcela i ja, choć nie mogliśmy tego pojąć, wiedzieliśmy, że macocha miała coś wspólnego ze śmiercią naszego brata.

Tego samego dnia ojciec wyszedł z domu i wykopał grób, a kiedy pochował ciało, ułożył na tym miejscu stos kamieni, aby wilki nie mogły go odgrzebać.

Nieszczęście to było dla mego biednego ojca bardzo ciężkim wstrząsem. Przez kilka dni nie wychodził wcale na polowanie, tylko od czasu do czasu przeklinał strasznie wilki i obiecywał im zemstę.

W czasie tej jego żałoby macocha nadal podejmowała swoje nocne wyprawy, z tą samą regularnością co przedtem.

W końcu któregoś dnia ojciec zdjął fuzję znad kominka i udał się do lasu. Niebawem jednak wrócił, bardzo zmieniony na twarzy.

— „Krystyno” — zawołał — „czy uwierzysz, że wilki... bodaj szczyło całe to wilcze plemię... odgrzebały ciało mego biednego synka i nie zostało z niego nic oprócz kości?”

— „To straszne” — odparła macocha.

Marcela spojrzała na mnie, a ja wyczytałem z tego spojrzenia wszystko, co chciałaby wyrazić słowami..

— „Ojczy, co noc pod oknem warczy wilk” — powiedziałem.

— „Co, naprawdę? Dlaczego mi o tym nie mówiłeś, synku? Jak usłyszysz następnym razem, to mnie obudź”.

Zobaczyłem, że macocha się odwróciła. W jej oczach migotały ogniste błyski, zgrzytnęła zębami.

Ojciec znów wyszedł na dwór i ułożył większy stos kamieni w miejscu, gdzie ponownie zakopał pozostawione przez wilki szczątki mego biednego brata. Tak wyglądał pierwszy akt tragedii.

Nadeszła wiosna, śnieg stopniał i wolno nam było wychodzić z domu. Nie chciałem się rozstawać nawet na chwilę z moją kochaną siostrzyczką, do której od czasu śmierci brata przywiązałem się jeszcze serdeczniej niż przedtem. Bałem się zostawić ją samą z macochą, która jak gdyby odczuwała specjalną przyjemność w dokuczaniu Marceli. Ojciec pracował teraz na swoim kawałku roli, a ja mogłem mu już trochę pomagać.

Podczas gdy obaj byliśmy zajęci pracą, Marcela zwykle siadywała przy nas, a macocha zostawała w domu sama. Powinienem być wspomnieć, że w miarę postępów wiosny nocne spacery macochy zdarzały się coraz rzadziej i że nie słyszeliśmy już ani razu warczenia wilka pod oknem od czasu, gdy powiedziałem o tym ojcu.

Pewnego dnia, kiedy ojciec był ze mną w polu, a Marcela dotrzymywała nam towarzystwa, przyszła macocha i powiedziała, że idzie do lasu, aby nazbierać ziół, które potrzebne były ojcu. Kazała Marceli iść do domu i przypilnować obiadu. Marcela poszła, a macocha wnet znikła w lesie, zmierzając w kierunku przeciwnym do tego, w którym znajdował się dom, tak że my z ojcem zostaliśmy jak gdyby między nią a Marcelą.

Mniej więcej po godzinie przestraszyły nas krzyki dochodzące od strony domu, najwyraźniej krzyki Marcelki. „Ojcze, Marcela się oparzyła” — zawołałem rzucając łopatę. Ojciec cisnął swoją i obaj pobiegliśmy do domu. Zanim zdążyliśmy dobiec do drzwi, wypadł z nich wielki biały wilk i uciekł z niezwykłą szybkością. Ojciec nie miał przy sobie broni. Wpadł do domu i ujrzał tam naszą Marcelkę już konającą. Ciało jej było straszliwie poszarpane, a lejąca się z niego krew utworzyła na podło-

dze dużą kałużę. Pierwszym odruchem ojca było chwycić strzelbę i ścigać wilka, ale ten okropny widok powstrzymał go. Ukląkł przy swoim umierającym dziecku i wybuchnął płaczem. Marcela zdołała już tylko przez parę sekund popatrzeć na nas z czułością, po czym śmierć zamknęła jej oczy.

Ojciec i ja klęczeliśmy jeszcze nad ciałem mojej biednej siostrzyczki, gdy weszła macocha. Okazała duże przejęcie na widok tej przerażającej sceny, ale nie zauważyłem, aby się wzdrygnęła ujrzawszy krew, jak by to uczyniła prawie każda niewiasta.

— „Biedne dziecko” — powiedziała — „to musiał być ten wielki biały wilk, który przed chwilą przebiegł obok mnie i tak mnie przstraszył. Ona już nie żyje, mężu”.

— „Wiem, wiem o tym” — wykrzyknął ojciec w ostatecznej udęce.

Myślałem, że ojciec już nigdy się nie otrząśnie z przygnębienia po tej drugiej tragedii. Gorzko płakał nad ciałem swego niewinnego dziecka i przez kilka dni nie chciał go złożyć do grobu, choć macocha wielokrotnie go o to prosiła. Wreszcie ustąpił. Wykopał grób tuż obok mogiły brata i podjął wszelkie środki ostrożności, „aby wilki nie mogły naruszyć szczątków Marceli.

Czułem się teraz naprawdę nieszczęśliwy leżąc sam w łóżku, które przedtem dzieliłem z bratem i siostrą. Nie potrafiłem się oprzeć myśli, że macocha była wmieszana w śmierć ich obojga, choć nie mogłem sobie wytłumaczyć, w jaki sposób. Ale teraz już się jej nie bałem, moje dziecięce serce było przepełnione nienawiścią i żądzą zemsty.

W noc po pochowaniu Marcelki, kiedy leżałem nie śpiąc, zobaczyłem, że macocha wstała i wyszła z domu. Oczekałem jakiś czas, po-

tem ubrałem się, uchyliłem drzwi i wyjrzałem na dwór. Księżyc świecił jasno, widziałem więc miejsce, gdzie zostali pochowani brat i siostra. Jakież było moje przerażenie, kiedy spostrzegłem macochę zajętą odwalaniem kamieni z mogiły Marceli.

Miała na sobie białą nocną koszulę, a blask księżyca padał prosto na nią. Odgrzebywała kamienie rękami i odrzucała je za siebie z zamiętością drapieżnego zwierzęcia. Minęło trochę czasu, zanim się opamiętałem i mogłem zdecydować, co robić. Spostrzegłem, że dokopała się wreszcie do ciała i wyciągnęła je na brzeg dołu. Nie mogłem już dłużej wytrzymać, podbiegłem do ojca i obudziłem go.

— „Ojcze, ojcze” — zawołałem — „ubierajcie się i weźcie fuzję!”

— „Co!” — krzyknął ojciec. — „Są wilki, tak?”

Wyskoczył z łóżka, narzucił ubranie i w tym wzburzeniu jakby nie zauważył nieobecności żony. Gdy tylko był gotów, otworzyłem drzwi. Wyszedł na dwór, a ja za nim.

Wyobraź sobie jego przerażenie, gdy idąc w stronę grobu ujrzał (nieprzygotowany na taki widok) nie wilka, lecz swoją żonę w nocnej koszuli, przykucniętą na czworakach przy ciele mojej siostry, odrywającą zębami duże kawały mięsa i pożerającą je tak żarłocznie jak wilk. Była tym zbyt pochłonięta, aby zauważyć, że się zbliżamy. Ojciec wypuścił z rąk strzelbę. I jemu, i mnie włosy z jeżyły się na głowie. Dyszał ciężko, a potem wstrzymał na chwilę oddech. Podniosłem strzelbę i wcisnąłem mu ją do ręki. Wydało mi się, że nagromadzona wściekłość nagle przywróciła mu podwójne siły. Wycelował i wypalił. Nędznica, którą przyhołubił we własnym domu i w sercu, padła na ziemię z głośnym skowytym.

— „Święty Boże!” — wykrzyknął ojciec, gdy rozległ się strzał, i osunął się na ziemię zemdłony.

Kłęczałem przy nim jakiś czas, zanim wrócił do przytomności. — „Gdzie jestem?” — zapytał. — „Co się stało? Ach, tak, tak, tak! Przypominam sobie wszystko. Przebacz mi, Boże!”

Wstał i podeszliśmy do grobu. Jakież było znów nasze osłupienie i przerażenie, kiedy zamiast martwego ciała macochy, jak się tego spodziewaliśmy, oczy nasze ujrzały leżącą na szczątkach mojej nieszczęsnej siostrzyczki dużą białą wilczycę.

— „Biała wilczyca!” — wykrzyknął ojciec. — „Biała wilczyca, która mnie zwabiła w głąb lasu. Teraz wszystko rozumiem. Miałem do czynienia z duchami gór Harcu”.

Przez długą chwilę stał pogrążony w milczeniu i głębokiej zadumie. Nagle kopnął łeb martwego zwierzęcia z nieprzytomną wściekłością, podniósł ostrożnie ciało mojej siostry, złożył je z powrotem do grobu, przysypał ziemią i przykrył kamieniami jak przedtem. Wrócił do domu, zamknął drzwi i upadł na łóżko. Ja uczyniłem to samo, byłem bowiem odrętwiały z wrażenia.

Wczesnym rankiem wyrwało nas obu ze snu głośnie kołatanie do drzwi. Do izby wdarł się myśliwy Wilfred.

— „Moja córka... człowieku... moja córka! Gdzie jest moja córka?” — wrzeszczał w uniesieniu.

— „Jest tam, gdzie być powinna ta nędznica, diablica” — odkrzyknął ojciec zrywając się z pościeli, ogarnięty nie mniejszą pasją. — „Tam, gdzie powinna być, w piekle. Precz stąd, bo z tobą może być gorzej!”

— „Ha, ha!” — roześmiał się myśliwy. — „Chciałbyś zrobić coś złego potężnemu ducho-

wi gór Harcu? Ty, nędzny śmiertelnik, zmuszony do poślubienia wilkołaka?"

— „Precz, demonie! Nie boję się ciebie ani twojej mocy.”

— „A jednak ją odczujesz. Przypomnij sobie swoją przysięgę, uroczystą przysięgę, że nigdy *nie* podniesiesz ręki przeciwko niej, aby ją ukrzywdzić”.

— „Nie zawierałem żadnych paktów ze złymi duchami”.

— „Owszem, zawarłeś. A gdybyś nie dotrzymał swego ślubowania, miała cię osiągnąć zemsta tych duchów. Twoje dzieci miały rozszarpać sępy, wilki...”

— „Precz, precz, demonie!”

— „...a ich kości miały zbieleć w puszczy. Ha, ha!”

Oszalały z wściekłości, ojciec porwał siekierę i unióś ją nad głową Wilfreda, aby zadać mu cios.

— „Na wszystko to przysięgam” — dokończył myśliwy drwiącym tonem.

Siekiera opadła, ale jej ostrze przeszło przez ciało myśliwego bez oporu, ojciec zaś stracił równowagę i upadł ciężko na podłogę.

— „Śmiertelny człowieku” — rzekł myśliwy przestępując przez leżącego — „mamy władzę tylko nad tymi, którzy popełnili morderstwo. Ty jesteś winien podwójnego morderstwa. Poniesiesz karę wymienioną w małżeńskiej przysiędze. Dwoje twoich dzieci zginęło, trzecie dopiero ma pójść ich śladem. A pójdzie na pewno, bo twoja przysięga została zapisana. Idź. Zabić cię byłoby dobrodziejstwem. Twoja kara to to, że będziesz żył dalej”.

Z tymi słowy duch zniknął. Ojciec podniósł się z podłogi, przytulił mnie czule i ukląkł do modlitwy.

Nazajutrz rano opuścił domek na zawsze. Za-

brał mnie z sobą i zwrócił swe kroki ku Holandii, dokąd dotarliśmy bez przygód. Miał przy sobie trochę pieniędzy, ale już w kilka dni po przybyciu do Amsterdamu zachorował na zapalenie mózgu i umarł mając nieprzytomnie. Umieszczono mnie w sierocińcu, a później wysłano na morze jako majtka. Znasz teraz moje dzieje. Rzecz w tym, czy dosięgnie mnie kara wynikająca z przysięgi ojca. Ja sam jestem święcie przekonany, że poniosę ją tak czy inaczej.

Dwudziestego drugiego dnia podróży zaczęli wysoki brzeg południowej Sumatry. Ponieważ nie było widać żadnego okrętu, postanowili trzymać kurs przez cieśninę Malakka, płynąc w kierunku Pulau Penang, dokąd spodziewali się przybyć po siedmiu lub ośmiu dniach, gdyż ich stateczek trzymał się ostro do wiatru. Wskutek ciągłego przebywania na słońcu Filip i Krantz byli tak brązowi, że ze swymi długimi brodami i w muzułmańskich ubiorach mogli z powodzeniem uchodzić za krajowców. Żeglowali wystawieni całymi dniami na palące promienie słońca, spali w nocnej rosie, ale zdrowie ich wcale z tego powodu nie ucierpiało. Od kilku dni jednak, odkąd opowiedział Filipowi historię swojej rodziny, Krantz był milczący i smutny. Znikła właściwa mu pogoda ducha i Filip często pytał, co jest tego przyczyną. Kiedy weszli w cieśninę Malakka, Filip zaczął mówić o tym, co powinni uczynić po przybyciu do Goa. Na to Krantz odpowiedział poważnie:

— Od kilku dni mam przecucie, że nie zobaczą tego miasta.

— Jesteś chory, Krantz.

— Nie, jestem zdrow na ciele i umyśle. Próbowałem się otrząsnąć z tego przecucia, ale nadaremnie. Jakiś ostrzegawczy głos mówi mi

nieustannie, że nie będę już z tobą długo. Filipie, czy zechcesz spełnić jedno moje życzenie? Mam przy sobie złoto, które może ci się przydać. Bądź tak dobry, weź je i schowaj razem ze swoim.

— Co za bzdura, Krantz!

— To nie bzdura, Filipie. Czy ty nie miałeś ostrzeżeń? Czemuż ja miałbym ich nie mieć? Wiesz, że z natury jestem mało bojaźliwy i nie lękam się śmierci, ale przecucie, o którym ci mówiłem, z każdą godziną staje się coraz bardziej natarczywe. To jakiś dobry duch chce mnie ostrzec, abym się przygotował do tamtego świata. Niechaj tak będzie. Żyję na tym świecie dostatecznie długo, aby go opuścić bez żalu, choć przyznaję, że rozstanie z tobą i Aminę, jedynymi teraz drogimi mi osobami, jest dla mnie bolesne.

— Krantz, czy to się nie bierze z przemęczenia? Pomyśl, ile wysiłku cię kosztowały te wszystkie przeżycia w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Czyż tego nie dosyć, aby popaść w równie ciężkie przygnębienie? Wierz mi, drogi przyjacielu, że na tym to polega.

— Chciałbym, aby tak było, ale wiem, że jest inaczej. I odczuwam zadowolenie na myśl, że mam opuścić ten świat. Zadowolenie płynące z innego przecucia, które zaprzęta mi głowę nie mniej mocno.

— Jakiego przecucia?

— Trudno mi powiedzieć, ale to się wiąże z tobą i z Aminę. We snach widziałem, jak się znów spotykacie. Zdawało mi się jednak, że część twoich ciężkich doświadczeń została celowo zasłonięta przed moim wzrokiem ciemnymi chmurami. Zapytałem: „Czy mogę zobaczyć, co się za nimi kryje?” Niewidzialna istota odpowiedziała mi: „Nie, albowiem byłbyś nie-szczęśliwy. Zanim nastąpią te ciężkie próby,

ty już odejdziesz ze świata". Wówczas podziękowałem Bogu i pogodziłem się z losem.

— To są urojenia wyczerpanego umysłu — upierał się Filip. — Że moim przeznaczeniem jest cierpieć, to możliwe, ale dlaczego miałaby cierpieć Aminę albo dlaczego ty, młody, w pełni zdrowia i sił, miałbyś nie pędzić dni w spokój u i nie doczekać szczęśliwie sędziwego wieku? Nie ma powodu, aby tak przypuszczać. Jutro będziesz lepszej myśli.

— Może — odparł Krantz — ale mimo to musisz ulec mojej zachciance i wziąć to złoto. Wiesz, jeżeli się mylę i dopłyniemy szczęśliwie, będziesz mógł mi je zwrócić — dodał z bładym uśmiechem. — No, ale zapomniałeś, że słodka woda prawie się nam skończyła i musimy się rozejrzeć za jakimś strumykiem na brzegu, żeby odnowić zapas.

— Właśnie o tym myślałem, kiedy poruszyłeś ten przykry temat. Lepiej rozejrzeć się za wodą, zanim zapadnie zmrok, a gdy tylko napełnimy dzbany, ruszymy w dalszą drogę.

W czasie tej rozmowy znajdowali się po wschodniej stronie cieśniny, jakieś czterdzieści mil na północ. W głębi lądu krajobraz był skalisty i górzysty, ale stopniowo przechodził w nizinę zarośniętą dżunglą, która ciągnęła się aż do plaży... Okolica ta wyglądała na niezamieszkaną. Trzymając się blisko brzegu, po dwóch godzinach drogi dojrzeli wartki strumień, który wytryskał z gór wodospadem i dalej płynął krętym biegiem przez dżunglę, aby w końcu przynieść swoją dań wodom cieśniny.

Wpłynęli w ujście strumienia, opuścili żagle i, wiosłując pod prąd, dotarli dostatecznie daleko, aby mieć pewność, że woda będzie zupełnie słodka. Szybko napełnili nią dzbany i zamierzali odbić z powrotem. Skuszeni jednak urokiem tego zakątka i chłodną wodą w strumie-

niu, a przy tym znużeni długim przebywaniem w ciasnej przestrzeni pirogi, postanowili zażyć kąpieli. Rozkoszy tej nie potrafią docenić ludzie, którzy nie znaleźli się nigdy w podobnej sytuacji. Zrzućli swoje muzułmańskie szaty, zanurzyli się w wodzie i kąpali się dłuższą chwilę. Krantz pierwszy wyszedł z wody. Skarżył się, że mu zimno i dotarł do brzegu, gdzie leżały ubrania. Filip także zbliżył się do brzegu, zamierzając pójść za jego przykładem.

— Słuchaj, Filipie — powiedział Krantz — teraz jest dobra okazja, żebym ci dał te pieniądze. Odwinę moją szarfę i wysypię z niej złoto, a ty możesz je wsypać do swojej, zanim się nią opaszysz.

Filip stał w wodzie sięgającej mu prawie do pasa.

— No cóż — powiedział — myślę, że jeśli już musi tak być, to nie ma rady. Ten twój pomysł wydaje mi się taki śmieszny. Ale niech będzie, jak chcesz.

Wyszedł na brzeg i usiadł obok Krantza, który był już zajęty wytrząsaniem dublonów z fałd swojej szarfy. Wreszcie powiedział:

— Myślę, Filipie, że to już wszystko. Jestem zadowolony.

— Nie pojmuję, jakie niebezpieczeństwo może ci grozić, na które ja nie byłbym w równym stopniu narażony — odparł Filip. — Jeżeli jednak...

Nie zdążył dokończyć zdania, gdy rozległ się okropny ryk. Coś przeleciało w powietrzu jak potężny pęd wiatru. Jakiś cios powalił go na plecy. Głośny krzyk i szamotanie. Gdy Filip oprzytomniał, ujrzał olbrzymiego tygrysa, z szybkością strzały unoszącego w dżunglę nagie ciało Krantza. Patrzył szeroko rozwartymi oczami. Po paru sekundach tygrys i Krantz zniknęli.

—• Boże wielki, czemuś mi Jego nie oszczędził? — zawołał Filip rzucając się w rozpacz twarzą na ziemię. — O, Krantz, przyjacielu, bracie! Jakże byłeś pewny swego przeczucia. Boże miłosierny, zlituj się... ale bądź wola twoja. — Filip wybuchnął niepohamowanym płaczem.

Więcej niż godzinę nie ruszał się z miejsca, niebaczny i zobojętniały na niebezpieczeństwo grożące z każdej strony. W końcu, przyszedłszy nieco do siebie, wstał, ubrał się i znowu usiadł na ziemi. Nie odrywał oczu od szat Krantza i złota, które wciąż leżało na piasku.

— Chciał mi dać to złoto. Przepowiedział własną zgubę. Tak, tak. To było mu przeznaczone i spełniło się. Jego kości zbieleją w puszczy. Duch-myśliwy i jego córka-wilkolak zostali pomszczeni.

Zapadł już zmierzch. Głuche pomruki leśnych drapieżników uprzytomniły Filipowi własne zagrożenie. Pomyślał o Aminę. Spiesznie zwinął ubranie Krantza i dublony w jeden węzełek, wsiadł do pirogi i z trudem zepchnął ją z piasku. Ze smutkiem w sercu, w milczeniu postawił żagiel i popłynął w drogę.

Tak, Aminę, rozmyślał przyglądając się mrugającym i skrzącym się gwiazdom, tak, masz rację twierdząc, że ludzkie losy są z góry wiadome i że niektórzy umieją je odczytywać. Niestety, moim przeznaczeniem jest żyć w oderwaniu od wszystkiego, co najwięcej cenię na świecie, i umierać samotnie bez przyjaciół. A zatem bądź pozdrowiona, śmierci, jeżeli tak ma być. Przybywaj, po stokroć bądź pozdrowiona. Jakąż ulgą będziesz dla mnie! Co za radość, gdy zostanę wezwany tam, gdzie strudzeni odpoczywają w pokoju. Muszę spełnić moje zadanie. Daj Boże, żebym mógł je spełnić niedługo i ze-

by takie doświadczenia jak to nie zatruwały już więcej mego życia.

Znów zapłakał, albowiem Krantz był jego z dawna wypróbowanym, niezastąpionym przyjaciелеm, towarzyszem we wszystkich niebezpieczeństwach i niedolach, od czasu gdy holenderska flotyła próbowała opłynąć przylądek Liorn.

Po siedmiu dniach trudów samotnej żeglugi i gorzkich rozpamiętywań Filip przybył do Pulau Penang, gdzie znalazł okręt udający się do miasta, które było celem jego podróży. Podpłynął swoją pirogą pod burzę okrętu i stwierdził, że był to bryg pod portugalską banderą, mający jednak tylko dwóch Portugalczyków na pokładzie, reszta załogi bowiem składała się z krajowców. Przedstawił się jako Anglik w służbie portugalskiej, którego okręt się rozbił, i wyraził gotowość zapłacenia za przejazd, dzięki czemu przyjęto go chętnie. W parę dni później okręt odpłynął.

Podróż mieli pomyślną. Po sześciu tygodniach rzucili kotwicę na redzie Goa, a nazajutrz popłynęli w górę rzeki. Portugalski kapitan objaśnił Filipa, gdzie będzie mógł znaleźć nocleg, a ponieważ podał go za członka załogi, nie czyniono mu żadnych trudności przy zejściu na ląd. Urządziwszy się w nowej kwaterze Filip zaczął wypytywać swego gospodarza o Aminę, określając ją tylko jako młodą niewiastę, która tu przybyła okrętem przed paru tygodniami. Nie udało mu się jednak uzyskać o niej żadnej wiadomości.

— Panie — powiedział gospodarz — jutro odbywa się wielkie auto-da-fe. Dopóki się to nie skończy, nie zdołamy nic zdziałać. Później pomogę wam dowiedzieć się czego trzeba. A tymczasem, panie, pochodźcie sobie po miejsce. Jutro zaprowadzę was w takie miejsce,

skąd można będzie zobaczyć wielką procesję. Potem uczynię co w mojej mocy, aby wam pomóc w poszukiwaniach.

Filip wyszedł z domu, kupił odpowiednie ubranie, w które się przyodział, i zgolił brodę. Następnie przechadzał się po mieście spoglądając w każde okno w nadziei, że dostrzeże Aminę. Na rogu jednej z ulic wydało mu się, że zobaczył księdza Mathiasa. Podbiegł do niego, ale mnich naciągnął na głowę kaptur, a kiedy Filip zagadnął go po imieniu, nie odpowiedział.

Omyliłem się, pomyślał Filip, ale doprawdy zdawało mi się, że to on. Nie pomylił się. Był to istotnie ksiądz Mathias, który zasłonił się w ten sposób, aby go Filip nie poznał.

Zmęczony, przed samym zmrokiem powrócił wreszcie do swojej gospody. Było tam dużo gości. Wszyscy, nawet ludzie z okolic odległych o wiele mil od Goa, przybyli tu, aby zobaczyć auto-da-fe, i wszyscy rozmawiali tylko o tej uroczystości.

— Obejrzę sobie tę wielką procesję — powiedział do siebie Filip kładąc się do łóżka.— Wypędzi mi to z głowy inne myśli, przynajmniej na jakiś czas. Sam Bóg tylko wie, jak bolesne są teraz moje myśli. Aminę, moja Aminę, niech cię strzegą anieli pańscy!

ROZDZIAŁ 40

Choć dzień jutrzejszy miał położyć kres wszystkim nadziejom i obawom Aminę, całemu jej krótkotrwałemu szczęściu, jej niepew-

ności i cierpieniom, młoda niewiasta spała dopóty, dopóki jej ostatniego snu na tym świecie nie przerwał zgrzyt klucza i odsuwanie zasuw u drzwi celi oraz ukazanie się głównego dozorca ze światłem. Zerwała się. Przed chwilą śniła o swoim mężu, o szczęściu. Obudziła się do smutnej rzeczywistości. Przed nią stał dozorca trzymając w ręku szatę, którą kazał jej przywdziać. Zaświecił kaganek i pozostawił ją samą. Szata była z czarnej tkaniny w białe pasy.

Aminę włożyła ją, po czym rzuciła się znów na posłanie. Usiłowała przypomnieć sobie sen, z którego ją przebudzono, ale nadaremnie. Minęły dwie godziny. Dozorca wszedł po raz drugi do celi i kazał jej iść ze sobą. Jednym z najbardziej przerażających zwyczajów Inkwizycji jest chyba ten, że po odczytaniu oskarżenia, bez względu na to, czy oskarżeni przyznają się do winy, czy też nie, powracają do swoich lochów nie mając pojęcia, jaki wyrok mógł na nich zapaść, a kiedy wzywa się ich rankiem w dniu stracenia, pozostają nadal w takiej samej nieświadomości.

Dozorcy wyprowadzali więźniów z rozmaitych cel i wiodli do dużej sali, gdzie nieszczęśni zastawali zebranych towarzyszy niedoli.

W tej obszernej, słabo oświetlonej sali widać było około dwustu mężczyzn, ustawionych pod ścianami jak gdyby po to, aby mogli w nich znaleźć oparcie. Wszyscy ubrani w jednakowe czarno-białe szaty, stali tak nieruchomi, tacy zastygli w przerażeniu, że gdyby nie oczy, którymi odprowadzili wchodzących i wychodzących dozorców, można by pomyśleć, że skamienieli. Była to męka niepewności, gorsza od męki konania. Po jakimś czasie każdy z więźniów dostał do rąk woskową świecę długości około pięciu stóp. Następnie jednym kazano

włożyć na swoje szaty tak zwane Sanbenitos, innym zaś — Samarias. Ci, którym rozdano te wierzchnie suknie malowane w płomień, zrozumieli, że są zgubieni. Straszny był widok udreki tych ludzi, gdy przynoszono szaty jedną po drugiej i gdy każdy, z czołem zroszonym grubymi kroplami potu, wypatrywał ze zgrozą, czy jedna z nich nie dostanie się jemu. Wszystkich przenikała niepewność, lęk i przerażenie.

Ale więźniów zgromadzonych w tej sali nie czekało stracenie. Ci, którzy byli przyodziani w Sanbenitos, mieli iść w procesji i ponieść tylko lekką karę. Ci zaś, którzy mieli na sobie Samarias, zostali wprowadzicie skazani, ale od spalenia na stosie uratowało ich przyznanie się do winy. Płomień namalowane na ich szatach były odwrócone, co oznaczało, że nie będą straceni, o tym jednak ci nieszczęśnicy nie wiedzieli i okrutna, przerażająca śmierć zaglądała im w oczy.

Inna sala, podobna do tamtej, w której zgromadzono mężczyzn, przeznaczona była dla niewiast winowajczyń. Przestrzegano tu takich samych ceremonii, ta sama niepewność, strach i męka malowały się na każdym obliczu. Była jednak i trzecia komnata, mniejsza niż tamte dwie. Znaleźli się w niej ci, którzy zostali skazani i mieli' pójść na stos. Do tej komnaty zaprowadzono Aminę. Ujrzała tam siedmiu więźniów ubranych tak jak ona. Było wśród nich tylko dwóch Europejczyków oraz pięciu czarnych niewolników. Każdy miał przy sobie swego spowiednika i słuchał żarliwie jego nauki. Jakiś mnich podszedł do Aminę, ale ona oddaliła go ruchem ręki. Popatrzył na nią, splunął na posadzkę i rzucił przekleństwo. Teraz zjawił się główny dozorca więzienny z szatami dla tych, którzy znajdowali się w tej

komnacie. Były to Samarias, ale różniły się od tamtych o tyle, że namalowane na nich płomienie zwrócone były w górę, zamiast na dół. Szaty te były szare i luźne jak oponcze woźniców. Na dole, zarówno z przodu, jak i z tyłu, widniała namalowana podobizna osoby ubranej w tę szatę, a raczej tylko głowa spoczywająca na wiązce płonącego chrustu, otoczona płomieniami i diabłami. Pod wizerunkiem wypisane było przestępstwo, za które winny ponosi karę. Przyniesiono także i włożono im na głowy czapki w kształcie głowy cukru, wymalowane w płomienie, a do rąk dano długie woskowe świece.

Aminę i pozostali skazańcy przyodziani w te szaty czekali w komnacie kilka godzin, zanim nadeszła pora rozpoczęcia procesji, gdyż dozorczy obudzili wszystkich koło godziny drugiej po północy.

Słońce wstało olśniewające, ku wielkiej radości członków Świętego Officium, którzy nie życzyliby sobie chmurnej pogody w dniu, kiedy mieli bronić honoru Kościoła i dowieść, jak dobrze stosują w życiu łagodną naukę Zbawiciela, naukę o miłosierdziu, dobrej woli, wzajemnej wyrozumiałości i przebaczeniu jedni drugim. Wielki Boże! Radowali się nie tylko członkowie Świętej Inkwizycji, lecz także setki i tysiące ludzi, którzy przybyli tłumnie ze wszystkich stron, aby być świadkami straszliwej uroczystości i zażyć uciechy. Wielu skłonił do tego rzeczywiście fanatyczny zabobon, ale większość brała w tym udział wiedzona bezmyślnością i zamięłowaniem do widowisk. Już wcześniej rano zapełniły się ludźmi ulice i place, którymi miała przeciągać procesja. Na jej cześć wywieszono z balkonów i okien jedwabie, gobeliny oraz materie przetykane złotem i srebrem. Na wszystkich balkonach i we

wszystkich oknach tłoczno było od dam i kawalerów w najbarwniejszych strojach. Wszyscy czekali z niecierpliwością na przedśmiertną paradę nieszczęśliwych skazańców. Świat przepada za podniecającym dreszczem, a gdzież można znaleźć coś równie podniecającego dla zabobonnych ludzi jak auto-da-fe?

Kiedy słońce weszło, zaczął bić wielki dzwon katedralny. Wsz3'stkich więźniów sprowadzono na dół do wielkiej sali, aby ustawić procesję w odpowiednim porządku. Na podwyższeniu przy szerokich drzwiach wejściowych siedział na tronie wielki inkwizytor, otoczony licznym orszakiem najznamienitszych arystokratów i szlachty z Goa. U boku wielkiego inkwizytora stał sekretarz. Kiedy więźniowie przechodzili przed tronem, wymieniano kolejno ich nazwiska, a po każdym z nich sekretarz wywoływał nazwisko jednego z członków świty. Wywołany natychmiast występował naprzód i zajmował w procesji miejsce u boku więźnia. Panów tych nazywają ojcami chrzestnymi. Ich powinnością jest towarzyszyć więźniowi oddanemu im pod opiekę i odpowiadać za niego aż do zakończenia uroczystości. Wyznaczenie przez wielkiego inkwizytora do pełnienia tej funkcji poczytywane jest za wielki zaszczyt.

Wreszcie procesja się rozpoczęła. Na czele niesiono wysoko sztandar zakonu dominikanów, gdyż zakon ten był założycielem Inkwizycji i domagał się tego przywileju, uświęconego zwyczajem. Za chorągwią postępowali w dwóch szeregach mnisi. A jakie hasło widniało na chorągwi? „*Iusticia et Misericordia*”*. Następnie szli winowajcy w liczbie trzystu, każdy ze swoim ojcem chrzestnym obok siebie i z wielką zapaloną świecą woskową w rękę.

• Sprawiedliwość i miłosierdzie (łac).

Z przodu kroczyli ci, których przewinienia były najłżejsze; wszyscy mieli odkryte głowy i bose stopy. Za tą grupą, ubraną tylko w czarno-białe szaty, szli ci, którzy mieli na wierzchu Sanbenitos, a za nimi ci w Samarias z odwróconymi płomieniami. W tym miejscu następowała przerwa w procesji, przeznaczona dla wielkiego krzyża z przybitą doń rzeźbioną postacią Zbawiciela, którą niesiono zwróconą obliczem do przodu. Miało to oznaczać, że ci, którzy idą przed krucyfiksem i na których spogląda z góry Zbawiciel, nie będą straceni, a ci z tyłu, do których odwracał się plecami, są odrzuceni, przeznaczeni na wieczną zagładę, na tym i na tamtym świecie. Za krucyfiksem szło siedmioro skazanych, a na końcu, jako najgorsza zbrodniarka, postępowała Aminę. Ale procesja nie kończyła się na niej. Za Aminę sunęło na wysokich żerdziach pięć kukieł ubranych w takie same szaty z wymalowanymi płomieniami i diabłami. Za każdą kukłę niesiono trumnę, a w niej szkielet. Kukły były podobiznami tych, którzy zmarli w lochach lub wyzionęli ducha w czasie tortur, a których sądono i skazano na karę spalenia już po śmierci. Szkielety ich zostały ekshumowane i miały ponieść taką samą karę, jaką poniosłyby ciała, gdyby do tej pory pozostały przy życiu. Kukły miały być przywiązane do stosów, a kości spalone. Dalej kroczyli członkowie Inkwizycji, za nimi domownicy, mnisi, księża i setki pokutników w czarnych szatach zakrywających im twarze, wszyscy z cienkimi zapalonymi świecami w ręku.

Minęły dwie godziny, zanim procesja, która przeciągała niemal wszystkimi ważniejszymi ulicami Goa, dotarła do katedry, gdzie miały się odbywać dalsze ceremonie. Bosi winowajcy ledwo już mogli iść, bo ostre kamyczki

tak pokaleczyły im stopy, że wchodząc na stopnie katedry zostawiali na nich krwawe ślady.

W katedrze główny ołtarz był zasłonięty czarną materią i oświetlony tysiącami cienkich świec. Po jednej jego stronie stał tron wielkiego inkwizytora, po drugiej — podwyższenie dla wicekróla Goa i jego świty. W głównej nawie były ustawione ławy dla więźniów i ich ojców chrzestnych. Reszta procesji rozeszła się w prawo i w lewo do bocznych naw, gdzie na ten czas zmieszała się z widzami. Gdy więźniowie wchodzili do katedry, prowadzono ich do ław na właściwe miejsca; najmniej winnych sadzano najbliżej ołtarza, a skazanych na stos — najdalej od niego.

Aminę, stąpając po kamiennej posadzce skrwawionymi stopami, doszła chwiejnie na swoje miejsce i z tęsknotą westchnęła do chwili, w której miała się rozstać z chrześcijańskim światem. Nie myślała o sobie ani o męczarni, jaka ją czeka. Myślała tylko o Filipie, o tym, że nic mu nie grozi od tych bezlitosnych potworów, że szczęśliwie ona umiera pierwsza i że spotkają się znowu w krainie wiecznej błogości.

Wycieńczona długotrwałym więzieniem, niepewnością i oczekiwaniem, zmęczona i cierpiąca po bolesnym pochodzie i skwarze słońca, od którego odwykła w ciągu tylu miesięcy zamknięcia w lochu, nie jaśniała już swoją dawną promienną urodą, ale w jej twarzy, wciąż jeszcze pięknej, mimo że udręczonej, było coś bardziej wzruszającego. Wszystkie spojrzenia zwracały się ku niej. Szła z oczami spuszczo-nymi, prawie zamkniętymi, ale gdy od czasu do czasu je podnosiła, błyskały ogniem świadczącym o jej dumnej duszy. Wielu patrzyło na nią z lękiem i zdumieniem, ale więcej było takich, którzy się litowali, że młodą i śliczną

jeszcze niewiastę dosięgnął taki straszny los. Aminę ledwo od paru chwil siedziała na swoim miejscu w katedrze, gdy wtem, wyczerpana przeżyciami i zmęczeniem, zsunęła się z ławy i upadła zemdlona.

Czy nikt nie wystąpił z tłumu, aby jej przyjść z pomocą? Aby ją podnieść i podać kubek wody? Nie, nikt. Wielu by to uczyniło, ale nie śmieli. Była wyrzutkiem — wyklęta, odrażona i potępiona. Gdyby ktoś, powodowany współczuciem dla cierpień bliźniego, odważył się ją podnieść, patrzono by na niego podejrzliwie, najprawdopodobniej postawiono by w stan oskarżenia i musiałby rozliczać się ze spraw swego sumienia przed Świętą Inkwizycją.

Po chwili podeszli do Aminę dwaj urzędnicy Inkwizycji i posadzili ją z powrotem na ławie. Odzyskała już na tyle siły, że mogła się utrzymać w tej pozycji.

Jakiś dominikanin rozpoczął kazanie, w którym przedstawiał czułą opiekę i ojcowską miłość Świętego Officium. Przyrównywał Inkwizycję do arki Noego, z której po potopie wyszły wszystkie zwierzęta, z tą jednak wielką różnicą na korzyść Świętego Officium, że z arki zwierzęta wyszły wcale nie lepsze, niż do niej weszły, podczas gdy ci, którzy weszli do Inkwizycji z całym okrucieństwem swojej natury i z wilczym sercem, wychodzą z niej łagodni i cierpliwi jak jagnięta.

Następnie na kazalnicę wstąpił główny oskarżyciel i odczytywał po kolei przestępstwa skazanych oraz kary, jakie mieli ponieść. Urzędnicy podprowadzali każdego więźnia przed kazalnicę, aby wysłuchał swego wyroku stojąc, z zapaloną świecą woskową w ręku. Gdy oskarżyciel odczytał już wyroki na wszystkich tych, którym darowano życie, wielki inkwizy-

tor przywdział szaty kapłańskie i, krocząc na czele asystujących mu inkwizytorów, zdejmował z tych więźniów ekskomunikę (uważano bowiem, że pod nią podpadli); ceremonia ta polegała na pokrapianiu ich wodą święconą za pomocą kropidła.

Po zakończeniu tej części obrzędu zaczęto przyprowadzać pojedynczo więźniów skazanych na stracenie oraz kukły tych, którzy dzięki śmierci uniknęli stosu, i odczytywać im wyroki. Formuła skazująca kończyła się dla wszystkich jednakowo: Ze względu na zatwardiałość ich serc i wielkość przestępstw Święta Inkwizycja nie uznała za możliwe przebaczyć im. Z wielką troską przekazywała ich świeckim organom sprawiedliwości w celu wykonania przewidzianej prawem kary, zachęcając jednocześnie władze, aby okazały łaskawość i miłosierdzie wobec tych nieszczęsnych i, jeśli już muszą ponieść śmierć, aby w każdym razie mogło się to odbyć bez rozlewu krwi. Jakimże urągowiskiem było to pozorne wstawiennictwo, zapobiegające rozlewowi krwi, skoro dla zadośćuczynienia tej prośbie podsuwano w zamian męki konania na stosie.

Aminę przyprowadzono na samym końcu przed kazalnicę, wspartą o jedną z potężnych kolumn głównej nawy, blisko tronu, na którym siedział wielki inkwizytor.

— Ty, Aminę Vanderdecken... — zaczął donośnym głosem oskarżyciel publiczny.

W tym momencie w tłumie pod kazalnicą wszczął się jakiś niezwykły tumult, szamotanie i głośne wymyślania. Urzędnicy Inkwizycji podnieśli w górę laski, nakazując w ten sposób ciszę i przystojne zachowanie, ale gwar nie ustawał.

— Ty, Aminę Yanderdecken, oskarżona...

Znów gwałtowne szamotanie i z tłumu wypadł młody mężczyzna. Rzucił się w stronę Aminę i chwycił ją w ramiona.

— Filip! Filip! — krzyknęła Aminę padając mu w objęcia. Gdy ją chwycił, czapka malowana w płomienie spadła jej z głowy i potoczyła się po marmurowej posadzce.

— Moja Aminę... moja żono... moja uwielbiana! Więc tak się spotykamy? Panie, ona jest niewinna! Precz stąd! — zawołał zwracając się do urzędników Inkwizycji, którzy chcieli go od niej oderwać. — Precz, bo zapłacicie życiem!

Nie można było tolerować tego wygrażania urzędnikom i urągania wszelkim przepisom. Cała katedra znajdowała się w stanie gwałtownego poruszenia, gdyż uroczystej ceremonii zagrozała kompromitacja. Wicekról i jego świta powstali z krzeseł, aby zobaczyć, co się dzieje, a tłum napierał. Wówczas wielki inkwizytor wydał jakieś polecenie i inni urzędnicy pospieszili z pomocą tym dwóm, którzy przyprowadzili Aminę. Usiłowali ją wyrwać z objęć Filipa, ale walka była zażarta. Zdawało się, że Filip obdarzony jest siłą dwudziestu mężczyzn. Dopiero po kilku minutach zdołali go oderwać, a kiedy to nastąpiło, dalej szarpał się z nimi okropnie.

Także Aminę, którą trzymało dwóch domowników Inkwizycji, krzychała usiłując nadaremnie rzucić się raz jeszcze w ramiona męża. Wreszcie Filip nadludzkim wysiłkiem wyrwał się trzymającym go ludziom, ale natychmiast osunął się bezwładnie na posadzkę. Wskutek nadmiernego wysiłku pękło jakieś naczynie krwionośne i oto leżał bez ruchu.

— O Boże! O Boże! Zabili go. Potwory... mordercy! Dajcie mi jeszcze tylko raz go uściskać — krzychała Aminę w zapamiętaniu.

Wówczas z tłumu wystąpił jakiś ksiądz, na którego twarzy malował się smutek. Był to ksiądz Mathias. Poprosił kilku najbliższych stojących mężczyzn, aby wynieśli Filipa. Zabrali go nieprzytomnego, z ust ściekała mu strużka krwi. Amine straciła go z oczu.

Odczytano jej wyrok. Nie słyszała go, w głowie miała chaos. Odprowadzili ją z powrotem do ławy. I wtedy opuściło ją całe męstwo, cała niezłomność i hart ducha. Aż do końca uroczystości słychać było w każdym zakątku katedry jej rozdzierające, histeryczne szlochanie. Ani prośby, ani groźby przemawiających do niej urzędników nie odnosiły najmniejszego skutku.

Wszystko było już zakończone, z wyjątkiem ostatniej i najtragiczniejszej sceny dramatu. Winowajców, którym darowano życie, odprowadzili z powrotem do Inkwizycji ich chrześni ojcowie, a skazanych na śmierć poprowadzono nad rzekę, gdzie mieli być straceni. Ceremonia ta miała się odbyć na rozległym, otwartym placu na lewo od Urzędu Celnego. Podobnie jak w katedrze, i tu przygotowano na podwyższeniach trony dla wielkiego inkwizytora oraz dla wicekróla, którzy z wielką paradą kroczyli na czele procesji, a za nimi ciągnął olbrzymi tłum. Ułożono trzynaście stosów, osiem dla żyjących i pięć dla zmarłych. Oprawcy siedzieli na stosach drewna i chrustu lub stali obok nich czekając na ofiary. Amine nie miała siły iść. Początkowo domownicy Inkwizycji podtrzymywali ją, a potem nieśli aż do przeznaczonego dla niej stosu. Kiedy postawili ją naprzeciwko niego, zdawało się, że wróciła jej odwaga. Śmiało podeszła bliżej, skrzyżowała ręce na piersi i oparła się plecami o stos.

Natenczas przystąpili do swego dzieła oprawcy. Opasali łańcuchami ciało Amine. Dokoła

niej ułożyli wysoko polana drzewa i chrust. Takie same przygotowania poczyniono z wszystkimi skazańcami, a obok każdej ofiary stanął jej spowiednik. Aminę ruchem ręki odpędzała z oburzeniem księży, którzy się do niej zbliżali. Wtem z ciżby, przez którą zdołał się przedrzeć, wynurzył się niemal bez tchu ksiądz Mathias.

— Aminę Vanderdecken... nieszczęsna niewiasto! Gdybyś usłuchała mej rady, nie doszłoby do tego. Teraz jest już za późno, ale *nie* za późno na to, aby uratować twą duszę. Porzuć więc ten upór, tę zatwardziałość serca. Módl się do Pana i Zbawiciela, aby przyjął twego ducha. Módl się do jego pięciu ran o litość. Jest to przedostatnia godzina, ale wciąż jeszcze nie za późno, Aminę — ciągnął starzec ze łzami w oczach. — Błagam cię, zaklinam! Niechaj przynajmniej to brzemię udręki zostanie mi zdjęte z serca.

— „Nieszczęsna niewiasto”, mówicie? — odparła Aminę. — Powiedzcie raczej: „nieszczęsny księżu”, bo moje cierpienia już niedługo się skończą, ale wy będziecie musieli znosić jeszcze katusze potępieńców. Nieszczęsny był ów dzień, w którym mój mąż ocalił was od śmierci. A jeszcze bardziej nieszczęsne to współczucie, które go skłoniło do zaofiarowania wam gościny i schronienia. Nieszczęsna znajomość z wami od pierwszego do ostatniego dnia. Zostawiam was waszemu sumieniu... jeżeli zachowaliście jeszcze sumienie. Nie chciałabym zamienić mojej okrutnej śmierci na męki, jakie wy będziecie cierpieć w swoim dalszym życiu. Odejdźcie. Umieram w wierze moich ojców i gardzę wiarą, która usprawiedliwia takie sceny jak ta.

— Aminę! — wykrzyknął ksiądz Mathias padając na kolana i załamując ręce.

— Odejdźcie, księżę.
— Pozostała już tylko chwila... na litość boską!
— Powtarzam więc, odejdźcie. Ta chwila należy tylko do mnie.

Ksiądz Mathias odszedł w rozpacz. Łzy spływały po policzkach starca. Jak powiedziała Aminę, jego cierpienie nie miało granic.

Główny kat pytał spowiedników, czy skazańcy umierają w prawdziwej wierze. Jeśli dostawał odpowiedź twierdzącą, to skazańcowi przekładano linę w poprzek szyi i okręcano ją dokoła słupa tak, że umierał z uduszenia, zanim podpalono stos. Siedmiu skazanych umarło w ten sposób. Wówczas główny kat zapytał księdza Mathiasa, czy Aminę ma prawo do tak wielkiego miłosierdzia. Stary ksiądz nie odpowiedział, ale zaprzeczył ruchem głowy.

Kat oddalił się. Po krótkiej chwili ksiądz Mathias poszedł za nim i chwytając go za ramię powiedział załamującym się głosem:

— Niech nie cierpi długo.

Wielki inkwizytor dał znak i zapalono wszystkie stosy jednocześnie. Czyniąc zadość prośbie Mathiasa, kat rzucił na stos Aminę sporo wilgotnej słomy, z której buchnął w górę gęsty dym, zanim się zapaliła płomieniem.

— Matko, matko, idę do ciebie! — To były ostatnie słowa, jakie usłyszano z ust Aminę.

Wkrótce ogień się rozszalał, płomienie strzelały wysoko ponad słup, do którego była przywiązana łańcuchami. Stopniowo przygasały, a gdy już tylko żarzące się zgliszcza pokrywały ziemię, z niezrównanej kiedyś, dumnej Aminę pozostało jedynie kilka kawałków kości związających z łańcucha.

ROZDZIAŁ 41

Minęły lata od opisanych cierpień i okrutnej śmierci Aminę. A teraz wprowadzimy na scenę jeszcze raz Filipa Vanderdeckena. Co się z nim działo w ciągu tych wszystkich lat? Obląkany, to miotał się w napadach szału, zakuty w łańcuchy, poskramiany biciem, to znów bywał spokojny i łagodny. Od czasu do czasu zdawało się, że światło rozumu znowu się pokazuje, jak słońce zza chmur, ale obłęd zaciemniał je z powrotem. Przez wiele lat ktoś opiekował się nim troskliwie, żyjąc nadzieją doczekania się jego powrotu do zdrowych zmysłów. Czuwał nad nim pogrążony w smutku i nękany wyrzutami sumienia. Umarł nie doczekawszy się spełnienia swych pragnień. Był to ksiądz Mathias.

Domek w Terneuzen znajdował się od dawna w opłakanym stanie; przez wiele lat czekał na powrót właścicieli, w końcu zaś prawni spadkobiercy wystąpili o spadek i odziedziczyli majątek Filipa Vanderdeckena. Nawet los Aminę zatarł się w pamięci większości ludzi, chociaż podobizna jej twarzy nad żarzającymi się węglami, z wypisanym poniżej jej przestępstwem, nadal wisi, jak to jest w zwyczajcu, w kościele Inkwizycji, przyciągając swą pełną wyrazu pięknnością uwagę najbardziej roztargnionych przechodniów.

Upłynęło jednak wiele, wiele lat. Włosy Filipa są siwe, jego niegdyś rosła i silna postać jakby się załamała. Wygląda na znacznie starszego, niż jest w rzeczywistości. Jest już zdrów na umyśle, ale cała tężyzna uszła z niego. Znużony życiem, pragnie jeszcze tylko wypełnić swoje posłannictwo, a potem przyjąć śmierć jak miłego gościa.

Nikt mu nie odebrał jego relikwii. Zwolnili go ze szpitala dla obłąkanych i dali pieniądze na powrót do ojczyzny. Niestety, nie ma już dla niego ojczyzny, nie ma domu, nie ma niczego na świecie, co by go mogło skłonić do pozostania na nim. Chce tylko spełnić swój obowiązek i umrzeć.

Okręt jest gotów do wyjścia w podróż do Europy. Filip wsiadł na niego nie troszcząc się zbyt o to, dokąd popłynie. Nie zamierzał powrócić do Terneuzen. Nie mógł znieść myśli o zobaczeniu na nowo miejsca, gdzie zaznał tyle szczęścia i tyle cierpienia. Obraz Aminę miał wyryty w sercu i z niecierpliwością oczekiwał chwili, kiedy zostanie wezwany, aby się z nią połączyć w krainie duchów.

Po tylu latach obłąkania obudził się jak ze snu. Nie był już tym szczerym katolikiem co dawniej, bo nie mógł pomyśleć o religii, żeby od razu nie przypomnieć sobie okrutnego losu Aminę. Mimo to zachował przywiązanie do swojej relikwii, wierzył w nią, w nią jedną tylko. Była jego Bogiem, jego religią, jego wszystkim. Przepustką na tamten świat dla niego samego i dla ojca, sposobem połączenia się na zawsze z Aminę. Godzinami siedział trzymając w ręku ten tak cenny przedmiot, wpatrując się w niego, przywołując z pamięci wszystkie ważniejsze wydarzenia w swym życiu, poczynając od śmierci swej biednej matki i ujrzenia po raz pierwszy Aminę, aż do tej ostatniej, straszliwej sceny. Relikwia ta była pamiętnikiem jego życia i na niej opierał wszystkie swe nadzieje na przyszłość.

Kiedyż, ach kiedyż dopełni się mój czas? O tym dumał i marzył nieustannie. Zaiste, błogosławiony będzie dzień, w którym opuszczę ten świat nienawiści i podążę do tamtego, gdzie strudzeni odpoczywają w pokoju.

Okręt, którym Filip miał płynąć jako pasażer, był trzystunowym brygiem, nazywał się „Nossa Señhora da Monte” i udawał się do Lizbony. Kapitanem był stary Portugalczyk, naszpikowany przesadami i mający słabość do araku, upodobanie rzadko spotykane u jego kompatriotów. Wypłynęli z Goa. Filip stał na rufie wpatrując się ze smutkiem w strzelistą wieżę katedry, w której rozstał się na zawsze ze swoją żoną, gdy wtem ktoś dotknął jego łokcia. Odwrócił się.

— ■ Znowu towarzysze podróży! — odezwał się czyjś znajomy głos. Był to pilot Schriften. W wyglądzie tego człowieka nie zaszła żadna zmiana, nic nie wskazywało na jego podeszły wiek, a swoim jedynym okiem patrzył tak samo bystro i przenikliwie jak niegdyś. Filip wzdrygnął się nie tylko na jego widok, lecz także pod wpływem wspomnień, które ożyły wraz z nieoczekiwanym zjawieniem się Schriftena. Trwało to tylko sekundę, po czym odzyskał spokój i popadł w zadumę.

— Znowu jesteście tutaj? — zauważył. — Mam nadzieję, że wasza obecność jest zapowiedzią spełnienia mego zadania.

— Może i tak — odparł pilot. — Obaj jesteśmy już sterani.

Filip milczał. Nawet nie zapytał Schriftena, w jaki sposób ten wydostał się z fortu. Było mu to obojętne, wierzył bowiem, że życie tego człowieka jest zaczarowane.

— Podczas kiedy przebywałeś tak długo w zamknięciu — powiedział Schriften — wiele okrętów się rozbiło po spotkaniu z okrętem twojego ojca i wiele dusz z tego powodu zostało wezwanych do ostatecznego rozrachunku.

— Oby nasze następne spotkanie z nim było szczęśliwsze... oby było ostatnie — odparł Filip.

— Nie, nie! Raczej niech cierpi swoją karę i żegluję aż do dnia sądu ostatecznego — odrzekł zaciekle pilot.

— Nikczemny łotrze! Mam przeczucie, że twoje nienawistne pragnienie się nie spełni. Precz stąd, odejść, jeśli się nie chcesz przekonać, że choć głowa posiwała mi od cierpień, to w rękę zostało mi jeszcze trochę krzepy.

Schriften spojrział na niego spode łba i odszedł. Zdawało się, że odczuwa pewien lęk przed Filipem, choć lęk ten nie dorównywał jego nienawiści. Podjął od nowa swoje dawne próby podburzenia załogi przeciwko Filipowi opowiadając, że jest on człowiekiem pechowym i przywiedzie okręt do zguby, że poza tym ma coś wspólnego z Latającym Holendrem. Wkrótce Filip zauważył, że marynarze go unikają, wobec czego uciekł się do tej samej broni, przedstawiając Schriftena w równie niekorzystnym świetle i twierdząc, że jest on demone. Wygląd zewnętrzny Schriftena przemawiał tak bardzo przeciwko niemu, a powierchowność Filipa, przeciwnie, była tak ujmująca, że ludzie nie bardzo wiedzieli, co o tym sądzić. Zdania były podzielone. Jedni stali po stronie Filipa, inni — po stronie Schriftena, a kapitan wraz z wielu pozostałymi spoglądali na obydwóch z jednakową zgrozą i wzdychali do chwili, kiedy będzie można się ich pozbyć z okrętu.

Jak już wspomnieliśmy, kapitan był bardzo przesądny i lubił zaglądać do butelki. Rano bywał trzeźwy i modlił się, a po południu upijał się i klął na tych samych świętych, których opieki wzywał zaledwie parę godzin wcześniej.

— Święty Antoni, zachowaj nas i strzeż przed pokusą — modlił się rano, nazajutrz po rozmowie z pasażerami o Okręcie Widmie. — Wszyscy święci, chrońcie nas przed nieszczęs-

ciem — mówił dalej, zdejmując z nabożeństwem kapelusz i żegnając się znakiem krzyża. — Niech mi się tylko uda pozbyć tych dwóch niebezpiecznych ludzi bez złej przygody i zakotwiczyć szczęśliwie naprzeciw wieży Belem, to zaraz ofiaruję sto woskowych świec, po trzy uncje każda, na ołtarz Najświętszej Dziewicy.

Wieczorem mowa jego się odmieniała.

— No, jeżeli ten przeklęty święty Antoni nam nie pomoże, to niechby jeszcze sobie poskwierczał w ogniu piekielnym. Przekleństwo na niego i na jego świnię*. Jeżeli mu nie zabraknie odwagi, żeby uczynić co do niego należy, to wszystko będzie dobrze. Ale to tchórzliwy łajdak, nie zatroszczy się o nikogo i nie pomoże tym, którzy go wzywają w nieszczęściu. Caramba, to dla ciebie! — wykrzyknął kapitan spoglądając na ołtarzyk świętego na pokładzie i pstrykając lekceważąco palcami przed jego obrazkiem — to dla ciebie, ty podły nicpotem, co nam nigdy nie pomożesz w biedzie. Papież musi nam kanonizować jakichś lepszych świętych, bo ci wszyscy, których mamy, są już do niczego. Kiedyś potrafili jeszcze coś zrobić, ale teraz nie dałbym dwóch uncji złota za cały kalendarz. A co do ciebie, ty stary, leniwy łotrze... — ciągnął kapitan, wygrażając pięścią biednemu świętemu Antoniemu.

Okręt znajdował się już w pobliżu południowego wybrzeża Afryki, w odległości około stu mil od wybrzeża Lagullas. Ranek był śliczny, powierzchnia morza lekko się tylko marszczyła, wiał słaby, stały wiatr. Okręt szedł z wiatrem, z prędkością około czterech mil na godzinę.

* Święty Antoni pustelnik uważany był za patrona trzód nierogacizny.

— Niechaj będą błogosławieni wszyscy święci pańscy — powiedział kapitan, który dopiero co wyszedł na pokład. — Jeszcze jeden pomysłny dla nas wiaterek i położymy się na właściwym kursie. Powtarzam, niechaj będą błogosławieni wszyscy święci pańscy, a zwłaszcza nasz zacny patron, święty Antoni, który wziął pod swoją szczególniejszą opiekę „Nossa Senhora da Monte”. Zapowiada się piękna pogoda. Zejdźmy, panowie, na śniadanie, a po śniadaniu zapalimy sobie cygara na pokładzie.

Ale wkrótce pogoda się odmieniła. Na wschodzie podniosły się zza horyzontu zwały chmur i zbliżały się z szybkością, która oczom marynarzy wydawała się nienormalna. W chwilę później zakryły całe niebo i zasłoniły słońce. Wszystko pograżyło się w głębokim, nienaturalnym mroku. Wiatr ucichł i morze się uspokoiło. Właściwie nie było ciemno, ale jakaś czerwona mgielka zasnuwała niebo, jakby świat był ogarnięty pożogą.

W kajucie Filip pierwszy zauważył gęstniejący mrok i wyszedł na pokład. Za nim pospieszył kapitan i zdumieni pasażerowie. Było w tym coś nienaturalnego i niezrozumiałego.

— Panno Święta, miej nas w swojej opiece! — wykrzyknął przestraszony kapitan. — Co to może być? Święty Antoni, miej nas w swojej opiece. Ależ to okropne!

— Tam! Tam! — krzyczeli marynarze wskazując na trawers okrętu.

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę, aby się przekonać, co było przyczyną tych krzyków. Filip, Schriften i kapitan stali obok siebie. Na trawersie okrętu, w odległości nie większej niż dwa kable, ujrzeli wynurzający się powoli z wody spiczasty wierzchołek masztu i drzewca omasztowania. Stopniowo okręt wynurzał się coraz bardziej. Ukazały się stengi i reje marsli

z postawionymi żaglami; wznosiły się coraz wyżej. Nad powierzchnią wody widać już było dolne reje i takielunek, a na koniec pokazał się kadłub. Okręt podnosił się dalej, aż zobaczyli ambrazury z działami i wreszcie całą nadwodną część kadłuba. Stał w dryfie blisko nich, z grotramreją ustawioną na trawers.

— Panno Najświętsza! — wykrzyknął kapitan, z trudem łapiąc oddech. — Dotychczas wiedziałem, że okręty idą na dno, ale nie, że się podnoszą w górę. Ofiaruję tysiąc świec po dziesięć uncji każda na ołtarz Świętej Dziewicy, jeżeli nas uratuje z tej opresji. Tysiąc świec woskowych! Wysłuchaj mnie, błogosławiona madonno, dziesięć uncji każda! Panowie — zawołał do pasażerów, którzy stali niemi z osłupienia — czemu i wy nie ślubujecie? Ślubujecie, powiadam wam, ślubujecie na wszelki wypadek!

— Okręt Widmo! Latający Holender — krzyknął przeraźliwie Schriften. — Mówiłem wam. Filipie Vanderdecken, oto twój ojciec. He, he!

Filip nie odrywał oczu od tamtego okrętu. Zauważył, że z rufy spuszczają łódź na wodę. Możliwe, pomyślał, że teraz wreszcie będzie mi dane... Wsunął dłoń w zanadrze i zacisnął ją na relikwii.

Mrok jeszcze zgęstniał, tak że ledwo można było odróżnić kadłub dziwnego okrętu od ciemnego tła. Marynarze i pasażerowie padli na kolana, głośnie wzywając pomocy świętych. Kapitan zbiegł na dół po świecę, aby ją zapalić przed świętym Antonim. Wyjął obrazek z ołtarzyka i ucałował go z wszelkimi oznakami czułości i nabożeństwa, po czym umieścił go z powrotem w ołtarzyku.

Wkrótce usłyszeli pod burtą plusk wiosła i czyjś głos wołający:

— Ej tam, dobrzy ludzie, podajcie nam z dziobu linę.

Nikt nie odpowiedział ani nie spełnił tej prośby. Tylko Schriften podszedł do kapitana i powiedział, że gdyby tamci chcieli dać listy do przesłania, trzeba im odmówić, w przeciwnym razie okręt będzie skazany na zgubę i zginą wszyscy, którzy się na nim znajdują.

Zza nadburcia ukazał się jakiś człowiek i stanął na trapie.

— Mogliście, chłopcy, podać mi linę burtową — powiedział schodząc na pokład. — Gdzie jest kapitan?

— Tu — odparł kapitan trzęsąc się ze strachu.

Mężczyzna, który się do niego zwrócił, miał wygląd ogorzałego marynarza. Ubrany był w futrzaną czapkę i fartuch z żaglowego płótna, a w rękę trzymał jakieś listy.

— Czego chcecie? — krzyknął w końcu kapitan.

— Tak... czego chcecie? — powtórzył Schriften. — He, he!

— Co, wy tutaj, pilocie? — zdziwił się nieznanomy. — A ja myślałem, że już poszliście do rybek, dosyć dawno temu.

— He, he! — zarechotał Schriften oddalając się.

— Sprawa jest taka, kapitanie, że mieliśmy bardzo kiepską pogodę i chcemy przesłać listy do kraju. Zdaje mi się, że nigdy nie uda nam się opłynąć tego przylądka.

— Nie mogę zabrać waszych listów — zaprotestował kapitan.

— Nie możecie! Hm, to bardzo dziwne. Żaden okręt nie chce zabrać naszych listów. To bardzo nieładnie. Marynarze powinni mieć wyrozumienie dla swoich towarzyszy, zwłaszcza w niedoli. Bóg świadkiem, że bardzo pragnie-

my zobaczyć znów nasze żony i dzieci, a dla nich byłaby to pociecha, gdyby mogli dostać od nas chociaż jakąś wiadomość.

— Nie mogę zabrać waszych listów... Święci pańscy, miejcie nas w swojej opiece! — jęknął kapitan.

— Już kawał czasu jesteśmy na morzu — rzekł marynarz kiwając głową ze smutkiem.

— Od jak dawna? — zapytał kapitan mimo woli.

— Sami nie wiemy. Kalendarz zmyło za burzę, więc straciliśmy rachubę czasu. Nie znamy teraz dokładnie naszej szerokości geograficznej, bo nie potrafimy określić deklinacji słońca w danym dniu.

— Pokażcie mi wasze listy — odezwał się Filip podchodząc i wyciągając rękę, aby je wziąć od marynarza.

— Nie wolno ich dotykać! — wrzasnął Schriften.

— Precz, poczwaro — odburknął Filip. — Kto śmie mi przeszkodzić?

— Potępiony... potępiony... potępiony! — krzyczał Schriften biegnąc po pokładzie, aż nagle wybuchnął dzikim śmiechem.

— Nie dotykajcie tych listów — prosił kapitan trzęsąc się jak w napadzie febry.

Filip nie odpowiedział, ale znowu wyciągnął rękę po listy.

— Ten jeden to od drugiego oficera do żony, która mieszka na nabrzeżu Waser w Amsterdamie.

— Nabrzeże Waser od dawna już nie istnieje, mój przyjacielu. Na tym miejscu jest teraz duży dok dla okrętów — odparł Filip.

— Niemożliwe! — zawołał marynarz. — A to list bosmana do ojca, który mieszka na starym placu targowym.

— Domy **przy** starym placu targowym dawno już zburzono, a teraz tam stoi kościół.

— Niemożliwe! — powtórzył marynarz. — A ten to ode mnie do mojej miłej, Vrow **Ketser**. Posyłam w nim pieniądze, żeby sobie kupiła nową broszkę.

Filip pokręcił głową.

— Pamiętam, jakieś trzydzieści lat temu widziałem pogrzeb pewnej staruszki, która się tak nazywała.

— Niemożliwe! Kiedy się z nią rozstawałem, była młoda i kwitnąca. Tu jest list do firmy Slutz i Ska, do której należy nasz okręt.

— Nie ma już takiej firmy — stwierdził Filip — ale słyszałem, że istniała pod taką nazwą przed wielu laty.

«— Niemożliwe! Pewnie sobie kpicie ze mnie. Mam jeszcze list od naszego kapitana do syna...

— Dajcie — zawołał Filip chwytając ten list.

Już miał przełamać pieczęć, gdy wtem Schriften wyrwał mu list z ręki i wyrzucił za burtę po zawietrznej.

— To podły figiel jak na dawnego kamrata z okrętu — zauważył obcy marynarz.

Schriften nie odpowiedział, lecz porwał pozostałe listy, które Filip położył na kabestanie, i cisnął je w ślad za pierwszym. Marynarz zapłakał i odszedł z powrotem do burty.

— Bardzo niemilosierdzie... bardzo nieładnie — mówił schodząc za burtę. — Może przyjdzie taki czas, że będziecie chcieli zawiadomić rodzinę, co się z wami dzieje.

Z tymi słowy zniknął za burtą. Po chwili usłyszeli plusk wioseł oddalający się od okrętu.

— Święty Antoni! — wykrzyknął kapitan. — Nie mogę przyjść do siebie ze zdumienia i strachu. Steward, przynieś mi z dołu araku.

Steward zbiegł po butelkę, a że był równie wystraszony jak kapitan, pociągnął sobie pierwszy, zanim przyniósł ją swemu dowódcy.

— No — odsapnął kapitan, odejmując po dwóch minutach usta od butelki, którą wysuszył do dna — a co teraz zrobić?

— Ja wam powiem, panie — odezwał się Schriffen podchodząc do kapitana. — Tamten człowiek nosi zawieszony na szyi zaczarowany przedmiot. Odbierzcie mu go i wyrzucicie za burtę, wtedy wasz okręt ocaleje. Jeżeli tego nie uczynicie, zginie i okręt i wszyscy ludzie.

— Tak, tak! Ma rację, to pewne — zakrzyknęli wszyscy marynarze.

— Głupcy! — powiedział Filip. — Wierzyście temu łajdakowi? Czy nie słyszeliście, jak ten marynarz, który wszedł na nasz pokład, rozpoznał go i nazwał kamratem z okrętu? To jego obecność, a nie moja, okaże się dla nas fatalna.

— Tak, tak! — zawołali marynarze. — Ma rację. Tamten rzeczywiście nazwał go kamratem z okrętu.

— Powiadam wam, że to wszystko nieprawda — krzyczał Schriffen. — To on jest niebezpieczny. Niech odda ten zaczarowany przedmiot.

— Tak, tak! Niech odda zaczarowany przedmiot — wrzasnęli marynarze i rzucili się w stronę Filipa.

Filip odskoczył w tył i stanął przy kapitanie.

— Szaleńcy, czy wiecie, co chcecie uczynić? Noszę na szyi drzewo Krzyża Świętego. Wyrzucicie je za burtę, jeżeli się na to ważycie, a wasze dusze będą potępione na wieki. — Tu Filip wyciągnął z zanadza relikwię i pokazał ją kapitanowi.

— Nie, nie, chłopcy — przemówił kapitan, który już trochę się uspokoił. — Tak nie można. Święci pańscy mają nas w swojej pieczy.

Ale wśród marynarzy podniósł się krzyk. Jedna część domagała się wyrzucenia za burtę Schriftena, druga — wyrzucenia Filipa. W końcu sprawę rozstrzygnął kapitan, który polecił spuścić na wodę małą łódkę zawieszoną na rufie i rozkazał wsiąść do niej Filipowi i Schriftenowi. Marynarze zgodzili się na takie rozwiązanie, gdyż zadowalało ono obie strony. Filip nie oponował. Schriften wprawdzie wrzeszczał i bronił się, ale wrzucili go do łódki. Leżał na rufie skulony i drżący, podczas gdy Filip chwycił za wiosła i odpłynął od statku w kierunku Okrętu Widma.

ROZDZIAŁ 42

Po kilku minutach Filip i Schriften nie mogli już dojrzeć za gęstą mgłą „Nossa Señhora da Monte”. Wciąż jeszcze widzieli Okręt Widmo, lecz w znacznie większej odległości niż przedtem. Filip wiosłował ku niemu ze wszystkich sił, ale okręt, mimo że stał w dryfie, zdawał się od nich oddalać. Filip przestał na chwilę wiosłować, aby wyrównać oddech; wówczas Schriften podniósł się i usiadł na rufie.

— Możesz wiosłować i wiosłować, Filipie Vanderdecken, ale nie dogonisz tego okrętu. Nie, nie, to niemożliwe. Może przyjdzie nam długo płynąć razem, ale pod koniec tej podróży będziesz tak samo daleko od swego celu,

jak teraz, na początku. Dlaczego nie wyrzucisz mnie znowu za burtę? Byłoby ci o tyle lżej... he, he!

— Wyrzuciłem cię za burtę w chwili wściekłości, kiedy próbowałeś wyrwać mi relikwię.

— A czy dzisiaj nie próbowałem zmusić tamtych, aby ci ją odebrali? Czy nie próbowałem? He, he!

— Tak, ale teraz doszedłem do przekonania, że jesteś tak samo nieszczęśliwy jak ja i że, cokolwiek robisz, idziesz jedynie za swoim przeznaczeniem, jak ja za moim. Dlaczego tak jest i po co, nie potrafię powiedzieć, ale obaj jesteśmy wplątani w tę samą tajemnicę. Jeżeli pomyślny skutek moich wysiłków jest uzależniony od zachowania tej relikwii, to powodzenie twoich zależy od tego, czy ją zdobędziesz, udaremniając w ten sposób moje zamierzenie. W tej sprawie jesteśmy obaj tylko narzędziem, a ty byłeś, jeśli chodzi o moje posłannictwo, moim najzawziętym wrogiem. Ale ja nie zapomniałem, Schriften, i nigdy nie zapomnę, że naprawdę życzliwie doradzałeś mojej biednej Aminę, że przepowiedziałeś jej, jaki los ją czeka, jeśli nie posłucha twojej rady, że nie byłeś jej wrogiem, choć byłeś i nadal jesteś moim. Mimo że nim jesteś, przez wzgląd na nią przebaczam ci i nie będę usiłował uczynić ci nic złego.

— A zatem przebaczasz swemu wrogowi? — zapytał posępnie Schriften. — Bo przyznaje, że jestem twoim wrogiem.

— Przebaczam z całego serca i z całej duszy.

— Podbiłeś mnie tym, Filipie Vanderdecken. Uczyniłeś mnie teraz swoim przyjacielem, a pragnienie twoje spełni się niebawem. Chciałeś wiedzieć, kim jestem. Posłuchaj więc.

— Kiedy twój ojciec, przeciwstawiając się

woli Wszechmocnego, w niepohamowanym gniewie pozbawił mnie życia, pozostawiono mi nadzieję darowania wiecznej pokuty dzięki zasługom jego syna. Ja także apelowałem, ale o prawo do zemsty. Pozwolono mi pozostać na ziemi, abym przeszkadzał twoim zamierzeniom. Dana mi była obietnica, że, jak długo będziemy wrogami, nie osiągniesz swojego celu, ale gdy się nagniesz do najwznioślejszej zasady chrześcijaństwa, zaświadczonej na krzyżu Chrystusowym, zasady przebaczenia swemu wrogowi, wypełnisz swoje zadanie. Filipie Vanderdecken, przebaczyłeś swemu wrogowi i losy nas obu teraz się dopełniły.

Gdy Schriften mówił, Filip nie odrywał 'opd niego oczu. Pilot wyciągnął rękę. Filip ujął ją, ale w momencie, gdy ją ścisnął, postać Schriftena jakby się rozpuściła w powietrzu i Filip został sam.

— Ojczy miłosierny — zawołał — dzięki ci, że moje zadanie zostało spełnione i że mogę się znów połączyć z Aminę.

Co rzekłszy powiosłował w kierunku Okrętu Widma, który przestał się oddalać, przeciwnie, jakby z każdą minutą się przybliżał. Wreszcie Filip złożył wiosła i wspiał się po burcie na pokład. Załoga okrętu otoczyła go ciasnym kręgiem.

— Gdzie kapitan? — zapytał. — Muszę się widzieć z waszym kapitanem.

— Kogo mam zameldować, panie? — zapytał jeden z nich, wyglądający na pierwszego oficera.

— Kogo? Powiedźcie mu, że syn chce z nim mówić, jego syn, Filip Vanderdecken.

Odpowiedź Filipa wywołała wśród załogi salwę hałaśliwego śmiechu, a gdy ucichli, oficer zauważył z uśmiechem:

— Pomyliliście się, panie, może chcieliście rzec: jego ojciec?

— Powiedzcie mu, proszę, że syn. Nie zważajcie na moje siwe włosy.

— Dobrze, panie, ale oto i on sam nadchodzi — odparł oficer odstępując na bok i wskazując na kapitana.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytał kapitan.

— Czy jesteście Filipem Vanderdeckenem, kapitanem tego okrętu?

— Tak, to ja.

— Zdaje się, że nie poznajecie mnie, panie. Ale jak moglibyście poznać? Widzieliście mnie, kiedy miałem zaledwie trzy lata. Może jednak pozostał wam w pamięci list, który daliście swojej żonie?

— Ha! — odparł kapitan. — Kim jesteście wobec tego?

— Dla was czas się zatrzymał, ale nie zatrzymuje się dla tych, którzy żyją na świecie. Dla tych zaś, którym życie upływa w cierpieniach, przemija on jeszcze szybciej. W mojej osobie widzicie swego syna, Filipa Vanderdeckena, który był powolny waszemu życzeniu i przeżywszy swój wiek wśród niebezpieczeństw i cierpień, jakie były udziałem niewielu ludzi, w końcu wypełnił swoje ślubowanie i oto przynosi ojcu drogocenną relikwię, którą on pragnął ucałować.

Filip wydobył z zanadru relikwię i, trzymając ją w wyciągniętej dłoni, pokazał ojcu. Jak gdyby błyskawica rozświetliła mroki jego umysłu, kapitan cofnął się gwałtownie, załamał ręce, padł na kolana i zapłakał.

— Mój syn, mój syn! — wykrzyknął powstając i rzucając się w ramiona Filipa. — Oczy mi się otwarły. Bóg Wszechmogący wie, jak długo były zaciągnięte bielmem.

Objąwszy się nawzajem ramionami, poszli na rufę, aby być z dala od marynarzy, którzy wciąż stali stłoczeni przy trapie.

— Synu mój, szlachetny synu, zanim zakłęcie zostanie zdjęte... zanim się rozpadniemy w proch, bo tak się stać musi... o, niechaj uklęknię w dziękczynieniu i skrusze. Synu mój, szlachetny synu, przyjmij podziękę ojca — zawołał Vanderdecken.

A potem ze łzami radości i żalu za grzechy, z wielką pokorą, zwrócił się do Istoty, przeciwko której niegdyś powstał tak bluźnierczo. Starszy Vanderdecken ukląkł, a Filip uczynił to samo. Wciąż obejmując się nawzajem jednym ramieniem, wzniesli drugie wysoko w górę i modlili się razem.

Filip po raz ostatni wydobyl relikwię i podał ją ojcu, który wznosił oczy ku niebu i ucałował ją. W tej samej chwili wysmukłe wierzchołki masztów Okrętu Widma, reje i postawione żagle rozpadły się w proch, który uleciał w powietrze i spadł na fale. Grotmaszt, fokmaszt, bukszpryt, wszystko, cokolwiek znajdowało się nad pokładem, rozsypało się na drobne cząsteczki i znikło.

Kapitan po raz drugi podniósł relikwię do ust i dzieło zniszczenia dokonywało się dalej. Ciężkie żelazne działa zapadły się pod pokłady i znikły. Załoga okrętu (która się temu przyglądała) zmieniła się w szkielety, proch i zetlałe strzępy odzieży. Na okręcie nie pozostała żadna żywa dusza oprócz ojca i syna.

Starszy Vanderdecken jeszcze raz ucałował święte godło krzyża i w tym momencie rozszczepiły się wiązania okrętu, pokłady z wolna się pogrążyły w wodzie, a szczątki kadłuba unosiły się na powierzchni morza. Kiedy ojciec i syn, pierwszy — młody i krzepki, drugi — stary i wyniszczony, wciąż klęcząc i obejmując

się nawzajem, z jedną ręką wzniesioną ku niebu, pogrążali się w głębinach błękitnego morza, posępne niebo rozświetliła na jedną chwilę błyskawica w kształcie krzyża.

Wówczas chmury zasnuwające nieboskłon rozproszyły się szybko jak myśl. Słońce znów zajaśniało w całym swym majestacie, a drobne fale zdawały się tańczyć z radości. Piskliwa mewa znów zaczęła krążyć w powietrzu, wystraszony albatros znowu zadrzemał w locie. Morświn wesoło dokazywał i wywracał koziołki, wielki biały tuńczyk i delfin wyskakiwały w górę z roziskrzanej fali. Cała przyroda jaśniała uśmiechem, jakby radując się z tego, że klątwa na zawsze straciła swą moc i że Okręt Widmo przestał istnieć.

